

SIDNEY SHELDON

GNIEW ANIOŁÓW

Przełożyła Bogumiła Nawrót

Tytuł oryginału Rage of Angels

*„Opowiedz nam o tajemniczych demonach zła,
Simonidesie...”*

*„ Imion ich nikt głośno nie śmie rzec,
Żeby nie skalać uszu śmiertelnych,
Z piekielnych czeluści wynurzyli się
I szturm przypuścili na twierdzę niebieską,
Ale strąceni zostali przez aniołów gniew...”*
Z „Dialogów z Keos”

CZĘŚĆ I

NOWY JORK, 4 WRZEŚNIA

Myśliwi okrążali swoją ofiarę.

Blisko dwa tysiące lat temu w starożytnym Rzymie miejscem krwawych igrzysk byłby Circus Maximus lub Koloseum, gdzie na zboczonym posoką piasku areny wygłodzone lwy podkradałyby się do ofiary, pragnąc rozerwać ją w strzępy. Ale w cywilizowanym wieku dwudziestym Koloseum zastąpił budynek sądu kryminalnego w samym sercu Manhattanu, gdzie w sali rozpraw nr 16 toczył się niezwykle proces.

Obowiązek przekazania opisu wydarzenia potomności spoczywał nie na Swetoniuszu, lecz na stenografie sądowym. Świadcami rozprawy było wielu dziennikarzy i widzów, zwabionych nagłówkami w gazetach. Już od siódmej rano stali w kolejce przed drzwiami sali, aby zapewnić sobie miejsce na procesie o morderstwo.

Oskarżony, Michael Moretti, przystojny mężczyzna po trzydziestce, siedział przy stole obrońcy. Był wysoki i szczupły, a nieregularne rysy twarzy nadawały mu niezbyt sympatyczny wygląd. Miał modnie przystrzyżone czarne włosy, dołek w wystającej brodzie i głęboko osadzone, czarne jak węgiel oczy. Ubrany był w szary garnitur, szyty na miarę, niebieską koszulę, ciemnoniebieski jedwabny krawat i eleganckie buty, robione na zamówienie, Michael Moretti siedział nieporuszenie, jedynie jego oczy bezustannie lustrowały salę.

Atakującym go lwem był Robert Di Silva, porywczy prokurator okręgowy miasta Nowy Jork, oskarżyciel publiczny. O ile z Michaela Morettiego emanował spokój, Robert Di Silva tryskał energią. Sprawiał wrażenie człowieka wiecznie nagłonego przez czas, człowieka, któremu wydawało się, że zawsze zjawia się pięć minut za późno. Był w ciągłym ruchu, walcząc z niewidzialnymi przeciwnikami. Niski i dobrze zbudowany, miał krótko obcięte szpakowate włosy. W młodości Di Silva był bokserem i cała twarz, a szczególnie nos, nosiły tego ślady.

Kiedyś na ringu zabił człowieka, ale nigdy tego nie żałował. Musiało minąć jeszcze wiele lat, nim nauczył się litości.

Robert Di Silva był wyjątkowo ambitny: osiągnął swoje obecne stanowisko mimo braku znajomości i pieniędzy. Wspinając się po szczeblach drabiny, przybrał pozę kogoś całkowicie oddanego sprawie, ale w głębi duszy pozostał człowiekiem bezwzględny, który nigdy nie zapominał i nigdy nie przebaczał.

Prokurator okręgowy Di Silva na ogół nie uczestniczył osobiście w takich rozprawach jak dzisiejsza. Miał liczny personel i każdy z jego starszych asystentów był w stanie

poprowadzić tę sprawę. Ale Di Silva od samego początku wiedział, że sam zajmie się przypadkiem Morettiego.

Michael Moretti był osobistością z pierwszych stron gazet, zięciem Antonio Granellego capo di capi, głowy największej z pięciu rodzin mafijnych działających na Wschodnim Wybrzeżu. Antonio Granelli był już stary i krążyły pogłoski, że Michael Moretti przygotowywany był do zajęcia miejsca swego teścia. Moretti był zamieszany w kilkanaście przestępstw, poczynając od uszkodzenia ciała aż do morderstwa, ale żaden prokurator nigdy nie mógł mu niczego udowodnić. Między Morettim a tymi, którzy wykonywali jego rozkazy, było zbyt wielu ostrożnych pośredników. Di Silva poświęcił trzy pełne frustracji lata, próbując zdobyć dowody przeciwko Morettiemu.

Potem niespodziewanie poszczęściło mu się.

Camillo Stela, jeden z soldati Morettiego, został przyłapany na morderstwie popełnionym podczas napadu rabunkowego. W zamian za darowanie życia, Stela zgodził się wszystko wyśpiewać. Była to najpiękniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszał Di Silva, pieśń, która miała rzucić na kolana najpotężniejszą rodzinę na Wschodnim Wybrzeżu, doprowadzić Michaela Morettiego na krzesło elektryczne, a Roberta Di Silvę wynieść na fotel gubernatorski w Albany. Niejeden gubernator stanu Nowy Jork zasiadał w Białym Domu: Martin van Buren, Grover Cleveland, Teddy Roosevelt, Franklin Roosevelt. Di Silva zamierzał być następnym na tej liście.

Cała sprawa przydarzyła się najbardziej odpowiednim momencie, bowiem wybory gubernatorskie przypadły na nadchodzący rok.

Di Silva został przyjęty przez głównego przywódcę politycznego stanu, który powiedział mu: „Rozgłos zdobyty w tym procesie zapewni ci, Bobby, nominację, a następnie zwycięstwo w wyborach. Załatw Morettiego, a będziesz naszym kandydatem”.

Robert Di Silva nie zdawał się na przypadek. Przygotował sprawę przeciwko Michaelowi Morettiemu z drobiazgową dokładnością. Wszystkich swoich asystentów wciągnął do pracy przy gromadzeniu dowodów, powiązywaniu wszystkich faktów, wyszukiwaniu kruczków prawnych, które mogłyby być użyte przez obrońcę Morettiego. Jedna po drugiej, wszystkie furtki zostały zamknięte.

Prawie dwa tygodnie zajęło skompletowanie sędziów przysięgłych. Prokurator okręgowy nalegał, aby wybrać sześciu sędziów rezerwowych, jako zabezpieczenie przed możliwością unieważnienia procesu. W rozprawach przeciwko grubym rybom mafii sędziowie przysięgli często znikali lub ulegali nieszczęśliwym wypadkom. Di Silva zadbał o to, żeby wszyscy sędziowie zostali od momentu rozpoczęcia procesu odosobnieni i by byli

zamykani co noc, tak aby nikt nie miał do nich dostępu.

Kluczem do sprawy przeciwko Michaelowi Morettiemu był Camillo Stela. Koronny świadek Di Silvy był pilnie strzeżony. W pamięci prokuratora okręgowego żywo zapisał się przypadek Abe Relesa, świadka oskarżyciela publicznego, który „wypadł” z okna szóstego piętra hotelu „Half Moon” na Coney Island, mimo że był pilnowany przez pół tuzina policjantów. Robert Di Silva osobiście wybrał strażników Camillo Steli. Przed procesem Stela potajemnie przewożony był na każdą noc gdzie indziej. Od chwili rozpoczęcia rozprawy Stela trzymany był w pojedynczej celi, strzeżonej przez czterech uzbrojonych funkcjonariuszy. Nikt nie miał do niego dostępu, bo gotowość Steli do składania zeznań opierała się na jego wierze, że prokurator okręgowy Di Silva był w stanie ochronić go przed zemstą ze strony Michaela Morettiiego.

Rozpoczął się piąty dzień procesu.

Dla Jennifer Parker był to pierwszy dzień rozprawy. Siedziała przy ławie oskarżającej razem z pięcioma innymi młodymi asystentami prokuratora okręgowego. Wszyscy zostali zaprzysiężeni tego ranka.

Dwudziestoczteroletnia Jennifer Parker była szczupłą, ciemnowłosą dziewczyną o jasnej cerze, myślącej, ruchliwej twarzy i zielonych, mądrych oczach. Była to twarz raczej sympatyczna niż piękna, twarz odzwierciedlająca dumę, odwagę i wrażliwość, twarz, którą trudno jest zapomnieć. Kobieta siedziała wyprostowana jak świeca, jakby przeciwstawiając się niewidzialnym duchom przeszłości.

Ten dzień zaczął się dla Jennifer Parker fatalnie. Ceremonia zaprzysiężenia w biurze prokuratora okręgowego wyznaczona była na ósmą rano. Poprzedniego wieczora Jennifer starannie przygotowała ubranie i nastawiła budzik na szóstą, aby mieć czas na umycie głowy.

Budzik nie zadzwonił. Jennifer obudziła się o wpół do ósmej i wpadła w panikę. Poszło jej oczko w pończosze i złamał się obcas w pantoflu, więc musiała się przebrać. Zatrzasnąwszy drzwi do swojego małego mieszkania zdała sobie sprawę, że klucze zostawiła w środku. Zamierzała jechać do siedziby Sądu Kryminalnego autobusem, ale teraz nie wchodziło to w grę. Złapała taksówkę, na którą nie było jej stać, i trafiła na kierowcę, który przez całą drogę tłumaczył jej, czemu wkrótce nastąpi koniec świata.

Kiedy Jennifer wreszcie wpadła bez tchu do budynku sądu przy Leonard Street 155, była piętnaście minut spóźniona.

W biurze prokuratora okręgowego zebrało się dwudziestu pięciu prawników, w większości prosto po studiach. Byli młodzi, pełni entuzjazmu i niezwykle podnieceni perspektywą pracy w Prokuraturze Okręgowej dla miasta Nowy Jork.

Biuro wyłożone boazerią i urządzone ze smakiem, wywoływało duże wrażenie. Za wielkim biurkiem stał wygodny skórzany fotel, a przed nim trzy krzesła. Był tam również stół konferencyjny na dwanaście osób i szafki ściennie, pełne książek prawniczych.

Na ścianach wisiały oprawione i opatrzone autografami podobizny J. Edgara Hoovera, Johna Lindsaya, Richarda Nbcna i Jacka Dempseya.

Kiedy Jennifer weszła do sali, przepraszając za spóźnienie, akurat przemawiał Di Silva. Przerwał, spojrzał na nią i warknął:

- Co to, u diabła, ma znaczyć? Myśli pani, że to wieczorek towarzyski?
- Najmocniej przepraszam, ale...
- Nie obchodzi mnie, co ma pani na swoje usprawiedliwienie. Ma mi się to nigdy więcej nie powtórzyć!

Pozostali obserwowali Jennifer, ukrywając skrzętnie jakiekolwiek oznaki współczucia.

Di Silva zwrócił się do zebranych i powiedział:

- Wiem, czemu tu przyszliście. Pokręcicie się tu trochę, aby zdobyć praktykę i nauczyć się kilku sztuczek prawniczych. Kiedy dojdziecie do wniosku, że nabraliście dosyć oglądy, odejdziecie, by rozpocząć karierę jako specjaliści od spraw kryminalnych. Ale być może wśród was znajdzie się jeden tak dobry, by któregoś dnia zająć moje miejsce. - Di Silva skinął na swojego asystenta. - Proszę ich zaprzysiąc.

Przyciszonymi głosami powtórzyli słowa przysięgi. Po zakończeniu ceremonii Di Silva powiedział:

- W porządku, jesteście teraz zaprzysiężonymi pracownikami sądu, niech Bóg ma nas w swojej opiece. Nasze biuro przygotowuje procesy, ale nie cieszcie się za wcześnie. Na razie utoniecie po uszy w analizach prawniczych i projektach dokumentów - wezwaniach, nakazach, wszystkich tych wspaniałych rzeczach, o których uczyli was na studiach. Przez najbliższy rok czy dwa nie będziecie prowadzili procesów.

Di Silva przerwał, by zapalić krótkie, grube cygaro.

- Prowadzę teraz jedną sprawę. Na pewno o niej czytaliście - w jego głosie słychać było nutkę sarkazmu. - Potrzebuję kilku z was do prostych prac pomocniczych.

Jennifer pierwsza podniosła rękę. Di Silva zawahał się przez chwilę, a potem wybrał ją i pięciu innych.

- Zejdźcie do sali rozpraw nr 16.

Po opuszczeniu biura otrzymali legitymacje służbowe. Postawa prokuratora okręgowego nie zniechęciła Jennifer. „Musi być twardy - pomyślała - wymaga tego jego fach”. - A teraz ona także pracowała razem z nim. Należała do personelu Prokuratury

Okręgowej miasta Nowy Jork! Miała już za sobą lata mozolnych studiów prawniczych, które wydawały sienie mieć końca. Mimo że profesorowie usiłowali przedstawić prawo jako coś abstrakcyjnego i staroświeckiego, Jennifer udawało się dostrzec „ziemię obiecaną”, która się za tym kryła: prawdziwe prawo, które zajmowało się ludźmi i ich szalonymi czynami. Jennifer otrzymała promocję jako druga w swojej grupie i została wymieniona w „Przeglądzie Prawniczym”. Zdała egzamin na adwokata za pierwszym podejściem, chociaż jedna trzecia kandydatów startujących razem z nią odpadła. Czowała, że rozumie Roberta Di Silvē, i była pewna, że podoła wszelkim obowiązkom, które na nią nałoży.

Jennifer dobrze się na dziś przygotowała. Wiedziała, że prokuratorowi okręgowemu podlegają cztery biura - procesowe, apelacyjne, ds. afer i ds. oszustw. Zastanawiała się, do którego zostanie przydzielona. W Nowym Jorku było pięciu prokuratorów okręgowych, po jednym dla każdej dzielnicy. Zatrudniali ponad dwustu asystentów. Oczywiście najważniejszy był Manhattan i Robert Di Silva.

Jennifer siedziała w sali rozpraw przy ławie oskarżycielskiej, obserwując Roberta Di Silvē, potężnego i srogięgo inkwizytora, przy pracy.

Jennifer popatrzyła na oskarżonego, Michaela Morettiego.

Mimo wszystkiego, co o nim czytała, nie mogła uwierzyć, żeby był mordercą. „Wygląda jak młody gwiazdor, grający w dekoracjach sądowych” - pomyślała. Siedział bez ruchu i jedynie jego czarne, głęboko osadzone oczy zdradzały odczuwane przez niego wewnętrzne podniecenie. Wodził nimi bez przerwy po każdym zakątku sali, jakby szacując możliwości ucieczki. Ale nie było ratunku. Już Di Silva o to zadbał. Camillo Stela stał na miejscu dla świadków. Gdyby Stela był zwierzęciem, to na pewno byłby lisem. Miał wydłużoną, ściągniętą twarz o wąskich ustach i żółtych, wystających zębach. Rzucił krótkie, ukradkowe spojrzenia i nie wierzyło się jego słowom, zanim jeszcze zaczął mówić. Robert Di Silva zdawał sobie sprawę ze słabych stron swego świadka, ale nie miały one większego znaczenia. Istotne było to, co Stela miał do powiedzenia: przerażające historie, których nikt do tej pory nie wyjawiał, a z których była najprawdziwsza prawda.

Prokurator okręgowy podszedł do Camillo Steli, który właśnie złożył przysięgę.

- Panie Stela, chciałbym, żeby sędziowie przysięgli zdali sobie sprawę z tego, że nie był pan skłonny wystąpić jako świadek i aby zachęcić pana do złożenia zeznań, wyrażono zgodę na to, by zwrócił się pan z prośbą o zmianę kwalifikacji czynu, o który jest pan oskarżony, mianowicie na nieumyślne zabójstwo zamiast morderstwa. Czy to prawda?

- Tak, proszę pana. - Prawa ręka nerwowo mu drżała.

- Panie Stela, czy zna pan oskarżonego, Michaela Morettiego?

- Tak, proszę pana. - Nie patrzył w stronę ławy oskarżonych, w której siedział Michael Moretti.

- Jaki był charakter waszej znajomości?

- Pracowałem dla Mike'a.

- Jak długo zna pan Michaela Morettiego?

- Jakies dziesięć lat - powiedział ledwo dosłyszalnym głosem.

- Czy mógłby pan mówić głośniejsze?

- Jakies dziesięć lat. - Teraz zaczął nerwowo potrząsać głową.

- Czy mógłby pan powiedzieć, że zna pan dobrze oskarżonego?

- Sprzeciw! - Thomas Colfax powstał. Adwokat Michaela Morettiego był wysokim, siwowłosym mężczyzną około pięćdziesiątki, consigliere syndykatu, jednym z najbystrzejszych specjalistów od spraw kryminalnych w całym kraju. - Prokurator okręgowy próbuje sugerować odpowiedź świadkowi.

- Uznaję sprzeciw - powiedział sędzia Lawrence Waldman.

- Inaczej sformułuję pytanie. W jakim charakterze pracował pan dla pana Morettiego?

- Można powiedzieć, że moim zadaniem było usuwanie konfliktów.

- Czy mógłby nam pan to bliżej wyjaśnić?

- Tak. Jeżeli wynikł jakiś problem w rodzaju próby wymigania się od swoich zobowiązań, Mike zlecał mi doprowadzenie wszystkiego do porządku.

- W jaki sposób pan to załatwiał?

- Wiadomo - siłą.

- Czy mógłby pan podać jakiś przykład sędziom przysięgłym?

- Wnoszę sprzeciw, Wysoki Sądzie. - Thomas Colfax znowu powstał. - To pytanie nie ma związku ze sprawą.

- Uchylam sprzeciw. Świadek może odpowiadać.

- No więc, Mike udzielał pożyczek na wysoki procent. Parę lat temu Jimmy Serano zaczął zalegać ze spłatami, więc Mike wysłał mnie, abym dał Jimmy'emu nauczkę.

- Na czym polegała ta nauczka?

- Połamałem mu nogi - szczerze wyjaśnił Stela. - Jeżeli pozwoli się jednemu facetowi wykręcić się sianem, wszyscy będą próbować tego samego.

Kątem oka Robert Di Silva ujrzał, że na twarzach sędziów odmalował się wyraz zgorznienia.

- Jakimi interesami zajmował się Michael Moretti poza lichwą?

- Jezu, wszystkim! .

- Chciałbym, żeby nam pan wymienił, panie Stela.

- Okay. No więc, jak to na wybrzeżu, Mikę ma bardzo dobre układy ze związkiem portowców. Podobnie w przemyśle odzieżowym. Mikę działa także w hazardzie, szafach grających, wywożeniu śmieci, dostawach tekstyliów i temu podobnych.

- Panie Stela, Michael Moretti jest oskarżony o zamordowanie Eddie'ego i Alberta Ramosów. Czy pan ich znał?

- Oczywiście.

- Czy był pan obecny przy ich śmierci?

- Tak. - Po całym ciebie przeszedł mu nerwowy skurcz.

- Kto ich zabił?

- Mikę. - Przez chwilę spojrzenia Steli i Morettiego skrzyżowały się i Stela szybko odwrócił wzrok.

- Michael Moretti?

- Tak jest.

- Czy oskarżony powiedział panu, dlaczego chciał się pozbyć braci Ramos?

- No więc, Eddie i Al przyjmowali zakłady na...

- Trudnili się bukmacherstwem? Nielegalnymi zakładami?

- Tak. Mikę odkrył, że zatrzymywali sobie część pieniędzy. Musiał dać im nauczkę, przecież byli jego ludźmi, no nie? Myślał, że...

- Sprzeciw!

- Uznaję sprzeciw. Proszę, aby świadek ograniczał się tylko do faktów.

- Faktem jest, że Mikę powiedział, żebym zaprosił chłopców...

- Eddie'ego i Alberta Ramosów?

- Tak, na małe przyjęcie w „Pelikanie”. To taki prywatny klub nad morzem. - Ręka Steli zaczęła znowu nerwowo drgać i Camillo, uświadomiwszy to sobie, przycisnął ją drugą dłonią.

Jennifer Parker odwróciła się, by spojrzeć na Michaela Morettiego. Obserwował salę beznamytnie, nie wykonując najmniejszego ruchu.

- Co się stało potem, panie Stela?

- Przywiozłem Eddie'ego i Ala na parking. Mikę już tam czekał. Kiedy chłopaki wysiedli z samochodu, usunąłem się na bok, a Mikę zaczął walić.

- Czy widział pan, jak bracia Ramos upadli na ziemię?

- Tak, proszę pana.

- Czy nie żyli?

- Z pewnością byli tak martwi, że potrzebowali jedynie grabarza.

Przez salę przeszedł szmer. Di Silva zaczekał, aż nastąpi cisza.

- Panie Stela, czy zdaje sobie pan sprawę z tego, że swoim zeznaniem obciąża pan również samego siebie?

- Tak, proszę pana.

- I że zeznaje pan pod przysięgą, a w grę wchodzi ludzkie życie?

- Tak, proszę pana.

- Był pan świadkiem tego, jak oskarżony, Michael Moretti, z zimną krwią zastrzelił dwóch ludzi, ponieważ zatrzymywali sobie część pieniędzy?

- Sprzeciw! Próba sugerowania świadkowi odpowiedzi.

- Uznaję sprzeciw.

Prokurator okręgowy Di Silva spojrział na sędziów przysięgłych i to, co ujrzał na ich twarzach powiedziało mu, że wygrał sprawę. Ponownie zwrócił się do Camillo Steli.

- Panie Stela, wiem, że wymagało to z pana strony ogromnej odwagi, aby przyjść do tej sali i złożyć zeznania. W imieniu mieszkańców naszego stanu chcę panu podziękować.

Di Silva odwrócił się do Thomasa Colfaka.

- Świadek do pańskiej dyspozycji. Thomas Colfax podniósł się z wdziękiem.

- Dziękuję, panie Di Silva.

Spojrział na zegar, wiszący na ścianie, a następnie zwrócił się do ławy sędziowskiej.

- Wysoki Sądzie, jest już prawie dwunasta. Wolałbym, aby moje przesłuchanie świadka odbyło się jednym ciągiem. Czy wolno mi zaproponować teraz przerwę na lunch, a przesłuchanie odłożyć na popołudnie?

- Bardzo dobrze. - Sędzia Lawrence Waldman uderzył młotkiem w stół. - Ogłaszam przerwę do godziny drugiej.

Wszyscy w sali podnieśli się, po czym sędzia wstał i wyszedł przez boczne drzwi do swojego gabinetu. Sędziowie przysięgli zaczęli opuszczać salę. Czterech uzbrojonych funkcjonariuszy otoczyło Camillo Stelę i wyprowadziło go przez drzwi w przedniej części sali, wiodące do pomieszczenia dla świadków.

Di Silvę natychmiast otoczyli dziennikarze.

- Czy złoży pan oświadczenie?

- Jak pan ocenia dotychczasowy przebieg procesu, panie prokuratorze okręgowy?

- Jak zamierza pan chronić Stelę po zakończeniu rozprawy?

Normalnie Robert Di Silva nie tolerował podobnego zachowania w gmachu sądu, ale z uwagi na swoje ambicje polityczne, potrzebował poparcia prasy, więc starał się być

szczególnie miły wobec reporterów.

Jennifer Parker siedziała, obserwując prokuratora okręgowego, dającego wymijające odpowiedzi na pytania dziennikarzy.

- Czy zamierza pan uzyskać wyrok skazujący?

- Nie jestem wróżbitą - dobiegł Jennifer skromny głos Di Silvy. - Od tego, proszę państwa, mamy ławę przysięgłych. Sędziowie przysięgli będą musieli zdecydować, czy pan Moretti jest winien, czy też nie.

Jennifer obserwowała, jak Michael Moretti wstawał. Wyglądał na spokojnego i odprężonego. Jedynym określeniem, jakie przyszło jej do głowy było „chłopięcy”. Trudno było jej uwierzyć, że był winny wszystkich tych strasznych rzeczy, o które jest oskarżony. „Gdybym to ja miała wybrać winnego - pomyślała Jennifer - wybrałabym Stelę”.

Reporterzy odsunęli się i Di Silva zaczął rozmawiać ze swoimi współpracownikami. Jennifer oddałaby wszystko, żeby dowiedzieć się, o czym dyskutowali.

Widziała, jak jeden z mężczyzn powiedział coś do Di Silvy, po czym odłączył się od grupy otaczającej prokuratora okręgowego, i pospieszył w jej stronę. W ręku trzymał wielką kopertę.

- Panna Parker?

Jennifer uniosła ze zdumieniem wzrok.

- Tak.

- Szef prosi, aby zniosła to pani Steli. Niech pani mu powie, aby odświeżył sobie te daty w pamięci. Colfax będzie próbował dziś po południu podważyć jego zeznania i szef chce mieć pewność, że Stela nie zepsuje sprawy.

Wręczył kopertę Jennifer, a ona spojrzała na Di Silwę. „Zapamiętał, jak się nazywam - pomyślała, to dobry znak”.

- No, lepiej ruszaj. Prokurator nie uważa Steli za bystrego ucznia.

- Tak jest. - Jennifer pospiesznie wstała.

Skierowała się do drzwi, przez które widziała wychodzącego Stelę. Uzbrojony funkcjonariusz zagroził jej drogę.

- Pani w jakiej sprawie?

- Jestem z biura prokuratora okręgowego - szorstko odezwała się Jennifer. Wyjęła i pokazała swoją legitymację. - Mam przekazać panu Steli kopertę od pana Di Silvy.

Strażnik uważnie obejrzał legitymację, po czym otworzył drzwi i Jennifer znalazła się w pokoju dla świadków. Było to niewielkie pomieszczenie, nie wyglądające na zbyt wygodne, w którym znajdowało się zniszczone biurko, stara sofa i drewniane krzesła. Na

jednym z nich siedział Stela, ręka drżała mu nerwowo. Oprócz niego w pokoju było czterech uzbrojonych funkcjonariuszy.

Kiedy Jennifer weszła, jeden ze strażników powiedział:

- Hej, tutaj nikomu nie wolno wchodzić! Strażnik stojący na zewnątrz krzyknął:

- W porządku, AL To z biura prokuratora. Jennifer wręczyła Steli kopertę.

- Pan Di Silva chce, aby odświeżył pan sobie w pamięci te daty. Stela zamrugał oczami, nie mogąc powstrzymać dygotania.

Kiedy Jennifer wychodziła z gmachu Sądu Karnego podczas przerwy na lunch, minęła otwarte drzwi opustoszałej sali rozpraw. Nie mogła się powstrzymać, by na moment nie wejść do środka.

W tylnej części po obu stronach było piętnaście rzędów ławek dla publiczności. Na wprost miejsca dla sędziego stały dwa długie stoły, ten z lewej z napisem „Powód”, ten z prawej - z napisem „Pozwany”. Ława przysięgłych składała się z dwóch rzędów, po osiem krzeseł w każdym. „Zwykła sala rozpraw - pomyślała Jennifer - prosta, nawet brzydka, ale jest sercem wolności”. Ta sala i wszystkie inne sale sądowe stanowiły o różnicy między społeczeństwem cywilizowanym i barbarzyńskim. Podstawą istnienia każdego wolnego narodu jest prawo do bycia sądzonym przez równych sobie sędziów. Jennifer pomyślała o tych wszystkich państwach świata, w których nie było takich sal, o krajach, których obywatele byli wyciągani z łóżek w środku nocy, torturowani i mordowani przez anonimowych sprawców z nieznanymi przyczynami: Iran, Uganda, Argentyna, Peru, Brazylia, Rumunia, Związek Radziecki, Czechosłowacja. .. lista była przygnębiająco długa.

„Jeżeli sądy amerykańskie kiedykolwiek zostałyby pozbawione swojej władzy - pomyślała Jennifer - jeśli obywatele zostaliby pozbawieni prawa sądenia przez ławę przysięgłych, wtedy Ameryka przestałaby istnieć jako wolne państwo”. Jennifer była teraz częścią tego systemu i ogarnęło ją uczucie dumy. Będzie robiła wszystko, co tylko będzie w jej mocy, aby prawo to było szanowane i przestrzegane. Stała przez dłuższą chwilę bez ruchu, a następnie odwróciła się, by wyjść.

Z drugiego końca korytarza dobiegał hałas, który stawał się coraz głośniejszy, aż przeszedł w istną kakofonię dźwięków. Rozległy się dzwonki alarmowe. Jennifer usłyszała tupot wielu nóg, dobiegający z korytarza, i ujrzała policjantów z wyciągniętymi pistoletami, biegnących w stronę frontowego wejścia do sali rozpraw. W pierwszej chwili Jennifer pomyślała, że Michael Moretti uciekł, że w jakiś sposób przedarł się przez pilnujących go strażników. Pospieszyła do holu. Przez moment wydawało jej się, że trafiła do domu wariatów. Wszyscy biegali jak oszaleli, wydając rozkazy i próbując przekrzyczeć brzęczenie

dzwonek. Ubrojeni w karabiny strażnicy zajęli miejsce przy drzwiach wyjściowych. Dziennikarze, którzy telefonicznie przekazywali informacje do swoich redakcji, zaczęli wybiegać na korytarz, żeby dowiedzieć się, co się stało. W głębi korytarza Jennifer ujrzała prokuratora okręgowego, Roberta Di Silvē, gorączkowo wydającego polecenia kilku policjantom. Cała krew odpłynęła z jego twarzy.

„Mój Boże! Za chwilę dostanie zawału - pomyślała Jennifer. Zaczęła przepychać się przez tłum w jego kierunku, myśląc, że być może będzie mu w czymś pomocna. Kiedy była już blisko, jeden z funkcjonariuszy, który strzegł Camillo Stelę, uniósł głowę i jego wzrok padł na dziewczynę. Wskazał na nią ręką i pięć sekund później Jennifer została pochwycona, zakuta w kajdanki i aresztowana.

W gabinecie sędziego Lawrence'a Waldmana znajdowały się cztery osoby: sędzia Waldman, prokurator okręgowy Robert Di Silva, Thomas Colfax i Jennifer.

- Ma pani prawo domagać się obecności adwokata, zanim złoży pani jakiegokolwiek wyjaśnienia - poinformował Jennifer sędzia Waldman. - I ma pani prawo milczeć. Jeżeli pani...

- Wysoki Sądzie, nie potrzebuję adwokata! Mogę wyjaśnić, co zaszło.

Robert Di Silva pochylił się nad nią tak nisko, że Jennifer mogła dostrzec, jak krew pulsuje w żyłę na jego skroni.

- Kto ci zapłacił za to, byś dostarczyła tę paczkę Camillo Steli?

- Zapłacił? Nikt mi nie zapłacił! - głos Jennifer drżał z oburzenia.

Di Silva wziął z biurka sędziego Waldmana znajomą kopertę.

- Nikt ci nie zapłacił? Po prostu poszłaś do mojego świadka i mu to wręczyłaś? - Potrząsnął kopertą i na biurko wypadł złoty kanarek. Miał przetrącony łeppek.

Jennifer patrzyła z przerażeniem na martwego ptaszka.

- Ja... jeden z pańskich ludzi... dał mi...

- Który z moich ludzi?

- Ja... nie wiem.

- Ale wiesz, że to był jeden z moich ludzi. - W jego głosie dźwięczało niedowierzanie.

- Tak. Widziałam, jak rozmawiał z panem, a potem podszedł do mnie, wręczył mi kopertę i powiedział, że chce pan, abym zaniosiła ją panu Steli. Nawet... nawet wiedział, jak się nazywam.

- Nie wątpię. Ile ci zapłacili?

„To wszystko jest na pewno jakimś koszmarnym snem - pomyślała Jennifer - za

chwilę się obudzę, będzie szóstka rano, ubiorę się i pojedę, by zostać zaprzysiężona na pracownika Prokuratury Okręgowej”.

- Ile? - Pałał takim gniewem, że Jennifer aż wstała.

- Czy oskarża mnie pan o... ?

- Czy oskarżam panią? - Robert Di Silva zacisnął pięści. - Moja panno, nawet jeszcze nie zacząłem. Kiedy wyjdiesz z więzienia, będziesz już za stara, żeby zdążyć wydać te pieniądze.

- Nie było żadnych pieniędzy. - W oczach Jennifer malowało się wyzwanie.

Thomas Colfax siedział w głębi, bez słowa przysłuchując się rozmowie.

- Wysoki Sądzie - wtrącił nagle - przepraszam, ale wydaje mi się, że to do niczego nas nie doprowadzi.

- Zgadza się - odpowiedział sędzia Waldman, a następnie zwrócił się do prokuratora okręgowego: - Jak wygląda sytuacja, Bobby? Czy Stela wyraża zgodę na przesłuchanie przez adwokata Morettiego?

- Przesłuchanie przez adwokata Morettiego? Do niczego się już nie nadaje. Jest nieprzytomny ze strachu. Nie będzie więcej zeznawał.

- Jeżeli nie będę mógł przesłuchać świadka - powiedział słodkim głosem Thomas Colfax - będę zmuszony, Wysoki Sądzie, wystąpić o unieważnienie procesu.

Wszyscy obecni wiedzieli, co to oznacza: Michael Moretti opuści salę rozpraw jako wolny człowiek.

Sędzia Waldman spojrzał na prokuratora okręgowego.

- Czy powiedziałeś świadkowi, że może być oskarżony o utrudnianie śledztwa?

- Tak, ale Stela bardziej boi się ich niż nas - odwrócił się, by rzucić jadowite spojrzenie Jennifer. - Już nie wierzy, że jesteśmy w stanie zagwarantować mu bezpieczeństwo.

- W takim razie - powiedział wolno sędzia Waldman - obawiam się, że nie ma innego wyjścia, jak przychylić się do wniosku obrony i unieważnić proces.

Robert Di Silva stał i słuchał, jak jego ambitne plany wałęsają się w gruzy. Bez Steli nie miał szans. Michael Moretti był teraz poza jego zasięgiem, ale nie Jennifer Parker. Już się o to postara, by mu za wszystko zapłaciła.

- Wydam polecenie, aby uwolniono oskarżonego i rozwiązano ławę przysięgłych - mówił sędzia Waldman.

- Dziękuję, panie sędzio - powiedział Thomas Colfax. Na jego twarzy nie widać było jednak wyrazu triumfu.

- Jeżeli to wszystko... - zaczął sędzia Waldman.

- Nie, to nie wszystko! - Robert Di Silva odwrócił się do Jennifer Parker. - Chcę, żeby została oskarżona o utrudnianie pracy sądu, o wywieranie nacisku na świadka w sprawie o morderstwo, o współudział w przestępstwie, - o... - miotał się z wściekłości.

Mimo złości, którą odczuwała, Jennifer odzyskała głos.

- Nie jest pan w stanie udowodnić mi żadnego z tych zarzutów, bo to wszystko nieprawda. Można... można oskarżyć mnie o głupotę, ale to wszystko. Nikt mnie nie przekupił. Myślałam, że przekazuję kopertę od pana.

- Bez względu na motywy postępowania - powiedział sędzia Waldman, patrząc na Jennifer - konsekwencje są niezwykle przykre. Wystąpię z wnioskiem do Sądu Apelacyjnego, aby wszczął śledztwo i, o ile uzna to za uzasadnione, rozpoczął procedurę pozbawienia pani uprawnień adwokackich.

- Panie sędzio... - Jennifer nagle zrobiło się słabo.

- To na razie wszystko, panno Parker.

Jennifer stała przez chwilę, obserwując ich wrogie twarze. Nie było nic więcej do dodania.

Żółty kanarek na biurku mówił sam za siebie.

Jennifer Parker była główną bohaterką wieczornych wiadomości. Dostarczenie przez nią martwego kanarka koronnemu świadkowi prokuratora okręgowego było wydarzeniem dnia. Wszystkie stacje telewizyjne pokazywały Jennifer opuszczającą gabinet sędziego Waldmana, przeciskającą się przez tłumy w drodze z sali rozpraw i obłożoną przez prasę i ciekawskich.

Jennifer trudno było znieść tę nagłą popularność. Ze wszystkich stron nacierali na nią dziennikarze telewizyjni i radiowi oraz ludzie z prasy. W głębi duszy chciała od nich uciec, ale nie pozwalała jej na to duma.

- Kto dał pani żółtego kanarka, panno Parker?

- Czy spotkała pani kiedykolwiek Michaela Morettiego?

- Czy wiedziała pani, że Di Silva zamierzał wykorzystać ten proces, aby zdobyć stanowisko gubernatora?

- Prokurator okręgowy powiedział, że wystąpi o wykluczenie pani z listy adwokatów. Czy będzie pani walczyła o swoje uprawnienia zawodowe?

Na każde pytanie Jennifer odpowiadała przez zaciśnięte usta: „Nie mam nic do powiedzenia na ten temat”.

W wieczornym dzienniku CBS nazwała ją „złąkaną Parker”, dziewczyną, która

poszła w złym kierunku. Dziennikarz ABC mówił o niej „Żółty Kanarek”. W NBC komentator sportowy porównał ją do Roya Riegelsa, piłkarza, który strzelił gola do własnej bramki.

„U Tony'ego”, w restauracji, należącej do Michaela Morettiego, odbywała się uroczystość. W sali było z tuzin mężczyzn, popijających i zachowujących się dosyć hałaśliwie.

Moretti siedział sam przy barze, jedynym spokojnym miejscu w całym lokalu, i oglądał w telewizji Jennifer Parker. Uniósł kieliszek, jakby w toaście na jej cześć, i wypił do dna.

Wszyscy prawnicy dyskutowali o przypadku Jennifer Parker.

Połowa z nich była przekonana, że została przekupiona przez mafię, a druga połowa, że padła ofiarą podstęp. Ale bez względu na to, co sądzili o całej sprawie, w jednym byli zgodni. Uważali, że Jennifer Parker zakończyła swoją karierę jako adwokat.

A była to niezwykle krótka kariera: trwała dokładnie cztery godziny.

Jennifer Parker urodziła się w Kelso w stanie Waszyngton, w małym miasteczku, założonym w 1847 roku przez ogarniętego nostalgią Szkota, który nadał mu nazwę swego rodzinnego miasta.

Ojciec Jennifer był adwokatem, początkowo w przedsiębiorstwach budowlanych, które przeważały w mieście, później reprezentował pracowników tartaków. Najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa związane były u Jennifer z uczuciem szczęścia. Stan Waszyngton był dla dzieci miejscem jak z bajki, pełnym malowniczych gór, lodowców i parków narodowych.

Od najmłodszych lat jeździła na nartach, pływała kajakiem, a gdy podrosła, wspinała się na oblodzone szczyty i pieszo wędrowała do miejsc o tak cudownych nazwach, jak Ohanapecosh, Nisqually, jezioro Cle Elum, wodospad Chenuis, Koński Raj czy dolina Yakima. Ojciec nauczył ją górskich wspinaczek na zboczach Mount Rainier i jazdy na nartach na Timberline.

Ojciec zawsze miał dla niej czas, podczas gdy matka, piękna i niespokojna, była dziwnie zajęta i rzadko przebywała w domu. Jennifer ubóstwiała swego ojca. W Abnerze Parkerze płynęła mieszanka krwi angielskiej, irlandzkiej i szkockiej. Był średniego wzrostu, miał czarne włosy i zielononiebieskie oczy. Należał do ludzi głęboko współczujących, o niezwykle rozwiniętym poczuciu sprawiedliwości. Nie interesowały go pieniądze, interesowali go ludzie. Mógł godzinami siedzieć i opowiadać Jennifer o sprawach, które właśnie prowadził, i o problemach tych, którzy przychodzili do jego bezpretensjonalnego

biura. Dopiero po latach Jennifer odkryła, że ojciec rozmawiał z nią, ponieważ nie miał nikogo innego, z kim mógłby podzielić się swoimi myślami.

Codziennie po lekcjach Jennifer biegła na salę rozpraw, by obserwować ojca przy pracy. W przerwach między posiedzeniami sądu kręciła się po biurze, słuchając, jak ojciec omawiał sprawy z klientami. Nigdy nie poruszali kwestii jej ewentualnych studiów prawniczych. Uważane to było za sprawę oczywistą.

Mając piętnaście lat Jennifer zaczęła w czasie wakacji pracować u ojca. W wieku, w którym inne dziewczyny chodziły na randki i miały swoich stałych chłopaków, Jennifer była pochłonięta procesami i testamentami.

Chłopcy interesowali sienią, ale rzadko się z nimi umawiała. Kiedy ojciec pytał ją, dlaczego, odpowiadała: „Oni są tacy dziecinni, ojczu”. Wiedziała, że kiedyś poślubi prawnika.

W dniu szesnastych urodzin Jennifer jej matka wyjechała z miasta razem z osiemnastoletnim synem najbliższych sąsiadów. Chociaż serce ojca Jennifer było jeszcze siedem lat, właściwie umarł na wieść o odejściu żony. Całe miasto o tym wiedziało i współczuło mu, co jeszcze bardziej pogarszało sytuację, bo Abner Parker był dumnym mężczyzną. Zaczął wtedy pić. Jennifer robiła wszystko, co tylko było w jej mocy, aby go podnieść na duchu, ale na nic się to nie zdało i nigdy nie było już tak jak dawniej.

W następnym roku, kiedy nadszedł termin wyjazdu na uniwersytet, Jennifer chciała zostać z ojcem w domu, ale nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Zostaniemy współnikami, Jennie - powiedział jej. - Postaraj się tylko jak najszybciej zdobyć dyplom prawnika.

Po maturze wstąpiła na Uniwersytet w Seattle na wydział prawa. Na pierwszym roku, kiedy jej koledzy przekopywali się mozolnie przez niezgłębiony gąszcz umów, szkód, prawa własności, postępowania cywilnego i prawa karnego, Jennifer czuła się jak ryba w wodzie. Przeniosła się do akademika i dostała pracę w Bibliotece Prawniczej.

Jennifer była zachwycona Seattle. W niedziele razem z czerwonoskórym studentem nazwiskiem Ammini Williams i wielką, kościstą Irlandką, Josephine Collins, wiosłowali po jeziorze Green w samym sercu miasta albo chodzili na regaty, organizowane na jeziorze Waszyngton i obserwowali kolorowe hydro - plany przemykające obok nich.

W Seattle było wiele wspaniałych klubów jazzowych. Jennifer najbardziej lubiła „Peter's Poop Deck”, gdzie w miejscu zwykłych stołów były krzyżaki z drewnianymi kłocami zamiast blatów.

Po południu Jennifer, Ammini i Josephine spotykali się w „Hasty Tasty”, knajpie, w

której podawano najlepsze na świecie ziemniaki smażone po gospodarsku.

Chodziło za nią dwóch chłopaków - młody, przystojny student medycyny, Noah Larkin, i student prawa, Ben Munro. Od czasu do czasu spotykała się z nimi, ale była zbyt zajęta, by myśleć poważnie o jakimś romansie.

Przez cały rok powietrze było rześkie i wilgotne. Wydawało się, że na okrągło pada deszcz i wieje wiatr. Jennifer nosiła wełnianą kurtkę w zielono - niebieską kratę. Włochata tkanina pochłaniała każdą kroplę dżdżu, a jej kolor sprawiał, że oczy Jennifer lśniły jak szmaragdy. Chodziła po deszczu, zatopiona w swych tajemnych myślach, nie zdając sobie sprawy z tego, że wszystko, co przeżywa, pozostaje w zakamarkach pamięci.

Wiosną dziewczyny rozkwitały w swoich jasnych bawełnianych sukienkach. Na uniwersytecie było sześć stowarzyszeń studenckich i ich członkowie zbierali się na trawnikach, obserwując przechodzące dziewczyny, ale w Jennifer było coś takiego, co ich onieśmiało. Było w niej coś, co było trudno określić, sprawiała wrażenie, że posiadała już to, czego oni ciągle jeszcze szukają.

Każdego lata Jennifer jeździła do domu do ojca. Bardzo się zmienił. Nigdy nie był pijany, ale też nigdy nie był trzeźwy. Stworzył wokół siebie psychiczną barierę, za którą się ukrył i gdzie nic nigdy nie mogło go już zranić.

Umarł, gdy Jennifer była na ostatnim roku studiów. Mieszkańcy miasta nie zapomnieli o nim i na pogrzeb Abnera Parkera przyszło prawie sto osób: ludzie, którym przez te wszystkie lata pomagał, doradzał i z którymi się zaprzyjaźnił. Jennifer ciężko przeżyła śmierć ojca. Straciła nie tylko ojca. Straciła nauczyciela i wychowawcę.

Po pogrzebie Jennifer wróciła do Seattle, by ukończyć studia. Ojciec zostawił jej niecałe tysiąc dolarów i musiała podjąć decyzję, co dalej robić. Wiedziała, że nie może wrócić do Kelso i rozpocząć tam praktyki prawniczej, bo w swym rodzinnym mieście zawsze będzie traktowana jak mała dziewczynka, której matka uciekła z nastolatkiem.

Z uwagi na bardzo dobre wyniki w nauce Jennifer została zaproszona na rozmowy wstępne przez kilkanaście czołowych firm prawniczych i otrzymała kilka ofert pracy.

Warren Oakes, profesor prawa karnego, powiedział jej:

- To wyraz prawdziwego uznania dla pani wiedzy. Kobiecie jest bardzo trudno znaleźć pracę w dobrej firmie prawniczej.

Problemem Jennifer było to, że nie miała ani domu, ani rodziny i nie była pewna, gdzie chciałaby zamieszkać.

Na krótko przed ukończeniem studiów problem Jennifer sam się rozwiązał. Pewnego razu profesor Oakes poprosił, by przyszła do niego po wykładach.

- Otrzymałem list z biura prokuratora okręgowego na Manhattanie z prośbą o skierowanie do pracy u nich mego najlepszego studenta. Czy jesteś tym zainteresowana? „Nowy Jork”.

- Tak, panie profesorze. - Jennifer była tak zaskoczona, że sama nie wiedziała, kiedy wyraziła zgodę.

Poleciała do Nowego Jorku, aby przystąpić do egzaminu na adwokata, a potem wróciła do Kelso, by zamknąć kancelarię ojca. Nie przyszło jej to łatwo, bo odnosiła wrażenie, że wyrosła w tym biurze, pełnym pamiątek z przeszłości.

Aby móc jakoś przeżyć do czasu ogłoszenia wyników egzaminów w Nowym Jorku, podjęła pracę jako asystentka w bibliotece uniwersyteckiej.

- Należą do jednych z najtrudniejszych w całym kraju - ostrzegł ją profesor Oakes. Ale Jennifer była spokojna. Zawiadomienie, że zdała, i ofertę pracy w biurze nowojorskiej prokuratury otrzymała tego samego dnia.

Tydzień później Jennifer wyjechała na wschód. Znalazła małe mieszkanko na Third Avenue, ze sztucznym kominkiem, na czwartym piętrze bez windy. „Ruch dobrze mi I zrobi” - powiedziała sobie Jennifer. Na Manhattanie nie ma gór, na które można by się wspinać ani bystrych potoków, którymi można by spływać kajakiem. Na mieszkanie składał się mały pokój z kanapą, która na noc przekształcała się w niewygodne miejsce do spania i maciupieńka łazienka z oknem, które ktoś kiedyś zamalował czarną farbą, tak że się nie otwierało. Meble i wyglądały, jakby zostały подарowane przez Armię Zbawienia. „Nie szkodzi, nie będę tu przecież długo mieszkała - pomyślała ; Jennifer. - To tymczasowe lokum, do czasu, kiedy sienie sprawdzę jako prawnik”.

Takie były jej marzenia. Rzeczywistość zaś wyglądała tak, że spędziła w Nowym Jorku niecałe siedemdziesiąt dwie godziny, została wyrzucona z biura prokuratora okręgowego i czekało ją skreślenie z listy adwokatów.

I Jennifer przestała czytać gazety i czasopisma i oglądać telewizję, bo gdzie nie spojrziała, widziała siebie. Czuła, że ludzie I przypatrują się jej na ulicy, w autobusie i w sklepie. Zaczęła ukrywać się w swym małym mieszkanku, nie odbierała telefonów i nie odpowiadała na dzwonki u drzwi. Myślała o spakowaniu walizek i wyjeździe do stanu Waszyngton. Myślała o zdobyciu innego zawodu. Myślała o samobójstwie. Spędzała długie godziny układając listy do prokuratora okręgowego Roberta Di Silvy. Połowa z nich zawierała jadowite oskarżenia o nie - czułość i brak zrozumienia. W pozostałych przepraszała za to, co zrobiła, i prosiła, aby dał jej jeszcze jedną szansę. Nigdy nie wysłała żadnego z tych listów.

Po raz pierwszy w życiu Jennifer opanowało uczucie rozpacz. Nie miała w Nowym Jorku żadnych przyjaciół, nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Całe dni spędzała zamknięta w swym mieszkaniu, by późną nocą wymykać się i spacerować opustoszałymi ulicami miasta. Nigdy nie była zaczepiana przez prowadzących nocne życie wyrzutków społeczeństwa i wykołajeńców. Być może w jej oczach dostrzegali odbitą niby w lustrze własną samotność i rozpacz.

Podczas tych spacerów Jennifer wciąż na nowo wyobrażała sobie scenę w sali rozpraw, za każdym razem zmieniając zakończenie.

Mężczyzna odłączył się od grupy otaczającej Di Silvę i pospieszył w jej stronę. W rękę trzymał wielką kopertę.

- Panna Parker?

- Tak.

- Szef prosi, aby zaniósła pani to Steli. Jennifer spojrzała na niego zimno.

- Proszę pokazać swoją legitymację. Mężczyzna wpadł w panikę i uciekł.

Mężczyzna odłączył się od grupy otaczającej Di Silvę i pospieszył w jej stronę. W rękę trzymał wielką kopertę.

- Panna Parker?

- Tak.

- Szef prosi, aby zaniósła to pani Steli. - Wsunął jej kopertę do ręki.

Jennifer otworzyła kopertę i w środku zobaczyła martwego kanarka.

- Aresztuję pana!

Mężczyzna odłączył się od grupy otaczającej Di Silvę i pospieszył w jej stronę. W rękę trzymał wielką kopertę. Minał ją i podszedłszy do innego młodego asystenta prokuratora okręgowego, wręczył mu kopertę.

- Szef prosi, aby zaniósł pan to Steli.

Mogła zmieniać tę scenę tyle razy, ile chciała, ale i tak do niczego to nie prowadziło. Jeden głupi błąd zniszczył jej życie. Zaraz - a kto powiedział, że już po niej? Prasa? Di Silva? Nie otrzymała informacji, że została wykluczona z grona adwokatów i ciągle jeszcze miała prawo wykonywać zawód prawnika. „Przecież kilka firm złożyło mi propozycje pracy” - przypomniała sobie Jennifer.

Znalazła listę firm, z którymi kiedyś kontaktowała się, i rozpoczęła serię telefonów. Nie zastała żadnej z osób, z którą chciała rozmawiać, i nikt do niej nie oddzwonił. Minęły cztery dni, zanim zdała sobie sprawę, że dla kręgów prawniczych jest pariasem. Wrzawa wokół sprawy przycichła, ale każdy o niej pamiętał.

Jennifer nie przestała wydzwaniać do ewentualnych pracodawców, przeżywając kolejno rozpacz, oburzenie, zniechęcenie i znowu rozpacz. Zastanawiała się, co pocznie z resztą swojego życia, i za każdym razem dochodziła do tego samego wniosku: jedyną rzeczą, która ją interesowała i którą chciała się zajmować była praktyka prawnicza. Była prawnikiem i, na Boga, póki jej nie zabronią, będzie szukała możliwości wykonywania swojego zawodu.

Zacząła odwiedzać kancelarie adwokackie na Manhattanie. Wchodziła nie zapowiedziana, podawała recepcjonistce swoje nazwisko i prosiła o spotkanie z kierownikiem kadr. Od czasu do czasu przeprowadzano z nią rozmowy, ale Jennifer odnosiła wrażenie, że jedynie przez ciekawość. Była znana i chciano zobaczyć, jaka jest w rzeczywistości. Na ogół po prostu informowano ją, że nie ma wolnych etatów.

Po upływie sześciu tygodni Jennifer zaczęło brakować pieniędzy. Przeprowadziłaby się do tańszego mieszkania, ale nie było już tańszych mieszkań. Przestała jeść śniadania i lunche, a na obiady chodziła do jednego z licznych barów, gdzie jedzenie było kiepskie, ale za to ceny niskie. Odkryła „Steak - and - Brew” i „Roast - and - Brew”, gdzie za niewielką sumę mogła dostać drugie danie, tyle sałatki, ile mogła zjeść, i tyle piwa, ile mogła wypić. Jennifer nienawidziła piwa, ale piła, bo było sycące.

Kiedy Jennifer odwiedziła wszystkie większe kancelarie adwokackie, przygotowała sobie listę mniejszych firm i zaczęła je odwiedzać, ale jej sława dotarła nawet tam. Otrzymała mnóstwo propozycji od mężczyzn, ale żadnych ofert pracy. Zacząła ogarniać ją desperacja. „W porządku - pomyślała zbuntowana - jeżeli nikt nie chce mnie zatrudnić, otworzę własne biuro”. Problem polegał na tym, że do tego potrzebne były pieniądze. Przynajmniej dziesięć tysięcy dolarów. Potrzebowała pieniędzy na wynajęcie pomieszczenia, telefon, sekretarkę, książki prawnicze, biurko i krzesła, materiały piśmiennicze... a nie stać jej było nawet na znaczki.

Jennifer liczyła na pensję z biura prokuratora okręgowego, ale nigdy się na nią oczywiście nie doczekała. Nie mogła oczekiwać odszkodowania z tytułu wymówienia. Nie dostała wymówienia, tylko została wyrzucona. Nie, w żaden sposób nie stać jej było na otwarcie własnej kancelarii, nawet najmniejszej. Jedynym wyjściem było znalezienie kogoś, z kim mogłaby dzielić biuro.

Jennifer kupiła numer „New York Timesa” i zaczęła przeglądać ogłoszenia. Prawie na samym dole strony natknęła się na drobne ogłoszenie następującej treści: „Poszukujemy fachowca zainteresowanego wspólnym biurem, prowadzonym już przez dwóch samodzielnych pracowników. Niska odpłatność”.

Dwa ostatnie słowa szczególnie przemówiły do Jennifer. Płć nie powinna stanowić

przeszkody.

Jennifer wyrwała stronę z ogłoszeniem i pojechała metrem pod wskazany adres.

Znalazła się przed starym budynkiem w opłakanym stanie przy końcu Broadwayu.

Biuro mieściło się na dziesiątym piętrze. Zniszczona tabliczka na drzwiach informowała:

KENNETH BAILEY AGENCJA DE EKTYWIST CZNA „AS”

a pod spodem:

WINDYKACJA DÓBR „RO KEF LLER”

Jennifer wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi i weszła do środka. Znalazła się w małym pomieszczeniu bez okien. W pokoju stały trzy odrapane biurka z krzesłami, dwa z nich były zajęte.

Przy jednym biurku siedział łysy, skromnie odziany człowiek w średnim wieku, zajęty jakimiś papierami. Po przeciwnej stronie, przy drugim biurku, zajmował miejsce mężczyzna po trzydziestce. Miał ognistorude włosy i jasnoniebieskie oczy. Jasną twarz pokrywały mu piegry. Ubrany był w obcisłe dzinsy, podkoszulek, na gołych stopach miał białe tenisówki. Rozmawiał przez telefon.

- Proszę się nie martwić, pani Desser, moi dwaj najlepsi ludzie zajmują się tą sprawą. Lada dzień będziemy mieli informacje o pani mężu. Muszę panią poprosić o jeszcze trochę pieniędzy na pokrycie kosztów... Nie, proszę nie sprawiać sobie kłopotu z ich wysyłaniem. Poczta strasznie pracuje. Dziś po południu będę w pani okolicy. Wpadnę i odbiorę pieniądze.

Odłożył słuchawkę, uniósł głowę i zobaczył Jennifer. Wstał, uśmiechnął się i wyciągnął silną dłoń.

- Jestem Kenneth Bailey. Czym mogę pani służyć? Jennifer rozejrzała się po małym, dusznym pokoju i powiedziała niepewnie:

- Ja... ja w sprawie ogłoszenia.

- Och! - W jego niebieskich oczach malowało się zdumienie. Człowiek o łysej czaszce gapił się na Jennifer.

Kenneth Bailey powiedział:

- To jest Otto Wenzel - Windykacja Dóbr „Rockefeller”. Jennifer skinęła głową.

- Miło mi.

Ponownie odwróciła się do Kennetha Baileya.

- A pan to Agencja Detektywistyczna „As”?

- Zgadza się. A czym się pani zajmuje?

- Ja? Ja jestem adwokatem.

Kenneth Bailey popatrzył na nią sceptycznie.

- I chce pani tutaj otworzyć biuro?

Jennifer znowu rozejrzała się po ponurym pokoju i spróbowała wyobrazić sobie, jak siedzi przy tym pustym biurku, pomiędzy dwoma mężczyznami.

- Chyba poszukam czegoś innego - powiedziała. - Nie jestem pewna, czy...

- Pani czynsz wynosiłby tylko dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

- Za dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie mogę wykupić całą tę budę - odpowiedziała Jennifer i skierowała się do wyjścia.

- Proszę zaczekać. Przystanęła.

Kenneth Bailey przesunął dłonią po bladym policzku.

- Sześćdziesiąt, a kiedy rozkręci pani interes, porozmawiamy o podwyżce. Umowa stoi?

To już było coś. Jennifer wiedziała, że za takie pieniądze nigdy nie znalazłaby żadnego biura. Z drugiej strony szansę, że do tej nory ściągnie jakichkolwiek klientów, były znikome. Musiała jeszcze coś wziąć pod uwagę. Mianowicie nie miała sześćdziesięciu dolarów.

- Zgoda - powiedziała Jennifer.

- Nie będzie pani żałowała - obiecał Kenneth Bailey. - Kiedy chce pani przynieść swoje rzeczy.

- Już są przyniesione.

Kenneth Bailey własnoręcznie dopisał na drzwiach: JENNIFER PARKER

ADWOKAT

Jennifer przyglądała się napisowi z mieszanymi uczuciami. Nawet w najgłębszej depresji nigdy nie pomyślała, że jej nazwisko może pojawić się pod nazwiskiem prywatnego detektywa i windykatora mienia. Mimo to, gdy widziała nieco krzywy napis, nie mogła opanować pewnego uczucia dumy. Była adwokatem. Tabliczka na drzwiach dobitnie o tym świadczyła.

Teraz, gdy Jennifer miała już biuro, brakowało jej jedynie klientów.

Jennifer nie stać już było nawet na jądanie w „Steak - and - Brew”. Sama szykowała sobie na kuchence elektrycznej, którą umieściła nad kaloryferem w swojej małej łazience, grzankę i kawę na śniadanie. Nie jadła lunchu, a na obiad chodziła do „Chock Fuli O'Nuts” albo do „Zum Zum”, gdzie serwowano duże kawałki kielbasy z pajdą chleba i gorącą sałatką ziemniaczaną.

Zjawiała się za swoim biurkiem codziennie punktualnie o dziewiątej, ale nie miała nic do roboty poza przysłuchiwaniem się telefonicznym rozmowom Kena Baileya i Otto

Wenzela.

Wyglądało na to, że praca Kena Bailey'a polegała niemal wyłącznie na poszukiwaniu zbiegłych małżonków i dzieci. Początkowo Jennifer była nawet przekonana, że był oszustem, składającym zwodnicze obietnice i wyłudzającym wielkie zaliczki. Ale szybko odkryła, że Ken Bailey ciężko pracował i często odnosił sukcesy. Był zdolny i bystry.

Otto Wenzel był osobą dosyć zagadkową. Jego telefon dzwonił bez przerwy. Podnosił słuchawkę, mruczał do niej parę słów, zapisywał coś na skrawku papieru i znikał na parę godzin.

- Poszedł po towar - pewnego dnia wyjaśnił Ken Bailey.

- Po towar?

- Tak. Firmy komorników wynajmują go do zajmowania samochodów, telewizorów, pralek i innych rzeczy. - Spojrzał na Jennifer ciekawie. - Ma pani już jakiegoś klienta?

- Szukuje mi się parę spraw - powiedziała wymijająco Jennifer.

Kiwnął głową.

- Niech się pani nie załamuje. Każdy może popełnić błąd. Jennifer poczuła, że się czerwieni. Więc wiedział o tym. Ken Bailey odwiął dużą, grubą kanapkę z pieczenia.

- Chce pani trochę? Wyglądała bardzo smakowicie.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała zdecydowanym tonem Jennifer. - Nigdy nie jem lunchu.

- Nie ma sprawy.

Obserwowała, jak z apetytem kanapkę. Zauważył jej wyraz twarzy i powiedział:

- Na pewno pani nie chce?

- Nie, dziękuję. Jestem... jestem umówiona.

Ken Bailey przyglądał się z zamyśloną twarzą, jak Jennifer opuszczała biuro. Był dumny ze swojej umiejętności rozszyfrowywania charakterów ludzkich, ale Jennifer Parker nie mógł rozgryźć. Na podstawie wiadomości z gazet i telewizji był przekonany, że ktoś zapłacił jej, aby uniemożliwiła proces przeciwko Michaelowi Morettiemu. Ale gdy spotkał Jennifer, nie był już tego taki pewny. Był kiedyś żonaty i przeszedł przez piekło, a o kobietach nie miał zbyt wysokiego mniemania. Ale coś mówiło mu, że ta jest wyjątkiem. Była piękna, bystra i bardzo dumna. „Jezu! - powiedział sobie - nie bądź głupi! Wystarczy, że masz jedno morderstwo na sumieniu”.

„Emma Lazarus była sentymentalną idiotką” - pomyślała Jennifer. »Dajcie mi waszych zmęczonych, biednych, zgnębionych ludzi, pragnących wolno oddychać... Przyślijcie ich, bezdomnych, miotanych burzami, do mnie«. Akurat! W Nowym Jorku każdy

producent wycieraczek musiałby zwinąć interes w ciągu godziny. W Nowym Jorku nikt nie dbał o to, czy żyjesz, czy nie. „Nie rozczulaj się nad sobą!” - powiedziała sobie Jennifer. Ale nie było jej łatwo. Zasoby skurczyły się do osiemnastu dolarów, zalegała z komornym za mieszkanie, a za dwa dni miała wpłacić swoją część opłaty za biuro. Nie miała dosyć pieniędzy, aby dłużej pozostać w Nowym Jorku ani żeby stąd wyjechać.

Jennifer wertowała książkę telefoniczną, po kolei dzwoniąc do wszystkich biur adwokackich, próbując znaleźć pracę. Dzwoniła z budki telefonicznej, ponieważ wstydziła się robić to przy Kenie Baileyu i Otto Wenzelu. Wynik zawsze był taki sam: nikt nie był zainteresowany zatrudnieniem jej. Będzie musiała wrócić do Kelso i zacząć pracować jako radca prawny albo sekretarka u jednego z przyjaciół ojca. Niełatwo byłoby mu z tym się pogodzić. Oznaczało to gorzką przegraną, ale nie było innego wyjścia. Wróci do domu pokonana. Najbardziej palącym problemem była teraz kwestia podróży. Przejrzała popołudniowe wydanie „New York Post” i znalazła ogłoszenie, w którym ktoś proponował udział w kosztach podróży do Seattle. Jennifer zadzwoniła pod podany numer. Nikt nie odpowiadał. Postanowiła, że spróbuje jeszcze raz następnego ranka.

Nazajutrz Jennifer po raz ostatni poszła do biura. Otto Wenzela nie było, ale siedział Ken Bailey, jak zwykle przy telefonie. Miał na sobie niebieskie dżinsy i kaszmirowy sweter w serek.

- Znalazłem pańską żonę - mówił. - Problem polega na tym, że ona nie chce wrócić do domu... Wiem. Kto jest w stanie zrozumieć kobiety...? W porządku. Powiem, gdzie się zatrzymała, i może panu uda się namówić ją do powrotu. - Podał adres śródmiejskiego hotelu.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się, by spojrzeć na Jennifer.

- Spóźniła się pani dzisiaj.
- Panie Bailey, obawiam się, że... że muszę wyjechać z Nowego Jorku. Przyślę panu pieniądze, które jestem winna za czynsz, jak tylko będę mogła.

Ken Bailey przechylił się do tyłu i przyjrzał jej się uważnie. Jennifer zmieszała się, czując na sobie jego wzrok.

- Czy zgadza się pan na to? - zapytała.
- Wraca pani do stanu Waszyngton? Jennifer skinęła głową.
- Czy mogłaby mi pani wyświadczyć małą przysługę, zanim pani wyjedzie? - zapytał Ken Bailey. - Mój znajomy prawnik zwrócił się do mnie z prośbą o doręczenie kilku wezwań do stawienia się przed sądem. Płaci dwanaście pięćdziesiąt za każde doręczone wezwanie plus zwrot kosztów za benzynę. Ja, niestety, nie mam na to czasu. Czy nie zechciałaby pani mnie

w tym wyręczyć?

Godzinę później Jennifer Parker znalazła się w pełnym pluszowych mebli biurze, „Peabody and Peabody”. Kiedyś wyobrażała sobie, że będzie pracowała właśnie w takim biurze, jako wspólnik, w pięknym narożnym gabinecie. Zaprowadzono ją do małego pokoju na zapleczu, gdzie zapracowana sekretarka wręczyła jej plik wezwań.

- Proszę. Niech pani nie zapomni spisać liczby przejechanych kilometrów. Ma pani samochód, prawda?

- Niestety nie...

- W takim razie, jeżeli będzie pani korzystała z metra, proszę zapisać, ile wydała pani na bilety.

- Dobrze.

Resztę dnia Jennifer spędziła doręczając wezwania sądowe w Bronxie, Brooklynie i Queens. Do ósmej wieczorem wypracowała pięćdziesiąt dolarów. Dotarła do swego mieszkania przemarznięta i wyczerpana. Ale wreszcie, po raz pierwszy od przyjazdu do Nowego Jorku, zarobiła trochę pieniędzy. A sekretarka powiedziała, że jest jeszcze bardzo dużo wezwań do doręczenia. Była to praca ciężka, wymagająca ganiań po całym mieście i niezwykle upokarzająca. Zatrząskiwano przed nią drzwi, wymyślano jej, grożono, a dwa razy próbowano przekupić. Perspektywa kolejnego takiego dnia była przerażająca. Ale jak długo mogła pozostać w Nowym Jorku, tak długo mogła mieć nadzieję, choćby nie wiedzieć jak nikłą.

Jennifer przygotowała sobie gorącą kąpiel i weszła do wanny, powoli zanurzając się i czując ogarniającą ją falę ciepła. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest zmęczona. Miała wrażenie, że boli ją każdy mięsień. Zdecydowała, że w nagrodę zafunduje sobie dobry obiad w naprawdę dobrej restauracji, gdzie stoliki nakryte są obrusami i serwetkami. „Może będzie cicho grała muzyka - myślała Jennifer - poproszę o białe wino i...”

Marzenia Jennifer przerwał dźwięk dzwonka. Było to coś niezwykłego. Odkąd tu się wprowadziła dwa miesiące temu, nikt jej nie odwiedził. To mogła być tylko gburowata właścicielka w sprawie zaległego komornego. Jennifer leżała cicho, zbyt zmęczona, by się ruszyć, mając nadzieję, że kobieta odejdzie.

Ale dzwonenie rozległo się ponownie. Jennifer niechętnie wyszła z gorącej wody. Narzuciła płaszcz kąpielowy i podeszła do drzwi.

- Kto tam?

- Panna Jennifer Parker? - zapytał męski głos po drugiej stronie drzwi.

- Tak.

- Nazywam się Adam Warner. Jestem adwokatem. Jennifer, zaintrygowana, założyła łańcuch i uchyliła drzwi.

W korytarzu stał mężczyzna po trzydziestce, wysoki, barczysty, o blond włosach i badawczych szaroniebieskich oczach. Nosił okulary w rogowej oprawce i ubrany był w garnitur szyty na miarę, który musiał kosztować majątek.

- Czy mogę wejść?

Bandyci nie noszą szytych na miarę garniturów, butów od Gucciego i jedwabnych krawatów. Nie mają też szczupłych, delikatnych dłoni ze starannie utrzymanymi paznokciami.

- Chwileczkę.

Jennifer zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. Kiedy Adam Warner wszedł, obrzuciła swoje jednopokojowe mieszkanie szybkim spojrzeniem, wyobrażając sobie, że jest na miejscu swego gościa, i skrzywiła się. Wyglądał na człowieka przyzwyczajonego do większego komfortu.

- W czym mogę panu pomóc, panie Warner?

Jeszcze nie skończyła mówić, a już się domyśliła, w jakiej sprawie przyszedł i ogarnęło ją podniecenie. Chodziło na pewno o pracę, o którą tak długo się starała. Żałowała, że nie ma na sobie ładnej, ciemnoniebieskiej sukni, nie jest elegancko uczesana i...

- Panno Parker, jestem członkiem Komisji Dyscyplinarnej przy nowojorskim Stowarzyszeniu Adwokatów - powiedział Adam Warner. - Prokurator okręgowy Robert Di Silva i sędzia Lawrence Waldman wystąpili do Wydziału Apelacyjnego o rozpoczęcie procedury wykluczenia pani z szeregów adwokatów.

Kancelaria adwokacka „Needham, Finch, Pierce i Warner” znajdowała się na Wall Street 30 i zajmowała całe ostatnie piętro budynku. Zatrudniała stu dwudziestu pięciu prawników. Biuro urządzone było ze spokojną elegancją, stosowną dla instytucji reprezentującej największe firmy przemysłowe kraju.

Adam Warner i Stewart Needham dopełniali porannej ceremonii picia herbaty. Stewart Needham był wytwornym starszym panem po sześćdziesiątce. Nosił schludnie przystryżoną brodę, a ubrany był w tweedowy garnitur i kamizelkę. Wyglądał, jakby należał do poprzedniej ery, ale umysł miał w pełni dwudziestowieczny, o czym - ku swemu żalowi - przekonały się setki jego przeciwników. Był tytanem pracy, ale jego nazwisko było znane tylko w wąskich kręgach. Wolał pozostawać w cieniu i używać swoich ogromnych wpływów na kształtowanie wyników procesów sądowych, nominacje wyższych urzędników państwowych i politykę rządu. Pochodził z Nowej Anglii i z natury był małomówny.

Adam Warner poślubił siostrzenicę Needhama, Mary Beth, i był jego protegowanym. Ojciec Adama był szanowanym senatorem. Sam Adam był zdolnym prawnikiem. Kiedy z wyróżnieniem ukończył prawo na Harvardzie, otrzymał oferty od najbardziej prestiżowych firm w całym kraju. Wybrał „Needham, Finch i Pierce”, a po siedmiu latach został współnikiem. Pod względem fizycznym Adam był atrakcyjnym i czarującym mężczyzną, a przy tym osobą niezwykle inteligentną. Sprawiał wrażenie człowieka spokojnego i godnego zaufania, co wzbudzało zainteresowanie kobiet. Adam już od dawna miał opracowany system ostudzenia zapalów zbyt romantycznych klientek. Był żonaty z Mary Beth od czternastu lat i nie uznawał stosunków pozamałżeńskich.

- Jeszcze trochę herbaty, Adamie? - zapytał Stewart Needham.

- Nie, dziękuję - Adam Warner nienawidził herbaty i od ośmiu lat pił ją każdego ranka jedynie dlatego, by nie urazić uczuć swego współnika. Needham własnoręcznie ją przyrządzał i była okropna w smaku.

Stewart Needham miał do zakomunikowania dwie rzeczy i jak zwykle zaczął od przyjemniejszej.

- Spotkałem się wczoraj wieczorem z kilkoma przyjaciółmi - powiedział. „Kilku przyjaciół” oznaczało grupę największych maklerów w kraju. - Rozważają wysunięcie twojej osoby na urząd senatora Stanów Zjednoczonych, Adamie.

Adama ogarnęło uczucie podniecenia. Znając ostrożną naturę Stewarta Needhama, był pewien, że nie była to jedynie zdawkowa wymiana zdań, inaczej bowiem Needham nawet by o tym nie wspomniał.

- Oczywiście najważniejsze jest to, czy jesteś tym w ogóle zainteresowany. Pociągałoby to bowiem za sobą wielkie zmiany w twoim życiu.

Adam Warner zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby wygrał w wyborach, oznaczałoby to przeprowadzkę do Waszyngtonu, zaniechanie praktyki prawniczej, rozpoczęcie zupełnie nowego życia. Był pewien, że Mary Beth byłaby zachwycona, nie wiedział natomiast, czy jemu w równym stopniu by to odpowiadało. Ale był przyzwyczajony do przyjmowania tego typu wyzwań. Musiał również przyznać, że znajdował przyjemność w sprawowaniu władzy.

- Byłbym bardzo zainteresowany, Stewarcie. Stewart Needham kiwnął głową z zadowoleniem.

- Dobrze. Z pewnością ich to ucieszy.

Nalał sobie kolejną filiżankę wstrętnego napoju i od niechcienia poruszył drugą kwestię zaprzatającą mu umysł:

- Jest pewna drobna sprawa, którą Komisja Dyscyplinarna Stowarzyszenia

Adwokatów chciałaby powierzyć tobie, Adamie. Nie powinno ci to zająć więcej niż godzinę, dwie.

- Co to takiego?

- Dotyczy procesu Michaela Morettiego. Wygląda na to, że ktoś dotarł do jednej z młodych asystentek Bobby'ego Di Silvy i przekupił ją.

- Czytałem o tym. Sprawa kanarka.

- Właśnie. Sędzia Waldman i Bobby chcieliby, żeby jej nazwisko zostało skreślone z rejestrów naszej czcigodnej instytucji. Ja również. To dla nas wstyd.

- Co mam zrobić?

- Po prostu sprawdź ją, potwierdź, że ta Parker zachowała się nieetycznie czy niezgodnie z prawem i wydaj zalecenie rozpoczęcia procedury wykluczającej. Otrzyma zawiadomienie o wszczęciu procesu i resztę już sami załatwią. To zwykła rutyna.

Adama coś zaintrygowało.

- Ale dlaczego ja, Stewarcie? Mamy kilkunastu młodych prawników, którzy mogą się tym zająć.

- Nasz czcigodny prokurator okręgowy poprosił, żebyś właśnie ty to zrobił. Chce być pewny, że wszystko pójdzie sprawnie. Jak obaj wiemy - dodał oschle - Bobby nie należy do ludzi, którzy łatwo wybaczą. Chce sobie skórę tej Parker powiesić na ścianie we własnym pokoju.

Adam Warner siedział, myśląc o swym napiętym planie zajęć.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy będziemy potrzebowali czegoś od prokuratora okręgowego, Adamie. Coś za coś. Wszystko jest już ustalone.

- Zgoda, Stewarcie - Adam wstał.

- Na pewno nie chcesz jeszcze trochę herbaty?

- Nie, dziękuję. Była jak zwykle wspaniała.

Kiedy Adam Warner wrócił do swojego gabinetu, zadzwonił po jedną z asystentek, bystrą młodą Murzynkę, Lucindę.

- Cindy, przygotuj dla mnie pełną informację o adwokacie Jennifer Parker.

- Żółty kanarek - uśmiechnęła się szeroko Lucinda. Wszyscy o niej słyszeli.

Późnym popołudniem Adam Warner studiował stenogram z procesu sądowego przeciw Michaelowi Morettiemu. Robert Di Silva przysłał mu go przez gońca. Kiedy skończył lekturę, było grubo po północy. Poprosił Mary Beth, żeby poszła na przyjęcie bez niego, a dla siebie zamówił parę kanapek. Kiedy doszedł do końca sprawozdania, nie miał najmniejszych wątpliwości, że sąd orzekłby o winie Michaela Morettiego, gdyby nie

zrządzenie losu w osobie Jennifer Parker. Di Silva przygotował sprawę rzeczywiście bezbłędnie.

Następnie Adam zabrał się za stenogram przesłuchania, które odbyło się w gabinecie sędziego Waldmana.

DI SILYA: Jest pani absolwentką liceum?

PARKER: Tak.

DI SILVA: I absolwentką prawa?

PARKER: Tak.

DI SILVA: Nieznajomy wręcza pani pakunek i prosi o doręczenie go koronnemu świadkowi w procesie o morderstwo, a pani to robi? Czy nie uważa pani, że to bije wszelkie rekordy głupoty?

PARKER: To nie było tak.

DI SILVA: Przecież sama pani tak to opisała.

PARKER: Chodzi o to, że nie uważałam go za nieznajomego. Myślałam, że należy do pańskich pracowników.

DI SILYA: Co skłoniło panią do takiego wniosku?

PARKER: Mówiłam już. Widziałam, jak rozmawiał z panem, a następnie podszedł do mnie z tą kopertą, zwrócił się do mnie po nazwisku i powiedział, że prosi pan o doręczenie koperty świadkowi. To wszystko stało się tak szybko, że...

DI SILYA: Nie wydaje mi się, żeby to stało się aż tak szybko. Myślę, że zorganizowanie tego zajęło nieco czasu. Przecież przekazanie pani pieniędzy za doręczenie przesyłki musiało zająć nieco czasu.

PARKER: To nieprawda. Ja...

DI SILVA: Co jest nieprawdą? To, że nie wiedziała pani, że doręcza pani kopertę?

PARKER: Nie wiedziałam, co w niej było.

DI SILVA: Czyli to prawda, że ktoś pani zapłacił.

PARKER: Nie pozwolę się łapać za słówka. Nikt mi za nic nie zapłacił.

DI SILVA: Zrobiła to pani przez życzliwość?

PARKER: Nie. Myślałam, że wykonuję pana polecenie.

DI SILYA: Powiedziała pani, że ten człowiek zwrócił się do pani po nazwisku?

PARKER: Tak.

DI SILVA: Skąd mógł znać pani nazwisko?

PARKER: Nie wiem.

DI SILYA: Proszę dać spokój. Musiała się pani przecież nad tym zastanawiać. A

może komuś udało się zgadnąć? Może rozejrzał się po sali i powiedział sobie: Ona wygląda tak, jakby nazywała się Jennifer Parker. Czy myśli pani, że tak właśnie było?

PARKER: Mówiłam już, że nie wiem.

DI SILVA: Jak długo pani i Michael Moretti byliście kochankami?

PARKER: Panie Di Silva, już o tym mówiliśmy. Przesłuchuje mnie pan już pięć godzin. Jestem zmęczona. Nie mam nic więcej do dodania'. Czy mogę odejść?

DI SILVA: Jeżeli ruszy się pani z tego krzesła, każę panią aresztować. Wpakowała się pani w ładną kabałę, panno Parker. Jest tylko jeden sposób wybrnięcia z tej sytuacji: proszę przestać kłamać i powiedzieć prawdę.

PARKER: Powiedziałam prawdę. Powiedziałam wszystko, co wiem.

DI SILVA: Z wyjątkiem nazwiska człowieka, który wręczył pani kopertę. Chcę znać jego nazwisko i wiedzieć, ile pani zapłacił.

Stenogram liczył ponad trzydzieści stron. Robert Di Silva użył wszelkich metod z wyjątkiem bicia Jennifer gumowym wężem, ale ona wciąż trzymała się swojej wersji.

Adam zamknął stenogram i przetarł zmęczone oczy. Była druga nad ranem.

Jutro zakończy sprawę Jennifer Parker.

Ku zdumieniu Adama Warnera nie było tak łatwo zakończyć sprawę Jennifer Parker. Ponieważ Adam był człowiekiem metodycznym, sprawdził przeszłość Jennifer Parker. Tak daleko, na ile był w stanie ustalić, nie miała powiązań ze światem przestępczym, nie było również niczego, co mogłoby świadczyć o jej związku z Michałem Morettim.

Było coś w tej sprawie, co nie dawało mu spokoju. To, co Jennifer Parker mówiła na swoją obronę, było niezwykle błahe. Gdyby pracowała dla Morettiego, wymyśliłby dla niej bardziej prawdopodobnie brzmiące wytłumaczenie. Tymczasem jej zeznania były tak szczerze, że sprawiały wrażenie prawdziwych.

W południe do Adama zadzwonił prokurator okręgowy.

- Jak leci, Adamie?

- Świetnie, dziękuję.

- O ile wiem, przygotowujesz płomienne oskarżenie przeciwko Jennifer Parker.

Słyszając takie sformułowanie, Adam Warner skrzywił się.

- Zgodziłem się przygotować opinię na jej temat.

- Chcę się tej Parker pozbyć na długo. - Nienawiść brzmiąca w głosie prokuratora okręgowego zaskoczyła Adama.

- Spokojnie, Robercie. Nie została jeszcze skreślona z listy adwokatów.

Di Silva zachichotał.

- Zostawiam to tobie, przyjacielu. - Ton jego głosu zmienił się. - Doszły mnie słuchy, że wkrótce przenosisz się do Waszyngtonu. Wiedz, że możesz w pełni liczyć na moje poparcie.

Adam Warner zdawał sobie sprawę z tego, że miało ono niemałe znaczenie. Prokurator okręgowy rzeczywiście dużo mógł:

wiedział, co w trawie piszczy, i potrafił maksymalnie wykorzystać swoje informacje.

- Dziękuję, Robercie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Czekam na twój telefon. W sprawie Jennifer Parker. To było właśnie to wspomniane przez Stewarta Needhama „coś za coś”, z dziewczyną w charakterze argumentu przetargowego. Adam Warner przypomniał sobie słowa Roberta Di Silvy: „Chcę się tej Parker pozbyć na długo”. Z lektury stenogramu Adam wywnioskował, że nie było niezbitych dowodów przeciwko Jennifer Parker. Jeżeli się sama nie przyzna lub jeżeli ktoś nie dostarczy informacji, które dowiodłyby jej współudziału w przestępstwie, Di Silva nie mógł nic dziewczynie zrobić. Liczył, że dzięki Adamowi będzie mógł się na niej zemścić.

Zimne, oschłe słowa stenogramu były jednoznaczne, a mimo to Adam żałował, że nie słyszał tonu głosu Jennifer Parker, gdy zaprzeczała swojej winie.

Uwagę Adama pochłaniały pilne sprawy, poważne procesy dotyczące ważnych klientów. Najprościej byłoby postąpić tak, jak sugerowali Stewart Needham, sędzia Lawrence Waldman i Robert Di Silva, ale coś sprawiało, że Adam Warner wahał się. Znowu wziął teczkę Jennifer Parker, zrobił pospiesznie jakieś notatki i zaczął serię rozmów międzymiastowych.

Adam osobiście odpowiadał za opinię, którą wyda, i zamierzał przygotować ją najlepiej, jak tylko potrafił. Zbyt dobrze pamiętał długie, męczące lata studiów i to, ile ciężkiej pracy wymagało uzyskanie tytułu adwokata i wpisu do rejestru. Takie wyróżnienie otrzymywało się po wielu latach i nie był skłonny kogokolwiek go pozbawiać, o ile nie miał pewności, że było to w pełni uzasadnione.

Następnego dnia Adam Warner poleciał do Seattle. Spotkał się z profesorami Jennifer Parker, z dyrektorem kancelarii adwokackiej, w której pracowała podczas wakacji, i z kilkoma kolegami Jennifer z roku.

Stewart Needham zadzwonił do Adama do Seattle.

- Cóż ty tam robisz, Adamie? Przecież czeka tu na ciebie mnóstwo spraw. Z tą Jennifer Parker powinieneś załatwić się w mig.

- Wyniknęło kilka nowych okoliczności - ostrożnie powiedział Adam. - Wrócę jutro,

najdalej pojutrze, Stewarcie.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Ach, tak. W każdym razie nie traćmy na nią więcej czasu, niż to niezbędne.

Zanim Adam Warner opuścił Seattle, miał uczucie, że zna Jennifer Parker prawie tak dobrze jak ona. Na podstawie rozmów z profesorami, kolegami ze studiów, właścicielką mieszkania i członkami firmy, w której pracowała, stworzył sobie w głowie jej portret, rysunek pamięciowy jej psychiki. Obraz, który uzyskał, zupełnie nie przypominał tego, co mu opisywał Robert Di Silva. O ile Jennifer nie była najlepszą aktorką wszechczasów, w żaden sposób nie mogła być zamieszana w spisek, mający na celu uwolnienie kogoś takiego jak Michael Moretti.

I oto teraz, prawie dwa tygodnie po porannej rozmowie, którą odbył ze Stewartem Needhamem, Adam Warner stanął twarzą w twarz z dziewczyną, której przeszłość tak dobrze poznał. Adam widział zdjęcia Jennifer w prasie, ale mimo to nie był przygotowany na wrażenie, które sprawiała przy bezpośrednim kontakcie. Nawet w starym płaszczu kąpielowym, bez makijażu, z włosami wilgotnymi od kąpieli, zapierała dech w piersi.

- Panno Parker - powiedział Adam - zostałem wyznaczony do zbadania pani roli w procesie Michaela Morettiego.

- Ach, tak! - Jennifer poczuła wzbierającą złość, początkowo przypominającą iskierkę, która szybko przekształciła się w płomień ogarniający całe jej ciało. A więc jeszcze z nią nie skończyli. Chcieli, żeby płaciła za ten błąd przez resztę swojego życia. Miała tego dosyć.

Jennifer zaczęła mówić drżącym głosem.

- Nie mam panu nic do powiedzenia! Niech pan wraca i powie im, co chce. Zrobiłam głupstwo, ale o ile wiem, głupota nie jest karalna. Prokurator okręgowy myśli, że ktoś mnie przekupił. - Pogardliwie machnęła ręką. - Jeżeli miałabym jakieś pieniądze, to myśli pan, że mieszkałabym w takiej norze? - Głos jej się załamał. - Nie... nie obchodzi mnie, co zrobicie. Chcę tylko, żebyście dali mi wreszcie spokój. A teraz proszę już stąd iść!

Odwróciła się i wbiegła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi.

Stała nad umywalką, głęboko wciągając powietrze i ocierając łzy napływające do oczu. Wiedziała, że zachowała się niemądrze. „To już drugi raz” - pomyślała z ironią. Powinna potraktować Adama Warnera inaczej. Powinna spróbować wyjaśnić mu wszystko, zamiast go atakować. Być może wtedy nie zostałaby skreślona z listy adwokatów. Ale wiedziała, że to były tylko pobożne życzenia. Przesłanie kogoś, aby ją przesłuchać, było jedynie formalnością. Następnym krokiem będzie wręczenie jej wezwania na rozprawę i

machina zostanie wprowadzona w ruch. Powołany zostanie zespół, złożony z trzech adwokatów, który przedstawi swoją opinię komisji dyscyplinarnej, a ta z kolei wystąpi z wnioskiem do Rady Gubernatorów. Wynik będzie z góry przesądzony: wykluczenie z grona adwokatów. Nie wolno jej będzie prowadzić praktyki na terenie stanu Nowy Jork. „Cała sprawa ma tylko jedną pozytywną stronę - Jennifer pomyślała gorzko - mam szansę znaleźć się w Księżce Rekordów Guinnessa jako osoba o najkrótszej karierze prawniczej na świecie”.

Weszła z powrotem do wanny i położyła się, pozwalając wciąż jeszcze ciepłej wodzie ogarnąć jej ciało i rozładować wewnętrzne napięcie. Była teraz zbyt zmęczona, aby przejmować się tym, co się z nią stanie. Zamknęła oczy i przestała myśleć. Zdrzemnęła się. Obudził ją dopiero chłód wody. Nie miała pojęcia, jak długo leżała w wannie. Niechętnie wyszła z wody i zaczęła się wycierać. Nie czuła już głodu. Rozmowa z Adamem Warnerem odebrała jej apetyt.

Jennifer rozczesała włosy, posmarowała twarz kremem i zdecydowała, że pójdzie spać bez kolacji. Rano zadzwoni w sprawie wyjazdu do Seattle. Otworzyła drzwi łazienki i weszła do pokoju.

Adam Warner siedział w fotelu i przeglądał jakiś magazyn. Na odgłos kroków uniósł głowę i ujrzał nagą Jennifer.

- Przepraszam - wyjąkał - ja...

Jennifer krzyknęła przerażona i uciekła do łazienki. Zrzuciła płaszcz kąpielowy i, wściekła, wróciła do pokoju, by stawić czoło Adamowi.

- Śledztwo skończone. Prosiłam przecież, żeby pan opuścił to mieszkanie.

Adam odłożył czasopismo i powiedział cicho:

- Panno Parker, czy moglibyśmy przez chwilę spokojnie porozmawiać?

- Nie! - Gniew, który tłumiała w sobie, rozgorzał ze zdwojoną siłą. - Nie mam nic więcej do powiedzenia ani panu, ani tej cholernej komisji dyscyplinarnej. Mam dosyć traktowania mnie, jakbym... jakbym była jakimś przestępcą!

- Czy powiedziałem, że jest pani przestępcą? - spokojnie zapytał Adam.

- Czy... czy nie po to pan tu jest?

- Wyjaśniłem, dlaczego tu przyszedłem. Jestem upoważniony do zbadania tej sprawy i wydania opinii za lub przeciw wszczęciu procedury wykluczającej panią z rejestru. Chciałbym poznać pani zdanie o całym tym wydarzeniu.

- Rozumiem. A jak można pana przekupić? Twarz Adama stężała.

- Pani wybaczy, panno Parker. - Wstał i skierował się w stronę drzwi.

- Chwileczkę! - krzyknęła. Adam odwrócił się.

- To ja przepraszam - powiedziała. - Ja... w każdym widzę wroga. Proszę mi wybaczyć.

- Przyjmuję pani przeprosiny.

Jennifer nagle zdała sobie sprawę ze swego niezbyt odpowiedniego stroju.

- Jeżeli w dalszym ciągu chce mi pan zadać parę pytań, przebiore się i możemy porozmawiać.

- Dobrze. Czy jadła pani już kolację?

- Ja... - Jennifer zawahała się.

- Znam małą francuską restaurację, która wspaniale nadaje się jako miejsce do przeprowadzenia przesłuchania.

Było to ciche, urocze bistro przy 56. Ulicy na East Side.

- Niewielu ludzi wie o tym lokalu - powiedział Adam Warner, gdy już usiedli. - Jego właścicielami jest para młodych Francuzów, która pracowała w „Les Pyrenees”. Serwują tu wspaniałe jedzenie.

Jennifer musiała uwierzyć Adamowi na słowo. Nie była w stanie czegokolwiek skosztować. Wprawdzie przez cały dzień nic nie jadła, ale była tak zdenerwowana, że nie mogła niczego przełknąć. Próbowala się odprężyć, ale nie potrafiła. Bez względu na to, jak bardzo chciał uchodzić za kogoś innego, ten czarujący mężczyzna siedzący naprzeciw niej był wrogiem. Chociaż Jennifer musiała przyznać, że był naprawdę czarujący. W innych okolicznościach Jennifer świetnie by się bawiła w towarzystwie tego atrakcyjnego i o ujmującym sposobie bycia mężczyzny. Cała jej przyszłość spoczywała w rękach tego nieznanego. Następna godzina czy dwie zadecydują o tym, w jakim kierunku potoczy się jej dalsze życie.

Adam dokładał wszelkich starań, próbując zmniejszyć zdenerwowanie Jennifer. Właśnie niedawno wrócił z Japonii, gdzie spotykał się z wysokimi urzędnikami państwowymi. Na jego cześć wydano specjalny bankiet.

- Czy jadła pani kiedykolwiek mrówki w czekoladzie? - spytał Adam.

- Nie. Uśmiechnął się szeroko.

- Są lepsze niż koniki polne w czekoladzie. Opowiadał o wyprawie myśliwskiej na Alaskę, w której uczestniczył w ubiegłym roku i podczas której zaatakował go niedźwiedź. Mówił o wszystkim z wyjątkiem tego, w jakim celu tu się spotkali.

Cały ten czas Jennifer zbierała odwagę na moment, kiedy Adam zacznie ją odpytywać, a mimo to, gdy w końcu powrócił do zasadniczego tematu, cała zeszywniała.

Skończył deser i spokojnym głosem powiedział:

- Chciałbym pani zadać parę pytań, ale proszę się nie denerwować, dobrze?

Coś ścisnęło ją za gardło. Nie była pewna, czy będzie w stanie w ogóle cokolwiek powiedzieć. Skinęła głową.

- Chcę, żeby powiedziała mi pani dokładnie, co tego dnia zaszło w sali rozpraw. Wszystko, co pani pamięta, wszystko, co pani czuła. I proszę się nie spieszyć.

Jennifer była usposobiona buntowniczo, gotowa powiedzieć mu, żeby robił, co chce. Ale gdy tak siedziała naprzeciwko Adama i słuchała jego spokojnego głosu, jej wewnętrzna złość gdzieś zniknęła. Całe wydarzenie widziała wciąż tak żywo przed oczami, że sama myśl o nim sprawiała jej ból. Przez ponad miesiąc próbowała o tym wszystkim zapomnieć. Teraz prosił ją, by znowu do tego powróciła.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała drżącym głosem:

- Dobrze.

Zaczęła relacjonować wypadki w sali rozpraw, początkowo zacinając się, a potem, w miarę jak wspomnienia odżywały, coraz płynniej. Adam siedział bez słowa, uważnie słuchając i zarazem ją obserwując.

Kiedy skończyła, powiedział:

- Czy mężczyzna, który wręczył pani kopertę, był w biurze prokuratora okręgowego rano, kiedy odbywała się uroczystość zaprzysiężenia?

- Zastanawiałam się nad tym, ale szczerze mówiąc, nie pamiętam. Tego dnia w prokuraturze było bardzo dużo osób, a żadnej z nich wcześniej nie znałam.

- A czy kiedykolwiek wcześniej spotkała pani tego człowieka?

Jennifer bezradnie potrząsnęła głową.

- Nie przypominam sobie, ale nie sądzę, żebym kiedyś z nim się zetknęła.

- Powiedziała pani, że widziała, jak rozmawiał z prokuratorem okręgowym tuż przed tym, zanim podszedł do pani, aby wręczyć kopertę. Czy zauważyła pani, jak prokurator okręgowy dawał mu kopertę?

- Ja... nie.

- Czy widziała pani tego mężczyznę rzeczywiście rozmawiającego z prokuratorem okręgowym, czy może jedynie stał w grupie otaczających go osób?

Jennifer zamknęła na chwilę oczy, próbując przypomnieć sobie ten moment.

- Przykro mi, ale panowało takie zamieszanie, że... że po prostu nie wiem.

- Jak pani myśli, skąd mógł znać pani nazwisko?

- Nie mam pojęcia.

- A czemu wybrał właśnie panią?

- To chyba jasne. Na pierwszy rzut oka poznał, jaka ze mnie idiotka - potrząsnęła głową. - Przykro mi, panie Warner, ale naprawdę nie wiem.

- Do tego procesu przywiązywano dużą wagę - powiedział Adam. - Di Silva poświęcił mnóstwo czasu sprawie Michaela Morettiego. Gdyby nie pani, odniósłby pełny sukces. Dlatego prokurator okręgowy nie jest z pani zadowolony.

- Ja też nie jestem z siebie zadowolona. - Jennifer nie mogła żywić pretensji do Adama Warnera o to, co miał zamiar zrobić. Po prostu wykonywał swoje obowiązki. Postanowili ją załatwić i udało im się to. Adam Warner nie był winny, był jedynie narzędziem w ich ręku.

Jennifer poczuła nagłą, przejmującą ochotę, by zostać sama. Nie chciała, by ktokolwiek widział, jak cierpi.

- Przepraszam - powiedziała - nie... nie czuję się najlepiej. Chciałabym już iść do domu.

Adam obserwował ją przez chwilę.

- Czy poczuje się pani lepiej, jeżeli powiem, że mam zamiar wydać opinię przeciwko wszczynaniu wobec pani procedury skreślenia z listy adwokatów?

Dopiero po paru sekundach do Jennifer dotarło znaczenie tego, co przed chwilą usłyszała. Siedziała, gapiąc się na Adama, bez słowa, badawczo przypatrując się jego twarzy i szaroniebieskim oczom, ukrytym za okularami w rogowej oprawce.

- Czy... czy pan mówi poważnie?

- Wykonywanie zawodu adwokata jest dla pani bardzo ważne, prawda? - spytał Adam.

Jennifer pomyślała o swym ojcu i jego małej kancelarii adwokackiej, o rozmowach, które prowadzili, o długich latach studiów, o swoich nadziejach i marzeniach. „Będziemy współnikami. Postaraj się jak najszybciej zdobyć ten dyplom prawnika”.

- Tak - szepnęła Jennifer.

- Jeżeli uda się pani przebrnąć przez ten trudny początek, czuję, że będzie pani bardzo dobra.

Jennifer uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dziękuję. Postaram się.

Jeszcze raz powtórzyła w myśli te słowa: „Postaram się!” Nie miało znaczenia, że dzieliła małe, obskurne biuro z nędznie odzianym detektywem i człowiekiem, który odyskiwał samochody. To była prawdziwa kancelaria adwokacka, a Jennifer należała do grona prawników i nie zamierzano jej zabronić prowadzenia praktyki. Przepelniało ją uczucie

triumfu. Spojrzała na Adama i wiedziała, że nigdy nie spłaci zaciągniętego wobec niego długu.

Kelner zaczął uprzątać ze stołu półmiski. Jennifer chciała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się ni to śmiech, ni to łkanie.

- Panie Warner...

- Myślę, że po tym wszystkim powinnaś mi mówić Adam - powiedział poważnie.

- Adamie...

- Tak?

- Mam nadzieję, że to nie zniszczy naszej znajomości, ale... - Jennifer jęknęła - wprost umieram z głodu!

Kilka następnych tygodni minęło jak z bicza strzelił. Jennifer była zajęta od wczesnego rana do późnego wieczora doręczaniem wezwań - sądowych nakazów stawienia na rozprawę lub wystąpienia w charakterze świadka. Wiedziała, że nie ma najmniejszej szansy dostania się do większej firmy adwokackiej, bo żadna kancelaria nie zatrudni jej po aferze, w którą została wplątana. Aby móc zacząć wszystko od początku, musiała znaleźć jakiś sposób na zdobycie dobrej reputacji, nie korzystając z niczyjej pomocy.

A na razie na jej biurku piętrzyły się stosy wezwań i nakazów z „Peabody and Peabody”. Może nie była to praktyka prawnicza w całym tego słowa znaczeniu, ale dawała jej dwanaście pięćdziesiąt plus zwrot kosztów.

Od czasu do czasu, gdy Jennifer pracowała dłużej, Ken Bailey zapraszał ją na obiad. Sprawiał wrażenie cynika, ale Jennifer była pewna, że to tylko poza. Czuła, że dokucza mu samotność. Skończył Brown University, był inteligentny i odcytany. Nie miała pojęcia, czemu marnuje swoje życie pracując w tym ponurym biurze, próbując lokalizować zbiegłych małżonków. Wyglądało na to, że pogodził się ze swoim losem i bał się nawet marzyć o sukcesie.

Raz, gdy Jennifer poruszyła temat jego małżeństwa, burknął, że to nie jej interes, i od tej pory Jennifer nigdy już o tym nie wspominała.

Otto Wenzel był zupełnie inny. Ten niski i brzuchaty człowieczek był bardzo szczęśliwym małżonkiem. Traktował Jennifer jak córkę i ciągle przynosił jej rozmaite zupy i ciasteczka, przygotowywane przez jego żonę. Na nieszczęście żona Wenzela była okropną kucharką i Jennifer, żeby nie urazić Otto Wenzela, zmuszała się do jedzenia wszystkiego, co jej przynosił. Pewnego piątkowego popołudnia Jennifer została zaproszona do Wenzelów na obiad. Pani Wenzel przygotowała kapustę faszerowaną - swoją specjalność. Kapusta była rozgotowana, za to ryż niedogotowany, a mięso w środku twarde. Całość pływała w tłuszczu.

Jennifer odważnie zabrała się do jedzenia, nabierając do ust po małym kawałku, a resztę rozgarniając po całym talerzu, żeby wyglądało na to, że je.

- Jak ci smakuje? - zapytała rozpromieniona pani Wenzel.

- To... to moja ulubiona potrawa.

Od tej pory co piątek Jennifer zapraszana była do Wenzelów na obiad, a pani Wenzel zawsze przygotowywała „ulubioną potrawę” Jennifer.

Pewnego ranka do Jennifer zadzwoniła osobista sekretarka młodego pana Peabody.

- Pan Peabody chciałby spotkać się z panią dzisiaj o jedenastej. Proszę się nie spóźnić.

- Dobrze, proszę pani.

Dotychczas Jennifer miała do czynienia jedynie z sekretarkami i niższymi urzędnikami biura „Peabody”. Była to duża firma, ciesząca się znacznym prestiżem, taka, o pracy w której marzył każdy młody prawnik. Idąc na spotkanie Jennifer zaczęła puszczać wodze fantazji. Jeżeli chciał ją widzieć sam pan Peabody, musiało to być coś ważnego. Może otworzyły mu się oczy i zamierzał zaproponować jej pracę w charakterze prawnika, dać jej szansę wykazania się swoimi umiejętnościami? Wszystkim im sprawi niespodziankę. Pewnego dnia może nawet świat usłyszy o firmie „Peabody, Peabody i Parker”.

Jennifer spędziła trzydzieści minut w korytarzu pod drzwiami biura i punktualnie o jedenastej weszła do recepcji. Nie chciała pokazać po sobie, jak bardzo zależy jej na tym spotkaniu. Zanim w końcu została wpuszczona do gabinetu pana Peabody juniora, kazano jej czekać jeszcze dwie godziny. Peabody był wysokim, szczupłym mężczyzną, miał na sobie garnitur z kamizelką i buty, zrobione specjalnie dla niego w Londynie.

Nie poprosił jej, by usiadła.

- Panno Potter... - Miał nieprzyjemny, piskliwy głos.

- Parker.

Wziął z biurka jakiś dokument.

- To jest wezwanie sądowe. Chciałbym, aby je pani doręczyła. W tej chwili Jennifer wyczuła, że chyba jednak nie zostanie pracownikiem firmy.

Pan Peabody junior wręczył jej dokument i powiedział:

- Zapłata wyniesie pięćset dolarów. Jennifer była pewna, że się przesłyszała.

- Powiedział pan pięćset dolarów?

- Zgadza się. Oczywiście, jeżeli uda się pani doręczyć wezwanie.

- Ach, więc są jakieś problemy - domyśliła się Jennifer.

- Tak - potwierdził pan Peabody. - Już od ponad roku próbujemy je doręczyć.

Adresatem jest William Carlisle. Ma posiadłość na Long Island i nigdy nie opuszcza domu. Mówiąc szczerze, chyba z tuzin osób próbowało mu wręczyć ten nakaz. Ma lokaja - goryla, który nikogo nie wpuszcza.

- Nie wiem, jak ja... - zaczęła Jennifer.

Pan Peabody pochylił się do przodu.

- W grę wchodzi wielkie pieniądze. Ale nie mogę zmusić Williama Carlisle'a do stawienia się przed sądem, dopóki nie doręcę mu wezwania, panno Potter. - Jennifer nie poprawiła go. - Czy sądzi pani, że podoba pani temu zadaniu?

Jennifer pomyślała, co zrobiłaby z pięciuset dolarami.

- Postaram się znaleźć jakiś sposób.

Jeszcze tego samego dnia, o drugiej po południu, Jennifer znalazła się przed imponującą posiadłością Williama Carlisle'a. Sam dom był w stylu georgiańskim, a wokół niego rozciągał się piękny, dziesięcioakrowy, zadbane park. Do otoczonego strzelistymi jodłami domu prowadziła kręta droga. Jennifer spędziła dużo czasu, rozmyślając nad możliwościami wykonania powierzonego zadania. Ponieważ dostanie się do domu było raczej mało prawdopodobne, jedynym wyjściem było znalezienie sposobu, by skłonić pana Williama Carlisle'a do opuszczenia swej siedziby.

Nie opodal stał samochód przedsiębiorstwa ogrodniczego. Jennifer obserwowała przez moment ciężarówkę, a następnie skierowała się w jej stronę, wypatrując ogrodników. Było ich trzech, sami Japończycy.

Jennifer podeszła do mężczyzn.

- Który z panów jest tu szefem?

- Ja - powiedział, prostując się, jeden z nich.

- Jest pewna rzecz do zrobienia... - zaczęła Jennifer.

- Przykro nam, ale jesteśmy bardzo zajęci.

- Zajmie wam to tylko pięć minut.

- Niestety, to absolutnie nie wchodzi w grę...

- Płacę sto dolarów.

Trójka mężczyzn spojrzała na nią, a kierownik grupy zapytał:

- Płaci pani sto dolarów za pięć minut pracy?

- Zgadza się.

- Co mamy zrobić?

Chwilę później ciężarówka z ogrodnikami wjechała na drogę prowadzącą do domu Williama Carlisle'a. Jennifer i trzech mężczyźni wysiedli. Dziewczyna rozejrzała się, wybrała

piękną jodłę tuż obok drzwi wejściowych i powiedziała do ogrodników:

- Wykopcie ją.

Mężczyźni zdjęli z ciężarówki łopaty i przystąpili do pracy. Nie minęła minuta, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i ukazał się w nich jakiś olbrzym w stroju lokaja.

- Co wy tu, do diabła, robicie?

- Jesteśmy z przedsiębiorstwa ogrodniczego z Long Island - powiedziała szorstkim tonem Jennifer. - Mamy wykopać wszystkie te drzewa.

Lokaj spojrzał na nią osłupiały.

- Co takiego?

Jennifer wyciągnęła kawałek papieru.

- Oto polecenie wykopania tych jodeł.

- To niemożliwe! Pan Carlisle dostanie zawału! - Odwrócił się w stronę ogrodników.

- Przestańcie!

- Proszę pana - powiedziała Jennifer - robimy jedynie to, co nam zlecono. - Spojrzała na ogrodników. - Kopcie, chłopcy.

- Nie! - krzyknął lokaj. - Mówię wam, że to jakaś pomyłka! Pan Carlisle nie zlecał usuwania żadnych drzew.

Jennifer wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Widocznie zlecał, skoro szef nas tu przysłał.

- Jak mogę się skontaktować z pani szefem? Jennifer spojrzała na zegarek.

- Nadzoruje teraz prace na Brooklynie. Z powrotem w biurze powinien być koło szóstej.

Lokaj popatrzył na nią z wściekłością.

- Chwileczkę! Nic nie róbcie, dopóki nie wrócę.

- Kopcie - poleciła Jennifer ogrodnikom.

Lokaj odwrócił się i pospieszył do domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Po kilku chwilach drzwi ponownie otworzyły się i zjawił się w nich znajomy lokaj w towarzystwie drobnego mężczyzny w średnim wieku.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje?

- A co to pana obchodzi? - zapytała Jennifer.

- Powiem pani, czemu mnie to obchodzi - wysapał. - Nazywam się William Carlisle i tak się składa, że to akurat moja posiadłość.

- W takim razie, panie Carlisle - powiedziała Jennifer - mam coś dla pana.

Sięgnęła do kieszeni i wsunęła mu do ręki wezwanie. Następnie zwróciła się do

ogrodników:

- Możecie już przestać kopać.

Następnego dnia z samego rana zadzwonił Adam Warner. Jennifer od razu rozpoznała jego głos.

- Myślę, że zapewne zainteresuje cię wiadomość - powiedział Adam - że oficjalnie zaniechano procedury skreślenia cię z listy adwokatów. Nie musisz się już tym martwić.

Jennifer zamknęła oczy i wypowiedziała w myśli modlitwę dziękczynną.

- Nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś.

- Sprawiedliwość nie zawsze jest ślepa.

Adam nie wspomniał o awanturze ze Stewartem Needhamem i Robertem Di Silvą. Needham był rozczarowany, ale filozoficznie podszedł do całej sprawy.

Natomiast prokurator okręgowy zachował się jak rozjuszony byk.

- Chcesz to puścić płazem tej dziwce? Do diabła, Adamie, przecież to mafia! Czy ty tego nie widzisz? Przecież ona cię oszukała.

W kółko i w kółko to samo, aż wreszcie Adam miał tego dość.

- Nie mieliśmy przeciwko niej żadnych dowodów, Robercie. Była jedynie o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu i dała się złapać w pułapkę. Według mnie to nie jest równoznaczne z przynależnością do mafii.

W końcu Robert Di Silva powiedział:

- Dobra, czyli ciągle jest prawnikiem. Modlę się do Boga, żeby prowadziła praktykę w Nowym Jorku, ponieważ jak tylko jej noga postanie w którymkolwiek z tutejszych sądów, zniszczą ją.

Teraz, rozmawiając z Jennifer, Adam o tym nie wspominał. Jennifer przysporzyła sobie śmiertelnego wroga, ale nic już na to nie można było poradzić. Robert Di Silva był mściwym człowiekiem, a Jennifer - łatwym celem. Była mądra, miała idealistyczny stosunek do świata, a poza tym - była strasznie młoda i... piękna.

Były takie dni, tygodnie i miesiące, kiedy Jennifer miała chęć się poddać. Napis na drzwiach biura wciąż głosił: Jennifer Parker, adwokat, ale nikt w to nie wierzył, a już najmniej Jennifer. Nie prowadziła praktyki. Dni miały jej na doręczaniu wezwań sądowych ludziom, którzy jej za to nienawidzili. Od czasu do czasu przyjmowała sprawy pro bono, pomagając starszym ludziom uzyskać bony żywnościowe lub rozwiązując różne problemy prawne Murzynów, Puertorykańczyków i innych upośledzonych mieszkańców getta. Ale czuła się jak w potrzasku.

Noce były jeszcze gorsze od dni. Wydawały się nie mieć końca, bo Jennifer cierpiała

na bezsenność. Gdy wreszcie usypiała, jej sny wypełniały demony. A zaczęło się to wszystko od dnia, kiedy jej matka opuściła ją i jej ojca; od tamtej pory Jennifer nie była w stanie pozbyć się tego czegoś, co sprowadzało na nią nocami koszmary.

Poza tym dokuczała jej samotność. Od czasu do czasu umawiała się z młodymi prawnikami, ale spotkania te kończyły się nieuchronnie porównywaniem ich z Adamem Warnerem i wszyscy z nim przegrywali. Były więc zaproszenia na kolacje, do kina lub teatru, kończące się mocowaniem przed drzwiami jej mieszkania. Jennifer nigdy nie była pewna, czy oczekiwali, że pójdzie z nimi do łóżka, ponieważ postawili jej kolację, czy też dlatego, że musieli wdrapać się po stromych schodach na czwarte piętro. Były chwile, gdy miała ochotę powiedzieć „tak” jedynie po to, by mieć w nocy kogoś przy sobie, kogoś, z kim mogłaby podzielić się sobą, kogoś, do kogo mogłaby się przytulić. Ale potrzebowała w swoim łóżku czegoś więcej niż ciepłego ciała, potrzebowała kogoś, komu by na niej zależało i na kim zależałoby także jej.

Najbardziej interesujący mężczyźni, którzy składali jej propozycje, byli żonaci; Jennifer stanowczo odmawiała spotkań z nimi. Pamiętała zdanie z cudownego filmu Billy'ego Wildera „Garsoniera”: „Kiedy jesteś zakochana w żonatym mężczyźnie, nigdy nie maluj oczu”. Matka Jennifer zniszczyła swoje małżeństwo, zabiła ojca Jennifer. Nigdy o tym nie zapomni.

Nadeszło Boże Narodzenie, a po nim Nowy Rok. Jennifer spędziła je samotnie. Spadło takie mnóstwo śniegu, że miasto wyglądało jak gigantyczna kartka świąteczna. Jennifer chodziła ulicami, obserwując przechodniów, spieszących do swych przytulnych domów, w których czekali na nich bliscy. Dokuczało jej uczucie pustki i bardzo brakowało jej ojca. Była szczęśliwa, gdy święta wreszcie minęły. „Rok 1970 musi być dla mnie lepszy” - powiedziała sobie.

Kiedy Jennifer przeżywała najtrudniejsze chwile, podtrzymywał ją na duchu Ken Bailey. Zabierał ją wtedy do Madison Square Garden na mecze Rangersów, do dyskoteki albo do kina czy teatru. Jennifer wiedziała, że czuł do niej sympatię, a mimo to zachowywał między nimi dystans.

W marcu Otto Wenzel zdecydował się przenieść razem z żoną na Florydę.

- Moje kości są już za stare na te nowojorskie zimy - zażartował.
- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała zupełnie szczerze Jennifer. Bardzo go polubiła.

- Opiekuj się Kenem.

Jennifer spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie powiedział ci, prawda?

- Czego?

Zawahał się, a potem rzekł:

- Jego żona popełniła samobójstwo. Czuje się temu winny. ' Jennifer była wstrząśnięta.

- To straszne! Dlaczego to zrobiła?

- Przyłapała Kena w łóżku z młodym blondynem.

- O, mój Boże!

- Strzeliła najpierw do Kena, a potem do siebie. On przeżył, ale ona, niestety, nie.

- To okropne! Nie miałam pojęcia, że... że...

- Wiem. Jest zawsze uśmiechnięty, ale nosi w sobie piekło.

- Dziękuję, że mi powiedziałeś.

Kiedy Jennifer wróciła do biura, Ken powiedział:

- A więc stary Otto nas opuszcza.

- Tak.

Ken Bailey uśmiechnął się.

- Coś mi się widzi, że zostaliśmy teraz - ty i ja - sami przeciwko reszcie świata.

- Chyba tak.

„W pewnym sensie - pomyślała Jennifer - to prawda”.

Jennifer patrzyła teraz na Kena zupełnie inaczej. Wciąż jadali razem obiady i kolacje i Jennifer nie mogła w nim wyczuć najmniejszego śladu skłonności homoseksualnych, ale wiedziała, że Otto Wenzel mówił prawdę: Ken Bailey nosił w sobie swoje własne prywatne piekło.

Wreszcie do Jennifer zaczęli przychodzić klienci. Byli na ogół nędznie ubrani, onieśmieleni, a w paru przypadkach zupełnie zwariowani.

Przychodziły do niej prostytutki w sprawie kaucji i Jennifer była zdumiona, że niektóre z nich były aż tak młode i piękne. Stały się dla niej niewielkim, lecz stałym źródłem dochodu. Nie mogła odkryć, kto je do niej kierował. Kiedy wspomniała o tym Kenowi Baileyowi, wzruszył jedynie ramionami.

Zawsze, gdy do Jennifer przychodził jakiś interesant, Ken Bailey dyskretnie wychodził. Zachowywał się jak dumny ojciec, zachęcający córkę do samodzielnej pracy.

Jennifer zaproponowano kilka spraw rozwodowych, ale wszystkie odrzuciła. Dobrze sobie zapamiętała słowa jednego ze swych profesorów, który zwykł mawiać: „Rozwód dla praktykującego prawnika jest tym, czym proktologia dla praktykującego lekarza”.

Większość adwokatów prowadzących sprawy rozwodowe, cieszyła się złą reputacją. Krążyło powiedzenie, że im bardziej małżonkowie byli zaciekli, tym adwokat był szczęśliwszy. Wysoko cenieni adwokaci tej kategorii byli znani jako „bombowce”, ponieważ używali środków prawnych największego kalibru, by wygrać dla klienta sprawę, niszcząc przy okazji często życie dzieciom, współmałżonkom i im samym.

Kilku interesantów, którzy odwiedzili Jennifer, było tak niezwykłych, że aż to ją zaintrygowało.

Byli wszyscy elegancko ubrani, sprawiali wrażenie dobrze sytuowanych, a prośby, z którymi się zwracali, nie należały bynajmniej do kategorii błahostek, które Jennifer była przyzwyczajona załatwiać. Dotyczyły spraw majątkowych o niebagatelnej wartości i procesów, które z chęcią poprowadziłaby każda większa firma.

- Gdzie pan o mnie usłyszał? - pytała Jennifer.

Odpowiedzi były zawsze wymijające. Od przyjaciela... czytałem o pani... pani nazwisko padło na przyjęciu... Dopiero gdy jeden z klientów w czasie opisywania swojej sprawy wymienił nazwisko Adama Warnera, Jennifer nagle wszystko zrozumiała.

- Pan Warner przysłał pana do mnie, prawda? Klient był niezwykle zakłopotany.

- Cóż, mówiąc **%tjcl&tl&**, sugerował, że byłoby dobrze, gdybym nie wspominał jego nazwiska.

Jennifer postanowiła zadzwonić do Adama. Ostatecznie winna mu była podziękowanie. Będzie grzeczna, ale stanowcza. Oczywiście nie pozwoli mu odnieść wrażenia, że dzwoni z innego powodu niż tylko, by mu wyrazić swoją wdzięczność. Kilka razy powtarzała sobie w myślach całą rozmowę. Kiedy wreszcie odważyła się zadzwonić, sekretarka poinformowała ją, że pan Warner jest w Europie i nie był spodziewany z powrotem wcześniej niż za kilka tygodni. Był to zawód, który niezwykle przygnębił Jennifer.

Spostrzegła, że coraz częściej myśli o Adamie Warnerze. Pamiętała wciąż ten wieczór, kiedy przyszedł do jej mieszkania i jak nieodpowiednio się wtedy zachowała. Był wspaniały, znosząc cierpliwie jej dziecinne zachowanie, kiedy wyładowała na nim cały swój gniew. Teraz, poza tym, co już dla niej uczynił, podsyłał jej klientów.

Jennifer odczekała trzy tygodnie i znowu zadzwoniła do Adama. Tym razem był w Ameryce Południowej.

- Czy chce pani zostawić wiadomość? Jennifer zawahała się.

- Nie, dziękuję.

Jennifer próbowała usunąć Adama ze swych myśli, ale okazało się to niemożliwe. Zastanawiała się, czy był zaręczony albo żonaty. Zastanawiała się, jakby to było, gdyby

została panią Warner. Zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem szalona.

Od czasu do czasu Jennifer natykała się na nazwisko Michaela Morettiego w gazetach i tygodnikach. W „New Yorkerze” był długi artykuł o Antonio Granellim i mafii na Wschodnim Wybrzeżu. Pisano, że Antonio Granelli podupadł na zdrowiu i Michael Moretti, jego zięć, szykuje się do przejęcia jego imperium. „Life” opublikował artykuł o stylu życia, jaki prowadzi Michael Moretti i pod koniec wspominał o procesie Morettiego. Camillo Stela siedział w więzieniu w Leavenworth, podczas gdy Michael Moretti był wolny. Przypomniano czytelnikom, jak to Jennifer Parker udaremniła proces, w wyniku którego trafiłby do więzienia lub na krzesło elektryczne. Gdy Jennifer czytała ten artykuł, przewracały się jej wnętrzności. Krzesło elektryczne? Z radością własnoręcznie włączyłaby dopływ prądu, by wykonać wyrok na Michaelu Morettim.

Sprawy prowadzone przez Jennifer były w większości błahe, ale doświadczenie, które zdobywała - bezcenne. Po kilku miesiącach Jennifer znała każdy pokój w budynku Sądu Kryminalnego przy Centre Street 100 i ludzi tam zatrudnionych.

Kiedy któryś z jej klientów był aresztowany za drobną kradzież, napad, nierząd czy narkotyki, Jennifer udawała się do sądu, by ustalić wysokość kaucji i targowanie się było na porządku dziennym.

- Kaucja jest wyznaczona na kwotę pięciuset dolarów.

- Wysoki Sądzie, oskarżony nie posiada tylu pieniędzy. Jeżeli sąd zmniejszy kaucję do dwustu dolarów, oskarżony będzie miał możliwość powrotu do pracy i zarobienia na swoją rodzinę.

- Dobrze. Dwieście dolarów.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Jennifer poznała kierownika działu skarg, gdzie przekazywano kopie meldunków o aresztowaniu.

- To znowu ty, Parker? Na miłość boską, czy ty nigdy nie śpisz?

- Cześć, poruczniku. Mój klient został aresztowany pod zarzutem włóczęgostwa. Czy mogę zobaczyć nakaz? Nazywa się Connery, Clarence Connery.

- Powiedz mi coś, złotko. Dlaczego przychodzisz tu o trzeciej nad ranem, by bronić jakiegoś włóczęgi?

Jennifer uśmiechnęła się.

- Dzięki temu sama nie łażę bez celu po mieście.

Poznała dobrze sąd doraźny, którego posiedzenia odbywały się w sali 218 w gmachu przy Centre Street. Był to dziwny, hermetyczny świat, posiadający swój własny tajemniczy

zargon. Początkowo Jennifer trudno było się w nim połapać.

- Parker, twój klient jest zatrzymany w zimno. .
- Mój klient jest zatrzymany w co?
- W zimno. W: włamanie Z: z bronią M: do mieszkania N: nocą. Jasne?
- Jasne.
- Reprezentuję pannę Lunę Tarner.
- Jezu Chryste!
- Czy mogę wiedzieć, o co została oskarżona?
- Chwileczkę, znajdę jej kartotekę. Luna Tarner. To ktoś nowy... O!, jest. prostytutka,

zgarnięta poza limitem przez BRAK.

- Przez BRAK?
- Jesteś tu świeża, tak? BRAK to Brygada Antykryminalna, poza limitem znaczy za

42. Ulicą. Kapujesz?

- Kapuję.

Sąd doraźny działał na Jennifer przygnębiająco. Wypełniony był ludzką falą, która bezustannie napływała i wyrzucała nowe ofiary na brzeg sprawiedliwości.

Każdej nocy odbywało się ponad sto pięćdziesiąt rozpraw. Można tu było spotkać dziwki i transwestytów, śmierdzących pijaków i zdegenerowanych narkomanów. Było tu pełno Puertorykańczyków, Meksykanów, Żydów, Irlandczyków, Greków i Włochów oskarżonych o gwałty, kradzieże, nielegalne posiadanie broni lub narkotyków, napady czy nierząd. Wszyscy mieli jedną cechę wspólną: byli biedni. Byli biedni, przegrani i zagubieni - męty i szumowiny, obojętnie mijane przez resztę społeczeństwa. W większości pochodzili z centrum Harlemu, a ponieważ w więzieniu brakowało miejsc, wszyscy, poza najgroźniejszymi przestępcami, byli zwalniani lub karani jedynie grzywną. Wracali do domów przy St. Nicholas Avenue, Morningside i Manhattan Avenue, gdzie na obszarze trzech i pół mili kwadratowej żyło dwieście trzydzieści trzy tysiące Murzynów, osiem tysięcy Puertorykańczyków i około jednego miliona szczurów.

Gros klientów, przychodzących do biura Jennifer było ludźmi, których zniszczyła bieda, system, wreszcie - oni sami. Byli ludźmi, którzy już dawno skapitulowali. Jennifer odkryła, że ich lęki powodowały u niej wzrost wiary we własne siły. Nie czuła się lepsza od nich. Na pewno nie mogła na swoim przykładzie pokazać, jak się robi błyskotliwą karierę, ale wiedziała, że między nią a jej klientami była jedna zasadnicza różnica: ona się nigdy nie podda.

Ken Bailey przedstawił Jennifer księdzu Francisowi Josephowi Ryanowi. Ojciec Ryan

był energicznym, pełnym wiary człowiekiem po pięćdziesiątce, o kędzierzawych, szpakowatych włosach, falujących wokół uszu. Jego fryzura zawsze domagała się pilnej wizyty u fryzjera. Jennifer polubiła go od pierwszego wejrzenia.

Od czasu do czasu, kiedy znikał jeden z jego parafian, ojciec Ryan przychodził do Kena i prosił go o pomoc. Ken zawsze odnajdywał zbłąkanego męża, córkę czy syna. Nigdy nie brał za to pieniędzy.

- To zaliczka na wstęp do nieba - wyjaśniał Ken. Pewnego popołudnia, gdy Jennifer była sama, do biura wpadł ojciec Ryan.

- Kena nie ma, ojciec Ryanie. Nie będzie go już dzisiaj.

- Właściwie przyszedłem do ciebie, Jennifer - powiedział ojciec Ryan, sadowiac się na niewygodnym, starym krześle, stojącym obok biurka Jennifer. - Jeden z moich znajomych ma kłopot.

Ojciec Ryan zawsze w ten sposób rozpoczynał rozmowę z Kenem.

- O co chodzi, ojciec?

- To starsza pani i biedactwo ma problem z otrzymywaniem swojej emerytury. Przeprowadziła się do mojej parafii parę miesięcy temu i jakiś przekłety komputer - oby rdzewiał w piekle do sądowego dnia - zgubił wszystkie jej dane.

- Rozumiem.

- Wiedziałem, że zrozumiesz - powiedział ojciec Ryan wstając. - Obawiam się, że nie możesz liczyć w tej sprawie na żadne pieniądze.

Jennifer uśmiechnęła się.

- Proszę się tym nie martwić. Spróbuję wszystko wyjaśnić. Myślała, że to będzie proste, ale minęły prawie trzy dni, zanim przeprogramowano komputer.

Jakiś miesiąc później ojciec Ryan przyszedł rano do biura i powiedział do Jennifer:

- Nie chciałbym ci zawracać głowy, moja droga, ale jeden z moich znajomych ma kłopot. Obawiam się, że nie ma... - zawahał się.

- .. .pieniędzy - domyśliła się Jennifer.

- No właśnie! Ale biedaczysko bardzo potrzebuje pomocy.

- W porządku. Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Nazywa się Abraham, Abraham Wilson. Jest synem jednego z moich parafian. Abraham odsiaduje karę dożywotniego więzienia w Sing Sing za zabicie właściciela sklepu monopolowego podczas napadu.

- Jeżeli został skazany i odsiaduje wyrok, nie wiem, jak mogłabym mu pomóc, Ojciec.

Ojciec Ryan spojrział na Jennifer i westchnął.

- Ma inne zmartwienie.

- Jakie?

- Kilka tygodni temu Abraham zabił innego człowieka - Raymonda Thorpe'a - siedzącego w tym samym więzieniu co on. Chcą mu wytoczyć proces o morderstwo i domagać się kary śmierci.

Jennifer czytała coś o tym.

- O ile dobrze pamiętam, zakatował go na śmierć.

- Tak mówią.

Jennifer wzięła pióro i notatnik.

- Czy byli jacyś świadkowie?

- Niestety tak.

- Ilu?

- Och, coś koło setki. Widzisz, miało to miejsce na dziedzińcu więziennym.

- Wspaniale. Ojczy, czego ode mnie oczekujesz?

- Że pomożesz Abrahamowi - powiedział po prostu ojciec Ryan.

Jennifer odłożyła pióro.

- Ojczy, wydaje mi się, że tylko twój Szef może mu pomóc - poprawiła się na krześle.

- Ma przeciwko sobie trzy rzeczy: jest czarny, jest skazany za jedno morderstwo i ponownie zabił człowieka na oczach setki świadków. W tej sytuacji nie ma żadnych szans. Jeżeli ten więzień mu groził, powinien zwrócić się o pomoc do strażników. Zamiast tego, sam wymierzył sprawiedliwość. Nie ma na świecie sądu, który by go nie skazał.

- Ale przecież to człowiek. Czy nie mogłabyś przynajmniej z nim porozmawiać?

Jennifer westchnęła.

- Porozmawiam z nim, skoro mnie o to prosisz, ale nic nie obiecuję.

Ojciec Ryan skinął głową.

- Rozumiem. To na pewno wiązałoby się z dużym zainteresowaniem ze strony prasy.

Obydwoje myśleli o tym samym. Nie tylko Abraham Wilson stanowił łakomy kąsek dla dziennikarzy.

Więzienie Sing Sing znajduje się w miejscowości Ossing, trzydzieści mil od Manhattanu na wschodnim brzegu rzeki Hudson, na wprost Tappan Zee i zatoki Haverstraw.

Jennifer pojechała tam autobusem. Zadzwoiła wcześniej do zastępcy naczelnika więzienia, który załatwił jej widzenie z Abrahamem Wilsonem, trzymanym w absolutnej izolacji.

Podczas jazdy autobusem Jennifer przepełniało uczucie, że wreszcie może okazać się

komuś potrzebna, uczucie, którego od dawna nie zaznała. Jechała do Sing Sing, aby spotkać - kto wie - może przyszłego klienta, oskarżonego o morderstwo. Wreszcie będzie robiła to, do czego przygotowywała się przez całe lata studiów. Po raz pierwszy od roku czuła się jak prawdziwy adwokat, chociaż wiedziała, że to wszystko jest zupełnie nieprawdopodobne. Nie jechała na spotkanie z klientem. Jechała, aby mu powiedzieć, że nie może go reprezentować. Nie mogła sobie pozwolić na wplątanie się w sprawę, o której będzie głośno i która była nie do wygrania.

Abraham Wilson będzie musiał poszukać sobie innego obrońcy.

Rozklekotaną taksówką pojechała z dworca autobusowego do więzienia, rozciągającego się tuż nad rzeką, na obszarze siedemdziesięciu akrów. Jennifer nacisnęła dzwonek obok bocznego wejścia. Otworzył jej strażnik, sprawdził, czy ma jej nazwisko na swojej liście, po czym skierował ją do gabinetu zastępcy naczelnika.

Był to potężny, przysadzisty mężczyzna o dziobatej twarzy i niemodnie ostrzyżonych włosach. Nazywał się Howard Patterson.

- Byłabym wdzięczna, gdyby mógł mi pan coś powiedzieć o Abrahamie Wilsonie - zaczęła Jennifer.

- Jeżeli szuka pani otuchy, to jej pani tu nie znajdzie. - Patterson zajrzał do dossier, leżącego przed nim na biurku. - Wilson prawie całe życie spędził w więzieniu. Kiedy miał jedenaście lat, przyłapano go na kradzieży samochodu, w wieku trzynastu lat aresztowano go za napad, dwa lata później sędzono za gwałt, jako osiemnastolatek został sutenerem, odsiedział wyrok za pobicie jednej ze swych podopiecznych, tak że dziewczyna trafiła do szpitala... - Przerzucał kartki dossier. - Jest tu wszystko - napady z nożem, włamania z bronią w rękę, i na koniec - morderstwo.

Rejestr był równie długi, co przygnębiający.

- Czy istnieje możliwość; że Abraham Wilson nie zabił Raymonda Thorpe'a - zapytała Jennifer.

- Absolutnie wykluczone. Wilson będzie pierwszy, który to potwierdzi, ale nawet gdyby się wypierał, nie miałyby to większego znaczenia. Mamy stu dwudziestu świadków.

- Czy mogę się zobaczyć z panem Wilsonem? Howard Patterson wstał.

- Naturalnie, ale to będzie tylko strata czasu.

Abraham Wilson był najbrzydszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała Jennifer Parker. Był czarny jak węgiel, nos miał złamany w kilku miejscach, brakowało mu przednich zębów, w pokrytej bliznami twarzy błyszczały przebiegłe oczy. Miał około sześciu stóp i czterech cali wysokości i był mocnej budowy. Poruszał się ociężale na wielkich,

płaskich stopach. Gdyby Jennifer miała opisać Abrahama Wilsona jednym słowem, użyłaby wyrazu „groźny”. Mogła wyobrazić sobie, jakie wrażenie sprawiłby na składzie sędziowskim.

Abraham Wilson i Jennifer siedzieli w pokoju widzeń, między nimi rozciągała się gruba stalowa siatka, a przy drzwiach stał strażnik. Wilsona dopiero co wyprowadzono z karceru, więc mrużył przed światłem swoje małe oczy. Gdyby Jennifer szła na spotkanie nie będąc zupełnie przekonana, że nie chce prowadzić tej sprawy, teraz nabrałaby całkowitej pewności. Siedząc naprzeciwko niego, niemal fizycznie czuła bijącą od niego, nienawiść.

- Nazywam się Jennifer Parker. Jestem adwokatem. Ojciec Ryan prosił, żebym się z panem spotkała - zaczęła Jennifer.

Abraham Wilson splunął przez siatkę w twarz Jennifer.

- Ach, ten pieprzony dobroczyńca.

„Co za wspianiały początek - pomyślała Jennifer. - Siłą powstrzymała się od otarcia policzka”.

- Czy potrzebuje pan czegoś, panie Wilson? Uśmiechnął się do niej bezzębny ustami.

- Kawałka dupy, kotku. Masz ochotę? Zignorowała jego słowa.

- Czy nie zechciałby mi pan opowiedzieć, jak to się stało?

- Ejże, jeśli chcesz znać historię mojego życia, musisz mi najpierw zapłacić. Mam zamiar ją sprzedać tym facetom od filmu. Może nawet dadzą mi zagrać główną rolę.

Wrogość, która od niego biła, była przerażająca. Jennifer chciała jak najszybciej stąd wyjść. Zastępca naczelnika miał rację. To była tylko strata czasu.

- Obawiam się, że nie będę mogła panu pomóc, o ile pan, panie Wilson, nie zechce najpierw pomóc mnie. Obiecałam ojcu Ryanowi, że przynajmniej przyjdę i porozmawiam z panem.

Abraham Wilson znowu rozchylił bezzębne usta.

- To bardzo ładnie z twojej strony, kotku. Czy jesteś pewna, że nie zmienisz zdania odnośnie tej dupy?

Jennifer wstała. Miała dosyć.

- Czy pan wszystkich nienawidzi?

- Powiem ci coś, laluniu. Ja wejdę w twoją skórę, a ty wejdź w moją, a potem porozmawiamy sobie o nienawiści.

Jennifer stała, patrząc w tę wstrętną, czarną twarz i rozważając to, co powiedział, a następnie wolno usiadła.

- Czy nie chciałbyś mi, Abrahamie, opowiedzieć swojej wersji całego zdarzenia?

Gapił się na nią milcząc. Jennifer czekała, obserwując go i zastanawiając się, co czuje ten człowiek o czarnej, poharatanej skórze. Zastanawiała się, ile blizn nosiła jego czarna dusza.

Siedzieli tak bez słowa przez dłuższą chwilę. Wreszcie Abraham Wilson powiedział:

- Zabiłem tego sukinsyna.
- Dlaczego to zrobiłeś? Wzruszył ramionami.
- Zaszedł mnie, łobuz, z tym swoim wielkim, rzeźnickim nożem i...
- Nie bujaj mnie. Więźniowie nie paradują z nożami przy sobie.

Wilson zmienił się na twarzy i powiedział:

- Spieprzaj stąd, panienko. Nie prosiłem, żebyś tu przyszła. - Wstał. - I nie przychodź tu więcej zawracać mi głowę, słyszysz? Nie mam na to czasu.

Odwrócił się i podszedł do strażnika. W chwilę potem obaj wyszli. No, więc tak. Jennifer mogła przynajmniej z czystym sumieniem powiedzieć ojcu Ryanowi, że odbyła rozmowę. Nic więcej nie mogła zrobić.

Strażnik wypuścił Jennifer z budynku. Szła przez dziedziniec więzienny w kierunku bramy głównej, myśląc o Abrahamie Wilsonie i swoim stosunku do niego. Nie lubiła tego człowieka i z tego powodu robiła coś, do czego nie miała prawa: osądzała go. Jeszcze nie zaczęła się rozprawa, a ona już go uznała za winnego. Może naprawdę ktoś go zaatakował, oczywiście nie nożem, ale kamieniem czy cegłą. Jennifer zatrzymała się i stała przez chwilę niezdecydowana. Instynkt podpowiadał jej, żeby wracać na Manhattan i zapomnieć o Abrahamie Wilsonie.

Nagle odwróciła się i skierowała z powrotem do biura zastępcy naczelnika.

- To trudny przypadek - powiedział Howard Patterson. - Kiedy to tylko możliwe, stosujemy raczej środki wychowawcze zamiast kar, ale Abraham Wilson posunął się za daleko. Jedyne, co będzie w stanie go utemperować, to krzesło elektryczne.

„Cóż za przedziwna logika” - pomyślała Jennifer.

- Powiedział mi, że człowiek, którego zabił, zaatakował go nożem rzeźnickim.
- Sądzę, że to zupełnie możliwe. Stwierdzenie to zdumiało ją.
- Co pan ma na myśli mówiąc, że to zupełnie możliwe? Czy mam rozumieć, że przebywający tu więźniowie mogą zdobyć nóż? Nóż rzeźnicki?

Howard Patterson wzruszył ramionami.

- Panno Parker, przebywa tutaj tysiąc dwustu czterdziestu więźniów i niektórzy z nich odznaczają się niezwykłą pomysłowością. Proszę pójść ze mną. Coś pani pokażę.

Patterson poprowadził Jennifer korytarzem do zamkniętych drzwi. Z wielkiego pęku

kluczy wybrał jeden, otworzył drzwi i włączył światło. Jennifer weszła za nim do małego pokoju z półkami na wszystkich ścianach.

- W tym pomieszczeniu trzymamy skarby więźniów. - Podszedł do dużego pudła i uniósł wieko.

Jennifer patrzyła, nie wierząc własnym oczom. Spojrzała na Howarda Pattersona i powiedziała:

- Chcę się jeszcze raz zobaczyć z moim klientem.

Jennifer przygotowywała się do procesu Abrahama Wilsona jak jeszcze do niczego w życiu. Spędzała długie godziny w bibliotece prawniczej, sprawdzając procedury i linie obrony, oraz na rozmowach ze swoim klientem, wyciągając z niego każdy strzęp informacji. A nie było to łatwe zadanie. Od samego początku Wilson był agresywny i sarkastyczny.

- Chcesz się o mnie wszystkiego dowiedzieć, złotko? Pierwszy raz pieprzyłem się, gdy miałem dziesięć lat. A ty?

Jennifer z całych sił próbowała ignorować jego nienawiść i pogardę wobec świata, bo wiedziała, że krył się za tym ogromny strach. Dlatego też nie zniechęcała się, tylko wypytywała Wilsona, jakie było jego dzieciństwo, kim byli jego rodzice, co ukształtowało go jako mężczyznę. Po paru tygodniach niechęć Abrahama Wilsona przerodziła się w zainteresowanie, które z czasem przeszło w fascynację. Nigdy przedtem nie miał okazji zastanowić się nad tym, jakim jest człowiekiem ani dlaczego jest właśnie taki, jaki jest.

Docieklive pytania Jennifer obudziły w nim wspomnienia, niektóre jedynie nieprzyjemne, inne niezwykle bolesne. Kilka razy, gdy Jennifer wypytywała Abrahama Wilsona o ojca, który go regularnie okrutnie lał, Wilson żądał, by zostawiła go w spokoju. Wychodziła, ale zawsze wracała.

O ile do tej pory Jennifer miała bardzo mało czasu dla siebie, to teraz nie miała go wcale. Jeżeli nie przebywała z Abrahamem Wilsonem, siedziała w biurze, siedem dni w tygodniu, od wczesnego świtu aż do późnej nocy, czytając wszystko, co tylko jej wpadło w ręce na temat morderstwa i zabójstwa, umyślnego i nieumyślnego. Studiowała setki decyzji sądów apelacyjnych, oświadczeń złożonych pod przysięgą, dowodów rzeczowych, odwołań, sprawozdań i streszczeń z rozpraw sądowych. Ślęczała nad aktami dotyczącymi intencji i premedytacji, samoobrony, podwójnego zagrożenia i chwilowej niepoczytalności.

Badala możliwości zmiany kwalifikacji czynu na zabójstwo. Abraham nie zaplanował sobie morderstwa. Ale czy sąd w to uwierzy? Szczególnie sąd lokalny. Mieszkańcy miasta nienawidzili więźniów, trzymanych w samym środku ich miejscowości.

Jennifer wystąpiła o zmianę miejsca rozprawy i uzyskała zgodę. Proces miał się odbyć

na Manhattanie.

Jennifer musiała rozstrzygnąć ważną kwestię: czy powinna pozwolić Abrahamowi Wilsonowi zeznawać? Wyglądał odrażająco, ale jeżeli sędziowie przysięgli będą mieli możliwość usłyszenia relacji o wydarzeniu z jego ust, mogą poczuć do niego współczucie. Kłopot polegał na tym, że w tym wypadku oskarżenie mogło odsłonić przeszłość Wilsona i wszystkie jego wykroczenia, łącznie z pierwszym morderstwem, którego się dopuścił.

Jennifer zastanawiała się, którego z asystentów prokuratury okręgowej Di Silva wyznaczy na jej przeciwnika. Kilku z nich było bardzo dobrych i Jennifer zapoznała się z techniką, jaką stosowali w procesach o morderstwo.

Spędziła dużo czasu w Sing Sing, zaznajamiając się z miejscem zabójstwa, rozmawiając ze strażnikami i Abrahamem i przesłuchując kilkunastu więźniów, którzy byli świadkami zdarzenia.

- Raymond Thorpe zaatakował Abrahama Wilsona nożem - mówiła Jennifer. - Wielkim nożem rzeźnickim. Musiałeś to zauważyć.

- Ja? Nie widziałem żadnego noża.

- Musiałeś. Przecież byłeś blisko.

- Nic nie widziałem, proszę pani.

Żaden z nich nie chciał być zamieszany w tę sprawę.

Od czasu do czasu Jennifer robiła przerwę, by iść na porządny obiad, na ogół jednak kupowała sobie kanapkę w barze na parterze gmachu sądu. Zaczęła chudnąć i cierpieć na zawroty głowy.

Ken Bailey zaczął się o nią niepokoić. Zabrał ją do restauracji Forliniego naprzeciwko budynku sądu i zamówił dla niej obfity lunch.

- Co ty robisz? Czy chcesz się doprowadzić do rychłej śmierci?

- Oczywiście, że nie.

- Czy przeglądałaś się ostatnio w lusterku?

- Nie.

Przypatrzył się jej uważnie i powiedział:

- Jeżeli masz choć trochę zdrowego rozsądku, wycofaj się z tej sprawy.

- Dlaczego?

- Ponieważ sama wystawiasz się na cel. Jennifer, całe miasto o tym mówi.

Dziennikarze mało się nie posikają, tak się nie mogą doczekać chwili, kiedy znowu wycelują w ciebie obiektywy.

- Jestem adwokatem - odpowiedziała Jennifer z uporem. - Abraham Wilson ma prawo

do uczciwego procesu. Postaram się zadbać o to, by rzeczywiście był to uczciwy proces. - Dostrzegła zatroskane spojrzenie Kena Bailey'a. - Nie martw się. Ta sprawa nie będzie miała aż takiego rozgłosu.

- Tak sądzisz? Czy wiesz, kto jest oskarżycielem?

- Nie.

- Robert Di Silva.

Jennifer dotarła do wejścia do gmachu Sądu Karnego od strony Leonard Street i torowała sobie drogę między ludźmi tłoczącymi się w holu, między umundurowanymi policjantami i detektywami ubranymi jak hippisi, między prawnikami, których można było rozpoznać po teczkach, niesionych w rękę. Jennifer minęła wielki, okrągły pulpit z napisem „Informacja”, przy którym nigdy nikt nie siedział, i pojechała windą na szóste piętro. Szła na spotkanie z prokuratorem okręgowym. Minął już prawie rok od jej ostatniego widzenia się z Robertem Di Silvą i nie można powiedzieć, by Jennifer się za nim stęskniła. Szła, by go poinformować, że rezygnuje z prowadzenia obrony w procesie Abrahama Wilsona.

Podjęcie tej decyzji kosztowało Jennifer trzy bezsenne noce. Ostatecznie doszła do wniosku, że najważniejszą rzeczą jest dobro jej klienta. Przypadek Wilsona nie był tak istotny, by musiał być prowadzony akurat przez Di Silvę. Czyli jedynym powodem osobistego zaangażowania się prokuratora okręgowego w całą sprawę był udział w niej Jennifer. Di Silva szukał zemsty. Chciał dać Jennifer nauczkę. W tej sytuacji zdecydowała, że nie ma innej możliwości, jak tylko wycofać się. Nie mogła pozwolić na to, by Wilsona skazano dlatego, że kiedyś ona popełniła błąd. Jeżeli wycofa się z procesu, Robert Di Silva prawdopodobnie łagodniej rozprawi się z Wilsonem. Jennifer szła na spotkanie, by uratować Wilsonowi życie.

Kiedy wysiadła na szóstym piętrze i podeszła do znajomych drzwi z tabliczką „Prokurator okręgowy, miasto Nowy Jork”, miała dziwne uczucie, że jeszcze raz przeżywa minione chwile. W środku przy tym samym biurku siedziała ta sama sekretarka.

- Nazywam się Jennifer Parker. Jestem umówiona z...

- Proszę wejść - powiedziała sekretarka. - Prokurator okręgowy oczekuje pani.

Robert Di Silva stał za biurkiem, żując cygaro, i wydawał polecenia dwójce asystentów. Gdy Jennifer weszła, przerwał.

- Byłem pewny, że się pani nie pokaże.

- Ale jestem.

- Myślałem, że podkuliwszy ogon, wyniesie się pani z miasta. Czego pani chce?

Naprzeciwko biurka Roberta Di Silvy stały dwa krzesła, ale nie poprosił jej, by

usiadła.

- Przyszłam tutaj, aby porozmawiać o moim kliencie, Abrahamie Wilsonie.

Robert Di Silva usiadł, odchylił się do tyłu w swoim fotelu i udawał, że myśli.

- Abraham Wilson... ach, tak. To ten czarnuch skazany za morderstwo. Chyba zatłukł na śmierć współwięźnia. Nie powinna mieć pani żadnych kłopotów z jego obroną. - Spojrzał na swoich asystentów, którzy natychmiast opuścili gabinet.

- A więc, pan i adwokat?

- Chciałabym pomówić o jego procesie.

Robert Di Silva spojrział na nią z udawanym zdumieniem.

- Chce mi pani powiedzieć, że przyszła tu pani, aby ubić interes? Zdziwiał mnie pani. Myślałem, że ktoś z tak ogromnym talentem prawniczym jak pani będzie potrafił rozegrać sprawę tak, że morderstwo ujdzie Wilsonowi płazem.

- Panie Di Silva, wiem, że wygląda to na rzecz z góry przesądzoną - zaczęła Jennifer - ale istnieją okoliczności łagodzące. Abraham Wilson był...

Prokurator okręgowy Di Silva przerwał jej:

- Proszę mi pozwolić ująć to w słowa, które najlepiej pani zrozumie, pani adwokat. Może pani sobie wziąć swoje okoliczności łagodzące i wsadzić je sobie w dupę! - Wstał, a gdy mówił, głos trząsał mu się z gniewu. - Chce pani ze mną ubić interes? Spaprała mi pani życie! Jest trup i pani klient zostanie ukarany za swój czyn. Słyszysz mnie pani? Osobiście postaram się, by trafił na krzesło elektryczne.

- Przyszłam tutaj, by wycofać się z obrony. Może pan zmienić oskarżenie na zabójstwo. Wilson i tak odsiaduje karę dożywotniego więzienia. Może pan...

- W żadnym wypadku! Jest winien pospolitego morderstwa! Jennifer starała się hamować złość.

- Myślałam, że to ława przysięgłych o tym zadecyduje. W uśmiechu Roberta Di Silvy nie było śladu wesołości.

- Nie ma pani pojęcia, jak to przyjemnie rozmawiać z takim ekspertem prawniczym jak pani i słuchać wyjaśnień na temat zasad funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. - Czy nie możemy odłożyć na bok naszych osobistych porachunków? Ja...

- Nigdy, póki żyję. Proszę pozdrowić ode mnie swojego przyjaciela Michaela Morettiego.

Pół godziny później Jennifer piła kawę z Kenem Baileyem.

- Nie wiem, co mam robić - wyznała. - Myślałam, że jeżeli wycofam się ze sprawy, Abraham Wilson będzie miał większe szanse. Ale Di Silva nie pójdzie na to. Nie chodzi mu o

Wilsona - chodzi mu o mnie.

Ken Bailey spojrział na nią zamyślony.

- Może próbuje cię zastraszyć. Chce, żebyś wpadła w panikę.

- Już wpadłam w panikę. - Wypiła łyk kawy, która miała gorzki smak. - To beznadziejna sprawa. Szkoda, że nie widziałeś Abrahama Wilsona. Wystarczy, że sędziowie przysięgli na niego spojrzą i wszyscy będą przeciwko niemu.

- Kiedy rozpoczyna się proces?

- Za cztery tygodnie.

- Czy mógłbym jakoś ci pomóc?

- Mhm. Ogłoś przetarg na Di Silvē.

- Czy myślisz, że masz jakiegokolwiek szansę, by wybronić Wilsona?

- Patrząc na to okiem pesymisty, jest to moja pierwsza sprawa, w której zmierzę się z najlepszym prokuratorem okręgowym, który w dodatku chce się na mnie zemścić, a mój klient jest Murzynem, odsiadującym wyrok za zabójstwo, który na oczach stu dwudziestu świadków ponownie zabił człowieka.

- Cudownie. A jak to widzi optymista?

- Jeszcze dzisiaj może mnie potrącić samochód.

Do procesu pozostały już tylko trzy tygodnie. Jennifer załatwiła przeniesienie Abrahama Wilsona do więzienia na Riker's Island. Został umieszczony w areszcie śledczym dla mężczyzn, największym i najstarszym więzieniu na wyspie. Dziewięćdziesiąt pięć procent przetrzymywanych tu więźniów oczekiwało na rozprawy za popełnione zbrodnie: morderstwa, podpalenia, gwałty, rozbój z bronią w rękę, homoseksualizm.

Na wyspę nie wpuszczano żadnych samochodów i Jennifer podwieziono małym zielonym autobusem do budynku z szarej cegły, gdzie została wylegitymowana. W zielonej budce po lewej stronie budynku stali dwaj uzbrojeni strażnicy, a dalej była brama, gdzie zatrzymywano wszystkich nie posiadających przepustki. Z biura przepustek Jennifer została przewieziona ulicą Hazen, wąską drogą, biegnącą przez teren więzienia, do Gmachu Anny M. Kross, gdzie przyprowadzono Abrahama Wilsona na widzenie do sali mieszczącej osiem kabin przeznaczonych na spotkania adwokatów z klientami.

Idąc wzdłuż długiego korytarza na spotkanie z Abrahamem Wilsonem, Jennifer pomyślała, że to miejsce przypomina przedsionek piekła. Wokół panowała nieznośna kakofonia. Więzienie było zbudowane z cegły, stali, kamienia i wyłożone było kafelkami. Stalowe drzwi bez przerwy otwierały się i zamykały z trzaskiem. W każdym bloku przebywało ponad stu więźniów, przekrzykujących się nawzajem, dwa znajdujące się tu

telewizory nastawione były na różne kanały, a z głośników dobiegała muzyka country rock. Do budynku było przydzielonych trzystu strażników, których wrzaski unosiły się ponad tą całą więzienną symfonią.

Towarzyszający Jennifer strażnik mówił:

- Społeczność więzienna to najlepiej wychowana społeczność na świecie. Jeżeli jakiś więzień przypadkiem otrze się o drugiego, natychmiast mówi „przepraszam”. Mają dużo spraw na swoich głowach i nawet najmniejszy drobiazg...

Jennifer siedziała naprzeciwko Abrahama Wilsona i myślała: „Życie tego człowieka jest w moich rękach. Jeżeli umrze, to dlatego, że go zawiodę”. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich rozpacz.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - obiecała Jennifer.

Na trzy dni przed rozpoczęciem procesu Abrahama Wilsona Jennifer dowiedziała się, że sędzią przewodniczącym będzie czcigodny Lawrence Waldman, który przewodniczył w procesie Michaela Morettiego i chciał pozbawić Jennifer uprawnień adwokackich.

Tego wrześniowego dnia 1970 roku, kiedy miał się rozpocząć proces Abrahama Wilsona, Jennifer obudziła się o czwartej nad ranem. Czuła się zmęczona, powieki miała ciężkie jak ołów. Źle spała i dręczyły ją koszmarne sny o procesie. W jednym z nich Robert Di Silva kazał jej stanąć na miejscu dla świadków i wypytywał ją o Michaela Morettiego. Za każdym razem, gdy Jennifer próbowała odpowiadać, sędziowie przerywali jej okrzykami! „Kłamstwo! Kłamstwo! Kłamstwo!”

Każdy sen był inny, ale wszystkie były do siebie podobne. W ostatnim Abrahama Wilsona przywiązano do krzesła elektrycznego. Kiedy Jennifer pochyliła się, by go pocieszyć, splunął jej w twarz. Obudziła się, dygocąc cała, i nie mogła już zasnąć. Siedziała do świtu w fotelu i obserwowała wschód słońca. Była zbyt zdenerwowana, by cokolwiek zjeść. Żałowała, że nie spała poprzedniej nocy. Żałowała, że jest taka spięta. Chciała, żeby ten dzień już minął.

Kiedy się myła i ubierała, ogarnęło ją przeczucie klęski. Do jej nastroju najbardziej pasowała czarna sukienka, ale założyła zielony kostium w stylu Chanel, kupiony na wyprzedaży u Loehmanna.

O ósmej trzydzieści Jennifer Parker zjawiała się gmachu Sądu Karnego, aby podjąć się obrony Abrahama Wilsona w wytoczonym mu procesie. Przed wejściem zgromadził się tłum ludzi i w pierwszej chwili Jennifer pomyślała, że miał miejsce jakiś wypadek. Zobaczyła wycelowane w siebie kamery telewizyjne i mikrofony i zanim zorientowała się, co się dzieje, otoczyli ją dziennikarze.

- Panno Parker, wystąpi pani w sądzie po raz pierwszy od czasu, kiedy uniemożliwiła pani proces przeciwko Michaelowi Morettiemu, prawda? - zapytał jakiś reporter.

Ken Bailey ostrzegł ją. To ona była główną atrakcją procesu, a nie jej klient. Dziennikarze nie występowali tutaj w charakterze obiektywnych obserwatorów: to były sępy, a ona miała stać się ich ofiarą.

Młoda kobieta w dzinsach podsunęła mikrofon do samej twarzy Jennifer.

- Czy to prawda, że prokurator okręgowy Di Silva szykuje się, by panią zniszczyć?

- Nie mam nic do powiedzenia. - Jennifer zaczęła torować sobie drogę w kierunku wejścia do budynku.

- Prokurator okręgowy złożył wczoraj wieczorem oświadczenie, w którym stwierdził, że jego zdaniem nie powinna pani mieć prawa do prowadzenia praktyki adwokackiej na terenie Nowego Jorku. Czy chciałaby pani to skomentować?

- Nie mam nic do powiedzenia. - Jennifer prawie dotarła do wejścia.

- W ubiegłym roku sędzia Waldman próbował doprowadzić do skreślenia pani z listy adwokatów. Czy zwróci się pani do niego o wycofanie się z...?

Jennifer była już w gmachu sądu.

Proces miał się odbyć w sali 37. W korytarzu był tłum ludzi próbujących dostać się do środka, ale sala była już pełna. Panował w niej gwar i atmosfera zabawy. Przygotowano dodatkowe rzędy, zarezerwowane dla prasy. „To na pewno pomysł Di Silvy” - pomyślała Jennifer.

Abraham Wilson siedział przy stole obrony, górując nad wszystkimi wokół niby demon zła. Ubrany był w trochę przyciasny ciemnoniebieski garnitur oraz białą koszulę i niebieski krawat, który kupiła mu Jennifer. Przyzwyczajony strój niewiele mu pomógł. Abraham Wilson i tak wyglądał jak bezlitosny zbrodniarz przebrany w granatowy garnitur. „Równie dobrze mógłby wystąpić w więziennym drelichu” - pomyślała zniechęcona Jennifer.

Wilson rozglądał się po sali wyzywającym wzrokiem, groźnie mierząc nim każdego, kto na niego spojrzał. Jennifer poznała już swojego klienta wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że ta jego wojownicza postawa w rzeczywistości kryła strach. Ale w oczach wszystkich, łącznie z sędzią i ławą przysięgłych, był uosobieniem nienawiści i wrogości. Ten olbrzym stanowił zagrożenie. Będą go traktowali jak kogoś, kogo trzeba się bać, kogoś, kogo trzeba unicestwić.

W całym wyglądzie Abrahama Wilsona nie było niczego, co by wzbudzało choć cień sympatii. Jego postać pozbawiona była ujmujących cech. Była jedynie ta brzydka, pokryta bliznami twarz ze złamanym nosem i wybitymi zębami oraz zwaliste cielsko budzące lęk.

Jennifer podeszła do stołu obrony, przy którym siedział Abraham Wilson i zajęła miejsce obok niego.

- Dzień dobry, Abrahamie. Spojrzał na nią i powiedział:

- Byłem pewny, że pani nie przyjdzie.

Jennifer przypomniał się dzisiejszy sen. Spojrzała w jego małe, wąskie oczy.

- Wiedziałeś, że przyjdę. Obojętnie wzruszył ramionami.

- I tak nie ma to żadnego znaczenia. I tak będą mnie mieli, skarbie. Skażą mnie za morderstwo i gdyby udało im się wprowadzić prawo zezwalające na gotowanie w smole, to by mnie ugotowali w smole. Nie będzie żadnego procesu. Będzie przedstawienie. Mam nadzieję, że kupiłaś sobie prażoną kukurydzę.

W pobliżu stołu oskarżenia powstało poruszenie. Jennifer uniosła wzrok i ujrzała prokuratora okręgowego Di Silvę zajmującego miejsce przy stole obok rzeszy asystentów. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Jennifer poczuła, że ogarnia ją panika.

Woźny sądowy powiedział:

- Proszę wstać! - I wszedł sędzia Lawrence Waldman. - Proszę o uwagę! Wszyscy, którzy mają coś do powiedzenia w sprawie, która będzie rozpatrywana w sali 37 tego sądu, niech podejść i złożą wyjaśnienia, zostaną teraz wysłuchani. Przewodniczy czcigodny sędzia Lawrence Waldman.

Jedyną osobą, która nie powstała, był Abraham Wilson. Jennifer mruknęła przez zaciśnięte zęby:

- Wstań!

- Chrzanię to! Będą musieli przyjść i podnieść mnie siłą. Jennifer ujęła jego potężną dłoń.

- Wstawaj, Abrahamie. Pokonamy ich.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem wolno uniósł się, górując nad jej drobną postacią.

Sędzia Waldman zajął miejsce w prezydium. Wszyscy usiedli, a urzędnik wręczył sędziemu wokandę.

- Stan Nowy Jork przeciwko Abrahamowi Wilsonowi, oskarżonemu o zamordowanie Raymonda Thorpe'a.

Normalnie instynkt Jennifer podpowiedziałby jej, aby ławę przysięgłych wypełnić Murzynami, ale w wypadku Abrahama Wilsona nie była pewna, czy byłoby to słuszne. Wilson nie był jednym z nich. Był renegatem, zabójcą, przynosił wstyd swojej rasie. Skazaliby go jeszcze chętniej niż biali. Jedyne co mogła zrobić Jennifer, to zadbać, by w

skład ławy przysięgłych nie weszli najwięksi bigoci. Ale oni nie obnosili się ze swoimi poglądami. Siedzieli cicho, czekając na okazję zemsty.

Już na drugi dzień Jennifer wykorzystała swoje prawo weta odnośnie składu ławy przysięgłych. Czuła, że jej voir dire - przepytывania sędziów - wypadły niezręcznie i nietaktownie, podczas gdy Di Silvy - zgrabnie i sprawnie. Posiadał umiejętność stwarzania swobodnej atmosfery, pozyskiwania ich zaufania, zdobywania ich przyjaźni.

„Jak mogłam zapomnieć o tym, że Di Silva potrafi być tak dobrym aktorem?” - zastanawiała się Jennifer.

Di Silva nie wykorzystał swego prawa weta, dopóki Jennifer nie wyczerpała swych możliwości sprzeciwu. Nie wiedziała, czemu tak postępował, a gdy się domyśliła, było już za późno. Di Silva przechytrzył ją. Wśród ewentualnych kandydatów do ławy przysięgłych, w końcowej fazie znaleźli się detektyw, dyli rektor banku i matka lekarza - wszyscy należący do establishmentu - i Jennifer nie mogła już nic zrobić, aby wykluczyć ich ze składu sędziowskiego. Prokurator okręgowy wykołował ją. Robert Di Silva wstał i zaczął swoją mowę inauguracyjną.

- Pragnę przede wszystkim podziękować panu - zwrócił się w stronę sędziego - oraz wam, panie i panowie zasiadający w ławie przysięgłych, za poświęcenie tej sprawie swojego jakże drogiego czasu. - Uśmiechnął się ze współczuciem. - Wiem, jak kłopotliwe może być uczestniczenie w pracach sądu. Wszyscy z państwa mają swoje sprawy zawodowe, bliskich, którym przede wszystkim należy się wasza troska i uwaga.

„Mówi, jakby był jednym z nich - trzynastym przysięgłym” - pomyślała Jennifer.

- Obiecuję zająć państwu tak mało czasu, jak to tylko będzie możliwe. To jest naprawdę bardzo prosta sprawa. Tam siedzi Abraham Wilson, oskarżony o zamordowanie współwięźnia w Sing Sing - Raymonda Thorpe'a. Nie ma wątpliwości, że to zrobił. Sam się do tego przyznał. Adwokat pana Wilsona chce udowodnić, że zrobił to w obronie własnej.

Prokurator okręgowy obrócił się, by spojrzeć na wielką postać Abrahama Wilsona, i oczy wszystkich przysięgłych automatycznie zwróciły się w tamtą stronę. Jennifer zauważyła, jakie wrażenie wywołał na nich Wilson. Całą siłą woli zmusiła się, by skoncentrować uwagę na mowie prokuratora okręgowego Di Silvy.

- Parę lat temu dwunastu obywateli, jestem pewny, że bardzo podobnych do państwa, głosowało za umieszczeniem Abrahama Wilsona w więzieniu. Z uwagi na pewne wymogi formalne nie wolno mi wyjawiać, jakiego przestępstwa dopuścił się Abraham Wilson. Natomiast mogę powiedzieć, że ława przysięgłych szczerze wierzyła, że ich decyzja uniemożliwi mu popełnienie kolejnych przestępstw. Niestety, mylili się. Bo nawet w

więzieniu Abraham Wilson znalazł możliwość uderzenia, zabicia, zaspokojenia swoich krwiożerczych żądz. Wiemy teraz, że jest tylko jeden sposób powstrzymania Abrahama Wilsona przed kolejnym zabójstwem. Jest nim kara śmierci. Nie przywróci to wprawdzie życia Raymondowi Thorpe'owi, ale przynajmniej uratuje je innym ludziom, którzy w przeciwnym wypadku mogą stać się kolejnymi ofiarami oskarżonego.

Di Silva przeszedł wzdłuż ławy przysięgłych, patrząc każdemu sędziemu w oczy.

- Powiedziałem, że ta sprawa nie zabierze państwu wiele czasu. Wytlumaczę teraz, dlaczego tak uważam. Otóż siedzący tam oskarżony Abraham Wilson dokonał morderstwa z premedytacją. Przyznał się do swego czynu. Ale nawet gdyby się nie przyznał, mamy świadków, którzy widzieli Abrahama Wilsona, zabijającego z zimną krwią. Jeżeli chodzi o ścisłość - ponad stu świadków.

Zastanówmy się, co oznacza zwrot „z zimną krwią”. Każde morderstwo jest dla mnie, podobnie jak dla państwa, wstrętne. Ale czasami morderstwo jest popełniane z przyczyn, które jesteśmy w stanie zrozumieć. Załóżmy, że ktoś grozi bronią naszemu bliskiemu - dziecku, mężowi czy żonie. Jeżeli mielibyśmy w ręku pistolet moglibyśmy pociągnąć za spust, aby uratować życie naszego najbliższego. Moglibyśmy nie puścić takiego czynu bezkarnie, ale jestem pewny, że przynajmniej jego pobudki byłyby dla nas jasne. Albo weźmy inny przykład. Jeżeli zostalibyście nagle obudzeni w środku nocy przez włamywacza, grożącego wam bronią, i mielibyście możliwość zabicia go, aby ocalić siebie i zrobilibyście to - cóż, myślę, że wszyscy by to zrozumieli. I taki czyn nie uczyniłby z nas zawodowych przestępców lub złych ludzi, prawda? Byłoby to coś, co zrobiliście w afekcie. Ale morderstwo z zimną krwią to co innego. - Głos Di Silvy stał się wzbudzony. - Pozbawić życia drugą istotę ludzką, nie mając na usprawiedliwienie żadnych względów natury wyższej, zrobić to dla pieniędzy lub dla samej przyjemności zabijania...

Specjalnie próbował wpłynąć na nastawienie ławy przysięgłych, ale nie przekraczał granic prawa, aby nie można było wystąpić o unieważnienie procesu lub obalenie wyroku.

Jennifer obserwowała twarze przysięgłych i nie miała wątpliwości, że Robert Di Silva zdobył ich. Zgadzała się z każdym jego słowem. Kiwali głowami, przytakiwali i marszczyli brwi. Nie bili mu jedynie braw. Był dyrygentem, a oni byli jego orkiestrą. Jennifer nigdy nie widziała czegoś podobnego. Za każdym razem, gdy prokurator okręgowy wymieniał nazwisko Abrahama Wilsona - a czynił to prawie w każdym zdaniu - członkowie ławy przysięgłych automatycznie spoglądali na oskarżonego. Jennifer prosiła Wilsona, by nie patrzył na przysięgłych. Powtarzała mu w kółko, że może rozglądać się po całej sali rozpraw z wyjątkiem ławy przysięgłych, ponieważ jego wyzywające spojrzenie doprowadzało

wszystkich do wściekłości. Ku swemu przerażeniu Jennifer odkryła, że oczy Abrahama Wilsona były utkwione w ławę przysięgłych. Wydawało się, że wprost wypływa z nich agresja.

Jennifer powiedziała ściszym głosem:

- Abrahamie... Nie poruszył się.

Prokurator okręgowy kończył swoją mowę wstępną.

- W Biblii jest napisane „Oko za oko, ząb za ząb”. To oznacza zemstę. My nie domagamy się zemsty. Domagamy się sprawiedliwości. Sprawiedliwości dla tego biednego człowieka, którego Abraham Wilson z zimną krwią, powtarzam - z zimną krwią, zamordował. Dziękuję państwu.

Prokurator okręgowy usiadł.

Kiedy Jennifer wstała, by przemówić do ławy przysięgłych, czuła ich wrogość i zniecierpliwienie. Czytała w książkach, że prawnicy potrafią czytać w umysłach przysięgłych, ale nie wierzyła w to. Teraz sama się o tym przekonała. Jasno, jak na dłoni, widziała opinię ławy przysięgłych o całej tej sprawie. Już zdecydowali, że jej klient jest winny i niecierpliwili się, bo Jennifer marnowała ich czas, zatrzymywała ich w sądzie, a mogli zająć się czymś ważniejszym, jak słusznie zauważył ich przyjaciel prokurator okręgowy. Jennifer i Abraham Wilson byli ich wrogami.

Jennifer wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Wysoki Sądzie - po czym odwracając się w stronę przysięgłych:

- Panie i panowie, powodem, dla którego istnieją sądy, powodem, dla którego wszyscy się tu dzisiaj zebraliśmy jest fakt, że prawo, w całej swej mądrości wie, że każda sprawa ma dwie strony. Słuchając, jak prokurator okręgowy atakował mojego klienta, słuchając, jak ogłaszał go winnym, nie czekając na werdykt sądu - państwa werdykt, można by sądzić, że to nieprawda. Spojrzała w ich twarze, szukając śladu sympatii lub poparcia, ale go nie znalazła. Zmusiła się, by kontynuować mowę.

- Prokurator okręgowy Di Silva stale używał stwierdzenia: „Abraham Wilson jest winny”. To kłamstwo. Sędzia Waldman może wam powiedzieć, że żaden oskarżony nie jest winny, dopóki sędzia lub ława przysięgłych nie orzeknie o winie. I my wszyscy jesteśmy tu właśnie po to, aby to rozstrzygnąć, czyż nie tak? Abraham Wilson jest oskarżony o zamordowanie współwięźnia w Sing Sing. Ale Abraham Wilson nie zabił dla pieniędzy. Zabił, by ratować własne życie. Pamiętajcie państwo te wspaniałe przykłady, które przytaczał prokurator okręgowy, kiedy to wyjaśniał różnice pomiędzy zabójstwem z zimną krwią i w afekcie. Zabójstwo w afekcie ma miejsce, gdy chroni się kogoś bliskiego lub działa się

obronie własnej. Abraham Wilson zabił w obronie własnej i twierdzą, że każdy siedzący w tej sali zrobiłby dokładnie to samo w podobnych okolicznościach.

Prokurator okręgowy i ja jesteśmy zgodni w jednym: każdy człowiek ma prawo bronić własnego życia. Gdyby Abraham Wilson postąpił inaczej, już by nie żył.

W głosie Jennifer brzmiała szczerść. Przekonana o swojej słuszności, zapomniała o zdenerwowaniu.

- Proszę, aby wszyscy z państwa pamiętali o jednym: zgodnie z prawem tego stanu oskarżenie musi dowieść poza wszelką wątpliwość, że zabójstwo nie było dokonane w obronie własnej. I w czasie tego procesu zaprezentujemy niezbita dowody, aby przekonać państwa, że Raymond Thorpe został zabity, aby uniemożliwić mu zamordowanie mojego klienta. Dziękuję.

Rozpoczęło się przesłuchiwanie korowodu świadków oskarżenia. Robert Di Silva nie pominął żadnej możliwości. Wśród jego świadków nie zabrakło pastora, strażników więziennych i współwięźniów. Jeden po drugim zajmowali miejsce i zaświadczaali o nieskazitelnym charakterze i pokojowej naturze Raymonda Thorpe'a.

Za każdym razem, gdy prokurator okręgowy kończył przesłuchanie świadka, odwracał się do Jennifer i mówił: „Świadek do pani dyspozycji”.

Za każdym razem Jennifer odpowiadała: „Nie mam żadnych pytań”.

Wiedziała, że nie miała sensu próba dyskredytowania ofiary. Kiedy skończyły się przesłuchania świadków, można było pomyśleć, że Raymond Thorpe nie został uznany za świętego jedynie w wyniku jakiegoś niedopatrzania. Strażnicy, dobrze przygotowani przez Roberta Di Silvę, oświadczaali, że Thorpe był wzorowym więźniem, dokonującym na terenie Sing Sing dobrych uczynków i zawsze chętnym, by pomóc innym współwięźniom. Fakt, że Raymond Thorpe był skazany za napad na bank i gwałt był drobną skazą na jego, poza tym, doskonałym charakterze.

Opis wyglądu zewnętrznego Raymonda Thorpe'a mocno osłabił i tak już słabą linię obrony Jennifer. Był to bowiem człowiek drobnej budowy i miał zaledwie pięć stóp dziewięć cali wzrostu. Robert Di Silva rozwodził się nad tym faktem i nie pozwalał przysięgłym ani na chwilę o tym zapomnieć. Plastycznie odmalował, jak to Abraham Wilson podstępnie zaatakował mniejszego od siebie Thorpe'a i wahał jego głową o betonową płytę dziedzińca spacerowego, co spowodowało natychmiastową śmierć. Gdy Di Silva mówił, oczy przysięgłych utkwione były w olbrzymiej postaci oskarżonego, przy którym wszyscy wyglądali jak karzelki.

Prokurator okręgowy mówił:

- Najprawdopodobniej nigdy nie dowiemy się, co spowodowało, że Abraham Wilson zaatakował tego niewinnego, bezbronnego człowieka...

Serce Jennifer zabiło mocniej. Jedno nieopatrnie wypowiedziane słowo dało jej szansę, na którą czekała od początku.

- .. możemy nigdy nie poznać przyczyn gwałtownego ataku oskarżonego, ale jedno możemy stwierdzić z całą pewnością - nie spowodowane to było faktem, że zamordowany stanowił zagrożenie dla Abrahama Wilsona. Samoobrona? Wysoki Sądzie - zwrócił się do sędziego Waldmana - czy mógłby pan poprosić oskarżonego o powstanie?

Sędzia Waldman spojrzął na Jennifer.

- Czy obrona wnosi sprzeciw?

Jennifer zdawała sobie sprawę, do czego to wszystko zmierza, ale wiedziała też, że jakkolwiek sprzeciw z jej strony mógłby jedynie pogorszyć sytuację.

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Proszę, aby oskarżony wstał - powiedział sędzia Waldman. Abraham Wilson nie ruszał się przez moment, wyzywający wyraz nie opuszczał jego twarzy. Po chwili uniósł się powoli, w całej okazałości prezentując swoje sześć stóp cztery cale wzrostu.

- Na sali znajduje się urzędnik sądowy, pan Galin, który ma pięć stóp dziewięć cali, dokładnie tyle, co zamordowany Raymond Thorpe. Panie Galin, czy mógłby pan podejść i stanąć obok oskarżonego? - powiedział Di Silva.

Urzędnik sądowy podszedł do Abrahama Wilsona i stanął obok niego. Kontrast między obu mężczyznami był rzeczywiście jaskrawy. Jennifer wiedziała, że została znowu przechytrzona, ale nic na to nie mogła poradzić. Na wrażenia wizualne nie miała wpływu. Prokurator okręgowy stał, przypatrując się przez moment obu mężczyznom, a potem powiedział do ławy przysięgłych teatralnym szeptem:

- Obrona własna?

Proces przebiegał gorzej niż w najczarniejszych snach Jennifer.

Niemal namacalnie czuła pragnienie przysięgłych, by proces się jak najszybciej zakończył, aby mogli już ogłosić werdykt o winie.

Ken Bailey siedział wśród publiczności i podczas przerwy Jennifer zamieniła z nim parę słów.

- To niełatwa sprawa - powiedział Ken ze współczuciem. - Żałuję, że twój klient jest King Kongiem. Chryste, sam jego widok powoduje piekielny strach.

- Nic na to nie można poradzić.

- Chyba że, jak w tym starym dowcipie, zostałyby w domu. A jak ci się współpracuje z

szanownym prokuratorem okręgowym?

Jennifer uśmiechnęła się poważnie.

- Pan Di Silva przysłał mi dziś rano pismo. Informuje w nim, że zamierza pozbawić mnie możliwości prowadzenia praktyki adwokackiej.

Kiedy skończył się korowód świadków oskarżenia i Di Silva usiadł, Jennifer wstała i powiedziała:

- Wzywam na świadka Howarda Pattersona.

Zastępca naczelnika więzienia Sing Sing niechętnie podniósł się i podszedł do miejsca dla świadków, czując na sobie wzrok wszystkich zebranych. Robert Di Silva obserwował go bacznie, kiedy składał przysięgę. Umysł Di Silvy pracował gorączkowo, rozważając wszystkie możliwości. Wiedział, że wygrał sprawę. Miał już gotową swoją mowę końcową.

Jennifer zwróciła się do świadka:

- Czy mógłby pan zapoznać ławę przysięgłych ze swoją osobą, panie Patterson?

Prokurator okręgowy Di Silva zerwał się na równe nogi.

- Aby zaoszczędzić czas, rezygnujemy z poznania szczegółów życiorysu świadka. Wystarczy nam, że pan Patterson jest zastępcą naczelnika więzienia Sing Sing.

- Proszę bardzo - powiedziała Jennifer. - Myślę, że ława przysięgłych powinna jednak wiedzieć, że pana Pattersona wezwano do stawienia się w sądzie pod groźbą kary. Zjawił się tutaj jako osoba wrogo usposobiona wobec oskarżonego. - Jennifer odwróciła się do Pattersona. - Kiedy zwróciłam się do pana, aby stawiał się pan tutaj dobrowolnie i świadczył na rzecz mojego klienta, odmówił pan. Czy to prawda?

- Tak.

- Czy mógłby pan powiedzieć przysięgłym, dlaczego musiano wydać sądowy nakaz stawienia się, aby pan tu przyszedł?

- Oczywiście. Mam do czynienia z ludźmi pokroju Abrahama Wilsona przez całe życie. To urodzeni podżegacze.

Robert Di Silva pochylił się na swym krześle, uśmiechając się ironicznie, z oczami utkwionymi w twarzach przysięgłych. Szepnął do swojego asystenta:

- Zobaczysz, jak sama na siebie ukręci bat.

- Panie Patterson - powiedziała Jennifer - Abraham Wilson nie jest tutaj dlatego, że jest podżegaczem. W tym procesie chodzi o jego życie. Czy nie chciałby pan pomóc człowiekowi, niesprawiedliwie oskarżonemu o zbrodnię, za którą grozi kara śmierci?

- Tak, gdyby został oskarżony niesprawiedliwie. - Akcent na słowie „niesprawiedliwie” wywołał pełny zrozumienia wyraz na twarzach przysięgłych.

- W więzieniu zdarzały się już wcześniej przypadki zabójstw, prawda?
 - Jeżeli zamknie się razem w sztucznym środowisku setkę gwałtownych mężczyzn, jest zrozumiałe, że wytwarza się ogromna wrogość i...
 - Panie Patterson, proszę odpowiedzieć na pytanie: tak czy nie?
 - Tak.
 - Czy może pan powiedzieć, że ludzie, którzy dopuścili się tych morderstw, kierowali się różnymi motywami?
 - Myślę, że tak. Czasami.
 - Proszę powiedzieć: tak czy nie.
 - Tak.
 - Czy w tych więziennych porachunkach miało kiedykolwiek miejsce działanie w obronie własnej?
 - Cóż, czasami... - Dostrzegł wyraz twarzy Jennifer - tak.
 - A więc, bazując na pańskim szerokim doświadczeniu, jest zupełnie prawdopodobne, że Abraham Wilson, zabijając Raymonda Thorpe'a bronił swojego życia, prawda?
 - Nie wydaje mi się, żeby...
 - Pytałam, czy to możliwe. Tak czy nie?
 - Jest to wysoce nieprawdopodobne - powiedział z uporem Patterson.
- Jennifer zwróciła się do sędziego Waldmana.
- Wysoki Sądzie, czy mógłby pan poprosić świadka, by odpowiedział na pytanie?
- Sędzia Waldman spojrzał na Howarda Pattersona.
- Proszę, aby świadek odpowiedział na pytanie.
 - Tak.
- Ale fakt, że cała jego postawa mówiła „nie” został zauważony przez ławę przysięgłych.
- Wysoki Sądzie - powiedziała Jennifer - chciałabym przedstawić jako dowody rzeczowe pewne przedmioty uzyskane od świadka.
- Prokurator okręgowy Di Silva wstał.
- Jakie przedmioty?
 - Przedmioty, które usprawiedliwią naszą tezę o działaniu w obronie własnej.
 - Zgłaszam sprzeciw.
 - Przeciwno czemu? - zapytała Jennifer. - Jeszcze ich pan nie widział.
 - Sąd powstrzymuje się z decyzją do czasu zapoznania się z tymi przedmiotami - powiedział sędzia Waldman. - Chodzi tutaj o życie człowieka. Oskarżony ma prawo do

rozpatrzenia wszelkich okoliczności mogących mieć wpływ na wyrok.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - powiedziała Jennifer, po czym zwróciła się do Howarda Pattersona: - Czy przyniósł je pan z sobą?

- Tak. Ale przedkładam je pod przymusem - przyznał przez zaciśnięte usta.

- Myślę, panie Patterson, że dał pan to już do zrozumienia wszystkim zebranym wystarczająco jasno. Czy możemy je zobaczyć?

Howard Patterson spojrział w kierunku miejsc dla publiczności, gdzie siedział mężczyzna w mundurze strażnika więziennego, i skinął na niego. Strażnik wstał i podszedł bliżej. W ręku trzymał drewniane pudło.

Jennifer wzięła od niego skrzynię.

- Wysoki Sądzie, obrona chciałaby, aby zostało to przyjęte jako dowód rzeczowy A.

- Co to jest? - zapytał prokurator okręgowy Di Silva.

- Nazywają to „czarowym kuferkim”. Od strony publiczności rozległy się chichoty.

Sędzia Waldman spojrział na Jennifer i powiedział wolno:

- Powiedziała pani „czarowy kuferek”? Co jest w tym pudle, panno Parker?

- Broń. Broń sporządzona w Sing Sing przez więźniów w celu...

- Sprzeciw! - wrzasnął prokurator okręgowy, zrywając się z miejsca. Podszedł do sędziego. - Proszę uwzględnić brak doświadczenia mojej koleżanki, Wysoki Sądzie, ale jeżeli chce prowadzić sprawy kryminalne, proponowałbym, aby najpierw zapoznała się z podstawowymi zasadami prezentowania dowodów rzeczowych. Nie ma żadnego związku między tym tak zwanym czarowym kuferkim a sprawą, która jest przedmiotem niniejszego procesu.

- To pudło dowodzi...

- To pudło niczego nie dowodzi - zdecydowanym głosem oświadczył prokurator okręgowy, po czym zwrócił się do sędziego Waldmana: - Oskarżenie sprzeciwia się przyjęciu tego jako dowodu rzeczowego, ponieważ nie wiąże się to ze sprawą.

- Przyjmuję sprzeciw.

Jennifer stała, czując, jak linia jej obrony załamuje się. Wszystko było przeciwko niej: sędzia, ława przysięgłych, Di Silva, zeznania świadków. Jej klient powędruje na krzesło elektryczne o ile...

Jennifer wzięła głęboki oddech.

- Wysoki Sądzie, ten dowód jest absolutnie decydujący dla obrony. Jestem przekonana, że...

- Panno Parker - przerwał jej sędzia Waldman - sąd nie ma czasu ani ochoty udzielać

pani pouczeń, ale prokurator okręgowy ma rację. Zanim zjawiała się pani w tej sali, powinna pani zapoznać się z podstawowymi zasadami prezentowania dowodów rzeczowych. Pierwszą zasadą jest nieprzedstawianie dowodów, które nie zostały odpowiednio przygotowane. W aktach sprawy nie ma nic na temat tego, czy ofiara była uzbrojona czy nie. Pani wniosek zostaje odrzucony.

Jennifer poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała z uporem - ale to jest powiązane ze sprawą.

- Dosyć! Może pani wnieść zastrzeżenie do protokołu.

- Wysoki Sądzie, nie chcę wnosić żadnych zastrzeżeń do protokołu. Pan pozbawia mojego klienta przysługujących mu praw.

- Panno Parker, jeżeli pani nie przestanie, oskarżę panią o obrazę sądu.

- Nie zależy mi na tym, o co mnie pan oskarży - powiedziała Jennifer. - Jest bowiem podstawa do przyjęcia tego dowodu rzeczowego. Sam prokurator okręgowy ją stworzył.

- Co takiego? - wtrącił Di Silva. - Nigdy nie... Jennifer zwróciła się do stenografa sądowego.

- Czy mogę prosić o odczytanie fragmentu wystąpienia pana Di Silvy, zaczynającego się od słów: „Najprawdopodobniej nigdy nie dowiemy się, co spowodowało, że Abraham Wilson zaatakował...”?

Prokurator okręgowy spojrzał na sędziego Waldmana.

- Wysoki Sądzie, czy zamierza pan pozwolić... Sędzia Waldman uniósł dłoń i zwrócił się do Jennifer.

- Tego sądu nie trzeba pouczać o procedurach prawnych, panno Parker. Po zakończeniu procesu zostanie pani ukarana za obrazę sądu. Ponieważ jednak przedmiotem tego procesu jest przestępstwo zagrożone karą śmierci, wysłucham panią do końca. Może pan czytać - powiedział do stenografa.

Stenograf sądowy przewrócił parę kartek i zaczął czytać.

- „Najprawdopodobniej nigdy nie dowiemy się, co spowodowało, że Abraham Wilson zaatakował tego niewinnego, bezbronniego człowieka...”

- Dziękuję - przerwała mu Jennifer. - To wystarczy. Spojrzała na Roberta Di Silvę i powiedziała wolno:

- To są pańskie słowa, panie Di Silva. „Najprawdopodobniej nigdy nie dowiemy się, co spowodowało, że Abraham Wilson zaatakował tego niewinnego, bezbronniego człowieka...” - zwróciła się do sędziego Waldmana: - Kluczowym słowem jest, i Wysoki Sądzie, słowo „bezbronny”. Ponieważ prokurator okręgowy sam powiedział ławie

przysięgłych, że ofiara była bezbronna, dał nam możliwość pójścia tym tropem i przekonania się, czy ofiara istotnie była bezbronna, czy też posiadała broń. Wszystko, co zostało wyraźnie sformułowane, może być przedmiotem szczegółowego badania. Nastąpiła długa chwila ciszy.

Sędzia Waldman zwrócił się do Roberta Di Silvy:

- Panna Parker ma niezbity argument. Sam pan stworzył taką możliwość.

Robert Di Silva patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Aleja tylko...

- Sąd wyraża zgodę, aby przedstawiony przedmiot włączyć do akt sprawy jako dowód rzeczowy A.

Jennifer odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Podniosła zamknięte pudło i odwróciła się w stronę ławy przysięgłych.

- Panie i panowie, w swojej mowie oskarżycielskiej prokurator okręgowy powie wam, że to, co zobaczycie w tym pudle, nie stanowi bezpośredniego dowodu. Będzie miał rację. Powie wam, że nie ma niczego, co mogłoby łączyć schowaną tu broń z zabitym Raymondem Thorpem. I znowu będzie miał rację. Włączyłam ten dowód w innym celu. Od kilku dni słyszeliście, jak to bezwzględny, sprawiający wszystkim kłopot oskarżony, mierzący sześć stóp i cztery cale, bez żadnego powodu zaatakował Raymonda Thorpe'a, który miał jedynie pięć stóp dziewięć cali wzrostu. Obraz, który tak starannie i obłudnie namalowało oskarżenie przedstawia sadystyczną, żądną krwi bestię, która zabija bez powodu. Ale proszę sobie samym zadać pytanie: czyż zawsze nie istnieje jakiś motyw? Chciwość, nienawiść, lubieżność, cokolwiek? Wierzę - i życie mojego klienta zależy od tej wiary - że był jakiś motyw tej zbrodni. Jedyny motyw, który - jak powiedział państwu sam prokurator okręgowy - usprawiedliwia zabijanie: samoobrona. Ten człowiek walczył o swoje życie. Słyszeliście Howarda Pattersona, stwierdzającego, że podczas lat jego pracy w więzieniu zdarzały się przypadki morderstw i że więźniowie produkują śmiercionośną broń. Oznacza to, iż nie można wykluczyć, że Raymond Thorpe był uzbrojony, że w rzeczywistości to on zaatakował oskarżonego, a ten, próbując się bronić, zmuszony był zabić - w obronie własnej. Jeśli zadecydujecie, że Abraham Wilson bezlitośnie i bez żadnego powodu zabił Raymonda Thorpe'a, wtedy musicie orzec winę oskarżonego. Jeżeli jednak po zapoznaniu się z tymi dowodami w waszych umysłach powstaną jakiegokolwiek uzasadnione wątpliwości, waszym obowiązkiem jest uniewinnić oskarżonego od zarzutu morderstwa.

Pudło zaczęło ciężać jej w dłoniach.

- Kiedy po raz pierwszy zajrzałam do tej skrzyni, nie wierzyłam własnym oczom.

Wam również może być trudno w to uwierzyć, ale proszę pamiętać, że została ona tu przyniesiona przez zastępcę naczelnika więzienia Sing Sing pod przymusem. Panie i panowie, jest to kolekcja broni, potajemnie wykonanej przez więźniów Sing Sing i skonfiskowana przez służbę więzienną.

Jennifer, podchodząc do ławy przysięgłych, w pewnej chwili potknęła się i straciła równowagę. Pudło wysunęło jej się z rąk, i wieko odleciało i cała zawartość rozsypała się na podłogę sali rozpraw. Wszystkim zaparło dech. Przysięgli zaczęli unosić się ze swych miejsc, aby lepiej widzieć. Patrzyli na kolekcję odrażającej broni, która wypadła ze skrzyni. Była tego prawie setka, różnych rozmiarów, kształtów i przeznaczenia. Siekiery własnej produkcji, noże rzeźnicze, sztylety i nożyczki z ostrymi czubkami, karabiny na śrut i ogromny topór rzeźniczy. Były cienkie druty z drewnianymi rączkami, używane do duszenia, zaostrzony kilof do tłuczenia lodu, maczeta.

Publiczność i dziennikarze wstali, wyciągając szyje, aby lepiej widzieć arsenał rozsypyany na podłodze. Sędzia Waldman gniewnie uderzał młotkiem, domagając się ciszy.

Sędzia Waldman spojrzał na Jennifer z wyrazem oczu, którego nie mogła zrozumieć. Woźny pospieszył, aby pozbierać rozsypane przedmioty, ale Jennifer odprawiła go machnięciem ręki.

- Dziękuję - powiedziała. - Sama to zrobię.

Podczas gdy przysięgli i publiczność patrzyli, Jennifer uklękła i zaczęła podnosić broń i wkładać ją z powrotem do I skrzyni. Robiła to wolno, ostrożnie ujmując każdą rzecz i przypatrując się jej bez żadnego wyrazu, zanim odłożyła do pudła. I, Przysięgli powrócili już na swoje miejsca, ale obserwowali każdy jej ruch. Całe pięć minut zajęło Jennifer umieszczenie broni z powrotem w skrzyni. Prokurator okręgowy Di Silva siedział wściekły.

Kiedy Jennifer włożyła ostatni przedmiot z tego śmierniczońskiego arsenału do pudła, wstała, spojrzała na Pattersona, a następnie zwróciła się do Di Silvy:

- Świadek do pańskiej dyspozycji.

Ale było za późno, aby naprawić szkodę, która została wyrządzona.

- Nie mam żadnych pytań - powiedział prokurator okręgowy.

- W takim razie chciałabym powołać na świadka Abrahama Wilsona.

- Pańskie nazwisko?

- Abraham Wilson.

- Proszę mówić głośniej!

- Abraham Wilson.

- Panie Wilson, czy zabił pan Raymonda Thorpe'a?

- Tak, proszę pani.

- Czy mógłby pan powiedzieć sądowi, dlaczego pan to zrobił?

- Bo on chciał zabić mnie.

- Raymond Thorpe był od pana o wiele niższy. Czy naprawdę pan wierzył, że byłby w stanie coś panu zrobić?

- Zaatakował mnie takim nożem, że różnica wzrostu stała się nieistotna.

Jennifer wyjęła dwa przedmioty z „czarownego kufierka”. Jednym był dobrze naostrzony nóż rzeźniczy, drugim - para dużych, metalowych szczypiec. Podniosła do góry nóż.

- Czy tym nożem groził panu Raymond Thorpe?

- Sprzeciw! Oskarżony nie może wiedzieć, czy...

- Inaczej sformułuję pytanie. Czy ten nóż jest podobny do tego, którym groził panu Raymond Thorpe?

- Tak, proszę pani.

- A te szczypce?

- Też, proszę pani.

- Czy już wcześniej był pan niepokojony przez Thorpe'a?

- Tak, proszę pani.

- I kiedy natarł na pana uzbrojony w te dwa przedmioty, był pan zmuszony zabić go, by ratować własne życie?

- Tak, proszę pani.

- Dziękuję.

Jennifer odwróciła się w stronę Di Silvy.

- Świadek do pańskiej dyspozycji.

Robert Di Silva wstał i wolnym krokiem podszedł do barierki dla świadków.

- Panie Wilson, pan już wcześniej zabił człowieka, prawda? Chciałem powiedzieć, że to nie było pana pierwsze morderstwo?

- Popelnilem blad i placę za niego. Ja...
- Proszę nam oszczędzić kazania. Proszę powiedzieć: tak czy nie?
- Tak.
- A więc życie ludzkie nie przedstawia dla pana dużej wartości?
- To nieprawda. Ja...
- Czy twierdzi pan, że popelnienie dwóch morderstw nie wyklucza możliwości przywiązywania dużej wagi do życia ludzkiego? A ilu ludzi zabiłby pan, gdyby pan nie cenił sobie ludzkiego życia? Pięciu? Dziesięciu? Dwudziestu?

Podpuszczał Abrahama Wilsona, a ten dawał się prowokować. Zacisnął szczęki i twarz zaczęła mu pałać gniewem. „Uważaj!”

- Zabiłem tylko dwóch ludzi.
- Tylko! Zabił pan tylko dwóch ludzi! - Prokurator okręgowy potrząsnął głową z udawanym przerażeniem. Podszedł bliżej i spojrzał na oskarżonego. - Mogę się założyć, że pana wzrost daje panu poczucie siły. Musi się pan czuć trochę jak Bóg. Kiedy tylko pan chce, może pan to tu, to tam odebrać komuś życie...

Abraham Wilson zerwał się na nogi, prostując się na całą wysokość.

- Ty skurwysynie!
- „Nie! - modliła się Jennifer w duchu - nie!”
- Siadaj! - zagrmiał Di Silva. - Czy właśnie w taki sposób straciłeś panowanie nad sobą i zamordowałeś Raymonda Thorpe'a?
- Thorpe próbował mnie zabić.
- Tym? - Di Silva wskazał nóż rzeźnicki i parę szczypiec. - Jestem pewny, że z łatwością mógłbyś mu odebrać ten nóż. - Zamachał szczypcami. - I przeląkłeś się tego? - Odwrócił się w stronę ławy przysięgłych i z dezaprobatą uniósł szczypce. - Nie wyglądają specjalnie groźnie. Gdyby zamordowany uderzył cię nimi w głowę, mógłby co najwyżej nabić ci małego guza. Co to właściwie jest, panie Wilson, ta para szczypiec?

- Służą do miażdżenia jąder - powiedział Abraham Wilson łagodnym tonem.

Ława przysięgłych obradowała osiem godzin.

Robert Di Silva wraz z asystentami opuścił na czas przerwy salę rozpraw, ale Jennifer pozostała, nie będąc w stanie ruszyć się z miejsca.

Kiedy sędziowie przysięgli wyszli z sali, do Jennifer podszedł Ken Bailey.

- Co powiesz na małą kawę?
- Nie jestem w stanie nic przełknąć.

Siedziała w sali rozpraw, bojąc się ruszyć, tylko mgliście zdając sobie sprawę z tego,

co ją otacza. Było już po wszystkim. Zrobiła, co było w jej mocy. Teraz zamknęła oczy i próbowała modlić się, ale przejmujący ją lęk był zbyt silny. Czuła się tak, jakby miała być skazana na śmierć razem z Abrahamem Wilsonem.

Sędziowie przysięgli zajmowali swoje miejsca na sali rozpraw z twarzami ponurymi i nie zapowiadającymi nic dobrego. Serce Jennifer zaczęło bić mocniej. Widziała po ich twarzach, że wydadzą wyrok skazujący. Wydawało jej się, że zemdleje. Przez nią miał zostać skazany człowiek. Nigdy nie powinna była podjąć się tej sprawy. Kto jej dał prawo brać czyjeś życie w swoje ręce? Musiała być szalona, jeżeli myślała, że wygra z kimś tak doświadczonym jak Robert Di Silva. Chciała podbiec do przysięgłych, zanim wydadzą werdykt, i powiedzieć: „Zaczekajcie! Abraham Wilson nie miał uczciwego procesu. Pozwólcie, by bronił go inny adwokat, lepszy ode mnie”.

Ale było już za późno. Jennifer spojrzała ukradkiem na twarz Abrahama Wilsona. Siedział nieruchomo jak posąg. Nie była już z niego nienawiść, tylko głęboka rozpacz. Chciała mu coś powiedzieć, by go pocieszyć, ale nie znajdowała słów.

- Czy sędziowie przysięgli podjęli decyzję? - zapytał sędzia Waldman.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia skinął głową i urzędnik podszedł do przewodniczącego ławy przysięgłych, wziął od niego kartkę i wręczył ją sędziemu. Jennifer czuła, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi. Nie mogła oddychać. Chciała zatrzymać czas, by moment ogłoszenia werdyktu nigdy nie nastąpił.

Sędzia Waldman przestudiował trzymaną w ręku kartkę, po czym wolno rozejrzał się po sali. Zatrzymał wzrok na członkach ławy przysięgłych, na Robercie Di Silvie, na Jennifer, w końcu na Abrahamie Wilsonie.

- Proszę, żeby oskarżony wstał.

Abraham Wilson wstał, jego ruchy były wolne i niezdarne, jakby nagle stracił całą energię. Sędzia Waldman zaczął czytać.

- Ława przysięgłych uznaje oskarżonego Abrahama Wilsona niewinnym zarzucanemu mu czynu.

Nastąpiła chwila ciszy, ale dalsze słowa sędziego utonęły w gwarze publiczności. Jennifer stała oszołomiona, nie wierząc własnym uszom. Bez słowa odwróciła się w stronę Abrahama Wilsona. Gapił się na nią przez chwilę swoimi małymi, złymi oczami. I nagle tę wstrętną twarz rozjaśnił najbardziej promienny uśmiech, jaki Jennifer kiedykolwiek widziała. Objął ją ramionami, a Jennifer próbowała powstrzymać łzy.

Dziennikarze tłoczyli się wokół niej, zasypując ją pytaniami, prosząc, by złożyła

oświadczenie dla prasy.

- Jakie to uczucie zwyciężyć prokuratora okręgowego?
- Czy sądziła pani, że wygra tę sprawę?
- Co zrobiłaby pani, gdyby skazano Wilsona na krzesło elektryczne?

Jennifer potrząsała jedynie głową. Nie była w stanie nic powiedzieć. Przyszli tutaj, by oglądać przedstawienie, by patrzeć, jak skazuje się na śmierć człowieka. Gdyby werdykt był inny... nie mogła o tym myśleć. Zaczęła zbierać swoje papiery i wkładać je do teczki.

Podszedł do niej woźny sądowy.

- Panno Parker, sędzia Waldman chce się z panią widzieć w swoim gabinecie.

Zapomniała, że czekało na nią wezwanie w związku z obrazą sądu, ale wydawało się jej to teraz nieważne. Jedyne co się liczyło to fakt, że uratowała życie Abrahamowi Wilsonowi.

Jennifer spojrzała w stronę stołu oskarżenia. Prokurator okręgowy z furią wkładał do teczki papiery, wymyślając jednemu ze swych asystentów. Poczul na sobie wzrok Jennifer. Ich spojrzenia spotkały się na moment i niepotrzebne były żadne słowa.

Kiedy Jennifer weszła, sędzia Waldman siedział za swoim biurkiem.

- Proszę usiąść, panno Parker - powiedział sucho. Jennifer usiadła.
- Nie pozwolę, by pani czy ktokolwiek inny zamieniał salę rozpraw w scenę teatralną. Jennifer zaczerwieniła się.
- Potknęłam się. Nie mogłam zapobiec temu, co... Sędzia Waldman uniósł rękę.
- Proszę mi oszczędzić tego gadania. Jennifer zagryzła usta.

Sędzia Waldman pochylił się do przodu.

- Druga rzecz, której nie będę tolerował na sali rozpraw to bezczelność.

Jennifer obserwowała go znużona, nie mówiąc ani słowa.

- Przekroczyła dziś pani wszelkie granice. Zdaję sobie sprawę, że pani nadmierna gorliwość wynikała z tego, że broniła pani ludzkiego życia. I dlatego zdecydowałem się nie występować z wnioskiem o obrazę sądu.

- Dziękuję, panie sędzio. - Jennifer z trudem zmusiła się do wypowiedzenia tych słów.

Twarz sędziego była nieprzenikniona, gdy kontynuował:

- Prawie zawsze po zakończeniu procesu mogę powiedzieć, czy sprawiedliwości stało się zadość, czy też nie. Tym razem, mówiąc szczerze, nie wiem. Jennifer czekała, co dalej powie.

- To wszystko, panno Parker.

W wieczornych wydaniach gazet i wiadomości telewizyjnych Jennifer znowu była na pierwszym miejscu, ale tym razem jako bohaterka. Była niczym legendarny Dawid, który pokonał Goliata. Zdjęcia jej, Abrahama Wilsona i prokuratora okręgowego Di Silvy były na pierwszych stronach gazet. Jennifer łapczywie pożerała każde słowo relacji, delektując się sukcesem. Po całej tej nieszczęsności, którą wcześniej cierpiała, zwycięstwo było nad wyraz słodkie.

By uczcić wydarzenie, Ken Bailey zabrał ją na obiad do „Lu - chowa”. Kierownik sali oraz paru gości rozpoznało Jennifer. Obcy ludzie zwracali się do niej po imieniu i gratulowali. Było to bardzo przyjemne.

- Jak to jest być sławnym? - zaśmiał się Ken.
- Jestem jak sparaliżowana. Ktoś przysłał im butelkę wina.
- Nie będę nic piła - powiedziała Jennifer. - Czuję się, jakbym już była pijana.

Ale odczuwała pragnienie i roztrząsając jeszcze raz z Kenem cały proces, wypła trzy kieliszki wina.

- Byłam przerażona. Czy ty wiesz, co to znaczy mieć czyjeś życie w swoich rękach? To tak, jakby się udawało Boga. Czy możesz sobie wyobrazić coś większego? Pomyśl tylko - ja, urodzona w Kelso... Ken, czy możesz zamówić jeszcze jedną butelkę wina?

- Ile tylko zechcesz.

Ken zamówił dla nich prawdziwą ucztę, ale Jennifer była zbyt podniecona, by jeść.

- Czy wiesz, co mi powiedział Abraham Wilson, kiedy go spotkałam po raz pierwszy? Powiedział: „Niech pani wejdzie w moją skórę, ja wejdę w pani i wtedy porozmawiamy sobie o nienawiści”. Ken, byłam dzisiaj w jego skórze i wiesz co? Odnosiłam wrażenie, że sąd wyda wyrok na mnie. Czułam się, jakbym to ja miała zostać skazana na śmierć. Kocham Abrahama Wilsona. Czy możemy zamówić jeszcze trochę wina?

- Ale nic nie jesz.
- Chce mi się pić.

Ken z niepokojem obserwował, jak Jennifer napelniała i opróżniała kolejne kieliszki.

- Spokojnie, nie spiesz się tak. Beztrosko machnęła ręką.
- Przecież to kalifornijskie wino. To tak, jakby się piło wodę. Wypiła jeszcze łyk. - Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Czy wiesz, kto nie jest moim przyjacielem? Wielki Robert Di Sliva. Di Sivla.

- Di Silva.
- On również. Nienawidzi mnie. Widziałeś dzisiaj jego twarz? Och, był wściekły!

Powiedział, że mnie przepędzi z sądu. Ale mu się nie udało, prawda?

- Nie, on...

- Wiesz, co myślę? Wiesz, co naprawdę myślę?

- Ja...

- Di Sliva sądzi, że jestem kapitanem Ahabem, a on jest Moby Dickiem.

- Wydaje mi się, że chciałaś powiedzieć na odwrót.

- Dziękuję, Ken. Wiem, że mogę zawsze na ciebie liczyć. Zamówmy jeszcze jedną butelkę wina.

- Czy przypadkiem nie masz już dosyć?

- Wielorybowi chce się pić - Jennifer zachichotała. - Olbrzymi stary biały wieloryb to ja. Czy powiedziałam ci, że kocham Abrahama Wilsona? Jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Spojrzałam mu w oczy, Ken, mój drogi przyjacielu, i ujrzałam, że jest piękny! Patrzyłeś kiedy w oczy Di Sivly? Och! Są zimne! On jest jak góra lodowa. Ale to nie jest zły człowiek. Mówiłam ci o kapitanie Ahabie i olbrzymim białym wielorybie?

- Tak.

- Kocham starego Ahaba. Kocham wszystkich. A wiesz dlaczego, Ken! Bo Abraham Wilson żyje. Żyje! Zamówmy jeszcze jedną butelkę wina, by to uczcić...

Była druga nad ranem, gdy Ken Bailey zabrał Jennifer do domu. Pomógł jej wejść po stromych stopniach na czwarte piętro i dostać się do jej małego mieszkanca. Oddychał ciężko, zmęczony wspinaczką po schodach.

- Wiesz co - powiedział - czuję działanie tego wina. Jennifer spojrzała na niego z politowaniem.

- Jeśli się ma słabą głowę, to nie należy pić. W tym momencie urwał jej się film.

Obudził ją ostry dzwonek telefonu. Ostrożnie sięgnęła po słuchawkę, ale najmniejszy ruch powodował nieznośny ból w każdym fragmencie jej ciała.

- Halo...

- Jennifer? Tu Ken.

- Cześć, Ken.

- Dobrze się czujesz? Masz okropny głos. Zastanowiła się przez moment.

- Nie najlepiej. Która godzina?

- Już prawie południe. Radzę ci, żebyś przyszła do biura. Panuje tu prawdziwe piekło.

- Ken, myślę, że umieram.

- Posłuchaj. Wstań z łóżka - powoli - weź dwie aspiryny i zimny prysznic, wypij filiżankę gorącej, mocnej kawy i najprawdopodobniej po tym odżyjesz.

Kiedy godzinę później Jennifer zjawiała się w biurze, czuła się trochę lepiej. „Jeszcze

niezupełnie dobrze - pomyślała - ale lepiej”.

Gdy weszła do biura, dzwoniły oba telefony.

- To do ciebie - uśmiechnął się Ken. - Dzwonią bez przerwy! Chyba będzie ci potrzebna centralka telefoniczna.

Były telefony z dzienników i czasopism ogólnokrajowych, ze stacji radiowych i telewizyjnych, które chciały przygotować programy i artykuły o Jennifer. W ciągu jednej nocy stała się sławna. Były również inne telefony, takie, o których do tej pory marzyła. Właściciele kancelarii adwokackich, którzy poprzednio ją odprawiali z kwitkiem, dzwonili, aby spytać, kiedy będzie mogła się z nimi spotkać.

W swoim biurze w śródmieściu Robert Di Silva wrzeszczał na swego pierwszego zastępcę:

- Chcę, aby założył pan teczkę Jennifer Parker!. Chcę być informowany o każdym jej kliencie! Zrozumiałeś!?

- Tak, proszę pana.

- No to do roboty!

- Ten dupek przyszedł do mnie i łaszac się, poprosił, żebym go spiknął z Mike'em. Powiedziałem mu: „Hej, chłopie, jestem tylko zwykłym żołnierzem, nie wiesz o tym?” Jeżeli Mike potrzebowałby nowego snajpera, nie musiałby go szukać w jakiejś zasranej dziurze.

- Próbował cię nabrać, Sal.

- Ale go rozgryzłem. Nie ma powiązań, a w tej robocie, jeśli nie masz stosunków, jesteś niczym.

Rozmowa toczyła się w kuchni wiejskiego domu, wzniesionego trzysta lat temu przez holenderskich osadników w pomocnej części stanu New Jersey.

Rozmówców było trzech: Nick Vito, Joseph Colella i Salvatore Fiore, przezywany Kwiatuszkiem.

Nick Vito miał trupią cerę, wąskie, prawie niewidoczne usta i zielone, głęboko osadzone, martwe oczy. Nosił buty za dwieście dolarów i białe skarpetki.

„Duży Joe” - Joseph Colella - był olbrzymim mężczyzną, przypominającym granitowy monolit; kiedy chodził, sprawiał wrażenie poruszającej się góry. Ktoś kiedyś o nim powiedział, że przypomina mu warzywnik: „Colella ma nos jak kartofel, uszy jak kalafiory i mózdzek jak ziarnko grochu”.

Colella miał miękki, wysoki głos i eleganckie maniere, które wprowadzały ludzi w błąd. Miał konia wyścigowego i niesamowity dar wyławiania zwycięzców. Był człowiekiem bardzo rodzinnym, miał żonę i sześcioro dzieci. Jego specjalnością były pistolety, wszelkie

kwasy i łańcuchy. Żona Joe'go, Carmelina, była głęboko wierzącą katoliczką i w niedzielę, jeżeli Colella nie był na służbie, zawsze zabierał rodzinę do kościoła.

Trzeci mężczyzna, Salvatore Fiore, był niemal karłem. Mierzył pięć stóp i trzy cale wzrostu, a ważył sto piętnaście funtów. Miał niewinną twarz chórzysty kościelnego i władał równie zręcznie bronią palną, co nożem. Miał ogromne powodzenie u kobiet i chełpił się tym, że oprócz żony ma jeszcze pół tuzina przyjaciółek i piękną kochankę. Fiore był kiedyś dżokejem i można go było spotkać na wszystkich torach wyścigowych od Pimlico do Tijuany. Kiedyś sędzia wyścigów w Hollywood Park wykluczył go z zawodów za podawanie koniowi środków dopingujących. Tydzień później ciało sędziego znaleziono w jeziorze Tahoe.

Cała trójka była soldati rodziny Antonio Granellego, ale zaangażował ich Michael Moretti i zarówno duszą, jak i ciałem należeli do niego.

W jadalni odbywał się zjazd Rodziny. Honorowe miejsce przy stole zajmował Antonio Granelli, capo najpotężniejszej rodziny mafijnej na Wschodnim Wybrzeżu. Mimo siedemdziesięciu dwóch lat miał wciąż krzepki wygląd robotnika o mocnych ramionach i szerokiej piersi oraz imponującą grzywę białych włosów. Antonio Granelli, urodzony w Palermo na Sycylii, do Ameryki przyjechał jako piętnastoletni chłopak i zaczął pracować w porcie zachodniego Manhattanu. W wieku dwudziestu jeden lat został zastępcą szefa doków. Pewnego razu mężczyźni pokłócili się i kiedy szef w tajemniczy sposób zniknął, Antonio Granelli zajął jego miejsce. Każdy, kto chciał pracować w dokach, musiał mu zapłacić. Używając tych pieniędzy, wzrastał szybko w potęgę i rozszerzał stopniowo swoją działalność na lichwiarskie pożyczki, prostytutkę, hazard, narkotyki i morderstwa. W ciągu tych lat był trzydzieści dwa razy stawiany w stan oskarżenia, ale skazano go tylko raz - za pobicie. Granelli był bezwzględny i pozbawiony morale, ale pełen chłopskiej przebiegłości.

Na lewo od Granellego siedział Thomas Colfax, consigliere klanu. Dwadzieścia pięć lat temu Colfax miał przed sobą wspaniałą przyszłość jako prawnik, ale raz podjął się obrony małej firmy produkującej oliwę z oliwek. Okazało się, że firma była kontrolowana przez mafię i tak, krok za krokiem, Colfax dał się skusić do prowadzenia także innych spraw dla mafii, aż w końcu, po latach, klan Granellich został jego jedynym klientem. Było to bardzo lukratywne zajęcie i Thomas Colfax stał się bogatym człowiekiem, posiadającym rozległe posiadłości ziemskie i konta bankowe na całym świecie.

Po prawej stronie Antonio Granellego siedział jego zięć, Michael Moretti. Michael był ambitny i ta cecha charakteru niepokoiła Granellego. Michael nie pasował do reszty rodziny. Jego ojciec, Giovanni, daleki kuzyn Antonio Granellego, urodził się nie na Sycylii, a we Florencji. Już to wystarczyło, by traktować rodzinę Morettich z podejrzliwością - każdy wie,

że florentyńczykom nie wolno ufać.

Giovanni Moretti przyjechał do Ameryki i otworzył warsztat szewski, który prowadził całkiem uczciwie: na zapleczu nie uprawiano gier hazardowych, nie udzielano lichwiarskich pożyczek ani nie oferowano usług łatwych dziewcząt. Zdaniem Granellego świadczyło to jedynie o głupocie Morettiego.

Syn Giovanniego, Michael, był zupełnie inny. Ukończył Yale i Szkołę Handlową Whartona. Kiedy Michael zakończył edukację, poprosił ojca tylko o jedno: żeby go poznał ze swoim dalekim kuzynem Antonio Granellim. Stary szewc odwiedził kuzyna i umówiono spotkanie. Granelli był pewny, że Michael chce go poprosić o pożyczkę, żeby móc otworzyć jakiś interes, może warsztat szewski, jak jego głupi ojciec. Ale spotkanie okazało się niespodzianką.

- Wiem, jak uczynić pana bogatym - zaczął Michael Moretti. Antonio Granelli spojrzał na zuchwałego młodzieńca i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Ale przecież ja już jestem bogaty.

- Nie. Panu się tylko tak wydaje. Uśmiech zniknął z twarzy Granellego.

- Co ty, u diabła, wygadujesz, smarkaczu? Michael Moretti zaczął mówić.

Początkowo Antonio Granelli postępował niezwykle ostrożnie, wypróbując każdą radę Michaela. Ale wszystko udawało się świetnie. Już wcześniej klan Granellich był zamieszany w nielegalną działalność przynoszącą zyski; pod nadzorem Michaela Morettiego ta dziedzina aktywności rozszerzyła się. W ciągu pięciu lat klan został właścicielem wielu firm, w tym zajmujących się paczkowaniem mięsa, dostawami tekstyliów, i przewozami, farmaceutykami, a także szeregu restauracji. Michael wynajdywał podupadłe firmy potrzebujące finansowego wsparcia. Klan wchodził na początku jako drobny udziałowiec i stopniowo przejmował wszystkie aktywa. Stare firmy o nieskazitelnej opinii nagle stawały się bankrutami. Firmy, które przynosiły wystarczające dochody Michael rozwijał, zwiększając niesamowicie ich zyski, bo robotnicy w nich zatrudnieni byli członkami kontrolowanych przez niego związków, firmy ubezpieczały się w towarzystwie ubezpieczeniowym należącym do klanu, a samochody kupowały od dealera, który również był częścią organizacji. Michael stworzył symbiotycznego giganta, łańcuch firm, które doiły konsumentów, a pieniądze płynęły do kieszeni mafii.

Pomimo odniesionych sukcesów Michael Moretti zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Odkąd pokazał Antonio Granellemu rozległe możliwości, jakie mogą dawać legalne przedsiębiorstwa, Granelli już go nie potrzebował. Co więcej - był kosztowny, ponieważ na początku przekonał Antonio Granellego, aby dał mu udziały w tym, co i tak

wszyscy uważali, że będzie drobnym biznesem. Ale odkąd pomysły Michaela zaczęły owocować i szerokim strumieniem poczęły napływać pieniądze, Granelli przemyślał wszystko jeszcze raz. Zupełnie przypadkowo Michael dowiedział się, że Granelli zorganizował spotkanie, aby przedyskutować z rodziną, co z nim zrobić.

- Nie podoba mi się, że ten smarkacz dostaje tyle pieniędzy - powiedział. - Musimy się go pozbyć.

Michael zniweczył te zamiary, wżeniwszy się w rodzinę. Rosa, jedyna córka Antonio Granelliego, miała dziewiętnaście lat. Jej matka umarła przy porodzie i Rosa wychowywała się w szkole prowadzonej przez zakonnice. Do domu przyjeżdżała tylko podczas wakacji. Ojciec ubóstwiał ją i dbał o to, by była dobrze chroniona. Rosa poznała Michaela Morettiego podczas ferii wielkanocnych. Zanim wróciła do szkoły, była w nim zakochana po uszy. Wspomnienie jego śniadej twarzy doprowadzało ją do robienia w samotności rzeczy, o których zakonnice mówiły, że są grzechem przeciwko Bogu.

Antonio Granelli łudził się, że córka uważa go jedynie za biznesmena, któremu się powiodło, ale koleżanki Rosy pokazywały jej artykuły o ojcu i jego prawdziwych interesach, publikowane w gazetach i czasopismach, i kiedykolwiek próbowano oskarżyć i skazać kogoś z klanu Granellich, Rosa zawsze o tym wiedziała. Nigdy nie rozmawiała na te tematy z ojcem, więc żył w błogim przeświadczeniu, że córka nie zna prawdy.

Gdyby Granelli wiedział, co myśli o nim córka, bardzo by się zdziwił, ponieważ Rosa uważała zajęcia ojca za niezwykle ekscytujące. Nienawidziła szkolnej dyscypliny i to spowodowało, że znenawidziła wszelkie autorytety. Wyobrażała sobie swego ojca jako pewnego rodzaju Robin Hooda, walczącego z władzą i rzucającego jej wyzwania. Fakt, że Michael Moretti był ważną osobą w Organizacji, sprawiał, że był dla Rosy tym bardziej pociągający.

Michael od samego początku był bardzo ostrożny w swoim postępowaniu wobec dziewczyny. Kiedy udawało im się zostać samym, wymieniali żarliwe pocałunki, ale Michael nigdy nie posunął się za daleko. Rosa była dziewicą i była gotowa oddać się ukochanemu mężczyźnie. Ale Michael mówił jej:

- Za bardzo cię szanuję, Roso, aby iść z tobą do łóżka przed ślubem.

W rzeczywistości bał się Antonio Granelliego. „Uciałyby mi jaja” - myślał Michael.

I akurat tak się złożyło, że właśnie wtedy, kiedy Granelli dyskutował o najlepszym sposobie pozbycia się Morettiego, Michael i Rosa przyszli do niego i oświadczyli, że się kochają i chcą się pobrać. Starzec krzyczał, groził i wymieniał setkę powodów, dlaczego może to mieć miejsce tylko po jego trupie. W końcu, oczywiście, prawdziwa miłość

zwyciężyła i z wielką pompą odbyły się zaślubiny Michaela i Rosy.

Po ślubie starszy pan odwołał Michaela na bok.

- Michael, Rosa to wszystko, co mam. Proszę, żebyś się nią dobrze opiekował.

- Obiecuję to, Tony.

- Będę cię obserwował. Byłoby dobrze, gdybyś ją uszczęśliwił. Wiesz, co mam na myśli?

- Tak.

- I żadnych dziwek, jasne? Rosa lubi gotować. Zapamiętaj, że codziennie masz być na obiedzie w domu. Będziesz zięciem, z którego mam być dumny.

- Będę się bardzo starał, Tony.

- A tak przy okazji, Mike teraz, kiedy jesteś członkiem rodziny, myślę, że powinienem zwiększyć twoje udziały w zyskach - dodał niby mimochodem.

Michael poklepał go po ramieniu.

- Dziękuję, ojcze, ale wystarczy nam to, co mamy. Stać mnie, by kupować Rosie wszystko, czego tylko zechce.

I odszedł, zostawiając starca w zadumie.

Miało to miejsce siedem lat temu i okres, który potem nastąpił, był dla Michaela cudowny. Rosa była miła i łatwa we współżyciu. Poza tym ubóstwiała go, ale Michael wiedział, że gdyby umarła lub odeszła od niego, poradziłby sobie bez niej. Po prostu znalazłby sobie kogoś innego, kto robiłby to, co robiła dla niego Rosa. Nie kochał jej. Sądził, że nie jest w stanie nikogo pokochać. Miał wrażenie, że pod tym względem jest człowiekiem ułomnym.

Nie żywił uczuć w stosunku do ludzi, jedynie do zwierząt. Na swoje dziesiąte urodziny Michael dostał szczeniaka collie. Byli nierozłączni. Sześć tygodni później pies zginął, potrącony przez samochód. Kiedy ojciec Michaela zaproponował, że kupi mu drugiego psa, Michael odmówił. Od tej pory już nigdy nie miał psa.

Michael wyrósł, obserwując swojego ojca harującego całe życie za nędzne grosze, i postanowił, że jemu to nigdy się nie przytrafi. Gdy po raz pierwszy usłyszał rozmowę o swoim sławnym, dalekim kuzynie, Antonio Granellim, wiedział, do czego zmierzać. W Stanach Zjednoczonych było dwadzieścia sześć klanów mafii, pięć z nich w Nowym Jorku, a rodzina jego kuzyna Antonia była najsilniejsza. Od wczesnego dzieciństwa Michael był chowany na opowieściach o mafii. Ojciec opowiedział mu o „nocy niesporów sycylijskich” 10 września 1931 roku, kiedy to zaszła zmiana w rozkładzie sił. Podczas tej jednej nocy mafijni „młodzi Turcy” przeprowadzili krwawy zamach stanu, zabijając ponad czterdziestu

„wąsatych wujków”, starą gwardię, która przybyła z Włoch i Sycylii.

Michael należał do nowego pokolenia. Pozbył się starego sposobu myślenia i wniósł świeże pomysły. Wszystkie rodziny kontrolowała dziewięcioosobowa komisja krajowa i Michael wiedział, że pewnego dnia właśnie on stanie na czele tej komisji.

Michael zaczął obserwować dwóch ludzi siedzących przy stole w wiejskiej posiadłości w New Jersey. Antonio Granelli miał jeszcze przed sobą parę lat życia, ale, przy odrobinie szczęścia, nie za wiele.

Thomas Colfax był wrogiem numer jeden. Prawnik był mu przeciwny od samego początku. W miarę jak wpływ Michaela na starszego pana wzrastał, Colfaksa malał.

Michael wprowadzał coraz więcej swoich ludzi do organizacji, ludzi takich, jak Nick Vito i Salvatore Fiore czy Joseph Colella, ludzi szczerze mu oddanych. Thomasowi Colfaxowi to się nie podobało.

Kiedy Michaela oskarżono o zamordowanie braci Ramosów i Camillo Stela zgodził się świadczyć w sądzie przeciwko niemu, stary prawnik myślał, że w końcu pozbędzie się Morettiego, bo prokurator okręgowy miał go w garści.

Michael w środku nocy wymyślił sposób ratunku. O czwartej nad ranem poszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do Josepha Colelli.

- W przyszłym tygodniu zostaną zaprzysiężeni do pracy w biurze prokuratora okręgowego nowi pracownicy. Czy możesz zdobyć ich nazwiska?

- Oczywiście, Mike, to żaden problem.

- Jeszcze jedno, zadzwoń do Detroit i powiedz, żeby przysłali tu kogoś czystego, jednego z chłopców, który nigdy nie był notowany - powiedział Michael i odwiesił słuchawkę.

Dwa tygodnie później Michael Moretti siedział w sali rozpraw, przyglądając się nowym asystentom prokuratora okręgowego. Obserwował ich uważnie, jego wzrok przesuwiał się badawczo od twarzy do twarzy. To, co zamierzał uczynić, było wprawdzie ryzykowne, ale dzięki temu mogło się udać. Miał do czynienia z nowicjuszami, którzy byli zbyt zdenerwowani, aby zadawać dużo pytań i bardzo pragnęli okazać swoją przydatność i czymś się wyróżnić. No cóż, jeden z nich niewątpliwie dziś się wyróżni.

W końcu Michael wybrał Jennifer Parker. Podobało mu się, że była niedoświadczona i spięta, i że nieudolnie próbowała ukryć swe zdenerwowanie. Odpowiadało mu, że jest kobietą i będzie odczuwała większe napięcie niż mężczyzna. Kiedy Michael ostatecznie podjął decyzję, odwrócił się do siedzącego wśród publiczności człowieka w szarym garniturze i kiwnął głową w stronę Jennifer. To było wszystko.

Michael obserwował, jak prokurator okręgowy po zakończeniu przesłuchania tego skurczybyka Camillo Steli spojrzął na Thomasa Colfaxes i powiedział: „Świadek do pańskiej dyspozycji”. Thomas Colfax wstał.

- Wysoki Sądzie, jest już prawie południe, wolałbym, aby przesłuchanie świadka odbyło się bez przerwy. Czy wolno mi zaproponować teraz przerwę na lunch, a przesłuchanie rozpocząć po południu?

Ogłoszono przerwę. Nadeszła odpowiednia chwila.

Michael widział, jak jego człowiek obojętnie podszedł do ludzi tłoczących się wokół prokuratora okręgowego. Mężczyzna zachowywał się, jakby był członkiem grupy. Po chwili podszedł do Jennifer i wręczył jej wielką kopertę. Michael siedział, wstrzymując oddech, modląc się, by Jennifer wzięła kopertę i poszła w stronę pomieszczeń dla świadków. Zrobiła to, ale Michael Moretti odprężył się dopiero wtedy, gdy zobaczył ją powracającą z pustymi rękami.

Było to rok temu. Gazety zniszczyły dziewczynę, ale to było już jej zmartwienie. Michael nie myślał o niej aż do czasu, gdy prasa zaczęła pisać o procesie Abrahama Wilsona. Wyciągnięto przy okazji starą historię Morettiego i udział w niej Jennifer Parker. Umieszczono jej zdjęcie. Wyglądała oszalamiająco, a poza tym biło z niej poczucie niezależności, które coś w nim poruszyło. Długo wpatrywał się w jej zdjęcie.

Michael z narastającym zainteresowaniem zaczął śledzić proces Abrahama Wilsona. Kiedy po ogłoszeniu unieważnienia procesu przeciwko Michaelowi chłopcy czcili obiadem zwycięstwo, Salvatore Fiore zaproponował toast: za jednego pieprzonego prawnika, którego pozbył się świat.

„Ale świat się jej nie pozbył” - pomyślał Michael. Jennifer Parker powróciła i znowu walczyła. Spodobało mu się to.

Poprzedniego wieczoru Michael widział ją w telewizji, omawiającą swoje zwycięstwo nad Robertem Di Silvą, i sprawiło mu to dziwną przyjemność.

- Czy to nie ją usadziłeś, Michael? - zapytał Antonio Granelli.

- Mhm, ma głowę na karku, Tony. Być może kiedyś nam się przyda.

Następnego dnia po wydaniu werdyktu w sprawie Abrahama Wilsona zadzwonił Adam Warner.

- Dzwonię, by złożyć ci gratulacje.

Jennifer natychmiast rozpoznała jego głos. Wywarł na niej większe wrażenie, niż się spodziewała.

- Mówi...

- Poznaję - przerwała mu Jennifer i pomyślała: „Dlaczego to powiedziałam?”

Nie powinna dać Adamowi odczuć, jak często o nim myślała w ciągu ostatnich miesięcy.

- Muszę ci powiedzieć, że wspaniale rozegrałaś sprawę Abrahama Wilsona. Zasłużyłaś sobie na zwycięstwo.

- Dziękuję.

„Zaraz odłóż słuchawkę - pomyślała Jennifer - i już nigdy go nie zobaczę. Najprawdopodobniej cały wolny czas poświęca swoim licznym przyjaciołom”. Ale Adam Warner powiedział:

- Zastanawiam się, czy nie zechciałabyś kiedyś pójść ze mną na obiad.

„Mężczyźni nie lubią łatwych dziewczyn - pomyślała i zapytała:

- Co powiesz na dzisiejszy wieczór? Wyczuła, że się uśmiechnął.

- Obawiam się, że dysponuję czasem dopiero w piątek. Czy odpowiada ci ten dzień?

- Tak. - Z trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć: oczywiście, że tak.

- Przyjechać po ciebie do domu?

Jennifer ujrzała w myślach swoje okropne mieszkanie, wysłużoną kanapę i deskę do prasowania w kącie pokoju.

- Może będzie lepiej, jeżeli spotkamy się gdzieś w mieście.

- Jak ci smakuje jedzenie w „Lutece”?

- Czy mogę odpowiedzieć na to pytanie, kiedy coś tam zjem?

Roześmiał się.

- Może o ósmej?

- Wspaniale.

Wspaniale. Jennifer odłożyła słuchawkę i siedziała ogarnięta euforią.

„To śmieszne - pomyślała - na pewno jest żonaty i ma co najmniej dwa tuziny dzieci”.

Niemal pierwszą rzeczą, którą zauważyła Jennifer, kiedy po raz pierwszy jedli obiad,

było to, że Adam nie miał obrączki.

„Niewystarczający dowód - pomyślała z ironią - zdecydowanie powinien być przepis nakazujący wszystkim żonatym mężczyznom noszenie obrączek”.

Do pokoju wszedł Ken Bailey.

- Jak się czuje mistrz? - Przyjrzał się jej uważnie. - Wyglądasz, jakbyś właśnie złowiła klienta.

Jennifer zawahała się, a po chwili powiedziała:

- Ken, czy mógłbyś dla mnie kogoś sprawdzić? Podszedł do jej biurka, wziął notes i ołówek.

- Oczywiście, kto to taki?

Zaczęła wymawiać nazwisko Adama, ale przerwała, czując się głupio. Kto dał jej prawo mieszać się w prywatne życie Adama Warnera? „Na miłość boską - powiedziała sobie - przecież poprosił cię jedynie, byś zjadła z nim obiad, a nie żebyś wyszła za niego za żonę”.

- Mniejsza o to! Ken odłożył ołówek.

- Jak sobie życzysz.

- Ken...

- Tak?

- Adam Warner. Nazywa się Adam Warner. Spojrzał na nią zdumiony.

- Nie musisz mnie prosić, żebym go sprawdził. Wystarczy, że będziesz czytać gazety.

- Co o nim wiesz?

Ken Bailey opadł na krzesło stojące naprzeciw Jennifer i splótł ręce.

- A więc słuchaj. To wspólnik Needhama, Fincha i Pierce'a. Skończył wydział prawa w Harvardzie. Pochodzi z bogatej rodziny należącej do elity towarzyskiej. Jest po trzydziestce...

Jennifer spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Skąd o nim tyle wiesz? Zrobił do niej oko.

- Ma się przyjaciół w eleganckim świecie. Chodzą słuchy, że pan Warner ma zostać wybrany do senatu Stanów Zjednoczonych. Powstało nawet pewne poruszenie w kręgach bliskich prezydentowi. Ma coś, co nazywają charyzmą.

„Z pewnością” - pomyślała Jennifer. Starła się, by jej kolejne pytanie wypadło naturalnie.

- A co z życiem osobistym?

Ken Bailey spojrzał na nią dziwnie.

- Jego żona jest córką ministra marynarki wojennej i siostrzenicą Stewarta Needhama,

wspólnika Warnera.

Serce Jennifer zamarło. A więc jednak. Ken obserwował ją zaintrygowany.

- Skąd to nagłe zainteresowanie Adamem Warnerem?
- Zwykła ciekawość.

Jeszcze długo po wyjściu Kena Bailey'a Jennifer siedziała, myśląc o Adamie.

„Zaprosił mnie na obiad z zawodowej uprzejmości. Chce mi pogratulować. Ale przecież zrobił to już przez telefon. A więc dlaczego? Znowu go zobaczę. Ciekawe, czy wspomni, że jest żonaty. Na pewno nie. No cóż, po prostu w piątek zjem obiad z Adamem Warnerem i tyle”.

Późnym popołudniem tego samego dnia do Jennifer zadzwonili z „Peabody and Peabody”. Telefonował sam starszy wspólnik.

- Już od jakiegoś czasu miałem zamiar do pani zadzwonić - powiedział. - Chciałem zaprosić panią na lunch.

Jego zdawkowy ton nie zwiódł Jennifer. Była pewna, że pomysł wspólnego lunchu nie przyszedł mu do głowy, póki nie przeczytał o wyniku procesu Abrahama Wilsona. Z pewnością nie chciał się z nią spotkać, aby omawiać sprawę doręczania wezwań sądowych.

- Proponuję jutro w moim klubie, odpowiada to pani?

Następnego dnia spotkali się na lunchu. Starszy pan Peabody był bladym, pedantycznym mężczyzną, starszą wersją własnego syna. Pod kamizelką rysował się nieznaczny brzuszek. Jennifer w równym stopniu podobał się ojciec, co i syn.

- Panno Parker, mamy w naszej firmie wolny etat dla młodego, zdolnego adwokata. Na początek możemy zaproponować pani piętnaście tysięcy dolarów rocznie.

Jennifer siedziała, słuchając go i myśląc, ile dla niej znaczyłaby ta oferta rok temu, kiedy rozpaczliwie szukała pracy i potrzebowała kogoś, kto by jej zaufał.

- Jestem pewny - mówił - że w ciągu paru lat będzie pani miała możliwość zostania pełnoprawnym wspólnikiem naszej firmy.

„Piętnaście tysięcy dolarów rocznie plus udziały w firmie” - Jennifer pomyślała o małym biurze, które dzieliła z Kenem, i o swym nędznym mieszkaniu ze sztucznym kominkiem na czwartym piętrze bez windy.

Pan Peabody wziął jej milczenie za zgodę.

- Świetnie, chcielibyśmy, aby zaczęła pani jak najszybciej. Może nawet w poniedziałek. Ja...

- Nie.

- Och, jeżeli nie odpowiada pani od poniedziałku, to...

- Chciałam powiedzieć, że nie mogę skorzystać z pańskiej oferty, panie Peabody - powiedziała Jennifer, sama się sobie dziwiąc.

- Rozumiem. - Nastąpiła chwila przerwy. - W takim razie może zainteresuje panią dwadzieścia tysięcy rocznie. - Zauważył wyraz jej twarzy. - Albo dwadzieścia pięć. Proszę to rozważyć.

- Już to rozważyłam. Chcę pracować na własną rękę.

Wreszcie zaczęli przychodzić do niej prawdziwi klienci. Jeszcze niezbyt wielu i niezbyt zamożnych, ale zawsze. Biuro stawało się dla niej za małe.

Pewnego razu, gdy Jennifer poprosiła dwóch klientów, by poczekać w korytarzu, podczas gdy sama rozmawiała z trzecim, Ken zauważył:

- Tak dłużej nie można. Musisz się stąd wyprowadzić i otworzyć przyzwoite biuro w centrum.

Jennifer skinęła głową.

- Wiem, już się nad tym zastanawiałam.

Ken zaczął grzebać w papierach, by uniknąć jej wzroku.

- Będzie mi ciebie brakowało.

- O czym ty mówisz? Musisz przeprowadzić się ze mną. Minęła chwila, nim dotarło do niego to, co powiedziała.

Unióśł głowę i jego piegowatą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Przeprowadzić się z tobą? - Rozejrzał się po zagraconym pokoju bez okien. - I zostawić to wszystko?

W następnym tygodniu Jennifer i Ken Bailey przenieśli się do większego biura przy Piątej Alei. Ich nowa siedziba była urządzona z prostotą i składała się z trzech niewielkich pokoi: jednego dla Jennifer, jednego dla Kena i jednego dla sekretarki.

Jako sekretarkę zatrudnili młodą dziewczynę, świeżo upieczoną absolwentkę nowojorskiego uniwersytetu, Cynthię Ellman.

- Na początku nie będzie miała pani zbyt dużo pracy - usprawiedliwiała się Jennifer - ale z czasem wszystko się rozkręci.

- Jestem pewna, że tak, panno Parker. - W jej głosie brzmiał 'szczerzy podziw dla Jennifer.

„Chce być taka jak ja - pomyślała Jennifer. - Niech ją Bóg broni!”

Wszedł Ken Bailey i powiedział:

- Hej, czuję się samotny w tym wielkim gabinecie. Co porwiesz na obiad i kino dziś wieczorem?

- Obawiam się, że...

Była zmęczona i musiała jeszcze przeczytać parę opisów starych procesów, ale przecież Ken był jej najlepszym przyjacielem i nie mogła mu odmówić.

- Z chęcią pójde.

Byli na „Oklaskach” i Jennifer bardzo podobał się ten film. Lauren Bacall była absolutnie urzekająca. Wieczorem poszli na kolację do „Sardiego”.

Kiedy zamówili potrawy, Ken powiedział:

- Mam na piątek dwa bilety na balet. Myślałem, że moglibyśmy...

- Przykro mi, Ken - odpowiedziała Jennifer. - W piątek jestem zajęta.

- Rozumiem. - Jego głos był dziwnie matowy.

Od czasu do czasu Jennifer przyłapywała Kena, jak na nią dziwnie patrzył, myśląc, że nikt tego nie widzi. Na jego twarzy malował się wtedy wyraz, którego Jennifer nie potrafiła określić. Wiedziała, że Ken nie ma nikogo, chociaż nigdy o tym nie mówił i nigdy nie zwierzał jej się ze swojego życia. Nie mogła zapomnieć, co powiedział jej Otto, i zastanawiała się, czy Ken wie, czego chce od życia. Byłaby szczęśliwa, mogąc mu jakoś pomóc.

Jennifer wydawało się, że piątek nigdy nie nadejdzie. W miarę jak zbliżał się termin jej obiadu z Adamem Warnerem coraz trudniej przychodziło jej skupić się na pracy. Przyłapywała się na tym, że bez przerwy o nim myśli. Wiedziała, że to śmieszne. Widziała go tylko raz w życiu, a mimo to nie mogła wymazać z pamięci. Próbowала to sobie tłumaczyć, że przecież uratował ją, kiedy groziło jej postępowanie wykluczające, a potem przysyłał jej klientów. To wszystko było prawdą, ale Jennifer wiedziała, że było także coś więcej. Było to coś, czego nie potrafiła wytłumaczyć samej sobie, uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doznawała, zainteresowanie, którego nigdy nie odczuła w stosunku do żadnego mężczyzny. Zastanawiała się, jaka jest żona Adama Warnera. Była bez wątpienia jedną z tych wybranych, które co środa przekraczają próg salonu Elizabeth Arden, aby poddać się zabiegom upiększającym od stóp do głów. Była na pewno zadbana, ubierała się z wyszukaną elegancją kobiety z wyższych sfer.

O dziesiątej rano tego wyczekiwanego piątku Jennifer zapisała się do nowej włoskiej fryzjerki, u której - jak jej powiedziała Cynthia - cheszą się wszystkie modelki. O dziesiątej trzydzięści Jennifer odwołała wizytę. O jedenastej umówiła się ponownie.

Ken Bailey zaprosił ją na lunch, ale była zbyt podniecona, by cokolwiek wziąć do ust. Wybrała się więc na zakupy do Bendela, gdzie kupiła krótką szyfonową sukienkę w ciemnozielonym, pasującym do jej oczu, kolorze, parę brązowych, eleganckich pantofelków i

dobraną do nich torebkę. Wiedziała, że znacznie przekroczyła swój budżet, ale nie mogła się powstrzymać.

W drodze do wyjścia minęła stoisko perfumeryjne i pod wpływem nagłego impulsu kupiła sobie flakonik perfum „Joy”. Nie miało to najmniejszego sensu, bo przecież ten człowiek był żonaty.

Jennifer wyszła z biura o piątej i pojechała do domu przebrać się. Spędziła dwie godziny na kąpieli i ubieraniu się, a kiedy skończyła, przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze. Następnie w odruchu buntu rozczesała swoje starannie ufryzowane włosy i związała je zieloną wstążką. „Tak będzie lepiej - pomyślała. - Jestem przecież prawnikiem, który idzie na obiad z kolegą po fachu. Ale kiedy zamknęła drzwi, zostawiła za sobą delikatny zapach jaśminu i róży.”

„Lutece” była zupełnie inna niż sobie to Jennifer wyobrażała. Nad wejściem do małej kamienicy powiewała francuska, trójkolorowa flaga. W środku wąski hol prowadził do niewielkiego baru, a dalej była przeszklona sala, jasna i wesoła, z wiklinowymi meblami i obrusami w kratkę. W drzwiach przywitał ją właściciel, Andre Soltner.

- Czym mogę służyć?

- Jestem umówiona z panem Adamem Warnerem. Myślę, że przyszłam trochę za wcześnie.

Wskazał Jennifer mały bar.

- Czy nie zechciałaby pani tymczasem napić się, panno Parker?

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Jennifer.

- Za chwilę poproszę kelnera.

Jennifer zajęła miejsce i zabawiała się obserwowaniem wystrojonych w futra i klejnoty kobiet przybywających tu ze swoimi towarzyszami. Jennifer czytała i słyszała o „Lutóce”. Lokal był znany jako ulubiona restauracja Jacqueline Kennedy i słynął ze wspaniałej kuchni.

Do Jennifer podszedł siwowłosy, dystyngowanie wyglądający mężczyzna i zapytał:

- Czy pozwoli pani, że się na chwilę przysiadę? Jennifer zeszywniała.

- Czekam na kogoś - zaczęła. - Powinien być... Starszy pan uśmiechnął się i usiadł.

- Nie próbuję pani poderwać, panno Parker.

Jennifer spojrzała na niego ze zdziwieniem, nie mogąc go sobie przypomnieć.

- Nazywam się Lee Browning, jestem współwłaścicielem „Holland and Browning”. - Była to jedna z bardziej prestiżowych kancelarii adwokackich w Nowym Jorku. - Chciałem jedynie pogratulować pani sposobu, w jaki poprowadziła pani sprawę Wilsona.

- Dziękuję panu, panie Browning.

- Podjęła pani duże ryzyko. Wynik tego procesu był z góry przesądzony. - Obserwował ją przez moment. - Jest niepisana zasada, że gdy występuje się po niewłaściwej stronie w sprawie nie do wygrania, należy się upewnić, czy procesowi nie towarzyszy rozgłos. Cała sztuka polega bowiem na zwracaniu na siebie uwagi w sprawach, w których jesteśmy pewni swego zwycięstwa, i ukrywaniu porażek. Niejednego z nas wystrychnęła pani na dudka. Czy zamówiła pani już coś do picia?

- Nie...

- Pozwoli pani?... Wiktor skinął na kelnera - przynieś nam butelkę szampana, dobrze? „Dom Perignon”.

- Już się robi, panie Browning. Jennifer uśmiechnęła się.

- Czy próbuje mi pan zaimponować? Zaśmiała się głośno.

- Próbuję panią zatrudnić. Wyobrażam sobie, że otrzymuje pani masę ofert.

- Trochę.

- Nasza firma zajmuje się głównie sprawami korporacji, panno Parker, ale niektórzy nasi zamożniejsi klienci niekiedy dają się ponieść emocjom i potrzebują adwokata w sprawach karnych. Myślę, że moglibyśmy przedstawić pani bardzo atrakcyjną propozycję. Czy nie wstąpiłaby pani do mojego biura, by to omówić?

- Dziękuję, panie Browning, czuję się zaszczycona, ale właśnie przeprowadziłam się do mojego własnego biura. Mam nadzieję, że mi się uda.

Przypatrzył się jej uważniej.

- Na pewno.

Widząc, że ktoś podszedł, podniósł wzrok, a następnie wstał i wyciągnął dłoń.

- Adam! Jak się masz?

Jennifer spojrzała i zobaczyła Adama Warnera wymieniającego uścisk z Lee Browningiem. Serce zaczęło jej bić szybciej i poczuła, że się czerwieni. „Głupia pensjonarka!”

Adam Warner spojrzał na Jennifer i Browninga i spytał:

- Znacie się?

- Właśnie zaczynaliśmy się poznawać - swobodnie odrzekł Lee Browning. - Przyszedłeś trochę za wcześnie.

- Albo w samą porę. - Adam ujął Jennifer pod ramię. - Może będziesz miał więcej szczęścia następnym razem, Lee.

Podszedł do nich kierownik sali.

- Panie Warner, czy zechcą państwo zająć miejsca przy stole, czy też napiją się najpierw czegoś przy barze?

- Usiądziemy przy stole, Henri.

Siedzieli już przy stoliku i Jennifer rozejrzała się po sali; zauważyła kilka znanych osobistości.

- To miejsce wygląda zupełnie jak ilustracja do „Who is who” - powiedziała.

Adam spojrzał na nią i odparł:

- Teraz tak.

Jennifer poczuła, że znowu się czerwieni. „Przestań, ty wariatko!”. Zastanawiała się, ile dziewcząt przyprowadzał tu Adam Warner, podczas gdy jego żona siedziała w domu, czekając na niego. Zastanawiała się, czy też zawsze udawało mu się to utrzymać w tajemnicy. Cóż, miała nad nim przewagę. „Czeka pana niespodzianka, panie Warner - pomyślała Jennifer”.

Zamówili trunki i jedzenie i zajęli się rozmową o drobiazgach. Jennifer głównie pozwalała mówić Adamowi. Był dowcipny i czarujący, ale była obojętna na jego wdzięk. Nie było to wcale łatwe. W pewnej chwili zorientowała się, że śmieje się z jego dowcipów i zabawnych historyjek.

„Nic mu nie pomoże” powiedziała sobie Jennifer. Nie szukała przygody. Prześladowało ją widmo własnej matki. W głębi serca Jennifer kryło się pragnienie wielkiego uczucia, którego się bała, bała się wyzwolić.

Jedli już deser, a Adam nie powiedział jeszcze ani jednego słowa, które można byłoby źle zrozumieć. Jennifer wzniosła mur obronny na próżno, przygotowała się na odparcie ataku, który wcale nie następował i poczuła się głupio. Zastanawiała się, co powiedziałby Adam, gdyby wiedział, o czym myślała przez cały wieczór. Roześmiała się nad własną próżnością.

- Nie miałam nigdy okazji, by podziękować ci za klientów, których do mnie kierowałeś - powiedziała. - Dzwoniłam do ciebie kilka razy, ale.

- Wiem. - Adam zawahał się, a potem dodał zakłopotany: - Nie chciałem do ciebie oddzwaniać.

Jennifer spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Bałem się - powiedział po prostu.

No i stało się. Wziął ją przez zaskoczenie w chwili, kiedy nie miała się na baczności, ale znaczenie jego słów było jasne. Jennifer wiedziała, co teraz nastąpi, ale nie chciała, by się to stało.

Nie chciała, by zachował się jak inni żonaci mężczyźni udający kawalerów. Gardziła

nimi, a nie chciała gardzić Adamem.

- Jennifer, chcę, żebyś wiedziała, że jestem żonaty - powiedział cicho.

Siedziała, gapiąc się na niego z otwartymi ustami.

- Przepraszam, powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej - uśmiechnął się z wysiłkiem. - Chociaż właściwie nie było przecież żadnego wcześniej, prawda?

Jennifer przepełniło dziwne zakłopotanie.

- Dlaczego... dlaczego zaprosiłeś mnie na obiad, Adamie?

- Ponieważ musiałem cię znowu zobaczyć.

Wszystko zaczęło się wydawać Jennifer nierealne. Czowała się tak, jakby została uniesiona przez gigantyczną morską falę. Siedziała słuchając, jak Adam mówił wszystko, co czuł, i wiedziała, że każde jego słowo jest prawdziwe. Wiedziała, bo czuła to samo. Chciała, by przestał, zanim powie za dużo. Chciała, by sobie poszedł i nic już nie mówił.

- Mam nadzieję, że cię nie uraziłem - powiedział Adam. W jego tonie brzmiała niezwykła delikatność, która wstrząsnęła Jennifer.

- Adamie, ja... ja...

Spojrzał na nią i chociaż jej nie dotykał, poczuła, jakby była w jego ramionach.

- Opowiedz mi o swojej żonie - powiedziała drżącym głosem.

- Mary Beth i ja jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat. Jesteśmy bezdzietni.

- Rozumiem.

- Zdecydowała... zdecydowaliśmy, że nie będziemy mieć dzieci. Kiedy się pobieraliśmy, byliśmy oboje bardzo młodzi. Znałem ją od dawna. W Maine domy letniskowe naszych rodziców sąsiadowały ze sobą. Kiedy miała osiemnaście lat, jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Mary Beth omal nie oszalała z rozpaczy. Była zupełnie sama. Ja... pobraliśmy się.

„Poślubił ją z litości, ale jest zbyt dobrze wychowany, by to powiedzieć” - pomyślała Jennifer.

- To cudowna kobieta. Zawsze się bardzo dobrze rozumieliśmy.

Mówił więcej, niż chciała wiedzieć, więcej, niż mogła znieść.

Instynkt ostrzegał ją, żeby uciekała. W przeszłości potrafiła bez trudu poradzić sobie z żonatymi mężczyznami, którzy chcieli z nią przeżyć przygodę, ale wiedziała, że tym razem jest inaczej. Jeżeli kiedykolwiek zakocha się w tym człowieku, nie będzie już miała drogi ucieczki. Będzie szalona, jeśli zacznie się z nim spotykać.

- Adamie, bardzo cię lubię - Jennifer ostrożnie dobierała słowa - ale nie zadaję się z żonatymi mężczyznami.

Uśmiechnął się, a w jego spoglądających zza okularów oczach malowała się uczciwość i niezwykle ciepło.

- Nie szukam przygody. Po prostu lubię być z tobą. Jestem z ciebie bardzo dumny. Chciałbym, żebyśmy się od czasu do czasu spotykali.

Jennifer już chciała powiedzieć: „Co dobrego z tego wyniknie?“, ale zamiast tego odrzekła:

- Bardzo chętnie.

„Jeżeli raz w miesiącu zjemy razem lunch - pomyślała - to przecież nikomu to nie zaszkodzi”.

Jednym z pierwszych gości Jennifer w nowym biurze był ojciec Ryan. Przeszedł się po trzech pokoikach i powiedział:

- Naprawdę śliczne. Robisz karierę, Jennifer. Roześmiała się.
- Niezupełnie, ojczy Ryane. Mam jeszcze przed sobą długą drogę.

Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.

- Ale dopniesz swego. A propos, w zeszłym tygodniu odwiedziłem Abrahama Wilsona.

- Jak mu się wiedzie?

- Wspaniale. Dali mu pracę w więziennym warsztacie. Prosił, żeby przekazać ci pozdrowienia.

- Będę musiała go któregoś dnia odwiedzić.

Ojciec Ryan usiadł na krześle, patrząc na Jennifer, aż w końcu spytał:

- Czy jest coś, w czym mogłabym ojcu pomóc? Rozpromienił się.

- No cóż, wiem, że jesteś zajęta, ale skoro sama o tym wspomniałaś... Jedna z moich znajomych ma mały problem. Uległa wypadkowi. Myślę, że jesteś jedyną osobą, która może jej pomóc.

- Niech jej ojciec powie, żeby do mnie przysłała - odruchowo odpowiedziała Jennifer.

- Obawiam się, że będziesz sama musiała do niej iść. Amputowano jej wszystkie kończyny.

Connie Garrett mieszkała w schludnym mieszkanku na Houston Street. Drzwi otworzyła starsza, siwa pani w fartuszku.

- Nazywam się Martha Steel, jestem ciotką Connie. Mieszkam z nią. Proszę, niech pani wejdzie, Connie czeka na panią.

Jennifer znalazła się w skromnie umeblowanym saloniku. Connie Garrett siedziała w wielkim fotelu, podparta poduszkami. Jennifer była zaszokowana jej młodym wiekiem. Nie wiadomo czemu spodziewała się ujrzeć starszą osobę. Connie była w wieku Jennifer, miała jakieś dwadzieścia cztery lata. Z jej twarzy bił cudowny blask i Jennifer wydał się okrutnym fakt, że miała tylko tułów bez rąk i nóg. Z trudem powstrzymała dreszcz obrzydzenia.

Connie Garrett uśmiechnęła się do niej ciepło i powiedziała:

- Jennifer, usiądź, proszę. Czy mogę zwracać się do pani po imieniu? Ojciec Ryan tyle mi o pani opowiadał. I, oczywiście, widziałam panią w telewizji. Jestem taka szczęśliwa, że mogła pani przyjść.

Jennifer chciała już powiedzieć: „Cała przyjemność po mojej stronie”, ale w porę zdała sobie sprawę, jak idiotycznie to by zabrzmiało. Usiadła na miękkim, wygodnym krześle naprzeciwko młodej kobiety.

- Ojciec Ryan mówił mi, że parę miesięcy temu miałaś wypadek. Czy możesz mi powiedzieć, jak to się stało?

- Obawiam się, że to była moja wina. Chciałam przejść przez ulicę i schodząc z chodnika, pośliznęłam się i upadłam wprost pod koła nadjeżdżającej ciężarówki.

- Kiedy to było?

- W grudniu minęły trzy lata. Szłam do „Bloomingdale” po zakupy gwiazdkowe.

- Co się stało, kiedy ciężarówka cię potrafiła?

- Nic nie pamiętam. Ocknęłam się w szpitalu. Powiedziano mi, że przywiozła mnie karetka pogotowia. Miałam uszkodzony kręgosłup. Potem stwierdzono uszkodzenia kości, które postępowały, dopóki... - Przerwała i próbowała wzruszyć ramionami, lecz był to tylko żaloszny gest. - Próbowano mi założyć sztuczne kończyny, ale nic z tego nie wyszło.

- Czy wniosłaś sprawę do sądu? Spojrzała, zaintrygowana, na Jennifer.

- Ojciec Ryan nic ci nie powiedział?

- A co miał mi powiedzieć?

- Mój adwokat zaskarżył firmę, której ciężarówka mnie potrafiła, ale przegraliśmy. Złożył odwołanie, ale znowu przegraliśmy.

- Powinien był mi o tym wspomnieć - powiedziała Jennifer. - Jeżeli sąd apelacyjny odrzucił sprawę, obawiam się, że już nic nie będzie można zrobić.

Connie Garrett skinęła głową.

- Mówiąc szczerze, sama w to nie wierzyłam. Po prostu pomyślałam sobie... cóż. Ojciec Ryan powiedział, że umiesz zdziałać cuda.

- To raczej jego domena. Ja jestem tylko prawnikiem. Była zła na ojca Ryana za podtrzymywanie w dziewczynie złudnej nadziei. Postanowiła, że musi z nim poważnie porozmawiać.

Starsza pani krzątała się w pobliżu.

- Czy mogę panią czymś poczęstować, panno Parker? Może herbatą i ciastem?

Jennifer nagle zdała sobie sprawę, że jest głodna, bo nie miała czasu na lunch. Ale kiedy wyobraziła sobie, jak siedzi naprzeciw Connie Garrett, karmionej jak dziecko... nie, nie mogłaby tego znieść.

- Nie, dziękuję, dopiero co zjadłam lunch - skłamała Jennifer. Jediną rzeczą, której pragnęła Jennifer, było jak najszybsze opuszczenie tego miejsca. Próbowała wymyślić na

odchodnym coś pocieszającego, ale nic jej nie przychodziło do głowy. „Niech cię diabli, ojciec Ryane!”

- Jest mi... jest mi naprawdę niezmiernie przykro. Chciałabym coś...

Connie Garrett uśmiechnęła się i powiedziała:

- Proszę się tym nie przejmować.

I właśnie ten uśmiech spowodował zmianę w Jennifer. Była pewna, że gdyby znalazła się na miejscu Connie Garrett, nie potrafiłaby się śmiać.

- Kto był twoim adwokatem? - zapytała Jennifer.

- Melvin Hutcherson. Znasz go?

- Nie, ale porozmawiam z nim, muszę z nim porozmawiać.

- To byłoby bardzo ładnie z twojej strony. - W głosie Connie brzmiało szczere uznanie dla Jennifer.

Jennifer pomyślała, jak musi wyglądać życie tej dziewczyny, siedzącej tutaj zupełnie bezradnie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, bez możliwości uczynienia czegokolwiek.

- Nie mogę, niestety, niczego obiecywać.

- Oczywiście, ale wiesz co, Jennifer? Dzięki twojej wizycie czuję się lepiej.

Jennifer podniosła się. Nadszedł moment uściśnięcia dłoni; tylko że nie było czego uścisnąć. Powiedziała zakłopotana:

- Miło mi było cię poznać, Connie. Odezwę się jeszcze. W drodze powrotnej do biura Jennifer myślała o ojcu Ryane i postanowiła, że już nigdy nie da się skusić jego propozycjom. Nikt nie mógł w niczym pomóc tej biednej, kalekiej dziewczynie i dawanie jej złudnych nadziei było nieuczciwe. Ale dotrzyma swojej obietnicy. Porozmawia z Melvinem Hutchersonem.

Melvin Hutcherson był niskim, łysiejącym mężczyzną z małym, perkatym nosem i wyblakłymi, niebieskimi oczami. Miał nędzne biuro na West Side, w którym czuć było biedę. Biurko sekretarki było puste.

- Poszła na lunch - wyjaśnił Melvin Hutcherson. Jennifer zastanawiała się, czy w ogóle ma sekretarkę. Zaprowadził ją do swojego gabinetu, nie większego niż sekretariat.

- Powiedziała mi pani przez telefon, że chce pomówić o Connie Garrett.

- Zgadza się - wzruszyła ramionami.

- Nie bardzo jest o czym mówić. Wytoczyliśmy proces i przegraliśmy. Proszę mi wierzyć, zrobiłem dla niej wszystko.

- Czy to pan załatwiał odwołanie?

- Tak. Też przegraliśmy. Obawiam się, że traci pani czas. - Obserwował ją przez chwilę. - Dlaczego pani to robi? Przecież jest pani bardzo dobra, może pani zajmować się sprawami, które dają dużo pieniędzy.

- Wyświadczam przysługę przyjacielowi. Czy mogę zajrzeć do akt sprawy?

- Oczywiście - Hutcherson wzruszył ramionami - wszak są własnością publiczną.

Jennifer spędziła cały wieczór na przeglądaniu zapisków z procesu Connie Garrett. Ku jej zdumieniu, Melvin Hutcherson powiedział prawdę; rzeczywiście zrobił kawał dobrej roboty. Pozwał przed sąd zarówno władze miejskie, jak i Nationwide Motors Corporation i domagał się rozpatrzenia sprawy przez ławę przysięgłych. Sędziowie przysięgli oczyścili jednak z zarzutów obie pozwane instytucje.

Przedsiębiorstwo Oczyszczania Miasta robiło co w jego mocy, aby uporać się z gwałtownymi opadami śniegu, które w tamte grudniowe dni nawiedziły miasto; cały sprzęt był maksymalnie wykorzystywany. Władze miejskie dowodziły, że przecież burze śnieżne to siła wyższa i - ponieważ nie było żadnego zaniedbania z ich strony - wina leżała po stronie Connie Garrett. Jennifer zaczęła z kolei przeglądać zarzuty przeciwko przedsiębiorstwu transportowemu. Trzech naocznych świadków zeznało, że kierowca usiłował zahamować, aby zapobiec potrąceniu dziewczyny, ale nie był w stanie tego zrobić na czas. Samochód wpadł w poślizg i potrącił Connie Garrett. Korzystny dla pozwanych wyrok został podtrzymany przez sąd apelacyjny i sprawę zamknięto.

Jennifer zakończyła czytanie sprawozdań sądowych o trzeciej nad ranem. Zgasiła światło, ale nie mogła zasnąć. Na pozór sprawiedliwości stało się zadość, ale wciąż miała przed oczami postać Connie Garrett, dwudziestokilkuletniej dziewczyny, bez rąk i nóg.

Jennifer wyobraziła sobie, jak ciężarówka potrąca młodą dziewczynę, straszliwe cierpienia, serię bolesnych operacji, których dokonano, za każdym razem amputując po kawałku kończyny. Jennifer zapaliła światło i usiadła na łóżku. Kręciła domowy numer telefonu Melvina Hutchersona.

- W sprawozdaniach nie ma nic o lekarzach - powiedziała do słuchawki. - Czy rozważał pan możliwość błędu w sztuce lekarskiej?

- Kto mówi, do cholery? - rozległ się zaspany głos.

- Jennifer Parker. Czy rozważał pan...

- Rany boskie! Przecież jest... jest czwarta nad ranem. Nie ma pani zegarka?

- Panie Hutcherson, to bardzo istotne. W procesie nawet nie wspomniano o szpitalu.

A co z tymi operacjami, które wykonano Connie Garrett? Czy sprawdził pan to?

Nastąpiła chwila przerwy, w czasie której Melvin Hutcherson próbował zebrać myśli.

- Rozmawiałem z ordynatorem wydziału neurologii i ortopedii szpitala, który się nią opiekował. Operacje były konieczne, by uratować jej życie. Były wykonywane przez najlepszych lekarzy i wykonywane dobrze. Dlatego szpital nie został pozwany jako strona w procesie.

Jennifer ogarnęło uczucie zniechęcenia.

- Rozumiem.

- Mówiłem już, że traci pani czas. Co by pani powiedziała na to, żebyśmy się trochę przespali?

Jennifer usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Zgasiła światło i znowu się położyła. Ale sen nie nadchodził. Po chwili zrezygnowała ze spania, wstała i zrobiła sobie kawę. Usiadła na kanapie i pijąc kawę, obserwowała wschodzące słońce, malujące na tle nieba sylwetkę Manhattanu. Błady róż stopniowo przechodził w jasną, ostrą czerwień.

Jennifer czuła dziwny niepokój. Na każdą niesprawiedliwość prawo powinno mieć jakieś lekarstwo. Czy w przypadku Connie Garrett postąpiono słusznie? Spojrzała na zegar ścienny. Była szósta trzydzieści. Znowu podniosła słuchawkę i wykrciła numer Melvina Hutchersona.

- Czy sprawdził pan przeszłość kierowcy ciężarówki? - zapytała Jennifer.

- Jezu Chryste! - zawołał zaspany głos. - Czy pani jest szalona? Czy pani w ogóle nie sypia?

- Kierowca ciężarówki. Czy sprawdził pan jego przeszłość?

- Zaczyna mnie pani obrażać.

- Przepraszam, ale muszę wiedzieć - nalegała Jennifer.

- Odpowiedź brzmi: tak. Miał czystą kartotekę. To był jego pierwszy wypadek.

A więc i ta droga prowadziła donikąd.

- Rozumiem - Jennifer próbowała jeszcze coś wymyślić.

- Panno Parker - powiedział Melvin Hutcherson - czy może mi pani wyświadczyć przysługę? Jeżeli będzie pani miała jeszcze jakieś pytania, proszę zatelefonować do mnie do pracy.

- Przepraszam - powiedziała Jennifer z roztargnieniem. - Niech się pan kładzie spać.

- Stokrotne dzięki!

Jennifer odłożyła słuchawkę. Był już czas, by ubrać się i iść do pracy.

Minęły trzy tygodnie od obiadu w „Lutece”. Jennifer próbowała wymazać z pamięci Adama, ale wszystko jej go przypominało: przypadkowy, zasłyszany zwrot, kształt głowy nieznajomego, krawat podobny do tego, który nosił. Wielu mężczyzn próbowało się z nią umawiać. Składali jej propozycje klienci i prawnicy, którzy byli jej przeciwnikami w sądzie czy kolegium, ale Jennifer wszystkim odmawiała. Prawnicy zapraszali ją na coś, co cynicznie określano jako kolację ze śniadaniem, ale nie interesowało to jej. Jej niezależność stanowiła dla mężczyzn wyzwanie.

Miała zawsze obok siebie Kena Bailey, ale to nie był lek na jej samotność. Znała tylko jednego człowieka, który mógł jej pomóc. Niech to diabli!

Zadzwoił w poniedziałek rano.

- Pomyślałem, że zaryzykuję i sprawdzę, czy przypadkiem jesteś wolna dziś w porze lunchu.

Była zajęta. Powiedziała:

- Oczywiście, że jestem wolna.

Jennifer przysięgła sobie, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze Adam do niej zadzwoni, zachowa się przyjaźnie, ale z dystansem, uprzejmie, ale stanowczo odmówi, gdy ją znowu zaprosi.

Ale w chwili, gdy usłyszała jego głos, zapomniała o wszystkim i powiedziała: „Oczywiście, że jestem wolna”.

Była to najgorsza rzecz, jaką mogła zrobić.

Zjedli lunch w małej restauracji w Chinatown i rozmawiali bez przerwy przez dwie godziny, które im wydawały się dwiema minutami. Mówili o prawie, polityce, o kinie, rozwiązywali skomplikowane problemy współczesnego świata. Adam był genialny: cięty i fascynujący. Szczerze interesował się tym, co robi Jennifer i był naprawdę dumny z jej sukcesów. „Ma do tego prawo - pomyślała. Gdyby nie on, byłabym teraz w Kelso w stanie Waszyngton”.

Kiedy wróciła do biura, czekał na nią Ken Bailey.

- Jak się udał lunch?

- Dziękuję, dobrze.

- Czy Adam Warner chce zostać twoim klientem? - zapytał głosem przesadnie obojętnym.

- Nie, Ken. Jesteśmy przyjaciółmi. I była to prawda.

W następnym tygodniu Adam zaprosił Jennifer na lunch do prywatnej jadalni w swojej firmie adwokackiej. Wielkie, nowoczesne biuro wywarło na Jennifer duże wrażenie. Adam przedstawił jej różnych pracowników firmy i Jennifer czuła się jak ktoś ważny, bo wyglądało na to, że wszyscy dużo o niej wiedzą. Poznała też Stewarta Needhama, głównego wspólnika. Zachowywał się w stosunku do niej z wyszukaną grzecznością i Jennifer przypomniała sobie, że żoną Adama jest jego siostrzenica. Adam i Jennifer zjedli lunch w jadalni wyłożonej orzechową boazerią, prowadzonej przez szefa kuchni i dwóch kelnerów.

- To tutaj wspólnicy przychodzą ze swoimi problemami. Jennifer zastanawiała się, czy myśli o niej.

Było jej trudno skoncentrować się na jedzeniu.

Przez całe popołudnie Jennifer myślała o Adamie. Wiedziała, że musi zapomnieć o nim, musi przestać się z nim widywać. Przecież należał do innej kobiety.

Tego wieczoru Jennifer poszła z Kenem Baileyem na „Dwa I na dwa”, nowe przedstawienie Richarda Rodgersa.

Właśnie wchodzili do foyer, kiedy przez tłum przeszedł szmer. Jennifer obejrzała się. Do krawężnika podjechała długa, czarna limuzyna, z której wysiedli kobieta i mężczyzna.

- To on! - krzyknęła jakaś kobieta, a ludzie zaczęli gromadzić się wokół samochodu. Krzepki szofer odsunął się na bok i Jennifer zobaczyła Michaela Morettiego z żoną. To właśnie na Michaelu skupiało się zainteresowanie tłumu. Był bohaterem ludu; tak przystojny, że mógłby być gwiazdorem, wystarczająco odważny, by zawładnąć wyobraźnią. Jennifer stała w foyer, obserwując, jak Michael Moretti i jego żona torowali sobie drogę w tłumie. Michael minął Jennifer w niewielkiej odległości i na moment ich wzrok spotkał się. Jennifer zauważyła, że ma tak czarne oczy, że nie można było odróżnić źrenic. W chwilę później zniknął w sali teatralnej.

Jennifer nie była w stanie skupić uwagi na przedstawieniu. Widok Michaela Morettiego spowodował nagłą falę upokarzających wspomnień. Jennifer poprosiła Kena, aby po pierwszym akcie zabrał ją do domu.

Następnego dnia zadzwonił do niej Adam i Jennifer postanowiła tym razem nie przyjąć zaproszenia.

- Dziękuję ci, Adamie, ale jestem naprawdę bardzo zajęta. Ale Adam powiedział jedynie:

- Muszę na jakiś czas wyjechać z kraju. Było to jak cios poniżej pasa.

- Na jak... na jak długo wyjeżdżasz?

- Tylko na parę tygodni. Zadzwonię do ciebie, jak tylko wrócę.

- Świetnie - powiedziała pogodnie Jennifer. - Życzę miłej podróży.

Czuła się tak, jakby ktoś umarł. Wyobrażała sobie Adama na plaży w Rio, otoczonego półnagimi dziewczętami, albo w luksusowym apartamencie w Mexico City, popijającego tequilę z sokiem cytrynowym w towarzystwie dojrzałej, czarnookiej piękności, albo w szwajcarskim schronisku, kochającego się z...

Dosyć, powiedziała do siebie Jennifer. Powinna była go zapytać, dokąd wyjeżdża. Był to prawdopodobnie służbowy wyjazd do jakiegoś nudnego miejsca, gdzie nie będzie miał czasu na kobiety, może środek jakiejś pustyni, gdzie będzie pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Powinna była poruszyć ten temat, oczywiście mimochodem.

„Czy wybierasz się w jakąś długą podróż samolotem? Czy znasz języki obce? Jeżeli będziesz w Paryżu, przywieź mi stamtąd herbatę z werbeny. Podejrzewam, że rachunki muszą być horrendalne. Jedziesz razem z żoną? Czy straciłam resztę rozumu?”

Ken wszedł do jej gabinetu i popatrzył na nią.

- Mówisz sama do siebie? Dobrze się czujesz?

„Nie - chciała krzyknąć Jennifer - potrzebuję lekarza! Potrzebny jest mi zimny prysznic! Potrzebuję Adama Warnera!” Powiedziała:

- Czuję się świetnie. Jestem tylko trochę zmęczona.

- Dlaczego nie pójdziesz dzisiaj wcześniej do łóżka? Pomyślała sobie: „Czy Adam Warner pójdzie dzisiaj wcześniej do łóżka?”

Odwiedził ją ojciec Ryan.

- Widziałem się z Connie Garrett. Powiedziała mi, że byłaś u niej parę razy.

- Tak.

Wizyty miały zagłuszyć wyrzuty sumienia i zmniejszyć poczucie winy, spowodowane tym, że nic nie może zrobić. Na próżno.

Jennifer rzuciła się w wir pracy, lecz mimo to tygodnie wlokły się w nieskończoność. Prawie codziennie była w sądzie, a nocami przeglądała sprawozdania sądowe.

- Zwolnij nieco tempo - radził jej Ken - bo doprowadzasz się do śmierci z przepracowania.

Ale Jennifer chciała wyczerpać wszystkie swoje siły fizyczne i duchowe, żeby nie mieć czasu na rozmyślanie.

„Jestem głupia - powtarzała sobie - straszliwie głupia”. Minęły cztery tygodnie, nim zadzwonił Adam.

- Właśnie wróciłem - powiedział. Dźwięk jego głosu przejął ją dreszczem. - Czy

moglibyśmy pójść gdzieś na lunch?

- To niezły pomysł, Adamie.

Pomyślała, że wypadło to zupełnie dobrze. Po prostu: „To niezły pomysł, Adamie”.

- Sala Dębowa w „Plaża”?

- Świetnie.

Było to najbardziej ponure i nieromantyczne miejsce na świecie, pełne zamożnych biznesmenów w średnim wieku, maklerów i bankierów. Przez długi czas pozostawało jednym z nielicznych już bastionów dostępnych wyłącznie dla mężczyzn i dopiero zupełnie niedawno jego drzwi stały otworem przed kobietami.

Jennifer przysła wcześniej i zajęła miejsce. Parę minut po niej zjawił się Adam. Jennifer obserwowała jego wysoką, szczupłą postać zmierzającą w jej stronę i nagle zaschło jej w gardle. Wyglądał na opalonego i Jennifer pomyślała, czy przypadkiem jej fantazje o Adamie na jakiejś plaży pełnej dziewcząt nie odpowiadały prawdzie. Uśmiechnął się do niej i ujął jej dłoń. Od tej chwili Jennifer wiedziała, że jej poglądy na temat Adama Warnera i żonatych mężczyzn straciły znaczenie. Nie panowała nad sobą. Zachowywała się tak, jakby ktoś nią kierował, mówił jej, co powinna robić, co musi robić. Nie potrafiła wytłumaczyć, co się z nią dzieje, ponieważ nigdy w życiu nie przeżywała niczego podobnego.

„Można to nazwać alchemią - pomyślała - przeznaczeniem, albo niebem”. Jedyne, czego była pewna, to to, że pragnęła znaleźć się w ramionach Adama Warnera bardziej niż czegokolwiek do tej pory. Patrząc na niego, wyobrażała sobie, jak ją kocha, jak tuli, czuła jego mocne ciało na sobie, w sobie i poczuła, że jej twarz pokrywa rumieniec.

Adam odezwał się usprawiedliwiającym tonem:

- Przepraszam, że zadzwoniłem w ostatniej chwili, ale klient anulował spotkanie.

Jennifer w duszy pobłogosławiła klienta.

- Przywiozłem ci coś - powiedział Adam. Była to śliczna zielono - złota jedwabna chusta. - To z Mediolanu.

„A więc tam był. Włoskie dziewczyny”.

- Jest piękna, Adamie. Dziękuję.

- Czy byłaś kiedyś w Mediolanie?

- Nie, ale widziałam zdjęcia tamtejszej katedry. Jest cudowna.

- Nie należę do zapalonych turystów. Według mnie, jeśli się widziało jeden kościół, to tak jakby poznało się je wszystkie.

Później, gdy Jennifer myślała o tym lunchu, próbowała przypomnieć sobie, o czym mówili, co jedli, kto przystawał obok ich stolika, by pozdrowić Adama, ale jedyne co

pamiętała, to bliskość Adama, jego dotyk, jego wygląd. Siedziała jak zahipnotyzowana, tak jakby rzucił na nią jakiś urok, z którego nie potrafiła się wyzwolić.

W pewnej chwili Jennifer pomyślała: „Wiem, co zrobię. Prześlę się z nim. Jeden raz. Na jawie nie może być tak pięknie jak w moich marzeniach. Wtedy będę mogła z tym skończyć”.

Gdy ich dłonie przypadkowo zetknęły się, oboje poczuli się tak, jakby przepłynął przez nich prąd. Siedzieli, rozmawiając o wszystkim i o niczym, ale słowa się nie liczyły. Siedzieli przy stole objęci w niewidzialnym uścisku, pieszcząc się nawzajem, kochając się, nadzy i namiętni. Nie zdawali sobie sprawy z tego, co jedzą ani co mówią. Odczuwali w sobie inny głód, głód, który narastał, aż w końcu nie mogli tego już dłużej znieść.

W pewnym momencie Adam położył rękę na jej dłoni i usłyszała jego zachrypnięty głos:

- Jennifer...
- Dobrze, wyjdźmy stąd - szepnęła.

Jennifer czekała w ruchliwym, zatłoczonym holu, podczas gdy Adam odbierał w recepcji klucze. Dostali pokój w starej części hotelu „Plaża”, od strony 58. Ulicy. Skorzystali z windy w głębi budynku i Jennifer wydawało się, że minęła cała wieczność, nim dojechali na właściwe piętro.

O ile Jennifer nie pamiętała nic z lunchu, to zapamiętała wszystko, co było w pokoju. Po latach potrafiła odtworzyć jego wygląd, kolor zasłon i dywanu, każdy obrazek i wszystkie meble. Pamiętała odgłosy miasta, dobiegające z dołu i wciskające się do pokoju. Wspomnienie tego popołudnia miało pozostać w niej do końca życia. Była to czarodziejska, wielokolorowa eksplozja w zwolnionym tempie. Składało się na nią wiele: rozbierający ją Adam, jego mocne, szczupłe ciało, jego gwałtowność i delikatność. Był śmiech i uniesienie. Ich głód miłości musiał zostać zaspokojony. W chwili gdy Adam zaczął ją kochać, przez głowę Jennifer przemknęła myśl: „Jestem zgubiona”.

Kochali się kilka razy i za każdym razem przeżywali ekstazę niemal nie do zniesienia.

Po kilku godzinach, kiedy leżeli obok siebie, Adam powiedział:

- Czuję, jakbym dopiero teraz zaczął żyć.

Jennifer delikatnie pogłaskała jego pierś i roześmiała się głośno.

Adam spojrzał na nią zdumiony.

- Co w tym takiego zabawnego?
 - Wiesz, sądziłam, że jeśli pójdę z tobą do łóżka, będę mogła przestać myśleć o tobie.
- Odwrócił się na bok i spojrzał na nią.

- I co?

- Myliłam się. Czuję, jak byś był częścią mnie. Przynajmniej - zawahała się - część ciebie jest we mnie.

Wiedział, o czym myślała.

- Jakoś sobie poradzimy - powiedział Adam. - W poniedziałek Mary Beth wyjeżdża ze swoją ciotką na miesiąc do Europy.

Jennifer i Adam Warner spędzali razem prawie każdą noc. Pierwszą przespalili w jej niewygodnym mieszkaniu i rano Adam oświadczył:

- Weźmiemy wolny dzień, aby znaleźć dla ciebie jakieś przyzwoite lokum.

Wyruszyli na poszukiwanie mieszkania i późnym popołudniem Jennifer podpisała umowę najmu w nowym wieżowcu koło Sutton Place, nazywanym „The Belmont Towers”. Napis na drzwiach budynku głosił „wyprzedane”.

- Po co tam idziemy? - zapytała Jennifer.

- Zobaczysz.

Mieszkanie, które obejrzel, było wspaniałym, dwupoziomowym apartamentem o pięknie umeblowanych pięciu pokojach. Było to najbardziej luksusowe mieszkanie, jakie Jennifer kiedykolwiek w życiu widziała. Na górze była sypialnia i łazienka, a na dole sypialnia dla gości z osobną łazienką i salon ze wspaniałym widokiem na East River i na miasto. Był też duży taras, kuchnia i jadalnia.

- Czy ci się podoba? - zapytał Adam.

- Czy mi się podoba? Jest cudowne! - krzyknęła Jennifer. - Tylko, kochanie, jest pewien problem. Po pierwsze: najprawdopodobniej nie będzie mnie na nie stać, a po drugie: nawet gdybym mogła sobie na nie pozwolić, należy do kogoś innego.

- Należy do naszej firmy. Wynajęliśmy je dla odwiedzających nas ważnych osobistości. Znajdę dla nich coś innego.

- A co z czynszem?

- Zajmę się tym. Ja...

- Nie.

- To szaleństwo, kochanie. Z łatwością mogę sobie na to pozwolić i...

Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz, Adamie. Nie mogę ci dać nic prócz siebie. Chcę, żeby to był prezent.

Wziął ją w ramiona, a Jennifer przytuliła się do niego i powiedziała:

- Już wiem - będę pracować nocami.

W sobotę wybrali się na zakupy. Adam nabył dla Jennifer u „Bonwita Tellera” śliczną jedwabną koszulę nocną i szlafrok, a Jennifer sprawiła Adamowi koszulę u „Turnbulla and Assera”. Kupili szachy u „Gimbela” i sernik u „Juniora” koło „Abrahama and Strausa”, pudding śliwkowy u „Altmana” i książki w „Doubleday”. Wstąpili do sklepu z różnościami i do „Caswella - Massey”, gdzie Adam kupił Jennifer tyle opakowań aromatycznych ziół, że

wystarczyłoby jej to na co najmniej dziesięć lat. W restauracji na rogu, tuż koło nowego mieszkania Jennifer, zjedli obiad.

Spotykali się u Jennifer po pracy i omawiali wydarzenia dnia. Jennifer szykowała obiad, a Adam nakrywał stół. Potem czytali książki, oglądali telewizję albo grali w szachy czy karty. Jennifer przygotowywała ulubione potrawy Adama.

- Jestem bezwstydną - powiedziała mu. - Nic mnie nie powstrzyma.

Tulił ją do siebie.

- Nigdy się nie zmieniam.

„Dziwna rzecz - zastanawiała się Jennifer. - Zanim zaczął się nasz romans, spotykaliśmy się otwarcie. Ale odkąd zostaliśmy kochankami, nie mamy odwagi pokazać się razem na obiedzie”. Chodzili więc do takich miejsc, gdzie było mało prawdopodobne, że natkną się na znajomych: do małych, rodzinnych restauracji w centrum, na koncerty muzyki kameralnej w budynku szkoły muzycznej przy 3. Ulicy. Poszli na nową sztukę wystawianą w klubie teatralnym „Omni” na T8. Ulicy i na obiad do „Grotta Azzurra” przy Broome Street, gdzie tak się najedli, że przysięgli sobie, że przez miesiąc nie tkną włoskich dań. „Tylko że nie mamy miesiąca - pomyślała Jennifer. Mary Beth wracała za dwa tygodnie”.

Chodzili do „Półnutki”, aby posłuchać awangardowego jazzu i zaglądali do małych galerii sztuki.

Adam kochał sport. Zabrał Jennifer na mecz drużyny Knicks i Jennifer tak porwała gra, że ochrypła, dopingując graczy.

W niedzielę leniuchowali, śniadanie jedli w piżamach, wymieniając między sobą części „Timesa” i słuchając dźwięku dzwonów na Manhattanie, odmawiając swoje własne modlitwy. Jennifer spojrzała na Adama, pochłoniętego rozwiązywaniem krzyżówki, i poprosiła w duchu: „pomódl się za mnie”. Wiedziała, że to, co robi, jest grzechem. Wiedziała, że nie mogło to trwać wiecznie. A przecież nigdy jeszcze nie zaznała takiego szczęścia, takiej euforii. Zakochani żyją w odmiennym świecie, gdzie każde odczucie przeżywane jest głębiej i radość, którą odczuwała teraz Jennifer, była warta każdej ceny, jaką będzie musiała za nią zapłacić.

Czas nabrał innego wymiaru. Przedtem życie Jennifer było odmierzane terminami i spotkaniami z klientami. Teraz liczyły się tylko minuty, które mogła spędzić z Adamem. Myślała o nim ciągle, kiedy byli razem i z dala od siebie.

Jennifer czytała kiedyś o mężczyznach, którzy doznali ataku serca w ramionach kochanki, więc umieściła numer telefonu lekarza Adama w swoim spisie, który trzymała koło łóżka. Gdyby kiedykolwiek coś się stało, mogła dyskretnie załatwić sprawę, tak żeby Adam

nie czuł się zażenowany.

Jennifer napępniały uczucia, których istnienia nigdy nie podejrzewała. Nigdy nie uważała się za osobę lubiącą prace domowe, ale dla Adama chciała wszystko robić sama. Chciała dla niego gotować, sprzątać, przygotowywać mu rano ubranie, troszczyć się o niego.

Adam trzymał w jej mieszkaniu część garderoby i większość nocy spędzał z Jennifer. Leżała przy nim, obserwując, jak zasypia i starała się jak najdłużej nie zasnąć, obawiając się stracić chociaż jedną chwilę ze wspólnie spędzonego czasu. W końcu, gdy nie mogła już dłużej walczyć z sennością, wtulała się w ramiona Adama i usypiała, zadowolona i bezpieczna. Wszystkie nocne zmyry, które ją niepokoiły, zniknęły. Kiedy przytulała się do Adama, natychmiast ogarniał ją spokój.

Lubiła chodzić po mieszkaniu w koszulach Adama, a na noc wkładała górę od jego piżamy. Jeżeli mogła jeszcze poleżeć po jego wyjściu, przesuwiała się na jego część łóżka, bo ubóstwiała czuć ciepło i zapach jego ciała.

Wydawało się, że wszystkie piosenki o miłości, jakie słyszała, były napisane specjalnie dla nich. Jennifer myślała: „Noel Coward miał rację, to zdumiewające, jaka siła tkwi w prostej muzyce”.

Początkowo Jennifer sądziła, że ten przepelniający ich fizyczny pociąg, który wzajemnie czuli, z czasem zmniejszy się, a tymczasem wciąż jeszcze narastał.

Mówiła Adamowi takie rzeczy o sobie, których nigdy przedtem nikomu nie mówiła. Przy Adamie nie musiała nosić maski. Była po prostu sobą, a on mimo to ją kochał. To był prawdziwy , cud. I dzielili jeszcze coś: radość.

Chociaż wydawało się to niemożliwe, z każdym dniem coraz bardziej kochała Adama. Pragnęła, aby to, co jest, nigdy sienie skończyło. Ale wiedziała, że to nierealne. Po raz pierwszy w życiu była przesadna. Pewną specjalną mieszankę kawy kenijskiej Adam lubił szczególnie. Jennifer kupowała ją co parę dni. Ale za każdym razem kupowała tylko jedną małą puszkę.

Jennifer bała się, że Adamowi coś się stanie, kiedy będzie daleko od niej, i że nie dowie się o tym, póki nie przeczyta w gazecie, czy nie usłyszy w wiadomościach. Nigdy nie mówiła Adamowi o swoich lękach.

Kiedy Adam miał przyjść później, zostawiał Jennifer karteczki, pochowane w różnych niespodziewanych miejscach mieszkania. Znajdowała je w pojemniku na pieczywo lub w lodówce albo w swoim pantofelku. Sprawiały jej prawdziwą radość i wszystkie skrzętnie przechowywała.

Ostatnie wspólne dni minęły beztrasko. Wreszcie nadeszła noc przed powrotem Mary

Beth. Jennifer i Adam zjedli kolację w domu, słuchali muzyki, a potem kochali się. Jennifer nie spała całą noc, trzymając Adama w ramionach. Myślała o szczęściu, które razem przeżyli.

Cierpienie przyjdzie później.

Przy śniadaniu Adam powiedział:

- Cokolwiek się zdarzy, chcę, żebyś wiedziała jedno - jesteś jedyną kobietą, którą naprawdę pokochałem.

I wtedy zaczęła cierpieć.

Był tylko jeden sposób na to, by nie mieć czasu na rozmyślenia - praca. I Jennifer poświęciła się jej całkowicie.

Była ulubienicą dziennikarzy i jej sukcesy na salach rozpraw były szeroko opisywane. Przychodziło do niej więcej klientów, niż mogła obsłużyć, i chociaż interesowała się głównie prawem karnym, za namową Kena zaczęła przyjmować również inne sprawy.

Ken Bailey stał się dla niej ważniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Zajmował się wstępnym rozpoznaniem spraw i był w tym świetny. Omawiała z nim wszystkie problemy i bardzo ceniła sobie jego rady.

Jennifer i Ken znowu się przeprowadzili, tym razem do dużego biura przy Park Avenue. Jennifer przyjęła dwóch młodych, zdolnych prawników, Dana Martina i Teda Harrisa, obu z biura Roberta Di Silvy, i jeszcze dwie sekretarki.

Dan Martin, były piłkarz drużyny Northwestern University, miał wygląd atlety, a umysł uczonego.

Ted Harris był drobnym, nieśmiałym młodzieńcem. Nosił grube okulary i był absolutnym geniuszem.

Martin i Harris załatwiali sprawy w mieście, a Jennifer występowała na rozprawach.

Tabliczka na drzwiach biura głosiła: „Jennifer Parker i Współpracownicy”.

Sprawy, które prowadziła jej kancelaria, dotyczyły zarówno obrony dużych korporacji przemysłowych, oskarżonych o zatrucie środowiska, jak i reprezentowania pijaka, który doznał obrażeń ciała podczas przepędzania go z knajpy. Pijak, oczywiście, był upominkiem od ojca Ryana.

- Ma sporo kłopotów - powiedział Jennifer ojciec Ryan. - To naprawdę przyzwoity człowiek i ojciec rodziny, ale biedaczysko ma tyle na głowie, że czasami wypije o jeden kieliszek za dużo.

Jennifer tylko się uśmiechnęła. Jeżeli chodzi o ojca Ryana, żaden z jego parafian nie był winny i jego jedyną troską było pomagać im wybrnąć z kłopotów, w które sami bezmyślnie się wplątywali. Jennifer dlatego tak dobrze rozumiała księdza, bo właściwie czuła to samo, co on. Oboje zajmowali się ludźmi, którzy wpadali w tarapaty i którym nikt nie chciał pomóc, którzy nie mieli pieniędzy ani siły, by walczyć z władzą, i w końcu zostawali przez nią zniszczeni.

Słowo „sprawiedliwość” było używane głównie w zwrocie dotyczącym pogwałcenia przepisów prawa. W sali rozpraw ani oskarżyciel, ani obrońca nie szukali sprawiedliwości,

ich jedynym celem było zwycięstwo.

Od czasu do czasu Jennifer i Ojciec Ryan rozmawiali o Connie Garrett, ale temat ten zawsze działał na Jennifer przygnębiająco. Czowała, że Connie dzieje się krzywda i nie dawało jej to spokoju.

W swoim biurze, na tyłach Tony Place, Michael Moretti obserwował, jak Nick Vito dokładnie przeszukuje pokój przy pomocy urządzenia elektronicznego, wykrywającego podsłuch. Dzięki swym powiązaniom z policją Michael wiedział, że władze nie wydały polecenia założenia podsłuchu, ale od czasu do czasu jacyś nadgorliwi młodzi detektywi montowali nielegalne urządzenia podsłuchowe, mając nadzieję zdobycia w ten sposób informacji. Michael był człowiekiem ostrożnym. Dwa razy dziennie - rano i wieczorem - kazał przeszukiwać swój dom i biuro. Wiedział, że jest celem numer jeden dla kilku różnych agencji prawniczych, ale nie przejmował się tym. Wiedział, co te agencje robiły, chociaż one nie wiedziały, co on robi, a nawet jeżeli wiedziały, nie mogły mu nic udowodnić.

Czasami późno w nocy obserwował przez judasza w kuchennych drzwiach restauracji, jak agenci FBI wywozili do analizy jego śmieci i na ich miejsce podrzucali inne.

Pewnego razu Nick Vito powiedział:

- Jezu, szefie, a co będzie, jeżeli coś znajdą? Michael roześmiał się.

- Bardzo bym tego chciał. Tylko że zanim się zjawią, zamieniamy nasze śmieci ze śmieciami restauracji z sąsiedztwa.

Nie, agenci federalni na pewno go nie tkną. Działalność klanu wciąż się rozszerzała, a Michael miał już nowe plany, o których jeszcze nikomu nie wspomniał. Jedyną przeszkodą był Thomas Colfax. Michael wiedział, że musi się pozbyć starego prawnika. Potrzebny mu był młody, świeży umysł. W myślach w kółko powracał do osoby Jennifer Parker.

Adam i Jennifer spotykali się na lunchu raz w tygodniu i dla obojga były to tortury, ponieważ nie mogli być sami. Codziennie telefonowali do siebie, używając umówionych nazwisk. On był panem Adamsem, a ona panią Jay.

- Nienawidzę takiego ukrywania się - powiedział Adam.

- Ja również.

Ale myśl, że mogłaby go utracić, przerażała ją.

Jennifer uciekała przed swoimi osobistymi kłopotami na salę rozpraw. Sala sądowa była sceną, na której mierzyły się jej umiejętności ze zdolnościami strony przeciwnej. Sala sądowa była dla niej szkołą, a trzeba przyznać, że była zdolną uczennicą. Proces był grą prowadzoną zgodnie z surowymi regułami, w której wygrywał lepszy i Jennifer postanowiła, że zawsze będzie lepsza.

Przesłuchania świadków, prowadzone przez Jennifer, stawały się przedstawieniami teatralnymi, o odpowiednim rytmie, wartości oraz właściwym czasie trwania. Nauczyła się rozpoznawać, kto jest przewodniczącym składu ławy przysięgłych i koncentrować się głównie na nim, wiedząc, że może on wpłynąć na decyzję pozostałych.

Buty człowieka dużo mówią o jego charakterze. Jennifer wybierała przysięgłych noszących wygodne buty, ponieważ byli oni skłonni do wyrozumiałości.

Nauczyła się strategii - ogólnego planu procesu i taktyki kolejnych posunięć. Stała się mistrzynią w wyszukiwaniu przyjaźnie nastawionych sędziów.

Jennifer spędzała długie godziny na przygotowaniach do każdej sprawy, kierując się maksymą: „Większość spraw wygrywa się lub przegrywa, zanim jeszcze zacznie się proces”. Nauczyła się mnemotechniki, aby łatwo zapamiętywać nazwiska sędziów przysięgłych. Kowalski - muskularny mężczyzna, mogący pracować w kuźni, Sternicki - człowiek kierujący łodzią, Przybylski - nowo narodzone dziecko.

Sąd przeważnie przerywał pracę o czwartej i jeśli Jennifer przesłuchiwała świadka późnym popołudniem, przeciągała procedurę, by parę minut przed czwartą zadać świadkowi zasadnicze pytanie, które pozostawiało mocne wrażenie na członkach ławy przysięgłych przez całą noc, aż do następnego dnia.

Nauczyła się odczytywać język gestów. Kiedy świadek podczas przesłuchania kłamał, wykonywał mimowolne ruchy: drapał się w brodę, zaciskał usta, zasłaniał twarz, pociągał za koniec ucha lub przyglądał włosy. Jennifer stała się ekspertem w odczytywaniu tych znaków i bezbłędnie ustalała moment ataku.

Jennifer odkryła, że bycie kobietą było przeszkodą przy zajmowaniu się prawem karnym. Znajdowała się na terytorium mężczyzn. Ciągłe jeszcze było bardzo niewiele kobiet - adwokatów w sprawach karnych i paru prawników - mężczyzn wprost nie znosiło Jennifer. Pewnego dnia znalazła na swojej teczce naklejkę z napisem: „Prawniczki mają najlepsze stolce”. W odwecie Cynthia umieściła na biurku tabliczkę: „Najlepszym miejscem dla kobiet jest izba... Lordów”.

Większość sędziów była na początku uprzedzona do Jennifer, bo wiele spraw, którymi się zajmowała, dotyczyło wstydliwych stron życia i panowała tendencja do łączenia jej osoby z osobą klienta. Spodziewano się, że będzie się ubierała jak Jane Eyre, ale Jennifer starała się tak ubierać, aby nie wzbudzać zazdrości u kobiet zasiadających na ławie przysięgłych, a jednocześnie wystarczająco kobieco, aby nie zrazić sobie mężczyzn, gotowych uznać ją za lesbijkę. Kiedyś Jennifer wyśmiałaby te wszystkie względy, ale odkryła, że na sali sądowej mają one istotne znaczenie. Ponieważ wkroczyła w świat mężczyzn, musiała pracować dwa

razy ciężej i być dwa razy lepsza od nich. Nauczyła się dokładnie przygotowywać nie tylko własne wystąpienia, ale również wystąpienia swoich przeciwników. Siedząc przy biurku lub leżąc nocą w łóżku, próbowała nakreślić strategię swego oponenta. Co by zrobiła, gdyby była po drugiej stronie? Jakie niespodzianki starałaby się przygotować? Była generałem planującym posunięcia dwóch armii w śmiertelnych zmaganiach.

W interkombie rozległ się głos Cynthii.

- Na trójce jest jakiś mężczyzna, który prosi o rozmowę z panią, ale nie chce się przedstawić ani powiedzieć, w jakiej sprawie dzwoni.

Sześć miesięcy temu Cynthia po prostu rozłączyłaby linię. Ale Jennifer nauczyła ją, by nikogo nie odprawiać z kwitkiem.

- Połącz go - powiedziała Jennifer.

Po chwili usłyszała męski głos, ostrożnie dopytujący się:

- Pani Jennifer Parker?

- Tak. Zawahał się.

- Czy możemy swobodnie rozmawiać?

- Tak. W czym mogę panu pomóc?

- Nie chodzi o mnie, tylko o moją znajomą.

- Rozumiem, jaki problem ma pana znajoma?

- To musi zostać między nami, pani rozumie.

- Rozumiem.

Cynthia weszła i wręczyła Jennifer korespondencję.

- Zaczekaj - dała znak Jennifer.

- Rodzina mojej znajomej zamknęła ją w domu wariatów. Ale ona jest zdrowa. To spisek. Ktoś maczał w tym palce.

Jennifer słuchała, przytrzymując słuchawkę ramieniem i przeglądając jednocześnie poranną pocztę.

- Jest bogata i rodzina chce zdobyć jej pieniądze - mówił mężczyzna.

- Proszę mówić dalej - powiedziała Jennifer, nie przerywając przeglądania korespondencji.

- Jeżeli dowiedzą się, że próbowałem jej pomóc, najprawdopodobniej będą chcieli pozbyć się także mnie. To może być dla mnie niebezpieczne, panno Parker.

„Zwariowana sprawa” - zdecydowała Jennifer i powiedziała:

- Obawiam się, że nic nie mogę zrobić w tej sprawie, ale proponuję, aby zwrócił się pan o pomoc dla pańskiej znajomej do dobrego psychiatry.

- Nie rozumie pani, przecież oni wszyscy są w to wplątani.

- Rozumiem - powiedziała Jennifer cierpliwie. - Ja...

- Czy pomoże jej pani?

- Nic nie mogę... coś panu powiem. Proszę mi podać nazwisko i adres pańskiej znajomej i jeśli będę miała możliwości, to zajmę się tą sprawą.

Nastąpiła długa chwila ciszy. W końcu mężczyzna przemówił:

- Proszę pamiętać, że to poufna informacja.

Jennifer miała już dosyć tej rozmowy. Jej pierwszy umówiony na dzisiaj klient czekał już w poczekalni.

- Będę pamiętać.

- Cooper. Helen Cooper. Miała dużą posiadłość na Long Island, ale odebrali ją jej.

Jennifer zapisała informację w leżącym przed nią notesie.

- Świetnie. Powiedział pan, że w którym sanatorium została umieszczona?

Rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane. Jennifer wyrzuciła notatkę do kosza na śmieci. Kobiety spojrzały na siebie.

- Dziwny jest ten świat - powiedziała Cynthia. - Panna Marshall czeka już na panią.

Tydzień temu Jennifer rozmawiała z Loretą Marshall przez telefon. Panna Marshall poprosiła Jennifer, żeby ją reprezentowała w sprawie o ustalenie ojcostwa jej dziecka. Pozwanym miał być Curtis Randall III, bogacz z wielkiego świata.

Jennifer porozmawiała z Kenem Baileyem.

- Potrzebuję informacji o Curtisie Randallu III. Mieszka w Nowym Jorku, ale z tego, co wiem, dużo czasu spędza w Palm Beach. Interesuje mnie jego przeszłość i czy sypiał z dziewczyną nazwiskiem Loretta Marshall.

Przekazała Kenowi nazwy hoteli w Palm Beach, które podała jej kobieta. Po dwóch dniach Ken zameldował się z raportem.

- Sprawdziłem. Spędzili razem dwa tygodnie w hotelach w Palm Beach, Miami i Atlantic City. Osiem miesięcy temu Loretta Marshall urodziła córeczkę.

Jennifer spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Wygląda na to, że możemy wygrać tę sprawę.

- Obawiam się, że nie.

- W czym problem?

- W naszej klientce. Sypiała ze wszystkimi, nie wykluczając żołnierzy.

- Twierdzisz, że ojcem dziecka może być jeden z wielu mężczyzn?

- Twierdzą, że może być nim połowa mieszkańców Ziemi.

- Czy są wśród nich ludzie tak bogaci, by łożyć na utrzymanie dziecka?
- Cóż, niektórzy są dosyć zamożni, ale najbogatszym z nich jest Curtis Randall III.

Wręczył jej długą listę nazwisk.

Loretta Marshall weszła do gabinetu. Jennifer nie była pewna kogo się spodziewać. Najprawdopodobniej ładnej, bezmyślnej dziwki. Ale wygląd Loretty Marshall stanowił dla niej całkowite zaskoczenie. Nie tylko nie była ładna, ale była niemal pospolita. Miała przeciętną figurę. Sądząc po ilości miłosnych podbojów panny Marshall, Jennifer spodziewała się co najmniej pełnego temperamentu kociaka. Tymczasem Loretta Marshall całkowicie odpowiadała ogólnie przyjętemu stereotypowi nauczycielki szkoły podstawowej. Ubrana była w wełnianą spódnicę w kratę, koszulową bluzkę, ciemnoniebieski sweter i zwykle pantofle. Początkowo Jennifer była pewna, że Loretta Marshall chciała przy jej pomocy zmusić Curtisa Randalla do płacenia na dziecko, które nie było jego. Po godzinnej rozmowie z dziewczyną Jennifer zdała sobie sprawę z tego, że zmieniła swoje zdanie. Loretta Marshall była na wskroś uczciwa.

- Oczywiście, nie mam dowodu na to, że Curtis jest ojcem Melanie - uśmiechnęła się nieśmiało. - Curtis nie jest jedynym mężczyzną, z którym spałam.

- A czemu sądzi pani, że właśnie on jest ojcem pani dziecka, panno Marshall?

- Ja nie sądzę, ja jestem tego pewna. Trudno to wyjaśnić, ale nawet wiem, której nocy Melanie została poczęta. Czasami kobieta to czuje.

Jennifer przyglądała się jej badawczo, próbując znaleźć jakikolwiek ślad fałszu lub przebiegłości, ale nic nie znalazła.

Dziewczyna była całkowicie bezpretensjonalna. „Może właśnie to tak podobało się mężczyznom” - pomyślała Jennifer.

- Czy kocha pani Curtisa Randalla?

- Bardzo. I Curtis też mówił, że mnie kocha. Oczywiście po tym, co się stało, nie jestem pewna, czy jeszcze coś do mnie czuje.

„Jeżeli go kochałaś - pomyślała Jennifer - to jak mogłaś iść do łóżka z kimś innym?” Wyjaśnieniem tego mogła być ta smutna, pospolita twarz i najzwyczajniejsza figura.

- Czy może mi pani pomóc, panno Parker? Jennifer odpowiedziała ostrożnie:

- Sprawy o ustalenie ojcostwa są zawsze trudne. Mam listę z nazwiskami kilkunastu mężczyzn, z którymi sypiała pani w ubiegłym roku. Prawdopodobnie to nie wszyscy. Jeżeli ja mam taką listę, może być pani pewna, że adwokat Curtisa Randalla też będzie miał podobny spis.

Loretta Marshall zmarszczyła brwi.

- A analiza próbek krwi czy coś w tym rodzaju...?

- Badanie krwi może być przyjęte jako dowód jedynie wtedy, gdy potwierdza, że pozwany nie jest ojcem. Z punktu widzenia prawa nie jest to dowód ostateczny.

- Nie chodzi mi o siebie. Chodzi mi o dobro dziecka. Jeżeli jest sprawiedliwość, to Curtis powinien płacić na utrzymanie Melanie.

Jennifer wahała się, rozważając wszystkie za i przeciw. Powiedziała Lorecie Marshall prawdę. Sprawy o ustalenie ojcostwa były trudne. Nie mówiąc już o tym, że nieprzyjemne i brudne. Adwokaci pozwanego będą mieli wielki dzień, kiedy dostaną tę kobietę w swoje ręce. Powołają na świadków jej licznych kochanków i zanim jeszcze skończą przesłuchanie, zrobią z niej dziwkę. Nie była to sprawa, w którą Jennifer chciałaby być zamieszana. Z drugiej strony wierzyła Lorecie Marshall. Nie należała do typu naciągaczek, chcących nabrać swoich byłych kochanków. Ta dziewczyna była przekonana, że Randall jest ojcem jej dziecka. Jennifer podjęła decyzję.

- W porządku - powiedziała. - Spróbujemy naszych sił.

Jennifer umówiła się na spotkanie z Rogerem Davisem, adwokatem Curtisa Randalla. Davis był współwłaścicielem renomowanej firmy na Wall Street i o jego wysokiej pozycji świadczył przestronny, narożny gabinet, który zajmował. Davis był napuszony i arogancki i od pierwszego wejrzenia nie spodobał się Jennifer.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał.

- Jak powiedziałam w rozmowie telefonicznej, działam w imieniu Loretty Marshall.

Spojrzał na nią i powiedział niecierpliwym tonem:

- I co w związku z tym?

- Poprosiła mnie o założenie sprawy przeciwko panu Curtisowi Randallowi o ustalenie ojcostwa jej dziecka. Wolałabym tego nie robić.

- Byłaby pani skończoną idiotką, gdyby pani to zrobiła. Jennifer starała się trzymać nerwy na wodzy.

- Nie chcemy ciągać pańskiego klienta po sądach i psuć jego dobrego imienia. Z pewnością pan wie, że takie sprawy zawsze są nieprzyjemne. Dlatego jesteśmy gotowe zaakceptować polubowne załatwienie całej tej historii.

Roger Davis uśmiechnął się do Jennifer lodowato.

- Nie mam co do tego wątpliwości ponieważ nie ma pani żadnych szans. Absolutnie żadnych.

- Sądzę, że mam.

- Panno Parker, nie mam czasu i nie będę owijać w bawełnę. Pani klientka to dziwka.

Gotowa jest odbyć stosunek ze wszystkim, co się rusza. Mam spis mężczyzn, z którymi spała. Jest bardzo długi. Myśli pani, że mój klient ucierpi w czasie tego procesu? Nie, to pani klientka zostanie zniszczona. O ile wiem, jest nauczycielką. Gdy się dostanie w moje ręce, do końca życia nigdzie nikogo nie będzie uczyła. Powiem pani jeszcze coś. Randall wierzy, że jest ojcem tego dziecka, ale za żadne skarby świata nie udowodni pani tego.

Jennifer siedziała i słuchała z kamienną twarzą.

- Twierdzę, że pani klientka mogła zajść w ciążę z każdym, kto służył w Trzeciej Armii. Chce pani z nami ubić interes? Świetnie, powiem pani, co zrobimy. Kupimy dla pani klientki pigułki, żeby jej się to już więcej nie przytrafiło.

Jennifer wstała z pałającymi policzkami.

- Panie Davis - powiedziała - ta mówka będzie kosztowała pańskiego klienta pół miliona dolarów.

I wyszła z gabinetu.

Ken Bailey i trzej asystenci nie mogli znaleźć niczego przeciwko Curtisowi Randallowi III. Był wdowcem, filarem społeczeństwa i miał bardzo niewiele miłosnych przygód.

- Ten łobuz jest nawróconym purytaninem - skarżył się Ken Bailey.

Siedzieli w sali konferencyjnej. Była północ, rano miał się rozpocząć proces o ustalenie ojcostwa.

- Rozmawiałem z jednym z adwokatów w biurze Davisa, Jennifer. Zniszczą naszą klientkę. Nie blefują.

- Dlaczego nadstawiasz karku za tę dziewczynę? - zapytał Dan Martin.

- Nie do mnie należy ocena jej życia seksualnego, Dan. Ona wierzy, że Curtis Randall jest ojcem jej dziecka. Naprawdę w to wierzy. Chce pieniędzy tylko dla swej córki, a nie dla siebie. Myślę, że ma do tego prawo.

- Nie chodzi nam o nią - powiedział Ken - tylko o ciebie. Znajdujesz się w samym centrum zainteresowania. Oczy wszystkich zwrócone są na ciebie. Uważam, że to jest sprawa nie do wygrania. Stanie się ona czarną plamą przy twoim nazwisku.

- Pora już iść spać - powiedziała Jennifer. - Spotkamy się jutro w sądzie.

Proces przebiegał jeszcze gorzej, niż to przewidywał Ken Bailey. Jennifer powiedziała Loretcie Marshall, aby wzięła z sobą dziecko, ale teraz zastanawiała się, czy nie popełniła taktycznego błędu. Dziewczyna siedziała bezbronna, podczas gdy Roger Davis wzywał kolejnych świadków i zmuszał ich do potwierdzenia, że spali z Loretą Marshall. Jennifer nie miała odwagi zadawać im pytań. Byli w pewnym sensie ofiarami i składali zeznania tylko

dlatego, że zostali do tego zmuszeni. Jedyne, co mogła uczynić Jennifer, to siedzieć i słuchać, jak oczerniano jej klientkę. Obserwowała twarze sędziów przysięgłych i dostrzegła na nich rosnącą wrogość. Davis był zbyt sprytny, aby scharakteryzować Lorette Marshall jako dziwkę. Nie musiał tego czynić. Robili to za niego świadkowie.

Jennifer przedstawiła swoich świadków, którzy zeznali, że Loretta Marshall była dobrą nauczycielką, że regularnie chodziła do kościoła i że jest wzorową matką. Ale wszystko to nie odniosło większego wrażenia w porównaniu z długim szeregiem kochanków Loretty Marshall. Jennifer miała nadzieję zdobyć sympatię ławy przysięgłych, przedstawiając tragiczne położenie młodej kobiety, która została uwiedziona przez bogatego playboya i porzucona, gdy zaszła w ciążę. Ale proces nie zmierzał w tym kierunku.

Curtis Randall III siedział przy stole strony pozwanej. Nawet reżyser filmowy nie znalazłby nikogo odpowiedniejszego na jego miejsce. Był eleganckim mężczyzną około sześćdziesiątki, o imponujących siwych włosach, śniadej twarzy i o regularnych rysach. Miał odpowiednie pochodzenie społeczne, należał do właściwych klubów, był bogaty i powodziło mu się w interesach. Jennifer czuła, jak kobiety zasiadające na ławie przysięgłych, rozbierały go w myślach.

„No pewnie - pomyślała Jennifer - uważają, że to one są godne, aby iść do łóżka z panem Czarusiem, a nie ta flądra - co też on w niej widział - siedząca w sali rozpraw z dziesięciomiesięcznym dzieckiem na ręku”.

Na nieszczęście dla Loretty Marshall dziecko wcale nie było podobne do ojca. Ani do matki, jeżeli idzie o ścisłość. Wszyscy mogli być jego rodzicami.

Jakby czytając w myślach Jennifer, Roger Davis zwrócił się do ławy przysięgłych:

- Panie i panowie, oto siedzi matka i dziecko. Ale czyje dziecko? Widzieliście pozwanego. Twierdzę, że nikt w tej sali nie potrafi wskazać chociaż jednego rysu podobieństwa pomiędzy pozwanym a tym dzieckiem. Przecież gdyby mój klient był ojcem tego dziecka, musiałyby istnieć jakieś podobieństwo. Takie same oczy, nos albo podbródek. Gdzie jest to podobieństwo? Nie istnieje z zupełnie prostej przyczyny. Pozwany nie jest ojcem tego dziecka. Obawiam się, że mamy tutaj do czynienia z klasycznym przypadkiem kobiety lekkich obyczajów, która na skutek braku ostrożności zaszła w ciążę, a potem zaczęła się zastanawiać, który z jej kochanków jest najlepiej sytuowany, aby mógł płacić alimenty.

Jego głos stał się bardziej miękki.

- Nikt z nas nie ma prawa jej oceniać. Jak Loretta Marshall chce ułożyć swoje własne, prywatne życie to jej osobista sprawa. To, że jest nauczycielką i może mieć zły wpływ na umysły małych dzieci... no cóż, to również nie jest przedmiotem tego procesu. Nie jestem tu,

by prawić morały, a jedynie, by chronić interesy niewinnego człowieka.

Jennifer bacznie przyjrzała się sędziom przysięgłym i odniosła wrażenie, że każdy z nich był po stronie Curtisa Randalla. Ale Jennifer wciąż wierzyła Lorecie Marshall. Gdyby tylko dziecko było podobne do ojca! Roger Davis miał rację. Nie było najmniejszego podobieństwa. I Davis zrobił wszystko, aby członkowie ławy przysięgłych to zauważyli.

Jennifer poprosiła Curtisa Randalla na miejsce dla świadków. Wiedziała, że to była jej ostatnia szansa, aby spróbować naprawić szkody, które zostały wyrządzone, jedyna możliwość od - I wrócenia biegu sprawy. Przez moment przypatrywała się mężczyźnie za barierką dla świadków.

- Czy był pan kiedyś żonaty, panie Randall?

- Tak. Moja żona zginęła w pożarze.

Sędziowie przysięgli instynktownie okazali swoje współczucie. Niech to diabli! Jennifer szybko zadała kolejne pytanie.

- Nigdy pan się powtórnie nie ożenił?

- Nie. Bardzo kochałem swoją żonę i...

- Czy mieli państwo dzieci?

- Nie. Niestety moja żona nie mogła mieć dzieci. Jennifer zrobiła gest w stronę niemowlęcia.

- A więc Melanie jest pana jedynym...

- Sprzeciw!

- Podtrzymuję sprzeciw. Rzecznik powódki powinien wiedzieć, że...

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, wymknęło mi się. - Jennifer znowu zwróciła się do Curtisa Randalla.

- Czy lubi pan dzieci?

- Tak. Bardzo.

- Stoi pan na czele zarządu własnej korporacji, prawda, panie Randall?

- Tak.

- Czy nie marzył pan nigdy, żeby pana miejsce zajął kiedyś syn?

- Myślę, że każdy mężczyzna o tym marzy.

- A więc gdyby Melanie była chłopcem, a nie...

- Sprzeciw!

- Podtrzymuję sprzeciw. Panno Parker - zwrócił się sędzia do Jennifer - proszę jeszcze raz, żeby pani tego nie robiła.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie. Panie Randall, czy ma pan zwyczaj podrywania

nieznajomych kobiet i zabierania ich do hotelu? - zwróciła się Jennifer do Curtisa Randalla.

Randall nerwowo oblizwał dolną wargę.

- Nie.

- Czy to prawda, że po raz pierwszy zobaczył pan Loretę Marshall przy barze i zabrał ją pan do pokoju hotelowego?

Znowu oblizwał wargi.

- Tak, proszę pani, ale chodziło jedynie... jedynie o seks. Jennifer popatrzyła na niego uważniej.

- Powiedział pan: chodziło jedynie o seks - jakby pan uważał to za coś brudnego.

- Nie, proszę pani. - Znowu wysuszył język.

Jennifer obserwowała, zafascynowana, jak przesuwał nim po ustach. Nagle ogarnęła ją słaba nadzieja. Wiedziała, co musi zrobić. Musiała go naciskać. Ale z drugiej strony nie mogła robić tego zbyt mocno, aby nie zrazić do siebie ławy przysięgłych.

- Ile kobiet poderwał pan w barze? Roger Davis zerwał się na nogi.

- Wysoki Sądzie, to nie ma znaczenia w tej sprawie. Wnoszę sprzeciw wobec takiej linii przesłuchania. Jediną kobietą, mającą związek ze sprawą, jest Loretta Marshall. Przyznaliśmy, że pozwany miał z nią stosunki płciowe. Poza tym jego życie intymne nie ma związku z wniesioną sprawą.

- Nie zgadzam się z tym, Wysoki Sądzie. Jeżeli pozwany należy do typu mężczyzn, którzy...

- Podtrzymuję sprzeciw. Panno Parker, proszę zaniechać tego typu pytań.

Jennifer wzruszyła ramionami.

- Dobrze, Wysoki Sądzie. Powróćmy do tego wieczoru, kiedy poderwał pan w barze Loretę Marshall - zwróciła się do Curtisa Randalla. - Co to był za bar?

- Ja... ja naprawdę nie wiem. Nigdy wcześniej tam nie byłem.

- To bar dla samotnych, prawda?

- Nie mam pojęcia.

- Dla pana informacji, „Play Pen” był i jest barem dla samotnych. Jest znany jako miejsce podrywów i schadzek, gdzie mężczyźni i kobiety przychodzą, by spotkać partnerów, z którymi mogą iść do łóżka. Czy to właśnie nie w tym celu poszedł pan tam, panie Randall?

Curtis Randall znowu zaczął oblizywać usta.

- Być... być może. Nie pamiętam.

- Nie pamięta pan? - W głosie Jennifer brzmiał sarkazm. - A może pamięta pan, kiedy po raz pierwszy spotkał pan w tym barze Loretę Marshall?

- Nie, nie pamiętam dokładnie.
- W takim razie proszę pozwolić mi odświeżyć pańską pamięć.

Jennifer podeszła do stołu strony wnoszącej powództwo i zaczęła przeglądać jakieś papiery. Napisała coś na kartce, jakby przepisowała datę, i wręczyła notatkę Kenowi Baileyowi. Przeczytał ją z zaintrygowanym wyrazem twarzy.

Jennifer powróciła w pobliże miejsca dla świadków.

- Było to osiemnastego stycznia, panie Randall.

Kątem oka Jennifer zobaczyła, że Ken Bailey opuszcza salę sądową.

- Myślę, że to możliwe. Jak już powiedziałem, nie pamiętam.

Przez następne piętnaście minut Jennifer kontynuowała przesłuchanie Curtisa Randalla. Pytania były łagodne i dotyczyły różnych tematów. Roger Davis nie przerywał, bo widział, że Jennifer nie zdobywa punktów u członków ławy przysięgłych, którzy zaczęli wyraźnie się nudzić.

Jennifer przesłuchiwała świadka, wypatrując powrotu Kena.

W środku kolejnego pytania zobaczyła, jak pospiesznie wszedł do sali rozpraw, niosąc mały pakunek. Jennifer zwróciła się do sędziego:

- Wysoki Sądzie, czy mogę prosić o piętnaście minut przerwy?

Sędzia spojrzał na zegar wiszący na ścianie.

- Ponieważ jest już pora lunchu, sąd ogłasza przerwę do pierwszej trzydzieści.

O pierwszej trzydzieści sąd ponownie zebrał się na posiedzenie. Jennifer poprosiła Loretę Marshall, aby z dzieckiem na kolanach, usiadła bliżej ławy przysięgłych.

Sędzia powiedział:

- Panie Randall, pozostaje pan ciągle pod przysięgą i nie musi pan ponownie przysięgać. Proszę zająć miejsce dla świadków.

Jennifer obserwowała Curtisa Randalla siadającego na miejscu dla świadków. Podeszła do niego i spytała:

- Panie Randall, ile nieślubnych dzieci pan spłodził? Roger Davis zerwał się na nogi.

- Sprzeciw! To jest oburzające, Wysoki Sądzie. Nie pozwolę, by mój klient był w ten sposób poniżany.

- Podtrzymuję sprzeciw - powiedział sędzia i zwrócił się do Jennifer: - Panno Parker, ostrzegalem panią, że...

- Przepraszam, Wysoki Sądzie - powiedziała Jennifer ze skruchą.

Spojrzała na Curtisa Randalla i zobaczyła, że osiągnęła to, co zamierzała. Nerwowo oblizywał wargi. Jennifer odwróciła się do Loretty Marshall i jej dziecka. Niemowlę

zawzięcie oblizywało usta. Jennifer wolno podeszła do dziecka i stanęła tuż przed nim na dłuższą chwilę, by skupić na sobie uwagę przysięgłych.

- Spójrzcie na to dziecko - powiedziała cicho Jennifer. Wszyscy utkwili wzrok w małej Melanie, różowym języczkiem oblizującej dolną wargę.

Jennifer odwróciła się i powróciła w pobliże miejsca dla świadków.

- A teraz spójrzcie na tego mężczyznę.

Dwanaście par oczu jednocześnie odwróciło się ku Curtisowi Randallowi. Siedział, nerwowo oblizując dolną wargę, i nagle wszystkich uderzyło zdumiewające podobieństwo tych dwojga. Zapomniany został fakt, że Loretta Marshall spała z tuzinem innych mężczyzn. Zapomniany został fakt, że Curtis Randall był filarem społeczeństwa.

- To jest człowiek - ponuro rzekła Jennifer - posiadający pozycję, majątek, człowiek przez wszystkich poważany. Chciałabym zadać państwu pytanie: co to za człowiek, który wypiera się własnego dziecka?

Sędziowie przysięgli obradowali niecałą godzinę i powrócili z wyrokiem uznającym roszczenia powódki. Lorecie Marshall przyznano dwieście tysięcy dolarów gotówką i dwa i pół tysiąca dolarów miesięcznie na utrzymanie dziecka.

Po ogłoszeniu wyroku Roger Davis podszedł do Jennifer z twarzą pociemniałą od gniewu.

- Co pani zrobiła temu dziecku?

- O co panu chodzi? Roger Davis zawahał się.

- O to oblizywanie się. Właśnie to przekonało przysięgłych. Czy może pani to wytłumaczyć?

- Mówiąc szczerze - powiedziała Jennifer lodowatym tonem - tak. Nazywa się to dziedziczność. - I odeszła.

Jennifer i Ken Bailey pozbyli się butelki z syropem kukurydzianym w drodze powrotnej do biura.

Adam Warner wiedział prawie od początku, że jego małżeństwo z Mary Beth było pomyłką. Postąpił idealistycznie i impulsywnie, próbując ochronić młodą dziewczynę, która wydawała się zagubiona w otaczającym ją świecie i nieodporna na przejawy wszelkiego zła.

Dałby wszystko za to, by nie zranić Mary Beth, ale głęboko kochał Jennifer. Musiał z kimś o tym porozmawiać i wybrał Stewarta Needhama. Stewart był mu zawsze życzliwy. Zrozumie jego położenie.

Spotkanie wypadło jednak zupełnie inaczej, niż Adam to sobie zaplanował. Kiedy wszedł do gabinetu Stewarta Needhama, ten powiedział:

- Przyszedłeś w samą porę. Właśnie skończyłem rozmawiać z komitetem wyborczym. Wystąpili z oficjalną prośbą, abyś wziął udział w wyborach do senatu Stanów Zjednoczonych. Będziesz miał pełne poparcie partii.

- To... to wspaniale - powiedział Adam.

- Będziemy mieli pełne ręce roboty, mój chłopcze. Musimy zacząć wszystko organizować. Utworzę komitet gromadzący fundusze. Myślę, że właśnie od tego powinniśmy zacząć.

Przez następne dwie godziny omawiali plany kampanii. Kiedy skończyli, Adam powiedział:

- Stewarcie, chciałbym z tobą pomówić w sprawie osobistej.

- Niestety, Adamie, ale jestem już spóźniony na spotkanie z klientem.

I nagle Adam odniósł wrażenie, że Stewart Needham cały czas wiedział, z czym przyszedł do niego.

Adam umówił się z Jennifer na lunch w barze mlecznym na West Side. Kiedy przyszedł, czekała już na niego przy stoliku w głębi sali.

Adam zbliżył się, promieniując energią, i po wyrazie jego twarzy poznała, że coś się stało.

- Mam dla ciebie nowinę - powiedział Adam. - Zostałem poproszony o wzięcie udziału w wyborach do senatu.

- Och, Adamie! - Jennifer ogarnęło uczucie podniecenia. - To cudownie! Będziesz wspaniałym senatorem!

- Walka będzie zacięta. Nowy Jork to trudny stan.

- To nic. Nikt ci nie dorównuje.

Jennifer wiedziała, że to prawda. Adam był inteligentny i odważny, z zapalem

oddawał się sprawom, w których słuszość wierzył. Tak jak kiedyś walczył w jej sprawie.

Jennifer ujęła jego dłoń i powiedziała ciepło:

- Jestem z ciebie taka dumna, najdroższy.

- Spokojnie, jeszcze nie zostałem wybrany. Słyszałaś powiedzenie „między ustami a brzegiem pucharu”.

- To nie ma nic wspólnego z moją dumą z ciebie. Tak cię kocham, Adamie.

- Ja też ciebie kocham.

Adam myślał, żeby powiedzieć Jennifer o rozmowie, którą chciał przeprowadzić ze Stewartem Needhamem, ale rozmyślił się. To może poczekać, póki nie doprowadzi wszystkiego do ładu.

- Kiedy rozpoczynasz kampanię?

- Chcę, żebym natychmiast ogłosił swój udział w wyborach. Będę miał całkowite poparcie partii.

- To wspaniale!

Jennifer czuła podświadomie, że z całą sprawą wiązało się coś niebezpiecznego. Było to coś, czego nie chciała ująć w słowa, ale wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała stanąć z tym twarzą w twarz. Chciała, żeby Adam wygrał, ale wyścig do fotela senatorskiego będzie mieczem Damoklesa wiszącym nad jej głową. Jeżeli Adam wygra, Jennifer utraci go. Będzie na liście partii postępowej i w jego życiu nie będzie miejsca na żaden skandal. Jest żonaty i gdyby wyszło na jaw, że ma kochankę, byłoby to polityczne samobójstwo.

Tej nocy, po raz pierwszy, odkąd pokochała Adama, Jennifer cierpiała na bezsenność. Aż do świtu nie zmrużyła oka, walcząc z demonami nocy.

- Jest rozmowa do pani - powiedziała Cynthia. - To znowu ten marsjanin.

Jennifer spojrzała na nią z roztargnieniem.

- No, ten od tej historii z domem wariatów.

Jennifer kompletnie o nim zapomniała. Nie miała wątpliwości, że potrzebny mu był dobry psychiatra.

- Powiedz mu, żeby... - westchnęła. - Zresztą nie, sama mu to powiem.

Podniosła słuchawkę.

- Jennifer Parker. Usłyszała znajomy głos:

- Czy sprawdziła pani informację, którą pani dałem?

- Nie miałam okazji. - Przypomniała sobie, że wyrzuciła poprzednio sporządzoną notatkę. - Chciałabym panu pomóc. Czy poda mi pan swoje nazwisko?

- Nie mogę - szepnął. - Dopadną mnie. Proszę po prostu sprawdzić. Helen Cooper.

Long Island.

- Mogę polecić panu lekarza, który... - Połączenie zostało przerwane.

Jennifer siedziała przez chwilę, zastanawiając się, a chwilę później poprosiła do siebie Kena Bailey'a.

- O co chodzi, szefowo?

- Wydaje mi się, że to nic specjalnego, ale miałam dwa dziwne telefony od kogoś, kto nie chce się przedstawić. Czy mógłbyś spróbować czegoś się dowiedzieć o kobiecie nazwiskiem Helen Cooper? Podobno miała dużą posiadłość na Long Island.

- A gdzie jest teraz?

- Albo w domu wariatów, albo na Marsie.

Dwie godziny później Ken Bailey wrócił i zdumiał Jennifer, mówiąc:

- Twój Marsjanin wylądował. Niejaka Helen Cooper jest pensjonariuszką w zakładzie dla obłąkanych „Heathers” w Westchester.

- Jesteś pewny?

Ken Bailey poczuł się urażony.

- Nie chciałam tego powiedzieć - sumitowała się Jennifer. Ken był najlepszym detektywem, jakiego znała. Nigdy nie powiedział nic, czego nie byłby zupełnie pewny, i nigdy się nie mylił.

- Dlaczego interesujemy się tą panią? - zapytał.

- Ktoś uważa, że została wrobiona w ten dom wariatów. Chciałabym, żebyś sprawdził jej przeszłość. Chcę się też czegoś dowiedzieć o jej rodzinie.

Następnego ranka na biurku Jennifer leżał raport. Helen Cooper była wdową, która po mężu odziedziczyła majątek wartości czterech milionów dolarów. Jej córka poślubiła zarządcę budynku, w którym mieszkały. Sześć miesięcy po ślubie państwo młodzi wystąpili do sądu o uznanie matki za niezdolną do zarządzania majątkiem i o przekazanie posiadłości pod ich kontrolę. Znaleźli trzech psychiatrów, którzy potwierdzili, że Helen Cooper nie jest w pełni władz umysłowych i sąd oddał ją do zakładu dla psychicznie chorych.

Jennifer skończyła czytać raport i spojrzała na Kena Bailey'a.

- Cała sprawa wygląda nieco podejrzanie, prawda?

- Podejrzanie? Jest śmierzcząca. Co masz zamiar z tym zrobić?

Było to trudne pytanie. Jennifer nie miała klientki. Jeżeli rodzina pani Cooper wsadziła ją do domu wariatów, z pewnością nie będą sobie życzliwi, by Jennifer mieszała się do tej sprawy. Z drugiej strony, ponieważ starsza pani została uznana za chorą psychicznie, nie mogła zlecić Jennifer poprowadzenia sprawy. Był to interesujący problem. Jedyne

Jennifer była pewna: nie będzie stać spokojnie i przypatrywać się, jak kogoś normalnego wsadzają do domu wariatów.

- Mam zamiar odwiedzić panią Cooper - oświadczyła.

Zakład dla obłąkanych „Heathers” znajdował się w Westchester na dużym, zalesionym terenie. Całość była ogrodzona i jedyne wejście wiodło przez pilnie strzeżoną bramę. Jennifer nie była jeszcze gotowa na to, by pozwolić rodzinie pani Cooper dowiedzieć się, co zamierza, więc tak długo wydzwaniała, aż znalazła znajomego, mającego dojszcie do sanatorium. On załatwił jej odwiedziny u pani Cooper.

Dyrektorka zakładu, pani Franklin, była surową kobietą o zaciętej twarzy, przypominającą Jennifer panią Danvers z „Rebeki”.

- Mówiąc szczerze - prychnęła pogardliwie pani Franklin - nie powinnam pozwolić pani rozmawiać z Helen Cooper. Ale uznamy to za wizytę nieoficjalną. Nie zostanie zapisana w rejestrze.

- Dziękuję.

- Zaraz ją każę przyprowadzić.

Helen Cooper była szczupłą, zadbaną kobietą po sześćdziesiątce. Miała żywe, niebieskie oczy, pełne inteligencji, i zachowywała się tak, jakby przyjmowała Jennifer we własnym domu.

- To ładnie z pani strony, że mnie pani odwiedziła - powiedziała pani Cooper - ale mówiąc szczerze, nie bardzo wiem, dlaczego pani tu przyszła.

- Jestem adwokatem, pani Cooper. Otrzymałam dwa anonimowe telefony, z których dowiedziałam się, że przebywa pani tutaj, chociaż nie jest to odpowiednie miejsce dla pani.

- To musiał być Albert - uśmiechnęła się łagodnie pani Cooper.

- Albert?

- Przez dwadzieścia pięć lat był moim lokajem. Kiedy moja córka, Dorothy, wyszła za mąż, wyrzuciła go. Biedny Albert - westchnęła. - Należy do przeszłości, do innego świata, podobnie jak ja. Jest pani bardzo młoda, moja droga, więc może nie zdawać sobie pani sprawy z tego, jak bardzo świat się zmienił. Czy wie pani, czego dzisiaj brak? Miłosierdzia. Wydaje mi się, że zostało zastąpione przez chciwość.

- Pani córka? - zapytała cicho Jennifer. Oczy pani Cooper posmutniały.

- Nie winie Dorothy. To sprawka jej męża. Nie jest zbyt atrakcyjnym mężczyzną, przynajmniej pod względem moralnym. Z kolei moja córka nie jest, niestety, zbyt atrakcyjna zewnętrznie. Herbert poślubił Dorothy dla jej pieniędzy i kiedy odkrył, że cały majątek jest w moich rękach, nie spodobało mu się to.

- Czy powiedział to pani?

- Naturalnie. Mój zięć wcale się z tym nie krył. Uważał, że powinnam od razu przekazać majątek córce, a nie zmuszać jej, by czekała do mojej śmierci. Zrobiłabym to, tylko że mu nie ufałam. Wiedziałam, co się stanie, jeżeli dostanie te pieniądze w swoje ręce.

- Czy kiedykolwiek cierpiała pani na jakieś zaburzenia umysłowe, pani Cooper?

Helen Cooper spojrzała na Jennifer i powiedziała z ironią:

- Według lekarzy cierpię na schizofrenię i paranoję. Jennifer miała wrażenie, że nigdy nie rozmawiała ze zdrowszą osobą.

- Zdaje sobie pani sprawę z tego, że trzech lekarzy orzekło, iż jest pani nie w pełni władz umysłowych.

- Majątek Cooperów jest szacowany na cztery miliony dolarów, panno Parker. Mając tyle pieniędzy, może pani wpłynąć na wielu lekarzy. Obawiam się, że traci pani czas. Obecnie mój zięć sprawuje kontrolę nad majątkiem i nigdy nie pozwoli mi stąd wyjść.

- Chciałabym porozmawiać z pani zięciem.

Plaża Towers znajdował się na East Street 72, w jednej z najpiękniejszych dzielnic mieszkaniowych Nowego Jorku. Helen Cooper miała tutaj do dyspozycji całe ostatnie piętro. Teraz na drzwiach wisiała tabliczka „Państwo H. Hawthorne”.

Jennifer uprzedziła telefonicznie Dorothy o swojej wizycie i kiedy przybyła do apartamentu, oboje - Dorothy i jej mąż - czekali już na nią. Helen Cooper miała rację, jeżeli chodzi o córkę. Nie należała do atrakcyjnych kobiet, była chuda i niepozorna, bez podbródka i lekko zezowała prawym okiem. Jej mąż, Herbert, wyglądał jak Archie Bunker. Był przynajmniej dwadzieścia lat starszy od Dorothy.

- Proszę wejść - wymamrotał.

Poprowadził Jennifer do olbrzymiego salonu ze ścianami obwieszonymi obrazami francuskich i holenderskich mistrzów. Hawthorne bez ogródek zapytał Jennifer:

- A teraz może mi pani powie, co to, u diabła, ma znaczyć? Jennifer zwróciła się do dziewczyny.

- Chodzi o pani matkę.

- To znaczy...?

- Kiedy po raz pierwszy wystąpiły objawy jej choroby?

- Ona...

Herbert Hawthorne przerwał jej:

- Zaraz po naszym ślubie. Starsza pani nie cierpiała mnie. „To z pewnością dowód zdrowych zmysłów” – pomyślała Jennifer, a powiedziała:

- Przeczytałam opinie lekarzy, wydają się być nieobiektywne.
- I co w związku z tym? - spytał zaczepnym tonem.
- W raportach lekarze sami przyznają, że wkroczyli w nie do końca poznane rejony i brak dokładnych kryteriów, co społeczeństwo uważa za zdrowie psychiczne. Na decyzję taką częściowy wpływ miało to, co pan i pańska żona opowiadaliście o zachowaniu pani Cooper.

- Co próbuje pani przez to powiedzieć?
- Twierdzę, że dowody nie są przekonujące. Troje innych lekarzy mogłoby dojść do zupełnie innych wniosków.

- Słuchaj no, paniusiu - powiedział Herbert Hawthorne. - Nie wiem, co próbujesz osiągnąć, ale mówię ci, że starsza pani to wariatka. Tak orzekli lekarze i tak orzekł sąd.

- Czytałam orzeczenie sądu - odpowiedziała Jennifer - w którym wyraźnie zalecono, żeby stan zdrowia pani Cooper był okresowo sprawdzany.

Na twarzy Herberta Hawthorne'a malowała się konsternacja.

- To znaczy, że mogą ją zwolnić?
- Na pewno zwolnią - zapewniła Jennifer. - Już ja się o to postaram.
- Chwileczkę! Co tu, u diabła, jest grane?
- Właśnie tego mam zamiar się dowiedzieć. - Jennifer zwróciła się do dziewczyny: - Sprawdziłam wcześniejsze zapisy na temat zdrowia pani matki. Nigdy nie cierpiała na jakiegokolwiek zaburzenia umysłowe czy emocjonalne. Była...

Herbert Hawthorne nie wytrzymał.

- To niczego nie dowodzi! Takie schorzenia mogą wystąpić niespodziewanie. Mogła...

- Co więcej - ciągnęła Jennifer - sprawdziłam, jaki tryb życia prowadziła pani matka, zanim została zamknięta. Żyła najzupełniej normalnie.

- Nie obchodzi mnie, co sądzi pani czy też ktokolwiek inny. Ona jest szalona! - krzyknął Herbert Hawthorne.

Jennifer odwróciła się do niego i obserwowała go przez chwilę.

- Czy prosił pan panią Cooper o przekazanie panu majątku?
- To nie pani zakichany interes!
- Postaram się, żeby to był mój interes. Myślę, że to na razie wszystko.

Jennifer skierowała się w stronę drzwi. Herbert Hawthorne minął ją i zagroził drogę.

- Chwileczkę. Wtrąca się pani w nie swoje sprawy. Chce pani na tym trochę zarobić, prawda? W porządku, rozumiem to, skarbie. Powiem ci, co zrobię. Dam ci zaraz czek na tysiąc dolarów za dotychczasowy trud, a ty zapomnisz o całej sprawie. No jak?

- Przykro mi - odpowiedziała Jennifer - ale nie zgadzam się.

- Myślisz, że od starszej pani dostaniesz więcej?

- Nie - odpowiedziała Jennifer, patrząc mu prosto w oczy. - Tylko jednemu z nas zależy na pieniądzach.

Badania i konsultacje psychiatryczne, oraz konferencje z czterema różnymi agencjami stanowymi, zajęły sześć tygodni. Jennifer sprowadziła własnych psychiatrów. Kiedy skończyli swoje badania i Jennifer przedstawiła w sądzie wszystkie fakty, którymi dysponowała, sędzia odwołał wcześniejszą decyzję i Helen Cooper została zwolniona z zakładu, a majątek zwrócony pod jej zarząd.

Jeszcze tego samego dnia pani Cooper zadzwoniła do Jennifer.

- Chcę panią zaprosić na lunch do „21”.

Jennifer zajrzała do swego kalendarza. Cały ranek miała wypełniony, w porze lunchu była umówiona, a po południu czekały ją pracowite godziny w sądzie, ale wiedziała, jakie znaczenie miało spotkanie dla starszej pani.

- Dobrze - powiedziała.

- Zrobimy sobie małą uroczystość. - W głosie Helen Cooper słychać było zadowolenie.

Lunch był cudowny. Pani Cooper była wspaniałą gospodynią i wszyscy ją znali w „21”.

Jerry Berns towarzyszył im do stolika na górze, gdzie usiadły w otoczeniu antyków i starych sreber. Jedzenie i obsługa były wyśmienite.

Helen Cooper poczekała, aż podano im kawę, i wtedy powiedziała do Jennifer:

- Jestem ci bardzo wdzięczna, moja droga. Nie wiem, jakiej zapłaty zażadasz za swoje usługi, ale chcę ci podarować coś więcej.

- Ceny moich usług są dosyć wysokie. Pani Cooper potrząsnęła głową.

- To nie ma znaczenia.

Pochyliła się do przodu, ujęła dłonie Jennifer w swoje ręce i zniżyła głos do szeptu:

- Mam zamiar dać ci Wyoming.

Na pierwszej stronie „New York Timesa” umieszczono dwie wiadomości dnia, jedną obok drugiej. Jedna mówiła o wywalczeniu przez Jennifer Parker uniewinnienia dla kobiety oskarżonej o zabójstwo męża, drugi artykuł był o Adamie Warnerze, kandydującym w wyborach do senatu Stanów Zjednoczonych.

Jennifer kilka razy przeczytała artykuł o Adamie. Zawierał; informacje o jego przeszłości, mówił o jego udziale jako pilota w wojnie wietnamskiej i podawał szczegóły przyznania mu medalu za odwagę. Był utrzymany w wielce pochwalnym tonie i przytaczał wypowiedzi kilku osobistości, które stwierdzały, że Adam Warner będzie chlubą senatu i narodu amerykańskiego. Przy końcu artykułu dawano mocno do zrozumienia, że o ile Adam zwycięży w wyborach, może to oznaczać pierwszy krok na drodze do fotela prezydenckiego.

W New Jersey, w wiejskiej posiadłości Antonia Granellego, Michael Moretti i Antonio Granelli kończyli śniadanie. Michael czytał artykuł o Jennifer Parker.

Spojrzał na swojego teścia i powiedział:

- Znowu jej się udało, Tony.

Antonio Granelli nabrał na łyżeczkę kawałek jajka.

- Komu?

- Tej prawniczce, Jennifer Parker. Jest urodzona do tej roboty. Antonio Granelli mruknął:

- Nie podoba mi się pomysł zatrudnienia przez nas kobiety jako prawnika. Kobiety są słabe. Nigdy nie wiadomo, co mogą zrobić.

- Masz rację, większość z nich rzeczywiście taka jest - ostrożnie powiedział Michael.

Nie zamierzał przeciwstawiać się teściowi. Dopóki Antonio Granelli żył, był niebezpieczny. Ale obserwując go teraz, Michael wiedział, że nie będzie musiał już długo czekać. Starszy pan miał ostatnio serię niewielkich zawałów, po których trzęsły mu się ręce. Było mu trudno mówić i poruszał się o lasce. Jego skóra wyglądała jak suchy, żółty pergamin. Wszystkie soki w nim wyschły. Ten człowiek, znajdujący się na pierwszym miejscu na federalnej liście przestępców, był teraz jedynie bezzębnym tygrysem. Jego imię wzbudzało strach w sercach licznych mafiosi i nienawiść w sercach wdów po nich. Obecnie bardzo niewielu ludzi spotykało się z Antonio Granellim. Skrywał się za plecami Michaela, Thomasa Colfaxa i paru innych, których darzył zaufaniem.

Michael nie został jeszcze ogłoszony głową rodziny, ale to była jedynie kwestia czasu. Lucchese był najsilniejszym z pięciu wodzów mafii na wschodzie, po nim Antonio Granelli, a

wkrótce... Michael mógł sobie pozwolić na cierpliwość. Przebył już długą drogę od dnia, gdy jako zarozumiały chłopak stał przed głównymi szefami mafii nowojorskiej, trzymając płonący świstek papieru i przysięgając: „Tak spłonę, jeśli zdradzę tajemnice Cosa Nostra”.

Teraz, siedząc przy śniadaniu ze starszym panem, Michael powiedział:

- Może użyjemy tej Parker w jakiejś drobnej sprawie, jedynie po to, by przekonać się, jak sobie poradzi.

- Tylko bądź ostrożny, Mike. Nie chcę, żeby jacyś obcy poznali sekrety rodziny.

- Pozwól, że sam to z nią załatwię.

Tego samego dnia Michael zadzwonił do Jennifer.

Kiedy Cynthia poinformowała, że dzwoni Michael Moretti, wywołało to u Jennifer falę przykrych wspomnień. Nie miała pojęcia, dlaczego Michael Moretti do niej telefonował.

Z ciekawości podniosła słuchawkę.

- Czego pan chce?

Ostry ton jej głosu zaskoczył go.

- Chciałem się z panią spotkać. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- O czym, panie Moretti?

- To nie jest rozmowa na telefon. Mogę pani jedynie powiedzieć, panno Parker, że bardzo to panią zainteresuje.

- Powiem panu coś, panie Moretti - odparła Jennifer. - Nic, co pan zrobi, czy też mi zaproponuje, nigdy mnie nie zainteresuje - i rzuciła słuchawkę.

Michael Moretti siedział przy biurku, gapiąc się na głuchą słuchawkę. Poczul w sobie jakieś poruszenie, ale nie był to gniew. Nie był pewny, co to jest, i nie był pewny, czy mu to sprawia przyjemność. Przez całe życie wykorzystywał kobiety, a jego śniada twarz i wrodzona bezwzględność przysparzała mu więcej partnerek chętnych iść z nim do łóżka, niż mógł spamiętać.

Zasadniczo Michael Moretti gardził kobietami. Były zbyt miękkie i pozbawione charakteru. Na przykład Rosa. „Jest jak mały piesek, który robi wszystko, co mu się powie - pomyślał Michael. - Prowadzi mi dom, gotuje dla mnie, kocha się ze mną, kiedy tego chcę, i milczy, kiedy jej powiem, by się zamknęła”.

Michael nigdy nie znał kobiety, która wiedziała, czego chce, i która miałaby odwagę mu się przeciwstawić. Jennifer Parker miała czelność rzucić słuchawkę. Cóż takiego powiedziała? „Nic, co pan zrobi, czy też mi zaproponuje, nigdy mnie nie zainteresuje”. Michael Moretti pomyślał o tym i uśmiechnął się. Myliła się. Pokaże jej, jak bardzo się myliła.

Siedział, próbując przypomnieć sobie, jak wyglądała w sali sądowej, próbując przypomnieć sobie jej twarz i figurę. Nagle zaczął sobie wyobrażać, jaka jest w łóżku. Na pewno fantastyczna. Wyobraził sobie ją nagą, stawiającą mu opór. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Kiedy usłyszał kobiecy głos, powiedział:

- Rozbieraj się, za chwilę będę.

Kiedy Jennifer wracała po lunchu do biura, przechodząc przez Trzecią Aleję, o mało nie potrafiła jej ciężarówka. Kierowca nacisnął hamulec i tył wozu zarzucił, omal jej nie zahaczając.

- Jezu Chryste, dziewczyno! - krzyknął kierowca. - Dlaczego, do diabła, nie patrzysz, gdzie idziesz?

Jennifer nie słuchała go, patrzyła na napis z tyłu ciężarówki. Głosił: „Krajowe Przedsiębiorstwo Transportowe”. Stała, patrząc jeszcze długo po tym, jak ciężarówka zniknęła z pola widzenia. Następnie odwróciła się i pospieszyła do biura.

- Czy jest Ken? - zapytała Cynthię.

- Tak, jest w swoim gabinecie.

Poszła, aby się z nim zobaczyć.

- Ken, czy możesz sprawdzić Krajowe Przedsiębiorstwo Transportowe? Potrzebna mi jest lista wszystkich wypadków z udziałem ich ciężarówek w ciągu ostatnich pięciu lat.

- To trochę potrwa.

- Skorzystaj z LEXIS. - Był to komputerowy bank danych dotyczących zagadnień prawnych.

- Powiesz mi, o co chodzi?

- Nie jestem jeszcze pewna, Ken. Mam jedynie pewne podejrzenia. Powiem ci, jeśli się sprawdzą.

Przeoczyła coś w sprawie Connie Garrett, tej ślicznej dziewczyny - ! czyny z amputowanymi wszystkimi kończynami, która do końca życia miała być zdana na łaskę ludzi. Kierowca mógł być czysty, ale jak wyglądała kwestia samochodu? Może tu leżała i przyczyna wypadku?

Następnego ranka Ken Bailey położył przed Jennifer raport.

- Nie wiem, czego się spodziewałaś, ale chyba coś mamy. Krajowe Przedsiębiorstwo Transportowe miało na przestrzeni ostatnich pięciu lat piętnaście wypadków i niektórym ich ciężarówkom odebrano licencję.

Jennifer poczuła narastające podniecenie.

- Jaka była przyczyna?

- Wadliwy układ hamulcowy, powodujący przy gwałtownym naciśnięciu hamulców zarzucanie tyłu samochodu.

Właśnie tył ciężarówki uderzył Connie Garrett. Jennifer zwołała naradę z udziałem Dana Martina, Teda Harrisa i Kena Baileya.

- Występujemy do sądu w sprawie Connie Garrett - ogłosiła. Ted Harris patrzył na nią przez grube szkła okularów.

- Chwileczkę, Jennifer, sprawdzałem to. Przegrała w sądzie apelacyjnym. Zarzucą nam, że to przecież res iudicata.

- Co to znaczy res iudicata? - zapytał Ken Bailey.

- Musi być jakaś granica procesowania się. Dlatego też wprowadzono zasadę, że wyrok sądu uważa się za prawdę - wyjaśniła Jennifer.

- Kiedy w jakiejś sprawie zapadł wyrok ostateczny, może 'ona być ponownie rozpatrywana tylko w wyjątkowych okolicznościach. Nie mamy podstaw do żądania wznowienia procesu.

- Mamy. Zrobimy to, bazując na zasadzie okoliczności dodatkowych.

Zasada ta brzmiała: dla wydania prawomocnego wyroku znajomość wszystkich istotnych faktów, zebranych przez obie strony, jest niezbędna.

- Prawdziwym oskarżonym będzie przedsiębiorstwo transportowe. Ukryli część faktów przed adwokatem Connie Garrett. Ich ciężarówki mają wadliwy układ hamulcowy, o czym nie wspomnieli w swoim raporcie.

Spojrzała na obu prawników.

- Oto, co według mnie powinniśmy zrobić...

Dwie godziny później Jennifer siedziała w saloniku Connie Garrett.

- Chcę wznowić proces. Wierzę, że wygramy sprawę.

- Nie, nie wytrzymam kolejnego procesu.

- Connie...

- Spójrz na mnie, Jennifer. Jestem potworkiem. Za każdym razem, gdy widzę się w lustrze, mam ochotę się zabić. Czy wiesz, czemu tego nie robię? - Jej głos zniżył się do szeptu. - Ponieważ nie mam jak!

Jennifer siedziała wstrząśnięta. Jak mogła być tak nieczuła?

- A gdybym spróbowała załatwić wszystko poza sądem? Myślę, że gdy przedstawię im dowody, będą skłonni załatwić sprawę bez wznowiania procesu.

Biura „Maguire and Guthrie”, adwokatów reprezentujących Krajowe Przedsiębiorstwo

Transportowe, mieściły się na Piątej Alei w nowoczesnym wieżowcu ze szkła i stali, z fontanną przed wejściem. Jennifer przedstawiła się recepcji. Recepcjonistka poprosiła ją, by usiadła, a piętnaście minut później Jennifer została wprowadzona do gabinetu Patricka Maguire'a. Był on starszym właścicielem firmy. Wyglądał na upartego, twardego Irlandczyka o przenikliwych oczach, przed którymi niczego nie można było ukryć.

Wskazał Jennifer krzesło.

- Miło mi panią poznać, panno Parker. Wiele się o pani mówi w całym mieście.
- Mam nadzieję, że nie tylko źle.
- Podobno jest pani uparta. Nie wygląda pani na taką.
- I całe szczęście.
- Kawy? Czy odrobinę dobrej irlandzkiej whisky?
- Poproszę o kawę.

Patrick Maguire zadzwonił i sekretarka wniosła na srebrnej tacy dwie filiżanki kawy.

- A więc w czym mógłbym pani pomóc? - zapytał Maguire.
- Chodzi o sprawę Connie Garrett.
- Ach tak. O ile sobie przypominam, przegrała proces i odwołanie do sądu apelacyjnego.

O ile sobie przypominam... Jennifer była gotowa założyć się o wszystko, że Patrick Maguire potrafiłby wyrecytować każdy najdrobniejszy szczegół tej sprawy.

- Mam zamiar wystąpić z nowym procesem.
- Naprawdę? A na jakiej podstawie? - grzecznie zapytał Maguire.

Jennifer otworzyła swoją teczkę, wyciągnęła przygotowany przez siebie wniosek do sądu i wręczyła go prawnikowi.

- Występuję o wszczęcie postępowania z powodu zatajenia faktów.

Maguire przekartkował dokument, nie okazując zaniepokojenia.

- Ach tak - zauważył. - Sprawa tych hamulców.
- Wiedział pan o tym?
- Oczywiście. - Grubym palcem postukał w dokumenty. - Panno Parker, to nic pani nie da. Będzie pani musiała dowieść, że ciężarówka, która spowodowała wypadek, miała wadliwy układ hamulcowy. Od czasu wypadku była najprawdopodobniej z tuzin razy remontowana, a więc nie będzie możliwości udowodnienia, w jakim stanie była wtedy. - Odsunął papiery z powrotem w jej stronę. - Nie ma pani żadnej sprawy.

Jennifer wypła łyk kawy.

- Wystarczy, że przedstawię, jak złą opinię odnośnie bezpieczeństwa ruchu posiadają

te ciężarówki. Pański klient wiedział, że są wadliwe.

- Co pani w tej sytuacji proponuje? - zapytał obojętnie Maguire.

- Moja klientka ma dwadzieścia lat i do końca życia nie opuści pokoju, w którym przebywa, ponieważ nie ma ani rąk, ani nóg. Chciałabym uzyskać dla niej zadośćuczynienie, które choć w części zrekompensowałoby jej cierpienia.

Patrick Maguire wypił łyk kawy.

- O jakim zadośćuczynieniu pani myśli?

- O dwóch milionach dolarów.

- To bardzo dużo pieniędzy, jeżeli się uwzględní, że nie ma pani podstaw do wytoczenia procesu.

- Jeżeli zwrócę się do sądu, panie Maguire, i wytoczę sprawę, zapewniam pana, że wygram o wiele więcej. Jeżeli zmusi nas pan do wystąpienia o odszkodowanie, będziemy domagać się pięciu milionów dolarów.

Znowu się uśmiechnął.

- Ale mi pani napędziła stracha. Jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. - Jennifer podniosła się.

- Chwileczkę! Proszę usiąść. Nie powiedziałem nie.

- Nie powiedział pan też tak.

- Proszę się jeszcze napić kawy. Sami ją przygotowujemy. Jennifer pomyślała o Adamie i jego ulubionej kenijskiej mieszance.

- Dwa miliony dolarów to mnóstwo pieniędzy, panno Parker. Jennifer nic nie odrzekła.

- Jeżeli w grę wchodziłaby mniejsza kwota, mógłbym spróbować. .. - Zrobił wymowny gest ręką.

Jennifer nie odzywała się.

W końcu Patrick Maguire powiedział:

- A więc naprawdę chce pani dwóch milionów dolarów?

- Naprawdę chcę pięciu milionów dolarów.

- Dobrze. Myślę, że będziemy mogli coś załatwić. „To było zupełnie proste” - pomyślała.

- Rano muszę polecieć do Londynu, ale wrócę w przyszłym tygodniu.

- Pragnę to jak najszybciej zamknąć. Będę wdzięczna, jeśli w miarę pilnie porozmawia pan ze swoim klientem. W przyszłym tygodniu chciałabym swojej klientce wręczyć czek.

Patrick Maguire skinął głową.

- Chyba dam radę to załatwić.

Przez całą drogę powrotną Jennifer czuła się nieswojo. Wszystko poszło zbyt łatwo.

Wracając tego wieczoru do domu, Jennifer wstąpiła do drogerii. Kiedy wyszła i przechodziła przez jezdnię, zobaczyła Kena Baileya z przystojnym blondynem. Jennifer zawahała się, a następnie skręciła w boczną uliczkę, tak aby jej nie zauważyli. Osobiste życie Kena było jego prywatną sprawą.

Rankiem tego dnia, kiedy Jennifer miała się spotkać z Patrickiem Maguire'em, zadzwoniła do niej jego sekretarka.

- Pan Maguire poprosił mnie, aby panią przeprosić w jego imieniu, panno Parker, ale przez cały dzień jest dzisiaj zajęty. Jest gotów spotkać się z panią jutro, o godzinie, która będzie pani odpowiadać.

- Dobrze - powiedziała Jennifer. - Dziękuję pani. Telefon zaniepokoił nieco Jennifer. Jej podejrzenia się sprawdzały. Patrick Maguire coś kombinował.

- Nie łącz mnie z nikim - powiedziała Cynthii.

Zamknęła się w pokoju i chodząc tam i z powrotem, próbowała przeprowadzić dokładną analizę jego postępowania. Patrick Maguire najpierw powiedział, że nie ma sprawy, potem - bez specjalnych perswazji - zgodził się na wypłacenie Connie Garrett dwóch milionów dolarów. Jennifer pamiętała, jak była wtedy niespokojna. Od tego czasu Patrick Maguire był nieosiągalny. Najpierw Londyn - o ile w ogóle był w Londynie, potem konferencje, które uniemożliwiały mu przez tydzień skontaktowanie się z Jennifer, teraz kolejna zwłoka.

Ale dlaczego? Jediną przyczyną mogło być... Jennifer przestała chodzić po pokoju i zadzwoniła do Dana Martina.

- Dan, sprawdź, kiedy Connie Garrett miała wypadek, dobrze? Chcę wiedzieć, kiedy wypada termin przedawnienia.

Dwadzieścia minut później Dan Martin wszedł do pokoju Jennifer z twarzą bladą jak ściana.

- Wszystko przypadło - powiedział. - Miałś rację. Termin prekluzji upływa dzisiaj.

Zrobiło jej się słabo.

- Jesteś tego pewny?

- Absolutnie. Przepraszam, Jennifer. Jeden z nas powinien to sprawdzić wcześniej. Po prostu... po prostu nie przyszło mi to do głowy.

- Ani mnie. - Jennifer podniosła słuchawkę i wykrciła numer. - Z Patrickiem

Maguire'em proszę. Mówi Jennifer Parker.

Wydawało jej się, że czeka na połączenie całą wieczność - W końcu pogodnym głosem odezwała się do słuchawki:

- Dzień dobry, panie Maguire. Jak było w Londynie? - I Przez chwilę słuchała tego, co mówił. - Nie, nigdy tam nie byłam.. . Na pewno kiedyś... Dzwonię - powiedziała obojętnie - ponieważ właśnie rozmawiałam z Connie Garrett. Jak już panu mówiłam, nie ma ochoty pojawiać się w sądzie, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Więc gdybyśmy mogli to dziś załatwić...

W słuchawce zabrzmiał śmiech Patricka Maguire'a.

- Ładnie to pani nagrała, panno Parker, tylko że termin prekluzji upływa dzisiaj. Nikt nie wystąpi już o żadne odszkodowanie. Jeżeli kiedyś zechce się pani umówić ze mną na lunch, porozmawiamy sobie o zmiennych kolejach losu.

Jennifer próbowała powstrzymać gniew.

- To wredny podstęp, kolego.
- To świat jest wredny, koleżanko - Patrick Maguire zachichotał.
- Nieważne jak się gra, ważne, żeby wygrać, tak?
- Jesteś dosyć dobra, moja miła, ale ja trochę dłużej w to się bawię. Powiedz swojej klientce, że życzę jej więcej szczęścia następnym razem.

I odłożył słuchawkę.

Jennifer siedziała z telefonem w ręku. Myślała o Connie Garrett, czekającej w domu na wiadomości od niej. W głowie czuła zamęt, a na czole wystąpiły jej kropelki potu. Sięgnęła do szuflady biurka po aspirynę i spojrzała na zegar ścienny. Wskazywał czwartą. Do piątej mogli złożyć wniosek w biurze sądu.

- Jak długo trwałoby przygotowanie wniosku? - zapytała Dana Martina, który stał obok, cierpiąc razem z nią.

Idąc za jej wzrokiem, spojrzał na zegar.

- Przynajmniej trzy godziny, może nawet cztery. Nie mamy szans.
„Musi być jakieś wyjście” - pomyślała Jennifer.
- To przedsiębiorstwo transportowe ma oddziały we wszystkich stanach, prawda? - spytała.

- Tak.

- W San Francisco jest dopiero pierwsza. Złożymy więc wniosek tam, a potem poprosimy o zmianę miejsca rozprawy.

Dan Martin potrząsnął głową.

- Jennifer, wszystkie papiery są tutaj. Jeżeli znajdziemy firmę w San Francisco i powiemy jej, o co nam chodzi, będą musieli sporządzić wszystkie dokumenty od nowa. W żaden sposób nie zdążą przed piątą.

Coś w niej nie pozwalało się poddać.

- A która godzina jest na Hawajach?

- Jedenasta rano.

Ból głowy Jennifer minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i z podniecenia aż podskoczyła na krześle.

- A więc ich mamy! Sprawdź, czy tam działają. Muszą tam mieć jakiś warsztat, biuro, garaż - cokolwiek. Jeśli tak, złożymy wniosek tam.

Dan Martin gapił się na nią przez chwilę, a potem jego twarz rozpromieniła się.

- Jasne! - wykrzyknął i pospieszył w stronę drzwi.

Głos pełnego zadowolenia z siebie Patricka Maguire'a wciąż brzmiał w uszach Jennifer: „Powiedz swej klientce, że życzę jej więcej szczęścia następnym razem”. Dla Connie Garrett nigdy już nie będzie następnego razu. Dlatego musi to być teraz.

Trzydzieści minut później rozległ się dzwonek interkomu i usłyszała podniecony głos Dana Martina.

- Krajowe Przedsiębiorstwo Transportowe produkuje na wyspie Oahu wały napędowe.

- A więc mamy ich! Znajdź tam kancelarię adwokacką i zleć jej natychmiastowe złożenie wniosku do sądu.

- Czy masz na myśli jakąś konkretną firmę?

- Nie. Weź kogoś z „Martindale - Hubbeli”. Tylko upewnij się, czy wręczyli pozew miejscowemu adwokatowi Przedsiębiorstwa Transportowego. Niech natychmiast po wniesieniu sprawy do sądu zadzwonią do nas. Będę czekać na ich telefon w biurze.

- Czy jeszcze coś mogę zrobić?

- Módl się.

O dziesiątej wieczorem zadzwonił telefon. Jennifer złapała za słuchawkę i usłyszała miękki, kobiecy głos.

- Proszę z panną Jennifer Parker.

- Jestem przy aparacie.

- Mówi Sung z kancelarii adwokackiej „Gregg and Hoy” w Oahu. Chcieliśmy panią poinformować, że piętnaście minut temu wręczyliśmy pozew, zgodnie z pani życzeniem, adwokatowi Krajowego Przedsiębiorstwa Transportowego.

Jennifer głęboko odetchnęła.

- Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Cynthia wprowadziła do gabinetu Joeya La Guardia. Jennifer nigdy przedtem go nie widziała. Zadzwoił z prośbą, by go reprezentowała w sprawie o pobicie. Był niski, mocno zbudowany i miał na sobie drogi garnitur, który sprawiał wrażenie, jakby był uszyty na kogoś zupełnie innego. Na małym palcu nosił olbrzymi sygnet z brylantem.

La Guardia uśmiechnął się, ukazując żółte zęby, i powiedział:

- Przyszedłem do pani, ponieważ potrzebuję pomocy. Każdy może popełnić błąd, prawda, panno Parker? Gliny zatrzymały mnie, bo zrobiłem mały numer parze chłopaków, ale byłem przekonany, że to oni chcą mnie załatwić. Było ciemno i kiedy ujrzałem ich idących w moim kierunku... no cóż, okolica nie należy do bezpiecznych. Rzuciłem się na nich, zanim oni rzucili się na mnie.

W jego zachowaniu było coś, co wydało się Jennifer niesmaczne i fałszywe. Próbował być za bardzo przymilny. Wyciągnął gruby plik pieniędzy.

- Proszę. Jeden patyk z góry, a drugi, kiedy będziemy w sądzie. W porządku?

- Mam wypełniony kalendarz na najbliższe parę miesięcy. Z chęcią polecę panu innych adwokatów.

Stał się natarczywy.

- Nie, nie chcę żadnego innego. Pani jest najlepsza.

- Do zwykłej sprawy o pobicie nie potrzebuje pan najlepszego adwokata.

- Słuchaj no - powiedział - zapłacę ci więcej. - W jego głosie dało się słyszeć desperację. - Dwa patyki z dołu i...

Jennifer przycisnęła ukryty pod biurkiem guzik dzwonka weszła Cynthia.

- Pan La Guardia wychodzi, Cynthia.

Joey La Guardia przez dłuższą chwilę patrzył na Jennifer, a następnie zebrał swoje pieniądze, wsadził je z powrotem do kieszeni i bez słowa opuścił biuro. Jennifer nacisnęła guzik interkomu.

- Ken, czy mógłbyś do mnie wpaść na chwilkę?

Kenowi zajęło mniej więcej trzydzieści minut zebranie kompletu wiadomości o Joeyu La Guardii.

- Jego kartoteka policyjna jest niezwykle bogata - powiedział Jennifer. - Od szesnastego roku życia przebywał w więzieniach. - Spojrzał na trzymaną w rękę kartkę. - Teraz zwolniono go z aresztu za kaucją. W ubiegłym tygodniu zatrzymany został za pobicie dwóch starszych mężczyzn, którzy są winni mafii pieniądze.

Nagle wszystko stało się jasne.

- Joey La Guardia pracuje dla mafii?
- Jest jednym z ludzi Michaela Morettiego. Jennifer ogarnęła dzika furia.
- Czy możesz mi zdobyć numer telefonu Michaela Morettiego?

Pięć minut później Jennifer rozmawiała z Morettim.

- Cóż to za miła niespodzianka, panno Parker, jestem...
- Panie Moretti, nie lubię, jak ktoś się ze mną drażni.
- O czym pani mówi?

- Proszę posłuchać. I to uważnie. Nie jestem na sprzedaż. Ani teraz, ani nigdy. Nie będę bronić nikogo, kto dla pana pracuje. Jedyne, czego chcę, to żeby zostawił mnie pan w spokoju. Czy to dosyć jasne?

- Czy mogę pani zadać jedno pytanie?
- Proszę.
- Czy zje pani ze mną lunch? Jennifer rzuciła słuchawkę.

W interkombie rozległ się głos Cynthii:

- Przyszedł jakiś pan Patrick Maguire i chce się z panią zobaczyć, panno Parker. Nie jest umówiony, ale powiedział, że...

Jennifer uśmiechnęła się do siebie.

- Poproś, żeby pan Maguire zaczekał.

Dobrze pamiętała ostatnią rozmowę przez telefon: „Nieważne jak się gra, ważne, żeby wygrać, tak?”. „Jesteś dosyć dobra, moja miła, ale ja trochę dłużej się w to bawię. Powiedz swojej klientce, że życzę jej więcej szczęścia następnym razem”.

Jennifer kazała czekać Patrickowi Maguire'owi czterdzieści pięć minut, a następnie zadzwoniła do Cynthii:

- Możesz wpuścić pana Maguire'a.

Patrickowi Maguire'owi przeszedł beztrioski nastrój. Został przechytrzony, był zły i nie starał się tego ukrywać. Podeszedł do biurka Jennifer i wysapał:

- Sprawia mi pani dużo kłopotów, koleżanko.
- Czyżby, kolego?

Usiadł, chociaż go nie poprosiła.

- Przestańmy się bawić w kotka i myszkę. Miałem telefon od radcy prawnego Krajowego Przedsiębiorstwa Transportowego. Nie doceniłem pani. Mój klient chce polubownie załatwić sprawę.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kopertę i wręczył ją Jennifer. Otworzyła ją. W środku

był czek potwierdzony, wystawiony na Connie Garrett. Opiewał na sto tysięcy dolarów.

Jennifer wsunęła czek z powrotem do koperty i oddała ją Patrickowi Maguire'owi.

- To za mało. Wystąpiliśmy o pięć milionów dolarów odszkodowania.

Maguire wyszczerzył zęby.

- I co z tego? Pani klientka nie pójdzie do sądu. Właśnie złożyłem jej wizytę. Za nic w świecie nie zmusi pani tej dziewczyny do pojawienia się na sali rozpraw. Jest przerażona samą myślą o tym, a bez niej nie ma pani żadnych szans na wygranie sprawy.

Jennifer odparła rozzłoszczona:

- Nie miał pan prawa rozmawiać z Connie Garrett pod moją nieobecność.

- Próbowałem jedynie wyświadczyć grzeczność. Bierz pieniądze i spływaj, koleżanko.

Jennifer podniosła się.

- Proszę się stąd wynosić. Na pana widok ogarniają mnie mdłości.

Patrick Maguire wstał.

- Nie sądziłem, że cokolwiek jest w stanie panią poruszyć. I wyszedł, zabierając z sobą czek.

Obserwując go, jak opuszczał pokój, Jennifer zastanawiała się, czy nie popełniła przypadkiem ogromnego błędu. Pomyślała, co znaczyło dla Connie Garrett sto tysięcy dolarów. Ale to było za mało. Za mało, uwzględniając to, co każdego dnia do końca życia będzie musiała cierpieć ta dziewczyna.

Jennifer wiedziała, że pod jednym względem Patrick Maguire miał rację. Jeżeli Connie Garrett nie pojawi się na sali sądowej, ława przysięgłych na pewno nie przyzna jej pięciu milionów dolarów odszkodowania. Żadne słowa nie będą w stanie przekonać ich o koszmarze jej życia. Jennifer potrzebny był wstrząs, jakim byłaby obecność Connie Garrett w sali rozpraw, naprzeciw ławy przysięgłych. Ale nie było żadnej możliwości przekonania młodej kobiety, by zgodziła się pójść do sądu. Jennifer musiała znaleźć inne rozwiązanie.

Zadzwoił Adam.

- Przepraszam, że nie dzwoniłem - usprawiedliwiał się. - Miałem spotkanie w związku z wyborami do senatu...

- W porządku, kochany, rozumiem. - „Muszę rozumieć - pomyślała. - Bardzo mi Ciebie brakuje.”

- Mnie Ciebie również, Adamie. - „Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo”.

- Chcę się z Tobą spotkać.

Jennifer chciała zapytać kiedy, ale nic nie powiedziała.

- Dziś po południu muszę jechać do Albany - ciągnął „Adam. - Zadzwoń do ciebie, jak wrócę.

- Dobrze.

Nic innego nie mogła powiedzieć. Nic innego nie mogła zrobić.

O czwartej nad ranem Jennifer obudziła się z koszmarne snu. Wiedziała już, w jaki sposób wygra pięć milionów dolarów dla Connie Garrett.

- Zorganizowaliśmy szereg przyjęć w całym stanie, podczas których zbierane będą fundusze. Skoncentrowaliśmy się jedynie na większych miastach. Do małych miasteczek dotrzemy dzięki takim programom telewizyjnym, jak „Twarzą w twarz z narodem”, „Dzisiaj” i „Spotkanie z prasą”. Szacujemy, że możemy zebrać... Adamie, słuchasz?

Adam spojrział na Stewarta Needhama i pozostałych trzech mężczyzn w sali konferencyjnej - czołowych ekspertów od środków masowego przekazu, jak go zapewniał Needham - i powiedział:

- Oczywiście, Stewarcie.

Ale myślał zupełnie o czym innym. O Jennifer. Chciał, by była tu, u jego boku, dzieląc z nim kampanię, dzieląc z nim każdy moment, dzieląc z nim całe życie.

Adam kilkakrotnie próbował przedyskutować swoją sytuację ze Stewartem Needhamem, ale za każdym razem jego współnikowi udawało się zmienić temat.

Adam siedział, myśląc o Jennifer i Mary Beth. Wiedział, że porównywanie ich było rzeczą nieuczciwą, ale było to nieuniknione.

„Przebywanie z Jennifer jest stymulujące. Wszystkim się interesuje i przy niej czuję, że żyję. Mary Beth żyje w swoim małym własnym świecie...

Mam z Jennifer wiele wspólnych zainteresowań, z Mary Beth nic mnie nie łączy poza małżeństwem...

Lubię poczucie humoru Jennifer. Potrafi śmiać się sama z siebie. Mary Beth wszystko bierze na serio...

Przy Jennifer czuję się młodo, Mary Beth wydaje się być starsza, niż jest w rzeczywistości...

Jennifer jest niezależna. Mary Beth zdaje się na mnie we wszystkim, co robi...

Pięć zasadniczych różnic między kobietą, którą kocham i moją żoną.

Pięć powodów, dla których nie mogę nigdy porzucić Mary Beth”.

W pierwszą środę sierpnia rozpoczął się proces Connie Garrett przeciwko Krajowemu Przedsiębiorstwu Transportowemu. Normalnie podobna sprawa zasłużyłaby jedynie na krótką wzmiankę w prasie, ale ponieważ powódkę reprezentowała Jennifer Parker, środki masowego przekazu były w pełnym pogotowiu.

Patrick Maguire siedział przy stole obrony, otoczony chmarą asystentów w tradycyjnych, szarych garniturach.

Rozpoczęła się procedura wybierania sędziów przysięgłych. Maguire nie przywiązywał do tego specjalnej wagi - żeby nie powiedzieć, że był niemal obojętny - bo wiedział, że Connie Garrett nie pojawi się na sali rozpraw. Widok pięknej, młodej dziewczyny bez rąk i nóg byłby niezwykle ważkim czynnikiem, by wywalczyć u ławy przysięgłych tę ogromną sumę pieniędzy, ale bez dziewczyny nie było żadnego niebezpieczeństwa.

„Tym razem - myślał Maguire - Jennifer Parker przeliczyła się”.

Skład ławy przysięgłych został ustalony i rozpoczął się pro - I ces. Patrick Maguire wygłosił swoją mowę inauguracyjną i Jennifer musiała przyznać, że był naprawdę bardzo dobry. Długo rozwodził się nad losem biednej Connie Garrett, mówiąc to wszystko, co chciała powiedzieć Jennifer, kradnąc jej możliwość wpływu na uczucia sędziów. Mówił o wypadku, podkreślając fakt, że Connie Garrett pośliznęła się na oblodzonym chodniku i że kierowca ciężarówki był niewinny.

- Powódka zwraca się do was, panie i panowie, o przyznanie jej pięciu milionów dolarów! Czy widzieliście państwo tyle pieniędzy? Ja nie. Moja firma służy pomocą paru bogatym klientom, ale chcę państwu powiedzieć, że w ciągu całej mojej kariery zawodowej nigdy nie widziałem nawet miliona dolarów, nawet pół miliona dolarów.

Po minach sędziów przysięgłych widać było, że oni również nie widzieli takiej kwoty.

- Obrona ma zamiar przedstawić świadków, którzy powiedzą, jak doszło do wypadku, bo to był wypadek. Zanim skończymy, przekonamy państwa, że Krajowe Przedsiębiorstwo Transportowe nie ponosi żadnej winy. Zauważyliście zapewne, że osoba, która wytoczyła proces, Connie Garrett, jest nieobecna na sali sądowej. Jej adwokat poinformowała sędziego Silvermaria, że w ogóle się nie pojawi. Connie Garrett nie ma dzisiaj na tej sali, chociaż powinna być, ale powiem państwu, co teraz robi. Właśnie teraz, kiedy tu stoję i przemawiam do państwa, Connie Garrett siedzi w domu i liczy pieniądze, które - jak sądzi - zostaną jej przyznane. Czeka na dzwonek telefonu i na informację od swojej adwokat, ile to milionów

dolarów z was wydusiła.

Wszyscy wiemy, że za każdym razem, kiedy jest wypadek, w który zamieszane jest, nawet pośrednio, wielkie przedsiębiorstwo, znajdują się ludzie, którzy natychmiast stwierdzą: Przecież ta firma jest bogata. Stać ją na to. Wyduśmy z niej, ile się da.

Patrick Maguire zrobił przerwę.

- Connie Garrett nie ma dzisiaj na tej sali, ponieważ nie mogłaby wam spojrzeć w oczy. Wie, że to, co próbuje zrobić, jest niemoralne. No cóż, odeślemy ją z pustymi rękami, by dać nauczkę innym ludziom, którzy mogliby mieć ochotę spróbować tej samej sztuczki w przyszłości. Człowiek musi ponosić odpowiedzialność za własne czyny. Jeżeli ktoś pośliznie się na ulicy, nie może za to winić kogoś innego. I nie powinien próbować z tego tytułu wyłudzać od kogoś pięciu milionów dolarów. Dziękuję za uwagę.

Uklonił się w stronę Jennifer, po czym podszedł do stolika obrony i usiadł.

Jennifer wstała i zwróciła się do ławy przysięgłych. Przyglądała się badawczo twarzom sędziów, by ocenić, jakie wrażenie wywarł na nich Patrick Maguire.

- Mój szanowny kolega powiedział państwu, że Connie Garrett nie będzie obecna na sali rozpraw podczas procesu. To prawda. Oto, gdzie siedziałaby Connie Garrett, gdyby tu była. - Jennifer wskazała na puste miejsce przy stoliku strony pozywającej. - Nie na tym krześle. W specjalnym wózku dla inwalidów. Connie Garrett nie będzie na tej sali, ale zanim ten proces się skończy, wszyscy państwo będziecie mieli możliwość poznać ją, tak jak ja ją poznałam.

Na twarzy Patricka Maguire'a pojawił się wyraz zaskoczenia. Pochylił się do jednego z asystentów i coś mu szeptął.

- Słuchałam, kiedy pan Maguire tak elokwentnie przemawiał - ciągnęła Jennifer - i muszę państwu powiedzieć, że się wzruszyłam. Serce zaczęło mi krwawić na myśl o tej ogromnej firmie, tak bezwzględnie zaatakowanej przez tę dwudziestoczteroletnią kobietę bez rąk i nóg. Tę kobietę, która właśnie w tej chwili siedzi w domu, niecierpliwie oczekując na telefon i wiadomość, że została milionerką. - Jennifer zniżyła głos. - Cóż będzie robiła z tymi milionami? Kupi sobie pierścionki z brylantami, by ozdobić nimi palce rąk, których nie ma? Kupi sobie piękne pantofelki na nogi, których nie ma? Kupi sobie śliczne suknie, których nigdy nie będzie mogła założyć? Rolls - royce'a, aby jeździć na przyjęcia, na które nikt jej nie zaprasza? Pomyślcie tylko, jaką radość będzie miała z posiadania tych pieniędzy.

Jennifer mówiła bardzo spokojnie i szczerze, a jej oczy powoli przesuwaly się po twarzach sędziów przysięgłych.

- Pan Maguire nigdy nie widział pięciu milionów dolarów. Ja również nie. Ale coś

państwu powiem. Gdybym zaoferowała komukolwiek z was w tej chwili pięć milionów dolarów w gotówce, a w zamian zażądałabym jedynie, by uciął sobie obie ręce i nogi, nie sądzę, że pięć milionów dolarów wydawałoby się taką dużą kwotą pieniędzy...

Prawo w tym wypadku nie pozostawia żadnych wątpliwości - wyjaśniła Jennifer. - W poprzednim procesie, który powódka przegrała, strona pozwana zdawała sobie sprawę z wadliwego systemu hamulcowego w swoich ciężarówkach, ale nie ujawniła tego przed sądem i powódką. Tym samym złamała prawo. I to jest podstawą do wytoczenia obecnego procesu. Zgodnie z wynikami najnowszych badań, główną przyczyną wypadków ciężarówek są: układ kierowniczy i hamulcowy oraz jakość kół i opon. Jeżeli chociaż przez chwilę przestudiują państwo te liczb - by...

Patrick Maguire próbował ocenić nastroje sędziów przysięgłych, a był w tym zakresie ekspertem. Kiedy Jennifer zagłębiła się w nudną statystykę, Maguire zauważył, że przysięgłych zaczęła nudzić rozprawa. Stawała się zbyt techniczna. Nie była już poświęcona kalekiej dziewczynie, tylko ciężarówkom, drodze hamowania i wadliwym bębnom hamulcowym. Sędziowie zaczęli tracić zainteresowanie sprawą.

Maguire spojrział na Jennifer i pomyślał, że nie jest taka zdolna, jak się twierdzi. Maguire wiedział, że gdyby był po przeciwnej stronie, broniąc Connie Garrett, pominąłby statystyki i problemy mechaniki, a grałby na uczuciach przysięgłych. Jennifer Parker postąpiła dokładnie na odwrót.

Patrick Maguire rozsiadł się wygodnie w krześle i odprężył się.

Jennifer podeszła do stołu sędziowskiego.

- Wysoki Sądzie, za pozwoleniem Sądu, chciałabym przedstawić dowód rzeczowy.

- Jaki dowód rzeczowy? - zapytał sędzia Silverman.

- Na początku procesu obiecałam sędziom przysięgłym, że poznają Connie Garrett.

Ponieważ nie może się tu pojawić osobiście, proszę o pozwolenie pokazania kilku jej zdjęć.

- Nie widzę przeszkód - powiedział sędzia Silverman i zwrócił się do Patricka Maguire'a. - Czy adwokat strony pozwanej ma jakieś zastrzeżenia?

Patrick Maguire wstał i podszedł wolno, gorączkowo rozważając sprawę.

- Jakie to zdjęcia?

- Parę ujęć Connie Garrett zrobionych w jej domu - powiedziała Jennifer.

Patrick Maguire wolałby tego uniknąć, ale z drugiej strony zdjęcia kalekiej dziewczyny w wózku inwalidzkim odniosą z pewnością mniejsze wrażenie niż jej pojawienie się przed sądem. Musiał wziąć pod uwagę jeszcze coś: jeżeli się sprzeciwi, w oczach sędziów przysięgłych wyda się obojętny.

- Oczywiście, proszę pokazać ujęcia - powiedział wielkodusznie.

- Dziękuję.

Jennifer odwróciła się do Dana Martina i skinęła głową. Dwaj mężczyźni z ostatniego rzędu podeszli do przodu, niosąc projektor filmowy i składany ekran, po czym zaczęli go rozstawiać.

Patrick Maguire wstał zdziwiony. . - Chwileczkę! Co to ma znaczyć?

- Szykujemy się do pokazania ujęć, na co sam pan przed chwilą wyraził zgodę - odparła Jennifer z miną niewiniątka.

Patrick Maguire stał ogarnięty bezsilnym gniewem. Jennifer nie wspomniała, że mają to być ujęcia filmowe. Ale teraz było już za późno na sprzeciw. Sztywno skinął głową i usiadł.

Jennifer kazała ustawić ekran tak, żeby ława przysięgłych i sędzia Silverman dobrze widzieli.

- Wysoki Sądzie, czy możemy prosić o zaciemnienie sali?

Sędzia dał znak woźnemu i opuszczono story. Jennifer podeszła do projektora na film szesnastomilimetrowy i włączyła go. Ekran ożył.

Przez następne trzydzieści minut na sali nie było słycać najmniejszego dźwięku. Jennifer wynajęła zawodowego operatora i młodego reżysera filmów reklamowych do nakręcenia tego reportażu. Sfilmowali jeden dzień z życia Connie Garrett i był to horror. Niczego nie pozostawiono wyobraźni. Film pokazywał jak piękną, młodą dziewczynę bez kończyn rano zanoszono z łóżka do łazienki, podmywano niczym małe, bezbronne dziecko... kapano... ubierano i karmiono... Jennifer kilka razy widziała film, ale nawet teraz, widząc go kolejny raz, czuła ściskanie w gardle, a jej oczy wypełniły się łzami. Wiedziała, że taki sam efekt wywiera film na sędzim, na przysięgłych i publiczności zebranej w sali rozpraw.

Kiedy film się skończył, Jennifer odwróciła się do sędziego Silvermana.

- Powódka odpoczywa.

Sędziowie przysięgli obradowali przeszło dziesięć godzin i w miarę upływu czasu Jennifer traciła nadzieję. Była tak pewna, że wyrok zapadnie natychmiast. Jeżeli film wywarł na nich takie wrażenie jak na niej, werdykt powinien zostać ogłoszony po godzinie, najpóźniej dwóch.

Kiedy sędziowie przysięgli opuścili salę rozpraw, Patrick Maguire był wściekły, pewny, że przegrał sprawę, że jeszcze raz nie docenił Jennifer Parker. Ale gdy godziny mijały, a przysięgli nie wracali, zaczął powoli odzyskiwać nadzieję. Jeżeli miała to być decyzja oparta na współczuciu, nie zajęłoby to tyle czasu. „Wszystko będzie w porządku. Im

dłużej obradują, tym bardziej ich emocje stygną”.

Parę minut przed północą przewodniczący ławy przysięgłych przekazał sędziemu Silvermanowi kartkę z prośbą o wydanie opinii sądowej. Sędzia przeczytał notatkę, a następnie uniósł wzrok.

- Czy mogę prosić do stołu sędziowskiego obu adwokatów? Kiedy Jennifer i Patrick Maguire stanęli przed nim, sędzia Silverman powiedział:

- Chcę powiadomić państwa o notatce, którą właśnie otrzymałem od przewodniczącego ławy przysięgłych. Sędziowie przysięgli pytają, czy w świetle przepisów prawa wolno im przyznać Connie Garrett więcej niż pięć milionów dolarów, o które wystąpiła jej adwokat.

Jennifer zakreśliło się w głowie. Serce zaczęło w niej rosnać. Odwróciła się, by spojrzeć na Patricka Maguire'a. Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Informuję ich - mówił sędzia Silverman - że jest w ich mocy ustalić taką kwotę, jaką uważają za słuszną.

Trzydzieści minut później sędziowie przysięgli powrócili na salę rozpraw. Przewodniczący ogłosił, że uznali roszczenia powódki. Suma odszkodowania, do którego jest upoważniona, wynosi sześć milionów dolarów.

Było to najwyższe odszkodowanie przyznane prywatnej osobie w historii stanu Nowy Jork.

Kiedy następnego ranka Jennifer weszła do biura, na swoim biurku znalazła rozłożone gazety. Każda z nich pisała o niej na pierwszej stronie. W wazonie stały cztery tuziny pięknych, czerwonych róż. Jennifer uśmiechnęła się. Adam znalazł czas, by przysłać jej kwiaty.

Otworzyła przyczepioną kopertę. Na karteczce było napisane: „Gratulacje. Michael Moretti”.

Zaburczał interkom i Cynthia powiedziała:

- Dzwoni pan Adam.

Jennifer chwyciła słuchawkę. Próbowała mówić spokojnym głosem.

- Cześć, kochanie.

- Znowu dokonałeś cudu.

- Mam szczęście.

- To twoja klientka ma szczęście. Szczęście, że miała ciebie za adwokata. Musisz się cudownie czuć.

„Kiedy wygrywam proces, czuję się dobrze, kiedy jestem z tobą czuję się cudownie”.

- Tak.

- Muszę ci powiedzieć coś ważnego - odezwał się Adam. - Czy możesz umówić się ze mną na drinka dziś po południu?

Serce w niej zamarło. Była tylko jedna ważna rzecz, którą Adam musiał jej powiedzieć: miał zamiar już nigdy się z nią nie spotykać.

- Tak. Tak, oczywiście...

- Świetnie.

Róże oddała Cynthii.

Adam czekał na nią przy stoliku w głębi sali. „Żeby tylko nie czuł zakłopotania, kiedy zacznę histeryzować - pomyślała Jennifer. - No cóż - postanowiła sobie - nie będę płakać, nie przy Adamie”.

Patrząc na jego wymizerowaną, wychudłą twarz, czuła, co przeszedł i postanowiła mu to maksymalnie ułatwić. Jennifer usiadła, a Adam ujął jej dłoń w swoje ręce.

- Mary Beth zgodziła się na rozwód - powiedział Adam, a Jennifer gapiała się na niego, nie mogąc wydusić z siebie ani jednego słowa.

To Mary Beth rozpoczęła rozmowę. Wrócili z przyjęcia mającego na celu gromadzenie funduszy, na którym Adam był głównym mówcą. Wieczór był ogromnym

sukcesem. Mary Beth nie odzywała się w drodze powrotnej do domu, wyczuwało się w niej dziwne napięcie.

- Myślę, że wieczór był udany, prawda? - powiedział Adam.

- Tak, Adamie.

Przez resztę drogi do domu nie odzywali się więcej.

- Napijesz się czegoś przed snem? - zapytał Adam.

- Nie, dziękuję. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- Tak? A o czym?

Spojrzała na niego i powiedziała.

- O tobie i Jennifer Parker.

Było to jak cios. Adam zawahał się przez moment, zastanawiając się, czy zaprzeczyć, czy...

- Wiem o tym od jakiegoś czasu. Nic nie mówiłam, ponieważ chciałam sama podjąć decyzję w tej sprawie.

- Mary Beth, ja...

- Pozwól mi dokończyć. Wiem, że nasze stosunki nie układały się... tak dobrze... jak tego chcieliśmy. Być może pod pewnymi względami nie byłam tak dobrą żoną, jak powinnam być.

- To, co się stało, to nie twoja wina. Ja...

- Proszę, Adamie, nie przerywaj mi. Nie jest mi łatwo o tym mówić. Ale podjęłam decyzję. Nie zamierzam stać na waszej...

Patrzył na nią niedowierzająco.

- Nie wiem, co...

- Za bardzo cię kocham, by ci sprawiać ból. Masz przed sobą wspaniałą karierę polityczną. Nie chcę, żeby cokolwiek ją zniszczyło. Widocznie nie jesteś ze mną szczęśliwy. Jeżeli Jennifer Parker potrafi cię uszczęśliwić, chcę, żebyś był z nią.

Ogarnęło go poczucie nierzeczywistości, jakby cała rozmowa miała miejsce pod wodą.

- A co stanie się z tobą? Mary Beth uśmiechnęła się.

- Jakoś sobie poradzę, Adamie. Nie martw się o mnie. Mam swoje własne plany.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć.

- Nie trzeba nic mówić. Powiedziałam wszystko za nas oboje. Jeżeli tkwiłabym przy tobie, czyniąc cię nieszczęśliwym, żadnemu z nas nie przyniosłoby to nic dobrego, prawda? Jestem pewna, że Jennifer jest wspaniała, inaczej nie czułbyś do niej tego, co czujesz. - Mary

Beth podeszła do niego i objęła go. - Nie miej takiej miny, Adamie. To, co robię, jest najlepszym wyjściem dla nas wszystkich.

- Jesteś wyjątkową kobietą.

- Dziękuję. - Delikatnie przesunęła palcami po jego twarzy i uśmiechnęła się. - Mój najdroższy Adam. Zawsze będę twoim najbliższym przyjacielem. Zawsze. - Podeszła jeszcze bliżej i położyła głowę na jego ramieniu. Ledwo słyszał jej cichy głos. - Już dawno nie trzymałeś mnie w ramionach, Adamie. Nie musisz mi mówić, że mnie kochasz, ale czy mógłbyś... czy zechciałbyś jeszcze raz wziąć mnie w ramiona i pokochać mnie? Ostatni raz?

Adam myślał teraz o tym, kiedy mówił do Jennifer.

- To Mary Beth zaproponowała rozwód.

Adam mówił dalej, ale Jennifer nie słuchała słów, jedynie muzykę. Czuła, jakby płynęła, unosila się w powietrzu. Przygotowała się, że mężnie znieśli oświadczenie Adama, że nie mogą się więcej spotykać - a tu nagle coś takiego! Było to zbyt wiele, aby mogła od razu pojąć. Wiedziała, jak bolesna dla Adama musiała być rozmowa z Mary Beth i nigdy nie kochała go bardziej niż w tej chwili. Czuła, jakby przygniatający ciężar został usunięty z jej piersi i że znowu może oddychać.

- Mary Beth była niezwykła - mówił Adam. - To wyjątkowa kobieta. Szczerze cieszy się naszym szczęściem.

- Trudno mi uwierzyć.

- Nie rozumiesz. Od jakiegoś czasu żyliśmy bardziej jak... brat z siostrą. Nigdy z tobą o tym nie rozmawiałem, ale... - zawahał się, a potem powiedział ostrożnie: - Mary Beth nie odczuwała silnego... pragnienia.

- Rozumiem.

- Chciałaby cię poznać.

Ta myśl zaniepokoiła Jennifer.

- Nie wydaje mi się, Adamie, że będę w stanie. Będę czuć się... nieswojo.

- Zaufaj mi.

- Jeżeli... jeżeli naprawdę tego chcesz, Adamie, to...

- Chcę, kochanie. Pójdziemy razem na herbatę. Zawiozę cię. Jennifer pomyślała chwilę.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybym poszła sama?

Następnego ranka Jennifer jechała Saw Mili River Parkway w kierunku północnym. Ranek był rześki i czysty, idealny dzień na przejażdżkę. Jennifer włączyła radio i próbowała zapomnieć o zdenerwowaniu, które ją ogarnęło na myśl o oczekującym ją spotkaniu.

Dom Warnerów był idealnie zachowanym budynkiem z czasów kolonizatorów holenderskich. Stał nad samą rzeką w Croton - on - Hudson, a wokół rozciągały się ogromne tereny porośnięte falującą trawą. Jennifer podjechała aleją do imponującego wejścia frontowego. Nacisnęła dzwonek i po chwili drzwi otworzyła atrakcyjna kobieta po trzydziestce. Ostatnią rzeczą, której Jennifer się spodziewała, była nieśmiała kobieta z Południa, która podała jej dłoń, uśmiechnęła się przyjaźnie i powiedziała:

- Jestem Mary Beth. Adam nie był w stosunku do pani sprawiedliwy. Proszę wejść.

Żona Adama miała na sobie beżową wełnianą spódnicę miękko układającą się na biodrach, i jedwabną bluzkę z dekoltem ukazującym dojrzałe, lecz ciągle piękne piersi. Rozpuszczone jasnoblond włosy lekko układały się wokół twarzy i stanowiły przyjemną oprawę dla niebieskich oczu. Perły na jej szyi nie mogłyby przez nikogo zostać uznane za hodowlane. Wokół Mary Beth panowała atmosfera wrodzonego dostojenia.

Wnętrze domu było cudowne: wysokie, przestronne pokoje wypełniały antyki i piękne obrazy.

Służący podał im herbatę w salonie na srebrnym serwisie z czasów króla Jerzego.

Kiedy opuścił pokój, Mary Beth powiedziała:

- Jestem przekonana, że bardzo pani kocha Adama. Jennifer odrzekła z zakłopotaniem:

- Chcę, żeby pani wiedziała, pani Warner, że żadne z nas nie zamierzało...

Mary Beth Warner położyła dłoń na ramieniu Jennifer.

- Nie musi mi pani tego mówić. Nie wiem, czy Adam to pani powiedział, ale nasze małżeństwo przekształciło się w grę pozorów. Znaliśmy się z Adamem od dziecka. Myślę, że zakochałam się w Adamie, kiedy go ujrzałam po raz pierwszy. Chodziliśmy na te same przyjęcia i mieliśmy wspólnych znajomych. Myślę, że to było nieuniknione, iż pewnego dnia się pobierzemy. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nadal uwielbiam Adama i jestem pewna, że on uwielbia mnie. Ale ludzie się zmieniają, nieprawda?

- Tak.

Jennifer spojrzała na Mary Beth i przepełniło ją uczucie głębokiej wdzięczności. Scena, która mogła być nieprzyjemna, okazała się być miłą. Adam miał rację, Mary Beth była wspaniałą kobietą.

- Jestem pani bardzo wdzięczna - powiedziała Jennifer.

- A ja jestem wdzięczna pani - zwierzyła się Mary Beth. Uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała: - Widzi pani, ja też jestem bardzo zakochana. Chciałam natychmiast wystąpić o rozwód, ale pomyślałam sobie, że ze względu na Adama lepiej będzie, jeśli poczekamy, aż

miną wybory.

Jennifer była tak pochłonięta swoimi przeżyciami, że zupełnie zapomniała o wyborach.

- Wszyscy są pewni - ciągnęła Mary Beth - że Adam zostanie naszym kolejnym senatorem i rozwód poważnie zmniejszyłby jego szansę. To zaledwie sześć miesięcy, dlatego zdecydowałam, że lepiej będzie dla niego, jeżeli przesuniemy termin rozvodu. - Spojrzała na Jennifer. - Ale, proszę mi wybaczyć, może to pani nie odpowiada?

- Najzupełniej się z panią zgadzam - powiedziała Jennifer. Będzie musiała zupełnie się przestawić. Jej przyszłość będzie teraz związana z Adamem. Jeżeli zostanie senatorem, zamieszka z nim w Waszyngtonie. Będzie to oznaczało porzucenie praktyki adwokackiej, ale nie było to istotne. Nic nie było ważne poza tym, że będą mogli być razem.

- Adam będzie wspaniałym senatorem - powiedziała Jennifer. Mary Beth uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Moja droga, pewnego dnia Adam Warner będzie wspaniałym prezydentem.

Jennifer wchodziła do mieszkania, kiedy zadzwonił telefon.

- Jak ci poszło z Mary Beth? - zapytał Adam.

- Adamie, ona jest cudowna.

- Powiedziała to samo o tobie.

- Czyta się o starym wdzięku południowców, ale nieczęsto się z nim spotyka. Mary Beth go posiada. To prawdziwa dama.

- Ty również, kochanie. Gdzie chciałabyś wziąć ślub?

- Jeżeli o mnie chodzi, to nawet na Times Square - powiedziała Jennifer. - Ale myślę, Adamie, że powinniśmy poczekać.

- Na co?

- Aż miną wybory. Twoja kariera jest najważniejsza. Rozwód mógłby ją zniszczyć.

- Moje życie osobiste...

- ..stanie się życiem publicznym. Nie wolno nam zrobić nic, co mogłoby zmniejszyć twoje szansę w wyborach. Możemy poczekać te sześć miesięcy.

- Nie chcę czekać.

- Ja również nie chcę, kochanie - Jennifer uśmiechnęła się. - Przecież tak naprawdę nie będziemy czekali, prawda?

Jennifer i Adam prawie codziennie jedli razem lunch, a raz albo dwa razy na tydzień Adam spędzał u niej noc. Musieli być bardziej ostrożni niż kiedykolwiek, bo kampania Adama zaczęła się na dobre i stawał się znaną osobistością. Wygłaszał przemówienia na zjazdach i przyjęciach, wydawanych, by gromadzić fundusz wyborczy, a prasa coraz częściej przytaczała jego poglądy w kwestiach ogólnokrajowych.

Adam i Stewart Needham pili swoją tradycyjną poranną herbatę.

- Rano widziałem cię w programie „Dzisiaj” – powiedział Needham. - Dobra robota, Adamie. Uzyskałeś zrozumienie dla każdego swojego punktu. Domyślam się, że zostałeś ponownie zaproszony do udziału w programie.

- Stewarcie, nienawidzę tych przedstawień. Czuję się jak jakiś cholerny aktor popisujący się przed widownią.

Stewart skinął głową nieporuszony.

- Ano właśnie, Adamie, politycy muszą być aktorami. Odgrywają ważną rolę, postępują tak, jak tego oczekują ludzie. Do diabła! Gdyby politycy zachowywali się publicznie tak, jak... - jak to określają dzieciaki? - jak gdyby im wszystko zwiślało - ten kraj do dzisiaj byłby monarchią.

- Nie podoba mi się, że ubieganie się o urząd państwowy przypomina konkurs piękności.

Stewart Needham uśmiechnął się.

- Ciesz się, że masz prezencję, mój chłopcze. Szansę na twoje zwycięstwo zwiększają się z każdym tygodniem. - Przerwał, by nalać jeszcze herbaty. - Wierz mi, to dopiero początek. Najpierw senat, potem cel numer jeden. Nic cię nie powstrzyma - przerwał, by wypić łyk herbaty - o ile, oczywiście, nie zrobisz jakiegoś głupstwa.

Adam spojrzał na niego.

- Co masz na myśli?

Stewart Needham delikatnie wytarł usta adamaszkową serwetką.

- Twój przeciwnik jest człowiekiem nie przebierającym w środkach. Mogę się założyć, że bada teraz twoje życie pod mikroskopem. Ale niczego nie znajdzie, prawda?

- Nie - odruchowo powiedział Adam.

- Dobrze - kontynuował Stewart Needham. - Jak się czuje Mary Beth?

Jennifer i Adam spędzali weekend w wiejskiej posiadłości w Vermont, którą udostępnił im przyjaciel Adama. Powietrze było świeże i rześkie, przypominając o zbliżającej

się zimie. Był to wspaniały weekend, podczas którego odprężyli się i wypoczęli. W ciągu dnia robili długie wycieczki, a wieczorem grali w szachy i beztrósco gawędzili przy kominku.

Dokładnie przejrzeni wszystkie niedzielne gazety. We wszystkich okręgach wyborczych szansę Adama rosły. Środki przekazu, z nielicznymi wyjątkami, były za Adamem. Podobał im się jego styl, uczciwość, inteligencja i szczerść. Porównywano go do Johna Kennedy'ego.

Adam wyciągnął się przed kominkiem, obserwując, jak cienie rzucane przez płomienie odbijają się na twarzy Jennifer.

- Czy chciałabyś być żoną prezydenta?
- Przykro mi, ale jestem zakochana w senatorze.
- Czy będziesz bardzo rozczarowana, jeśli nie wygram?
- Nie. Jediną przyczyną, dla której tego chcę, jest to, że ty tego pragniesz, kochanie.
- Jeżeli wygram, będzie to oznaczało przeprowadzkę do Waszyngtonu.
- Nic nie ma znaczenia, kiedy jesteśmy razem.
- A co z twoją praktyką adwokacką? Jennifer uśmiechnęła się.
- Słyszałam, że w Waszyngtonie też mają prawników. !
- A jeżeli cię poproszę, żebyś porzuciła pracę?
- To porzucę.
- Nie chcę. Jesteś za dobra.
- Jediną rzecz, na której mi zależy, to być z tobą. Tak cię kocham, Adamie.

Pogłaskał jej miękkie, ciemnobrązowe włosy i powiedział:

- Ja też cię kocham. Bardzo. ' Poszli do łóżka, a potem usnęli.

W niedzielę wieczorem wrócili do Nowego Jorku. Pojechali do garażu, w którym Jennifer zostawiła swój samochód, i Adam wrócił do domu, a Jennifer pojechała do swojego apartamentu w Nowym Jorku.

Dni Jennifer były niezwykle wypełnione. Jeżeli kiedyś myślała, że jest zajęta, to teraz była zawałona pracą. Reprezentowała międzynarodowe korporacje, które zostały przyłapane na złamaniu przepisów, senatorów o niezbyt czystych rękach, gwiazdy filmowe, które nabawiły się kłopotów. Reprezentowała dyrektorów banków i złodziei bankowych, polityków i przewodniczących związków.

Miała masę pieniędzy, ale to nie było dla niej najważniejsze. Dawała swoim pracownikom duże premie i hojne prezenty.

Korporacje, przeciwko którym występowała Jennifer, nie delegowały już na rozprawy drugorzędnych prawników i Jennifer miała okazję zmierzyć się z największymi talentami

prawniczymi świata.

Została przyjęta do Amerykańskiego Zrzeszenia Prawników Procesowych i nawet na Kenie Baileyu zrobiło to wrażenie.

- Jezu - powiedział - czy wiesz, że tylko jeden procent prawników kraju należy do tego zrzeszenia?

- Jestem ich maskotką - uśmiechnęła się Jennifer.

Kiedy Jennifer reprezentowała oskarżonych na Manhattanie, mogła być pewna, że Robert Di Silva albo osobiście będzie prowadził sprawę, albo będzie prowadził ją z ukrycia. Jego nienawiść do Jennifer rosła wraz z każdym jej zwycięstwem.

Podczas jednego z procesów, kiedy to Jennifer zmierzyła się z prokuratorem okręgowym, Di Silva przedstawił jako świadków oskarżenia dwunastu wybitnych ekspertów.

Jennifer nie powołała żadnych specjalistów. Powiedziała natomiast do sędziów przysięgłych:

- Jeżeli chcemy zbudować statek kosmiczny albo zmierzyć odległość do gwiazd, powołujemy ekspertów. Ale jeżeli chcemy dokonać czegoś naprawdę ważnego, wybieramy w tym celu dwunastu zwykłych ludzi. O ile sobie przypominam, twórca chrześcijaństwa zrobił tak samo.

Jennifer wygrała sprawę.

Jeden z chwytów stosowanych przez Jennifer, który - jak odkryła - dobrze wpływał na ławę przysięgłych, to wystąpienie: „Wiem, że słowa »prawo« i »sala sądowa« brzmią nieco przerażająco i dalekie są od waszego codziennego życia, ale jeżeli przestaniecie się państwo nad tym zastanawiać, to przecież to, czym się tutaj zajmujemy, to roztrząsanie dobrych i złych uczynków, wyrządzonych takim samym istotom ludzkim, jak my. Zapomnijmy, przyjaciele, że jesteśmy w sali sądowej. Wyobraźmy sobie, że siedzimy w moim salonie i rozmawiamy o tym, co przytrafiło się temu biednemu oskarżonemu, takiemu samemu człowiekowi, jak my”.

I w swojej wyobraźni sędziowie przysięgli rzeczywiście siedzieli w mieszkaniu Jennifer, ulegając jej urokowi.

Sztuczka ta sprawdzała się znakomicie, do czasu. Pewnego razu Jennifer broniła oskarżonego, a jej przeciwnikiem był Di Silva. Prokurator okręgowy wstał i zaczął swoją wstępną przemowę do sędziów przysięgłych.

- Panie i panowie - powiedział - chciałbym, żebyście zapomnieli, że jesteście w sądzie. Chciałbym, żebyście sobie wyobrazili, że siedzicie w moim salonie i prywatnie rozmawiamy o tych strasznych rzeczach, których dokonał oskarżony.

Ken Bailey pochylił się do Jennifer i szepnął:

- Słyszysz, co robi ten łobuz? Kradnie twój chwyt!

- Nie martw się - zimno odrzekła Jennifer.

Kiedy wstała, by przemówić do ławy przysięgłych, zaczęła tak:

- Panie i panowie, nigdy nie słyszałam czegoś tak oburzającego, jak uwagi wygłoszone przez prokuratora okręgowego. - W jej głosie brzmiało szczere oburzenie. - Przez chwilę nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam. Jak można było wam zaproponować, byście zapomnieli, że siedzicie w sali sądowej! Ta sala jest jednym z najcenniejszych osiągnięć, jakie posiada nasz naród! To jest podstawa naszej wolności. Mojej, waszej i oskarżonego. I sugestię prokuratora okręgowego, żebyście zapomnieli o waszym świętym obowiązku, uważam za szokującą i niegodziwą. Proszę was, panie i panowie, żebyście pamiętali, gdzie jesteście, abyście pamiętali, że wszyscy zebraliśmy się tutaj, aby zagwarantować, by sprawiedliwości stało się zadość, i że oskarżony zostanie oczyszczony z zarzutów.

Sędziowie przysięgli kiwali głowami na znak aprobaty. Jennifer spojrzała w kierunku stołu, przy którym siedział Robert Di Silva. Patrzył prosto przed siebie szklanym wzrokiem. Klient Jennifer został uniewinniony.

Po każdym zwycięstwie w sali sądowej na biurku Jennifer pojawiały się cztery tuziny czerwonych róż z wizytówką Michaela Morettiego. Za każdym razem Jennifer darła wizytówkę i kazała Cynthii zabierać kwiaty. Wydawały się jej ohydne, bo były od niego. W końcu Jennifer wysłała mu kartkę, prosząc, by przestał je przysyłać.

Kiedy Jennifer wróciła z sądu po wygraniu kolejnej sprawy, czekało na nią pięć tuzinów czerwonych róż.

Sprawa „Deszczowego Rabusia” przyniosła Jennifer kolejny sukces. Na oskarżonego zwrócił jej uwagę ojciec Ryan.

- Mój znajomy ma mały kłopot - zaczął i obydwójce wybuchnęli śmiechem.

Tym znajomym okazał się Paul Richards, oskarżony o obrabowanie banku na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Rabuś wszedł do banku ubrany w długi, czarny płaszcz przeciwdeszczowy, pod którym ukrył karabin z uciętą lufą. Kołnierz płaszcza był postawiony, tak że częściowo zakrywał twarz. Wszedłszy do banku, człowiek zaczął wymachiwać karabinem i zmusił kasjera do wydania mu całej gotówki. Następnie złodziej uciekł samochodem. Kilku świadków widziało ten samochód, zielony sedan, ale numery rejestracyjne były zachlapanie błotem.

Ponieważ napady na bank były przestępstwem ściganym przez władze federalne, do sprawy wkroczyło FBI. Wprowadzono dane o sposobie przeprowadzenia przestępstwa do komputera, który wybrał nazwisko Paula Richardsa jako głównego oskarżonego.

Jennifer pojechała odwiedzić go w areszcie.

- Przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłem - powiedział Paul Richards. Był po pięćdziesiątce, miał czerwoną twarz z niewinnymi, niebieskimi oczami i sprawiał wrażenie zbyt starego na ganieńce po mieście i napadanie na banki.

- Nie interesuje mnie, czy jest pan winny, czy nie - wyjaśniła Jennifer - ale mam jedną zasadę. Nie reprezentuję klienta, który mnie okłamuje.

- Przysięgam na życie mojej matki, że tego nie zrobiłem. Przysięgi już dawno przestały robić wrażenie na Jennifer.

Klienci zaklinali się na życie swoich matek, żon i dzieci, że są niewinni. Gdyby Bóg traktował te przysięgi poważnie, nastąpiłby znaczny spadek ludności.

- Jak pan myśli, dlaczego FBI pana zatrzymało? Paul Richards odpowiedział bez zastanowienia:

- Ponieważ jakieś dziesięć lat temu zrobiłem skok na bank i byłem tak głupi, że dałem się złapać.

- Użył pan karabinu z uciętą lufą, który ukrył pan pod płaszczem?

- Zgadza się. Czekałem, aż będzie deszcz, a potem napadłem na bank.

- Ale nie zrobił pan tego ostatniego skoku?

- Nie. Jakiś cwany łobuz skopiował mój pomysł.

Przesłuchania wstępne prowadził sędzia Fred Stevens, zwolennik ostrych kar. Krążyły

pogłoski, że był za wywiezieniem wszystkich kryminalistów na jakąś niedostępną wyspę, gdzie pozostaliby na resztę życia. Sędzia Stevens uważał, że każde ma przyłapanemu na kradzieży po raz pierwszy powinno się uciąć: prawą rękę, a jeżeli zostanie przyłapany ponownie - powinien mieć uciętą lewą, zgodnie ze starą tradycją islamu. Był ostatnim sędzią, o jakiego mogłaby poprosić Jennifer. Posłała po Keird Bailey.

- Ken, chcę, żebyś wydobyl wszystko, co się da, o sędzim Stevensie.
- Sędzia Stevens? Jest czysty jak ła. Jest...
- Wiem, że jest. Proszę cię, zrób to.

Prokurator federalny, który prowadził sprawę, był starym wygą o nazwisku Carter Gifford.

- Jak zamierza go pani bronić? - zapytał Gifford. Jennifer spojrzała na niego z bezgranicznie zdumioną miną.

- Że jest niewinny, oczywiście.

Roześmiał się sardonicznie.

- Sędziemu Stevensowi na pewno się to spodoba. Przypuszczam, że wystąpi pani o rozprawę z udziałem ławy przysięgłych.

- Nie.

Gifford podejrzliwie przyjrzał się Jennifer.

- Chce pani oddać swojego klienta w ręce jednego surowego sędziego?
- Zgadza się.

Gifford uśmiechnął się szeroko.

- Wiedziałem, że pewnego dnia noga ci się powinie. Nie mogę się doczekać, kiedy to nastąpi.

- Stany Zjednoczone Ameryki przeciwko Paulowi Richard - sowi. Czy oskarżony jest obecny?

- Tak, Wysoki Sądzie - odpowiedział woźny sądowy.
- Czy mogę prosić, by adwokaci podeszli do stołu sędziowskiego i przedstawili się?

Jennifer i Carter Gifford podeszli do sędziego Stevensa.

- Jennifer Parker, reprezentuję oskarżonego.
- Carter Gifford, reprezentuję rząd Stanów Zjednoczonych. Sędzia Stevens zwrócił się do Jennifer i powiedział szorstko:

- Znam pani sztuczki, panno Parker. Chciałem więc na samym wstępie uprzedzić panią, że nie zamierzam marnować czasu tego sądu. Nie zniosę żadnych opóźnień w rozpatrywanej sprawie. Chcę przeprowadzić przesłuchania wstępne i jak najszybciej mieć za

sobą postawienie podejrzanego w stan oskarżenia. Chcę ustalić termin rozprawy najwcześniej, jak to tylko będzie możliwe. Przypuszczam, że zażąda pani obecności ławy przysięgłych i...

- Nie, Wysoki Sądzie.

Sędzia Stevens spojrział na nią zdumiony.

- Nie występuje pani o proces z udziałem sędziów przysięgłych?

- Nie, ponieważ nie myślę, że podejrzany zostanie postawiony w stan oskarżenia.

Carter Gifford wpatrywał się w nią zdumiony.

- Co takiego?

- Moim zdaniem nie ma pan wystarczających dowodów, by wytoczyć mojemu klientowi proces.

Carter Gifford warknął:

- To zmieni pani zdanie! - I zwrócił się do sędziego Stevensa: - Wysoki Sądzie, mamy niepodważalne dowody. Oskarżony był już raz skazany za popełnienie dokładnie takiego samego przestępstwa. Nasz komputer wybrał go spośród ponad dwóch tysięcy ewentualnych podejrzanych. W sali rozpraw siedzi człowiek, który jest winny popełnienia tego przestępstwa i prokuratura nie zamierza odstąpić od oskarżenia go. Sędzia Stevens odwrócił się do Jennifer.

- Według sądu jest wystarczająco dużo dowodów prima jądę, aby postawić podejrzanego w stan oskarżenia i wytoczyć mu proces. Czy ma pani coś jeszcze do powiedzenia?

- Tak, Wysoki Sądzie. Nie ma ani jednego świadka, który potrafiłby jednoznacznie zidentyfikować Paula Richardsa. FBI nie było w stanie znaleźć skradzionych pieniędzy. Mówiąc szczerze, jedyne, co łączy oskarżonego z tą sprawą, to wyobrażenia prokuratora.

Sędzia popatrzył na Jennifer i powiedział ze złowieszczym uśmiechem:

- A co powie pani o komputerze, który go wybrał? Jennifer westchnęła.

- I w tym właśnie tkwi cały problem, Wysoki Sądzie.

- Wyobrażam sobie - powiedział ponuro sędzia Stevens. - Łatwo wprawić w zakłopotanie żywego świadka, ale z komputerem - to już nie takie proste.

- Właśnie, Wysoki Sądzie - przytaknął skwapliwie Carter Gifford.

Jennifer odwróciła się w jego stronę.

- FBI używa IBM 370/168, prawda?

- Tak, to najbardziej wyrafinowany komputer na świecie:

- Czy obrona zamierza zakwestionować sprawność tego komputera? - zapytał sędzia Stevens Jennifer.

- Wprost przeciwnie, Wysoki Sądzie. Przyprowadziłam na salę rozpraw eksperta w dziedzinie komputerów, który pracuje w firmie produkującej 370/168. On opracował program, który wskazał nazwisko mojego klienta.

- Gdzie on jest?

Jennifer odwróciła się i dała znak wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie siedzącemu na ławce. Nerwowo zbliżył się do nich.

- To jest pan Edward Monroe - powiedziała Jennifer.

- Jeżeli próbowała pani wpłynąć na mojego świadka - wybuchnął Gifford - to...

- Jedyne, co zrobiłam, to poprosiłam pana Monroe'a, aby zwrócił się do komputera z pytaniem, czy są inni, ewentualni podejrzani. Wybrałam dziesięć osób, których charakterystyka ogólna podobna jest do charakterystyki mojego klienta. Dla celów identyfikacyjnych pan Monroe zaproponował dane o wieku, wzroście, wadze, kolorze oczu, miejscu urodzenia... te same dane, na podstawie których wytypowano mojego klienta.

Sędzia Stevens spytał niecierpliwie;

- Jaki jest cel tego wszystkiego, panno Parker?

- Rzecz w tym, że komputer wybrał jedną z tych dziesięciu osób jako głównego podejrzanego o napad na bank.

Sędzia Stevens zwrócił się do Edwarda Monroe'a.

- Czy to prawda?

- Tak, Wysoki Sądzie. - Edward Monroe otworzył swoją teczkę i wyciągnął wydruk komputerowy.

Woźny wziął go od Monroe'a i wręczył sędziemu. Sędzia Stevens spojrzał na wydruk i jego twarz stała się purpurowa.

- Czy to jakiś żart? - zwrócił się do Edwarda Monroe'a.

- Nie, proszę pana.

- Komputer wybrał mnie jako potencjalnego podejrzanego? - zapytał sędzia Stevens.

- Tak, proszę pana.

- Komputer nie ma możliwości rozumowania, Wysoki Sądzie - wyjaśniła Jennifer. - Może tylko reagować na informacje, które otrzymuje. Pan i mój klient jesteście tego samego wzrostu, wagi i wieku. Obaj jeździcie zielonym sedanem i obaj pochodzicie z tego samego stanu. Są to - mówiąc szczerze - jedyne dowody, jakimi dysponuje oskarżenie. Jediną wskazówką jest sposób popełnienia przestępstwa. Kiedy Paul Richards dziesięć lat temu napadł na bank, miliony ludzi przeczytały o tym. Każdy z nich mógł wykorzystać jego modus operandi.

- I właśnie to zrobił. - Jennifer wskazała kawałek papieru w ręku sędziego Stevensa. - To pokazuje, jak bezpodstawne są w rzeczywistości zarzuty w tej sprawie.

- Wysoki Sądzie... - zabelkotał Carter Gifford i przerwał, nie wiedząc, co powiedzieć. Sędzia Stevens jeszcze raz spojrział na komputerowy wydruk, a następnie na Jennifer.

- Co by pani zrobiła - zapytał - gdyby sędzia był młodszy, szczuplejszy ode mnie i gdyby jeździł niebieskim samochodem?

- Komputer wypisał mi dziesięciu innych ewentualnych podejrzanych - powiedziała Jennifer. - Następnym na liście jest prokurator okręgowy Nowego Jorku, Robert Di Silva.

Jennifer siedziała w swoim gabinecie, przeglądając prasę; kiedy Cynthia powiedziała:

- Przyszedł pan Paul Richards.

- Wpuść go, Cynthia.

Wszedł do pokoju, ubrany w czarny płaszcz przeciwdeszczowy i trzymając pudełko z czekoladkami przewiązane czerwoną wstążeczką.

- Chciałem pani podziękować.

- Widzi pan? Czasami sprawiedliwość odnosi triumf.

- Wyjeżdżam z miasta. Doszedłem do wniosku, że potrzebny mi jest mały urlop. - Wręczył Jennifer pudełko czekoladek.' - A to dowód mojej wdzięczności.

- Dziękuję, Paul.

Spojrzał na nią z uwielbieniem.

- Uważam, że jest pani niesamowita - powiedział i wyszedł. Jennifer spojrziała na pudełko czekoladek leżące na biurku i uśmiechnęła się. Nigdy jeszcze nie dostała tyle za prowadzenie spraw podopiecznych Ojca Ryana. Jeśli utyje, to będzie to wyłącznie jego wina.

Jennifer rozwiązała wstążkę i otworzyła pudełko. W środku było dziesięć tysięcy dolarów w używanych banknotach.

Pewnego razu, opuszczając gmach sądu, Jennifer zauważyła stojącego przy krawężniku wielkiego, czarnego cadillaka z szoferem. Kiedy go mijala, wysiadł z niego Michael Moretti.

- Czekałem na panią.

Z bliska wyczuwało się ogromną żywotność tego człowieka, która działała przytłaczająco.

- Proszę zejść z mojej drogi - powiedziała Jennifer. Twarz miała zaczerwienioną od gniewu i Michaelowi Morettiemu wydała się piękniejsza niż kiedykolwiek.

- Hejże - zaśmiał się - proszę się uspokoić. Chcę tylko z panią porozmawiać i proszę jedynie, żeby mnie pani wysłuchała. Zapłacę pani za jej czas.

- Nigdy nie będzie miał pan dosyć pieniędzy.

Chciała go wyminąć, ale Michael Moretti położył na jej ramieniu rękę w pojednawczym geście. Ten dotyk jeszcze bardziej nasilił jego podniecenie.

Roztoczył cały swój czar.

- Niech pani będzie rozsądna. Nie będzie pani wiedziała, co odrzuca, dopóki nie posłucha, co mam do powiedzenia. Dziesięć minut. Tylko tyle mi potrzeba. Podrzucę panią do biura. Porozmawiamy po drodze.

Jennifer przyglądała mu się przez chwilę, a potem powiedziała:

- Pojadę pod jednym warunkiem. Żądam odpowiedzi na jedno pytanie.

- Zgoda - przytaknął Michael - proszę pytać.

- Czyj to był pomysł wrobienia mnie w tego kanarka?

- Mój - odpowiedział bez wahania.

A więc wreszcie wiedziała. Najchętniej by go zabiła. Z ponurą miną wsiadła do samochodu, a Michael Moretti zajął miejsce obok niej. Jennifer zauważyła, że nie pytając jej, podał kierowcy adres jej biura.

Kiedy limuzyna ruszyła, Michael Moretti powiedział:

- Cieszę się z tych wszystkich wspaniałych rzeczy, których pani dokonała.

Jennifer nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć.

- Mówię szczerze.

- Nie powiedział pan, czego chce.

- Chcę, żeby stała się pani bogata.

- Dziękuję. Mam dosyć pieniędzy. - W jej głosie słychać było pogardę, którą do niego czuła.

Twarz Michaela Moretti zaczerwieniła się.

- Chcę pani wyświadczyć przysługę, a pani ze mną walczy. Jennifer odwróciła się, by spojrzeć na niego.

- Nie potrzebuję od pana żadnych przysług.

- W porządku - powiedział pojednawczym tonem. - Być może chcę się pani odwdziaczyć za to, co zrobiłem. Proszę posłuchać, mogę pani przysłać wielu klientów. Ważnych klientów. Z masą pieniędzy. Nie ma pani pojęcia, jak...

- Panie Moretti - przerwała mu Jennifer - proszę nam obojgu zrobić przysługę. Proszę już nie mówić ani słowa więcej.

- Ale mogę...

- Nie chcę reprezentować pana ani żadnego pańskiego przyjaciela.

- Ale dlaczego?
- Ponieważ jeżeli zwiążę się z jednym z was, od tej pory stanę się waszą własnością.
- Nic pani nie rozumie - zaprotestował Michael. - Moi przyjaciele prowadzą legalne interesy. Banki, firmy ubezpieczeniowe...
- Proszę sobie oszczędzić dalszego gadania. Nie świadczę usług mafii.
- Kto tu mówi o mafii?
- Może pan to nazwać, jak pan chce. Jestem panią samej siebie i chcę, żeby tak zostało.

Limuzyna zatrzymała się na czerwonym świetle.

- To już niedaleko - powiedziała Jennifer. - Dziękuję za podwiezienie. - Otworzyła drzwi i wysiadła.
- Kiedy znowu się zobaczymy? - zapytał Michael.
- Nigdy, panie Moretti.

Michael obserwował ją, jak spieszyła się w stronę biura.

„Mój Boże - pomyślał - to dopiero kobieta!” Nagle uświadomił sobie, że ma wzwód, i uśmiechnął się, ponieważ wiedział, że tak czy inaczej zdobędzie ją.

Był koniec października, dwa tygodnie przed terminem wyborów i kampania wyborcza była w pełnym rozkwicie. Przeciwnikiem Adama był John Trowbridge, doświadczony polityk.

Któregoś wieczoru Jennifer siedziała w domu i oglądała Adama i jego przeciwnika w czasie debaty telewizyjnej. Mary Beth miała rację. Rozwód mógłby łatwo zniweczyć rosnącą szansę Adama.

Któregoś dnia Jennifer wróciła do biura po długim lunchu z klientem i zastała wiadomość, aby pilnie skontaktowała się z Rickiem Arlenem.

- Dzwonił trzy razy w ciągu ostatnich trzydziestu minut - poinformowała ją Cynthia.

Rick Arlen był piosenkarzem rockowym, który niemal z dnia na dzień stał się najbardziej wziętym wykonawcą na świecie. Jennifer słyszała o olbrzymich dochodach gwiazd rocka, ale dopóki nie zaczęła prowadzić spraw Ricka Arlena, nie wiedziała, co to właściwie znaczy. Rick Arlen zarabiał na płytach, koncertach, reklamowaniu towarów, a ostatnio również na filmach fabularnych ponad piętnaście milionów dolarów rocznie. Rick miał dwadzieścia pięć lat i był wiejskim chłopakiem z Alabamy, któremu majątek przyniósł jego wyjątkowy głos.

- Połącz mnie z nim - powiedziała Jennifer. Po pięciu minutach było połączenie.

- Hej, Jennifer, już od kilku godzin próbuję się z tobą skontaktować.

- Przykro mi, Rick, ale byłam na spotkaniu.

- Mam problem i muszę się z tobą zobaczyć.

- Czy możesz przyjść do biura dziś po południu?

- Obawiam się, że nie. Jestem w Monte Carlo, biorę udział w koncercie na cele dobroczynne, organizowanym przez Grace i księcia. Kiedy mogłabyś tu być?

- Nie mam możliwości wyrwać się teraz - zaprotestowała Jennifer. - Całe biurko mam zawałone.

- Dziecinko, jesteś mi potrzebna. Dziś po południu musisz być w samolocie.

I odwiesił słuchawkę.

Jennifer pomyślała o rozmowie. Rick Arlen nie chciał omawiać swoich problemów przez telefon. Mogło to być wszystko - od narkotyków, poprzez dziewczyny, do chłopców. Pomyślała o wysłaniu Teda Harrisa lub Dana Martina, żeby rozwiązali jego problem, ale lubiła Ricka Arlena. W końcu zdecydowała się pojechać sama.

Przed wyjazdem próbowała skontaktować się z Adamem, ale nie było go w biurze.

- Zrób mi rezerwację na lot Air France do Nicei - powiedziała Cynthia. - Chcę, żeby na lotnisku czekał samochód, który zawiezie mnie do Monte Carlo.

Dwadzieścia minut później miała rezerwację na lot o siódmej wieczorem.

- Jest bezpośrednie połączenie helikopterem między Niceą a Monte Carlo - powiedziała Cynthia. - Zarezerwowałam ci jedno miejsce.

- Wspaniale. Dziękuję.

Kiedy Ken Bailey usłyszał, że Jennifer wyjeżdża, zapytał:

- Za kogo on siebie uważa, ten punk?

- Dobrze wie, kim jest, Ken. To jeden z naszych głównych klientów.

- Kiedy wracasz?

- Nie powinnam być dłużej niż trzy, cztery dni.

- Kiedy ciebie nie ma, wszystko idzie inaczej. Będzie mi ciebie brakowało.

Jennifer pomyślała, czy ciągle jeszcze spotyka się z tym młodym blondynem.

- Przypilnuj wszystkiego podczas mojej nieobecności.

W zasadzie Jennifer lubiła latać. Uważała czas spędzony w samolocie za uwolnienie się od nawału pracy, czasową ucieczkę od wszystkich problemów, którymi była zasypywana, spokojną oazę w przestworzach, z dala od bezustannie nagabujących ją klientów. Jednak ten lot przez Atlantyk był nieprzyjemny. Samolotem wyjątkowo rzucało i Jennifer czuła, że ogarniają ją mdłości, a żołądek podchodzi pod samo gardło.

Kiedy następnego dnia rano samolot wylądował w Nicei, czuła się nieco lepiej. Helikopter już czekał, by zabrać ją do Monte Carlo. Jennifer jeszcze nigdy nie leciała helikopterem i cieszyła się na myśl o tym locie. Ale pionowy start i kołysanie znowu przyprawiły ją o mdłości i nie była w stanie podziwiać widoku majestatycznych Alp i Grandę Corniche z miniaturowymi samochodami, wspinającymi się stromymi serpentynami pod górę.

Wkrótce ukazały się gmachy Monte Carlo i po paru minutach helikopter wylądował przed nowoczesnym, białym budynkiem letniego kasyna, zbudowanego nad samym morzem.

Cynthia zatelefonowała wcześniej i Rick Arlen już czekał, by spotkać się z Jennifer.

Uścisnął ją serdecznie.

- Jak podróż?

- Trochę rzucało.

Przyjrzał się jej uważnie i powiedział:

- Nie wyglądasz najlepiej. Zabiorę cię do siebie, żebyś mogła wypocząć przed wielkim wydarzeniem wieczoru.

- Jakim wielkim wydarzeniem?

- Przed galą. Dlatego tu jesteś.

- Co takiego?

- No tak. Grace powiedziała, żebym zaprosił wszystkich, których lubię. A ja lubię ciebie.

- Och, Rick!

Jennifer z chęcią by go udusiła. Nie miał pojęcia, jak bardzo popsuł jej szyki. Była trzy tysiące mil od Adama, miała klientów, którzy potrzebowali jej pomocy, sprawy sądowe do przygotowania - a tymczasem on ściągnął ją do Monte Carlo, aby wzięła udział w przyjęciu.

- Rick, jak mogłeś...? - zapytała Jennifer.

Spojrzała na jego rozpromienioną twarz i zaczęła się śmiać. , No cóż, już tu była. Poza tym ta gala może się okazać zupełnie przyjemna.

Gala była wyjątkowo okazała. Był to koncert, którego dochód przeznaczono na akcję mleczną dla sierot, sponsorowany przez Ich Książęce Wysokości, Grace i Rainiera Grimaldich. Uroczystość odbywała się na świeżym powietrzu w letnim kasynie. Był to cudowny wieczór. Nocne powietrze było jak balsam, a delikatny wietrzyk wiejący od morza kołysał lekko wysokimi palmami. Jennifer bardzo chciałaby uczestniczyć w tym wydarzeniu razem z Adamem. Rozbawiona publiczność zajęła wszystkie tysiąc pięćset miejsc.

Występowało pół tuzina międzynarodowych gwiazd, ale Adam, był wykonawcą numer jeden. Towarzyszył mu zespół o ochrypniętych głosach, a nocne niebo rozsiały psychodeliczne efekty świetlne. Kiedy skończył, zgotowano mu owację na stojąco.

Potem było prywatne przyjęcie wokół basenów kąpielowych w „Hotelu de Paris”. Bufet z potrawami ustawiono dookoła olbrzymiego basenu, w którym pływały na liściach lilii dziesiątki zapalonych świec.

Jennifer oceniła, że obecnych było ponad trzysta osób. Jennifer nie wzięła ze sobą sukni wieczorowej i patrząc na wytwornie ubrane kobiety, czuła się jak kopcuszek. Rick przedstawiał ją księżtom, księżnym i księżniczkom. Jennifer odniosła wrażenie, że połowa królewskich rodów Europy przybyła na przyjęcie. Spotkała właścicieli karteli i słynne śpiewaczki operowe. Obecni byli dyktatorzy mody i dziedziczki wielkich fortun oraz słynny piłkarz Pele. Jennifer właśnie rozmawiała z dwoma szwajcarskimi bankierami, kiedy ogarnęły ją gwałtowne zawroty głowy.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała i ruszyła na poszukiwanie Ricka Arlena.

- Rick, ja...

Spojrzał na nią i zauważył.

- Jesteś biała jak prześcieradło, moja mała. Zmywamy się. Pół godziny później Jennifer leżała w łóżku, w domu wynajmowanym przez Ricka Arlena.

- Lekarz jest w drodze - powiedział Rick.
- Nie potrzebuję lekarza. To po prostu jakiś wirus czy coś w tym rodzaju.
- Zgoda. Sprawdź, co to może być.

Doktor Andre Monteux był starszym, drobnym mężczyzną koło osiemdziesiątki. Miał schludnie przystryżoną brodę i czarną torbę lekarską.

Doktor zwrócił się do Ricka Arlena:

- Proszę nas zostawić samych.
- Oczywiście. Będę czekał na zewnątrz.

Doktor przysunął się do łóżka.

- Alors. I co my tu mamy?
- Gdybym wiedziała - powiedziała Jennifer słabym głosem - to ja bym przyszła z wizytą, a pan leżałby w łóżku.

Usiadł na skraju łóżka.

- Jak się pani czuje?
- Tak, jakbym miała dżumę.
- Proszę pokazać język.

Jennifer wysunęła język i zaczęła mówić a... a... a... a... Doktor Monteux zbadał jej puls i zmierzył temperaturę. Kiedy skończył, Jennifer zapytała:

- Jak pan myśli, doktorze, co to może być?
- Może to być jedna z wielu rzeczy, moja śliczna panienko. Jeżeli jutro będzie się pani czuła w miarę dobrze, chciałbym, żeby przyszła pani do mojego gabinetu, gdzie będę mógł zrobić dokładne badania.

Jennifer była zbyt słaba, by oponować.

- Dobrze - powiedziała. - Przyjdę.

Rano Rick Arlen zawiózł Jennifer do Monte Carlo, gdzie doktor Monteux dokładnie ją zbadał.

- To jakaś infekcja, prawda? - spytała Jennifer.
- Jeżeli życzy sobie pani przepowiedni - odpowiedział stary doktor - pošlę po wróżkę. Jeśli pani chce wiedzieć, co pani dolega, musimy być cierpliwi i poczekać na wyniki analiz.

- Kiedy to będzie?
- Zazwyczaj to trwa dwa, trzy dni.

Jennifer wiedziała, że w żadnym wypadku nie może tu pozostać. Może być potrzebna

Adamowi. Wiedziała, że Adam jest potrzebny jej.

- Tymczasem chciałbym, żeby pani pozostała w łóżku i trochę odpoczęła. A to panią uspokoi. - Wręczył jej buteleczkę z pigułkami.

- Dziękuję. - Jennifer nabazgrała coś na kawałku kartki. - Może pan do mnie zadzwoni pod ten numer.

Dopiero gdy Jennifer wyszła, doktor Monteux spojrział na kartkę. Był na niej nowojorski numer telefonu.

Na lotnisku Charlesa de Gaulle'a w Paryżu, gdzie miała przesiadkę, Jennifer wzięła dwie tabletki, które dał jej doktor, i proszek nasenny. Przez większą część lotu do Nowego Jorku spała, ale kiedy wysiadła z samolotu, nie czuła się ani trochę lepiej. Ponieważ nie uprzedziła o swym powrocie, nikt na nią nie czekał, więc musiała pojechać do siebie taksówką.

Późnym popołudniem zadzwonił telefon. Dzwonił Adam.

- Jennifer! Gdzie ty... ' Starła się, żeby jej głos brzmiał normalnie.

- Przepraszam, kochanie. Musiałam lecieć do Monte Carlo, żeby się spotkać z klientem, i nie mogłam cię uprzedzić.

- Bardzo się martwiłem. Dobrze się czujesz?

- Tak, świetnie. Miałam... miałam tylko dużo bieżączki.

- Mój Boże! Wyobrażałem sobie same straszne rzeczy.

- Nie ma powodów do zmartwienia - zapewniła go Jennifer. - Jak przebiega kampania?

- Wspaniale. Kiedy się zobaczymy? Miałem jechać do Waszyngtonu, ale mogę przełożyć...

- Nie, jedź - powiedziała Jennifer. Nie chciała, żeby Adam zobaczył ją w takim stanie.

- Będę zajęta. Spędzimy razem weekend.

- W porządku - powiedział, ociągając się. - Jeżeli nic nie będziesz robiła o jedenastej, możesz mnie obejrzyć w dzienniku CBS.

- Będę oglądała, kochanie.

Pięć minut po odłożeniu słuchawki usnęła.

Rano Jennifer zadzwoniła do Cynthii, by powiedzieć, że nie przyjdzie do biura. Spała niespokojnie, a kiedy się obudziła, nie czuła się lepiej. Spróbowała zjeść śniadanie, ale nic nie mogła przełknąć. Poczuli się słabo i zdała sobie sprawę, że od trzech dni prawie nic nie jadła.

Mimowolnie wyobrażała sobie całą listę strasznych rzeczy, które mogły jej dokuczać. Przede wszystkim rak. Zaczęła szukać zgrubień na piersiach, ale nic nie znalazła. Oczywiście,

rak może zaatakować wszędzie. Może to być jakiś wirus, ale lekarz z pewnością od razu by to rozpoznał. Problem polegał na tym, że mogło to być niemal wszystko. Jennifer poczuła się zagubiona i bezradna. Nie była hipochondryczką, zawsze cieszyła się doskonałym zdrowiem i teraz czuła się tak, jakby jej organizm w pewnym sensie zdradził ją. Nie zniosłaby, gdyby coś się jej stało. Nie teraz, kiedy wszystko było takie cudowne.

Nic jej nie będzie. Z całą pewnością nic.

Ogarnęła ją kolejna fala nudności.

O jedenastej rano zadzwonił z Monte Carlo doktor Andre Monteux. Jakiś głos powiedział:

- Jedną chwilę, łączę z panem doktorem.

Ta chwila trwała sto lat i Jennifer kurczowo ścisnęła słuchawkę, nie mogąc znieść oczekiwania.

W końcu usłyszała głos doktora Monteux, który zapytał:

- Jak się pani czuje?

- Mniej więcej tak samo - nerwowo odpowiedziała Jennifer. - Czy ma pan wyniki analiz?

- Mam dobrą wiadomość - powiedział doktor Monteux. - To nie dżuma.

Jennifer nie mogła dużej wytrzymać.

- Co to jest? Co mi dolega?

- Będzie pani miała dziecko, pani Parker.

Jennifer siedziała, gapiąc się bezmyślnie w aparat. Kiedy odzyskała głos, spytała:

- Czy... czy jest pan pewny?

- Króliki nigdy nie kłamią. Rozumiem, że to pani pierwsza ciąża.

- Tak.

- Radzę, żeby jak najszybciej wybrała się pani do ginekologa. Sądząc po pierwszych objawach, mogą być jakieś komplikacje.

- Dobrze - odpowiedziała Jennifer. - Dziękuję, że pan zadzwonił, doktorze Monteux.

Odłożyła słuchawkę i siedziała, czując w głowie zamęt. Nie była pewna, kiedy to się mogło zdarzyć ani co naprawdę czuła. Nie była w stanie trzeźwo myśleć.

Będzie miała dziecko z Adamem. I nagle Jennifer zrozumiała, jak się czuje. Czuła się wspaniale, czuła się, jakby dostała niezwykle cenny prezent.

Pora była idealna, jakby bogowie byli po ich stronie. Wkrótce będzie po wyborach i będą mogli się pobrać z Adamem, najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. To będzie chłopiec. Jennifer była tego pewna. Nie mogła zwlekać z poinformowaniem Adama.

Zadzwoiła do niego do biura.

- Pana Warnera nie ma - powiedziała sekretarka. - Może pani spróbuje zadzwonić do domu.

Jennifer nie miała ochoty dzwonić do domu Adama, ale nie mogła nie podzielić się z nim natychmiast nowiną. Nakreśliła numer. Odebrała Mary Beth.

- Przepraszam, że panią niepokoję - tłumaczyła się Jennifer; - Mam coś pilnego do zakomunikowania Adamowi. Mówi Jennifer Parker.

- Miło mi, że pani dzwoni - powiedziała Mary Beth. Ciepłość jej głosu działała kojąco. - Adam uczestniczy dziś w jakichś zebraniach, ale wieczorem wraca do domu. Może nas pani odwiedzić? Zjemy razem obiad. Powiedzmy... o siódmej?

Jennifer zawahała się przez moment.

- Z przyjemnością.

To był cud, że jadąc do Croton - on - Hudson, Jennifer nie spowodowała wypadku. Myślami była daleko, marząc o przyszłości. Często rozmawiali z Adamem na temat dzieci. Pamiętała jego słowa: chcę mieć dwójkę, która będzie podobna do ciebie.

Podczas jazdy autostradą Jennifer wydało się, że czuje delikatne ruchy w łonie, ale powiedziała sobie, że to nonsens. Było dużo za wcześnie. Ale już niedługo... Nosila dziecko Adama. Było żywe i wkrótce zacznie poruszać się. Było to niezwykle, wzniosłe uczucie. Ona...

Jennifer usłyszała, że ktoś za nią trąbi, podniosła wzrok i zobaczyła, że prawie zmusiła kierowcę ciężarówki do zjechania do rowu. Rzuciła mu przeproszający uśmiech i pojechała dalej. Nic nie było w stanie zepsuć tego dnia.

Gdy Jennifer zajechała pod dom Warnerów, zmierzchało już. Zaczął padać drobny śnieg, lekko przysypując drzewa. Mary Beth, ubrana w długą, niebieską suknię z brokatu, otworzyła drzwi, by przywitać Jennifer, wzięła ją pod ramię i zaprowadziła w głąb domu. Jennifer przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie.

Mary Beth promieniała szczęściem. Mówiła o drobiazgach, starając się, by jej gość poczuł się swobodnie. Poszły do biblioteki, gdzie w kominku wesoło palił się ogień.

- Nie miałam jeszcze wiadomości od Adama - powiedziała Mary Beth. - Najprawdopodobniej coś go zatrzymało. Tymczasem możemy sobie uciąć przyjemną pogawędkę. Przez telefon sprawiałaś wrażenie niezwykle podnieconej. - Mary Beth pochyliła się z miną spiskowca. - Cóż to za ważna nowina?

Jennifer spojrzała na tę przyjaźnie nastawioną kobietę i powiedziała:

- Będę miała dziecko z Adamem.

Mary Beth wyprostowała się na krześle i uśmiechnęła się.

- No, proszę! Czy to nie nadzwyczajne? Ja też! Jennifer gapiała się na nią.

- Nie... nie rozumiem. Mary Beth roześmiała się.

- To przecież zupełnie jasne, moja droga. Jak wiesz, Adam i ja jesteśmy małżeństwem.

- Ale... ale przecież bierzecie rozwód - powiedziała Jennifer.

- Moja miła, a czemuż to miałabym się rozwodzić z Adamem? Przecież ja go ubóstwiam.

Jennifer poczuła zawrót głowy. Ta rozmowa nie miała sensu.

- Ale... powiedziała pani, że kocha pani kogoś innego. Powiedziała pani, że...

- Powiedziałam, że jestem zakochana. I jestem. Kocham Adama. Mówiłam, że pokochałam go od pierwszego wejrzenia.

Nie mogła mówić tego poważnie. Przekomarzała się z Jennifer, odgrywając jakąś głupią scenę.

- Proszę przestać! - powiedziała Jennifer. - Przecież żyjecie jak brat z siostrą. Adam nie spał z...

W głosie Mary Beth dzwięczał śmiech.

- Moje biedactwo! Dziwię się, że ktoś tak mądry jak ty mógł... - Pochyliła się nad nią zaniepokojona. - Uwierzyłaś mu! Tak mi przykro. Naprawdę!

Jennifer z całych sił próbowała zapanować nad sobą.

- Adam mnie kocha. Pobierzemy się.

Mary Beth potrząsnęła głową. Jej niebieskie oczy spotkały się ze wzrokiem Jennifer, a nienawiść, która z nich biła, spowodowała, że serce Jennifer na moment zamarło.

- Jeżeli to zrobi, to będzie bigamistą. Nigdy nie dam mu rozwodu. Gdybym pozwoliła na rozwód i ślub z tobą, przegrałby w wyborach. A tak - wygra je. Potem przeniesiemy się do Białego Domu, ja i Adam. W jego życiu nie ma miejsca dla kogoś takiego jak ty. Nigdy nie było. Tylko mu się wydaje, że cię kocha. Ale przejdzie mu to, gdy się dowie, że jestem z nim w ciąży. Adam zawsze chciał mieć dziecko.

Jennifer zacisnęła powieki, próbując powstrzymać straszliwy ból głowy.

- Podać ci coś? - zapytała troskliwie Mary Beth. Jennifer otworzyła oczy.

- Czy powiedziała mu już pani, że będzie pani mieć dziecko?

- Jeszcze nie - uśmiechnęła się Mary Beth. - Myślę, że powiem mu dziś wieczorem, kiedy wróci do domu i oboje będziemy w łóżku.

Jennifer ogarnęło obrzydzenie.

- Jesteś potworem...

- To kwestia punktu widzenia, nie uważasz, skarbie? Jestem żoną Adama. Ty jesteś jego flamą.

Jennifer wstała, czując ból głowy, który przeszedł w nieznośne łomotanie. W uszach czuła szum i bała się że za chwilę zemdleje. Szła na niepewnych nogach w kierunku wyjścia.

Zatrzymała się przy drzwiach, oparła się o nie i próbowała zebrać myśli. Adam mówił, że ją kocha, tymczasem spał z tą kobietą i doprowadził do tego, że zaszła w ciążę.

Jennifer odwróciła się i wyszła w zimną ciemność nocy.

Adam odbywał ostatnią podróż przedwyborczą po stanie. Kilka razy dzwonił do Jennifer, ale zawsze otaczało go dużo ludzi i nie mogli swobodnie porozmawiać, więc Jennifer nie mogła mu powiedzieć nowiny.

Jennifer wiedziała, jak wytłumaczyć sobie ciężę Mary Beth: naciągnęła Adama, żeby się z nią przespał. Ale Jennifer chciała to usłyszeć od niego.

- Wrócę za parę dni i wtedy porozmawiamy - powiedział Adam.

Wybory miały się odbyć za pięć dni. Adam zasługiwał na zwycięstwo: był lepszy. Jennifer czuła, że Mary Beth miała rację, kiedy twierdziła, że to będzie wstępny krok do objęcia urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zmusiła się do czekania.

Jeżeli Adam zostanie wybrany senatorem, Jennifer go straci. Adam pojedzie do Waszyngtonu z Mary Beth. W żaden sposób nie uzyska rozwodu. Historia nowo wybranego senatora, rozwodzącego się ze swoją ciężarną żoną, aby poślubić kochankę spodziewającą się dziecka, byłaby zbyt pikantna, aby Adam kiedykolwiek mógł wymazać swoją winę. Ale jeżeli przegra, będzie wolny. Wolny, by powrócić do swojej praktyki adwokackiej, wolny, by móc poślubić Jennifer i nie martwić się ani nie przejmować tym, co inni myślą. Będą mogli przeżyć resztę życia razem. Razem ze swoim dzieckiem.

Dzień wyborów był zimny i deszczowy. Z uwagi na duże zainteresowanie wyborami, mimo brzydkiej pogody, spodziewano się dużej frekwencji przy urnach.

Rano Ken Bailey zapytał:

- Będziesz brała udział w głosowaniu?
- Tak.
- Wygląda na to, że będzie zacięta walka.
- Bardzo zacięta.

Poszła głosować przed południem i kiedy weszła do lokalu wyborczego, pomyślała tępo: głos za Adamem Warnerem jest głosem przeciwko Jennifer Parker. Głosowała za Adamem i opuściła lokal wyborczy. Nie była w stanie wrócić do biura. Całe popołudnie włóczyła się ulicami, starając się nie myśleć, nie czuć nic, lecz wiedząc, że najbliższe godziny zadecydują o jej dalszym życiu.

- Jest to najbardziej zacięta walka wyborcza w ostatnich latach - mówił komentator telewizyjny.

Jennifer siedziała w domu sama, oglądając relację z podliczania głosów. Przygotowała sobie lekki posiłek - jajko sadzone na grzance - ale była zbyt zdenerwowana, by jeść. Siedziała skulona na kanapie, słuchając, jak jej los jest ogłaszany milionom widzów. Każdy widz miał swój własny powód, aby obserwować program, życząc wygranej jednemu lub drugiemu kandydatowi, ale Jennifer była pewna, że nikt z nich nie był tak bardzo uzależniony od wyników elekcji, jak ona. Jeżeli Adam wygra, będzie to oznaczało koniec ich związku... i koniec dziecka, które nosiła w łonie.

Na ekranie ukazała się krótka migawka z Adamem i Mary Beth u jego boku. Jennifer szczyliła się tym, że potrafi rozszyfrować ludzi, motywy, które nimi kierują, ale została wywiedziona w pole przez tę sukę o słodkim głosie i jej chytry podstęp. Próbowwała odpychać od siebie obraz Adama, idącego z tą kobietą do łóżka.

Edwin Newman mówił:

- Oto ostatnie dane o wynikach wyborów do senatu, w których zmierzyli się aktualny senator John Trowbridge i Adam Warner. Na Manhattanie John Trowbridge zdobył ogółem 221 375 głosów, a Adam Warner 214 895.

W pięćdziesiątym piątym obwodzie wyborczym w Queens John Trowbridge ma dwuprocentową przewagę.

Życie Jennifer mierzone było setnymi częściami punktów.

- Suma głosów z Bronxu, Brooklynu, Queens, Richmond i okręgów Nassau, Rockland, Suffolk i Westchester daje ogółem 2 300 000 Johnowi Trowbridge'owi i 1 120 000 Adamowi Warnerowi. Wyniki głosowania z północnej części stanu Nowy Jork właśnie zaczynają napływać. Adam Warner odnosi zdumiewający sukces w walce z senatorem Trowbridge'em, który piastuje ten urząd już trzecią kadencję. Od samego początku głosy rozkładały się niemal równo w tym wyścigu. Zgodnie z ostatnimi danymi, po obliczeniu 62% głosów, senator Trowbridge zaczyna wysuwać się na pierwsze miejsce. Kiedy podawaliśmy wyniki godzinę temu, senator Trowbridge miał dwu - procentową przewagę. Ostatnie dane wskazują, że zwiększył prowadzenie do dwóch i pół procenta. Jeżeli ta tendencja się utrzyma, komputer NBC przewiduje zwycięstwo senatora Trowbridge'a w wyścigu wyborczym do fotela w senacie Stanów Zjednoczonych. Wracając do współzawodnictwa pomiędzy...

Jennifer siedziała, patrząc z bijącym sercem w ekran telewizora. Wyglądało to tak,

jakby miliony ludzi oddawały głosy, by przesądzić, czy to będzie Adam i Jennifer czy też Adam i Mary Beth. Jennifer poczuła zawrót głowy. Musi pamiętać, żeby coś zjeść. Ale nie teraz. Nic nie było teraz ważne poza tym, co działo się na ekranie telewizora. Napięcie rosło z minuty na minutę, z godziny na godzinę.

O północy senator John Trowbridge prowadził trzema procentami. O drugiej nad ranem, po podsumowaniu 71 procent głosów, senator Trowbridge prowadził o trzy i pół procenta. Komputer ogłosił, że senator John Trowbridge wygrał wybory.

Jennifer siedziała, gapiąc się w telewizor, wyprana z wszelkich uczuć, wszelkich emocji. Adam przegrał. Jennifer wygrała. Jennifer wygrała Adama i ich dziecko. Mogła teraz powiedzieć Adamowi o ich dziecku i planować ich wspólną przyszłość.

Na myśl o Adamie Jennifer bolało serce, bo wiedziała, ile te wybory dla niego znaczą. Ale z czasem pogodzi się z tą porażką. Pewnego dnia znowu spróbuje, a ona mu pomoże. Był przecież młody. Mieli przed sobą całe życie. Ich cała trójka.

Jennifer usnęła na kanapie, śniąc o Adamie, o wyborach i o Białym Domu. Ona, Adam i ich syn siedzieli w Gabinetce Ovalnym. Adam przygotowywał swoją mowę inauguracyjną. Weszła Mary Beth i zaczęła mu przerywać. Adam zaczął na nią krzyczeć i jego głos stawał się coraz donośniejszy. Jennifer obudziła się. Ten głos był głosem Edwina Newmana. Telewizor był wciąż włączony. Świtało.

Kiedy zaczęła wstawać z kanapy, usłyszała, jak powiedział: - A oto ostateczne wyniki wyborów senatorskich w stanie Nowy Jork. W najbardziej oszalałym wyścigu na przestrzeni ostatnich lat Adam Warner pokonał obecnego senatora Johna Trowbridge'a, różnicą mniej niż jednego procenta. Wszystko się skończyło. Jennifer przegrała.

Kiedy Jennifer później niż zwykle weszła do biura, Cynthia powiedziała:

- Właśnie dzwoni pan Adam, panno Parker. Dzwonił cały rano. Jennifer zawahała się, a następnie powiedziała:

- Dobrze, Cynthio, odbiorę.

Weszła do gabinetu i podniosła słuchawkę.

- Cześć, Adamie. Gratuluję.

- Dziękuję. Musimy porozmawiać. Masz czas w porze lunchu? Jennifer zawahała się.

- Tak.

Kiedys musiało to nastąpić.

Jennifer spotkała się z Adamem po raz pierwszy od trzech tygodni. Uważnie mu się przyjrzała. Twarz miał wymizerowaną i zmęczoną. Powinien promienieć ze szczęścia, a wyglądał na dziwnie zdenerwowanego i skrepowanego. Zamówili lunch, którego żadne z nich nie tknęło, i rozmawiali o wyborach, używając słów jako kamuflażu dla swoich myśli.

Ta gra stała się już prawie nie do zniesienia, kiedy w końcu Adam powiedział:

- Jennifer... - Wziął głęboki oddech i rzekł: - Mary Beth spodziewa się dziecka.

Słyszając to od niego, Jennifer poczuła nieznośną realność tego faktu.

- Przykro mi kochanie. To... to po prostu przypadek. Trudno mi to wyjaśnić.

- Nie musisz wyjaśniać. - Jennifer jasno wyobraziła sobie całą scenę. Mary Beth w wyzywającym negliżu... albo naga... i Adam...

- Czuję się jak skończony głupiec - ciągnął Adam. Zapanowała niezręczna cisza, po czym Adam dodał: - Miałem dziś rano telefon od przewodniczącego Komitetu Krajowego. Mówi się o wysunięciu mojej kandydatury w najbliższych wyborach prezydenckich. - Zawahał się. - Problem polega na tym, że teraz, gdy Mary Beth jest w ciąży, byłoby niezręcznie występować o rozwód. Nie wiem, do diabła, co robić. Przez trzy noce nie spałem. - Spojrzał na Jennifer i powiedział: - Nie chciałbym cię o to prosić, ale... jak myślisz, czy nie moglibyśmy trochę poczekać, aż się sprawy jakoś ułożą?

Jennifer spojrzała na Adama i poczuła tak głęboki ból, taką nieznośną stratę, że wydawało jej się, że tego nie znieśie.

- Do tego czasu będziemy się spotykać najczęściej, jak to tylko będzie możliwe - mówił Adam. - Będziemy...

Jennifer zmusiła się do mówienia.

- Nie, Adamie. To skończone.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie mówisz tego poważnie. Kocham cię, najdroższa. Znajdziemy jakiś sposób, żeby...

- Nie ma żadnego wyjścia. Twoja żona i dziecko nie znikną. Z nami koniec. Kochałam cię i nie żałuję ani jednej wspólnie spędzonej chwili.

Podniosła się, wiedząc, że jeżeli nie wyjdzie z restauracji, zacznie krzyczeć.

- Nigdy nie wolno nam się już spotkać.

Nie mogła patrzeć w jego wypełnione bólem oczy.

- O, Boże, Jennifer, nie rób tego! Proszę cię, nie rób tego! My...

Nie słyszała reszty. Biegła w stronę drzwi, uciekając z życia Adama.

Nigdy nie odbierała telefonów od Adama ani nie oddzwaniała. Listy odsyłała, nie otwierając ich. Na ostatnim liście, który otrzymała, napisała na kopercie „adresat nie żyje” i wrzuciła do skrzynki pocztowej. „To prawda - pomyślała Jennifer - umarłam”.

Nigdy nie myślała, że może istnieć taki ból. Musiała być sama, a przecież nie była sama. Wewnątrz niej była druga istota ludzka, część jej i Adama. I zamierzała ją zabić.

Zmusiła się do zastanowienia, gdzie może zrobić zabieg. Parę lat temu oznaczałoby to jakiegoś znachora w brudnym pokoju przy nędznej, bocznej uliczce, ale teraz nie musiało tak być. Mogła iść do szpitala i być operowana przez renomowanego chirurga. Gdzieś poza Nowym Jorkiem. Zdjęcia Jennifer zbyt często publikowała prasa, zbyt często występowała w telewizji. Potrzebowała anonimowości, miejsca, gdzie nikt nie będzie zadawał pytań. Nigdy, przenigdy nie może być powiązania między nią i Adamem Warnerem. Ich dziecko musi umrzeć anonimowo.

Jennifer zaczęła sobie wyobrażać, jakie byłoby ich dziecko i zaczęła tak strasznie płakać, że aż nie mogła oddychać.

Zaczęło padać. Jennifer spojrzała w niebo i pomyślała, że to Bóg płacze nad nią.

Ken Bailey był jedynym człowiekiem, na którego mogła liczyć Jennifer.

- Muszę przerwać ciążę - powiedziała Jennifer bez żadnego wstępu. - Czy znasz jakiegoś dobrego lekarza?

Próbował ukryć swe zdziwienie, ale Jennifer widziała rozmaite emocje, malujące się na jego twarzy.

- Gdzieś za miastem, Ken. Gdzieś, gdzie mnie nie rozpoznają.
- Może na Wyspach Fidzi? - w jego głosie słychać było gniew.
- Mówię poważnie.
- Przepraszam, po prostu zaskoczyłaś mnie.

Wiadomość rzeczywiście kompletnie go zaskoczyła. Uwielbiał Jennifer. Wiedział, że ją kocha, ale czasami myślał, że tylko mu się wydaje, że ją kocha. Sam nie był pewien i to była tortura. Nigdy nie zrobiłby Jennifer tego, co zrobił swojej żonie. „Boże - myślał Ken - dlaczego, u diabła, nie podejmujesz ostatecznej decyzji co do mojej osoby?”

Przesunął ręką po swych rudych włosach i powiedział:

- Jeżeli nie chcesz tego robić w Nowym Jorku, proponuję Północną Karolinę. To niedaleko.

- Czy możesz to dla mnie załatwić?

- Tak, oczywiście. Ja...

- Tak?

Odwrócił od niej wzrok.

- Nie, nic.

Ken Bailey zniknął na trzy dni. Kiedy wszedł do gabinetu Jennifer, był nie ogolony, a oczy miał zapadnięte i przekrwione. Jennifer spojrzała na niego i zapytała:

- Dobrze się czujesz?

- Chyba tak.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Nie. - „Jeśli Bóg mi nie pomoże, kochanie, to ty też nic nie możesz dla mnie zrobić”.

Wręczył Jennifer kawałek kartki. Było na nim napisane: „Dr Eric Linden, Szpital Memoriał, Charlotte, Północna Karolina”.

- Dziękuję, Ken.

- Głupstwo. Kiedy zamierzasz to zrobić?

- Pojadę tam w weekend.

- Czy chcesz, żebym pojechał z tobą? - zapytał z zażenowaniem.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

- A co z powrotem?

- Wszystko będzie dobrze. Stał przez chwilę niepewny.

- To nie moja sprawa, ale czy jesteś pewna, że tego chcesz?

- Tak.

Nie miała wyboru. Niczego bardziej nie pragnęła, niż urodzić dziecko Adama, ale wiedziała, że będzie szaleństwem próbować samotnie wychowywać dziecko.

Spojrzała na Kena i powtórzyła.

- Jestem pewna.

Szpital mieścił się w przyjemnym, starym, dwupiętrowym budynku z cegły na przedmieściu Charlotte.

Kobieta w rejestracji była siwowłosą osobą po sześćdziesiątce.

- W czym mogę pani pomóc?

- Nazywam się Parker - powiedziała Jennifer. - Jestem umówiona z doktorem Lindenem na... na... - Nie mogła się zmusić do wypowiedzenia tego słowa.

Recepcjonistka kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Doktor czeka na panią, pani Parker. Poproszę kogoś, by wskazał pani drogę.

Kompetentna młoda pielęgniarka zaprowadziła Jennifer do pokoju lekarskiego w głębi holu i powiedziała:

- Powiem doktorowi Lindenowi, że pani już jest. Proszę się przebrać. Na wieszaku znajdzie pani szpitalny szlafrok.

Wolno, opanowana uczuciem nierzeczywistości, Jennifer rozebrała się i nałożyła biały szpitalny szlafrok. Czuła się, jakby zakładała fartuch rzeźnika. Zamierzała zabić kielkujące w niej życie. Oczami wyobraźni ujrzała szlafrok splamiony krwią, krwią jej dziecka. Jennifer zaczęła się trząść.

- Proszę się uspokoić - powiedział jakiś głos.

Uniosła wzrok i zobaczyła tęgiego, łysego mężczyznę w okularach w rogowej oprawie, nadających jego twarzy sowi wygląd.

- Jestem doktor Linden. - Spojrzał na kartę trzymaną w rękę. - A pani nazywa się Parker.

Jennifer skinęła głową.

Doktor dotknął jej ramienia i powiedział uspokajająco:

- Proszę usiąść.

Podszedł do umywalki i napełnił wodą papierowy kubek.

- Proszę to wypić.

Jennifer posłuchała. Doktor Linden usiadł na krześle, obserwując ją, póki nie minęły dreszcze.

- A więc tak. Chce pani usunąć ciążę.

- Tak.

- Czy przedyskutowała to pani z mężem, pani Parker?

- Tak. Oboje... oboje tego chcemy. Przyjrzał się jej uważnie.

- Wygląda pani na osobę w dobrym stanie zdrowia.

- Czuję się... czuję się świetnie.

- Czy to z przyczyn ekonomicznych?

- Nie - ostro odpowiedziała Jennifer. Dlaczego męczył ją tymi pytaniami? - Po prostu... po prostu nie możemy mieć dziecka.

Doktor Linden wyjął fajkę.

- Czy to pani nie przeszkadza?

- Nie.

Doktor Linden zapalił fajkę i powiedział:

- Wstrętny nałóg.

Odchylił się do tyłu i wypuścił kłąb dymu.

- Czy możemy z tym skończyć? - zapytała Jennifer.

Jej nerwy były napięte do ostatnich granic. Czuła, że lada moment zacznie krzyczeć.

Doktor Linden ponownie zaciągnął się dymem fajki.

- Uważam, że powinniśmy chwilę porozmawiać. Nadludzkim wysiłkiem woli Jennifer opanowała swoje wzruszenie.

- Dobrze.

- Cechą aborcji - powiedział doktor Linden - jest jej nieodwracalność. Teraz może pani jeszcze zmienić swoją decyzję, ale po zabiegu nic już nie można będzie zrobić.

- Nie zamierzam zmieniać decyzji.

Skinął głową i znowu wolno wypuścił z fajki kłąb dymu.

- To dobrze.

Słodki zapach dymu przyprawiał Jennifer o mdłości. Chciałaby, żeby odłożył fajkę na bok.

- Doktorze Linden...

Uniósł się z ociąganiem i powiedział:

- W porządku, młoda damo, zobaczymy, jak to wszystko wygląda.

Jennifer usiadła na fotelu ginekologicznym, kładąc nogi na zimnych, metalowych podpórkach. Poczuła jego palce zapuszczające się w głąb jej ciała. Badał ją delikatnie i z wprawą i nie czuła zmieszania, jedynie niewymowne poczucie straty i głęboki żal. Oczami duszy widziała swego małego synka - była bowiem pewna, że to będzie chłopiec - biegającego, bawiącego się i śmiejącego. Z upływem lat coraz bardziej podobnego do swego ojca.

Doktor Linden skończył badanie.

- Może się pani teraz ubrać, pani Parker. Może pani tu pozostać na noc, jeżeli pani tego sobie życzy, a zabieg wykonamy rano.

- Nie! - Głos Jennifer zabrzmiał ostrzej, niż tego chciała. - Proszę, żeby to było teraz.

Doktor Linden przypatrywał się jej uważnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Mam przed panią dwie pacjentki. Przyślę pielęgniarkę, aby zrobiła niezbędne analizy laboratoryjne, a potem zaprowadziła panią do pokoju. Za cztery godziny będziemy mogli rozpocząć zabieg. Dobrze?

- Tak - szepnęła Jennifer.

Leżała w wąskim łóżku szpitalnym z zamkniętymi oczami, czekając na powrót doktora Lindena. Na ścianie wisiał staroświecki zegar, którego tykanie wypełniało pokój. W

jej uszach i brzmiało ono jak: mały Adam, mały Adam, mały Adam, nasz' syn, nasz syn, nasz syn.

Jennifer nie mogła pozbyć się obrazu dziecka ze swych myśli. W tej chwili żył jeszcze we wnętrzu jej ciała, chroniony przed światem w jej łonie, gdzie było mu ciepło i wygodnie. Zastanawiała się, czy odczuwał jakiś podświadomy lęk przed tym, co miało nastąpić. Zastanawiała się, czy będzie odczuwał ból, kiedy dosięgnie go nóż. Zasłoniła uszy dłońmi, by nie słyszeć tykania zegara. Zorientowała się, że oddech jej stał się ciężki, a ciało pokrył pot. Usłyszała jakiś szmer i otworzyła oczy.

Doktor Linden stał nad nią, na jego twarzy malowała się troska.

- Czy dobrze się pani czuje, pani Parker?

- Tak - szepnęła Jennifer. - Chciałabym tylko, żeby już było po wszystkim.

Doktor Linden skinął głową.

- Zaraz zaczynamy.

Ze stolika obok łóżka wziął strzykawkę i podszedł do Jennifer!

- Co to jest?

- Demerol i Phenergan, na uspokojenie. Za parę minut będzie pani w sali operacyjnej.

Zrobił Jennifer zastrzyk.

- Rozumiem, że to pani pierwszy zabieg?

- Tak.

- W takim razie proszę mi pozwolić wyjaśnić jego przebieg.

Jest bezbolesny i stosunkowo prosty. W sali operacyjnej dostanie pani podtlenek azotu, środek anestetyczny i tlen. Po uśpieniu umieścimy w pochwie wziernik, żebyśmy widzieli, co robimy. Potem zaczniemy rozwierać szyjkę macicy przy pomocy coraz większych dylatorów i wyskrobiemy macicę specjalną łyżeczką. Czy ma pani jakieś pytania?

- Nie.

Ogarniało ją uczucie ciepłej senności. Czowała, że całe jej napięcie mija, jakby dzięki czarom, a ściany pokoju zaczęły zachodzić mgłą. Chciała o coś zapytać doktora, ale nie mogła sobie przypomnieć, o co... coś związane z dzieckiem... ale nie wydawało jej się to istotne. Najważniejsze, że robiła to, co musiała zrobić. Za parę minut będzie po wszystkim i będzie mogła zacząć życie na nowo.

Czowała, jak unoszona jest w cudowną, niezmierną krainę... zdawała sobie sprawę z tego, że jacyś ludzie weszli do pokoju i położyli ją na metalowym łóżku na kółkach... poprzez cienki szpitalny szlafrok czowała na plecach chłód metalu. Kiedy wieziono ją wzdłuż korytarza, zaczęła liczyć przesuwające się w górze światła. Było istotne, żeby znać ich prawdziwą ilość,

ale nie wiedziała po co. Przywieziono ją do białej, aseptycznej sali operacyjnej i Jennifer pomyślała: tutaj umrze moje dziecko. Nie bój się mały Adamie, nie pozwolę cię skrzywdzić. I nie mając takiego zamiaru, zaczęła płakać.

Doktor Linden poklepał ją po ramieniu.

- Wszystko w porządku. Nic nie będzie bolało. „Bezbolesna śmierć - pomyślała Jennifer - to dobrze”. Kochała swoje dziecko. Nie chciała, żeby je skrzywdzono. Ktoś nałożył jej maskę na twarz i jakiś głos powiedział:

- Proszę oddychać głęboko.

Jennifer poczuła, jak czyjeś ręce unoszą szpitalny szlafrok i rozchylają jej nogi.

„Zaraz to się stanie. Mały Adam, mały Adam, mały Adam”.

- Chcę, żeby się pani odprężyła - powiedział doktor Linden. Jennifer kiwnęła głową. „Żegnaj, mój mały”. Poczowała zimny, stalowy przedmiot przesuwający się między jej udami i wolno wsuwający się w jej ciało. Było to narzędzie śmierci, które miało zabić dziecko Adama.

Usłyszała obcy głos, krzyczący:

- Przestańcie! Przestańcie! Przestańcie!

Spojrzała na zdumione twarze, pochylające się nad nią, i zdała sobie sprawę z tego, że to był jej krzyk. Ktoś mocniej przycisnął jej maskę do twarzy. Próbowwała usiąść, ale nie pozwalały jej , pasy, którymi była przywiązana do stołu. Wciągał ją jakiś wir, obracający się coraz szybciej i pochłaniający ją.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, była olbrzymia biała lampa na suficie, wirująca nad nią, opisująca kręgi i wkręcająca się w głąb jej czaszki.

Kiedy Jennifer się obudziła, leżała na łóżku szpitalnym w swym pokoju. Przez okno widziała, że na zewnątrz jest ciemno. W całym ciele czuła ból i zastanawiała się, jak długo była! nieprzytomna. Żyła, ale co się stało z jej dzieckiem?

Sięgnęła do dzwonka przy łóżku i nacisnęła guzik. Przyciskała go jak oszalała, nie mogąc się powstrzymać.

W drzwiach ukazała się pielęgniarka i szybko zniknęła. Po chwili do pokoju wszedł doktor Linden. Podeszedł do łóżka Jennifer i delikatnie odsunął jej dłoń od dzwonka.

Jennifer gwałtownie złapała go za rękę i powiedziała zachrypniętym głosem:

- Moje dziecko... nie żyje...

- Nie, pani Parker - powiedział doktor Linden. - Żyje. Mam nadzieję, że to chłopiec.

Zwracała się pani do niego Adam.

Minęło Boże Narodzenie i nadszedł nowy, 1973 rok. Lutowe śniegi ustąpiły miejsca orzeźwiającyemu marcowym wiatrom i Jennifer wiedziała, że czas przestać pracować.

Zwołała zebranie całego personelu.

- Biorę urlop - ogłosiła. - Nie będzie mnie przez pięć miesięcy.

Rozległy się pomruki niedowierzania.

- Będziemy mogli się chyba z tobą kontaktować? - zapytał Dan Martin.

- Nie, Dan. Będę nieosiągalna.

Ted Harris spojrział na nią zza grubych okularów.

- Jennifer, przecież nie możesz tak...

- Wyjeżdżam pod koniec tygodnia.

Powiedziała to głosem nie znoszącym sprzeciwu i powstrzymała dalsze pytania.

Reszta spotkania poświęcona była omówieniu bieżących spraw.

Kiedy wszyscy wyszli, Ken Bailey zapytał:

- Czy naprawdę to wszystko przemyślałaś?

- Nie mam wyboru, Ken. Spojrział na nią.

- Nie wiem, kim jest ten skurczybyk, ale go nienawidzę. Jennifer położyła mu dłoń na ramieniu:

- Dziękuję. Nic mi nie będzie.

- Wiesz, że nie będzie ci łatwo. Dzieci rosną i zaczynają zadawać pytania. Będzie chciało wiedzieć, kim jest jego ojciec.

- Jakoś dam sobie z tym radę.

- W porządku. - Ton jego głosu złagodniał. - Jeżeli będę ci mógł w czymś pomóc... w czymkolwiek... możesz zawsze na mnie liczyć.

Objęła go ramionami.

- Dziękuję, Ken. Będę... dziękuję.

Jennifer została w biurze jeszcze długo po tym, jak wszyscy wyszli. Siedziała po ciemku i myślała. Zawsze będzie kochać Adama. Nic nigdy tego nie zmieni i była pewna, że on też ją wciąż kocha. Jennifer pomyślała, że byłoby źle, gdyby przestał ją kochać. Była w tym ironia losu, że kochali się, a nie mogli być razem, a ich losy zaczynały coraz bardziej się od siebie oddalać. Życie Adama będzie teraz upływało w Waszyngtonie razem z Mary Beth i ich dzieckiem. Może pewnego dnia Adam dojdzie do Białego Domu. Jennifer pomyślała o swoim dziecku dorastającym obok niej, ciekawym, kto jest jego ojcem. Nigdy nie będzie

mogła mu powiedzieć, ani Adam nie będzie mógł się dowiedzieć, że urodziła jego dziecko, bo to by go zniszczyło.

Również gdyby ktokolwiek inny kiedykolwiek się o tym dowiedział, też by to zniszczyło życie Adama, chociaż w inny sposób.

Jennifer postanowiła kupić dom na wsi, gdzieś z dala od Manhattanu, gdzie razem ze swym synem będą mogli żyć w swoim małym własnym świecie.

Znalazła dom przez czysty przypadek. Jechała na spotkanie z klientem na Long Island i zjechała z autostrady na zjeździe numer 36, ale potem skręciła w złym kierunku i znalazła się w Sands Point. Ulice były spokojne i ocienione wysokimi, pełnymi gracji drzewami, domy były zbudowane w pewnej odległości od ulicy, każdy na własnej, małej działce. Przed białym domem w stylu kolonialnym przy Sands Point Road widniała tabliczka „Na sprzedaż”. Działka była ogrodzona, a u wylotu krętego podjazdu, oświetlonego po obu stronach latarniami, była śliczna brama z kutego żelaza. Przed domem był ogromny trawnik z szeregiem cisów, osłaniających dom. Z zewnątrz wyglądał uroczo. Jennifer zapisała nazwisko pośrednika i umówiła się na oględziny domu na następne popołudnie.

Agent pośredniczący w sprzedaży nieruchomości był krzepkim mężczyzną, wyglądającym na wysokociśnieniowca. Należał do tego typu sprzedawców, którego Jennifer nienawidziła. Ale przecież nie kupowała jego, tylko dom.

- To prawdziwe cacko - mówił. - Tak jest, prawdziwe cacko. Ma prawie sto lat. Jest w idealnym stanie. Absolutnie idealnym stanie.

Idealny - to była z pewnością przesada. Pokoje były jasne i przestronne, ale wymagały remontu. „To będzie prawdziwa radość - pomyślała Jennifer - naprawić ten dom i go urządzić”.

Na górze naprzeciwko głównej sypialni, był duży pokój, który idealnie nadawał się na pokój dziecienny. Urządzi go w kolorze błękitnymi...

- Czy chciałaby pani obejrzeć działkę?

O podjęciu decyzji przesądził domek na drzewie. Był wybudowany wysoko na rozłożystym dębie. Domek na drzewie dla jej syna. Działka miała trzy akry powierzchni, trawnik na tyłach domu delikatnie obniżał się ku cieśninie z przystanią. Było to wspaniałe miejsce, gdzie mógłby rosnąć jej syn. Później będzie miał małą łódkę. Będą się mogli tutaj wystarczająco odgrodzić od świata, bo Jennifer postanowiła, że to miejsce będzie należało wyłącznie do niej i jej dziecka.

Następnego dnia kupiła dom.

Jennifer nie miała pojęcia, jak bolesne będzie opuszczenie mieszkania na Manhattanie,

które dzieliła z Adamem. Ciągle jeszcze były tu pizamy i szlafrok Adama, jego kapcie i przybory do golenia. Każdy pokój krył setki wspomnień o Adamie, wspomnień z dobrych czasów, które minęły. Jennifer spakowała swoje rzeczy jak tylko mogła najszybciej i opuściła mieszkanie.

W nowym domu Jennifer starała się mieć zajęcie od wczesnego ranka do późnego wieczora, aby nie mieć czasu myśleć o Adamie. Chodziła do sklepów w Sands Point i Port Washington, by zamówić meble i zasłony. Kupiła pościel, srebra i porcelanę. Wynajęła miejscowych robotników, aby naprawili rury, przeciekający dach i zniszczoną instalację elektryczną. Od wczesnego ranka aż do zmierzchu dom był pełen malarzy, stolarzy, elektryków i układaczy tapet. Jennifer była wszędzie, wszystko nadzorowała. Zapracowywała się w ciągu dnia, mając nadzieję, że będzie mogła spać w nocy, ale zmory powróciły, zadrezczając ją przerażającymi koszmarami.

Często odwiedzała antykwariaty, kupując lampy, stoliki i dzieła sztuki. Kupiła fontannę i rzeźby do ogrodu, Lipschitza, Noguchia i Miro.

Wewnątrz domu wszystko zaczynało wyglądać prześlicznie.

Bob Clement był klientem Jennifer z Kalifornii i kilimy, które zaprojektował do salonu i pokoju dzieciennego sprawiły, że pomieszczenia te jaśniały stonowanymi barwami.

Brzuch Jennifer stawał się coraz większy, więc wybrała się do miasteczka, by kupić sobie stroje ciężowe. Zainstalowała telefon z zastrzeżonym numerem. Miał służyć tylko w nagłych wypadkach, nikomu nie dała jego numeru i nie spodziewała się żadnych telefonów. Jediną osobą w biurze, która wiedziała, gdzie mieszka Jennifer, był Ken Bailey, który został zobowiązany do zachowania tego w najgłębszej tajemnicy.

Pewnego wieczoru przyjechał w odwiedziny do Jennifer, która oprowadziła go po całym domu i ogrodzie i była bardzo zadowolona, widząc, jak jest zachwycony.

- Tu jest pięknie, Jennifer. Naprawdę pięknie. Zrobiłaś kawał dobrej roboty. - Spojrzał na jej powiększony brzuch. - Ile . to jeszcze będzie trwało?

- Jeszcze dwa miesiące. Przyłożyła jego dłoń do swojego brzucha i powiedziała:

- Czujesz?

Poczuł kopnięcie.

- Z każdym dniem jest silniejszy - powiedziała z dumą Jennifer.

Przygotowała dla nich obiad. Ken zczekał, aż byli przy deserze, zanim zauważył:

- Nie chcę się wtrącać, ale czy dumny tata, ktokolwiek to jest, nie powinien coś zrobić... ?

- Ten temat jest zamknięty.

- W porządku. Przepraszam. W biurze strasznie cię brakuje. Mamy nowego klienta, który...

Jennifer uniosła dłoń.

- Nie chcę o tym słyszeć.

Rozmawiali bardzo długo, a kiedy nadeszła pora, żeby się pożegnać, Jennifer niechętnie rozstawała się z Kenem. Był dobrym człowiekiem i wspaniałym przyjacielem.

Jennifer odgradzała się od świata na wszelkie możliwe sposoby. Przestała czytać gazety i nie oglądała telewizji ani nie słuchała radia. Cały jej świat zawierał się w tych czterech ścianach. Tu było jej gniazdko, miejsce, gdzie wprowadzi w świat swojego syna.

Czytała każdą książkę, jaka jej tylko wpadła w ręce, o wychowaniu dzieci, od doktora Spocka do Amesa i Gesella.

Kiedy Jennifer skończyła urządzać pokój dzieciny, wypełniła go zabawkami. Odwiedziła sklep sportowy i oglądała piłki, kije do baseballa i rękawice. Śmiała się sama z siebie. „To absurdalne. Przecież się jeszcze nawet nie urodził”. Ale kupiła rękawicę i kij do baseballa. Kusiło ją, by kupić jeszcze piłkę, ale pomyślała sobie, że to może zaczekać.

Minał maj, a po nim czerwiec.

Robotnicy skończyli prace i dom stał się cichy i spokojny. Dwa razy w tygodniu Jennifer jeździła do miasteczka i robiła zakupy, a co dwa tygodnie składała wizytę doktorowi Harveyowi, swojemu ginekologowi. Jennifer posłusznie piła więcej mleka, niż miała na to ochotę, brała witaminy i jadła odpowiednią, zdrową żywność. Stała się ciężka i niezdarna i było jej coraz trudniej się poruszać.

Była zawsze aktywna i myślała, że nie będzie się mogła pogodzić z tym, że przybierze na wadze, będzie niezgrabna i zmuszona poruszać się powoli. Ale jakoś wcale jej to nie przeszkadzało. Nie miała powodu, żeby się gdziekolwiek spieszyć. Dni stały się długie, senne i spokojne. Jakiś wewnętrzny zegar zwolnił tempo jej życia, tak jakby rezerwował energię i przelewał ją do drugiej istoty, żyjącej w jej wnętrzu.

Pewnego ranka doktor Harvey zbadał ją i powiedział:

- Jeszcze dwa tygodnie, pani Parker.

A więc już nie tak długo. Jennifer myślała, że będzie się bała. Słyszała różne opowieści starych ciotek o bólu, wypadkach, zniekształconych noworodkach, ale nie czuła strachu, nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy swoje dziecko, chciała mieć już poród za sobą, by móc trzymać je w ramionach.

Ken Bailey przyjeżdżał do niej teraz prawie codziennie, przywożąc „Mały parowóz, który wszystko potrafi”, „Czerwoną kokoszkę”, „Króliczka Pata” i kilkanaście innych

książeczek doktora Seussa.

- Spodobają mu się - powiedział Ken.

A Jennifer uśmiechnęła się, ponieważ powiedział „on”. To dobry znak.

Spacerowali po ogrodzie, nad brzegiem rzeki urządzali sobie piknik i siedzieli w słońcu. Jennifer była zażenowana swoim wyglądem. Myślała: Czemu chce tracić czas z okropną, grubą babą?

A Ken patrzył na Jennifer i myślał: To najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem.

Pierwsze bóle wystąpiły o trzeciej nad ranem. Były tak gwałtowne, że Jennifer aż zaparło dech. Po chwili powtórzyły się i Jennifer pomyślała z radością: zaczęło się!

Zacząła mierzyć czas między skurczami, a kiedy zaczęły występować co dziesięć minut, zadzwoniła do swojego lekarza. Jennifer pojechała do szpitala, zjeżdżając na skraj drogi za każdym razem, gdy nadchodziły bóle. Kiedy dojechała do szpitala, lekarz dyżurny czekał na nią przed budynkiem i po paru minutach już ją badał doktor Harvey.

Kiedy skończył, odezwał się uspokajającym głosem:

- Poród będzie łatwy, pani Parker. Proszę się odprężyć i zdać. na siły natury.

Poród nie przebiegał łatwo, ale też nie był nie do zniesienia. Jennifer spokojnie znosiła ból, bo działo się jednocześnie coś cudownego. Rodziła prawie osiem godzin i pod koniec, kiedy • jej ciało było wyczerpane i skrecone ciągłymi skurczami, i kiedy myślała, że to już nigdy sienie skończy, poczuła nagłą ulgę, potem gwałtowną pustkę i w końcu błogosławiony spokój.

Usłyszała cienki pisk, a doktor Harvey uniósł w górę jej. dziecko, mówiąc:

- Czy chciałaby pani zobaczyć swojego syna, pani Parker? Uśmiech Jennifer rozjaśnił cały pokój.

Nazywał się Joshua Adam Parker, ważył osiem funtów i sześć uncji i był ślicznym noworodkiem. Jennifer wiedziała, że noworodki bywają zaraz po urodzeniu brzydkie, pomarszczone, czerwone i przypominają małpki. Ale nie Joshua Adam. Był śliczny. Pielęgniarki w szpitalu powtarzały w kółko Jennifer, jakim pięknym chłopcem jest Joshua, a Jennifer mogła tego słuchać bez końca. Podobieństwo do Adama było uderzające. Joshua Adam miał szaroniebieskie oczy ojca i pięknie ukształtowaną główkę. Kiedy Jennifer patrzyła na niego, wydawało jej się, że patrzy na Adama. Było to dziwne uczucie, cierpka mieszanina radości i smutku. Jak dumny byłby Adam, gdyby widział syna!

Kiedy Joshua miał dwa dni, uśmiechnął się do Jennifer, a ona zadzwoniła na pielęgniarkę i zawołała podniecona:

- Proszę spojrzeć! On się śmieje!
- To tylko gazy, pani Parker.
- W przypadku innych dzieci to mogą być gazy - powiedziała Jennifer upartym tonem
- ale mój syn się śmieje.

Jennifer zastanawiała się, co będzie czuła do tego dziecka, martwiła się, czy będzie dobrą matką. Z niemowlętami było dużo kłopotu. Brudziły pieluchy, trzeba je było bez przerwy karmić, w kółko płakały i spały. Nie było z nimi żadnego kontaktu.

„Na pewno nie będę do niego nic czuła, dopóki nie będzie miał czterech, pięciu lat” - myślała Jennifer. Jak się myliła! Od chwili narodzin Joshuy Jennifer kochała swego syna miłością, o którą nigdy samej siebie nie podejrzewała. Była to miłość skrajnie nadopiekuńcza. Joshua był taki mały, a świat taki wielki.

Kiedy Jennifer wróciła z Joshua ze szpitala do domu, dostała długą listę z zaleceniami, ale wprowadzały ją one tylko w panikę. Przez pierwsze dwa tygodnie w domu przebywała położna. Potem Jennifer została sama i była przerażona, że może zrobić coś nie tak i spowodować śmierć dziecka. Bała się, że w każdej chwili jej syn może przestać oddychać.

Pierwszy raz, gdy Jennifer przygotowywała mieszankę dla Joshuy, zorientowała się, że zapomniała wygotować smoczek. Wylała mieszankę do zlewu i zaczęła wszystko od początku. Kiedy skończyła, przypomniała sobie, że nie wysterylizowała butelki. Zaczęła jeszcze raz. Zanim posiłek Joshuy był gotów, chłopiec darł się z głodu.

Zdarzały się chwile, kiedy Jennifer myślała, że nie podoła obowiązkom. Nagle opanowywały ją uczucia niewytłumaczalnej depresji. Tłumaczyła sobie, że to normalne poporodowe chandry, ale nie wpływało to na polepszenie nastroju. Była wciąż wyczerpana.

Wydawało się jej, że całe noce spędzała na nogach karmiąc Joshuę, a kiedy w końcu udawało się jej na chwilę zdrzemnąć, budził ją płacz Joshuy i Jennifer znowu wkraczała do pokoju dzieciennego.

Bez przerwy wydzwaniała do doktora o wszystkich porach dnia i nocy.

- Joshua oddycha za szybko... Oddycha za wolno... Joshua kaszle... Nie zjadł obiadu... Joshua wymiotował.

W końcu lekarz, w odruchu samoobrony, przyjechał do Jennifer i wygłosił pogadankę.

- Pani Parker, nigdy nie widziałem zdrowszego dziecka niż pani syn. Może wyglądać na delikatne dziecko, ale jest silny jak koń. Proszę przestać się o niego martwić, a zacząć się nim cieszyć. Proszę pamiętać o jednym - przeżyje nas oboje!

Jennifer zaczęła się odprężać. Ozdobiła sypialnię Joshuy zasłonkami i narzutką z błękitnego materiału, drukowanego w białe kwiatki i żółte motylki. Stała tam kołyska, kojec, miniaturowe krzeselko, stolik i komódka, koń na biegunach i skrzynia pełna zabawek.

Jennifer ubóstwiała trzymać Joshuę na rękach, kapać go - i przewijać, zabierać na spacer w błyszczącym, nowym wózku. Bez przerwy do niego mówiła i kiedy Joshua miał cztery tygodnie, nagroził ją uśmiechem. „To nie gazy - pomyślała szczęśliwa Jennifer - to uśmiech!”

Kiedy Ken Bailey po raz pierwszy zobaczył Joshuę, przyglądał mu się bardzo długo. Czując ogarniającą ją panikę, Jennifer pomyślała: „Rozpozna go, domyśli się, że to dziecko Adama”.

Ale Ken jedynie powiedział:

- Jest naprawdę śliczny. To po matce.

Pozwoliła Kenowi wziąć go na ręce i śmiała się z jego nieporadności. Nie mogła powstrzymać się od myśli, że Joshua nigdy nie będzie miał ojca, który go weźmie na ręce.

Minęło sześć tygodni i przyszła pora powrotu do pracy. Jennifer z niechęcią myślała o rozstaniu się z synem nawet na parę godzin dziennie, ale perspektywa powrotu do pracy podniecała ją. Przez tyle czasu była odcięta od wszystkiego. Nadszedł czas powrotu do normalnego życia.

Spojrzała w lustro i postanowiła, że najważniejszą rzeczą jest odzyskanie poprzedniej sylwetki. Stosowała dietę i ćwiczyła zaraz po urodzeniu Joshuy, ale teraz zaczęła to robić ze zdwojoną energią i wkrótce znowu wyglądała tak jak dawniej.

Jennifer zaczęła się rozglądać za pomocą domową. Sprawdziała je, jakby miały zasiąść na ławie przysięgłych. Wypytywała je, szukając słabych punktów, niekompetencji, drobnych kłamstw. Przeprowadziła rozmowy z przeszło dwudziestoma potencjalnymi kandydatkami,

zanim znalazła osobę, która jej się spodobała i zdobyła jej zaufanie. Szkotkę, w średnim wieku, nazwiskiem Mackey, która pracowała w jednej rodzinie przez piętnaście lat i odeszła, gdy dzieci podrosły i poszły do szkoły.

Jennifer poprosiła Kena, by sprawdził panią Mackey i kiedy Ken zapewnił ją, że jest w porządku, Jennifer zatrudniła ją.

Tydzień później Jennifer wróciła do pracy.

Nagle zniknięcie Jennifer Parker spowodowało wśród prawników Manhattanu lawinę plotek.

Kiedy rozeszła się wieść, że Jennifer wróciła, zainteresowanie było ogromne. Przyjęcie, z jakim spotkała się Jennifer w dniu powrotu, było niezwykle, adwokaci z innych biur wpadali, by się z nią zobaczyć.

Cynthia, Dan i Ted udekorowali gabinet serpentynami i powiesili olbrzymi transparent „Witamy znowu wśród nas”. Był szampan i tort.

- O dziewiątej rano? - protestowała Jennifer. Ale postawili na swoim.

- Bez ciebie był tu prawdziwy dom wariatów - powiedział Dan Martin. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz tego zrobić drugi raz?

Jennifer spojrzała na niego i powiedziała:

- Nie, nie zamierzam tego zrobić drugi raz.

Nie zapowiedziani goście wpadali, by się upewnić, że u Jennifer jest wszystko w porządku, i by życzyć jej wszystkiego dobrego.

Na pytanie gdzie była, odpowiadała uśmiechem i uwagą: „Nie wolno mi tego powiedzieć”.

Przez cały dzień miała narady ze swoimi pracownikami. Zebrały się setki spraw.

Kiedy Ken Bailey został sam na sam z Jennifer w jej gabinecie, powiedział:

- Czy wiesz, kto doprowadzał nas do szału, próbując do ciebie dotrzeć?

Serce Jennifer zabiło mocniej.

- Kto?

- Michael Moretti.

- Ach!

- Jest niesamowity. Kiedy nie chcieliśmy mu powiedzieć, 'gdzie jesteś, kazał nam przysiąc, że u ciebie wszystko w porządku.

- Zapomnij o Michaelu Morettim.

Jennifer zapoznała się ze wszystkimi sprawami, które były załatwiane przez biuro. Interesy szły świetnie. Zyskali wielu nowych, ważnych klientów. Niektórzy z ich dawnych klientów nie chcieli powierzać swych spraw nikomu innemu poza Jennifer i czekali na jej powrót.

- Zadzwoń do nich najszybciej, jak tylko mi się uda - obiecała Jennifer.

Przejrzała resztę pozostawionych informacji. Było kilkanaście telefonów od pana

Adamsa. Może powinna poinformować Adama, że wszystko w porządku, że nic jej się nie stało. Ale wiedziała, że nie mogłaby znieść dźwięku jego głosu, wiedząc, że jest blisko, a ona nie może go widzieć, dotykać, obejmować. I powiedzieć mu o synu.

Cynthia spięła artykuły prasowe, które jej zdaniem mogłyby zainteresować Jennifer. Między innymi, opublikowaną w szeregu czasopism, serię artykułów o Michaelu Morettim, w których nazywano go najważniejszym w kraju przywódcą mafii. Umieszczono jego zdjęcie, pod którym był podpis: „Jestem zwykłym agentem ubezpieczeniowym”.

Odrobienie zaległości w pracy zajęło Jennifer trzy miesiące. Mogłaby zrobić to szybciej, ale obstawała przy kończeniu pracy codziennie o czwartej, bez względu na to, czym była pochłonięta. Czekał na nią Joshua.

Rano, przed wyjściem do biura, Jennifer sama szykowała śniadanie dla syna i spędzała z nim na zabawach jak najwięcej czasu.

Kiedy po południu wracała do domu, cały swój czas poświęcała synowi. Zmuszała się, by problemy zawodowe zostawiać w pracy i odrzucała wszystkie sprawy, które oderwałyby ją od Joshuy. Przestała pracować w weekendy. Nie pozwalała, by cokolwiek zakłócało jej prywatne życie.

Ubóstwiała czytać głośno Joshui.

Pani Mackey protestowała:

- To jeszcze niemowlę, pani Parker. Nie rozumie ani słowa z tego, co pani mówi.

Jennifer z przekonaniem odpowiadała:

- Joshua rozumie. I dalej czytała.

Joshua był dla niej serią nie kończących się cudów. Kiedy miał trzy miesiące, zaczął gaworzyć i próbował rozmawiać z Jennifer. Zabawiał się w łóżeczku ogromną, brzęczącą piłką i króliczkiem, który kupił mu Ken. Kiedy miał sześć miesięcy, próbował wychodzić z łóżeczka, niezmordowanie odkrywając świat. Jennifer trzymała go w ramionach, a on chwycił jej palce drobnymi rączkami i prowadzili długie, poważne rozmowy.

Dni Jennifer w biurze były wypełnione pracą. Pewnego razu zadzwonił do niej Philip Redding, prezes wielkiej firmy naftowej.

- Zastanawiam się, czy moglibyśmy się spotkać - powiedział. - Mam kłopoty.

Jennifer nie musiała pytać, co to znaczy. Jego firma została oskarżona o dawanie łapówek, żeby móc robić interesy na Bliskim Wschodzie. Za poprowadzenie tej sprawy byłyby duże pieniądze, ale Jennifer nie miała czasu.

- Przykro mi - powiedziała. - Nie mogę panu teraz pomóc, ale mogę polecić kogoś naprawdę dobrego.

- Powiedziano mi, żebym nie przyjął odpowiedzi odmownej - odrzekł Philip Redding.
- A któż to tak panu poradził?
- Mój przyjaciel, sędzia Lawrence Waldman.

Jennifer usłyszawszy to nazwisko, nie wierzyła własnym uszom.

- Sędzia Waldman poradził, żeby zadzwonił pan do mnie?
- Powiedział, że jest pani najlepsza, ale wiedziałem to już wcześniej.

Jennifer trzymała słuchawkę w ręku, przypominając sobie swoje wcześniejsze kontakty z sędzią Waldmanem i jak była pewna tego, że jej nienawidził i chciał ją zniszczyć.

- W porządku. Spotkajmy się jutro rano - powiedziała Jennifer.

Kiedy odłożyła słuchawkę, połączyła się z sędzią Waldmanem. Usłyszała w słuchawce znajomy głos.

- Cóż, przez jakiś czas nie rozmawiałem z panią.
- Chciałam podziękować panu za skierowanie do mnie Phi - lipa Reddinga.
- Chciałem być pewny, że będzie w dobrych rękach.
- Doceniam to, panie sędzio.
- A co by pani powiedziała na obiad któregoś wieczoru ze starszym panem?

Zaskoczył ją kompletnie.

- To byłaby dla mnie prawdziwa przyjemność.
- Świetnie. Zabiorę panią do mojego klubu. Przychodzi tam paczka starych pierników, którzy nie są przyzwyczajeni do widoku młodych, pięknych dam. Trochę to nimi wstrząśnie.

Sędzia Lawrence Waldman był członkiem klubu Century przy Czterdziestej Trzeciej Zachodniej Ulicy i kiedy przyszli tam na obiad, Jennifer zobaczyła, że żartował, mówiąc o starych piernikach. Jadalnia pełna była pisarzy, artystów, prawników i aktorów.

- Panuje tu zwyczaj, że nikogo się nie przedstawia - wyjaśnił Jennifer sędzia Waldman. - Zakłada się, że każda osoba zostanie natychmiast rozpoznana.

Jennifer rozpoznała między innymi Louisa Auchinclosa, George'a Plimtona i Johna Lindsaya.

Prywatnie Lawrence Waldman był zupełnie inny, niż spodziewała się Jennifer. Przy koktajlu powiedział jej:

- Chciałem kiedyś, by pozbawiono panią prawa praktyki, bo myślałem, że przyniosła pani ujmę naszemu zawodowi. Jestem przekonany, że się myliłem. Dokładnie panią obserwowałem. Uważam, że przynosi pani zaszczyt naszym szeregom.

Jennifer ucieszyła się. Zetknęła się z sędziami, którzy byli skorumpowani, głupi lub

niekompetentni. Lawrence'a Waldmana szanowała. Był jednocześnie zdolnym prawnikiem i uczciwym człowiekiem.

- Dziękuję, panie sędzio.

- Skończmy z tymi ceremoniami. Czy nie możemy mówić do siebie Lawrence i Jennie?

Jej ojciec był jedynym człowiekiem, który nazywał ją Jennie.

- Z przyjemnością, Lawrence.

Jedzenie było wspaniałe - ten obiad był początkiem comiesięcznego rytuału, który oboje niezwykle lubili.

Było lato 1974 roku. Nie do wiary, upłynął rok od narodzin Joshuy Adama Parkera. Zaczął stawiać pierwsze, niepewne kroki i rozumiał słowa oznaczające nos, buzię i głowę.

- To geniusz - stanowczo oświadczyła Jennifer pani Mackey.

Jennifer planowała pierwsze przyjęcie urodzinowe Joshuy, jakby było wydawane w Białym Domu. W sobotę kupiła prezenty. Kupiła dla Joshuy ubranka, książeczki, zabawki i rowerek trójkołowy, którego nie będzie mógł używać jeszcze przez rok czy dwa. Kupiła drobne upominki dla dzieci z sąsiedztwa, które zaprosiła na przyjęcie, a popołudnie spędziła rozwieszając serpentyny i baloniki. Sama upiekła tort urodzinowy i zostawiła go na kuchennym stole. Nie wiadomo, w jaki sposób Joshua się do niego dobrał, złapał całe garście i wepchnął do buzi, niszcząc tort, zanim jeszcze przybyli goście.

Jennifer zaprosiła kilkoro dzieci z sąsiedztwa razem z matkami. Jedynym dorosłym gościem - mężczyzną był Ken Bailey. Kupił Joshuy trójkołowy rowerek, identyczny jak ten, który nabyła Jennifer.

Roześmiała się i powiedziała:

- To śmieszne, Ken, Joshua jest jeszcze na to za mały.

Przyjęcie trwało tylko dwie godziny, ale było udane. Dzieci za bardzo się objadły i wymiotowały na dywan, biły się o zabawki, płakały, kiedy pękały baloniki, ale mimo to Jennifer uznała, że był to prawdziwy sukces. Joshua był wzorowym gospodarzem, zachowując się z godnością i zimną krwią, z wyjątkiem kilku drobniejszych incydentów.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy goście już poszli i Joshua leżał w łóżeczku, Jennifer usiadła obok niego i obserwowała śpiącego synka, nie mogąc się nadziwić, co za cudowne stworzenie narodziło się z jej ciała i lędźwi Adama Warnera. Adam byłby tak dumny, gdyby wiedział, jak Joshua się zachowywał, W dziwny sposób radość z tego była pomniejszona, ponieważ Jennifer nie miała jej z kim podzielić.

Jennifer myślała o wszystkich urodzinach, które przyjdą. Joshua będzie miał dwa lata, potem pięć, dziesięć i dwadzieścia. Stanie się mężczyzną i ją opuści. Będzie żyć swoim własnym życiem.

„Przestań! - skarciła samą siebie Jennifer - litujesz się nad sobą”. Tej nocy leżała w łóżku, nie mogąc usnąć, i przypominała sobie każdy szczegół przyjęcia, przeżywając wszystko od nowa.

Być może pewnego dnia będzie mogła Adamowi o tym opowiedzieć.

W czasie miesięcy, które nastąpiły, senator Adam Warner stawał się coraz powszechniej znany. Jego przeszłość, zdolności i charyzma spowodowały, że od samego początku stał się w senacie postacią znaną. Został członkiem kilku ważnych komisji i nadzorował fragment prawodawstwa pracy, który został szybko i łatwo uchwalony. Adam Warner miał w Kongresie potężnych przyjaciół. Wielu senatorów znało i szanowało jego ojca. Panowało przekonanie, że pewnego dnia Adam zmierzy się w walce o fotel prezydencki. Jennifer odczuwała gorzko - słodką dumę.

Jennifer bez przerwy otrzymywała zaproszenia od swych klientów, współpracowników i przyjaciół na obiady, do teatru czy na rozmaite akcje dobroczynne, ale prawie zawsze odmawiała. Od czasu do czasu spędzała wieczór z Kenem. Niezwykle lubiła jego towarzystwo. Był taki zabawny i skromny, ale Jennifer wiedziała, że pod maską bez troski krył się wrażliwy, cierpiący człowiek. Czasami przychodził do niej na lunch lub obiad w czasie weekendu i godzinami bawił się z Joshuą. Bardzo się obaj zaprzyjaźnili.

Pewnego razu, gdy Joshua już leżał w łóżeczku, a Jennifer z Kenem jedli w kuchni kolację, Ken tak długo wpatrywał się w Jennifer, aż go zapytała:

- Czy coś się stało?

- Chryste, tak - jęknął Ken. - Jaki ten świat jest wstrętny. Ale nic więcej nie chciał powiedzieć.

Adam już prawie dziesięć miesięcy nie próbował się skontaktować z Jennifer, ale ona chciwie czytała każdy artykuł prasowy o nim i oglądała go, gdy występował w telewizji. Myślała o nim bez przerwy. Jak mogłoby być inaczej? Jej syn był żywym przypomnieniem obecności Adama. Joshua miał już dwa lata i był bardzo podobny do ojca. Miał te same poważne, niebieskie oczy i taki sam sposób poruszania się. Joshua był małą, kochaną repliką, wdzięczną i kochającą, i pełną pytań o otaczający go świat.

Ku zdumieniu Jennifer pierwszym słowem, które wypowiedział Joshua pewnego razu podczas przejażdżki, był „samochód”. Mówił już pełnymi zdaniami i potrafił powiedzieć „proszę” i „dziękuję”. Kiedyś, gdy Jennifer próbowała go nakarmić siedzącego na jego wysokim krześle, powiedział zniecierpliwiony:

„Mamo, idź, pobaw się swoimi zabawkami”.

Ken kupił mu farby i Joshua pilnie przystąpił do malowania ścian salonu.

Pani Mackey chciała mu dać klapsa, ale Jennifer powiedziała:

- Nie, przecież to się zmyje. Joshua po prostu w ten sposób wypowiada się.

- Ja też tylko tego chciałam - prychnęła pani Mackey - wypowiedzieć się. Zepsuje pani tego dzieciaka zupełnie.

Ale Joshua nie był rozpuszczony. Był psotny i wymagający uwagi, ale to normalne dla dwulatka. Bał się odkurzacza, dzikich zwierząt i ciemności.

Joshua był urodzonym sportowcem. Raz, obserwując go bawiącego się ze swoimi kolegami, Jennifer zwróciła się do pani Mackey:

- Mimo że jestem matką Joshuy, potrafię patrzeć na niego • obiektywnie, pani Mackey. Myślę, że mógłby być Jezusem, który ponownie zstąpił na ziemię.

Jennifer przyjęła zasadę unikania wszelkich spraw, które wiązałyby się z koniecznością wyjazdu z miasta i opuszczenia Joshuy, ale pewnego razu miała pilny telefon od Petera Fentona, klienta, który posiadał wielkie przedsiębiorstwo produkcyjne.

- Kupuję fabrykę w Las Vegas i chciałbym, żebyś tu przyleciała i spotkała się z ich prawnikami.

- Przyślę Dana Martina - zaproponowała Jennifer. - Wiesz, Peter, że nie lubię opuszczać miasta.

- Jennifer, możesz to załatwić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Przylecisz samolotem firmy i następnego dnia będziesz' już z powrotem.

Jennifer zawahała się.

- W porządku.

Była już w Las Vegas i traktowała je obojętnie. Las Vegas nie można nienawidzić czy też kochać. Należy je traktować jak fenomen, obcą cywilizację ze swoim własnym językiem, prawami i moralnością. Nie było podobne do żadnego innego miasta na świecie. Ogromne neony świeciły się całą noc, głosząc sławę wspaniałych pałaców, wybudowanych, by opróżniać kiesy turystów napływających jak szarańcza i ustawiających się w kolejkach, aby przepuścić swoje ciężko zarobione pieniądze.

Jennifer dała pani Mackey długą i szczegółową listę z instrukcjami dotyczącymi opieki nad Joshuą.

- Jak długo pani nie będzie, pani Parker?

- Wracam jutro.

- Och, te matki!

Odrzutowiec „Lear” Petera Fentona zabrał Jennifer następnego ranka do Las Vegas. Jennifer spędziła popołudnie i wieczór opracowując szczegóły kontraktu. Kiedy skończyli, Peter Fenton poprosił Jennifer, by zjadła z nim obiad.

- Dziękuję, Peter, ale chyba zostanę w hotelu i wcześniej położę się spać. Wracam do

Nowego Jorku jutro rano.

Jennifer rozmawiała w ciągu dnia z panią Mackey trzy razy i za każdym razem otrzymywała zapewnienie, że Joshua ma się doskonale, zjadł wszystkie posiłki, nie miał gorączki i wyglądał na zadowolonego.

- Czy tęskni za mną? - spytała Jennifer.

- Nie powiedział - westchnęła pani Mackey.

- Jennifer wiedziała, że pani Mackey uważa ją za wariatkę, ale nie przejmowała się tym.

- Proszę mu powiedzieć, że wrócę do domu jutro.

- Zostawię mu wiadomość, pani Parker.

Jennifer zamierzała zjeść obiad w swoim pokoju, ale nie wiadomo czemu pokój wydał jej się nagle przygnębiający, a ściany zaczęły ją przytłaczać. Nie mogła przestać myśleć o Adamie.

„Jak mógł się kochać z Mary Beth i dopuścić, by zaszła w ciążę, gdy...”

Tym razem udawanie, że Adam wyjechał jedynie służbowo na kilka dni i wkrótce do niej wróci, co zwykle robiła Jennifer, nie dawało rezultatów. Myśli Jennifer powracały do obrazu Mary Beth w koronkowym negligiu i Adama...

Musiała wyjść, być tam, gdzie były hałaśliwe tłumy gości.

„Może nawet pójdę na jakąś rewię” - pomyślała Jennifer. Szybko wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół.

Na głównej estradzie występował Marty Allen. Przed wejściem do sali stała długa kolejka oczekujących na wieczorny występ i Jennifer żałowała, że nie poprosiła Petera Fentona, by zarezerwował dla niej miejsce.

Podeszła do kierownika sali i zapytała:

- Jak długo trzeba będzie czekać na stolik?

- Dla ilu osób?

- Jestem sama.

- Przykro mi, proszę pani, ale obawiam się, że... Jakiś głos za nią powiedział:

- Do mojego stolika, Abe. Kierownik sali skłonił się i powiedział:

- Tak jest, panie Moretti. Proszę tędy.

Jennifer odwróciła się i znalazła się twarzą w twarz z Michaeliem Morettim.

- Nie, dziękuję - powiedziała Jennifer. - Obawiam się, że...

- Musi pani coś zjeść. - Michael Moretti wziął ją pod ramię i zanim Jennifer się zorientowała, już szła obok niego śladem kierownika lokalu w stronę najlepszych miejsc w

samym środku sali. Jennifer z odrazą myślała o wspólnym obiedzie z Michaeliem Morettim, ale nie wiedziała, jak uciec, nie wzbudzając sensacji. Gorzko żałowała, że nie zgodziła się iść na obiad z Peterem Fentonem.

Miejsca zajęli przy stole w pobliżu estrady, a kierownik sali powiedział:

- Życzę państwu udanego wieczoru.

Jennifer czuła na sobie wzrok Michaela Morettiego i krępowało ją to. Siedzieli w milczeniu. Michael Moretti był człowiekiem milczącym, nie ufającym słowom, jakby uważał je bardziej za pułapkę niż środek komunikowania się. W jego milczeniu było coś niezwykłego. Michael Moretti wykorzystywał ciszę w taki sposób, w jaki inni ludzie wykorzystują mowę.

Kiedy w końcu przemówił, zupełnie zaskoczył Jennifer.

- Nienawidzę psów - powiedział Michael Moretti. - Umierają.

Zabrzmiało to tak, jakby odsłaniał część swojej duszy, głęboko skrytej przed obcymi. Jennifer nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Przyniesiono drinki, które pili, siedząc w milczeniu, a Jennifer słuchała rozmowy, której nie było.

Myślała o tym, co powiedział: „Nienawidzę psów. Umierają.” Zastanawiała się, jakie było dzieciństwo Michaela Morettiego. Zorientowała się, że go obserwuje. Był mężczyzną atrakcyjnym w niebezpieczny i podniecający sposób. Czuło się w nim gwałtowność, gotową wybuchnąć w każdej chwili.

Jennifer nie wiedziała dlaczego, ale towarzystwo tego mężczyzny spowodowało, że poczuła się znów kobietą. Może spowodowane to było sposobem, w jaki na nią patrzył swymi hebanowoczarnymi oczami, a następnie odwracał wzrok, jakby bojąc się z czymś zdradzić. Jennifer zdała sobie sprawę, że już od dawna nie myślała o sobie jak o kobiecie. Od dnia kiedy utraciła Adama. „Potrzebny jest mężczyzna, by kobieta poczuła się kobietą - pomyślała Jennifer - by poczuła się piękna, pożądana”.

Jennifer była szczęśliwa, że nie mógł czytać w jej myślach.

Różni ludzie podchodzili do ich stołu, by złożyć wyrazy uszanowania Michaelowi Morettiemu: dyrektorzy firm, aktorzy, sędzia, senator. To potęga składała wyrazy uznania drugiej potędze i Jennifer zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, jakie wpływy posiadał.

- Zamówię coś dla nas - powiedział Michael Moretti. - Przygotowują tu posiłki dla ośmiuset ludzi. To tak, jakby się jadło w samolocie.

Unióś rękę i w jednej chwili zjawił się przy nim kierownik sali.

- Tak, panie Moretti, czego życzy pan sobie dzisiaj?

- Prosimy o chateaubriand, w środku różowe.
- Tak jest, panie Moretti.
- Pommes sufflees i sałatkę z endywii.
- Tak jest, panie Moretti.
- Deser zamówimy później.

Do stołu przysłano butelkę szampana z wyrazami szacunku od kierownictwa.

Jennifer odkryła, że na przekór własnym chęciom, zaczęła się odprężyć i dobrze bawić. Już od dawna nie spędzała wieczoru w towarzystwie atrakcyjnego mężczyzny. I chociaż to spostrzeżenie przyszło jej do głowy, pomyślała: „Jak mogę uważać Michaela Morettiego za atrakcyjnego mężczyznę? Przecież to zabójca, dzika bestia pozbawiona uczuć”.

Jennifer poznała i broniła wielu ludzi, którzy popełnili straszne zbrodnie, ale miała uczucie, że żaden z nich nie był tak niebezpieczny, jak ten człowiek. Dotarł na sam szczyt mafii i to nie tylko dzięki małżeństwu z córką Antonio Granellego.

- Dzwoniłem do pani raz czy dwa w czasie pani nieobecności - powiedział Michael. Według tego, co mówił Ken Bailey, dzwonił prawie codziennie. - Gdzie pani była? - Zadał to pytanie obojętnym tonem.

- Wyjechałam.

Długa cisza.

- Czy pamięta pani ofertę, którą pani złożyłem? Jennifer wypila łyk szampana.

- Proszę nie zaczynać od nowa.

- Może pani mieć każdy...

- Mówiłam już, że nie jestem zainteresowana. Nie ma czegoś takiego, jak propozycja nie do odrzucenia. Tak jest tylko w książkach, panie Moretti. Odmawiam.

Michael Moretti pomyślał o scenie, która miała miejsce w domu jego teścia parę tygodni temu. Odbywało się spotkanie członków Rodziny i nie poszło najlepiej. Thomas Colfax sprzeciwiał się wszystkiemu, co proponował Michael Moretti.

Kiedy Colfax odjechał, Michael powiedział swemu teściowi.

- Z Colfaxy robi się stara baba. Myślę, że czas, żeby poszedł w odstawkę, tato.
- Tommy to dobry człowiek. W ciągu tych lat uchronił nas przed wieloma kłopotami.
- To przeszłość.
- A kogo wzięlibyśmy na jego miejsce?
- Jennifer Parker.

Antonio Granelli potrząsnął głową.

- Powiedziałem ci, Michaelu, to niebezpieczne, by jakaś kobieta poznała nasze

interesy.

- To nie jest zwykła kobieta. To najlepszy prawnik w okolicy.

- Zobaczymy - powiedział Antonio Granelli. - Zobaczymy.

Michael Moretti należał do ludzi przyzwyczajonych otrzymywać to, czego chcą i im więcej Jennifer opierała się, tym bardziej był zdecydowany zdobyć ją. Teraz, siedząc obok niej, Michael spojrzał na Jennifer i pomyślał: „Pewnego dnia będziesz do mnie należała, skarbie - całkowicie”.

- O czym pan myśli?

Michael Moretti uśmiechnął się do niej swobodnie i Jennifer natychmiast pożałowała swojego pytania. Był czas rozstać się.

- Dziękuję panu za miły obiad, panie Moretti. Muszę wstąpić, więc...

Światła zaczęły przygasać i orkiestra zaczęła grać uwerturę.

- Nie może pani teraz wyjść. Zaczyna się występ, spodoba się pani Marty Allen.

Był to rodzaj przedstawienia, na którego prezentację stać było tylko Las Vegas i Jennifer świetnie się bawiła. Powiedziała sobie, że wyjdzie natychmiast po występie, ale kiedy przedstawienie się skończyło, Michael Moretti zaprosił ją do tańca i Jennifer doszła do wniosku, że okazałaby niewdzięczność, gdyby odmówiła. Poza tym musiała przyznać, że miło upływał jej czas. Michael Moretti był dobrym tancerzem i Jennifer odkryła, że odprężyła się w jego ramionach. Raz, gdy inna para zderzyła się z nimi, Michael wpadł na Jennifer i przez moment poczuła jego mocne ciało, ale natychmiast się odsunął i uważał, by zachować właściwy dystans.

Potem poszli do kasyna, rozległego terenu pełnego jaskrawych świateł i zgiełku, gdzie hazardziści zaabsorbowani byli różnymi grami, którym oddawali się z takim zapałem, jakby ich ' życie zależało od wygranej. Michael przyprowadził Jennifer do jednego ze stołów, gdzie grano w kości, i wręczył jej kilka że - : tonów.

- To na szczęście - powiedział.

Szef sali i krupierzy traktowali go z szacunkiem, nazywając panem „M” i dając mu stosy studolarowych żetonów, biorąc od niego zapisy zamiast gotówki. Michael stawiał wysoko i przegrywał często, ale wydawał się tym nie przejmować. Korzystając z żetonów Michaela, Jennifer wygrała trzysta dolarów i nalegała, by je wziął. Nie miała zamiaru mieć wobec niego jakichkolwiek zobowiązań.

Od czasu do czasu w ciągu wieczoru rozmaite kobiety podchodziły do Michaela i pozdrowiały go. Wszystkie były młode i atrakcyjne, co zauważyła Jennifer. Mimo woli nie mogła się powstrzymać od uczucia dumy.

Na początku wieczoru Jennifer czuła się zmęczona i przygnębiona, ale od Michaela Morettiego emanowała witalność, nasycająca powietrze wokół, i przeniknęła Jennifer.

Michael zabrał ją do małego baru, gdzie grał zespół jazzowy, a potem poszli do holu hotelowego, aby posłuchać nowego zespołu wokalnego. Wszędzie, gdzie się pojawiali, Michael był traktowany jak członek rodziny królewskiej. Każdy chciał zwrócić na siebie jego uwagę, pozdrowić go, dotknąć, zaznaczyć swoją obecność.

Przez cały czas, kiedy byli razem, Michael nie powiedział nic takiego, co Jennifer mogłaby wziąć za obrazę. A mimo to Jennifer czuła od niego taki sex appeal, że przypominało to szereg bijących w nią fal. Miała wrażenie, że uderzały w jej ciało, i czuła się jak zgwałcona. Nigdy w życiu nie doznała czegoś podobnego. Było to uczucie niepokojące i jednocześnie radosne. Była w nim dzika, zwierzęca witalność, z którą Jennifer nigdy przedtem się nie zetknęła.

Była czwarta nad ranem, gdy Michael w końcu odprowadził Jennifer do jej pokoju. Kiedy doszli do drzwi Jennifer, Michael ujął jej dłoń i powiedział:

- Dobranoc. Chciałbym jedynie, żeby pani wiedziała, że był to najwspanialszy wieczór w moim życiu.

Jego słowa przejęły Jennifer lękiem.

Popularność Adama Warnera rosła. Coraz częściej pisano o nim w gazetach i czasopismach. Adam wszczął dochodzenie w sprawie szkół w gettach i przewodniczył komisji senackiej, która wyjechała do Moskwy na spotkanie z tamtejszymi dysydentami. Prasa opublikowała jego zdjęcia z przybycia na lotnisko Szeremietiewo i powitania z poważnymi urzędnikami radzieckimi. Kiedy Adam wrócił dziesięć dni później, gazety ciepło wyrażały się o rezultatach podróży.

Sprawozdania prasowe mnożyły się. Ludzie chcieli czytać o Adamie Warnerze i środki masowego przekazu zaspokajały te apetyty. Adam stał na czele senackiego obozu reform. Przewodniczył komisji badającej warunki życia w więzieniach federalnych i odwiedzał zakłady karne w całym kraju. Rozmawiał z więźniami, strażnikami i nadzorcami i kiedy komisja przedstawiła swój raport, zaczęto wprowadzać głębokie reformy.

Obok czasopism społeczno - politycznych, umieszczała o nim artykuły prasa kobieca. W „Cosmopolitan” Jennifer zobaczyła zdjęcie Adama, Mary Beth i ich małej córeczki Samantha. Jennifer siedziała przy kominku w swojej sypialni i przez długi czas patrzyła na fotografię. Mary Beth uśmiechała się do kamery, pełna słodkiego, ciepłego, południowego czaru. Córka była miniaturką matki. Jennifer spojrzała na zdjęcie Adama. Wyglądał na zmęczonego. Wokół oczu miał drobne zmarszczki, których wcześniej nie było, a skronie zaczęła mu prószyc siwizna. Przez chwilę Jennifer miała wrażenie, że widzi twarz dorosłego Joshuy. Podobieństwo było niesamowite. Adam miał wzrok skierowany prosto w kamerę i Jennifer wydawało się, że patrzy na nią. Próbowwała odczytać wyraz jego oczu i zastanawiała się, czy kiedykolwiek o niej myśli.

Jennifer ponownie przyjrzała się zdjęciu Mary Beth i jej córki. Potem wrzuciła czasopismo do ognia i obserwowała, jak się zamienia w popiół.

Adam Warner siedział przy stole, zabawiając Stewarta Needhama i pół tuzina innych gości. Mary Beth siedziała przy drugim końcu stołu, rozmawiając o drobiazgach z senatorem z Oklahomy i jego obsypaną klejnotami żoną. Dla Mary Beth Waszyngton był jak środek pobudzający. Czula się tu w swoim żywiole. Z uwagi na rosnące znaczenie Adama, Mary Beth stała się jedną z ważniejszych dam Waszyngtonu i upajała się swoją pozycją. Adama nudziło życie towarzyskie stolicy i był szczęśliwy, że może to pozostawić Mary Beth. Dobrze sobie dawała z tym radę i Adam był jej za to wdzięczny.

- W Waszyngtonie - mówił Stewart Needham – więcej spraw załatwia się przy stole niż w pompatycznych salach Kongresu.

Adam rozejrzał się wokół i zapragnął, aby ten wieczór już się skończył. Na zewnątrz wszystko przedstawiało się wspaniale. W rzeczywistości wszystko wyglądało źle. Poślubił tę kobietę, a kochał inną. Jego małżeństwo było pułapką, z której nie było ucieczki. Adam wiedział, że gdyby Mary Beth nie zaszła w ciążę, doprowadziłby sprawę rozwodu do końca. Teraz było za późno - miał zobowiązania, Mary Beth dała mu śliczną córeczkę, którą bardzo kochał, ale nie mógł zapomnieć o Jennifer.

Żona gubernatora zwróciła się do niego:

- Jesteś taki szczęśliwy, Adamie. Masz wszystko, czego tylko mógłby pragnąć mężczyzna, czyż nie?

Adam nie mógł zmusić się do odpowiedzi.

Pory roku przychodziły i mijały, a wszystko się kręciło wokół Joshuy. Był dla Jennifer pępkiem świata. Obserwowała go dzień po dniu, jak rósł i rozwijał się, i wydawał jej się niezwykłym cudem natury, kiedy zaczął chodzić, mówić i rozumieć. Jego nastroje wiecznie się zmieniały - raz był dziki i agresywny, to znów nieśmiały i czuły. Złościł się, kiedy Jennifer zostawiała go samego na noc i wciąż bał się ciemności, więc Jennifer zawsze pilnowała, by paliła się u niego lampka nocna.

Kiedy Joshua miał dwa lata, zrobił się niemożliwy, jak przysłowiowy „straszny dwulatek”. Był uparty i gwałtowny, ubóstwiał wszystko „naprawiać”. Zepsuł maszynę do szycia pani Mackey i dwa telewizory, rozłożył na części zegarek Jennifer. Zmieszał sól z cukrem i interesował się swoim siusiaczkiem, kiedy myślał, że jest sam. Ken Bailey kupił Jennifer małego owczarka niemieckiego, Maxa, a Joshua ugryzł go.

Kiedy Ken przyszedł raz z wizytą, Joshua powitał go słowami:

- Cześć! Masz ptaszka? Mogę go zobaczyć?

Tamtego roku Jennifer z radością oddałaby Joshuę pierwszemu chętnemu z brzegu.

W wieku trzech lat Joshua nagle stał się aniołem, delikatnym, tkliwym i kochającym. Miał budowę fizyczną swego ojca i ubóstwiał majsterkowanie. Nie niszczył już niczego. Lubił bawić się na dworze, wspinać się, biegać i jeździć na rowerku.

Jennifer zabierała go do zoo w Bronxie i na przedstawienia kukielkowe. Spacerowali wzdłuż brzegu i byli na festiwalu Braci Mar na Manhattanie, a potem chodzili na lody do „Staroświeckiego pana Jenningsa” na dziewiątym piętrze Bonwit Teller.

Joshua stał się partnerem. W prezencie na Dzień Matki nauczył się ulubionej piosenki ojca Jennifer „Świeć księżycu, w pełni” i odśpiewał ją Jennifer. Był to najbardziej wzruszający moment w jej życiu.

„To prawda - pomyślała Jennifer - że nie dziedziczymy świata po naszych rodzicach, lecz pożyczamy go od naszych dzieci”.

Joshua zaczął chodzić do przedszkola i bardzo to lubił. Wieczorami, kiedy Jennifer wracała do domu, siadywali przed kominkiem i razem czytali. Jennifer czytała „Magazyn Prawniczy” i „Adwokata”, a Joshua swoje książeczki z obrazkami. Jennifer obserwowała Joshuę, jak wyciągał się na podłodze, z brwiami ściągniętymi ze skupienia, i nagle przypominała sobie Adama. Była to ciągle otwarta rana. Zastanawiała się, gdzie był Adam i co robił.

Co robili Adam, Mary Beth i Samantha.

Jennifer udało się odseparować swoje życie prywatne i zawodowe i jedynym łącznikiem między strefami był Ken Bailey.

Kupował Joshui zabawki i książki, bawił się z nim i był swego rodzaju zastępczym ojcem.

Pewnego niedzielnego popołudnia Jennifer i Ken stali obok domku na drzewie, obserwując, jak Joshua wspinał się na górę.

- Czy wiesz, kogo mu potrzeba?

- Nie.

- Ojca. - Odwrócił się do Jennifer. - Jego ojciec musi być niezwykłym draniem.

- Proszę cię, Ken, przestań.

- Przepraszam, to rzeczywiście nie moja sprawa. Pomówmy o przyszłości. To nie jest normalne, żebyś żyła samotnie, jak...

- Nie jestem samotna. Mam Joshuę.

- Nie to mam na myśli. - Wziął Jennifer w ramiona i pocałował delikatnie. - Och, niech to diabli, Jennifer, przepraszam...

Michael Moretti dzwonił do Jennifer kilkanaście razy. Nigdy nie odpowiadała na jego telefony. Kiedyś wydawało się jej, że zauważyła go siedzącego w głębi sali rozpraw, kiedy występowała w jakiejś sprawie jako obrońca, ale gdy spojrzała ponownie, już go nie było.

Pewnego popołudnia, gdy Jennifer już się zbierała do wyjścia z biura, Cynthia powiedziała:

- Dzwoni pan Clark Holman.

Jennifer zawahała się, a potem powiedziała:

- Odbiorę.

Clark Holman był adwokatem w Towarzystwie Pomocy Prawnej.

- Przepraszam, że ci zawracam głowę, Jennifer - powiedział - ale mamy sprawę, której nikt nie chce wziąć, i byłbym ci naprawdę wdzięczny, gdybyś nam pomogła. Wiem, że jesteś zajęta, ale...

- Kto jest oskarżony?

- Jack Scanlon.

Natychmiast skojarzyła sobie to nazwisko. Przez ostatnie dwa dni znajdowało się na pierwszych stronach gazet. Jack Scanlon został aresztowany za porwanie czteroletniej dziewczynki i przetrzymywanie jej dla okupu. Został rozpoznany na podstawie rysopisu pamięciowego, sporządzonego przez policję w oparciu o zeznania świadków uprowadzenia.

- Dlaczego właśnie ja, Clark?

- Scanlon poprosił o ciebie.

Jennifer spojrzała na zegar ścienny. Spóźni się do Joshuy.

- Gdzie jest teraz?

- W miejskim zakładzie poprawczym. Jennifer szybko zdecydowała.

- Pojadę tam i porozmawiam z nim. Przygotuj wszystko, dobrze?

- Oczywiście. Stokrotne dzięki. Jestem twoim dłużnikiem. Jennifer zadzwoniła do pani Mackey.

- Będę trochę później. Proszę dać Joshui kolację i powiedzieć, żeby na mnie czekał.

Dziesięć minut później Jennifer była w drodze do zakładu.

Porwanie było dla Jennifer najwstrętniejszym przestępstwem, szczególnie porwanie bezbronnych małych dzieci. Ale każdy oskarżony miał prawo do obrony, bez względu na to, jak straszną zbrodnię popełnił. To była podstawowa zasada prawa: sprawiedliwość, zarówno dla najbiedniejszych, jak i dla najbogatszych.

Jennifer wylegitymowała się strażnikowi w biurze przepustek i została zaprowadzona do sali widzeń.

Strażnik powiedział:

- Zaraz przyprowadzę Scanlona.

Parę minut później do sali wszedł chudy, ascetycznie wyglądający mężczyzna koło czterdziestki, z jasną brodą i blond włosami. Wyglądał niemal jak Chrystus.

- Dziękuję, że pani przyszła, panno Parker - powiedział. Miał miękki i delikatny głos.

- Dziękuję za troskę.

- Proszę usiąść.

Zajął miejsce naprzeciw Jennifer.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć?

- Tak. Mimo że uważam, iż tylko Bóg może mi pomóc. Zrobiłem bardzo głupią rzecz.

Spojrzała na niego z niechęcią.

- Nazywa pan porwanie bezbronnej, małej dziewczynki dla okupu głupią rzeczą?

- Nie porwałem Tammy dla okupu.

- Ach tak? W takim razie dlaczego?

Zapanowała długa cisza, zanim Jack Scanlon zaczął mówić.

- Moja żona, Evelyn, umarła podczas porodu. Kochałem ją nade wszystko na świecie. Jeżeli kiedykolwiek po ziemi chodzili święci, to ta kobieta na pewno do nich należała. Evelin była drobnej budowy. Nasz doktor odradzał jej urodzenie dziecka, ale ona nie słuchała. - Zakłopotany, spuścił wzrok na podłogę, - Może... może będzie pani to trudno zrozumieć, ale powiedziała, że mimo wszystko chce mieć dziecko, bo to będzie jakby posiadanie jakiejś części mnie.

Jak dobrze Jennifer to rozumiała.

Jack Scanlon przerwał, myślami będąc gdzieś daleko.

- A więc urodziła dziecko? Jack Scanlon przytaknął.

- Oboje umarli... - Było mu trudno kontynuować. - Przez chwilę myślałem... myślałem, że... nie chcę dłużej żyć bez niej. Cały czas się zastanawiałem, jak wyglądałaby nasza córeczka. Śniłem o tym, jakby to było, gdyby obie żyły. Próbowałem cofnąć czas do chwili, zanim Evelin... - Przerwał, jego głos był zdławiony bólem. - Zwróciłem się stronę Boga i to uratowało mnie przed utratą zmysłów. „Spójrz, otwieram przed tobą wrota, których nikt nie będzie w stanie zamknąć”. Parę dni temu zobaczyłem dziewczynkę bawiącą się na ulicy i odniosłem wrażenie, jakby zmartwychwstała Evelyn. Miała jej oczy, jej włosy. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i... wiem, że to brzmi głupio, ale to naprawdę Evelyn się do mnie śmiała. Musiałem stracić głowę. Pomyślałem sobie: „To jest córka, którą urodziłaby Evelyn. To jest nasze dziecko”.

Jennifer widziała, jak wbija w ciało paznokcie.

- Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, a mimo to zabrałem ją. - Spojrzał Jennifer w oczy. - Za nic w świecie nie skrzywdziłbym tego dziecka.

Jennifer obserwowała go uważnie, próbując wyłowić jakąś fałszywą nutę. Ale nie słyszała cienia fałszu. Ten człowiek cierpiał katusze.

- A co z tym listem w sprawie okupu? - zapytała Jennifer.

- Nie wysyłałem żadnego listu w sprawie okupu. Chciałem jedynie mieć małą Tammy.

- Jednak ktoś wysłał do rodziny list z żądaniem okupu.

- Policja utrzymuje, że to ja, ale to nieprawda.

Jennifer siedziała, próbując wszystko ułożyć w jakąś całość.

- Czy wiadomość o porwaniu ukazała się w gazetach przed czy po schwytaniu pana przez policję?

- Przed. Pamiętam, jak pragnąłem, żeby przestali o tym pisać. Chciałem uciec z Tammy i bałem się, że ktoś nas rozpozna.

- A więc każdy mógł przeczytać o porwaniu i próbować zażądać okupu?

Jack Scanlon bezradnie rozłożył ręce.

- Nie wiem. Wiem jedynie, że chcę umrzeć.

Jego ból był tak szczery, że Jennifer poczuła się poruszona. Jeżeli mówił prawdę - a było to wprost wypisane na jego twarzy - to nie zasługiwał na śmierć za coś, czego nie zrobił. Powinien być, oczywiście, ukarany, ale nie stracony.

Jennifer podjęła decyzję.

- Spróbuję panu pomóc.

- Dziękuję - odrzekł cicho. - Naprawdę nie zależy mi na tym, co się ze mną stanie.

- Ale mnie zależy.

- Obawiam się - powiedział Jack Scanlon - że... że nie będę mógł pani zapłacić.

- Proszę się tym nie martwić. Chcę, żeby mi pan opowiedział trochę więcej o sobie.

- Co chce pani wiedzieć?

- Proszę zacząć od początku. Gdzie się pan urodził?

- W Północnej Dakocie, trzydzieści pięć lat temu. Urodziłem się na farmie. Był to nieurodzajny kawałek ziemi, na której nic nie chciało rosnąć. Byliśmy biedni. Opuściłem dom, gdy miałem piętnaście lat. Kochałem matkę, ale nienawidziłem ojca. Wiem, że w Biblii jest napisane, że to grzech mówić źle o własnych rodzicach, ale to był nikczemny człowiek. Sprawiało mu przyjemność zadawanie bólu innym.

Jennifer zauważyła, że jego ciało napięło się, kiedy kontynuował.

- Chcę powiedzieć, że naprawdę sprawiało mu to przyjemność. Jeżeli zrobiłem najdrobniejszą rzecz, którą uważał za niewłaściwą, bił mnie skórzanym pasem, zakończonym dużą, miedzianą sprzączką. Potem kazał mi klęczeć i modlić się do Boga o wybaczenie. Przez długi czas nienawidziłem Boga tak samo, jak swego ojca. - Przerwał, zbyt mocno ogarnięty wspomnieniami, by móc mówić dalej.

- A więc uciekł pan z domu?

- Tak. Autostopem dotarłem do Chicago. Nie miałem żadnego wykształcenia, ale w domu dużo czytałem. Za każdym razem, gdy ojciec mnie na tym przyłapał, miał powód do nowego lania. W Chicago dostałem pracę w fabryce. To właśnie tam spotkałem Evelyn. Pewnego razu skaleczyłem rękę na frezarce, zabrali mnie do ambulatorium i tam właśnie ją zobaczyłem. Była pielęgniarką. - Uśmiechnął się do Jennifer. - Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Potrzeba było dwóch tygodni, żeby ręka się zagoiła i przychodziłem do niej codziennie na opatrunki. Potem zaczęliśmy się spotykać. Rozmawialiśmy o małżeństwie, ale firma straciła duże zamówienie i razem z innymi ludźmi z mojego wydziału zostałem zwolniony. Ale Evelyn to nie przeszkadzało. Pobraliśmy się i utrzymywała mnie. Sprzeczałyśmy się tylko o jedno. Nauczono mnie, że to mężczyzna powinien utrzymywać kobietę. Dostałem pracę; jako kierowca ciężarówki. Zarobki były dobre. Jedyne, czego; nienawidziłem, to ciągle rozłąki. Czasami na tydzień. Poza tym; byłem bardzo szczęśliwy. Oboje byliśmy szczęśliwi. A potem Evelin zaszła w ciążę.

Wstrząsnął nim dreszcz. Ręce zaczęły mu drżeć.

- Evelin i nasza córeczka umarły. - Łzy popłynęły mu po policzkach. - Nie wiem, dlaczego Bóg to zrobił. Musiał mieć jakiś powód, ale nie wiem, jaki. - Kiwał się na krześle do przodu i do tyłu, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, z rękami przyciśniętymi do piersi, jakby powstrzymując dręczącą go rozpacz. - „Pokażę ci i nauczę, jak powinieneś postępować. Będę cię prowadził”.

Jennifer pomyślała: „Nie dostaną go na krzesło elektryczne”.

- Przyjdę do pana jutro - obiecała.

Kaucję ustalono na dwieście tysięcy dolarów. Jack Scanlon nie miał takiej sumy, więc Jennifer dostarczyła mu pieniądze. Scanlona wypuszczono z zakładu poprawczego, a Jennifer znalazła mały motel na West Side, gdzie się wprowadził. Dała mu sto dolarów, żeby się jakoś urządził.

- Nie wiem kiedy - powiedział Jack Scanlon - ale zwrócę pani wszystko, co do grosza. Zacznę szukać pracy. Wszystko jedno jakiej. Mogę robić cokolwiek.

Kiedy Jennifer wychodziła, przeglądał ogłoszenia w dziale „Dam pracę”.

Prokurator federalny Earl Osborne był potężnym, mocno zbudowanym mężczyzną o gładkiej, okrągłej twarzy i zwodniczo uprzejmych manierach. Ku zdumieniu Jennifer, w biurze Osborne'a był Robert Di Silva.

- Słyszałem, że podjęła się pani tej sprawy - powiedział Di Silva. - Nic nie jest dla pani zbyt odrażające, prawda?

Jennifer zwróciła się do Earla Osborne'a:

- Co on tu robi? To sprawa dla sądu federalnego.

- Jack Scanlon zabrał dziewczynkę samochodem rodziców - odpowiedział Osborne.

- Kradzież samochodu, moja jurysdykcja - dodał Di Silva. Jennifer zastanawiała się, czy Di Silva byłby tutaj, gdyby to nie ona była zaangażowana w sprawę. Znowu zwróciła się do Earla Osborne'a.

- Mam propozycję - powiedziała Jennifer. - Mój klient... Earl Osborne uniósł rękę do góry.

- Nie ma mowy. Tym razem nie popuścimy.

- Są okoliczności...

- Powie nam pani o tym na przesłuchaniu wstępnym. Di Silva nie krył ironicznego uśmiechu.

- W porządku - powiedziała Jennifer. - Spotkamy się w sądzie.

Jack Scanlon znalazł pracę na stacji benzynowej na West Side w pobliżu motelu i Jennifer pojechała tam, by się z nim zobaczyć.

- Przesłuchanie wstępne jest pojutrze - poinformowała go.

- Będę czynić starania, by sąd zgodził się na przedstawienie dodatkowych okoliczności sprawy i zmienił oskarżenie na zagrożone niższym wymiarem kary. Będzie pan musiał odsiedzieć jakiś czas, ale postaram się, żeby maksymalnie zmniejszyć wyrok.

Wdzięczność malująca się na jego twarzy była dla niej wystarczającą nagrodą.

Za radą Jennifer Jack Scanlon kupił sobie na przesłuchanie wstępne porządny garnitur, przystrzygł włosy oraz brodę i Jennifer była zupełnie zadowolona z jego wyglądu.

Zaczęły się formalności proceduralne. Na sali był obecny prokurator okręgowy Di Silva. Kiedy Earl Osborne przedstawił swoje dowody i poprosił o akt oskarżenia, sędzia Barnard zwrócił się do Jennifer:

- Czy chciałaby pani coś powiedzieć, panno Parker?

- Tak, Wysoki Sądzie. Chcę zaoszczędzić naszemu państwu kosztów procesu. Są pewne okoliczności, które nie zostały przedstawione, a które w zasadniczy sposób pomniejszają winę oskarżonego. Chciałabym, aby zamieniono akt oskarżenia przeciwko

mojemu klientowi na czyn zagrożony mniejszą karą.

- Wykluczone - powiedział Earl Osborne. - Nigdy się na to nie zgodzę.

Jennifer zwróciła się do sędziego Barnarda.

- Czy możemy to omówić w gabinecie pana sędziego?

- Dobrze. Ustalę datę procesu po wysłuchaniu tego, co ma do powiedzenia obrona.

Jennifer zwróciła się do Jacka Scanlona, który stał obok, nieco zdezorientowany.

- Możesz wracać do pracy - powiedziała. - Wpadnę później i powiem ci, co ustalono.

Skinął głową i powiedział cicho:

- Dziękuję, panno Parker.

Jennifer obserwowała, jak odwrócił się i opuścił salę sądową.

Jennifer, Earl Osborne, Robert Di Silva i sędzia Barnard siedzieli w gabinecie sędziego. Osborne mówił do Jennifer:

- Nie wiem, jak pani może prosić o zmianę aktu oskarżenia. Porwanie dla okupu to przestępstwo zagrożone najwyższą karą. Pani klient jest winny i zapłaci za to, co zrobił.

- Proszę nie wierzyć we wszystko co czyta pan w gazetach, Earl. Jack Scanlon nie ma nic wspólnego z tym żądaniem okupu.

- Kogo pani próbuje nabrać? Jeżeli nie dla okupu to, do diabła, w jakim celu to zrobił?

- Powiem panu - powiedziała Jennifer.

I opowiedziała im wszystko. O farmie i biciu, o tym, jak Jack Scanlon zakochał się w Evelyn i poślubił ją i w jakich okolicznościach stracił żonę i dziecko.

Słuchali w milczeniu, a kiedy Jennifer skończyła, Robert Di Silva powiedział:

- A więc Jack Scanlon porwał dziewczynkę, ponieważ przypominała mu dziecko, które by miał? A żona Scanlona umarła w czasie porodu?

- Tak jest. Panie sędzio - Jennifer zwróciła się do sędziego Barnarda - nie sądzę, żeby takich ludzi skazywał pan na śmierć.

Di Silva powiedział całkiem niespodziewanie:

- Zgadza się z panią.

Jennifer spojrzała na niego ze zdumieniem.

Di Silva wyciągał ze swojej teczki jakieś papiery.

- Proszę mi pozwolić zadać jedno pytanie - odezwał się. - Jaka jest pani opinia w sprawie o wydanie wyroku śmierci na tego człowieka? - I zaczął czytać z kartki: - Frank Jackson, trzydzieści osiem lat. Urodzony w Nob Hill, San Francisco. Ojciec był lekarzem, matka wielką damą z eleganckiego świata. W wieku czternastu lat Jackson wdał się w handel

narkotykami, uciekł z domu, został złapany w Haight - Ashbury i odstawiony do domu. Trzy miesiące później Jackson włamał się do gabinetu swojego ojca, zabrał wszystkie narkotyki, jakie tylko wpadły mu w ręce, i uciekł. Zatrzymany w Seattle za posiadanie narkotyków i handel nimi, został wysłany do zakładu poprawczego, który opuścił w wieku osiemnastu lat. Miesiąc później został zatrzymany pod zarzutem włamania z bronią w rękę i jej użycie z zamiarem zabicia...

Jennifer poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

- Co to ma wspólnego z Jackiem Scanlonem? Earl Osborne uśmiechnął się do niej lodowato.

- Jack Scanlon to Frank Jackson.

- Nie wierzę!

- Ta żółta kartka nadeszła z FBI godzinę temu - powiedział Di Silva. - Jackson to artysta i psychopatyczny kłamca. W ciągu ostatnich dziesięciu lat był aresztowany pod różnymi zarzutami: od stręczycielstwa, poprzez podpalenie, do włamania z bronią w rękę. Siedział w Joliet. Nigdy nie miał stałego źródła utrzymania i nigdy nie był żonaty. Pięć lat temu został zatrzymany przez FBI pod zarzutem porwania. Uprowadził trzyletnią , dziewczynkę i wysłał list z żądaniem okupu. Ciało dziewczynki :, znaleziono w lesie dwa miesiące później. Według sprawozdania coronera zwłoki były częściowo rozłożone, ale mimo to na całym ciele widoczne były ślady drobnych cięć nożem. Została zgwałcona i...

Jennifer zrobiło się nagle słabo.

- Jackson został uniewinniony z powodu uchybień proceduralnych, które wynalazł jakiś zwariowany adwokat. - Kiedy Di Silva to mówił, w jego głosie brzmiała pogarda. - Chce pani, żeby taki człowiek chodził swobodnie po ulicach?

- Czy mogę zobaczyć te dokumenty?

Di Silva w milczeniu wręczył jej Jennifer, a ona zaczęła czytać. Do żółtej kartki przypięte było jego zdjęcie. Wyglądał na nim młodziej i nie miał brody, ale nie można go było wziąć za kogoś innego. Jack Scanlon - Frank Jackson okłamał ją we wszystkim. Wymyślił swój życiorys, a Jennifer uwierzyła w każde jego słowo. Był taki przekonujący, że nawet nie pofatygowwała się, żeby poprosić Kena Bailey'a o sprawdzenie go.

- Czy mogę to zobaczyć? - zapytał sędzia Barnard. Jennifer wręczyła mu akta. Sędzia przejrzał je, a następnie spojrzał na Jennifer.

- No więc?

- Nie będę go bronić.

Di Silva unióś brwi z udawanym zdziwieniem.

- Zaskoczyła mnie pani, panno Parker. Zawsze pani twierdzi, że każdy ma prawo do obrony.

- Tak - odpowiedziała Jennifer. - Ale mam jedną zasadę: nigdy nie reprezentuję człowieka, który mnie okłamał. Pan Jackson będzie musiał poszukać innego adwokata.

Sędzia Barnard skinął głową.

- Sąd się tym zajmie.

- Panie sędzio - powiedział Osborne - chciałbym, aby jego zwolnienie za kaucją zostało natychmiast cofnięte. Uważam, że jest zbyt niebezpieczny, by przebywać na wolności.

Sędzia Barnard zwrócił się do Jennifer:

- Panno Parker, ponieważ w tej chwili jest pani jeszcze jego obrońcą, chcę zapytać, czy ma pani jakieś obiekcje.

- Nie, żadnych - powiedziała twardo Jennifer.

- Wystąpię o cofnięcie zwolnienia za kaucją - powiedział sędzia Barnard.

Tego wieczoru sędzia Lawrence Waldman zaprosił Jennifer na obiad wydany na cele dobroczynne. Czowała się wyczerpana popołudniowymi wydarzeniami i wolałaby iść do domu i spędzić ten czas spokojnie razem z Joshuą, ale nie chciała sprawić sędziemu zawodu. Przebrała się w biurze i spotkała się z Waldmanem w „Waldorf - Astoria”, gdzie miało się odbyć przyjęcie.

Była wielka gala, z udziałem kilku gwiazd hollywoodzkich, ale Jennifer nie była w stanie dobrze się bawić. Myślała gdzie indziej. Sędzia Waldman przyjrzał się jej uważnie.

- Czy stało się coś złego, Jennie? Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, po prostu kłopoty zawodowe, Lawrence. „Właściwie kim ja się zajmuję - zastanawiała się Jennifer - wyrzutkami społeczeństwa, gwałcicielami, zabójcami i porywaczami”. Pomyślała, że to idealny wieczór, żeby się upić. Kierownik sali podszedł do ich stolika i szepnął Jennifer na ucho:

- Przepraszam, panno Parker, telefon do pani.

Jennifer zaniepokoiła się. Jediną osobą, która wiedziała, gdzie można ją zastać, była pani Mackey. Jeżeli dzwoniła, to musiało stać się coś złego.

- Przepraszam - powiedziała Jennifer i ruszyła za kierownikiem sali do małego gabinetu obok holu.

Podniosła słuchawkę i usłyszała szept mężczyzny:

- Ty dziwko! Oszukałaś mnie.

Jennifer poczuła, że jej ciało ogarnął dreszcz.

- Kto mówi? - zapytała, chociaż wiedziała, kto to taki.
- Powiedziałaś glinom, żeby przyszli i zabrali mnie.
- To nieprawda! Ja...
- Obiecałaś, że mi pomożesz.
- Pomogę ci. Gdzie...
- Ty załgana świno! - Jego głos stał się tak cichy, że ledwo rozróżniała słowa. -

Zapłacisz mi za to. Och, ale mi za to zapłacisz!

- Poczekaj chwila...

Połączenie zostało przerwane. Jennifer stała przerażona. Musiało stać się coś strasznego. Frank Jackson alias Jack Scanlon w jakiś sposób wymknął się policji i oskarżał teraz Jennifer o to, co zaszło w sądzie. Skąd wiedział, gdzie jest? Musiał ją śledzić. Może czeka na nią na zewnątrz?

Jennifer próbowała opanować drżenie ciała, próbowała myśleć, dociec, co mogło zająć. Może zobaczył, że policja przyszła go aresztować, albo zatrzymali go, a on im uciekł. Nie było teraz istotne, jak to zrobił. Najważniejsze, że winił ją za to, co się stało. !

Frank Jackson zabił już wcześniej i mógł zabić ponownie. Jennifer weszła do toalety i pozostała tam, póki się nie uspokoiła. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, wróciła do stolika.

Sędzia Waldman spojrzał na jej twarz.

- Na Boga, co się stało?

Jennifer opowiedziała mu w skrócie. Był przerażony.

- Wielki Boże! Czy chcesz, żebym cię odwiózł do domu?

- Dam sobie radę, Lawrence. Pomóż mi tylko bezpiecznie dostać się do samochodu, a wszystko będzie dobrze.

Cicho wymknęli się z wielkiej sali balowej i sędzia Waldman poczekał z Jennifer, aż obsługa hotelu przyprowadziła jej samochód.

- Na pewno nie chcesz, żebym pojechał z tobą?

- Nie, dziękuję. Jestem pewna, że policja złapie go przed świtem. Niewielu jest ludzi podobnych do niego. Dobranoc.

Jennifer odjechała, upewniwszy się, że nikt jej nie śledzi. Kiedy była przekonana, że jest sama, skręciła na autostradę Long Island i skierowała się w stronę domu.

Patrzyła w lusterko wsteczne, sprawdzając samochody jadące z tyłu. Raz zjechała na bok, by przepuścić wszystkie pojazdy i dopiero kiedy droga była pusta, pojechała dalej. Czuła się teraz bezpieczniej. Nie upłynie dużo czasu, nim policja zatrzyma Franka Jacksona. O tej

porze na pewno już wszczęto akcję poszukiwawczą.

Jennifer skręciła na podjazd. Zarówno ogród, jak i dom, który powinien być jasno oświetlony, były ciemne. Siedziała w samochodzie, niedowierzająco gapiąc się na budynek, a jej umysł zaczął bić na alarm. Ogarnięta paniką, gwałtownie otworzyła drzwiczki samochodu i pobiegła do wejścia. Drzwi były lekko uchylone. Jennifer zatrzymała się na chwilę przejęta trwogą, a następnie weszła do środka. Natrafiła nogami na coś miękkiego i ciepłego i odruchowo wydała cichy okrzyk. Zapaliła światło. Na przesiąkniętym krwią dywanie leżał Max. Miał poderżnięte gardło.

- Joshua! - krzyknęła. - Pani Mackey.

Jennifer biegła z pokoju do pokoju, włączając wszystkie światła i nawołując, serce biło jej tak mocno, że aż było jej trudno oddychać. Wbiegła po schodach do sypialni Joshuy. Łóżeczko było rozgrzebane, ale puste.

Jennifer przeszukała każdy pokój, następnie zbiegła na dół. Była sparaliżowana strachem. Frank Jackson cały czas musiał wiedzieć, gdzie mieszka. Któregoś wieczoru musiał ją śledzić, kiedy wyszła z biura albo odjechała ze stacji benzynowej. Zabrał Joshuę i zabije go, aby ją ukarać.

Kiedy mijiała pralnię, usłyszała słabe drapanie dobiegające z komórki. Podeszła wolno do zamkniętych drzwi i otworzyła je. W środku było ciemno.

- Proszę, nie męcz mnie już - zaskamlał czyjś głos. Jennifer zapaliła światło. Na podłodze leżała pani Mackey, z rękami i nogami mocno związanymi drutem. Była półprzytomna.

Jennifer prędko uklękła obok niej.

- Pani Mackey!

Starsza kobieta spojrzała na Jennifer.

- Zabrał Joshuę - powiedziała i zaczęła szlochać. Najdelikatniej, jak tylko potrafiła, Jennifer odkręciła drut, który wrzynał się w ręce i nogi pani Mackey. Były poranione i krwawiły. Jennifer pomogła swojej gospodyni wstać. Pani Mackey histerycznie płakała.

- N... nie mogłam go powstrzymać. P... próbowałam. Chciałam...

W pokoju rozległ się dzwonek telefonu. Obie kobiety natychmiast zamilkły. Telefon zadzwonił jeszcze raz i jeszcze, i dźwięk ten miał w sobie coś złowieszczonego. Jennifer podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

- Chciałem się tylko upewnić, czy szczęśliwie dotarłaś do domu - powiedział jakiś głos.

- Gdzie jest mój syn?

- To piękny chłopiec, prawda? - zapytał głos.
- Błagam! Zrobię wszystko! Wszystko, czego zechcesz!
- Już pani wszystko zrobiła, pani Parker.
- Nie, proszę! - zaczęła bezradnie szlochać.
- Cieszę się, że słyszę pani płacz - szepnął głos. - Dostanie pani swojego syna z powrotem, pani Parker. Proszę przeczytać jutrzejsze gazety.

I połączenie zostało przerwane.

Jennifer stała, starając się nie zemdleć i próbując zebrać myśli. Frank Jackson powiedział: „To piękny chłopiec, prawda?” To mogło oznaczać, że Joshua jeszcze żyje. W przeciwnym razie powiedziałby, że był pięknym chłopcem. Wiedziała, że łapie go za słówka, próbując zachować zdrowy umysł. Musiała szybko coś przedsięwziąć.

Jej pierwszym odruchem było zadzwonić do Adama, poprosić go o pomoc. Przecież to jego syna porwano, jego syna chciano zabić. Ale wiedziała, że Adam nic nie może zrobić. Jest 235 mil stąd. Miała tylko dwie możliwości. Jedna - to zadzwonić do Roberta Di Silvy, powiedzieć mu, co się stało i poprosić, żeby wszczęto akcję poszukiwawczą i ujęto Franka Jacksona. „O Boże, to będzie trwało za długo!”

Drugim wyjściem było FBI. Byli szkoleni w sprawach porwań. Problem polegał na tym, że nie było to zwykłe porwanie. Nie było listu z żądaniem okupu, na podstawie którego mogliby natrafić na jego ślad, nie było szansy złapania Franka Jacksona w pułapkę i ocalenia życia Joshuy. FBI postępowało zgodnie z ustaloną procedurą. W tym wypadku niewiele by pomogli. Musiała szybko zdecydować, póki Joshua jeszcze żył. Robert Di Silva czy FBI. Nie było to łatwe.

Wzięła głęboki oddech i podjęła decyzję. Poszukała numeru telefonu. Jej palce tak się trzęsły, że musiała trzy razy wykręcić numer, nim wykręciła go prawidłowo.

Kiedy usłyszała w słuchawce głos mężczyzny, powiedziała:

- Chcę mówić z Michaeliem Morettim.

- Przykro mi, proszę pani. To restauracja „U Tony'ego”. Nie znam żadnego Mike'a Morettiego.

- Proszę zaczekać! - krzyknęła Jennifer. - Proszę nie odkładać słuchawki! - Wytężyła wszystkie siły, by zapanować nad swym głosem. - To pilna sprawa. Jestem... jestem jego znajomą. Nazywam się Jennifer Parker. Muszę z nim natychmiast mówić.

- Proszę posłuchać, mówiłem pani, że...

- Proszę podać moje nazwisko i numer telefonu.

Dała mu numer. Zaczęła się tak bardzo jąkać, że ledwo mogła mówić.

- P... p... proszę mu powiedzieć, że... Połączenie zostało przerwane.

Jennifer, sparaliżowana strachem, odłożyła słuchawkę. Znowu miała do wyboru dwie pierwsze możliwości. Albo jedną, albo drugą. Nie było żadnego powodu, by Robert Di Silva i FBI nie połączyli swych sił, szukając Joshuy. Jedyna rzecz, która doprowadzała ją do rozpacz, to świadomość, jak małe szansę mieli na znalezienie Franka Jacksona. Nie było czasu. „Proszę przeczytać jutrzejsze gazety”. W jego ostatnich słowach była taka stanowczość, że Jennifer była pewna, że nie zadzwoni do niej, nie da nikomu szansy natrafienia na swój trop. Musiała coś zrobić. Spróbuje najpierw z Di Silvą. Znowu sięgnęła po aparat. Zadzwonił akurat wtedy, gdy go dotknęła. Podskoczyła ze strachu.

- Tu Michael Moretti.

- Michael! Och, Michael! Proszę, pomóż mi! Ja... - zaczęła spazmatycznie szlochać. Upuściła aparat, szybko go podniosła, ogarnięta przerażeniem, że mógł odłożyć słuchawkę. - Michael?

- Słucham. - Jego głos był spokojny. - Opanuj się i powiedz, co się stało.

- Ja... ja... - Zrobiła kilka szybkich, głębokich oddechów, próbując powstrzymać drżenie. - Chodzi o mojego syna, Joshuę. Został... został porwany. Chcą go... zabić.

- Czy wiesz, kto go uprowadził?

- T... tak. Nazywa się F... Frank Jackson. - Serce waliło jej jak młot.

- Powiedz mi, co się stało. - Jego głos był spokojny i pewny siebie.

Jennifer zmusiła się, żeby mówić powoli, przedstawiając kolejność wydarzeń.

- Czy potrafisz opisać wygląd Jacksona? I Jennifer wywołała z pamięci jego obraz. Opisała go słowami a Michael powiedział:

- Świetnie się spisujesz. Czy wiesz, gdzie odsiadywał wyrok?

- W Joliet. Powiedział mi, że zamierza zabić...

- Gdzie była ta stacja benzynowa, na której pracował? Dała mu adres.
- Czy znasz nazwę motelu, w którym się zatrzymał?
- Tak... nie. - Nie mogła sobie przypomnieć. Zmuszając się do skupienia, wbiła paznokcie w czoło, aż zaczęło krwawić. Czekał cierpliwie.

Nagle sobie przypomniała.

- „Travel Well Motel”. Przy Dziesiątej Alei. Ale jestem pewna, że go tam już nie ma.
- Zobaczymy.
- Chcę, żeby mój syn wrócił żywy.

Michael Moretti nie odpowiedział i Jennifer zrozumiała, dlaczego.

- A jeżeli znajdziemy Jacksona...?

Jennifer wzięła głęboki oddech i wzdrygnęła się.

- Zabijcie go!
- Czekaj na mój telefon.

Połączenie zostało przerwane. Jennifer odłożyła słuchawkę. Poczula się dziwnie spokojna, jakby zrealizowała jakiś plan. Nie miała powodu, aby darzyć zaufaniem Michaela Morettiego, tak jak to uczyniła. Z logicznego punktu widzenia było to szalone i nie usprawiedliwione działanie, ale logika nic tu nie miała do powiedzenia. W grę wchodziło życie jej syna. Rozmyślnie wysłała zabójcę, by złapał drugiego zabójcę. Jeżeli to zawiedzie... Pomyślała o małej dziewczynce, która została zgwałcona.

Jennifer poszła, by zaopiekować się panią Mackey. Opatrzyła jej rany i zadrapania i położyła ją do łóżka. Zaproponowała jej proszki uspokajające, ale pani Mackey odmówiła.

- Nie mogę spać - zapłakała. - Och, pani Parker! On dał temu dziecku proszki nasenne.

Jennifer patrzyła na nią z przerażeniem.

Michael Moretti siedział przy swym biurku, spoglądając na siedmiu mężczyzn, których właśnie wezwał. Dał już instrukcje pierwszej trójce.

Zwrócił się teraz do Thomasa Colfaxesa.

- Tom, chcę, żebyś wykorzystał swoje koneksje. Jedź i spotkaj się z kapitanem Notarasem. Poproś go, żeby wyciągnął wszystkie informacje, jakie tylko posiadają, o Franku Jacksonie.

- Mike, marnujemy dobry kontakt. Nie uważam, że...
- Nie dyskutuj. Zrób, o co cię proszę.
- Dobrze - sztywno odparł Colfax. Michael zwrócił się do Nicka Vito.
- Sprawdź stację benzynową, na której pracował Jackson. Dowiedz się, czy chodził do

okolicznych barów, czy miał jakichś znajomych.

Do Salvatore Fiore i Josepha Colleli powiedział:

- Jedźcie do motelu Jacksona. Najprawdopodobniej już go opuścił, ale dowiedźcie się, czy przyjaźnił się z kimś. Chcę wiedzieć, kim są jego kumple. - Spojrzał na zegarek. - Jest północ. Daję wam osiem godzin na odnalezienie Jacksona.

Mężczyźni ruszyli w stronę drzwi. Michael zawołał za nimi:

- Nie chcę, żeby cokolwiek stało się dzieciakowi. Informujcie mnie na bieżąco. Będę czekał na wiadomości.

Michael Moretti obserwował ich, jak wychodzili, a następnie wziął jeden z aparatów telefonicznych, stojących na biurku, i zaczął wykręcać numer.

1.00

Pokój w motelu nie był duży, ale bardzo schludny. Frank Jackson lubił czystość. Uważał, że to część dobrego wychowania.

Żaluzje były opuszczone i zamknięte, tak żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka. Drzwi były zamknięte na klucz i na łańcuch i dodatkowo zastawione krzesłem. Frank Jackson podszedł do łóżka, na którym leżał Joshua. Zmusił go do połknięcia trzech tabletek nasennych i chłopiec wciąż mocno spał. Mimo to - Jackson chełpił się, że jest człowiekiem, który nie ryzykuje - ręce i nogi Joshuy były mocno skrupowane takim samym drutem, jakiego użył do związania w domu starszej pani. Jackson spojrział na śpiącego chłopca i ogarnęło go uczucie smutku. Dlaczego, w imię Boga, ludzie zmuszali go do robienia tych okropnych rzeczy? Był łagodnym, spokojnym człowiekiem, ale kiedy wszyscy są przeciwko tobie, kiedy każdy cię atakuje, musisz się bronić. Kłopot polegał na tym, że zawsze wszyscy go nie doceniali. Nie zdawali sobie sprawy z tego, aż było za późno, bo był sprytniejszy od nich.

Wiedział, że policja zamierza po niego przyjść pół godziny przed jej przybyciem. Właśnie napełniał bak w chevroletcie ca - maro, kiedy zobaczył, jak jego szef wchodzi do biura, by odebrać telefon. Jackson nie słyszał rozmowy, ale nie było mu to potrzebne. Zauważył spojrzenie, które ukradkiem rzucał w jego stronę szef, szepcząc do słuchawki. Frank Jackson natychmiast się zorientował, co zaszło. Policja chciała go zatrzymać. Ta dziwka Parker oszukała go, powiedziała policji, żeby go zamknęli. Była jak cała reszta. Jego szef wciąż jeszcze rozmawiał przez telefon, kiedy Frank Jackson porwał swoją kurtkę i zniknął. Potrzebował niecałych trzech minut, by znaleźć na ulicy nie zamknięty samochód i uruchomić go, i po chwili jechał w kierunku domu Jennifer Parker.

Jackson naprawdę podziwiał swoją inteligencję. Kto inny pomyślałby, żeby ją śledzić

i sprawdzić, gdzie mieszka? A on zrobił to tego samego dnia, kiedy został wypuszczony za kaucją. Zaparkował samochód przed jej domem po przeciwnej stronie ulicy i zdziwił się, gdy Jennifer powitał przy bramie mały chłopiec. Obserwował ich i już wtedy wyczuł, że chłopiec może mu się na coś przydać. Był nieoczekiwaną premią, tym, co poeci nazywają zrzędzeniem losu.

Jackson uśmiechnął się do siebie na wspomnienie, jak przerażona była ta stara dziwka gospodyni. Z przyjemnością okręcał jej ręce i nogi drutem. Ależ nie, wcale nie z przyjemnością. Jest wobec siebie sprawiedliwy. To była konieczność. Gospodyni myślała, że ją chce zgwałcić. Tymczasem napawała go odrazą. Tak jak wszystkie kobiety, z wyjątkiem jego najdroższej matki. Kobiety są grzeszne, nieczyste, nawet ta dziwka, jego siostra. Jedynie dzieci są niewinne. Pomyślał o małej dziewczynce, którą poprzednio porwał. Była śliczna, z długimi, jasnymi, kręconymi włosami, ale musiała zapłacić za grzechy swojej matki, która wyrzuciła Jacksona z pracy. Ludzie pozwalają ci uczciwie zarabiać na życie, a potem karzą cię, gdy złamiesz te ich głupie prawa. Mężczyźni są źli, ale kobiety jeszcze gorsze. Świnie, które chcą zbrukać świątynię twego ciała. Jak ta kelnerka, Clara, którą chciał zabrać do Kanady. Była w nim zakochana. Uważała go za dżentelmena, ponieważ nigdy jej nie tknął. Gdyby tylko знаła prawdę! Sama myśl o kochaniu się z nią przyprawiała go o mdłości. Ale miał zamiar zabrać ją ze sobą w podróż, ponieważ policja będzie szukała samotnego mężczyzny. Zgoli brodę i ostrzyże włosy, a kiedy przekroczą granicę, pozbędzie się Clary. Sprawia mu to wielką przyjemność.

Frank Jackson podszedł do zniszczonej tekturowej walizki, stojącej na stelażu na bagaż, otworzył ją i wyjął komplet narzędzi. Wyciągnął młotek i gwoździe i położył je na szafce nocnej, znajdującej się obok śpiącego chłopca. Potem wszedł do łazienki i wyciągnął z wanny dwugalonowy kanister na benzynę. Przyniósł go do sypialni i postawił na podłodze. Joshua zginie w płomieniach. Ale będzie to dopiero po ukrzyżowaniu.

2.00

Przez Nowy Jork i przez cały kraj rozchodziła się wieść. Na początku w barach i hotelikach. Ostrożne słówko tu i tam, szepnięte na właściwe ucho. Zaczęło się jak mały strumyk, po czym rozlało po tanich restauracjach, głośnych dyskotekach i całodobowych kioskach z gazetami. Informacja była przekazywana przez taksówkarzy, kierowców ciężarówek i dziewczęta pracujące nocami na ulicy. Przypominało to kamyk wrzucony do głębokiego, ciemnego jeziora, który powoduje coraz szersze rozchodzenie się fal na wodzie. W ciągu paru godzin wszyscy w mieście wiedzieli, że Michael Moretti potrzebował - i to

szybko - pewnych informacji. Niewielu ludzi miało szansę oddać przysługę Michaelowi Morettiemu. Była więc wyjątkowa okazja, a Moretti był człowiekiem, który umiał okazywać wdzięczność. Rozeszła się wieść, że szuka chudego blondyna', podobnego z wyglądu do Jezusa. Ludzie zaczęli grzebać w zakamarkach pamięci.

2.15

Joshua Adam Parker poruszył się przez sen i Frank Jackson podszedł do niego. Nie zdjął jeszcze chłopcu piżamy. Jackson sprawdził, czy młotek i gwoździe leżą na miejscu, gotowe do użycia. W tych rzeczach należało być drobiazgowym. Zanim podpali pokój, miał zamiar przybić gwoździami do podłogi ręce i nogi chłopca. Mógł to zrobić kiedy chłopiec spał, ale to nie byłoby właściwe. Istotne było, by chłopiec nie spał i widział, co się dzieje, żeby zdawał sobie sprawę z tego, że jest karany za grzechy swej matki. Frank Jackson spojrzął na zegarek. Clara miała przyjechać po niego do motelu o 7.30. Zostało mu pięć godzin i piętnaście minut. Masa czasu.

Frank Jackson usiadł i zaczął przypatrywać się Joshui, raz nawet czule pogłaskał go po kręconych włosach.

3.00

Zaczęły nadchodzić pierwsze informacje.

Na biurku Michaela Morettiego były dwa aparaty i wydawało się, że gdy podnosił słuchawkę jednego, natychmiast zaczynał dzwonić drugi.

- Mam coś, Mike. Parę lat temu Jackson pracował w Kansas City z „Dużym Joe” Zieglerem i Melem Cohenem.

- Gwiżdżę na to, co robił parę lat temu. Gdzie jest teraz?

- „Duży Joe” mówi, że nie słyszał o nim od sześciu miesięcy. Spróbuję dotrzeć do Mela Cohena.

- Zrób to!

Następny telefon nie dał lepszych wyników.

- Poszedłem do pokoju Jacksona w motelu. Wymeldował się. Miał brązową walizkę i dwugalonowy kanister, w którym mogła być benzyna. Recepcjonista nie ma pojęcia, dokąd pojechał.

- A co w okolicznych barach?

- Jeden barman rozpoznał jego rysopis, ale powiedział, że nie był stałym gościem.

Przyszedł dwa czy trzy razy po pracy.

- Sam?

- Zgodnie z tym, co mówi barman, tak. Nie interesował się tutejszymi dziewczynkami.

- Sprawdź bary dla pedałów.

Telefon zadzwonił ponownie niemal natychmiast, jak Michael odłożył słuchawkę. Dzwonił Salvatore Fiore.

- Colfax rozmawiał z kapitanem Notarasem. Urzędnik policji ma zapisane w swym rejestrze przedmiotów należących do Franka Jacksona dane o kwicie zastawnym. Podał mi numer kwitu i nazwę lombardu. Jego właścicielem jest Grek, Gus Stavros, który trudni się paserstwem.

- Sprawdziłeś go?

- Nie możemy go sprawdzić aż do rana, Mike. Zakład jest zamknięty. Będę...

- Nie możemy czekać do rana - wybuchął Michael Moretti. - Natychmiast zabieraj tam swój tyłek!

Połączono rozmowę z Joliet. Michaelowi trudno było wszystko zrozumieć, bo jego rozmówca miał laryngotomię i jego głos brzmiał, jakby wydobywał się z dna studni.

- Jackson siedział w jednej celi z facetem o nazwisku Mickey Nicola. Byli z sobą zaprzyjaźnieni.

- Czy wiesz, gdzie teraz może być Nicola?

- Jedyne, co słyszałem, to to, że wrócił gdzieś na Wschód. Jest przyjacielem siostry Jacksona. Nie mamy jej adresu.

- Za co zamknęli Nicolę?

- Przyskrzynili go za...

3.30

Lombard znajdował się w hiszpańskiej części Harlemu, na rogu Drugiej Alei i 124. Ulicy. Był to brzydki dwupiętrowy budynek, ze sklepem na dole i mieszkaniem na górze.

Gusa Stavrosa obudziło światło latarki, padające mu prosto w twarz. Instynktownie chciał sięgnąć do przycisku alarmu, znajdującego się obok łóżka.

- Nie robiłbym tego - powiedział jakiś głos.

Światło latarki przesunęło się i Gus Stavros usiadł na łóżku. Patrzył na dwóch mężczyzn, stojących po obu stronach, i wiedział, że dobrze mu poradzono. Olbrzym i karzeł. Stavros poczuł zbliżający się atak astmy.

- Idźcie na dół i weźcie wszystko, co chcecie - wysapał. - Nic wam nie zrobię.

- Wstawaj. Powoli - powiedział olbrzym, Joseph Colella. Gus Stavros podniósł się z

łóżka, uważając, by nie czynić żadnych gwałtownych ruchów.

Mały człowieczek, Salvatore Fiore, podsunął mu pod nos kawałek papieru.

- To jest numer kwitu zastawnego. Chcemy zobaczyć towar.

- Tak jest, proszę pana.

Gus Stavros zszedł na dół, a za nim obaj mężczyźni. Zaledwie sześć miesięcy temu Stavros zainstalował wymyślny system alarmowy. Wszędzie były rozmieszczone dzwonki, które mógł przycisnąć i tajemne miejsca w podłodze, na które wystarczyło stąpnąć, żeby nadeszła pomoc. Jednak Grek nie zrobił nic takiego, ponieważ instynkt podpowiadał mu, że nim ktokolwiek zdoła nadejść z odsieczą, byłby trupem. Wiedział, że jego jedyna szansa tkwiła w oddaniu mężczyznom tego, czego chcieli. Modlił się jedynie, żeby nie umarł na skutek ataku przeklętej astmy, zanim się ich pozbędzie.

Włączył światło na dole i wszyscy przeszli do lombardu. Gus Stavros nie miał pojęcia, co się dzieje, ale wiedział, że może być o wiele gorzej. Gdyby ci ludzie po prostu przyszli go okraść, mogli oczyścić lombard i dawno odejść. Wyglądało na to, że interesuje ich tylko jedna rzecz. Zastanawiał się, jak sobie poradzili z wymyślnym systemem alarmowym w drzwiach i oknach, ale postanowił ich o to nie pytać.

- Ruszaj swój tyłek - powiedział Joseph Colella.

Gus jeszcze raz spojrzął na numer kwitu i zaczął grzebać w swoim rejestrze. Znalazł to, czego szukał, pokiwał głową z zadowoleniem, podszedł do wielkiego sejfu i otworzył go. Dwaj mężczyźni stali tuż za nim. Stavros szukał na półkach, aż znalazł małą kopertę. Odwracając się do obu mężczyzn, otworzył ją i wyjął duży pierścionek z brylantem, który migotał w blasku lampy.

- To właśnie to - powiedział Gus Stavros. - Dałem mu za to pięćset dolarów.

Pierścionek był wart przynajmniej dwadzieścia tysięcy.

- Komu dałeś pięćset dolarów? - zapytał mały Salvatore Fiore.

Gus Stavros wzruszył ramionami.

- Przychodzi tutaj dziennie stu klientów. Na kopercie widnieje nazwisko John Doe.

Fiore nie wiadomo skąd wyciągnął ołowianą rurkę i bezlitośnie walnął nią Gusa Stavrosa w nos. Grek upadł na podłogę, krzycząc z bólu i zalewając się własną krwią.

- Powiedziałeś, że kto przyniósł? - zapytał cicho Fiore. Próbując odzyskać oddech, Gus Stavros wysapał:

- Nie wiem, jak się nazywa. Nie powiedział mi. Przysięgam na Boga.

- Jak wyglądał?

Krew ściekała tak prędko do gardła Stavrosa, że ledwo mógł mówić. Zaczął tracić

przytomność, ale wiedział, że jeśli zemdleje zanim wszystko powie, nigdy się już nie ocknie.

- Pozwólcie mi pomyśleć - jęknął.

Stavros próbował się skupić, ale nie było to łatwe, tak mu się kręciło w głowie z bólu. Próbował sobie przypomnieć wchodzącego klienta, wyciągającego pierścionek z pudełka i pokazującego mu go.

Zaczął sobie coś kojarzyć.

- Był... był blondynem... bardzo szczupłym. - Zachłysnął się krwią. - Pomóżcie mi wstać.

Salvatore Fiore kopnął go w żebra.

- Mów dalej.

- Miał brodę, jasną brodę...

- Powiedz nam o pierścionku. Skąd pochodzi?

Mimo ogromnego bólu, Gus Stavros zawahał się. Jeśli powie, wyzionie ducha za jakiś czas. Jeżeli nie powie, umrze teraz.

Zdecydował się odwlec jak najdalej moment śmierci.

- Pochodzi z napadu na „Tiffany'ego”.

- Kto zrobił ten skok z blondynem?

Gusowi Stavrosowi było coraz trudniej oddychać.

- Mickey Nicola.

- Gdzie możemy znaleźć Nicolę?

- Nie wiem. On... on mieszka razem z jakąś dziewczyną w Brooklynie.

Fiore podniósł nogę i trącił nią Stavrosa w nos. Gus Stavros zawył z bólu.

- Jak się nazywa ta dziwka?

- Jackson. Blanche Jackson.

4.30

Dom stał w głębi ulicy, otoczony małym, białym płotkiem, za którym był starannie utrzymany ogródek. Salvatore Fiore i Joseph Colella przeszli przez środek klombu i skierowali się ku kuchennym drzwiom. Otworzyli je w niecałe pięć sekund. Weszli do środka i ruszyli w stronę schodków. Z sypialni na górze dobiegało skrzypienie łóżka i głosy kobiety i mężczyzny. Dwaj mężczyźni wyciągnęli broń i zaczęli cicho wchodzić po stopniach.

Kobieta mówiła:

- Och, Chryste! Jesteś cudowny, Mickey! Mocniej, kochany!

- Jest cały twój, skarbie, caluteńki. Jeszcze trochę.

- Och, dobrze - jęknęła kobieta. - Niech to będzie jedno... Spojrzała na pokój i krzyknęła. Mężczyzna zrobił obrót. Zaczął sięgać pod poduszkę, ale się rozmyślił.

- W porządku - powiedział. - Portfel jest w kieszeni spodni, wiszą na krześle. Weźcie go i wynoście się do diabła. Jestem zajęty.

- Nie chcemy twojego portfela, Mickey - powiedział Salvatore Fiore.

Złość na twarzy Mickeya Nicoli zmieniła się w coś innego. Usiadł na łóżku, poruszając się ostrożnie, próbując ocenić sytuację. Kobieta podciągnęła prześcieradło pod samą brodę, na jej twarzy malował się jednocześnie gniew i strach.

Nicola ostrożnie opuścił nogi na podłogę, siedząc na samym brzegu łóżka, gotów w każdej chwili skoczyć. Jego członek zrobił się zupełnie mały. Obserwował obu mężczyzn, czekając na okazję.

- Czego chcecie?

- Pracujesz z Frankiem Jacksonem?

- Odpieprz się.

Joseph Colella zwrócił się do swojego towarzysza:

- Odstrzel mu jaja.

Salvatore Fiore uniósł pistolet i wycelował.

- Chwileczkę! - zawołał Mickey Nicola. - Chłopaki, chyba oszaleliście! - Spojrzał w oczy małego człowieczka i dodał szybko: - Tak, pracowałem z Jacksonem.

- Mickey! - krzyknęła ze złością kobieta.

- Zamknij się - zwrócił się do niej, wściekły. - Myślisz, że chcę zostać pieprzonym eunuchem?

- Jesteś siostrą Jacksona, tak? Jej twarz ogarnęła furia.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

Fiore uniósł broń i podszedł bliżej do łóżka.

- Macie dwie sekundy, by zacząć mówić, albo oboje rozbryźnicie się na ścianie.

W jego głosie było coś, co ją zmroziło. Uniósł pistolet i cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Powiedz im wszystko, co chcą wiedzieć - krzyknął Mickey Nicola.

Pistolet dotknął piersi kobiety.

- Nie! Tak! Frank Jackson jest moim bratem.

- Gdzie możemy go znaleźć?

- Nie wiem. Nie widuję się z nim. Przysięgam na Boga, że nie wiem. Ja...

Jego palec dotknął spustu.

- Clara! - krzyknęła. - Clara powinna wiedzieć! Spytajcie Clare!
- Kto to jest Clara? - zapytał Joseph Colella.
- To... to kelnerka, znajoma Franka.
- Gdzie możemy ją znaleźć?

Tym razem nie wahała się. Słowa wytrysnęły jak lawa.

- Pracuje w barze „The Shakers” w Queens. - Zaczęła dygotać na całym ciele.

Salvatore Fiore popatrzył na nich i powiedział uprzejmie: - Wracajcie do swojego zajęcia, życzę wam miłego dnia. I obydwaj mężczyźni zniknęli.

5.30

Marzenie życia Clary Thomas (z domu Thomachevsky) miało się wreszcie spełnić. Weszło sobie nuciła, pakując do tekturowej walizki ubrania, które będą jej potrzebne w Kanadzie. Już przedtem wyjeżdżała ze swymi znajomymi, ale tym razem będzie inaczej. Tym razem będzie to podróż poślubna. Frank Jackson różnił się od wszystkich facetów, których do tej pory znała. Mężczyźni, którzy przychodzili do baru, obłapiający ją i szczypiący w pośladki, byli po prostu zwierzętami. Frank Jackson był inny. Był prawdziwym dżentelmenem. Clara przerwała pakowanie, aby zastanowić się nad słowem „dżentelmen”. Nigdy o nim nie myślała w ten sposób, ale Frank Jackson był właśnie taki. Spotkała go tylko cztery razy w życiu, ale wiedziała, że go kocha. Mogła sądzić, że od samego początku ją polubił, bo zawsze siadał w tej części sali, którą obsługiwała. A za drugim razem po zamknięciu baru odprowadził ją do domu.

„Coś jeszcze we mnie musi być - pomyślała Clara z zadowoleniem - jeżeli podobam się tak przystojnemu facetowi, jak on”. Przerwała pakowanie, aby przejrzeć się w lustrze w łazience. Może była trochę zbyt tęga, a jej włosy były o parę odcieni za rude, ale dieta pomoże jej zrzucić zbędne kilogramy, a kiedy następnym razem będzie farbować włosy, zwróci większą uwagę na kolor farby. Razem wzięwszy, była zadowolona z tego, co ujrzała. „Stara łajdaczka jeszcze się dobrze trzyma” - powiedziała sobie. Wiedziała, że Frank Jackson chciał z nią iść do łóżka, chociaż nigdy jej nawet nie tknął. Był naprawdę wyjątkowy. Wyczuwało się w nim niemal - Clara zmarszczyła czoło, próbując znaleźć odpowiednie słowo - duchowy charakter. Clara została wychowana na porządną katoliczkę i wiedziała, że to świętokradztwo tak myśleć, ale Frank Jackson przypominał jej nieco Jezusa. Zastanawiała się, jaki też Frank będzie w łóżku. Cóż, jeśli będzie nieśmiały, pokaże mu sztuczkę czy dwie. Obiecał, że się pobiorą, jak tylko dotrą do Kanady. Jej sen się spełni. Clara spojrzała na zegarek i pomyślała, że lepiej będzie, jak się pospieszy. Obiecała Frankowi, że podjedzie po

niego do motelu o siódmej trzydzięci.

Ujrzała ich w lustrze, gdy tylko weszli do sypialni. Pojawili się, nie wiadomo skąd. Olbrzym i karzełek. Clara obserwowała, jak zbliżali się do niej.

Mały człowieczek spojrział na walizkę.

- Dokąd się wybierasz, Claro?

- Nie twój interes. Bierzcie, co chcecie, i wynoście się stąd. Jeżeli byłoby tu coś warte więcej niż dziesięć dolców zjadłabym to.

- Mam coś, co mogłabyś zjeść - powiedział duży mężczyzna.

- Spływaj, alfonsie - wysapała Clara. - Jeżeli chcecie mnie zgwałcić, to wiedźcie, że właśnie lecę trypra.

- Nic ci nie zrobimy - powiedział Salvatore Fiore. - Chcemy jedynie wiedzieć, gdzie jest Frank Jackson.

Zauważył zmianę, jaka zaszła na jej twarzy. Jej ciało nagle zeszywniało, a twarz stała się maską.

- Frank Jackson? - W jej głosie brzmiało głębokie zaintrygowanie. - Nie znam żadnego Franka Jacksona.

Salvatore Fiore wyciągnął z kieszeni ołowianą rurkę i zrobił krok w jej stronę.

- Nie przestraszysz mnie - powiedziała Clara. - Nie...

Ręka smagneła ją w twarz i Clara w oślepiającym bólu poczuła, jak zęby wypełniły jej usta, niczym małe kawałki żwiru. Otworzyła usta, by coś powiedzieć i na zewnątrz chlusnęła krew. Olbrzym znowu podniósł rurkę.

- Proszę, nie! - wymamrotała.

- Gdzie możemy znaleźć tego Franka Jacksona? - grzecznie zapytał Joseph Colella.

- Frank jest... jest...

Clara wyobraziła sobie swego kochanego, delikatnego przyjaciela w rękach tych dwóch potworów. Chcieli go skrzywdzić, a instynktownie czuła, że Frank nie zniesie bólu. Był zbyt wrażliwy. Gdyby tylko znalazła sposób uratowania go, byłby jej wdzięczny do końca życia.

- Nie wiem.

Salvatore Fiore zbliżył się do Clary i dziewczyna jednocześnie z rozdzierającym bólem usłyszała trzask łamanej nogi. Upadła na podłogę, nie mogąc krzyknąć z uwagi na krew wypełniającą usta.

Joseph Colella stał nad nią i mówił uprzejmie:

- Chyba nas źle zrozumiałaś. Nie mamy zamiaru cię zabić. Będziemy tylko po kolei

łamać ci wszystkie kości. Kiedy skończymy, będziesz przypominać wór śmieci, który się wyrzuca na wysypisko. Nie wierzysz mi?

Clara mu wierzyła. Frank Jackson nigdy nie będzie chciał na nią spojrzeć. Straciła go przez tych dwóch łajdaków. Nie spełnią się jej marzenia, nie będzie ślubu. Mały człowieczek z ołowianą rurką znów się do niej zbliżał.

- Nie - jęknęła Clara. - Proszę, nie. Frank jest w... „Brook - side Motel” na Prospect Avenue. Jest...

Zemdlała.

Joseph Colella podszedł do telefonu i wykręcił numer.

- Tak? - usłyszał w słuchawce.

- „Brookside Motel” przy Prospect Avenue. Czy mamy go załatwić?

- Nie. Spotkamy się tam. Postarajcie się, żeby nam nie umknął.

- Nigdzie się nie ruszy.

6.30

Chłopiec się poruszył. Mężczyzna obserwował, jak Joshua otworzył oczy. Chłopiec spojrzał na druty na rękach i nogach, po czym uniósł wzrok i ujrawszy Franka Jacksona, zaczął sobie wszystko przypominać.

To był człowiek, który wmusił w niego tabletki i porwał go. Joshua wiedział wszystko o porwaniach z telewizji. Przyjedzie policja i go uratuje, a tego człowieka wsadzi do więzienia. Joshua postanowił nie okazywać strachu, ponieważ chciał opowiedzieć swej matce, jak dzielnie się zachowywał.

- Moja mama przyjedzie tu z pieniędzmi - zapewnił mężczyznę - więc nie musisz mi robić krzywdy.

Frank Jackson podszedł do łóżka i uśmiechnął się do chłopca. Był naprawdę pięknym dzieckiem. Wolałby zamiast Clary zabrać z sobą do Kanady chłopca. Niechętnie spojrzał na zegarek. Była już pora zrobić ostatnie przygotowania.

Chłopiec wyciągnął skrępowane ręce. Krew już zakrzepła.

- Proszę, żeby pan to zdjął - powiedział grzecznie. - Obiecuję, że nie ucieknę.

Frankowi Jacksonowi podobało się, że chłopiec powiedział „proszę”. To świadczyło o dobrym wychowaniu. W dzisiejszych czasach dzieciaki na ogół nie były dobrze wychowane. Biegały po ulicach jak dzikie zwierzęta.

Frank Jackson poszedł do łazienki, gdzie z powrotem odstawił kanister z benzyną, żeby nie poplamzić dywanu w pokoju. Szczycił się takimi drobiazgami. Przyniósł kanister do

sypialni i postawił go w pobliżu łóżka. Podeszedł do chłopca, podniósł związane dziecko i ułożył je na podłodze. Następnie wziął młotek i dwa wielkie gwoździe i uklęknął obok chłopca.

Joshua Parker obserwował go szeroko otwartymi oczyma.

- Co pan będzie robił?

- Coś, co ci przyniesie prawdziwe szczęście. Czy słyszałeś kiedyś o Jezusie Chrystusie? - Joshua skinął głową. - Czy wiesz, jak umarł?

- Na krzyżu.

- Bardzo dobrze. Jesteś mądrym chłopcem. Nie mamy tutaj krzyża, ale zrobimy to najlepiej, jak to tylko możliwe.

Oczy chłopca zaczęły przepełniać się strachem.

- Nie masz się czego bać - powiedział Frank Jackson. - Jezus się nie bał. Nie wolno ci się bać.

- Nie chcę być Jezusem - szepnął Joshua. - Chcę wrócić do domu.

- Wrócisz do domu - przyrzekł mu Frank Jackson. - Wyślę cię do domu Jezusa.

Frank Jackson wyjął z tylnej kieszeni spodni chusteczkę i zbliżył ją do ust Joshuy. Chłopiec zacisnął zęby.

- Nie denerwuj mnie.

Frank Jackson kciukiem i palcem wskazującym ścisnął policzki Joshuy i zmusił go do otwarcia buzi. Wepchnął chusteczkę do ust Joshuy i - aby jej nie wypluł - przykleił ją kawałkiem taśmy. Joshua naprężył mięśnie, by przerwać druty, krępujące mu ręce i nogi, więc rany zaczęły znowu krwawić. Frank Jackson przesunął dłoń po świeżej krwi.

- Krew Chrystusa - powiedział cicho.

Ujął jedną rękę chłopca, wyprostował ją i przycisnął do podłogi. Następnie wziął gwoździe. Trzymając gwoździe jedną ręką tuż przy dłoni chłopca, drugą ujął młotek. Wbił gwoździe w podłogę przez dłoń chłopca.

7.15

Czarna limuzyna Michaela Morettiego ugrzęzła na autostradzie Brooklyn - Queens w porannym korku, spowodowanym przez ciężarówkę z owocami, która przewróciła się, rozsypując towar na jezdnię. Wszystkie samochody stały.

- Zjedź na drugą stronę szosy i wymiń je - rozkazał Michael Moretti Nickowi Vito.

- Mike, z przodu jest wóz policyjny.

- Idź i powiedz kierującemu akcją, że chcę z nim pogadać.

- Tak jest, szefie.

Nick Vito wysiadł z samochodu i pospieszył w stronę radiowożu. Po chwili wrócił z sierżantem policji. Michael Moretti otworzył okno samochodu i wysunął rękę. Trzymał w niej pięć banknotów studolarowych.

- Panie władzo, spieszę się.

Po dwóch minutach samochód policyjny, błyskając czerwonym światłem, torował drogę limuzynie, omijając miejsce wypadku. Kiedy wyjechali na pustą drogę, sierżant wysiadł z samochodu policyjnego i podszedł do limuzyny.

- Czy życzy pan sobie dalszej eskorty, panie Moretti?

- Nie, dziękuję - powiedział Michael. - Proszę do mnie przyjść w poniedziałek. - A do Nicka Vito: - Ruszaj!

7.30

Neon od frontu głosił: BROOKSIDE MOTEL Pokoje jednoosobowe i dwuosobowe Stawki dzienne i tygodniowe Individuales - Dobles Precios Especiales Joseph Colella i Salvatore Fiore siedzieli w swoim samochodzie naprzeciwko domku nr 7. Parę minut temu słyszeli ze środka głucho uderzenie, co świadczyło o tym, że Frank Jackson wciąż tam był.

„Powinniśmy skoczyć i uciszyć go” - pomyślał Fiore. - Ale mieli ściśle instrukcje Michaela Morettiego.

Zaparkowali auto i czekali.

7.45

W domku nr 7 Frank Jackson robił ostatnie przygotowania. Chłopiec go rozczarował. Zemdlał. Jackson chciał poczekać, aż chłopiec odzyska przytomność, zanim wbije następne gwoździe, ale robiło się późno. Podniósł kanister z benzyną i spryskał nią ciało chłopca, uważając, by nie polać jego ślicznej buzi. Wyobraził sobie ciało chłopca pod pizamką i pożałował, że nie ma czasu, żeby... ale nie, to byłaby głupota. Clara będzie tu lada moment. Musi być gotów do wyjścia, jak się tylko zjawi. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę zapalek i położył je porządnie obok kanistra z benzyną, młotka i gwoździ. Ludzie nie wiedzieli, jak ważny jest ład.

Frank Jackson znowu spojrzął na zegarek i zastanowił się, co też zatrzymało Clare.

7.50

Pod domek nr 7 zajechała limuzyna i z samochodu wyskoczył Michael Moretti. Dwaj mężczyźni z sedana pospiesznie przyłączyli się do niego.

Joseph Colella wskazał domek nr 7.

- Jest tam.

- A co z dzieciakiem?

Potężny mężczyzna wrzucił ramionami.

- Nie wiem. Jackson zasunął zasłony.

- Czy możemy teraz iść i załatwić go? - spytał Salvatore Fiore.

- Zaczekajcie tutaj.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na niego zdumieni. Był capo regime. Miał żołnierzy, którzy za niego strzelali, podczas gdy on mógł pozostać w bezpiecznym miejscu. A mimo to siedł sam. To nie było w porządku.

- Szefie, Sal i ja możemy... - powiedział Joseph Colella.

Ale Michael Moretti już podchodził do drzwi domku nr 7, w dłoni trzymał pistolet z tłumikiem. Zatrzymał się na moment, by posłuchać, po czym cofnął się i jednym potężnym kopnięciem otworzył drzwi.

Moretti jednym szybkim spojrzeniem ocenił sytuację: brodaty mężczyzna klęczący na podłodze obok małego chłopca; ręka chłopca przygwożdżona do podłogi, zapach benzyny w powietrzu.

Brodaty mężczyzna odwrócił się strone drzwi i gapił się na Michaela. Ostatnie słowa, które powiedział, brzmiały:

- Ty nie jesteś Cla...

Pierwsza kula trafiła go w sam środek czoła. Druga roztrzaskała mu gardło, a trzecia dosięgła serca. Ale wtedy niczego już nie odczuwał.

Michael Moretti stanął w drzwiach i zamachał na dwóch mężczyzn czekających na zewnątrz. Pospieszyli do domku. Michael Moretti klęczał przy chłopcu, badając jego puls. Był słaby, ale był. Odwrócił się do Josepha Colelli:

- Zadzwoń do doktora Petrone. Powiedz mu, że jedziemy do niego.

9.30

Gdy tylko zadzwonił telefon, Jennifer złapała słuchawkę, ściskając ją mocno.

- Halo!

- Wiozę twojego syna do domu - powiedział Michael Moretti.

Joshua zapłakał przez sen. Jennifer pochyliła się i objęła go delikatnie. Spał, kiedy Michael wniósł go do domu. Kiedy Jennifer ujrzała nieprzytomnego Joshuę z grubo obandażowanymi nadgarstkami i kostkami nóg, z ciałem zawiniętym w gazę, niemal straciła

rozum. Michael przyprowadził z sobą doktora, któremu pół godziny zajęło przekonanie Jennifer, że Joshui nic nie będzie.

- Ręka się zagoi - zapewniał ją. - Zostanie drobna blizna, ale na szczęście nerwy i ścięgna nie zostały uszkodzone. Oparzenia benzyną są powierzchowne. Natarłem ciało dziecka olejem mineralnym. Będę się nim opiekował przez następne kilka dni. Proszę mi wierzyć, nic mu nie będzie.

Zanim doktor odjechał, Jennifer poprosiła, by zajął się panią Mackey.

Położyła Joshuę do łóżka i została przy nim, czekając, aż się obudzi. Właśnie się poruszył i otworzył oczy.

Kiedy ujrzał matkę, powiedział znużonym głosem:

- Wiedziałem, że przyjedziesz, mamusiu. Czy dałaś temu panu okup?

Jennifer skinęła głową, nie ufając własnemu głosowi. Joshua uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że kupi sobie za nie za dużo cukierków i rozboli go brzuch. Czy to nie byłoby śmieszne?

- Bardzo śmieszne, kochanie - szepnęła. - Czy wiesz, co zrobimy w przyszłym tygodniu? Zabiorę cię do...

Ale Joshua znowu zasnął.

Minęło wiele godzin, nim Jennifer znowu weszła do salonu. Zdziwiła się, gdy zobaczyła, że Michael Moretti wciąż tu jest. W jakiś sposób skojarzyło jej się to z pierwszym jej spotkaniem z Adamem Warnerem, kiedy czekał na nią w małym mieszkanku.

- Michael... - Nie mogła znaleźć słów. - Nie wiem... nie wiem, jak ci powiedzieć... jak jestem ci wdzięczna.

Spojrzał na nią i skinął głową. Zmusiła się do zadania pytania:

- A... co z Frankiem Jacksonem?

- Już nigdy nikogo nie będzie niepokoił.

A więc było po wszystkim. Joshua był bezpieczny. Nic poza tym nie było ważne.

Jennifer spojrzała na Michaela Morettiego i pomyślała: „Tyle mu zawdzięczam. Jak będę mu się mogła kiedykolwiek wypłacić?”

Michael obserwował ją w milczeniu.

CZEŚĆ II

Jennifer Parker stała naga, wyglądając przez ogromne okno, wychodzące na zatokę Tangier. Był piękny, rześki, jesienny dzień i zatoka była pełna białych żagli i motorówek. Kilka wielkich jachtów kołysało się, stojąc na kotwicy. Jennifer poczuła jego obecność i odwróciła się.

- Podoba ci się widok?
- Tak, bardzo. Spojrzał na jej nagie ciało.
- Mnie również.

Położył dłonie na jej piersiach i zaczął je pieścić.

- Wracajmy do łóżka.

Jego dotyk spowodował, że Jennifer wstrząsnął dreszcz. Żądał rzeczy, o które żaden mężczyzna nigdy nawet nie śmiał jej poprosić, i robił z nią to, czego nikt nigdy z nią nie robił.

- Dobrze, Michael.

Wrócili do sypialni i tam przez jeden krótki moment Jennifer pomyślała o Adamie Warnerze, ale zaraz zapomniała o wszystkim poza tym, co się z nią działo obecnie.

Jennifer nigdy nie знаła nikogo takiego jak Michael Moretti. Był nienasycony. Ciało miał wysportowane, mocne i stało się ono częścią ciała Jennifer, porywając ją swym szalem, budząc uniesienie bez granic, aż chciała krzyknąć z dzikiej radości. Kiedy po skończonym stosunku leżała wyczerpana, Michael zaczynał od nowa i Jennifer znowu ogarniała ekstaza zbyt wielka, by ją znieść.

Leżąc na niej, patrzył w jej zarumienioną, szczęśliwą twarz.

- Lubisz to, prawda, maleńka?
- Tak.

Przyznała to ze wstydem, zażenowana faktem, jak bardzo go potrzebowała, jak bardzo potrzebowała jego miłości. Jennifer przypomniała sobie ten pierwszy raz.

Było to tego samego ranka, kiedy Michael Moretti przywiózł do domu Joshuę. Jennifer wiedziała, że Frank Jackson nie żyje i że zabił go Michael Moretti. Stojący przed nią człowiek uratował jej syna dla niej, zabił dla niej. Przepęliło to Jennifer głębokim uczuciem wdzięczności.

- Jak ci mam podziękować? - zapytała.

A Michael Moretti podszedł do niej, wziął ją w ramiona i pocałował. Przez dawną lojalność wobec Adama Jennifer próbowała udawać przed samą sobą, że na tym pocałunku się skończy, ale okazało się, że był to dopiero początek. Wiedziała, kim jest Michael Moretti,

a mimo to liczyło się jedynie, co dla niej zrobił. Przestała myśleć i pozwoliła się unieść emocjom.

Poszli na górę do jej sypialni, a Jennifer tłumaczyła sobie, że jedynie odpłaca Michaelowi za to, co dla niej uczynił, ale potem, gdy byli w łóżku, przeżyła coś, czego nigdy w życiu nie była w stanie nawet sobie wyobrazić.

Z Adamem Warnerem kochała się, ale Michael Moretti posiadał ją całkowicie. Wypełnił każdy skrawek jej ciała rozkosznym uczuciem. Było to tak, jakby kochał ją w migoczących, jaskrawych światłach, które co chwila zmieniały się, jak w jakimś cudownym kalejdoskopie. W jednym momencie był czuły i delikatny, a w następnym brutalny, ostry i natarczywy i te zmiany doprowadzały Jennifer do szaleństwa. Wycofywał się, drażniąc się z nią, sprawiając, że pragnęła go mocniej, a kiedy była bliska spełnienia, znowu jej się wymykał.

Kiedy nie mogła już tego dłużej znieść, zaczęła prosić:

- Proszę, weź mnie! Weź mnie!

I jego twardy członek zaczął znowu w nią wnikać, aż zaczęła krzyczeć z rozkoszy. Nie była kobietą spłacającą dług. Stała się niewolnicą czegoś, czego do tej pory nie знаła. Michael został z nią cztery godziny, a kiedy odjechał, Jennifer wiedziała, że w jej życiu zaszła zmiana.

Leżała w łóżku, myśląc o tym, co się stało, próbując to zrozumieć. Jak mogła tak bardzo kochać Adama i jednocześnie ulec Michaelowi Morettiemu? Tomasz z Akwinu powiedział, że kiedy dotrze się do jądra ziemi, niczego tam nie ma. Jennifer zastanawiała się, czy można było to odnieść również do miłości. Zdawała sobie sprawę z tego, że to, co zrobiła, było częściowo wynikiem jej ogromnej samotności. Zbyt długo żyła jedynie z wyobrazeniami człowieka, którego nie mogła ani spotykać, ani mieć, a mimo to wiedziała, że zawsze będzie kochać Adama. Czy też może było to jedynie wspomnienie tej miłości?

Jennifer nie była pewna, co czuje do Michaela. Na pewno wdzięczność. Ale to była jedynie drobna część jej uczuć. Czuła coś więcej. Dużo więcej. Wiedziała, kim jest Michael Moretti i jaki jest. Zabił dla niej, ale zabijał również dla innych. Mordował ludzi dla pieniędzy, dla władzy, z zemsty. Jak mogła czuć to, co czuła, wobec takiego człowieka? Jak mogła pozwolić na to, by się z nią kochał i przeżywać to tak głęboko? Przepelniło ją uczucie wstydu i pomyślała: „Co ze mnie za kobieta?”

Nie potrafiła na to pytanie odpowiedzieć.

Gazety popołudniowe przyniosły informacje o pożarze w motelu w Queens. Na zgliszczach znaleziono szczątki niezidentyfikowanego mężczyzny. Podejrzewano umyślne podpalenie.

Po powrocie Joshuy Jennifer próbowała stworzyć mu jak najbardziej normalne warunki, bojąc się, że przeżycia z poprzedniej nocy mogą spowodować trwały uraz. Kiedy Joshua obudził się, Jennifer podała mu posiłek do łóżka, posiłek który wcześniej przygotowała. Było to cudaczne śniadanie, składające się ze wszystkiego, co chłopiec najbardziej lubił: hot - doga, kanapki z masłem orzechowym, zapiekanki i coca - coli.

- Szkoda, że go nie widziałeś, mamusiu - powiedział Joshua między kęsami. - Był zupełnie szalony!

Wyciągnął swoją zabandażowaną rękę.

- Myślisz, że on naprawdę sądził, że jestem Jezusem Chrystusem?

Jennifer z trudem opanowała dreszcz zgrozy.

- Nie wiem, kochanie.

- Dlaczego ludzie zabijają innych ludzi?

- Cóż... - Myśli Jennifer nagle zwróciły się ku Michaelowi Morettiemu. Czy miała prawo go osądzać? Nie знаła tajemnych sił, które kształtowały jego los, które uczyniły z niego tego, kim był. Musi go lepiej poznać, aby móc go zrozumieć.

- Czy będę musiał jutro iść do szkoły? - zapytał Joshua. Jennifer objęła go ramieniem.

- Nie, kochanie. Zostaniemy oboje w domu i przez cały tydzień będziemy wagarować.

Będziemy...

Zadzwoił telefon. To był Michael. •

- Jak się czuje Joshua?

- Świetnie - dziękuję.

- A ty jak się czujesz?

Jennifer poczuła, że z zażenowania zaschło jej w gardle.

- Ja... ja... czuję się dobrze. Zaśmiał się cicho.

- Cieszę się. Spotkamy się jutro na lunchu. „U Donata” przy Mulberry Street.

Dwunasta trzydzieści.

- Dobrze, Michael, dwunasta trzydzieści. Jennifer wymówiła te słowa i nie miała odwrotu.

Kierownik sali „U Donata” znał Michaela i zarezerwował dla niego najlepszy stół w restauracji. Ludzie przystawali, żeby pozdrowić Michaela, i Jennifer znowu zdumiało, jak wszyscy się przed nim kłaniają. Było zastanawiające, jak bardzo Michael Moretti przypominał jej Adama Warnera, bo każdy z nich na swój sposób był przedstawicielem władzy.

Jennifer zaczęła wypytywać Michaela o jego przeszłość, chcąc się dowiedzieć, jak i

dlaczego zaczął wieść takie życie, jakie wiódł.

Przerwał jej.

- Myślisz, że żyję tak z uwagi na swoje pochodzenie albo ponieważ ktoś mnie do tego zmusił?

- Cóż, Michael, sądzę, że tak. Roześmiał się.

- Stawałem na głowie, żeby to osiągnąć. Kocham pieniądze. Kocham władzę. Jestem królem, moja mała, i kocham być królem.

Jennifer patrzyła na niego, próbując go zrozumieć.

- Ale przecież nie może ci sprawiać przyjemności...

- Słuchaj no! - Jego milczenie nagle przemieniło się w słowa, zdania i zwierzenia, płynące szeroką falą, jakby były gromadzone przez lata, czekając na pojawienie się kogoś, komu mogłyby zostać powierzone. - Mój staruszek był jak butelka coca - coli.

- Jak butelka coca - coli?

- Tak. Na świecie są miliony butelek od coca - coli i nie można odróżnić jednej od drugiej. Mój ojciec był szewcem. Urabiał sobie ręce po łokcie, próbując zarobić najedzenie. Nie mieliśmy nic. Życie w nędzy tylko w książkach jest romantyczne. W prawdziwym życiu oznacza to cuchnące izby pełne szcurów i karaluchów, i kiepskie jedzenie, którego zawsze jest za mało. Kiedy byłem smarkaczem, robiłem wszystko, by zarobić trochę forsy. Byłem chłopcem na posyłki dla grubych ryb, przynosiłem kawę i cygara, znajdowałem dla nich dziewczynki... robiłem wszystko, by przeżyć. Pewnego lata pojechałem do Mexico City. Nie miałem pieniędzy, nie miałem nic. Byłem zupełnie golutki. Któregoś wieczoru napotkana dziewczyna zaprosiła mnie na wielkie przyjęcie. Na deser podawali specjalne meksykańskie ciastka, w których zapiekano małe, gliniane laleczki. Ktoś przy stole wyjaśnił mi, że istnieje zwyczaj, że kto natrafi na glinianą laleczkę, musi zapłacić za kolację. Laleczka była w moim ciastku. - Zrobił przerwę. - Połknąłem ją.

Jennifer położyła dłoń na jego ręku.

- Michael, wielu ludzi wzrasta w biedzie i...

- Nie porównuj mnie z innymi ludźmi. - Jego ton stał się ostry i stanowczy. - Ja to ja. Wiem, jaki jestem, moja mała. Zastanawiam się, czy ty wiesz, jaka jesteś.

- Myślę, że wiem.

- Dlaczego poszłaś ze mną do łóżka?

Jennifer zawahała się.

- Cóż, byłam... byłam wdzięczna i...

- Gówno! Pragnęłaś mnie.

- Michael, ja...

- Nie muszę sobie kupować kobiet. Ani za pieniądze, ani za wdzięczność.

Jennifer przyznała w duchu, że ma rację. Pragnęła go tak samo, jak on pragnął jej. A. przecież - pomyślała - ten człowiek kiedyś chciał mnie rozmyślnie zniszczyć. Jak mogłam o tym zapomnieć?''.

Michael pochylił się i ujął rękę Jennifer, dłonią do góry. Powoli głaskał, pieścił każdy palec, każdą wypukłość, nie spuszczać z niej oczu.

- Nie próbuj mnie oszukiwać. Nigdy.

Poczuła się bezsilna. To, co było między nimi, teraz przesłoniło przeszłość.

Jedli deser, gdy Michael powiedział:

- A propos, mam dla ciebie sprawę. Poczuła się, jakby jej dał policzek.

- Jaka sprawę? - spytała, gapiąc się na niego.

- Jeden z moich chłopców, Vasco Gambutti, został aresztowany za zabicie gliny.

Chcę, żebyś go broniła.

Jennifer siedziała zagniewana, dotknięta do żywego tym, że wciąż próbuje ją wykorzystywać.

- Przykro mi, Michael - powiedziała spokojnie. - Tłumaczyłam ci już. Nie mogę się angażować w sprawy twoich przyjaciół.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Czy słyszałaś kiedyś bajkę o afrykańskim lwiątku? Po raz pierwszy opuściło swoją matkę, aby zejść do rzeczki i napić się wody, ale powalił je goryl. Kiedy się zbierało do kupy, wielki lampart odepchnął je z drogi. Potem nadeszło stado słoni i niemal je stratowało na śmierć. Małe lwiątko wraca wstrząśnięte do domu i mówi: „Wiesz co, mamó - tam jest dżungla!”

Zapanowała długa chwila ciszy. „Tam była dżungla” - pomyślała Jennifer, ale ona zawsze stała na jej skraju i kiedy tylko chciała, mogła przed nią uciec. Miała swoje zasady i jej klienci musieli się do nich stosować. Teraz Michael Moretti to wszystko zmienił. To była jego dżungla. Jennifer bała się jej, bała się, by jej nie pochłonięła. Ale kiedy pomyślała, co Michael Moretti dla niej zrobił, zdecydowała, że nie prosi o wiele. Wyświadczy Michaelowi tę jedną przysługę.

- Zajmiemy się sprawą Vasco Gambuttiego - poinformowała Kena Bailey.

Ken spojrział na Jennifer z niedowierzaniem.

- Przecież on jest z mafii! To jeden z ludzi Michaela Morettiego. Tacy ludzie nie są naszymi klientami.

- Ten będzie.

- Jennifer, nie możemy sobie pozwolić na zadawanie się z tym motłochem.

- Gambutti ma prawo do uczciwego procesu, tak jak każdy inny człowiek. - Nawet dla niej słowa te zabrzmiały fałszywie.

- Nie mogę ci pozwolić na...

- Dopóki to jest moje biuro, ja będę decydować - powiedziała i zauważyła zdumienie i ból w jego oczach.

Ken skinął głową, odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Jennifer chciała go zawołać i spróbować wszystko wytłumaczyć. Ale czy potrafiłaby? Nie była pewna, czy umiałaby to wytłumaczyć nawet samej sobie.

Kiedy Jennifer spotkała się po raz pierwszy z Vasco Gambuttim, próbowała go traktować jak wszystkich innych klientów. Prowadziła już sprawy, w których jej klienci byli oskarżeni o morderstwo, ale tym razem było jakoś inaczej. Ten mężczyzna był członkiem rozległej sieci zorganizowanych przestępców, którzy pozbawiali kraj nie dających się określić milionów dolarów, członkiem bandy, która, jeśli było to konieczne, zabijała, aby się bronić.

Dowody przeciwko Gambuttiemu były niezbite. Został złapany podczas napadu na sklep z futrami i zabił policjanta nie będącego na służbie, który próbował go zatrzymać. Poranne gazety opublikowały informację, że Jennifer Parker będzie adwokatem oskarżonego.

Zadzwoił sędzia Lawrence Waldman.

- Czy to prawda, Jennie?

Jennifer od razu wiedziała, co miał na myśli.

- Tak, Lawrence. Pauza.

- Jestem zdumiony. Oczywiście wiesz, kim jest.

- Tak, wiem.

- Wkraczasz na niebezpieczny grunt.

- Chyba nie. Jedynie wyświadczam przyjacielowi przysługę.

- Rozumiem. Bądź ostrożna.

- Będę - obiecała Jennifer.

Dopiero później Jennifer uświadomiła sobie, że nie zaproponował, by razem poszli na obiad.

Po zapoznaniu się z materiałami, które zebrali jej pracownicy, Jennifer zdecydowała, że sprawa jest beznadziejna.

Vascó Gambutti został przyłapany na gorącym uczynku, gdy dokonywał napadu i morderstwa, i nie było żadnych okoliczności łagodzących. Co więcej, w umysłach sędziów przysięgłych zawsze, kiedy ofiarą był policjant, silnie przeważały emocje.

Wezwała Kena Baileya i przekazała mu instrukcje.

Nic nie powiedział, ale Jennifer wyczuwała jego dezaprobatę i było jej przykro. Obiecała sobie, że ostatni raz pracuje dla Michaela.

Zadzwoił jej prywatny telefon. Podniosła słuchawkę.

- Cześć, mała - powiedział Michael. - Mam na ciebie ochotę. Spotkajmy się za pół godziny.

Słyszając jego głos, czuła już jego ramiona wokół siebie i jego ciało, napierające na jej ciało.

- Dobrze - powiedziała Jennifer. Zapomniała o obietnicy, którą złożyła samej sobie.

Proces Gambuttiego trwał dziesięć dni. Dziennikarze byli obecni w komplecie, nie chcąc stracić okazji obserwowania prokuratora okręgowego Di Silvy i Jennifer Parker, znowu mierzących się ze sobą. Di Silva przygotował się sumiennie i rozmyślnie umniejszał swoją rolę, pozwalając sędziom przysięgłym chwycić aluzje, które rzucał, aby w swych umysłach tworzyli jeszcze okropniejsze sceny od tych, które opisywał.

Jennifer siedziała spokojnie podczas prezentowania dowodów, rzadko występując ze sprzeciwem.

Ostatniego dnia zrobiła swój ruch.

Wśród prawników krąży powiedzenie, że kiedy się nie ma wystarczających dowodów na rzecz własnego klienta, wytacza się proces przeciwnikowi. Ponieważ Jennifer nie miała jak bronić Vasco Gambuttiego, zdecydowała, że wytoczy sprawę zaatakowanemu policjantowi, Scottowi Normanowi. Ken Bailey dokopał się wszystkiego, co tylko było wiadome o Scotcie Nor - manie. Przebieg jego służby nie był najlepszy, ale zanim Jennifer skończyła swoje wywody, sprawiła, że przedstawiał się on dziesięć razy gorzej niż w rzeczywistości. Norman pracował w policji dwadzieścia lat i w tym czasie trzy razy był zawieszany w obowiązkach pod zarzutem nie usprawiedliwionego użycia siły. Raz strzelił i omal nie zabił nie uzbrojonego podejrzanego, pobił pijaka w barze i wysłał do szpitala mężczyznę, wplątanego w awanturę domową. Chociaż te incydenty miały miejsce na przestrzeni dwudziestu lat,

Jennifer przedstawiła je tak, jakby zabity popełnił nieprzerwaną serię nikczemnych czynów. Jennifer poprosiła kilku świadków, którzy zeznawali przeciwko zabitemu funkcjonariuszowi policji, i Robert Di Silva nie mógł nic na to poradzić.

W swoim podsumowaniu Di Silva powiedział:

- Proszę pamiętać, panie i panowie przysięgli, że nie jest tutaj sądzony funkcjonariusz Scott Norman. On jest ofiarą. Został zabity - wskazał na oskarżonego - przez Vasco Gambuttiego.

Ale nawet gdy mówił, prokurator okręgowy wiedział, że nie zda się to na nic. Jennifer przedstawiła funkcjonariusza Scotta Normana w takim świetle, że wydawał się równie bezwartościową istotą ludzką, jak i Vasco Gambutti. Nie był już szlachetnym policjantem, który oddał swoje życie, aresztując kryminalistę. Jennifer Parker tak zniekształciła obraz, że ofiara zabójcy nie była lepsza od oskarżonego.

Sąd przysięgłych wydał wyrok uniewinniający w sprawie o morderstwo pierwszego stopnia i skazał Vasco Gambuttiego za zabójstwo. Była to dotkliwa porażka dla prokuratora okręgowego Di Silvy i środki przekazu szybko ogłosiły zwycięstwo Jennifer Parker.

- Ubierz się odświętnie. Będziemy czcić twoje zwycięstwo - powiedział jej Michael.

Zjedli kolację w restauracji rybnej w Village. Właściciel lokalu przysłał im butelkę drogiego szampana i Michael razem z Jennifer wzniesli toast.

- Jestem zadowolony z ciebie.

W ustach Michaela było to jak pasowanie na rycerza. Wsunął w jej dłoń małe pudełeczko owinięte w białą - czerwony papier.

- Otwórz to.

Obserwował, jak odwiązywała złotą kokardkę i podniosła pokrywkę. W pudełku był wielki, kwadratowy szmaragd, otoczony brylantami.

Jennifer wpatrywała się w klejnoty. Zaczęła protestować.

- Och, Michael.

Na jego twarzy ujrzała wyraz dumy i zadowolenia.

- Michael, co ja mam z tobą zrobić?

I pomyślała: „Och, Jennifer, co ja mam z tobą zrobić?”

- Potrzebujesz to do tej sukni. - Umieścił pierścienek na środkowym palcu lewej ręki.

- Ja... ja... nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję. To rzeczywiście prawdziwa uroczystość.

Michael uśmiechnął się.

- Uroczystość jeszcze się nie rozpoczęła, to zaledwie preludium.

Jechali limuzyną do mieszkania, które Michael wynajmował w centrum. Michael nacisnął guzik i zasunął szybkę, która oddzielała tylne siedzenie od kierowcy.

„Jesteśmy zamknięci w naszym małym świecie” - pomyślała Jennifer. Bliskość Michaela podniecała ją.

Obróciła się, by spojrzeć w jego czarne oczy, a on przysunął się do niej i przesunął rękę wzdłuż uda. Jennifer natychmiast dała się porwać namiętności.

Usta Michaela odnalazły jej usta i ich ciała splotły się w uścisku. Jennifer poczuła jego twarde członek i zsunęła się na podłogę samochodu. Zaczęła go pieścić, całować, aż Michael zaczął jęczeć, a Jennifer jęczała razem z nim, poruszając się coraz szybciej, aż poczuła spazmatyczny skurcz jego ciała.

Uroczystość się rozpoczęła.

Jennifer, leżąc w łóżku hotelowym w Tangier i słuchając odgłosów dobiegających z łazienki, gdzie Michael brał prysznic, myślała o przeszłości. Była zadowolona i szczęśliwa. Jedyne czego jej brakowało, to jej synka. Myślała o zabieraniu z sobą na niektóre wypadki Joshuy, ale instynktownie chciała trzymać go z dala od Michaela Morettiego. Joshua nigdy nie może poznać tej części jej życia. Jennifer wydawało się, że jej życie składa się z przedziałów: w jednym był Adam, w drugim jej syn, a w trzecim Michael Moretti.

Michael wyszedł z łazienki owinięty jedynie ręcznikiem. Włosy na jego ciele migotały od kropelek wilgoci. Był pięknym, podniecającym samcem.

- Ubieraj się. Czeka nas robota.

Działo się to tak stopniowo, że wydawało się, iż właściwie nic się nie stało. Zaczęło się od Vasco Gambuttiego, wkrótce potem Michael poprosił Jennifer, żeby podjęła się innej sprawy, potem następnej, aż w końcu zrobiło się z tego stałe źródło spraw.

Michael dzwonił do Jennifer i mówił:

- Potrzebna mi twoja pomoc, mała. Jeden z moich chłopców ma kłopoty.

I Jennifer przypominały się słowa Ojca Ryana: „Mój znajomy ma mały kłopot”. Czy istniała naprawdę tu jakaś różnica? Ameryka zaakceptowała syndrom ojca chrzestnego. Jennifer mówiła sobie, że to, co robi teraz, to jest to samo, co robiła zawsze. Ale w rzeczywistości była różnica. - ogromna różnica.

Znalazła się w środku najbardziej wpływowej organizacji na świecie.

Michael zaprosił Jennifer do wiejskiej posiadłości w New Jersey, gdzie po raz pierwszy spotkała się z Antonio Granellim i paru innymi członkami organizacji.

Przy dużym stole w tradycyjnie urządzonej kuchni siedzieli: Nick Vito, Arthur Scotto - „Tłusty Arthie”, Salvatore Fiore i Joseph Colella.

Kiedy Jennifer i Michael nadeszli i zatrzymali się w drzwiach, nasłuchując, Nick Vito właśnie mówił:

- ... jak wtedy gdy robiłem skok w Atlancie. Ten łajdak zjawił się i próbował mnie załatwić, bo chciał coś zrobić.

- Znałeś faceta? - zapytał „Tłusty Arthie” Scotto.

- A co tu było znać? Chciał położyć na mnie łapę.

- Na ciebie?

- Tak. Nie miał zbyt dużo oleju w głowie.

- Co zrobiłeś?

- Eddie Fratelli i ja dopadliśmy go w ciemnym kącie i załatwiliśmy go. Do diabła, dostał za swoje!

- Słuchajcie, a co porabia „Mały Eddie”?

- Pracuje za nędzne grosze w Lewisburgu.

- A jego cizia? Miała klasę.

- O, tak. Lubiłem się z nią zabawić.

- Ciągle jeszcze coś czuje do Eddie'ego. Jeden Bóg wie, dlaczego.

- Zrobił się z niego gówniarz. A przy okazji, czy wiecie, kto okazał się...

Zwykła paplanina o sprawach zawodowych. Michael roześmiał się, widząc

zakłopotanie Jennifer, i powiedział:

- Chodź, przedstawię cię Papie.

Widok Antonia Granelliego był dla Jennifer szokiem. Siedział na wózku inwalidzkim, przypominając żyjący, ludzki szkielet i trudno było sobie wyobrazić, jak musiał wyglądać kiedyś.

Do pokoju weszła atrakcyjna brunetka o pełnej figurze i Michael powiedział do Jennifer:

- To Rosa, moja żona.

Jennifer bała się tej chwili. Parę nocy po tym, jak rozstała się z Michaelem - zaspokojona jak tylko kobieta zaspokojona być może - zmagła się z uczuciem winy, które ją przytłaczało. „Nie chcę krzywdzić innej kobiety. Dopuszczam się kradzieży. Muszę z tym skończyć! Muszę!” Ale zawsze przegrywała w tych zmaganiach ze sobą.

Rosa spojrzała mądrymi oczami na Jennifer. „Wie wszystko” - pomyślała Jennifer.

Nastąpiła kłopotliwa cisza, ale po chwili Rosa powiedziała miękki głosem:

- Miło mi panią poznać, pani Parker. Michael mówił mi, że jest pani bardzo inteligentna.

Antonio Granelli mruknął:

- Niedobrze, kiedy kobieta jest zbyt mądra. Myślenie lepiej zostawić mężczyznom.

- Traktuję panią Parker jak mężczyznę - odpowiedział Michael z powagą.

Obiad jedli w ogromnej staroświeckiej jadalni.

- Usiądź obok mnie - rozkazał Jennifer Antonio Granelli. Michael zajął miejsce obok Rosy. Thomas Colfax, consigliere, usiadł naprzeciwko Jennifer, która czuła jego wrogość w stosunku do siebie.

Obiad był znakomity. Podano masę przystawek, a następnie pastą fagioli. Była sałata z kolorową fasolą, grzyby faszerowane, eskalopki cielęce, linguini i kurczę pieczone. Wydawało się, że nowym daniom nie będzie końca.

W domu nie było widać służby i Rosa bez przerwy podrywała się, by sprzątnąć ze stołu i przynieść z kuchni kolejne potrawy.

- Rosa to wspinała kucharka - powiedział Antonio Granelli do Jennifer. - Jest prawie tak dobra, jak jej matka. Prawda, Mike?

- Tak - grzecznie przyznał Michael.

- Rosa to cudowna żona - ciągnął Antonio Granelli i Jennifer zastanawiała się, czy była to mimochodem rzucona uwaga, czy też ostrzeżenie.

- Nie dokończyłaś cielęciny - powiedział Michael.

- Jeszcze nigdy w życiu tyle nie zjadłam - zaprotestowała Jennifer.

A nie był to jeszcze koniec.

Potem podano świeże owoce i półmisek z serami, i lody z gorącym sosem karmelowym, słodczyce i miętówki.

Jennifer nie mogła zrozumieć, jak Michaelowi udawało się zachować szczupłą sylwetkę.

Rozmowy były swobodne i przyjemne i mogły mieć miejsce w każdym z tysięcy włoskich domów, aż Jennifer trudno było uwierzyć, że ta rodzina różniła się od innych.

Trwało to do chwili, gdy Antonio Granelii zapytał:

- Czy wie pani coś o Związku Sycylijskim? ' - Nie - odpowiedziała Jennifer.

- Proszę pozwolić mi opowiedzieć sobie o tym, łaskawa pani.

- Tato, ona ma na imię Jennifer.

- To nie jest włoskie imię, Mikę. Jest mi je trudno zapamiętać. Będę się do pani zwracał „łaskawa pani”, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała Jennifer.

- Związek Sycylijski powstał na Sycylii, aby chronić biedaków przed niesprawiedliwością. Widzi pani, ludzie posiadający władzę okradali biedaków. Biedacy nie mieli nic, ani pieniędzy, ani pracy, ani sprawiedliwości. A więc utworzono Związek. Kiedy komuś działa się krzywda, ludzie przychodzili do członków tajnego bractwa i zostawali pomśczeni. Bardzo szybko Związek stał się silniejszy niż prawo, bo działał według praw ludu. Wierzymy w to, co głosi Biblia, łaskawa pani. - Spojrzał Jennifer w oczy. - Jeżeli ktoś nas zdradzi, mamy prawo do zemsty.

Aluzja była oczywista.

Jennifer zawsze instynktownie czuła, że jeśli kiedykolwiek zacznie pracować dla Organizacji, nie będzie już drogi odwrotu, ale jak większość nie wtajemniczonych miała niewłaściwe pojęcie, czym jest Organizacja. Mafia była na ogół przedstawiana jako banda gangsterów, zbierających się, by wydawać polecenia dokonywania zabójstw i by liczyć pieniądze, pochodzące z lichwy i usług domów publicznych. Ale to był tylko wycinek obrazu. Spotkania, w których uczestniczyła Jennifer, pokazały jej resztę: byli to biznesmeni, którzy działali na zdumiewającą skalę. Byli właścicielami hoteli i banków, restauracji i kasyn, towarzystw ubezpieczeniowych i fabryk, przedsiębiorstw budowlanych i szpitali. Kontrolowali związki zawodowe i transport. Byli w przemyśle płytowym i handlowali automatami do sprzedaży towarów. Byli właścicielami zakładów pogrzebowych, piekarni i biur konstrukcyjnych. Ich roczne dochody obliczane były w miliardach. Jennifer nie

interesowało, jak to wszystko zdobyli. Jej zadaniem było bronienie tych spośród nich, którzy popadli w konflikt z prawem.

Robert Di Silva oskarżył trzech ludzi Michaela Morettiego o wymuszanie pieniędzy od właścicieli kiosków spożywczych. Zarzucano im znowę, mającą na celu ingerowanie w wolność handlu poprzez szantaż. Jedynym świadkiem gotowym zeznawać przeciwko nim była właścicielka jednego z kiosków.

- Narobi nam kłopotów - powiedział Michael do Jennifer. - Musimy ją jakoś załatwić.
- Jesteś współwłaścicielem firmy wydawniczej, prawda? - zapytała Jennifer.
- Tak. Ale co to ma wspólnego z kioskami spożywczymi?
- Zobaczysz.

Jennifer załatwiła po cichu, żeby czasopismo zaoferowało dużą kwotę pieniędzy za wywiad ze świadkiem. Kobieta przyjęła propozycję. Jennifer wykorzystwała ten fakt do zdyskredytowania motywów postępowania kobiety i sąd oddalił oskarżenie.

Stosunki Jennifer ze współpracownikami zmieniły się. Kiedy biuro zaczęło zajmować się sprawami mafii, Ken Bailey przyszedł do gabinetu i powiedział:

- O co chodzi? Nie możesz w kółko reprezentować tych bandziorów. Oni nas zniszczą.
- Nie martw się tym, Ken. Oni za to płacą.
- Nie możesz być aż tak naiwna, Jennifer. To ty za wszystko zapłacisz. Złapią cię w pułapkę.

Ponieważ Jennifer wiedziała, że Ken ma rację, powiedziała ze złością:

- Zostaw to mnie, Ken.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem odrzekł:

- Dobrze. Ostatecznie ty jesteś tu szefem.

Środowisko prawników to mały świat, w którym nowiny rozchodzą się szybko. Kiedy rozeszła się wieść, że Jennifer Parker broni członków organizacji, zaczęli przychodzić do niej dobrze życzący jej przyjaciele i mówili to samo, co usłyszała już od sędziego Lawrence'a Waldmana i Kena Baileya.

- Jeżeli zaczniesz się zadawać z tymi ludźmi, potraktują cię tak, jak traktują wszystkich.

Jennifer odpowiadała im:

- Każdy ma prawo do obrony.

Doceniała ich ostrzeżenia, ale uważała, że jej osobiście nie dotyczą. Nie należała do organizacji, jedynie reprezentowała niektórych jej członków. Była prawnikiem, jak jej ojciec,

i nigdy nie zrobiłaby niczego, co okryłoby ją wstydem w jej oczach. Na świecie istniała dżungla, ale ona wciąż była poza jej zasięgiem.

Odwiedził ją ojciec Ryan. Tym razem nie przyszedł prosić o pomoc dla znajomego.

- Martwię się o ciebie, Jennifer. Słyszałem, że zajmujesz się sprawami... że tak powiem... niewłaściwych ludzi.

- Co to znaczy „niewłaściwi ludzie”? Czy ocenia ojciec ludzi, którzy zwracają się do niego o pomoc? Czy zabrania ojciec ludziom kontaktu z Bogiem, ponieważ zgrzeszyli?

Ojciec Ryan potrząsnął głową.

- Oczywiście, że nie, ale co innego, kiedy popełni błąd człowiek, a co innego, kiedy korupcja jest zorganizowana. Jeżeli pomagasz tym ludziom, oznacza to, że akceptujesz to, co robią. Stajesz się ich współnikiem.

- Nie. Jestem prawnikiem, ojcie. Pomagam ludziom, którzy mają kłopoty.

Jennifer poznała lepiej niż ktokolwiek Michaela Morettiego. Wyjawiał jej uczucia, których nigdy nikomu nie wyjawiał. Był w zasadzie człowiekiem samotnym i skrytym i Jennifer była pierwszą osobą, która przeniknęła przez jego skorupę.

Jennifer wiedziała, że Michael potrzebuje jej. Przy Adamie nigdy tego nie czuła. A Michael zmusił ją zarazem do przyznania, jak bardzo ona potrzebuje jego. Odsłonił pragnienia, które głęboko ukrywała - dzikie, atawistyczne pasje, do których bała się przyznać. Przy Michaelu nie miała żadnych zahamowań. Kiedy byli razem w łóżku, nie było granic, nie było limitów.

Jedynie rozkosz, rozkosz, o jakiej Jennifer nawet nie śniła, że może istnieć.

Michael wyjawił Jennifer, że nie kocha Rosy, ale było oczywiste, że Rosa ubóstwiała Michaela. Była zawsze na jego usługi, czekała, by spełniać jego potrzeby.

Jennifer poznała żony innych mafiosi i odkryła, że ich życie jest fascynujące. Mężowie chodzili ze swoimi kochankami na tory wyścigowe, do restauracji, a żony siedziały w domu i czekały na nich.

Żony mafiosi miały zawsze dużo pieniędzy na swoje potrzeby, ale musiały uważać, w jaki sposób je wydają, żeby nie wzbudzać podejrzeń urzędów podatkowych.

W mafii istniała ścisła hierarchia, poczynając od najniższego stopnia - soldato - aż do capo di tutti capi, i żona nigdy nie mogła posiadać droższego futra czy samochodu od żony bezpośredniego przełożonego męża.

Żony wydawały przyjęcia dla współpracowników mężów, ale uważały, by nie postępować rozrzutniej niż pozwalała im ich pozycja w stosunku do innych.

Z okazji takich uroczystości jak śluby czy chrzciny, kiedy wymagane były prezenty,

żonom nie wolno było nigdy wydać więcej, niż żonie stojącej wyżej w hierarchii.

Protokół był tak surowy, jak ten w US Steel czy w jakiegokolwiek innej wielkiej korporacji przemysłowej.

Mafia była niezwykłą maszynką do zarabiania pieniędzy, ale Jennifer wiedziała, że istniał jeszcze jeden element równie ważny: siła.

- Organizacja jest potężniejsza niż rządy większości państw świata - powiedział Michael Jennifer. - Zarabiamy więcej niż kilka największych firm w Ameryce razem wziętych.

- Jest jednak pewna różnica - zauważyła Jennifer. - Oni działają zgodnie z prawem, a...

Michael roześmiał się.

- Masz na myśli te, które nie zostały przyłapane. Dziesiątki największych firm w kraju były stawiane w stan oskarżenia za naruszenie takiego czy innego przepisu. Nie oszukuj samej siebie, Jennifer. Przeciętny współczesny Amerykanin nie potrafi wymienić nazwisk dwóch astronautów, którzy byli w kosmosie, ale zna nazwiska Al Capone i Lucky Luciano.

Jennifer odkryła, że Michael był na swój sposób równie oddany sprawie, jak Adam. Różnica między nimi polegała na tym, że ich losy toczyły się w przeciwnych kierunkach.

Jeżeli chodzi o interesy, Michael odznaczał się całkowitym brakiem egoizmu. To była jego pozytywna cecha. Podejmował decyzje, kierując się wyłącznie interesem organizacji.

W przeszłości Michael był bezgranicznie pochłonięty zaspokajaniem swoich ambicji. W jego życiu nie było miejsca na kobietę. Ani Rosa, ani jego przyjaciółki nie były częścią jego prawdziwych potrzeb.

Z Jennifer było inaczej. Potrzebował jej, jak nigdy nie potrzebował żadnej kobiety. Nigdy nie znał nikogo takiego jak ona. Podniecała go fizycznie, ale takie uczucie wzbudzało w nim wiele kobiet. Jennifer wyróżniały wśród innych kobiet inteligencja i niezależność. Rosa słuchała siego, inne kobiety bały się go. Jennifer z nim współzawodniczyła. Była mu równa. Mógł z nią rozmawiać, dyskutować. Była więcej niż inteligentna. Była kuta na cztery nogi.

Wiedział, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

Od czasu do czasu Jennifer wyjeżdżała służbowo z Michaeliem, ale kiedy to tylko było możliwe, próbowała unikać podróży, bo chciała jak najwięcej czasu spędzać z Joshuą. Miał teraz sześć lat i rósł niezwykle szybko. Jennifer zapisała go do pobliskiej szkoły prywatnej, którą Joshuą ubóstwiał.

Jeździł na rowerze, miał mnóstwo samochodzików wyścigowych i przeprowadzał

długie i poważne rozmowy z Jennifer i z panią Mackey.

Ponieważ Jennifer chciała, żeby Joshua wyrósł na człowieka silnego i niezależnego, próbowała odpowiednio z nim postępować, dając mu do zrozumienia, jak bardzo go kocha. Była zawsze, kiedy jej potrzebował, ale jednocześnie wzmocniała w nim poczucie własnej niezależności.

Nauczyła go cenić dobre książki i muzykę. Zabierała go do teatru, unikając przedstawień premierowych, obawiając się spotkać znajomych, którzy zaczęliby zadawać kłopotliwe pytania. Pod koniec tygodnia razem z Joshuą szła na maraton filmowy. W soboty chodzili na seans popołudniowy, potem na obiad do restauracji, a wieczorem na jeszcze jeden film. W niedzielę pływali żaglówką lub jeździli na rowerze. Jennifer okazywała synowi całą miłość, jaką do niego czuła, ale uważała, by go nie rozpieszczać. Planowała swoją strategię postępowania z Joshuą jeszcze dokładniej niż jakąkolwiek sprawę w sądzie, aby uniknąć pułapek czyhających na niepełną rodzinę.

Jennifer, spędzając czas z Joshuą, nie traktowała tego jako poświęcenie ze swej strony. Przeciwnie, była to dla niej ogromna radość. Grali w słówka, inteligencję i dwadzieścia pytań; Jennifer była zachwycona bystrością umysłu swego syna. Był pierwszym uczniem w klasie i wyróżniającym się sportowcem, ale nie traktował siebie zbyt poważnie. Miał ogromne poczucie humoru.

Kiedy nie kolidowało to z jego zajęciami szkolnymi, Jennifer zabierała Joshuę na wycieczki. Podczas ferii zimowych Jennifer pojechała z nim na narty do Proconos. Potem zabrała go z sobą w podróż służbową do Londynu i spędzili tam dwa tygodnie, zwiedzając kraj. Joshui bardzo spodobała się Anglia.

- Czy mógłbym tu chodzić do szkoły?

Jennifer poczuła ukłucie w sercu. Już niedługo opuści ją, by studiować, szukać swego szczęścia, ożenić się i założyć własny dom i rodzinę. Czy właśnie tego dla niego chciała? Oczywiście, że tak. Kiedy przyjdzie czas, pozwoli mu odejść, chociaż wiedziała, jakie to będzie dla niej trudne.

Joshuą patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

- Będę mógł, mamusiu? - zapytał. - Na przykład w Oxfordzie?

Jennifer przytuliła go.

- Oczywiście. To będzie dla nich prawdziwy zaszczyt.

W pewien niedzielny poranek, kiedy pani Mackey miała wolne, Jennifer musiała jechać na Manhattan, aby odebrać stenogram zeznań. Joshuą poszedł w odwiedziny do kolegi. Kiedy Jennifer wróciła do domu, zaczęła szykować obiad dla siebie i syna. Otworzyła

lodówkę - i zamarła. W środku była karteczka włożona między dwie butelki z mlekiem. Adam zostawił jej kiedyś takie karteczki. Jennifer gapiała się na nią jak zahipnotyzowana, bojąc się jej dotknąć. Powoli sięgnęła po kartkę i rozłożyła ją. W środku było napisane: „A kuku! Czy Alan może z nami zjeść obiad?”

Dopiero po pół godzinie serce Jennifer zaczęło bić normalnie.

Od czasu do czasu Joshua pytał Jennifer o swego ojca.

- Zginął w Wietnamie, Joshuo. Był bardzo dzielny człowiekiem.
- Czy nie mamy gdzieś jego zdjęcia?
- Przykro mi, kochanie, ale nie. Nie byliśmy... nie byliśmy długo małżeństwem.

Nienawidziła kłamstw, ale nie miała wyboru. Michael Moretti tylko raz zapytał o ojca Joshuy.

- Nie obchodzi mnie, co się działo, zanim należałaś do mnie - jestem jedynie ciekawy.

Jennifer pomyślała o władzy, jaką zdobyłby nad senatorem Adamem Warnerem, gdyby kiedykolwiek poznał prawdę.

- Zginął w Wietnamie. Jego nazwisko nie jest istotne.

W Waszyngtonie komisja senacka, której przewodniczył Adam Warner, kończyła intensywne prace związane z planowanymi zakupami przez Siły Powietrzne bombowców XK - 1, na których nabycie potrzebna była zgoda senatu. Od tygodni przez Kapitol przewinęły się dziesiątki ekspertów, z których połowa dowodziła, że nowy bombowiec będzie kosztownym nabytkiem, rujnującym zarówno budżet przeznaczony na cele obronne, jak i całe państwo, a druga połowa dowodziła, że jeśli Siły Powietrzne nie uzyskają zgody na zakup bombowców, potencjał obronny Ameryki zostanie tak osłabiony, że Rosjanie w najbliższą niedzielę napadną na Stany Zjednoczone.

Adam zgłosił się na ochotnika, aby odbyć próbny lot prototypem bombowca. Jego koledzy skwapliwie przystali na tę propozycję. Adam był jednym z nich, członkiem klubu, i z pewnością powie, jak to jest naprawdę.

Adam przeprowadził lot wraz z zawodowymi pilotami wczesnym niedzielnym rankiem i poddał samolot serii różnorodnych testów. Lot okazał się bezspornym sukcesem i Adam oświadczył komisji senackiej, że nowy bombowiec XK - 1 będzie ważnym krokiem naprzód w dziedzinie lotnictwa. Uważał, że należy natychmiast podjąć produkcję nowego samolotu. Senat przydzielił fundusze.

Prasa entuzjastycznie opisała całe wydarzenie. Przedstawiono Adama jako reprezentanta nowej generacji dociekliwych senatorów, prawnika, który osobiście udawał się w teren, by poznać fakty, zamiast polegać na zdaniu lobbystów czy innych ludzi, którym chodziło jedynie o ochronę własnych interesów.

Zarówno „Newsweek”, jak i „Time” poświęciły Adamowi długie artykuły, a tekst w „Newsweeku” kończył się następująco:

„Senat zdobył nowego strażnika ładu, uczciwego i zdolnego, który jest w stanie zająć się dogłębnie niektórymi żywotnymi problemami, będącymi plagą naszego kraju, które należy ujawnić, a nie podniecać nimi wyobraźnię. Coraz szersze kręgi społeczne są zdania, że Adam Warner ma cechy, które predestynują go na urząd prezydencki”.

Jennifer pochłaniała artykuły o Adamie i przepełniało ją uczucie dumy, a także i bólu. Wciąż kochała Adama, kochała też Michaela Morettiego i nie wiedziała, jak to było możliwe, czy też jaką stała się kobietą. Adam stworzył pustkę w jej życiu. Michael ją wypełnił.

Przemyt narkotyków z Meksyku niezmiernie wzrósł i było oczywiste, że kryła się za tym wielka organizacja przestępcza. Adam został poproszony o przewodniczenie komisji mającej zająć się tą sprawą. Koordynował prace kilku agencji pilnujących praworządności w

Stanach Zjednoczonych, poleciał do Meksyku i uzyskał zgodę rządu meksykańskiego na współpracę. W ciągu trzech miesięcy przemyt narkotyków zmniejszył się wielokrotnie.

W posiadłości wiejskiej w New Jersey Michael Moretti mówił: - Mamy problem.

Siedzieli w wielkim, wygodnym gabinecie. Obecni byli: Jennifer, Antonio Granelli i Thomas Colfax. Antonio Granelli miał atak i przez noc postarzał się o dwadzieścia lat. Wyglądał jak karykatura człowieka. Paraliż dotknął prawą stronę twarzy i kiedy mówił, ślina ciekła mu z kącików ust. Był stary i sklerotyczny i coraz bardziej polegał na zdaniu Michaela. Zaakceptował nawet - chociaż niechętnie - Jennifer.

W przeciwieństwie do Thomasa Colfaxes. Konflikt między Michaeliem i Colfaxem pogłębiał się. Colfax wiedział, że zamiarem Michaela było zastąpić go tą kobietą. Przyznawał sam przed sobą, że Jennifer Parker była zdolnym prawnikiem, ale co mogła wiedzieć o zwyczaju borgata, o tym, co sprawiało, że bractwo funkcjonowało tak gładko przez wszystkie te lata? Jak Michael mógł przyprowadzić obcego - i co gorsze, kobietę! - i powierzyć jej ich największe tajemnice? Była to sytuacja nie do zaakceptowania. Colfax rozmawiał po kolei z capo regimi - zastępcami szefa - i z soldati - żołnierzami - wyrażając swoje obawy, próbując przeciągnąć ich na swoją stronę, ale nie mieli odwagi wystąpić przeciwko Michaelowi. Uważali, że jeżeli on ufał tej kobiecie, również oni powinni jej ufać.

Thomas Colfax zdecydował, że musi poczekać na odpowiednią chwilę. Ale znajdzie sposób, żeby się jej pozbyć.

Jennifer dobrze zdawała sobie sprawę z jego uczuć. Zajął jego miejsce i duma nigdy nie pozwoli mu się z tym pogodzić. Jego lojalność wobec syndykatu spowodowała, że dostosował się do nowej sytuacji, ale jeżeli jego nienawiść stanie się silniejsza niż lojalność...

Michael zwrócił się do Jennifer:

- Czy słyszałaś kiedykolwiek o Adamie Warnerze?

Serce Jennifer zamarło na chwilę. Oddychanie zaczęło jej sprawiać trudności. Michael obserwował ją, czekając na odpowiedź.

- Masz... masz na myśli senatora? - udało się powiedzieć Jennifer.

- Uhm. Będziemy musieli nieco ostudzić tego skurczybyka. Jennifer czuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy.

- Dlaczego, Michael?

- Szkodzi naszym interesom. Przez niego rząd meksykański zamyka fabryki należące do naszych przyjaciół. Wszystko zaczyna się rozlatywać. Chcę, żeby ten łajdak zszedł mi z drogi. Musi odejść.

Umysł Jennifer pracował gorączkowo.

- Jeżeli tkniesz senatora Warnera - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa - zniszczysz sam siebie.

- Nie zamierzam pozwolić na to, żeby...

- Posłuchaj mnie, Michael. Jeżeli się go pozbędziesz, na jego miejsce przyślą dziesięciu nowych ludzi. Stu nowych. Każda gazeta w kraju będzie przeciwko tobie. Prace dochodzeniowe, które są teraz prowadzone, będą niczym w porównaniu z tym, co stanie się, jeżeli senatorowi Warnerowi coś się przytrafi.

- Powtarzam ci, że szkodzi naszym interesom! - ze złością powiedział Michael.

Jennifer zmieniła ton.

- Michael, zastanów się. Takie akcje prowadzone są nie po raz pierwszy. Jak długo trwają? W pięć minut po zakończeniu tej sprawy senator zajmie się czymś innym i wszystko będzie po staremu. Fabryki, które zostały zamknięte, znowu podejmą pracę i interes zacznie się kręcić. W ten sposób unikniemy wszelkich reperkusji. Spróbuj to zrobić tak, jak proponujesz, a nigdy nie doczekasz się końca sprawy.

- Nie zgadzam się - powiedział Thomas Colfax. - Moim zdaniem...

- Nikt nie pytał o twoje zdanie - warknął Michael Moretti. Thomas Colfax drgnął, jakby został spoliczkowany. Michael nie zwrócił na to uwagi. Colfax zwrócił się o poparcie do Antonio Granellego, ale starzec spał.

- Dobrze, doradco - zwrócił się Michael do Jennifer. - Na razie zostawimy Warnera w spokoju.

Jennifer zorientowała się, że cały czas wstrzymywała oddech. Teraz wolno wypuściła powietrze.

- Czy jest jeszcze coś?

- Tak. - Michael wziął ciężką złotą zapalniczkę i przypalił papierosa. - Nasz przyjaciel, Marco Lorenzo, został skazany za rozbój i wymuszanie pieniędzy.

Jennifer czytała o sprawie. Zgodnie z tym, co pisały gazety, Lorenzo był urodzonym kryminalistą, wielokrotnie aresztowanym za przestępstwa z bronią w ręku.

- Czy chcesz, żebym wniosła apelację?

- Nie, chcę, żebyś przypilnowała, by poszedł do pudła. Jennifer spojrzała na niego zdumiona.

Michael odłożył zapalniczkę na biurko.

- Słyszałem, że Di Silva chce go odesłać na Sycylię. Marco ma tam wrogów. Jeżeli go deportują, nie przeżyje dwudziestu czterech godzin. Najbezpieczniejszym miejscem dla niego jest Sing Sing. Za rok czy dwa, kiedy sprawa przycichnie, wyciągniemy go stamtąd. Czy

możesz to załatwić?

Jennifer zawahała się.

- Gdyby to podlegało kompetencjom innego sądu, prawdopodobnie tak. Ale Di Silva nie będzie się układał ze mną.

- Może powinniśmy zlecić komuś innemu zajęcie się tą sprawą - szybko wtrącił Thomas Colfax.

- Gdybym chciał, żeby ktoś inny tym się zajął - wysapał Michael - to sam był to powiedział. Chcę, żebyś ty się za to wzięła - zwrócił się do Jennifer.

Michael Moretti i Nick Vito obserwowali z okna, jak Thomas Colfax wsiadał do swego samochodu i odjeżdżał.

- Nick, chcę, żebyś się go pozbył - powiedział Michael.

- Colfaxes?

- Nie mogę mu już ufać. Żyj e przeszłością, tak jak staruszek.

- Jak rozkażesz, Mikę. Kiedy chcesz, żebym to zrobił?

- Wkrótce. Dam ci znać.

Jennifer siedziała w gabinecie sędziego Lawrence'a Waldmana. Widziała go po raz pierwszy od przeszło roku. Jego przyjacielskie telefony i zaproszenia na obiady urwały się. „Cóż - pomyślała Jennifer - nic nie mogę na to poradzić”. Lubiła Lawrence'a Waldmana i żałowała, że utraciła jego przyjaźń, ale dokonała wyboru.

Czekając na Roberta Di Silvę, siedzieli w krępującym milczeniu, żadne z nich nie rozpoczynało rozmowy. Kiedy tylko prokurator okręgowy wszedł i zajął miejsce, rozpoczęło się spotkanie.

Sędzia Waldman powiedział do Jennifer:

- Bobby mówi, że chcesz przedyskutować sprawę, zanim wydam wyrok na Lorenza.

- Tak. - Jennifer odwróciła się do prokuratora okręgowego, Di Silvy. - Uważam, że byłoby błędem posyłanie Marca Lorenza do Sing Sing. Jego miejsce nie jest tam. Jest nielegalnym imigrantem. Sądzę, że powinien być odesłany z powrotem tam, skąd przybył, na Sycylię.

Di Silva spojrział na nią zdumiony. Miał zamiar wystąpić o deportację, ale musi zmienić decyzję, jeżeli Jennifer Parker też tego chciała.

- Dlaczego pani o to prosi? - zapytał Di Silva.

- Jest kilka powodów. Po pierwsze, w ten sposób, zapobiegniemy popełnianiu przez niego dalszych przestępstw tutaj i...

- Taki sam będzie efekt, jeśli będzie siedział w Sing Sing.

- Lorenzo to stary człowiek. Nie zniesie wyroku skazującego. Oszaleje, jeśli wtrącie go do więzienia. Na Sycylii mieszkają wszyscy jego przyjaciele. Może sobie tam żyć w promieniach słońca i umrzeć w pokoju w otoczeniu rodziny.

Usta Di Silvy zacisnęły się ze złością.

- Mówimy o gangsterze, który spędził całe życie rabując, gwałcąc i zabijając, a pani się troszczy o to, żeby mógł siedzieć na słoneczku z przyjaciółmi? - Zwrócił się do sędziego Waldmana: - W jakim świecie ona żyje?

- Marco Lorenzo ma prawo do... Di Silva walnął pięścią w biurko.

- On nie ma żadnych praw! Jest oskarżony o napad z bronią w rękę i wymuszanie pieniędzy.

- Na Sycylii, kiedy człowiek...

- Do diabła, on nie jest na Sycylii! - wrzasnął Di Silva. - Jest tutaj! Tutaj popełnił przestępstwo i tutaj za nie zapłaci. - Wstał. - Panie sędzio, tracimy jedynie czas. W imieniu państwa odrzucam jakiegokolwiek wystąpienia obrony w tej sprawie. Zwracam się z prośbą, żeby Marco Lorenzo został umieszczony w Sing Sing.

Sędzia Waldman zwrócił się do Jennifer:

- Czy masz jeszcze coś do dodania?

- Nie, panie sędzio. - Spojrzała gniewnie na Roberta Di Silvę.

- Odczytanie wyroku nastąpi jutro rano. Jesteście oboje wolni - powiedział sędzia Waldman.

Di Silva i Jennifer wstali i opuścili gabinet.

W korytarzu prokurator okręgowy odwrócił się do Jennifer i uśmiechnął się triumfalnie.

- Traci pani swoje umiejętności, pani adwokat. Jennifer wzruszyła ramionami.

- Nie zawsze można wygrywać.

Pięć minut później Jennifer dzwoniła z budki telefonicznej do Michaela Morettiego.

- Możesz przestać się martwić. Marco Lorenzo pójdzie do Sing Sing.

Czas płynął jak rzeka bez brzegów, bez granic. Dzielił się nie na zimy, wiosny, lata czy jesienie, a na rocznice urodzin i chwile radości, na zmartwienia i momenty cierpień, na sprawy sądowe wygrane i przegrane, na obecność Michaela i wspomnianie Adama. Ale głównie był to Joshua, który odmierzał upływ czasu, przypominał, jak szybko mijają lata.

Miał już - nie do wiary! - siedem lat. Wydawało się, że w ciągu jednej nocy wyrósł z kredek i książeczek z obrazkami i zaczął interesować się modelami samolotów i sportem. Joshua dorósł i z każdym dniem był bardziej podobny do ojca, nie tylko zewnątrz. Był wrażliwy i grzeczny i miał silne poczucie sprawiedliwości. Kiedy Jennifer karała go za coś, Joshua mówił z uporem: „Mierzę tylko cztery stopy wzrostu, ale przecież mam swoje prawa”.

Stanowił miniaturę Adama. Był atletycznie zbudowany, tak jak Adam. Jego idolami byli bracia Bebble i Carl Stotz.

- Nigdy o nich nie słyszałam - powiedziała Jennifer.
- Mamo, na jakim ty świecie żyjesz? Przecież oni założyli Małą Ligę.
- Ach, to ci bracia Bebble i Carl Stotz!

Podczas weekendów Joshua oglądał w telewizji relacje ze wszystkich zawodów sportowych - piłki nożnej, koszykówki, baseballu - bez różnicy. Początkowo Jennifer pozwalała oglądać Joshui zawody samemu, ale kiedy próbował potem z nią dyskutować na temat meczów i Jennifer była zupełnie niezorientowana, postanowiła, że będzie lepiej, jeżeli będą oglądać wspólnie. A więc siadywali we dwójkę przed telewizorem, przegryzając prażoną kukurydzą i kibicując graczom.

Pewnego dnia Joshua wrócił do domu ze zmartwioną miną i zapytał:

- Mamusiu, czy możemy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną?
- Naturalnie, Joshuo.

Zanim usiedli przy stole kuchennym, Jennifer przygotowała mu kanapkę z masłem orzechowym i naląła szklanek mleka.

- O co chodzi?

Odezwał się głosem poważnym i przepelnionym troską:

- No więc, słyszałem, jak rozmawiali chłopcy, i zastanawiam się... jak myślisz, czy gdy dorosnę, będzie jeszcze istniał seks?

Jennifer kupiła małą żaglówkę i w czasie weekendów razem z Joshuą wypływali nią. Lubiła obserwować jego twarz, gdy siedział za sterem. Uśmiechał się z podniecenia uśmiechem, który nazywała uśmiechem Eryka Rudego. Joshua był urodzonym żeglarzem, tak

jak jego ojciec. Ta myśl mocno poruszyła Jennifer. Zastanawiała się, czy próbuje przeżyć swoje życie z Joshuą w roli namiastki Adama.

Wszystko, co robiła ze swym synem - żeglowanie, zawody sportowe - robiła również z jego ojcem. Tłumaczyła sobie, że robi to, ponieważ Joshua to lubi, ale nie była pewna, czy jest zupełnie szczerą. Obserwowała Joshuę, robiącego zwrot na wiatr, z policzkami ogorzwałymi od wiatru i słońca, o rozpromienionej twarzy, i zdała sobie sprawę, że nie liczą się przyczyny. Najważniejsze, że jej syn kochał swoje życie z nią. Nie był namiastką swego ojca. Był samym sobą i Jennifer kochała go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Antonio Granelli zmarł i całą kontrolę nad jego królestwem przejął Michael. Pogrzeb był okazały, jak przystało na pogrzeb człowieka kalibru ojca chrzestnego. Przyjechali członkowie Rodziny z całego kraju wraz ze swymi przywódcami, by złożyć hołd przyjacielowi, który ich opuścił, oraz żeby zapewnić nowego capo o swojej lojalności i poparciu. Obecni byli też agenci FBI, podobnie jak kilku innych agencji rządowych, i wszyscy robili zdjęcia.

Rosa miała złamane serce, ponieważ bardzo kochała swojego ojca, ale była dumna z faktu, że mąż zajął miejsce jej ojca jako głowa Rodziny.

Jennifer stawiała się z każdym dniem coraz bardziej niezastąpiona dla Michaela. Kiedy tylko były jakieś problemy, Michael omawiał je z Jennifer. Thomas Colfax stawał się coraz bardziej kłopotliwym dodatkiem.

- Nie przejmuj się nim - powiedział Michael do Jennifer. - Wkrótce przejdzie na emeryturę.

Jennifer obudziły ciche dźwięki telefonu. Leżała w łóżku, nasłuchując przez chwilę, a następnie usiadła i spojrzała na zegar stojący na szafce nocnej. Wskazywał trzecią nad ranem.

Podniosła słuchawkę.

- Halo? Dzwonił Michael.

- Czy możesz się ubrać?

Jennifer wyprostowała się i próbowała spędzić resztki snu z powiek.

- Co się stało?

- Właśnie zatrzymali Eddie'ego Santiniego pod zarzutem napadu z bronią w rękę. Już dwa razy podpadł. Jeżeli teraz oskarżą go, nie dadzą mu żadnej szansy.

- Czy byli jacyś świadkowie?

- Trzej, i wszyscy dobrze mu się przyjrzeni.

- Gdzie jest teraz?

- W siedemnastym komisariacie.

- Już jadę, Michael.

Jennifer włożyła szlafrok i zeszła do kuchni, by zrobić sobie dzbanek gorącej kawy. Siedziała w pokoju śniadaniowym, pijąc ją, patrząc w ciemność nocy i myśląc: trzech świadków, i wszyscy mu się dobrze przyjrzeni.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer.

- Poproszę z działem spraw lokalnych. Jennifer mówiła szybko.

- Mam dla was informację. Facet nazwiskiem Eddie Santini został właśnie zatrzymany pod zarzutem napadu z bronią w rękę. Jego adwokatem jest Jennifer Parker. Będzie próbowała go wybronić.

Odłożyła słuchawkę, po czym wykonała identyczne telefony do dwóch innych redakcji gazet i do stacji telewizyjnej. Kiedy skończyła, spojrzała na zegarek i wypila jeszcze jedną filiżankę kawy. Chciała być pewna, że reporterzy będą mieli czas, żeby dotrzeć do komisariatu przy 51. Ulicy. Poszła na górę i ubrała się.

Zanim wyszła, zajrzała do pokoju Joshuy. Lampka była zapalona. Chłopiec spał smacznie, koce były skręcone wokół niespokojnego ciała. Jennifer delikatnie rozprostowała koc, pocałowała syna w czoło i zaczęła na palcach kierować się w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? Odwróciła się i powiedziała:
- Do pracy. Spij jeszcze.
- Która godzina?
- Jest czwarta rano. Joshua zachichotał.
- Masz dziwne godziny pracy jak na kobietę. Podeszła z powrotem do jego łóżka.
- A ty masz dziwne godziny snu jak na mężczyznę.
- Czy będziemy dzisiaj oglądać Metsów?
- Oczywiście. A teraz wracaj do krainy snów.
- Dobrze, mamusiu. Życzę ci powodzenia.
- Dziękuję, stary.

Parę minut później Jennifer jechała swym samochodem w stronę Manhattanu.

Kiedy przyjechała, przed komisariatem czekał już samotny reporter z „Daily News”. Spojrzał na Jennifer i powiedział:

- A więc to prawda! Rzeczywiście zajmie się pani sprawą Santiniego?
- Skąd pan o tym wie? - zapytała Jennifer.
- Wróbelki ćwierkały, pani adwokat.
- Traci pan czas. Żadnych zdjęć.

Weszła do środka i załatwiła dla Eddie'ego Santiniego zwolnienie za kaucją, opóźniając procedurę, aż była pewna, że przybyli: kamerzysta z telewizji i reporter z fotografem z „The New York Times”. Zdecydowała, że nie może czekać na ludzi z „Post”.

Funkcjonariusz na służbie powiedział:

- Panno Parker, na zewnątrz są reporterzy i ludzie z telewizji. Jeżeli pani chce, może pani wyjść tylnymi drzwiami.
- Nie ma sprawy - powiedziała Jennifer. - Poradzę sobie z nimi.

Wyprowadziła Eddie'ego Santiniego przed frontowe drzwi, gdzie czekali reporterzy i fotografowie.

- Słuchajcie, panowie, proszę, żeby nie było żadnych zdjęć - powiedziała i usunęła się na bok, a fotoreporterzy i kamerzyści zaczęli robić zdjęcia.

Dziennikarz zapytał:

- Co sprawiło, że podjęła się pani tej sprawy?
- Dowiedcie się jutro. A tymczasem radzę wam nie wykorzystywać tych zdjęć.
- Daj spokój, Jennifer! Nie słyszałaś o wolności prasy?

W południe Jennifer miała telefon od Michaela Morettiego. W jego głosie brzmiała złość.

- Czytałaś dzisiejsze gamety?

- Nie.

- A więc słuchaj. Zdjęcia Eddie'ego Santiniego są na pierwszych stronach gazet i w dzienniku telewizyjnym. Nie prosiłem cię przecież, żebyś tę piekielną sprawę zamieniła w cyrk!

- Wiem, że nie. To był mój pomysł.

- Jezu! Ale czemu?

- Ze względu na tych trzech świadków, Michael.

- Jak to?

- Powiedziałeś, że dobrze się przyjrzeni Eddie'emu. Więc kiedy się zjawia w sądzie, by go zidentyfikować, będą musieli udowodnić, że nie rozpoznają go wyłącznie dlatego, iż widzieli jego zdjęcia we wszystkich gazetach i telewizji.

Nastąpiła długa cisza, a potem Michael odezwał się tonem pełnym podziwu:

- Niech to diabli!

Jennifer nie mogła się nie uśmiechnąć.

Kiedy tego popołudnia Jennifer weszła do swojego gabinetu, czekał już na nią Ken Bailey i Jennifer instynktownie poznała po jego minie, że coś się stało.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał Ken.
- Nie powiedziałam ci o czym?
- O sobie i Michaelu Morettim.

Jennifer powstrzymała słowa, które cisnęły się jej na usta. Powiedzieć: to nie twoja sprawa - to byłoby zbyt łatwe. Ken był jej przyjacielem, troszczył się o nią. W pewnym sensie to jednak była jego sprawa. Jennifer pamiętała wszystko: małe biuro, które dzielili na spółkę, jego pomoc. „Mam przyjaciela - prawnika, który mnie prosił o doręczenie kilku

weszań do sądu. Nie mam czasu. Płaci dwadzieścia pięć dolarów za każde wezwanie plus koszty dojazdu. Czy nie pomogłabyś mi?”

- Ken, nie mówmy o tym. W jego głosie brzmiała furia.

- Czemu nie? Przecież wszyscy o tym mówią. Wszyscy wiedzą, że jesteś dziewczyną Morettiego. - Twarz mu pobladła - Jezu!

- Moje życie osobiste...

- On żyje w rynsztoku, a ty przeniosłaś ten rynsztok do naszego biura! Doprowadziłaś do tego, że wszyscy pracowaliśmy dla Morettiego i jego gangsterów.

- Przestań!

- Właśnie to robię. Przyszedłem, żeby ci o tym powiedzieć. Odchodzę.

Słowa te były dla niej szokiem.

- Nie możesz odejść. Źle oceniasz Michaela. Gdybyś go spotkał, przekonałbyś się, że...

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, wiedziała, że popełniła błąd.

Spojrzał na nią smutno i powiedział:

- A więc cię omotał, prawda? Pamiętam cię, kiedy wiedziałaś, kim jesteś. I taką chcę cię zapamiętać. Pożegnaj ode mnie Joshuę.

I wyszedł.

Jennifer poczuła napływające łzy i w gardle coś ją tak ścisnęło, że ledwo mogła oddychać. Położyła głowę na biurku i zamknęła oczy, próbując odgrodzić się od nieznośnego bólu.

Kiedy otworzyła oczy, była już noc. Całe biuro pogrążone było w ciemnościach i docierała tylko tajemnicza, czerwona poświata, rzucana przez światła miasta. Podeszła do okna i wyjrzała na ulice w dole. Wyglądały w nocy jak dżungla, w której jedynie gasnące płomienie ogniska powstrzymywały zgromadzone wokół zjawy.

Była to dżungla Michaela. Nie było z niej drogi odwrotu.

Cow Palace w San Francisco był istnym domem wariatów, wypełnionych po brzegi hałaśliwymi delegatami z całego kraju. Trzech kandydatów ubiegało się o nominację w wyborach prezydenckich i każdy z nich dobrze wypadł na zebraniach przedwyborczych. Ale gwiazdą, która przyćmiła wszystkich, był Adam Warner. W piątym tajnym głosowaniu zdobył nominację, i to jednogłośnie. Jego partia miała wreszcie kandydata, którego mogła wysunąć bez obaw. Aktualny prezydent, lider partii opozycyjnej, cieszył się małym zaufaniem i przez większość ludzi uznawany był za nieodpowiedniego człowieka.

- O ile nie rozepniesz rozporka i nie zrobisz siusiu przed kamerami wieczornych wiadomości - powiedział Adamowi Stewart Needham - zostaniesz następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Po swojej nominacji Adam poleciał do Nowego Jorku na spotkanie w „Regency Hotel” z Needhamem i kilku wpływowymi członkami partii. W sali obecny był Blair Roman, dyrektor drugiej w kraju co do wielkości agencji reklamowej.

- Adamie, Blair będzie odpowiedzialny za prowadzenie akcji propagandowej podczas twojej kampanii - powiedział Stewart Needham.

- Nie potrafię wyrazić, jak jestem szczęśliwy, że tu jestem - uśmiechnął się Blair Roman. - Zostanie pan moim trzecim prezydentem.

- Doprawdy? - Blair nie zrobił dobrego wrażenia na Adamie.

- Proszę mi pozwolić zapoznać pana z niektórymi założeniami naszego planu. - Blair Roman zaczął chodzić po pokoju, wymachując wyimaginowanym kijem golfowym. - Zalejemy kraj reklamówkami telewizyjnymi i stworzymy obraz pana jako człowieka, który może rozwiązać problemy państwa. Taki dobry wujek - tylko młody i przystojny. Rozumie pan, panie prezydencie?

- Panie Roman...

- Słucham?

- Czy mógłby pan nie nazywać mnie panem prezydentem? Blair Roman roześmiał się.

- Przepraszam, wymknęło mi się. W moich oczach jest pan już w Białym Domu. Proszę mi wierzyć, wiem, że jest pan odpowiednim człowiekiem na to miejsce, inaczej nie brałbym udziału w tej kampanii. Jestem wystarczająco bogaty i nie muszę pracować dla pieniędzy.

„Wystrzegaj się ludzi, którzy twierdzą, że są zbyt bogaci, by pracować dla pieniędzy”
- pomyślał Adam.

- My już wiemy, że jest pan odpowiednim człowiekiem na to stanowisko, teraz musimy o tym przekonać społeczeństwo. Proszę spojrzeć na te tablice, które przygotowałem: podzieliłem różne części kraju na poszczególne grupy etniczne. Będziemy kierować pana do kluczowych miejsc, gdzie będzie pan mógł wywrzeć największe wrażenie na ludziach.

Pochylił się do twarzy Adama i powiedział szczerze:

- Pańska żona będzie mocnym atutem. Pisma kobiece będą szalały za informacjami z pana życia rodzinnego. Będziemy pana sprzedawać, panie A,W.

Adama zaczęło to coraz bardziej irytować.

- Jak zamierza pan to uczynić?

- To proste, jest pan produktem, A.W. Chcemy pana sprzedać, tak jak się sprzedaje wszystkie towary. Będziemy...

Adam zwrócił się do Stewarta Needhama.

- Stewart, czy mogę porozmawiać z tobą na osobności?

- Oczywiście. - Stewart odwrócił się do pozostałych i powiedział:

- Zróbmy przerwę na obiad. Spotkamy się tutaj ponownie o dziewiątej. Będziemy wtedy kontynuowali dyskusję.

Kiedy obaj mężczyźni zostali sami, Adam powiedział:

- Na Boga, Stewart! Ten człowiek chce z tego zrobić cyrk! „Jest pan produktem, A.W. Chcemy pana sprzedać, tak jak się sprzedaje wszystkie towary”. To jest obrzydliwe!

- Wiem, co czujesz, Adamie - powiedział Stewart Needham uspokajającym tonem - ale Blair ma wyniki. Kiedy powiedział, że jesteś jego trzecim prezydentem, nie żartował. Każdy prezydent, począwszy od Eisenhowera, miał agencję reklamową, która nadzorowała jego kampanię. Czy ci się to podoba czy nie, w czasie kampanii potrzebne są umiejętności przekonywania. Blair Roman zna psychikę ludzi. Bez względu na to, jak wstrętne może się to wydawać, prawda jest taka, że jeżeli chcesz zostać wybrany na jakikolwiek urząd publiczny, musisz stać się towarem.

- Ależ to okropne!

- To jest część ceny, którą musisz zapłacić. - Podszedł do Adama i położył mu rękę na ramieniu. - Jedyne, co musisz zrobić, to pamiętać o celu. Chcesz być w Białym Domu? W porządku. Zrobimy wszystko, co będziemy mogli, żebyś tam się dostał. Ale ty musisz zrobić to, co do ciebie należy. Jeżeli trzeba zachować się jak prezydent cyrkowy, zrób to.

- Czy naprawdę potrzebujemy Blaira Romana?

- Potrzebujemy jakiegoś Blaira Romana. Blair jest równie dobry, jak każdy inny. Pozwól, że się nim zajmę. Będę go trzymał tak daleko od ciebie, jak to tylko będzie możliwe.

- Będę ci za to wdzięczny.

Kampania rozpoczęła się. Na początku było kilka migawek telewizyjnych i wystąpień na żywo, których ilość stopniowo rosła, aż objęła cały kraj. Gdziekolwiek się nie ruszyć, wszędzie można było zobaczyć senatora Adama Warnera. W każdym zakątku kraju widoczny był na ekranach telewizyjnych, słyszany w radiu, widziany na plakatach. Praworządność i porządek były głównymi hasłami kampanii. Działalność komisji do spraw przestępczości, którą kierował Adam, była również mocno uwypuklona.

Adam nagrał jedno - , trzy - i pięciominutowe filmy telewizyjne, przeznaczone dla różnych części kraju. Filmy, które szły do Zachodniej Wirginii mówiły o bezrobociu i rozległych zasobach węgla, które uczyniłyby ten stan bogatym. Migawki przeznaczone dla Detroit przedstawiały niedogodności życia w mieście, w Nowym Jorku tematem był wzrost poziomu przestępczości.

- Jedyne, co należy robić, A.W., to dotknąć najczulszej struny - zwierzał się Adamowi Blair Roman. - Nie trzeba głęboko roztrząsać zasadniczych spraw. Sprzedajemy jedynie produkt, a tym produktem jest pan.

- Panie Roman - powiedział Adam. - Nie interesuje mnie, co mówią pańskie przekłete statystyki, nie jestem płatkami śniadaniowymi i nie chcę być sprzedawany tak jak one. Będę mówić o tych sprawach dogłębnie, bo uważam, że naród amerykański jest wystarczająco inteligentny, by chcieć o tym wiedzieć.

- Ja tylko...

- Chcę, żeby spróbował pan zorganizować debatę między mną i prezydentem, podczas której przedyskutujemy podstawowe zagadnienia.

- W porządku, A.W. Natychmiast omówię z ludźmi prezydenta sprawę spotkania - powiedział Blair Roman.

- Jeszcze jedno - dodał Adam.

- Tak? Co takiego?

- Proszę przestać nazywać mnie A.W.

Pewnego razu w korespondencji nadeszła informacja od Stowarzyszenia Prawników Amerykańskich o corocznym zjeździe, który tym razem miał się odbyć w Acapulco. Jennifer była w trakcie załatwiania wielu spraw i normalnie zignorowałaby zaproszenie, ale zjazd był organizowany akurat w czasie wakacji Joshuy i Jennifer pomyślała, jak bardzo podobałoby mu się w Acapulco.

- Jadę. Zrób rezerwację na trzy osoby - powiedziała do Cynthii. Chciała zabrać też panią Mackey.

Tego wieczoru przy kolacji Jennifer podzieliła się nowiną z Joshuą.

- Co byś powiedział na wyjazd do Acapulco?
- To w Meksyku - powiedział chłopiec. - Na Zachodnim Wybrzeżu.
- Zgadza się.
- Czy pójdziemy na plażę dla nudystów?
- Joshua!
- Przecież tam są takie plaże, a chodzenie nago to zupełnie normalna rzecz.
- Pomyślę o tym.
- A popłyniemy na ryby?

Jennifer wyobraziła sobie Joshuę próbującego wyciągnąć wielkiego marlina i powstrzymała uśmiech.

- Zobaczymy. Niektóre z tych ryb są całkiem duże.
- I właśnie dlatego to jest takie pociągające - poważnie wyjaśnił Joshua. - Gdyby wszystko było łatwe, to nie byłoby to ciekawe. I nie byłaby to żadna sztuka.

Zupełnie jakby słyszała Adama.

- Zgadzam się.
- A co jeszcze będziemy mogli tam robić?
- No cóż, jeździć konno, chodzić na wycieczki, zwiedzać.
- Ale nie będziemy wchodzić do wielu starych kościołów, dobrze? One wszystkie są takie same.

Adam mówił: „Jeżeli się widziało jeden kościół, to tak, jakby się widziało je wszystkie”.

Zjazd rozpoczynał się w poniedziałek. Jennifer, Joshua i pani Mackey polecili do Acapulco w piątek rano odrzutowcem Branoff. Joshua latał już wiele razy, ale ciągle jeszcze podniecała go myśl o samolotach. Pani Mackey była skamieniała ze strachu.

Joshua pocieszał ją:

- Proszę spojrzeć na to z tej strony - nawet jeśli się rozbijemy, to będziemy cierpieć tylko sekundę.

Pani Mackey zrobiła się blada.

Samolot wylądował na lotnisku Benito Juareza o czwartej po południu i godzinę później cała trójka dotarła do Las Brisas. Hotel był osiem mil od Acapulco i składał się z szeregu zbudowanych na wzgórzu, pięknych, różowych bungalowów, każdy z własnym patio. Bungalow Jennifer, podobnie jak parę innych, miał również własny basen. Nie było łatwo zdobyć miejsca, bo w mieście odbywało się jeszcze kilka innych zjazdów i Acapulco było zatłoczone, ale Jennifer zadzwoniła do jednego ze swoich ważniejszych klientów i po godzinie została poinformowana, że w Las Brisas z niecierpliwością na nią czekają.

Kiedy się rozpakowali, Joshua zapytał:

- Czy możemy iść do miasta i posłuchać, jak mówią? Jeszcze nigdy nie byłem w kraju, gdzie nikt nie mówi po angielsku. Pomyślał przez moment, a potem dodał: - O ile nie liczyć Anglii.

Poszli do miasta i spacerowali po Zocalo, ruchliwym centrum, ale ku rozczarowaniu Joshuy, jedynym językiem, który słyszał, był angielski. Acapulco pełne było turystów amerykańskich.

Przechadzali się po kolorowym targu na głównym molo, naprzeciwko Sanborn, w starej części miasta, gdzie były setki straganów, oferujących oszalałająco różnorodne towary. - Późnym popołudniem wynajęli calandrię, konną bryczkę, i pojechali do Pie de la Cuesta, gdzie obserwowali zachód słońca, a potem wrócili do miasta.

Obiad zjedli w „Armando's Le Club”, gdzie podawano wspaniałe jedzenie.

- Przepadam za meksykańską kuchnią - oświadczył Joshua.
- Cieszę się - powiedziała Jennifer. - Tylko że to była francuska kuchnia.
- Nie szkodzi, ma meksykański posmak.

W sobotę mieli bardzo bogaty program dnia. Rano poszli na zakupy do Quebrada, gdzie mieściły się lepsze sklepy, a potem zatrzymali się na meksykański lunch w „Coyuca 22”. Joshua powiedział:

- Spodziewam się, że mi powiesz, że to też francuska kuchnia.
- Nie, to prawdziwe meksykańskie jedzenie, gringo.
- Co to jest gringo?
- To ty, amigo.

Spacerowali wzdłuż budynków w pobliżu Plaža Caleta, kiedy Joshua zobaczył

plakaty, reklamujące zawody jai alai. Przystanął i wpatrywał się w nie szeroko otwartymi oczami.

- Czy chciałbyś zobaczyć zawody jai alai? - spytała Jennifer.

Joshua przytaknął.

- Jeżeli to nie kosztuje zbyt drogo. Jeżeli wydamy wszystkie pieniądze, nie będziemy mogli wrócić do domu.

- Myślę, że jakoś damy sobie radę.

Weszli do środka i obserwowali zawziętą grę zawodników. Jennifer postawiła w imieniu Joshuy na jedną z drużyn, która właśnie wygrała.

Kiedy Jennifer zaproponowała powrót do hotelu, Joshua powiedział:

- Ojej, mamusiu, a nie możemy najpierw zobaczyć nurków? Dyrektor hotelu wspomniał o nich rano.

- Joshua, jesteś pewny, że nie chciałbyś odpocząć?

- Och, jeżeli jesteś zmęczona, to trudno. Ciągle zapominam o twoim wieku.

To wystarczyło.

- Nie przejmuj się moim wiekiem. Czy da pani radę? - Jennifer zwróciła się do pani Mackey.

- Oczywiście - jęknęła pani Mackey.

Pokazy nurkowania odbywały się na urwisku w Ja Quebrada. Jennifer, Joshua i pani Mackey stali na platformie widokowej dla publiczności, a nurkowie, trzymając zapalone latarki, skakali do wąskiej, skalistej zatoczki, leżącej sto pięćdziesiąt stóp niżej, zgrywając w czasie swoje zanurzenie z nadejściem przybrzeżnej fali. Najdrobniejsza pomyłka oznaczałaby natychmiastową śmierć.

Kiedy pokazy się skończyły, między widzami zaczął krążyć chłopiec zbierający datki dla nurków.

- Uno peso, bor favor. Jennifer dała mu pięć peso. Całą noc śnili się jej nurkowie.

Las Brisas miał swoją własną plażę, La Conchę, i z samego rana w niedzielę Jennifer, Joshua i pani Mackey pojechali tam jeepem z różowym baldachimem, który to samochód był do dyspozycji gości hotelowych. Pogoda była idealna. Przystań przypominała mieniącą się, błękitną materię, usianą motorówkami i żaglówkami.

Joshua stał na skraju tarasu, obserwując przemykających narciarzy wodnych.

- Mamusiu, wiesz, że narty wodne zostały wymyślone w Acapulco?

- Nie. Gdzie to słyszałeś?

- Albo przeczytałem w jakiejś książce, albo sam to wymyśliłem.

- Głosuję za „sam to wymyśliłem”.
- Czy to znaczy, że nie mogę pojechać na nartach wodnych?
- Te motorówki są dosyć szybkie. Nie boisz się? Joshua popatrzył na narciarzy ślizgających się po wodzie.

- Ten człowiek powiedział: „Wyślę cię do domu Pana Jezusa”, a potem wbił mi gwóźdź w rękę.

Było to pierwsze wspomnienie tych straszliwych przeżyć, których doświadczył.

Jennifer przyklękła i objęła syna ramionami.

- Dlaczego o tym pomyślałeś, Joshua? Wzruszył ramionami.
- Nie wiem. Może dlatego, że Jezus kroczył po wodzie i tam też wszyscy chodzą po wodzie. - Zauważył smutny wyraz na twarzy matki. - Przepraszam, mamusiu. Rzadko o tym myślę. Naprawdę.

Przytuliła go mocno i powiedziała:

- Wszystko w porządku, skarbie. Oczywiście, że będziesz mógł pojechać na nartach wodnych. Ale najpierw zjemy lunch.

Restauracja na świeżym powietrzu w La Concha miała krzesła i stoliki z kutego żelaza, przykryte różowymi obrusami i osłonięte parasolami w różowe i białe pasy. Lunch serwowano metodą szwedzkiego stołu i długa lada zastawiona była najrozmaitszymi potrawami. Były świeże homary, kraby i łososie, zimne i gorące mięsa, sałatki, rozmaite surowe i gotowane jarzyny, sery i owoce. Na osobnym stoliku wystawiono świeżo przyrządzone desery. Obie kobiety obserwowały, jak Joshua trzy razy nabierał potrawy na talerz i zmiatał je z apetytem, aż wreszcie najedzony, usiadł wygodnie.

- To jest dobra restauracja - oświadczył. - Jest mi obojętne, jakiej kuchni potrawy tu podają. - Wstał. - Pójdę sprawdzić, jak jeżdżą na nartach.

Pani Mackey ledwo tknęła jedzenia.

- Czy dobrze się pani czuje? - zapytała Jennifer. - Od naszego przyjazdu prawie nie pani nie jadła.

Pani Mackey pochyliła się do przodu i szepnęła ponuro:

- Boję się zemsty Montezumy!
- Nie myślę, żeby musiała pani się o to martwić w takim miejscu.
- Nie przepadam za obcymi potrawami - prychnęła pani Mackey.

Joshua podbiegł do stolika i powiedział:

- Mam łódź. Czy mogę teraz iść, mamusiu?
- Nie chcesz trochę odczekać?

- Dlaczego?
- Joshua, utopisz się po tym, ile zjadłeś.
- Sprawdź! - zaśmiał się.

Podczas gdy pani Mackey została na brzegu, Jennifer i Joshua wsiedli do motorówki i Joshua odbył pierwszą lekcję jazdy na nartach wodnych. Przez pierwsze pięć minut przewracał się, ale potem zaczął jeździć, jakby od urodzenia nic innego nie robił. Zanim minęło popołudnie, Joshua robił sztuczki na jednej nartce, a na zakończenie nawet ślizgał się na samych piętach, bez nart.

Resztę popołudnia spędzili leżąc na piasku i pływając. W drodze powrotnej do Las Brisas Joshua przytulił się do Jennifer i powiedział:

- Wiesz, mamusiu, myślę, że to był chyba najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Przez głowę przemknęły jej słowa Michaela: „Chcę, żebyś wiedziała, że to był najwspanialszy wieczór w moim życiu”.

W poniedziałek Jennifer wstała raniutko i zaczęła szykować się na zjazd. Włożyła ciemnozieloną, plisowaną spódnicę i wyszywaną w olbrzymie, czerwone róże bluzkę bez ramion, która podkreślała jej opaleniznę. Przyjrzała się sobie w lustrze z zadowoleniem. Pomimo że jej syn uważał ją za osobę w podeszłym wieku, Jennifer wiedziała, że wygląda jak piękna trzydziestoczteroletnia siostra Joshuy. Roześmiała się do siebie i pomyślała, że te wakacje były jednym z lepszych jej pomysłów.

- Muszę teraz iść na obrady zjazdu - powiedziała Jennifer do pani Mackey. - Proszę uważać na Joshuę. Niech nie przebywa zbyt długo na słońcu.

Wielkie centrum kongresowe składało się z pięciu budynków, rozrzuconych na trzydziestu pięciu akrach ziemi porośniętej bujną roślinnością, połączonych krytymi przejściami. Na wypielegnowanych trawnikach rozmieszczone były rzeźby z czasów przedkolumbijskich.

Zjazd Związku Adwokatów odbywał się w Teotihuacan, głównej sali, mogącej pomieścić siedem i pół tysiąca ludzi.

Jennifer podeszła do recepcji, zarejestrowała się i weszła do wielkiej sali. Była zatłoczona po brzegi. W tłumie zauważyła wielu przyjaciół i znajomych. Prawie wszyscy ubrani byli, zamiast w tradycyjne garnitury i suknie, w barwne koszule i spodnie. Wyglądało to tak, jakby wszyscy przyjechali na wakacje. „To bardzo dobry pomysł, - pomyślała Jennifer - zorganizować i zjazd w takim miejscu jak Acapulco, a nie w Chicago czy Detroit. Można wreszcie zdjąć sztywne kołnierzyki i ciemne krawaty i odpocząć w tropikalnym słońcu”.

Jennifer otrzymała przy wejściu program, ale pogrążona w rozmowie z kilkoma

przyjaciółmi, nie zwróciła na niego uwagi.

Przez głośniki rozległ się głęboki bas:

- Proszę o uwagę! Czy zechcieliby państwo zająć miejsca? Proszę o uwagę! Pragniemy rozpocząć nasz zjazd. Prosimy o zajęcie miejsc!

Stopniowo, w miarę jak ludzie zaczęli szukać swoich miejsc, małe grupki zaczęły się rozpadać. Jennifer zauważyła, że na podium weszło kilka osób.

Wśród nich był Adam Warner.

Jennifer stała jak skamieniała, podczas gdy Adam podszedł do krzesła tuż obok mikrofonu i usiadł. Poczowała, że serce zaczęło jej walić jak młot. Ostatni raz widziała Adama podczas lunchu w małej włoskiej restauracji, tego dnia, kiedy powiedział jej, że Mary Beth jest w ciąży.

W pierwszym odruchu Jennifer chciała uciec. Nie miała najmniejszego pojęcia, że będzie tu Adam, i nie mogła znieść myśli o spotkaniu z nim. Fakt, że Adam i jego syn byli w jednym mieście spowodował, że wpadła w panikę. Jennifer wiedziała, że musi się stąd szybko wydostać.

Odwróciła się, by wyjść w chwili, gdy przewodniczący ogłosił przez głośniki:

- Gdy tylko pozostali państwo zajmą miejsca, zaczniemy.

Ponieważ ludzie wokół niej zaczęli siadać, Jennifer zorientowała się, że stojąc, zwraca na siebie uwagę. Osunęła się na swoje krzesło, postanawiając, że wymknie się przy pierwszej okazji.

Przewodniczący powiedział:

- Dziś rano mamy zaszczyt gościć wśród nas, jako honorowego mówcę, kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Należy do Nowojorskiego Stowarzyszenia Adwokatów i jest jednym z najwybitniejszych członków senatu Stanów Zjednoczonych. Z ogromną radością przedstawiam państwu senatora Adama Warnera.

Jennifer obserwowała, jak Adam wstał, przyjmując gorące oklaski. Podszedł do mikrofonu i spojrzał na salę.

- Dziękuję, panie przewodniczący, dziękuję państwu. Głos Adama był mocny i donośny i posiadał hipnotyzującą moc. W sali zapanowała cisza.

- Jest wiele powodów, dla których się tutaj zebraliśmy - zaczął. - Niektórzy z nas lubią pływać, a niektórzy nurkować...

- Rozległ się wesoły śmiech. - Ale główny powód naszego spotkania to chęć wymiany poglądów i doświadczeń i omówienie nowych koncepcji. Obecnie prawnicy są bardziej atakowani niż kiedykolwiek za mojej pamięci. Nawet przewodniczący Sądu

Najwyższego ostro krytykuje nasz zawód.

Jennifer podobał się sposób, w jaki użył wyrazu „nasz”, utożsamiając się z nimi wszystkimi. Pozwoliła, by jego słowa przelewały się nad nią, szczęśliwa, że może na niego patrzeć, obserwować jego gesty, słyszeć jego głos. W pewnym momencie przerwał, by przesunąć dłonią po włosach i Jennifer poczuła ostre ukłucie. To był gest Joshuy. Syn Adama był zaledwie parę mil stąd, a Adam nigdy się o tym nie dowie.

Głos Adama stał się mocniejszy, bardziej dobitny.

- Niektórzy z zebranych na tej sali są prawnikami od spraw kryminalnych. Muszę przyznać, że zawsze uważałem to za najbardziej pociągającą dziedzinę w naszym zawodzie. Prawnicy ci często decydują o sprawach życia i śmierci. Jest to bardzo zaszczytna profesja, z której wszyscy możemy być dumni. Ale - jego głos stał się twardy - są wśród nich tacy - Jennifer zauważyła, że teraz Adam odgrodził się od nich przez zmianę zaimka - którzy złamali składaną przysięgę. Amerykański system sprawiedliwości jest oparty na niepodważalnym prawie każdego obywatela do rzetelnego procesu. Jeśli robi się ze sprawiedliwości pośmiewisko, jeśli prawnicy poświęcają swój czas i energię, wyobraźnię i umiejętności, szukając dróg obejścia tego prawa, szukając dróg obalenia sprawiedliwości, to myślę, że nadeszła pora, żeby coś przedsięwziąć.

Oczy wszystkich na sali utkwione były w Adamie, którego wzrok ciskał gromy.

- Proszę państwa, mówię to na podstawie własnego doświadczenia i jestem głęboko oburzony niektórymi zjawiskami, które obserwuję. Obecnie przewodniczę komisji senackiej, badającej zorganizowaną przestępczość w Stanach Zjednoczonych. Komisja moja raz po raz doznawała niepowodzeń wskutek działalności ludzi, którzy uważają się za potężniejszych od najwyższych władz wykonawczych w naszym kraju. Widziałem przekupywanych sędziów, zastraszone rodziny świadków, kluczowych świadków, którzy znikali. Zorganizowana przestępczość w naszym kraju przypomina śmiercionośnego pytona, który dusi naszą gospodarkę, pochłania nasze sądy, zagraża naszemu życiu. Znakomita większość prawników to ludzie godni szacunku, wykonujący szanowany zawód, ale chcę ostrzec tę małą część, która sądzi, że ich prawa są ponad naszymi prawami: robicie poważny błąd i zapłacicie za ten błąd. Dziękuję państwu.

Adam usiadł i rozległy się burzliwe oklaski, które przekształciły się w owację na stojąco. Jennifer mimowolnie powstała i klaskała razem z innymi, ale myślami była przy ostatnich słowach Adama. Czowała się tak, jakby skierowane były bezpośrednio do niej. Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, torując sobie drogę przez tłum.

Kiedy dotarła do drzwi, natknęła się na meksykańskiego prawnika, z którym

pracowała rok temu.

Z galanterią ucałował jej dłoń i powiedział:

- Co za honor gościć cię znowu w naszym kraju, Jennifer. Nalegam, żebyś dziś wieczorem zjadła ze - mną obiad.

Jennifer i Joshua zaplanowali dziś wizytę w „Marii Elenie”. aby popatrzeć na tańce ludowe.

- Przykro mi, Luis. Jestem już umówiona.

Jego ogromne, wilgotne oczy przybrały wyraz rozczarowania.

- W takim razie może jutro?

Zanim Jennifer zdołała odpowiedzieć, zjawił się u jej boku zastępca prokuratora okręgowego z Nowego Jorku.

- Cześć - powiedział. - Dlaczego zadajesz się z miejscowy - , mi facetami? Co powiesz na obiad ze mną dziś wieczorem? Jest tu meksykańska dyskoteka „Nepenta” ze szklaną podłogą, oświetloną od dołu i z lustrem pod sufitem.

- To brzmi zachęcająco, ale dziękuję, jestem dziś zajęta. Po paru chwilach Jennifer okrążyli prawnicy z całego kraju, z którymi współpracowała lub współzawodniczyła. Była znana i każdy chciał z nią rozmawiać. Minęło pół godziny, zanim zdołała się od nich uwolnić. Pospieszyła w kierunku holu i kiedy zbliżyła się do wyjścia, zobaczyła, że w jej stronę idzie Adam, otoczony przez dziennikarzy i agentów ochrony. Jennifer próbowała się wycofać, ale było za późno. Adam zauważył ją.

- Jennifer!

Przez moment chciała udać, że go nie słyszała, ale nie mogła go wprawiać w zakłopotanie w obecności tylu ludzi. Szybko odpowie na jego pozdrowienie i pójdzie swoją drogą.

Obserwowała, jak Adam podchodził do niej, mówiąc do dziennikarzy:

- Proszę państwa, nie mam już teraz nic więcej do powiedzenia.

Chwilę później Adam dotykał jej dłoni, patrząc jej w oczy, i czuli się tak, jakby się nigdy nie rozstawali. Znajdowali się w holu, otoczeni mnóstwem ludzi, a wydawało im się, że są zupełnie sami. Jennifer nie miała pojęcia, jak długo tak stali, przypatrując się sobie nawzajem.

W końcu Adam powiedział:

- Może... może byśmy się czegoś napili?

- Nie... lepiej nie. - Musiała wyrwać się z tego miejsca. Adam potrząsnął głową.

- Uchylam wniosek.

Ujął ją pod ramię i poprowadził do zatłoczonego baru. Znaleźli stolik w głębi sali.

- Dzwoniłem do ciebie i pisałem - powiedział Adam - ale nigdy do mnie nie oddzwaniałaś, a listy odsyłałaś.

Patrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Nie było dnia, żebym nie myślał o tobie. Dlaczego zniknę - łaś?

- To jedna z moich czarodziejskich sztuczek - lekko odparła Jennifer.

Podszedł kelner, aby przyjąć zamówienie. Adam zwrócił się do Jennifer:

- Co będziesz piła?

- Nic. Naprawdę muszę już iść, Adamie.

- Nie możesz teraz odejść. Dziś jest święto. Rocznica rewolucji.

- Ich czy naszej?

- A co to za różnica? - Zwrócił się do kelnera: - Dwa razy margarita.

- Nie. Muszę...

„W porządku - pomyślała Jennifer - jeden drink”.

- Dla mnie podwójny - powiedział beztrąsko. Kelner skinął głową i odszedł.

- Ciągłe o tobie czytam - odezwała się. - Jestem z ciebie bardzo dumna, Adamie.

- Dziękuję. - Adam zawahał się. - Ja tezo tobie czytałem. Wyczuwając ton jego wypowiedzi, odparła:

- Ale nie jesteś ze mnie dumny.

- Wygląda na to, że masz wielu klientów z syndykatu. Jennifer poczuła, że musi się bronić.

- Myślałam, że twój odczyt się skończył.

- To nie jest odczyt, Jennifer. Martwię się o ciebie. Moja komisja zajmuje się Michaeliem Morettim i wiem, że dostaniemy go w swoje ręce.

Jennifer rozejrzała się po barze pełnym prawników.

- Na litość boską, Adamie, nie powinniśmy o tym mówić, szczególnie tu.

- W takim razie gdzie?

- Nigdzie. Michael Moretti jest moim klientem. Nie mogę z tobą o nim rozmawiać.

- Muszę z tobą porozmawiać. Powiedz, gdzie? Potrząsnęła głową.

- Powiedziałam ci, że...

- Chcę porozmawiać o nas.

- Nie ma już nas. - Jennifer wstała. Adam położył rękę na jej ramieniu.

- Proszę, nie odchodź. Nie pozwolę ci odejść. Jeszcze nie. Jennifer niechętnie usiadła.

Oczy Adama utkwione były w jej twarzy.

- Czy myślisz czasami o mnie?

Jennifer spojrzała na niego i nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Czy myśli czasami o nim? Przecież on mieszka z nią! Codziennie rano całuje go na dzień dobry, szykuje mu śniadanie, pływa z nim żaglówką, kocha go.

- Tak - powiedziała w końcu Jennifer. - Myślę o tobie.

- Cieszę się. Czy jesteś szczęśliwa?

- Oczywiście. - Wiedziała, że powiedziała to za szybko.

Przybrała bardziej obojętny ton. - Dobrze mi idzie w pracy. Nieźle mi się powodzi finansowo, dużo podróżuję, spotykam wielu atrakcyjnych mężczyzn. A jak się ma twoja żona?

- Dobrze - powiedział cicho.

- A córka?

Skinął głową, a na jego twarzy odmalowała się duma.

- Samantha jest cudowna. Bardzo szybko rośnie. „Jest w wieku Joshuy”.

- Nie wyszłaś za mąż?

- Nie.

Nastąpiła długa cisza, po której Jennifer chciała mówić dalej, ale zbyt długo się wahała. Było za późno. Adam spojrzał w jej oczy i od razu wszystko wiedział.

Uścisnął jej dłoń.

- Och, Jennifer! Moja najdroższa!

Jennifer czuła, że krew napływa jej do twarzy. Cały czas wiedziała, że to będzie straszliwy błąd.

- Muszę już iść, Adamie. Mam spotkanie.

- Odwołaj je - poprosił.

- Przykro mi, ale nie mogę.

Jedyne, co chciała zrobić, to wydostać się stąd, zabrać swego syna i uciec do domu.

- Mam wracać do Waszyngtonu popołudniowym samolotem - mówił Adam. - Mogę zostać dłużej, jeśli spotkasz się ze mną wieczorem.

- Nie, nie!

- Jennifer, nie mogę ci pozwolić znowu odejść. Nie w ten sposób. Musimy porozmawiać. Zjedz ze mną tylko obiad.

Mocniej ścisnął jej rękę. Spojrzała na niego. Z całych sił walczyła ze sobą, ale czuła, że słabnie.

- Proszę cię Adamie - błagała. - Nie powinni nas razem widzieć. Jeżeli zajmujesz się

Michaelem Morettim...

- To nie ma nic wspólnego z Morettim. Mój przyjaciel pozwolił mi korzystać ze swojej łodzi. Nazywa się „Paloma Blanca”. Jest zacumowana w jachtklubie. Bądź o ósmej.

- Nie przyjdę.

- Będę czekał na ciebie.

W drugim końcu sali, przy zatłoczonym barze, siedział Nick Vito z dwiema meksykańskimi puttanami, które przyprowadził mu znajomy. Obie były ładne, wyzywające i małoletnie, tak jak lubił Vito. Znajomy obiecał mu, że będą wyjątkowe i nie skłamał. Nacierają na niego, szepcząc mu do ucha podniecające obietnice, ale Nick Vito nie słuchał. Patrzył przez salę na stolik, przy którym siedziała Jennifer Parker i Adam Warner.

- Dlaczego nie idziemy na górę do twojego pokoju, querido? - zapytała Nicka jedna z dziewcząt.

Nick Vito miał ochotę podejść do Jennifer i nieznajomego z którym siedziała, i powiedzieć „cześć”, ale obydwie dziewczyny włożyły mu ręce między nogi i zaczęły go głaskać. Dobrze się z nimi zabawi.

- Dobra, chodźmy na górę - powiedział Nick Vito.

„Paloma Blanca” była jachtem żaglowo - motorowym i w świetle księżyca świeciła dumnie swą bielą. Jennifer wolno podeszła do łodzi, rozejrzała się wokół, aby się upewnić, że nikt jej nie obserwuje. Adam powiedział jej, że wymknie się agentom ochrony i najwidoczniej mu się to udało. Jennifer zawiozła Joshuę i panią Mackey do „Marii Eleny”, a sama wzięła taksówkę i kazała kierowcy zatrzymać się dwie przecznice od przystani.

Kilka razy podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Adama i powiedzieć mu, że nie spotka się z nim. Zaczęła pisać list, ale podarła go. Od chwili gdy opuściła Adama w barze, Jennifer przeżywała męki niezdecydowania. Myślała o wszystkich powodach, dla których nie powinna się zobaczyć z Adamem. Najprawdopodobniej nic dobrego z tego nie wyniknie, a może doprowadzić do bardzo przykrych następstw. Kariera Adama może być zagrożona. Cieszył się ogromną popularnością wśród społeczeństwa, prawdziwy idealista w czasach cynizmu, nadzieja ludzi na przyszłość. Był ulubieńcem środków masowego przekazu, ale ci sami dziennikarze, którzy pomogli go wykreować na bohatera, ochoczo strącą go w przepaść, jeśli zniszczy swój obraz, stworzony przez nich.

Jennifer postanowiła, że nie spotka się z nim. Była teraz inną kobietą, żyła innym życiem i należała do Michaela...

Adam czekał na nią przy trapie.

- Tak się bałem, że nie przyjdiesz - powiedział. Znalazła się w jego ramionach i zaczęli się całować.

- A co z załogą, Adamie? - zapytała Jennifer.

- Odesłałem ją. Czy pamiętasz jeszcze, jak się żeglują?

- Jeszcze pamiętam.

Postawili żagle i dziesięć minut później „Paloma Blanca” płynęła przez port, kierując się w stronę otwartego morza. Przez pierwsze pół godziny zajęci byli nawigacją, ale ani przez moment nie tracili świadomości swojej obecności. Napięcie rosło i oboje wiedzieli, że to, co miało się stać, było nieuniknione.

Kiedy wreszcie wypłynęli na oświetlony księżycem Pacyfik, Adam przysunął się do Jennifer i objął ją ramionami.

Kochali się na pokładzie w blasku gwiazd, a delikatny, świeży wiatr chłodził ich nagie ciała.

Nie liczyła się przeszłość ani przyszłość, jedynie teraźniejszość, ograniczająca ich szybko mijającymi chwilami. Bo Jennifer wiedziała, że ta noc w ramionach Adama nie była

początkiem, lecz końcem. Nie było sposobu, by połączyć światy, w których każde z nich żyło. Za bardzo się od siebie oddalili i nie było drogi powrotu. Ani teraz, ani nigdy. Będzie zawsze miała część Adama w Joshui i to jej wystarczy, musi wystarczyć. Tak samo jak ta noc musi jej wystarczyć na resztę życia.

Leżeli razem, słuchając cichego plusku fal za burzą.

- Jutro... - zaczął Adam.

- Nic nie mów, Adamie - szepnęła Jennifer - tylko mnie kochaj.

Obsypała jego usta pocałunkami i delikatnie przesunęła palcami wzdłuż jego silnego, smukłego ciała. Delikatnymi, pieszczotliwymi ruchami rąk sięgała coraz niżej.

- O Boże, Jennifer - szepnął Adam, a jego usta zaczęły wolno przesuwać się wzdłuż jej nagiego ciała.

- Ten łajdak dawał mi malocchio - skarżył się mały Salvatore Fiore - więc musiałem go w końcu załatwić.

Nick Vito roześmiał się, bo każdy, kto był tak głupi, żeby włączyć się z „Kwiatuszkiem”, musiał iść na lunch. Nick Vito bawił się dobrze w wielkiej kuchni razem z Salvatore Fiore i Josephem Colellą, rozmawiając o dawnych czasach, czekając, aż skończy się narada w salonie. Karzeł i olbrzym byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Przeszli razem przez ogień. Nick Vito patrzył na obu mężczyzn i myślał szczęśliwy: „Są jak bracia”.

- A jak twój kuzyn Pete? - zapytał Nick olbrzymiego Colellę.

- Miał raka i było już z nim krucho, ale jakoś się wylizał.

- To wspaniały chłop.

- Tak, Pete to poczciwy facet, tylko trochę mu się nie poszczęściło. Stał na czujce w czasie skoku na bank, ale to nie była jego wina, a te pieprzone gliny namierzyły go i wsadziły do paki. Nie było mu łatwo. Chcieli go przekabacić na swoją stronę, ale na próżno tracili czas.

- Do diabła, Pete ma klasę.

- Tak, zawsze lubił duże pieniądze, duże baby i duże samochody.

Z salonu dobiegły odgłosy podniesionych, zdenerwowanych głosów. Słuchali przez chwilę.

- Wygląda na to, że Colfax ma robaki w dupie.

Thomas Colfax i Michael Moretti byli sami w pokoju omawiając wielką operację hazardową, którą wkrótce Rodzina miała rozpocząć na Wyspach Bahama. Michael nakazał Jennifer przygotowanie całej transakcji.

- Nie możesz tego zrobić, Mikę - zaprotestował Colfax. - Ja znam tam wszystkich chłopaków. Ona nie. Musisz mi pozwolić tym się zająć.

Wiedział, że mówi zbyt głośno, ale nie był w stanie nad sobą zapanować.

- Za późno - powiedział Michael.

- Nie ufam tej dziewczynie. Tak samo zresztą jak Tony.

- Tony'ego już nie ma wśród nas. - Głos Michaela był niebezpiecznie spokojny.

Thomas Colfax wiedział, że to ostatni moment, żeby się wycofać.

- Oczywiście, Mikę. Mówię jedynie, że ta dziewczyna to błąd. Przyznaję, że jest bystra, ale ostrzegam cię, ona może nas wszystkich załatwić.

Ale prawdziwym zmartwieniem Michaela był Thomas Colfax. Prace prowadzone przez komisję do spraw przestępczości pod kierownictwem Warnera były w pełnym toku.

Kiedy dotrą do Colfaxes, jak długo ten stary człowiek będzie się opierał, zanim się załamie? Wiedział więcej o Rodzinie, niż Jennifer kiedykolwiek się dowie. To Colfax mógł ich wszystkich zniszczyć, a Michael mu nie ufał.

- Odsuń ją na jakiś czas - mówił Thomas Colfax - zanim nie przycichną prace komisji. Jest kobietą. Jeżeli zaczną ją przyciskać, będzie mówić.

Michael przyjrzał mu się i podjął decyzję.

- W porządku, Tom. Może masz rację. Jennifer może nie być niebezpieczna, ale z drugiej strony, jeżeli nie jest z nami na sto procent, to po co niepotrzebnie ryzykować?

- I to jest właśnie to, co sugeruję, Mike. - Thomas Colfax z ulgą powstał z krzesła. - Postępujesz rozsądnie.

- Wiem. - Michael odwrócił się w stronę kuchni i wrzasnął: - Nick!

Po chwili pojawił się Nick.

- Odwieź consigliere z powrotem do Nowego Jorku, dobrze?

- Jasna sprawa, szefie.

- Och, przy okazji chcę, żebyś się zatrzymał i dostarczył pewną przesyłkę. Nie masz nic przeciwko temu? - zwrócił się do Thomasa Colfaxes.

- Oczywiście, że nie, Mike. - Adwokat upajał się swoim zwycięstwem.

Michael Moretti powiedział do Nicka Vito:

- Chodź ze mną, jest na górze.

Nick poszedł za Michaeliem do jego sypialni. Kiedy weszli do środka, Michael zamknął drzwi.

- Chcę, żebyś zrobił przystanek, zanim wyjedziesz z New Jersey.

- Naturalnie, szefie.

- Chcę, żebyś pozbył się śmieci. Nick Vito spojrzał zaintrygowany.

- Consigliere - wyjaśnił Michael.

- Ach, dobrze. Wedle rozkazu.

- Wywieź go na wysypisko śmieci. O tej porze nie będzie tam nikogo.

Piętnaście minut później limuzyna jechała w stronę Nowego Jorku. Nick Vito siedział za kierownicą, a Thomas Colfax na siedzeniu obok niego.

- Cieszę się, że Mike zdecydował się odsunąć tę dziwkę - powiedział Thomas Colfax.

Nick zerknął spod oka na nic nie podejrzewającego prawnika siedzącego obok niego.

- Uhm.

Thomas Colfax spojrzał na złoty zegarek Baume and Mercier. Była trzecia nad ranem, powinien już dawno być w łóżku. To był wyczerpujący dzień i czuł zmęczenie. „Staję się już

za stary na te batalie” - pomyślał.

- Daleko jedziemy?

- Nie - mruknął Nick.

Nick Vito czuł zamęt w głowie. Zabijanie było częścią jego zawodu, i to częścią, którą lubił, ponieważ dawało mu to poczucie siły. Nick, gdy zabijał, czuł się jak bóg, był wszechmocny. Ale tej nocy odczuwał zaniepokojenie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego kazano mu sprzątnąć Thomasa Colfaxes. Colfax był consigliere, człowiekiem, do którego zwracali się wszyscy, którzy popadli w kłopoty. Consigliere był najważniejszą osobą w organizacji po ojcu chrzestnym. Kilka razy uratował Nicka przed więzieniem.

„Do diabła! - pomyślał Nick - Colfax miał rację. Miał nie powinien być nigdy pozwolić kobiecie zajmować się naszymi sprawami. Mężczyźni kierują się rozumem, kobiety cipami. Och, jak chciałby dostać Jennifer Parker w swoje ręce! Pieprzyłby ją, aż zaczęłaby wołać »mamo!«, a potem...”

- Uważaj! Zjechałeś z drogi!

Wysypisko śmieci było już niedaleko. Nick czuł, jak poci się pod pachami. Znowu spojrzał ukradkiem na Thomasa Colfaxes.

„Załatwienie go to pestka. To tak, jak ułożyć dziecko do snu, ale - do diabła! - to nie było właściwe dziecko! Ktoś podpuścił Micke'a. To był błąd. To tak, jakbym zamordował swojego starego”.

Żałował, że nie mógł omówić tego z Salvatore i Joe. Oni by mu doradzili, co zrobić.

Nick widział już wysypisko z prawej strony szosy. Nerwy zaczęły mu się napinać, jak zawsze przed akcją. Przycisnął lewe ramię do boku i poczuł wybrzuszenie, spowodowane przez znajdujący się tam smith and wesson kalibru 38 o krótkiej lufie.

- Chyba się trochę zdrzemnę - ziewnął Thomas Colfax.

- Dobra - przytaknął Nick i pomyślał: „To będzie długi sen”. Samochód zbliżał się do wysypiska. Nick spojrzał w lusterko wsteczne i zlustrował drogę przed sobą. Nie było widać żadnych samochodów.

Gwałtownie nacisnął hamulec i powiedział:

- Cholera, chyba złapałem gumę.

Zatrzymał samochód, otworzył drzwi i wysiadł. Wysunął pistolet z kabury i trzymał go boku. Potem podszedł z drugiej strony samochodu i powiedział:

- Czy może mi pan pomóc?

Thomas Colfax otworzył drzwi i wysiadł.

- Nie znam się za bardzo na... - Ujrzał w ręku Nicka uniesioną broń i urwał.

Spróbował przełknąć ślinę. - O c... co chodzi, Nick? - Jego głos załamał się. - Co takiego zrobiłem?

To było pytanie, które przez cały wieczór dręczyło Nicka Vi - to. Ktoś grał z Mickiem. Colfax był po ich stronie, był jednym z nich. Kiedy młodszy brat Nicka popadł w kłopoty z policją federalną, to właśnie Colfax wkroczył i uratował chłopaka. Nawet załatwił mu robotę! „Do diabła! Jestem jego dłużnikiem” - pomyślał Nick.

Opuścił rękę z pistoletem.

- Na rany Chrystusa, nie wiem, panie Colfax. Coś tu nie gra. Thomas Colfax popatrzył na niego przez chwilę i westchnął.

- Rób, co masz robić, Nick.

- Jezu, nie mogę. Jest pan moim consigliere.

- Mick cię zabije, jeśli mnie puścisz wolno.

Nick wiedział, że Colfax ma rację. Michael Moretti nie należał do ludzi, którzy tolerują nieposłuszeństwo. Nick przypomniał sobie Tommy'ego Angelo. Angelo był...

Michael polecił mu, żeby wziął samochód, którego używali w akcji, i oddał do sprasowania w składnicy złomu w New Jersey, należącej do Rodziny. Tommy Angelo spieszył się na spotkanie, więc porzucił samochód na ulicy w East Side, gdzie znaleźli go detektywi. Angelo zniknął następnego dnia i mówiono, że jego ciało umieszczono wewnątrz starego chevroleta i sprasowano. Nikt, kto sprzeciwił się Michaelowi Morettiemu, nie przeżył.

„Ale jest pewien sposób” - pomyślał Nick.

- Mike nie musi się o tym dowiedzieć - powiedział Nick. Jego zazwyczaj powolny umysł pracował gorączkowo, z niezwykłą jasnością. - Proszę posłuchać - ciągnął. - Musi pan jedynie uciec z kraju. Powiem Mike'owi, że zakopałem zwłoki pod śmieciami, więc nigdy ich nie znajdą. Może się pan ukryć w Ameryce Południowej albo gdzie indziej. Na pewno ma pan gdzieś odłożone trochę forsy.

Thomas Colfax próbował nie okazywać resztek nadziei.

- I to niemało, Nick. Dam ci, ile tylko... Nick gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie robię tego dla pieniędzy. Robię to, ponieważ - jak można to ująć w słowa? - szanuję pana. Musi mnie pan jedynie chronić. Czy może pan złapać poranny samolot do Ameryki Południowej?

- Nie ma sprawy, Nick - powiedział Thomas Colfax. - Podrzuc mnie tylko do domu. Mam tam paszport.

Dwie godziny później Thomas Colfax był na pokładzie odrzutowca Eastern Airlines lecącego do Waszyngtonu.

Nadszedł ostatni dzień ich pobytu w Acapulco. Poranek był cudowny. Ciepły, łagodny wietrzyk wygrywał melodie na liściach palm. Plaża w La Concha pełna była turystów, łączywie korzystających z ostatnich promieni słońca przed powrotem do rutyny codziennego dnia.

Joshua zbiegł na śniadanie w samych kąpielówkach, jego wysportowana, drobna figurka, zgrabna i opalona, przyciągnęła wzrok wszystkich. Pani Mackey ociężale kroczyła za nim.

- Mamusiu, upłynęło już tak dużo czasu, że na pewno strawiłem jedzenie - powiedział Joshua. - Czy mogę teraz iść na narty wodne?

- Joshua, przecież dopiero co skończyłeś jeść.

- Ja mam bardzo szybką przemianę materii - wyjaśnił chłopiec z przekonaniem. - Natychmiast trawię pokarm.

- W porządku - zgodziła się Jennifer, rozbawiona. - Baw się dobrze.

- Oczywiście.

Jennifer obserwowała, jak Joshua pognał wzdłuż przystani do czekającej motorówki. Widziała, jak rozpoczął poważną rozmowę z właścicielem łodzi, a potem obaj zwrócili się w stronę Jennifer. Dała znak, że się zgadza, mężczyzna kiwnął głową i Joshua zaczął zakładać narty wodne.

Motorówka zaryczała i Joshua zaczął unosić się na wodzie.

- To urodzony sportowiec, prawda? - powiedziała dumnie pani Mackey.

Joshua odwrócił się, by pomachać do nich ręką, i w tym momencie stracił równowagę i upadł na przybrzeżne pale. Jennifer zerwała się i zaczęła biec w stronę przystani. Po chwili zobaczyła, jak głowa Joshuy ukazała się na powierzchni wody i chłopiec śmiejąc się, wygramolił się na brzeg. Jennifer stała z bijącym sercem i obserwowała, jak Joshua z powrotem zakłada narty wodne. Łódź krążyła w pobliżu, a potem znów zaczęła płynąć w stronę otwartego morza, nabierając wystarczającej prędkości by pociągnąć chłopca za sobą. Joshua odwrócił się jeszcze raz by pomachać matce, a potem zniknął w oddali. Jennifer stała wpatrzona w wodę, serce ciągle waliło jej jak młot. Gdyby mu się coś stało... Zastanowiła się, czy inne matki też tak bardzo kochały swoje dzieci, jak ona swego syna, ale wydawało jej się to niemożliwe. Ona oddałaby za niego życie, popełniłaby dla niego każdą zbrodnię. „Przecież to zrobiłam - pomyślała. - Zabiłam rękami Michaela Morettiego”.

- To mógł być groźny upadek - powiedziała pani Mackey.

- Dzięki Bogu, że nic mu się nie stało.

Joshua spędził na wodzie całą godzinę. Kiedy łódź zbliżyła się ponownie do brzegu, puścił linkę i zgrabnie wjechał na piasek plaży. Podbiegł do Jennifer niezwykle podniecony.

- Mamusiu, szkoda, że tego nie widziałeś! To była prawdziwa katastrofa morska. Wywróciła się duża żaglówka morska, a my zatrzymaliśmy się i uratowaliśmy wszystkim życie.

- To wspaniale, synu. A ilu ludzi uratowałeś?

- Było ich sześciu.

- I całą szóstkę wyciągnąłeś z wody? Joshua zawahał się.

- Właściwie to nie wyciągaliśmy ich z wody. Oni tak jakby siedzieli na burcie. Ale najprawdopodobniej zagłodziliby się na śmierć, gdybyśmy nie nadpłynęli.

Jennifer zagryzła usta, by się nie roześmiać.

- Rozumiem. Mieli szczęście, że się zjawiliście, co?

- No chyba.

- Kochanie, czy nic sobie nie zrobiłeś, kiedy upadłeś?

- Oczywiście, że nie - odparł i pomacał tył głowy. - Mam tylko małego guza.

- Pokaż no!

- Dlaczego? Przecież wiesz, jak wygląda guz.

Jennifer pochyliła się i delikatnie pomacała dłonią tył głowy chłopca.

Pod palcami wyczuła duże zgrubienie.

- Ten guz jest wielki jak śliwka, Joshuo.

- To nic.

Jennifer podniosła się.

- Myślę, że lepiej będzie, jak wrócimy już do hotelu.

- Nie możemy jeszcze trochę zostać?

- Niestety nie. Musimy się pakować. Chyba nie chcesz stracić sobotniego meczu?

- Pewnie, że nie. Terry Waters tylko czeka, żeby zająć moje miejsce.

- On? To wykluczone. Przecież rzuca jak dziewczyna. Joshua skinął głową i powiedział z zadowoloną miną:

- Ty też to zauważyłaś?

Kiedy wrócili do Las Brisas, Jennifer zadzwoniła do recepcji hotelowej i poprosiła, by przysłano do ich pokoju doktora. Lekarz zjawił się po trzydziestu minutach. Był to korpulentny Meksykanin w średnim wieku, ubrany w niemodny biały garnitur. Jennifer wpuściła go do środka.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał doktor Raul Mendoza.

- Mój syn dziś rano upadł i nabił sobie na głowie paskudnego guza. Chcę się upewnić, że to nic poważnego.

Jennifer zaprowadziła go do sypialni Joshuy, który właśnie pakował swoją walizkę.

- Joshuo, to jest doktor Mendoza. Chłopiec spojrzał na lekarza i zapytał:

- Czy ktoś jest chory?

- Nie, nikt nie jest chory, mój kawalerze. Chciałam tylko, żeby pan doktor obejrzał twoją głowę.

- Och, na litość boską, mamó! Czego ty chcesz od mojej głowy?

- Niczego. Będę po prostu spokojniejsza, gdy doktor Mendoza cię zbada. Zrób to dla mnie, dobrze?

- Ach, te kobiety! - powiedział Joshua z rezygnacją w głosie, po czym spojrzał podejrzliwie na lekarza. - Nie będzie mi pan wbijał żadnych igieł czy czegoś w tym rodzaju?

- Nie, señor, jestem zupełnie niegroźnym doktorem.

- Właśnie takich lekarzy lubię.

- Usiądź, proszę.

Joshua usiadł na skraju łóżka, a doktor Mendoza przesunął palcami po jego głowie. Chłopiec skrzywił się z bólu, ale ani pisnął. Doktor sięgnął po swoją torbę i wyciągnął z niej oftalmoskop.

- Otwórz szeroko oczy.

Joshua posłusznie wykonał polecenie lekarza, a ten przez dłuższą chwilę patrzył przez przyrząd.

- Czy widzi pan jakieś tańczące nagie dziewczyny?

- Joshua!

- Tylko pytam.

Doktor Mendoza zbadał drugie oko.

- Jesteś zdrow jak ryba. Chyba tak to się mówi potocznie w twoim języku? - Wstał i zamknął torbę lekarską. - Zrobiłbym mu jedynie zimny okład - powiedział do Jennifer. - Jutro nie będzie nawet śladu.

Jennifer czuła się tak, jakby ktoś zdjął jej z serca wielki ciężar.

- Dziękuję - powiedziała.

- Rachunek zostawię w kasie hotelowej, señora. Do widzenia, młody człowieku.

- Do widzenia, doktorze Mendoza.

Kiedy doktor wyszedł, Joshua zwrócił się do matki:

- Widzę, że lubisz wyrzucać pieniądze w błoto, mamó.
- Tak. Lubię tracić pieniądze na takie rzeczy, jak jedzenie, twoje zdrowie...
- Przecież jestem najzdrowszą osobą pod słońcem.
- I chcę, żebyś zawsze taki był.
- Obiecuję ci to - zaśmiał się chłopiec.

Odlecieli do Nowego Jorku samolotem o szóstej i późną nocą byli z powrotem w Sands Point. Joshua całą drogę spał.

Pokój pełen był duchów z przeszłości. Adam Warner siedział w swoim gabinecie, przygotowując główne wystąpienie telewizyjne swojej kampanii, ale nie mógł się skupić. Myślami był przy Jennifer. Od powrotu z Acapulco nie był w stanie myśleć o niczym innym. Spotkanie z Jennifer tylko utwierdziło go w tym, co wiedział od samego początku. Dokonał złego wyboru. Nigdy nie powinien rozstawać się z Jennifer. Spotkanie z nią na nowo uzmysłowiło mu to wszystko, co posiadał i co odrzucił. Nie mógł sobie teraz tego darować.

Znajdował się w sytuacji bez wyjścia. W sytuacji, w której - jakby wyraził się Blair Roman - nie ma wygranych.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł główny asystent Adama, Chuck Morrison, trzymając w ręku kasetę.

- Adamie, czy mogę z tobą przez chwilę pomówić?
- Czy to nie może poczekać, Chuck? Jestem właśnie w środku...
- Obawiam się, że nie. - W głosie Chucka Morrisona słychać było podniecenie.
- No dobrze. Cóż to takiego pilnego? Chuck Morrison zbliżył się do biurka.
- Właśnie odebrałem telefon. To mógł być szaleniec, ale jeśli nie, to wkrótce będziemy świętować zwycięstwo. Posłuchaj tylko.

Włożył kasetę do magnetofonu stojącego na biurku Adama, nacisnął klawisz i po chwili z głośnika rozległy się głosy:

- Czy może pan powtórzyć swoje nazwisko?
- Moje nazwisko nie jest istotne. Nie będę rozmawiał z nikim innym poza senatorem

Warnerem.

- Senator jest w tej chwili zajęty. Proszę zostawić informację, a postaram się, żeby...

- Nie! Proszę posłuchać, to bardzo ważne. Proszę powiedzieć senatorowi, że mogę mu pomóc załatwić Michaela Morettiego. Dzwoniąc teraz, ryzykuję swoje życie. Proszę o przekazanie tego senatorowi Warnerowi.

- Dobrze. Gdzie pan jest?

- W motelu „Capitol” przy 32. Ulicy. Pokój czternaście. Proszę powiedzieć senatorowi, żeby nie przychodził przed zmrokiem i żeby upewnił się, czy nie jest śledzony. Wiem, że to nagrywacie. Jeżeli tej taśmy wysłucha ktoś poza nim, jestem już trupem.

Dał się słyszeć trzask i taśma zatrzymała się.

- Co o tym myślisz? - zapytał Chuck. Adam zmarszczył brwi.
- Miasto roi się od żartownisiów. Z drugiej strony, facet wie, jakiej użyć przynęty, co?

Mój Boże, Michael Moretti!

Tego samego wieczoru, o dziesiątej Adam Warner, któremu towarzyszyło czterech tajniaków, ostrożnie zapukał do drzwi pokoju numer 14 w motelu „Capitol”. Drzwi uchyliły się nieco.

W chwili gdy Adam ujrzał przez szparę twarz mężczyzny, odwrócił się do towarzyszących mu osób i powiedział:

- Zostańcie tutaj. Nie pozwólcie nikomu tu się zbliżyć. Drzwi otworzyły się szerzej i Adam wszedł do środka.

- Dobry wieczór, senatorze Warner.

- Dobry wieczór, panie Colfax.

Obaj mężczyźni stali, przyglądając się sobie nawzajem. Thomas Colfax wyglądał starszej niż ostatnim razem, kiedy Adam go widział, ale była jeszcze jedna różnica, trudna do określenia. Nagle Adam uświadomił sobie, co to takiego było: strach. Thomas Colfax bał się. Zawsze był bardzo pewny siebie, niemal arogancki. Teraz całe jego zadufanie zniknęło.

- Dziękuję, że pan przyszedł, panie senatorze. - Głos Colfaxes brzmiał nerwowo i nienaturalnie.

- Rozumiem, że chce pan ze mną mówić o Michaelu Morettim.

- Mogę go panu przynieść na tacy.

- Jest pan adwokatem Morettiego. Dlaczego chce pan to zrobić?

- Mam swoje powody.

- Powiedzmy, że zgadzam się na układ z panem. Czego oczekuje pan w zamian?

- Po pierwsze, absolutnej nietykalności. Po drugie, chcę wyjechać z kraju. Potrzebny mi paszport i dokumenty na inne nazwisko.

A więc Michael Moretti zerwał umowę z Thomasem Colfaxem. Było to jedyne wytłumaczenie tego, co się teraz działo. Adam ledwo wierzył w swoje szczęście. Była to najlepsza rzecz, jaka go mogła spotkać.

- Jeżeli zagwarantuję panu nietykalność - zaczął Adam - chociaż na razie jeszcze niczego panu nie obiecuję, rozumie pan, że oczekuję w zamian, że wystąpi pan przed sądem i złoży zeznania. Chcę, żeby pan powiedział wszystko, co pan wie.

- Zgoda.

- Czy Moretti wie, gdzie pan teraz jest?

- Myśli, że nie żyję. - Thomas Colfax uśmiechnął się nerwowo. - Jeśli mnie znajdzie, jestem trupem.

- Nie znajdzie pana. O ile, oczywiście, dojdziemy do porozumienia.

- Senatorze, składam swoje życie w pana ręce.

- Mówiąc szczerze - powiedział Adam - nie zależy mi na pana życiu. Chcę mieć Morettiego. Ustalmy podstawowe warunki. Jeżeli dojdziemy do porozumienia, dam panu ochronę, jaką tylko rząd może zagwarantować. Jeśli będę zadowolony z pańskich zeznań, otrzyma pan dosyć pieniędzy, aby móc żyć pod przybranym nazwiskiem w jakimkolwiek wybranym przez siebie kraju. W zamian za to musi się pan zgodzić na poniższe: żądam pełnych informacji dotyczących działalności Morettiego. Będzie pan musiał zeznać przed sądem, a kiedy wytoczmy Morettiemu proces, oczekuję, że będzie pan świadkiem oskarżenia. Zgoda?

Thomas Colfax odwrócił wzrok. W końcu powiedział:

- Tony Granelli chyba się przewraca w grobie. Co się dzieje z ludźmi? Co się stało z honorem?

Adam nie odpowiedział. Stał przed nim człowiek, który setki razy oszukiwał prawo, który pomagał ująć bezkarnie płatnym mordercom, który uczestniczył w kierowaniu działalnością najbardziej występnej organizacji przestępczej, jaką znał cywilizowany świat. I ten człowiek pyta, co się stało z honorem.

Thomas Colfax odwrócił się do Adama.

- Zgoda. Chcę to mieć na piśmie, podpisane przez prokuratora generalnego.

- Dobrze - powiedział Adam, po czym dodał, rozglądając się po nędznym pokoju motelowym: - Proponuję opuścić to miejsce.

- Nie przeniosę się do hotelu. Moretti ma wszędzie oczy i uszy.

- Ale nie tam, dokąd się udamy.

Dziesięć minut po północy ciężarówka wojskowa i dwa jeepy, pełne uzbrojonych marines, podjechały pod domek nr 14. Cztery żandarmi wojskowi weszli do środka i parę minut później wyszli, eskortując Thomasa Colfaksa do budy ciężarówki. Kolumna pojazdów ruszyła sprzed motelu - jeden jeep jechał przed ciężarówką, drugi podążał z tyłu - i skierowała się w stronę Quantico w stanie Wirginia, położonego trzydzieści pięć mil na południe od Waszyngtonu. Samochody jechały z dużą szybkością i po czterdziestu minutach dotarły do bazy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych w Quantico.

Dowódca bazy, generał - major Roy Wallace, i uzbrojeni marines, przydzieleni do akcji, czekali przy bramie. Kiedy kolumna aut zatrzymała się, generał Wallace powiedział do dowódcy odkomenderowanych żołnierzy:

- Proszę odprowadzić więźnia prosto do celi. Wszelkie rozmowy z nim są zabronione.

Generał - major Wallace obserwował, jak oddział wkroczył na teren bazy. Oddałby

swoje” miesięczne pobory, żeby poznać nazwisko mężczyzny, który przybył ciężarówką. Generał dowodził 310 - akrową bazą powietrzną Korpusu Piechoty Morskiej i częścią akademii FBI; było to główne centrum szkolenia oficerów Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Nigdy dotąd nie proszono go o udostępnienie pomieszczenia dla cywilnego więźnia. Było to absolutnie niezgodne z regulaminem.

Dwie godziny wcześniej zadzwonił do niego sam dowódca Korpusu Piechoty Morskiej.

- Roy, pewien człowiek jest w drodze do twojej bazy. Chcę, abyś opróżnił więzienie i przetrzymał tam nowego przybysza do czasu otrzymania dalszych rozkazów.

Generał Wallace myślał, że się przesłyszał.

- Czy powiedział pan „opróżnić więzienie”?

- Tak. Chcę, żeby ten człowiek przebywał sam. Nikomu nie wolno się do niego zbliżyć. Chcę, aby podwoił pan strażę. Jasne?

- Tak jest, panie generale.

- Jeszcze jedno, Roy. Jeżeli temu mężczyźnie przytrafi się cokolwiek kiedy będzie pod pańską opieką, to nogi panu z dupy powyrywam.

I komendant odłożył słuchawkę.

Generał Wallace obserwował, jak ciężarówka z turkotem podjechała pod pawilon więzienny, po czym wrócił do swojego gabinetu i zadzwonił na swojego adiutanta, kapitana Alvina Gilesa.

- Chodzi o tego człowieka, którego właśnie umieściliśmy w więzieniu... - zaczął generał Wallace.

- Słucham, panie generale.

- Naszym głównym celem jest zapewnienie mu bezpieczeństwa. Chcę, żeby osobiście wybrał pan strażników. Poza nimi nikomu nie wolno się do niego zbliżać. Żadnych listów, żadnych paczek. Jasne?

- Tak jest, panie generale.

- Jeżeli ktokolwiek okaże jakieś nadmierne zainteresowanie jego osobą, chcę, aby mi o tym natychmiast meldowano. Czy są jakieś pytania?

- Nie, panie generale.

- Świetnie, Al. Dopilnuj wszystkiego. Pamiętaj, że jeżeli coś mu się przytrafi, to ci nogi z dupy powyrywam.

Jennifer obudziło delikatne bębnienie porannego deszczu. Leżała w łóżku, nasłuchując, jak krople cicho stukają w ściany domu.

Spojrzała na budzik. Była pora wstawać.

Pół godziny później zeszła do jadalni, by razem z Joshuą zjeść śniadanie. Chłopca jeszcze nie było.

Z kuchni wyjrzała pani Mackey.

- Dzień dobry, pani Parker.

- Dzień dobry. A gdzie Joshua?

- Wyglądał na tak zmęczonego, że pomyślałam sobie, że dam mu trochę dłużej pospać. Przecież dopiero jutro idzie do szkoły.

- Dobry pomysł - przytaknęła Jennifer.

Zjadła śniadanie i poszła na górę, by pożegnać się z Joshuą. Leżał w łóżku, pogrążony w głębokim śnie.

Jennifer przysiadła na brzegu posłania i powiedziała cicho:

- Hej, śpiochu, nie chcesz się ze mną pożegnać? Wolno otworzył jedno oko.

- Oczywiście, że chcę. Cześć - powiedział zaspanym głosem. - Czy muszę wstawać?

- Nie. Słuchaj no, może byś sobie dziś poleniuchował? Zostań w domu i pobaw się.

Za bardzo pada, żeby wychodzić na dwór.

Sennie skinął głową.

- Dobrze, mamusiu.

Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Jennifer spędziła popołudnie w sądzie. Gdy skończyła pracę i wróciła do domu, było już po siódmej. Deszcz, który mżył przez cały dzień, lał teraz strumieniami. Kiedy podjeżdżała do domu, przypominał warowny zamek, otoczony szarą, spienioną fosą.

Pani Mackey otworzyła drzwi frontowe i pomogła Jennifer zdjąć ociekający wodą płaszcz.

Jennifer strząsnęła wilgoć z włosów i powiedziała:

- Gdzie Joshua?

- Śpi.

Jennifer, zaniepokojona, spojrzała na panią Mackey.

- Cały dzień spał?

- Ależ nie. Wstał i kręcił się po domu. Przygotowałam mu kolację, ale kiedy poszłam

po niego, zobaczyłam, że znowu się zdrzemnął, więc pomyślałam, że go nie będę budziła.

- Rozumiem.

Jennifer poszła na górę i cichutko weszła do pokoju Joshuy. Chłopiec spał. Pochyliła się i dotknęła jego czoła. Nie miał gorączki i wyglądał normalnie. Zbadała mu puls. Wszystko było w porządku, to tylko ona była przewrażliwiona. Dała się ponieść wyobraźni. Joshua najprawdopodobniej za bardzo szalał przez cały dzień i było rzeczą naturalną, że się zmęczył. Jennifer : wysunęła się z pokoju i zeszła na dół.

- Pani Mackey, czy może mu pani przygotować parę kanapek? Proszę je postawić koło łóżka. Kiedy się obudzi, to je na pewno chętnie zje.

Jennifer zjadła kolację przy biurku, zapoznając się ze szczegółami prowadzonej sprawy sądowej i przygotowując wystąpienie na jutrzejszy proces. Pomyślała, żeby zadzwonić do Michaela i powiedzieć mu, że wróciła, ale bała się rozmawiać z nim tuż po tej nocy z Adamem... Moretti był zbyt spostrzegawczy. Kiedy skończyła czytać, było już po północy. Wstała i przeciągnęła się, próbując złagodzić ból napiętych mięśni pleców i karku. Włożyła dokumenty do teczki, zgasiła światło i poszła na górę. Mijając pokój Joshuy, zajrzała do środka. Wciąż spał.

Kanapki na stoliczku obok łóżka były nie tknięte.

Następnego ranka, kiedy Jennifer zeszła na śniadanie, Joshua siedział już ubrany, gotowy do szkoły.

- Dzień dobry, mamusiu.

- Dzień dobry, kochanie. Jak się czujesz?

- Wspaniale. Wczoraj byłem porządnie zmęczony. To chyba przez to meksykańskie słońce.

- Chyba tak.

- W Acapulco jest bardzo ładnie. Czy pojedziemy tam jeszcze kiedyś?

- Czemu nie? Cieszysz się, że wracasz do szkoły?

- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie z uwagi na to, że może ona być użyta przeciwko mnie.

W środku dnia, kiedy Jennifer właśnie rozmawiała z klientem, zadzwoniła Cynthia.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwoni pani Stout i... Była to wychowawczyni Joshuy.

- Odbiorę.

Jennifer podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, pani Stout. Czy coś się stało?

- Och, nie, wszystko w porządku, pani Parker. Nie chciałam pani niepokoić. Pomyślałam tylko, żeby powiedzieć pani, aby Joshua trochę więcej spał.

- Nie rozumiem.

- Przespał większość dzisiejszych lekcji. I panna Williams, i pani Toboco zwróciły na to uwagę. Proszę przypilnować, aby chłopiec trochę wcześniej chodził do łóżka.

Jennifer wpatrywała się w słuchawkę.

- Ja... dobrze, przypilnuję.

Wolno odłożyła słuchawkę i zwróciła się do zebranych w pokoju osób, uważnie ją obserwujących:

- Przepraszam, ale muszę wyjść. Wybiegła do sekretariatu.

- Cynthio, odszukaj Dana i poproś go, żeby za mnie skończył spisywanie zeznań świadków. Z Joshua dzieje się coś niedobrego.

- Oczywiście... - Jennifer była już za drzwiami.

Jechała do domu jak szalona, przekraczając dozwoloną prędkość i przejeżdżając na czerwonych światłach. Jej wyobraźnia pełna była obrazów straszliwych rzeczy, które spotkały Joshuę. Droga wydawała się nie mieć końca i kiedy wreszcie w oddali ukazał się dom, Jennifer podświadomie spodziewała się ujrzeć na chodniku karetki pogotowia i policyjne radiowozy. Ale ulica była pusta. Jennifer zatrzymała się przed bramą i wpadła do domu.

- Joshua!

Był w małym pokoiku i oglądał w telewizji mecz baseballowy.

- Cześć, mamó. Jesteś dzisiaj wcześniej. Wyrzucili cię z pracy? Jennifer stała w drzwiach, patrząc na niego i czując ulgę w całym ciele. Poczula się jak idiotka.

- Szkoda, że nie widziałas ostatniej akcji. Craig Swan był fantastyczny!

- Jak się czujesz, synku?

- Świetnie.

Jennifer położyła mu dłoń na czole. Nie miał gorączki.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Dlaczego tak dziwnie patrzysz? Coś cię trapi? Chciałabyś ze mną poważnie porozmawiać?

Uśmiechnęła się.

- Nie, kochanie. Po prostu... czy nic cię nie boli? Jęknął.

- Powiedziałem już. Mets przegrywa sześć do pięciu. Czy wiesz, co się stało podczas pierwszej rozgrywki?

Zaczął z podnieceniem opisywać wyczyny swojej ulubionej drużyny. Jennifer stała,

patrząc na niego kochającym wzrokiem i myśląc: „Niech diabli wezmą moją wyobraźnię! Oczywiście, że nic mu nie jest”.

- Idź, obejrzyj resztę meczu. Ja tymczasem przygotuję kolację.

Z lekkim sercem poszła do kuchni. Postanowiła zrobić ciasto z bananami, ulubiony deser Joshuy.

Pół godziny później, kiedy wróciła do pokoju, chłopiec leżał na podłodze nieprzytomny.

Jazda do szpitala Blinderman zdawała się trwać wiecznie. Jennifer siedziała z tyłu karetki, ściskając rękę Joshuy. Pielęgniarz trzymał przy twarzy chłopca maskę tlenową. Joshua nie odzyskał przytomności. Karetka jechała na sygnale, ale był duży ruch i samochód posuwał się powoli, a ciekawscy gapie zaglądali do środka, przypatrując się kobiecie o bladej twarzy i nieprzytomnemu chłopcu. Jennifer wydało się to obrzydliwym pogwałceniem jej życia prywatnego.

- Dlaczego w karetkach nie stosuje się matowych szyb? - wykrzyknęła.

Pielęgniarz spojrział na nią wystraszony.

- Słucham?

- Nie, nic.

W końcu - Jennifer wydawało się, że upłynęła cała wieczność - karetka zajęła przed wejście do izby przyjęć, znajdującej się w tylnej części szpitala. Przy drzwiach czekali już dwaj lekarze. Jennifer stała bezradnie, patrząc, jak wynieśli Joshuę z karetki i umieścili go na wózku.

Pielęgniarz zapytał:

- Czy pani jest matką chłopca?

- Tak.

- Proszę tędy.

To, co nastąpiło potem, pamiętała jako zamglony kalejdoskop dźwięków, światła i ruchów. Widziała, jak wieziono Joshuę długim białym korytarzem do pracowni rentgenowskiej.

Zacząła iść za nim, ale sanitariusz powiedział:

- Musi się pani najpierw zgłosić do rejestracji. Chuda kobieta przy biurku zaczęła ją wypytywać:

- Jak pani zamierza zapłacić za pobyt w szpitalu? Jaki ma pani rodzaj ubezpieczenia?

Jennifer najchętniej nakrzyczałaby na kobietę. Chciała być przy boku Joshuy. Całym wysiłkiem woli zmusiła się do odpowiedzi na pytania. Kiedy udzieliła wyczerpujących

odpowiedzi, kiedy wypełniła kilka formularzy, kobieta pozwoliła jej wreszcie odejść.

Jennifer pobiegła do pracowni rentgenowskiej i weszła do środka. Gabinet był pusty. Joshua zniknął. Wybiegła na korytarz, rozglądając się gorączkowo. Minęła ją jakaś pielęgniarka.

Jennifer chwyciła ją za ramię.

- Gdzie jest mój syn?

- Nie wiem - odpowiedziała pielęgniarka. - Jak się nazywa?

- Joshua. Joshua Parker.

- Gdzie go pani zostawiła?

- Miał... miał robione prześwietlenie, miał... - Ogarnęła ją panika. - Co oni z nim zrobili? Proszę mi powiedzieć!

Pielęgniarka uważnie się przyjrzała Jennifer i powiedziała:

- Proszę tutaj zaczekać, pani Parker. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Wróciła po paru minutach.

- Doktor Morris chciałby z panią porozmawiać. Proszę tędy. Jennifer poczuła, że trzęsą się jej nogi. Ledwo mogła iść.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała pielęgniarka, przypatrując się jej.

Jennifer ze strachu zaschło w gardle.

- Chcę zobaczyć mojego syna.

Weszła do pokoju, pełnego dziwnie wyglądającej aparatury.

- Proszę tutaj zaczekać.

Po chwili wszedł doktor Morris. Był niezwykle tęgi, miał czerwoną twarz, a na palcach plamy od nikotyny.

- Pani Parker?

- Gdzie jest Joshua?

- Proszę panią na chwilę do mojego gabinetu. Zaprowadził Jennifer do małego pokoiku na zapleczu sali z dziwną aparaturą.

- Proszę usiąść. Jennifer zajęła miejsce.

- Joshua jest... jest... to nic poważnego, prawda, panie doktorze?

- Jeszcze nie wiemy. - Głos, jak na człowieka jego postury, miał niezwykle delikatny.

- Potrzebujemy nieco więcej danych. Ile ma lat pani syn?

- Dopiero siedem.

„Dopiero” wyrwało jej się niczym reprimenda dla Boga.

- Czy uległ ostatnio jakiemuś wypadkowi?

Przez głowę Jennifer przemknął obraz Joshuy, odwracającego się, by jej pomachać, tracącego równowagę i uderzającego głową w nabrzeże.

- Miał... miał wypadek podczas jazdy na nartach wodnych. Uderzył się w głowę.

Doktor robił notatki.

- Kiedy to było?

- Parę... parę dni temu. W Acapulco. Było jej trudno myśleć.

- Czy po wypadku dobrze się czuł?

- Tak. Nabił sobie guza, ale poza tym czuł... czuł się świetnie.

- Czy zauważyła pani u niego zaniki pamięci?

- Nie.

- Jakież zmiany w zachowaniu?

- Nie.

- Konwulsje, sztywność karku, bóle głowy?

- Nie.

Doktor przestał pisać i spojrzał na Jennifer.

- Zrobiłem prześwietlenie, ale to za mało. Chciałbym jeszcze zrobić badanie komputerowe.

- Badanie komputerowe?

- Tak, mamy nową aparaturę z Anglii, która robi zdjęcia wnętrza mózgu. Potem mogą być jeszcze potrzebne pewne badania dodatkowe. Czy nie ma pani nic przeciwko temu?

- Je... je... je... - zaczęła się jąkać. - Jeśli to konieczne. To... to nie będzie bolało, prawda?

- Nie. Może być też potrzebna punkcja kręgosłupa. Przeraził ją tym.

Zmusiła się do zadania kolejnego pytania.

- Jak pan sądzi, co to może być? Co dolega mojemu synowi? - Nie poznawała brzmienia swojego głosu.

- Wolalbym nie snuć przypuszczeń, pani Parker. Za godzinę, dwie, będziemy wiedzieli wszystko. Syn nie śpi teraz, jeśli chce go pani teraz zobaczyć, to...

- Och, tak!

Pielęgniarka zaprowadziła ją do pokoju Joshuy. Postać chłopca leżącego w łóżku wydała jej się niezwykle mała. Kiedy Jennifer weszła, chłopiec uniósł wzrok.

- Cześć, mamó.

- Cześć. - Usiadła na skraju łóżka. - Jak się czujesz?

- Trochę dziwnie. Tak, jakby mnie tu nie było.

Jennifer ujęła jego dłoń.

- Jesteś tutaj, kochanie, a ja jestem z tobą.
- Wszystko widzę podwójnie.
- Czy... czy powiedziałeś o tym panu doktorowi?
- Uhm. Jego też widziałem podwójnie. Mam nadzieję, że nie przyśle ci dwóch rachunków.

Jennifer delikatnie objęła go i przytuliła. Jego ciało wydawało jej się dziwnie kruche i drobne.

- Mamusiu?
- Tak, kochanie?
- Nie pozwolisz mi umrzeć, prawda? Poczula pieczenie w oczach.
- Nie, Joshua, nie pozwolę ci umrzeć. Lekarze cię wyleczą i wtedy zabiorę cię do domu.

- Dobrze. I pamiętaj, że obiecałaś, że kiedyś pojedziemy jeszcze raz do Acapulco.
- Oczywiście. Jak tylko... Usnął.

Do pokoju wszedł doktor Morris z dwoma mężczyznami w białych kitlach.

- Pani Parker, chcielibyśmy rozpocząć badania. Nie będą trwały długo. Może pani tutaj zaczekać na syna.

Jennifer obserwowała, jak zabierali Joshuę z sali. Siedziała na brzegu łóżka, czując się tak, jakby ją ktoś pobił.

Opuściły ją wszystkie siły. Siedziała, patrząc w odrętwieniu na białe ściany.

Po chwili jakiś głos powiedział:

- Pani Parker...

Jennifer uniosła wzrok i ujrzała doktora Morrisa.

- Proszę już iść robić te badania - odezwała się do niego. Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- Już skończyliśmy.

Jennifer spojrzała na zegar ścienny. Siedziała tutaj dwie godziny. Kiedy upłynął ten czas? Skierowała wzrok na twarz lekarza, próbując coś z niej wyczytać, szukając drobnych, ostrzegawczych znaków, które zdradziłyby, czy miał dla niej dobrą czy złą wiadomość. Ile to już razy robiła tak, czytając w twarzach sędziów przysięgłych, z góry widząc po ich minach, jaki będzie werdykt? Sto razy? Pięćset? Teraz, z uwagi na panikę, która ją ogarnęła nie potrafiła nic wyczytać. Ciało jej ogarnęło niekontrolowane drżenie.

- Stwierdziliśmy u pani syna krwiak czaszki. Mówiąc językiem laika, nastąpił u niego

rozległy uraz mózgu.

Poczuła nagle taką suchość w gardle, że nie mogła wypowiedzieć ani słowa.

- C... c... - przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz. - Co to...? - Nie mogła dokończyć zdania.

- Chcę natychmiast operować. Potrzebuję pani zgody.

Na pewno płata jej jakiegoś głupiego figla. Za chwilę się uśmiechnie i powie, że Joshua czuje się świetnie. „Chciałem panią jedynie ukarać, pani Parker, za marnowanie mojego czasu. Pani synowi nic nie dolega, potrzebuje tylko więcej snu. Rośnie teraz bardzo szybko. Jak mogła pani marnować nasz czas, przecież mamy pacjentów, którzy są naprawdę chorzy i wymagają naszej opieki”. Uśmiechnie się do niej i powie: „Może pani zabierać swojego syna do domu”.

Doktor Morris kontynuował.

- Jest młody i wydaje się mieć silny organizm. Są wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że operacja się uda.

Chce kroić mózg jej dziecka, wdrzeć się do jego wnętrza swymi ostrymi narzędziami, zniszczyć to, co jest istotą Joshuy. Chce zniszczyć Joshuę, może nawet - zabić go!

- Nie! - Był to okrzyk rozpacz.

- Czy nie wyraża pani zgody na operację?

- Ja... - Umysł miała tak strwożony, że nie mogła myśleć. - C... co się stanie, jeśli pan nie zrobi operacji?

- Pani syn umrze - odpowiedział po prostu doktor Morris. - Czy jest tutaj ojciec dziecka?

Adam! Och, jak zapragnęła mieć przy sobie Adama, poczuć jego ramiona, obejmujące ją, poczuć, jak ją pociesza. Chciałaby, żeby powiedział jej, że wszystko będzie dobrze, że ich dziecku nic nie grozi.

- Nie - odpowiedziała w końcu Jennifer. - Nie ma. Wyrażam. .. wyrażam zgodę. Proszę operować.

Doktor Morris wypełnił formularz i wręczył jej.

- Proszę tu podpisać.

Jennifer, nie patrząc, podpisała dokument.

- Jak długo będzie to trwało?

- Nie jestem w stanie określić, dopóki nie otworzę... - Zauważył wyraz jej twarzy. - Dopóki nie zacznę operacji. Czy chce pani tu poczekać?

- Nie! - Otaczające ją ściany przytłaczały ją. Nie mogła wprost oddychać. - Czy jest

tutaj jakieś miejsce, gdzie mogłabym się pomodlić?

Była to mała kaplica z obrazem Jezusa nad ołtarzem. Pomieszczenie było zupełnie puste. Ukłękła, ale nie mogła się modlić. Nigdy nie była zbyt religijna. Dlaczego właśnie teraz Bóg miałby ją wysłuchać? Próbowwała uspokoić myśli, żeby móc porozmawiać z Bogiem, ale strach był silniejszy od niej. Zawładnął całą jej duszą. Bezlitośnie zaczęła zwymyślać samą siebie. „Gdybym nie zabrała Joshuy do Acapulco... - myślała. - Gdybym nie pozwoliła mu jeździć na nartach wodnych... Gdybym nie uwierzyła temu meksykańskiemu lekarzowi... Gdybym... Gdybym... Gdybym...” Potem zaczęła się układać z Bogiem: „Spraw, aby był znów zdrow, aż zrobię wszystko, czego zażadasz”.

W końcu zaczęła wątpić w istnienie Boga. „Gdyby Bóg istniał, czy zrobiłby coś takiego dziecku, które nigdy nikogo nie skrzywdziło? Cóż to za Bóg, który pozwala umierać niewinnym istotom?”

Wreszcie ze zwykłego wyczerpania, myśli Jennifer przytępiły się i pamiętała jedynie, co powiedział jej doktor Morris: „Jest młody i wydaje się mieć silny organizm. Są wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że operacja się uda”.

„Wszystko skończy się dobrze. To oczywiste”. Kiedy będzie po wszystkim, zabierze Joshuę gdzieś, gdzie będzie mógł odpocząć. Może do Acapulco, jeśli będzie chciał. Będą czytali, grali, rozmawiali...

Kiedy Jennifer była już zbyt wyczerpana, żeby o czymkolwiek myśleć, osunęła się na ławkę, z głową wypełnioną pustką. Ktoś dotknął jej ramienia, uniosła wzrok i zobaczyła pochylającego się nad nią doktora Morrisa. Jennifer spojrzała na jego twarz i nie musiała o nic pytać. Straciła przytomność.

Joshua leżał na wąskim metalowym stole, jego ciało wypełniał wieczny spokój. Wyglądał, jakby zwyczajnie spał. Na jego ładnej, dziecinnej buzi malował się tajemniczy, niezgłębiony sen. Jennifer widziała ten wyraz twarzy tysiące razy, kiedy to Joshua wślizgiwał się do swojego ciepłego łóżka, a ona siedziała u jego boku, obserwując go, przepełniona miłością tak wielką, że aż ją zatykała. Ileż to razy delikatnie opatulala jego drobną postać kocem, aby uchronić go przed chłodem nocy?

Teraz chłód był wewnątrz Joshuy. Nigdy już nie będzie mu ciepło. Te jasne oczy nigdy już się nie otworzą i nie spojrzą na nią. Nigdy nie ujrzy uśmiechu na jego ustach, ani nie usłyszy jego głosu, ani nie poczuje, jak ją obejmują jego drobne, silne rączki. Leżał pod prześcieradłem zupełnie nagi.

- Proszę go przykryć kocem, bo zmarznie - powiedziała do doktora.

- On nie może... - zaczął doktor Morris i spojrzał w oczy Jennifer, a to, co w nich ujrział, spowodowało, że powiedział:

- Tak, oczywiście, pani Parker. - Po czym odwrócił się do pielęgniarki i polecił jej: - Proszę przynieść koc.

W pokoju było kilka osób, większość z nich w białych kitlach. Jennifer wydawało się, że wszyscy coś do niej mówią, ale nie słyszała, co. Czuła się tak, jakby znalazła się pod szklanym kloszem, który odgradzał ją od innych. Widziała, jak poruszają ustami, ale nie słyszała żadnego dźwięku. Chciała krzyknąć, aby sobie poszli, ale bała się, że przestraszy Joshuę. Ktoś potrząsnął ją za ramię i cały urok prysnął. Nagle salę wypełnił gwar rozmów i wydawało jej się, że wszyscy mówią naraz.

- ...konieczność przeprowadzenia sekcji - mówił doktor Morris.

- Jeżeli jeszcze raz tknie pan mojego syna - powiedziała cicho Jennifer - zabiję pana.

I uśmiechnęła się do wszystkich wokół, bo nie chciała, żeby gniewali się na Joshuę.

Pielęgniarka próbowała przekonać Jennifer, aby opuściła salę, ale ona potrząsnęła głową.

- Nie mogę go zostawić samego. Ktoś mógłby zgasić światło, a Joshua boi się ciemności.

Ktoś ścisnął ją za ramię i Jennifer poczuła ukłucie igły, a potem ogarnęło ją uczucie gorąca i spokoju. Usnęła.

Kiedy się obudziła było późne popołudnie. Znajdowała się w małym pokoiku szpitalnym, ktoś ją rozebrał i założył jej szpitalną koszulę. Wstała, ubrała się i poszła szukać

doktora Morrisa. Była nienaturalnie spokojna.

- Załatwimy za panią wszystkie formalności pogrzebowe, pani Parker - powiedział doktor Morris. - Nie będzie musiała pani...

- Sama się tym zajmę.

- Świetnie. Jeżeli chodzi o sekcję - zawahał się zmieszany - wiem, że nie myślała pani serio tego, co pani rano powiedziała. Ja...

- Myli się pan.

W ciągu kolejnych dwóch dni Jennifer przeszła przez cały rytuał śmierci. Poszła do pobliskiego zakładu pogrzebowego i załatwiła wszelkie formalności. Wybrała białą trumnę, wykładaną satyną. Jennifer była całkowicie opanowana, nie płakała, a później, gdy próbowała o tym myśleć, niczego nie mogła sobie przypomnieć. Tak jakby ktoś inny przejął jej duszę i ciało i działał za nią. Znajdowała się w stanie głębokiego szoku, otoczyła się ochronną skorupą, żeby nie zwariować.

Kiedy opuszczała zakład pogrzebowy, właściciel powiedział:

- Jeśli życzy pani sobie pochować syna w jakimś specjalnym ubraniu, pani Parker, może je pani przynieść, to ubierzemy go.

- Sama ubiorę Joshuę. Spojrzał na nią zdumiony.

- Jak pani sobie życzy, ale...

Patrzył, jak wychodziła, zastanawiając się, czy wie, co to znaczy ubierać zwłoki.

Jennifer przyjechała do domu, zaparkowała samochód na podjeździe i weszła do środka.

Pani Mackey była w kuchni, oczy miała czerwone, a twarz wykrzywioną bólem.

- Och, pani Parker! Nie mogę uwierzyć w to, co... Jennifer ani jej nie widziała, ani nie słyszała. Minęła panią Mackey i weszła na górę, do pokoju Joshuy. Pokój wyglądał tak jak zawsze. Nic się nie zmieniło, jedynie był pusty. Wszystkie książki, gry, piłki i sprzęt narciarski Joshuy czekały na niego. Jennifer stała w drzwiach, gapiąc się bezmyślnie, próbując sobie przypomnieć, po co tu przyszła. „Ach, prawda. Ubranie dla Joshuy”. Otworzyła drzwi garderoby. Na samym brzegu wisiał ciemnoniebieski garnitur, który kupiła mu na ostatnie urodziny. Joshua miał go tego wieczoru, kiedy poszli razem na obiad do „Lutece”. Dokładnie pamiętała ten dzień. Joshua wyglądał tak poważnie i Jennifer pomyślała z bólem: „Pewnego dnia będzie tu siedział z dziewczyną, którą kiedyś poślubi”. Ten dzień już nigdy nie nastąpi. Joshua nie będzie dorosły. Nie będzie miał dziewczyny. Nie będzie miał już niczego.

Obok garnituru wisiało kilka par niebieskich dżinsów, spodnie, koszulki, jedna z

nazwą drużyny baseballowej Joshuy. Jennifer stała, machinalnie przesuwając dłońmi po ubraniach, straciwszy poczucie czasu.

U jej boku pojawiła się pani Mackey.

- Dobrze się pani czuje, pani Parker?

- Dobrze, dziękuję pani, pani Mackey - odpowiedziała uprzejmie Jennifer.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Muszę ubrać Joshuę. Jak pani myśli, co chciałby założyć? - Głos miała beztroski i wesoły, ale jej oczy były martwe.

Pani Mackey spojrzała na twarz Jennifer i przeraziła się.

- Czemu nie położy się pani, moja droga? Zawołam lekarza. Ręce Jennifer przesuwały się po ubraniach, wiszących w garderobie. Ściągnęła z wieszaka kostium baseballowy.

- Myślę, że Joshua chciałby założyć to. Co jeszcze będzie mu potrzebne?

Pani Mackey bezradnie patrzyła, jak Jennifer podeszła do komody, z której wyjęła bieliznę, skarpetki i koszulę. „Joshua potrzebuje tych rzeczy, bo wyjeżdża na wakacje, na długie wakacje”.

- Myśli pani, że będzie mu w tym ciepło? Pani Mackey wybuchnęła płaczem.

- Proszę, nie - szlochała. - Proszę to zostawić. Sama się tym zajmę.

Ale Jennifer schodziła już na dół.

Ciało przeniesiono do kostnicy. Joshua leżał na długim stole, który jeszcze pomniejszał jego i tak niewielką postać.

Kiedy Jennifer wróciła z ubrankiem Joshuy, właściciel zakładu pogrzebowego jeszcze raz spróbował odwieść ją od jej zamiaru.

- Rozmawiałem z doktorem Morrisem. Obaj uważamy, że byłoby lepiej, pani Parker, gdyby pozwoliła nam pani zająć się tymi sprawami. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni i...

Jennifer uśmiechnęła się do niego.

- Proszę wyjść. Przełknął ślinę i powiedział:

- Tak jest, pani Parker.

Jennifer czekała, aż opuści kostnicę, a potem odwróciła się do syna.

Spojrzała na jego uśpioną twarz i powiedziała:

- Mamusia zajmie się tobą, mój skarbie. Założę ci strój baseballowy. Lubisz go, prawda?

Uniosła prześcieradło i spojrzała na nagą, skurczoną postać, po czym zaczęła go ubierać. Zaczęła wciągać mu slipki i wzdygnęła się, czując lodowate zimno jego ciała. Było

twarde i sztywne jak marmur. Jennifer próbowała sobie tłumaczyć, że to zimne, martwe ciało nie należy do jej syna, że Joshua jest gdzieś daleko, żywy i szczęśliwy, ale nie była w stanie w to uwierzyć. Na tym stole leżał jej syn. Jennifer zaczęła się trząść, jakby chłód bijący od Joshuy przenikał ją do głębi, do szpiku kości. Z uporem powtarzała sobie: „Przestań! Przestań! Przestań! Przestań!”

Zacząła głęboko oddychać i kiedy wreszcie się uspokoiła, znowu zaczęła ubierać syna, cały czas do niego mówiąc. Wciągnęła mu majteczki, potem spodnie, a kiedy podniosła go, żeby założyć mu koszulkę, głowa chłopca osunęła się i uderzyła w stół, a Jennifer krzyknęła:

- Przepraszam, Joshua. Wybacz mi! - I zaczęła płakać.

Ubranie Joshuy zajęło Jennifer prawie trzy godziny. Założyła mu strój baseballowy i ulubioną koszulkę, białe skarpetki i trampki. Czapka zasłaniała mu twarz, więc ostatecznie Jennifer położyła mu ją na piersi.

- Weź ją ze sobą, mój najdroższy.

Kiedy właściciel zakładu pogrzebowego wszedł i rozejrzał się, Jennifer stała nad ubranym chłopcem, trzymała go za rękę i coś do niego mówiła.

Mężczyzna podszedł i powiedział delikatnie:

- Zajmiemy się nim teraz.

Jennifer po raz ostatni spojrzała na swojego syna.

- Niech pan będzie ostrożny. Wie pan, że uderzył się w głowę?

Pogrzeb był skromny. Podczas opuszczania małej białej trumny do świeżo wykopanego grobu obecna była tylko Jennifer i pani Mackey. Jennifer myślała, żeby zawiadomić Kena Bailey'a, bo Ken i Joshua bardzo się kochali, ale Ken już odszedł z ich życia.

Kiedy pierwsza łopata piachu przysypała trumnę, pani Mackey powiedziała:

- Chodźmy, moja droga, odprowadzę panią do domu.

- Czuję się dobrze - odpowiedziała uprzejmie Jennifer. - Joshua i ja nie będziemy już pani potrzebować, pani Mackey. Dopilnuję, aby otrzymała pani roczne pobory i dam pani dobre referencje. Joshua i ja dziękujemy pani za wszystko.

Pani Mackey stała, patrząc, jak Jennifer odwróciła się i odeszła. Stapała ostrożnie trzymając się bardzo prosto, jakby kroczyła przez nie kończący się korytarz, mogący pomieścić tylko jedną osobę.

Dom był cichy i spokojny. Poszła do pokoju Joshuy, zamknęła za sobą drzwi i położyła się na jego łóżku, patrząc na wszystko, co do niego należało, wszystko, co kochał. Cały jej świat zawarty był w tym pokoju. Nie miała już teraz nic do roboty, nie miała dokąd

iść. Jennifer zaczęła na nowo przeżywać każdy moment, poczynając od dnia urodzin Joshuy.

Pierwsze kroki Joshuy... Joshua mówi „auto” i „Mama, idź pobaw się swoimi zabawkami...” Joshua wybiera się po raz pierwszy do szkoły - drobna, dzielna figurka... Joshua chory na odrę, jego ciało ogarnięte gorączką... Joshua, pierwszy na mecie w wyścigach, zdobywa zwycięstwo dla swojej drużyny... Joshua na żaglówce... Joshua karmi słonia w zoo... Joshua śpiewa „Świeć, jesienny księżycu w pełni” na Dzień Matki... Wspomnienia przesuwają się przed jej oczami niczym film. Zatrzymały się na dniu, kiedy Jennifer i Joshua mieli jechać do Acapulco.

Acapulco... gdzie spotkała Adama i kochała się z nim. Została ukarana, bo myślała tylko o sobie. „Oczywiście - pomyślała Jennifer - to jest kara dla mnie. To jest moje piekło”.

Zaczęła wspominać od nowa, poczynając od dnia urodzin Joshuy... Pierwsze kroki Joshuy... Joshua mówi „auto” i „Mama, idź pobaw się swoimi zabawkami...”

Czas płynął. Czasami Jennifer słyszała, jak w jakimś odległym pokoju dzwonił telefon, a raz nawet miała wrażenie, że ktoś pukał do drzwi frontowych, ale te dźwięki nic już dla niej nie znaczyły. Nie pozwoli, by cokolwiek przerwało jej przebywanie z synem. Nie opuszczała pokoju, nic nie jadła i nie piła, pogrążona w swym prywatnym świecie z Joshua. Straciła poczucie czasu, nie miała pojęcia, jak długo tu leży.

Minęło pięć dni. Jennifer znowu usłyszała dzwonek u drzwi wejściowych, a potem - jak ktoś wali w drzwi, ale nie zwracała na to uwagi. Ktokolwiek to był, odejście i zostawi ją w spokoju. Niewyraźnie dobiegł ją brzęk tłuczonego szkła, a po paru chwilach drzwi do pokoju Joshuy gwałtownie się otworzyły i ukazała się w nich sylwetka Michaela Morettiego.

Rzucił jedno spojrzenie na wycieńczoną postać, leżącą na łóżku i spoglądającą na niego podkrążonymi oczami, i powiedział:

- Jezu Chryste!

Michael Moretti musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby wyprowadzić Jennifer z pokoju. Opierała się zawzięcie, waląc go pięściami i próbując wydrapać mu oczy. Na dole czekał Nick Vito i we dwóch musieli wepchnąć Jennifer do samochodu. Nie miała pojęcia, kim są ani dlaczego tu przyszli. Wiedziała jedynie, że zabierają ją od syna. Próbowwała im tłumaczyć, że umrze, jeżeli to zrobią, ale była zbyt wyczerpana, by długo walczyć. Usnęła.

Kiedy się obudziła, zobaczyła, że znajduje się w jasnym, czystym pokoju z dużym oknem, wychodzącym na góry i niebieskie jezioro. Obok łóżka siedziała pielęgniarka i czytała jakieś czasopismo. Kiedy Jennifer otworzyła oczy, spojrzała na nią.

- Gdzie ja jestem? - spytała Jennifer. Gdy mówiła bolało ją gardło.

- Jest pani wśród przyjaciół, panno Parker. Przywiózł panią tutaj pan Moretti. Bardzo

się o panią martwił. Ogromnie się ucieszy, kiedy się dowie, że się pani obudziła.

Pielęgniarka spieszenie opuściła pokój. Jennifer leżała z pustą głową, próbując o niczym nie myśleć. Ale wspomnienia, choć nie proszone, zaczęły znowu powracać i nigdzie nie można się było przed nimi skryć, nigdzie uciec. Jennifer zdała sobie sprawę, że próbowała popełnić samobójstwo, nie mając w gruncie rzeczy odwagi tego zrobić. Chciała po prostu umrzeć i czekała, aż to nastąpi. Uratował ją Michael. Była to ironia losu. Nie Adam, lecz Michael. Pomyślała, że to nieuczciwe winić Adama. Przecież ukrywała przed nim prawdę nie powiedziała mu nic o synu, którego urodziła i który teraz nie żył. Joshua nie żył. Jennifer mogła teraz temu stawić czoło. Ból był głęboki i rozdzierający i wiedziała, że będzie jej towarzyszył do końca życia. Ale mogła go znieść. Będzie musiała. To była zasłużona kara, którą musiała ponieść, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Jennifer usłyszała odgłos kroków i uniosła wzrok. Do pokoju wszedł Michael. Stał, patrząc na nią zdumiony.

Kiedy Jennifer zniknęła, zachowywał się jak szaleniec. Prawie odchodził od zmysłów z obawy, że coś jej się stało.

Podszedł do łóżka i spojrzał na nią.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał, siadając na skraju łóżka. - Tak mi przykro.

Wzięła go za rękę.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. Myślę... myślę, że byłam nieco szalona.

- Ładne mi nieco.

- Jak długo tu jestem?

- Cztery dni. Lekarze odżywiali cię kroplówką.

Jennifer skinęła głową, ale nawet ten niewielki ruch wymagał wysiłku. Czuła się niezwykle słabo.

- Śniadanie już w drodze. Doktor kazał mi cię trochę podtuczyć.

- Nie jestem głodna. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek jeszcze chciała jeść.

- Będziesz jadła.

I ku zdumieniu Jennifer, Michael miał rację. Kiedy pielęgniarka przyniosła na tacy jajka na miękko, grzanek i herbatę, Jennifer poczuła, że wprost umiera z głodu.

Michael został i obserwował ją, a gdy Jennifer skończyła jeść, powiedział:

- Muszę wracać do Nowego Jorku, aby zająć się paroma sprawami. Wrócę za parę dni.

Pochylił się nad nią i delikatnie pocałował.

- Do zobaczenia w piątek.

Powoli przesunął palcami po jej twarzy.

- Chcę, żebyś szybko wydobrzała. Słyszysz? Jennifer spojrzała na niego i powiedziała:

- Słyszę.

Wielka sala konferencyjna w bazie Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych była zajęta do ostatniego miejsca. Przed salą stał oddział uzbrojonych marines na straży. W środku odbywało się niezwykle zgromadzenie. Członkowie specjalnego sądu, stanowiącego o oddaniu sprawy do decyzji sądu przysięgłych, zajmowali miejsca na krzesłach pod ścianą. Po jednej stronie długiego stołu siedział Adam Warner, Robert Di Silva i zastępca dyrektora FBI. Naprzeciwko nich siedział Thomas Colfax.

Sprowadzenie sądu do bazy było pomysłem Adama.

- To jedyny sposób zapewnienia Colfaxowi bezpieczeństwa.

Sąd przyjął propozycję Adama i za chwilę miała się rozpocząć tajna sesja.

Adam powiedział do Thomasa Colfaxesa:

- Czy mógłby pan się nam przedstawić?

- Nazywam się Thomas Colfax.

- Kim jest pan z zawodu, panie Colfax?

- Jestem adwokatem, mam uprawnienia do prowadzenia praktyki w stanie Nowy Jork, jak również w innych stanach naszego kraju.

- Od jak dawna prowadzi pan praktykę adwokacką?

- Od przeszło trzydziestu pięciu lat.

- Czy jest to kancelaria otwarta dla wszystkich?

- Nie, proszę pana. Mam tylko jednego klienta. - Kto jest pańskim klientem?

- Przez znakomitą większość owych trzydziestu pięciu lat był to nieżyjący już Antonio Granelli. Potem jego miejsce zajął Michael Moretti. Reprezentuję Morettiego i jego Organizację.

- Ma pan na myśli zorganizowaną przestępczość?

- Tak, proszę pana.

- Czy można przyjąć za słuszne założenie, że z uwagi na zajmowaną przez pana przez tyle lat pozycję posiada pan gruntowną wiedzę o wewnętrznych praktykach tego, co będziemy dalej nazywać Organizacją?

- Istotnie, działo się w niej bardzo mało rzeczy, o których bym nie wiedział.

- Włączając w to działalność przestępczą?

- Tak, panie senatorze.

- Czy mógłby nam pan przedstawić charakter tej działalności?

Thomas Colfax mówił przez następne dwie godziny. Jego głos był miarowy i pewny.

Wymieniał nazwiska, miejsca i daty i chwilami jego monolog był tak fascynujący, że ludzie znajdujący się na sali zapominali, gdzie są, porwani straszliwymi faktami opisywanymi przez Colfaxa.

Mówił o ogłaszaniu kontraktów na dokonywanie morderstw, o zabijaniu świadków, aby nie mogli zeznawać, o podpaleniach, uszkodzeniach ciała, białym niewolnictwie - brzmiało to niczym katalog prac Hieronima Boscha. Po raz pierwszy najtajniejsze operacje największego na świecie syndykatu zbrodni zostały ujawnione, odkryte przed oczami wszystkich.

Od czasu do czasu Adam lub Robert Di Silva zadawali jakieś pytania, zmuszając Thomasa Colfaxa do wypełnienia luk powstających w opowieści.

Sesja przebiegała o wiele lepiej niż w najśmielszych marzeniach Adama, gdy nagle, pod sam koniec, gdy pozostały już ostatnie minuty, nastąpiła katastrofa.

Jeden z członków składu sędziowskiego zadał pytanie dotyczące prania brudnych pieniędzy.

- To zaczęło się jakieś dwa lata temu. Michael trzymał mnie z dala od niektórych ostatnich spraw. Zajmowała się nimi Jennifer Parker.

Adam zdrętwiał.

- Jennifer Parker? - zapytał z niesłychaną skwapliwością Robert Di Silva.

- Tak, proszę pana. - W głosie Thomasa Colfaxa było słycać nutkę zemsty. - Teraz ona jest doradcą prawnym Organizacji.

Adam za wszelką cenę próbował go powstrzymać od dalszego mówienia i od rejestrowania tego, co obecnie zeznawał, ale było za późno. Di Silva dobrał się do Colfaxa i nic nie było w stanie go powstrzymać.

- Proszę nam o niej coś więcej opowiedzieć - powiedział ostro.

Thomas Colfax zaczął mówić.

- Jennifer Parker jest zamieszana w tworzenie marionetkowych korporacji, pranie brudnych pieniędzy... »

- Nie chcemy... - próbował przerwać mu Adam.

- ...morderstwo.

W sali zapanowała cisza, którą przerwał dopiero Adam.

- Musimy... musimy trzymać się faktów, panie Colfax. Czy próbuje nam pan wmówić, że Jennifer Parker jest zamieszana w zabójstwo?

- Właśnie dokładnie tak. Rozkazała zabić człowieka, który porwał jej syna. Mężczyzna ten nazywał się Frank Jackson. Jennifer Parker powiedziała Morettiemu, żeby go

zabił i on to zrobił.

Rozległ się szmer podnieconych głosów.

„Jej syna! - zdumiał się Adam. - To musi być jakaś pomyłka”.

- Myśle... - zająknął się - myślę, że mamy dosyć dowodów, aby nie musieć słuchać jeszcze plotek. Proponuję...

- To nie są plotki - zapewnił go Thomas Colfax. - Byłem razem z Morettim, kiedy zadzwoniła Jennifer Parker.

Adam tak mocno zaciskał pod stołem dłoń, że aż odpłynęła z nich krew.

- Świadek wygląda na zmęczonego. Uważam, że na dzisiaj wystarczy.

Robert Di Silva zwrócił się do członków specjalnego sądu:

- Chciałbym zaproponować następującą procedurę...

Adam nie słuchał go. Zastanawiał się, gdzie może być Jennifer. Znowu zniknęła. Kilka razy próbował do niej dotrzeć. Teraz ogarnęła go desperacja. Musiał do niej dotrzeć, i to szybko.

Największa potajemna operacja wymiaru sprawiedliwości w dziejach Stanów Zjednoczonych rozpoczęła się.

Wydział policji Federalnej do Walki z Przystępczością Zorganizowaną i z Oszustwami pracował ręką w rękę z FBI, urzędami pocztowymi i celnymi, urzędem podatkowym, Federalnym Biurem ds. Narkotyków i z kilkoma innymi agencjami.

Zakres badanych spraw obejmował morderstwa, nakłanianie do morderstw, malwersacje, szantaż, przestępstwa podatkowe, oszustwa związkowe, podpalenia, lichwiarstwo i handel narkotykami.

Thomas Colfax dał im klucz do puszek Pandory z przestępstwami i korupcją, klucz, który miał im pomóc zlikwidować znaczną część przestępczości zorganizowanej.

Głównym celem ataku była Rodzina Michaela Morettiego, ale uzyskane dowody pozwalały dobrać się również do kilkunastu innych Rodzin w całym kraju.

W całych Stanach Zjednoczonych i za granicą agenci rządowi dyskretnie wypytywali przyjaciół i współpracowników osób, których nazwiska widniały na tajnej liście. Agenci w Turcji, Meksyku, Salwadorze, Francji i Hondurasie komunikowali się między sobą i przekazywali informacje o nielegalnej działalności, prowadzonej na terenie ich krajów. Łapano drobne płotki i po złożeniu przez nie zeznań, puszczano wolno w zamian za dostarczone dowody przeciwko głównym organizatorom zbrodniczej działalności. Wszystko to odbywało się w największej tajemnicy, tak, aby główni bohaterowie nie zdawali sobie sprawy z burzy, która miała się wkrótce rozpętać nad ich głowami.

Jako przewodniczący senackiej Komisji Dochodzeniowej, Adam Warner przyjmował w swoim domu w Georgetown nie kończący się strumień gości i narady w jego gabinecie trwały często do wczesnego świtu. Nie było wątpliwości, że kiedy wszystko się skończy i Organizacja Michaela Morettiego zostanie zniszczona, zwycięstwo Adama w wyborach prezydenckich będzie pewne.

Powinien być szczęśliwy. Tymczasem był przygnębiony i przeżywał najgłębszy kryzys w swoim życiu. Jennifer Parker była mocno zamieszana w całą aferę i Adam musiał ją ostrzec, powiedzieć jej, by uciekała, póki jeszcze był czas. Z drugiej strony miał inne zobowiązania: wobec komisji, która nosiła jego imię, wreszcie wobec samego Senatu Stanów Zjednoczonych. Był oskarżycielem Jennifer. Jak mógł być jednocześnie jej obrońcą? Gdyby ją ostrzegł i wyszłoby to na jaw, zniszczyłby wiarygodność swojej komisji i wszystko, co było z tym związane, zniszczyłby swoją przyszłość i przyszłość swojej rodziny.

Adama zaskoczyła wzmianka Colfaxes o tym, że Jennifer ma dziecko.

Wiedział, że musi z nią porozmawiać.

Wykręcił numer jej biura, ale sekretarka odpowiedziała:

- Przykro mi, panie Adams, ale panny Parker nie ma w biurze.
- To... to bardzo ważna sprawa. Czy wie pani, gdzie mogę ją zastać?
- Nie, proszę pana. Może ktoś inny mógłby panu pomóc? Nikt inny nie mógł mu pomóc.

W ciągu następnego tygodnia Adam próbował kilka razy dziennie złapać Jennifer. Ale jej sekretarka odpowiadała niezmiennie:

- Przykro mi, panie Adams, ale panny Parker nie ma w biurze.

Adam siedział w gabinecie, próbując trzeci raz tego dnia dodzwonić się do Jennifer, gdy do pokoju weszła Mary Beth. Adam obojętnie odłożył słuchawkę.

Mary Beth podeszła do niego i przesunęła palcami po jego włosach.

- Wyglądasz na zmęczonego, kochanie.
- Czuję się świetnie.

Podeszła do obitego skórą fotela, stojącego naprzeciwko biurka Adama, i usiadła.

- Już wkrótce będzie po wszystkim, prawda, Adamie?
- Na to wygląda.
- Ze względu na ciebie chciałabym, żeby to się już skończyło. Musisz żyć w straszliwym napięciu.
- Nie poddam się, Mary Beth. Nie martw się o mnie.
- Jak mogę się nie martwić? Przecież na tej liście jest nazwisko Jennifer Parker, prawda?

Adam spojrzał na nią gwałtownie.

- Skąd o tym wiesz? Roześmiała się.
- Najdroższy, zamieniłeś ten dom w miejsce publicznych spotkań. Nic nie mogę poradzić na to, że co nieco do mnie dociera. Wszyscy są okropnie podnieceni możliwością schwytania Michaela Morettiego i jego przyjaciółki. - Obserwowała twarz Adama, ale nie zauważyła na niej żadnej zmiany. Mary Beth patrzyła na męża z czułością i myślała: „Jacy naiwni są mężczyźni”. Wiedziała o Jennifer Parker więcej niż Adam. Mary Beth zawsze zadziwiała, jak mężczyzna może być tak błyskotliwym politykiem czy przemysłowcem i jednocześnie takim głuptasem, jeżeli chodzi o kobiety. Popatrzeć tylko, ilu naprawdę wielkich ludzi miało za żony lafiryndy. Mary Beth rozumiała przygodę swego męża z Jennifer Parker. Ostatecznie Adam był bardzo atrakcyjnym i pociągającym mężczyzną. I jak wszyscy

mężczyźni był podatny na uroki niewieście. Filozofią Mary Beth było wybaczyć, ale nigdy zapomnieć.

Ona wiedziała, co było najlepsze dla Adama. Wszystko, co robiła, robiła dla jego dobra. Gdy to całe dochodzenie się skończy, zabierze Adama gdzieś daleko. Wyglądał naprawdę na zmęczonego. Zostawią Samanthę z opiekunką i pojedą do jakiegoś romantycznego miejsca. Może na Tahiti.

Mary Beth wyjrzała przez okno i zobaczyła dwóch ludzi z ochrony pogrążonych w rozmowie. Miała mieszane uczucia, jeśli chodziło o ich obecność. Mary Beth nie lubiła, gdy ktoś wdierał się w jej życie prywatne, ale jednocześnie ich widok przypominał jej, że Adam kandydował na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Och, cóż za głuptas z niej. Jej mąż zostanie kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wszyscy to mówili. Perspektywa zamieszkania w Białym Domu była tak oczywista, że sama myśl o tym sprawiała, że robiło jej się gorąco. Jej ulubionym zajęciem, gdy Adam miał te wszystkie swoje spotkania, była zmiana wystroju Białego Domu. Mogła godzinami siedzieć w swoim pokoju, zmieniając w myślach umeblowanie, planując wszystkie te podniecające rzeczy, które będzie robiła, kiedy już zostanie pierwszą damą.

Widziała pomieszczenia, które dla większości zwiedzających były niedostępne: bibliotekę Białego Domu, zawierającą blisko trzy tysiące tomów, Pokój Chiński i Salę Przyjęć Dyplomatów i pokoje prywatne, i siedem sypialni dla gości na drugim piętrze.

Będzie mieszkała w tym domu z Adamem, stanie się częścią jego historii. Mary Beth wzdrygnęła się na myśl, jak mało brakowało, by przekreślił przez tę Parker ich wspólną przyszłość. Ale, dzięki Bogu, to już się skończyło.

Popatrzyła na Adama, siedzącego przy biurku. Wyglądał mizernie i niezdrowo.

- Czy zrobić ci filiżankę kawy, kochanie?

Adam już miał odpowiedzieć odmownie, ale nagle zmienił zdanie.

- Tak, poproszę.

- Zaraz ci przyniosę.

Gdy Mary Beth opuściła pokój, Adam znowu podniósł słuchawkę i zaczął wykრęcać numer. Był wieczór i wiedział, że biuro Jennifer jest nieczynne, ale powinien być przynajmniej jakiś portier. Wydawało mu się, że czeka nieskończenie długo, zanim usłyszał głos telefonistki.

- To bardzo pilne - powiedział Adam. Od kilku dni próbuję się skontaktować z panną Parker. Mówi Adams.

- Proszę zaczekać - powiedziała dziewczyna. Po chwili znów w słuchawce zabrzmiał

jej głos. - Przykro mi, panie Adams. Nie wiem, gdzie może teraz być panna Parker. Czy chce pan zostawić wiadomość?

- Nie. - Adam rzucił słuchawkę zrezygowany. Wiedział, że nawet jeśli zostawi Jennifer wiadomość, by do niego zadzwoniła, na pewno tego nie zrobi.

Siedział w zaciszu swego gabinetu, spoglądając w noc, myśląc o licznych nakazach aresztowania, które zostaną wkrótce wydane. Jedno z nich będzie dotyczyło morderstwa.

Będzie na nim widniało nazwisko Jennifer.

Minęło pięć dni, zanim Michael Moretti wrócił do górskiego domku, w którym przebywała Jennifer. Spędziła te dni odpoczywając, jedząc, chodząc na długie spacery. Kiedy usłyszała, że zajeżdża samochód Michaela, wyszła mu na spotkanie.

Michael przyjrzał się jej i powiedział:

- Wyglądasz dużo lepiej.

- I czuję się dużo lepiej. Dziękuję. Szli ścieżką prowadzącą do jeziora.

- Mam dla ciebie nowe zadanie.

- Co to takiego?

- Chcę, żebyś jutro poleciała do Singapuru.

- Do Singapuru?

- Złapali na tamtejszym lotnisku stewarda i znaleźli przy nim kokainę. Nazywa się Stefan Bjork. Jest teraz w więzieniu. Chcę, żebyś wyciągnęła go za kaucją, zanim zacznie sypać.

- Dobrze.

- Wracaj jak najszybciej. Będę za tobą tęsknił.

Przytulił ją i pocałował bardzo delikatnie w usta, a potem wyszeptał:

- Kocham cię, Jennifer.

Wiedziała, że nigdy nikomu nie powiedział tych słów.

Ale było już za późno. To był koniec. Coś w niej umarło na zawsze i pozostało jej tylko poczucie winy i samotność. Postanowiła powiedzieć Michaelowi, że odchodzi. Nie będzie ani Adama, ani Michaela. Musi gdzieś wyjechać zupełnie sama i zacząć wszystko od początku. Miała do spłacenia dług. Zrobi tę ostatnią przysługę Michaelowi, ale po powrocie powie mu o swoich planach.

Następnego ranka odleciała do Singapuru.

Nick Vito, Tony Santo, Salvatore Fiore i Joseph Colella jedli lunch „U Tony'ego”. Zajmowali miejsca przy stoliku stojącym tuż przy wejściu i za każdym razem, kiedy drzwi się otwierały, automatycznie podnosili wzrok, by sprawdzić, kto wchodzi. Na zapleczu siedział Michael Moretti i chociaż między Rodzinami nie było w tej chwili żadnego konfliktu, zawsze lepiej było zachować ostrożność.

- Co się stało z Jimmym? - pytał wielki Joseph Colella.

- Astutatu - morte - powiedział Nick Vito. - Głupi sukinsyn zakochał się w siostrze policjanta. Dziwka miała klasę, muszę jej to przyznać. Razem ze swoim braciszkiem namówili Jimmy'ego do haniebnego podstępu. Jimmy zaaranżował spotkanie z Mike'em, a w nogawce spodni miał ukryty mikrofon.

- I co się stało?

- Ano to, że Jimmy'emu ze zdenerwowania zachciało się siusiu. Kiedy rozpiął rozporek, wylał kabel od tego przeklętego mikrofonu.

- O, cholera!

- No i było po Jimmym. Mikę oddał go w ręce Gino, a ten udusił go, używając jego własnego kabla. Umierał suppilu - supplu - bardzo długo.

Otworzyły się drzwi i czwórka mężczyzn uniosła wzrok. Wszedł roznosiciel gazet z popołudniowym wydaniem „New York Post”.

- Chodź no tutaj - zawołał Joseph Colella, po czym zwrócił się do swych towarzyszy:

- Chcę sprawdzić rozstawienie na Hialeah. Wystawiłem do biegu pewniaka.

Gazeciarz, ogorzały mężczyzna po siedemdziesiątce, wręczył Josephowi Colelli gazetę, a ten dał mu dolara.

- Reszty nie trzeba.

Tak by powiedział Michael Moretti. Joe Colella zaczął przewracać strony, kiedy wzrok Nicka Vito padł na zdjęcie na pierwszej stronie.

- Hej! - krzyknął. - Widziałem gdzieś tego faceta! Tony Santo spojrzał mu przez ramię.

- Nic dziwnego, ty jęłopie. Przecież to Adam Warner. Bierze udział w wyborach prezydenckich.

- Nie - sprzeciwił się Vito. - Chciałem powiedzieć, że go spotkałem. - Zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, gdzie to było. Nagle coś mu zaświtało w głowie.

- Mam! Siedział razem z Jennifer Parker w barze w Acapulco.

- Co ty pleciesz?

- Pamiętacie, byłem tam w zeszłym miesiącu, by przekazać paczkę. Tam widziałem tego faceta, z Jennifer. Pili razem.

- Jesteś tego pewny? - Salvatore Fiore badawczo mu się przyglądał.

- Tak. Czemu pytasz?

- Sądzę, że lepiej będzie, jak powiesz o tym Mike'owi - odrzekł wolno Fiore.

Michael Moretti spojrział wolno na Nicka Vito i powiedział:

- Chyba postradałeś zmysły? Co Jennifer robiłaby z senatorem Warnerem?

- Nie wiem, szefie. Wiem jedynie, że siedzieli w tym barze i pili.

- We dwójkę?

- Tak.

- Pomyślałem sobie, że powinieneś o tym wiedzieć, szefie - odezwał się Salvatore Fiore. - Ten dupek Warner prowadzi dochodzenie przeciwko nam. Czemu Jennifer miałaby z nim iść na drinka?

Właśnie to chciał Michael sam wiedzieć. Jennifer opowiadała o Acapulco i o zjeździe, wymieniła kilka osób, które tam spotkała. Ale ani słowem nie wspomniała o Adamie Warnerze.

- Kto jest teraz przewodniczącym związku portierów? - zwrócił się do Tony'ego Santo.

- Charlie Corelli.

Pięć minut później Michael rozmawiał przez telefon z Charlesem Corellim.

- ... Belmont Towers - mówił Michael. - Mój znajomy mieszkał tam dziewięć lat temu. Chciałbym porozmawiać z facetem, który był tam wtedy portierem. - Michael słuchał przez chwilę. - Dziękuję, stary. Jestem ci zobowiązany – powiedział i odłożył słuchawkę.

Nick Vito, Santo, Fiore i Colella przyglądali się mu.

- Nie macie, do diabła, nic do roboty? Wynoście się stąd. Czwórka mężczyzn pospiesznie opuściła pokój.

Michael siedział zamyślony, wyobrażając sobie Jennifer i Adama razem. „Dlaczego nigdy o nim nie wspomniała? Tak, jak i o ojcu Joshuy, który zginął podczas wojny w Wietnamie. Dlaczego Jennifer nigdy o nim nie mówiła?”

Michael Moretti zaczął przemierzać pokój.

Trzy godziny później Tony Santo wpuścił do środka nieśmiałego, nędznie ubranego mężczyznę po sześćdziesiątce, który był wyraźnie przestraszony.

- To jest Wally Kawolsky - przedstawił go Tony. Michael wstał i uściśnął

Kawolsky'emu dłoń.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Wally. Potrafię to docenić. Usiądź. Napijesz się czegoś?

- Nie, nie, dziękuję, panie Moretti. Niczego nie chcę. Bardzo panu dziękuję - mówił, niemal się kłaniając.

- Nie denerwuj się. Chciałem ci tylko zadać parę pytań, Wally.

- Rozumiem, panie Moretti. Powiem wszystko, co pan chce wiedzieć. Absolutnie wszystko.

- Czy ciągle jeszcze pracujesz w Belmont Towers?

- Ja? Nie, proszę pana. Odszedłem jakieś pięć lat temu. Moja teściowa cierpi na silny artretyzm i...

- Czy pamiętasz lokatorów?

- Tak, proszę pana, przynajmniej większość z nich. Należeli do tego typu...

- Czy pamiętasz niejaką Jennifer Parker? Twarz Waltera Kawolsky'ego rozjaśniła się.

- Naturalnie. To była prawdziwa dama. Pamiętam nawet numer jej mieszkania, 1929.

Tak jak rok kryzysu. Bardzo ją lubiłem.

- Czy do panny Parker przychodziło dużo gości, Wally?

Wally wolno podrapał się w głowę.

- Trudno powiedzieć, panie Moretti. Widywałem ją tylko, kiedy przychodziła i wychodziła.

- Czy w jej mieszkaniu kiedykolwiek nocowali mężczyźni?

- Och, nie, proszę pana - potrząsnął głową Walter Kawolsky. A więc to wszystko bzdura. Ogarnęło go uczucie ulgi. Cały czas wiedział, że Jennifer nigdy by...

- Przecież jej przyjaciel mógłby przyjść i przyłapać ich. Michael pomyślał, że się przesłyszał.

- Jej przyjaciel?

- No tak, ten facet, z którym panna Parker mieszkała. Michael poczuł się tak, jakby ktoś go walnął młotem w brzuch. Stracił panowanie na sobą. Złapał Waltera Kawolsky'ego za klapy marynarki i uniósł go do góry.

- Ty głupi szczyłu! Pytałem cię przecież, czy... Jak się nazywał?

Mały mężczyzna był przerażony.

- Nie wiem, panie Moretti. Przysięgam na Boga, że nie wiem!

Michael puścił go. Podniósł gazetę i podsunął mu ją pod sam nos.

Kawolsky spojrział na zdjęcie Adama Warnera i wykrzyknął podniecony:

- To on! To jest jej przyjaciel!

A Michael poczuł, że świat się wali wokół niego. Jennifer przez cały ten czas okłamywała go, zdradzała go z Adamem Warnerem! Spotykali się we dwójkę za jego plecami, spiskowali przeciwko niemu, robili z niego durnia. Przyprawiała mu rogi.

Zapałał gwałtowną żądzą zemsty i wiedział, że musi zabić ich oboje.

Jennifer poleciała z Nowego Jorku do Singapuru przez Londyn z dwugodzinnym postojem w Bahrainie. Prawie nowe lotnisko w Emiracie było już zaniedbane, pełne mężczyzn, kobiet i dzieci w tradycyjnych strojach, śpiących na podłodze lub na ławkach. Przed sklepem monopolowym widniał napis głoszący, że picie w miejscach publicznych podlega karze więzienia. Panowała tu atmosfera wrogości i Jennifer była szczęśliwa, kiedy wreszcie zapowiedziano jej lot.

Boeing 747 wylądował na lotnisku Changi w Singapurze o czwartej czterdzieści po południu. Był to nowiutki port lotniczy czternaście mil od centrum miasta, który zastąpił stare lotnisko międzynarodowe. Kiedy samolot kołował po płycie, widać było, że prace budowlane ciągle jeszcze trwają.

Budynek odpraw pasażerów był przestronny i nowoczesny, dla wygody podróżnych zapewniono dużą ilość wózków bagażowych. Celnicy byli sprawni i grzeczni i po piętnastu minutach Jennifer kierowała się już w stronę postoju taksówek.

Przed wejściem zbliżył się do niej tęgi Chińczyk w średnim wieku.

- Panna Jennifer Parker?

- Tak.

- Nazywam się Chou Ling. - Był to łącznik Morettiego w Singapurze. - Samochód już na nas czeka.

Chou Ling przypilnował, by walizki Jennifer załadowano do bagażnika samochodu i po paru minutach jechali już w kierunku miasta.

- Czy miała pani przyjemny lot? - zapytał Chou Ling.

- Tak, dziękuję - powiedziała Jennifer, ale myślami była przy Stefanie Bjorku.

Jakby domyślając się tego, Chou Ling skinął w stronę budynku wznoszącego się przed nimi.

- To więzienie Changi. Bjork siedzi właśnie tu.

Jennifer odwróciła się, by dokładniej przyjrzeć się gmachowi. Więzienie było olbrzymie, leżało nieco z boku autostrady. Otoczone było zielonym płotem i drutem pod napięciem. Na każdym rogu wznosiły się wieże strażnicze, obsadzone uzbrojonymi strażnikami. Wejście było zagrodzone drugim płotem z drutu kolczastego, za którym, tuż przy bramie, stało więcej strażników.

- Podczas wojny - poinformował Jennifer Chou Ling - wszyscy Brytyjczycy, przebywający na wyspie, byli tutaj internowani.

- Kiedy będę mogła zobaczyć się z Bjorkiem?

- Sytuacja jest niezwykle delikatna, panno Parker - odpowiedział Chou Ling. - Nasz rząd jest nieugięty, jeżeli chodzi o narkotyki. Nawet przyłapani po raz pierwszy traktowani są bezwzględnie. Ludzie, którzy handlują narkotykami... - Chou Ling znacząco wzruszył ramionami. - Singapur jest kontrolowany przez kilka potężnych rodzin: rodzinę Shaw, CK. Tang, Tan Chin Tuan i Lee Kuan Yew, premiera. Kontrolują one finanse i handel w Singapurze. I nie życzą sobie tutaj narkotyków.

- Chyba mamy tutaj jakichś wpływowych przyjaciół.

- Inspektor policji, David Touh, to bardzo rozsądny człowiek.

Jennifer pomyślała, ile też kosztuje „rozsądek”, ale nie zapytała. Będzie na to jeszcze dużo czasu. Usiadła wygodniej i przyglądała się okolicy. Przejeżdżali teraz przez przedmieścia Singapuru i zewsząd otaczała ich zieleń i barwne kwiaty. Po obu stronach MacPherson Road, między starymi kaplicami i pagodami, były nowoczesne centra handlowe. Niektórzy przechodnie ubrani byli w tradycyjne stroje i turbany, podczas gdy inni nosili eleganckie ubrania zgodnie z ostatnim krzykiem zachodniej mody. Miasto sprawiało wrażenie kolorowej mieszanki starej kultury i nowoczesnej metropolii. Centra handlowe wyglądały na nowe i Jennifer zauważyła, że wszystko wprost lśniło czystością.

- Bardzo łatwo to wytłumaczyć - uśmiechnął się Chou Ling. - Kara za śmiecenie wynosi pięćset dolarów i jest bezwzględnie egzekwowana.

Samochód skręcił w Stevens Road i na wzgórzu, wznoszącym się przed nimi, Jennifer ujrzała piękny, biały budynek, zewsząd otoczony drzewami i kwiatami.

- To „Shangri - La”, pani hotel.

Weszli do przestronnego, białego, nieskazitelnie czystego holu, pełnego marmurowych filarów i szkła.

Kiedy Jennifer się zameldowała, Chou Ling powiedział:

- Inspektor Touh skontaktuje się z panią. - I wręczył Jennifer wizytówkę. - Mnie może pani zawsze zastać pod tym numerem.

Uśmiechnięty portier wziął bagaż Jennifer i zaprowadził ją przez atrium do windy. Pod kaskadą wodną był ogromny ogród i basen. „Shangri - La” był najbardziej luksusowym hotelem, jaki kiedykolwiek Jennifer widziała. Jej apartament na drugim piętrze składał się z dużego salonu, łazienki oraz tarasu, wychodzącego na barwne morze białych i czerwonych anturii, purpurowych bougauwilli i smukłych palm kokosowych. „To tak, jakby się nagle znaleźć na obrazie Gauguina” - pomyślała Jennifer.

Wiał lekki wietrzyk. Joshua ubóstwiał takie dni. „Czy popływamy po południu

żaglówką, mamó?” „Przestań” - skarciła się Jennifer.

Podeszła do telefonu.

- Chciałabym zamówić rozmowę ze Stanami Zjednoczonymi, Nowy Jork, z przywołaniem pana Michaela Morettiego. - Podała numer telefonu.

- Przykro mi - powiedziała telefonistka. - Wszystkie linie mamy zajęte. Proszę spróbować później.

- Dobrze, dziękuję.

Telefonistka spojrzała na mężczyznę stojącego obok centralki.

- Dobrze - skinął głową z aprobatą. - Bardzo dobrze.

Inspektor Touh zadzwonił godzinę po przyjeździe Jennifer do hotelu.

- Panna Jennifer Parker?

- Przy telefonie.

- Mówi inspektor David Touh. - Miał miękki, trudny do określenia akcent.

- Witam, inspektorze. Spodziewałam się pańskiego telefonu. Chciałabym pilnie załatwić...

- Zastanawiam się, czy zrobi mi pani tę przyjemność i zje ze mną dziś wieczorem obiad - przerwał jej inspektor.

„Ostrzeżenie. Prawdopodobnie obawia się podsłuchu”.

- Z największą przyjemnością.

„Wielki Szanghaj” był ogromną, gwarną restauracją. Większość gości stanowili hałaśliwie zachowujący się tubylcy. Na podwyższeniu grał trzyosobowy zespół, a atrakcyjna dziewczyna w cheongsam śpiewała popularne amerykańskie przeboje.

- Stół dla jednej osoby? - zapytał Jennifer kierownik sali.

- Jestem umówiona na spotkanie. Z inspektorem Touhem. Twarz kierownika rozjaśnił uśmiech.

- Inspektor czeka już na panią. Proszę tędy - odparł i zaprowadził Jennifer do stolika w przedniej części sali, tuż obok orkiestry.

Inspektor David Touh był wysokim, szczupłym, atrakcyjnym mężczyzną po czterdziestce. Miał delikatne rysy i ciemne, wilgotne oczy. Był ubrany w ciemny garnitur, elegancko i oficjalnie.

Pomógł usiąść Jennifer, po czym sam zajął miejsce. Zespół grał jakąś głośną piosenkę rockową.

Inspektor Touh pochylił się do ucha Jennifer i powiedział:

- Czy mogę zamówić dla pani coś do picia?

- Tak, bardzo proszę.
- Musi pani spróbować chendol.
- Co to takiego?
- Przyrządza się go z mleka kokosowego, cukru kokosowego i żelatyny. Na pewno będzie pani smakował.

Inspektor rozejrzał się i natychmiast u jego boku pojawiła się kelnerka. Zamówił dwa drinki i dim sum, chińskie przekąski.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, żebym wybrał dla pani również obiad?
- Absolutnie nie. Będzie mi bardzo miło.
- Wiem, że w pani ojczyźnie kobiety są przyzwyczajone do rządzenia. Tutaj ciągle jeszcze mężczyźni grają główną rolę.

„Antyfeminista” - pomyślała Jennifer, ale nie była w nastroju do sprzeczki. Ten człowiek był jej potrzebny. Z uwagi na niezwykły gwar i muzykę, prowadzenie rozmowy było prawie niemożliwe. Jennifer siedziała i rozglądała się po sali. Była już w innych państwach azjatyckich, ale mieszkańcy Singapuru wydali się jej wyjątkowo urodziwi, zarówno kobiety, jak i mężczyźni.

Kelnerka postawiła przed Jennifer drinka. Przypominał czekoladową wodę sodową z kawałkami czegoś śliskiego w środku.

Inspektor Touh zauważył jej minę.

- Musi to pani zamieszać.
- Nie słyszę, co pan mówi.
- Musi to pani zamieszać! - krzyknął.

Jennifer posłusznie zamieszała napój i spróbowała go. Był okropny, o wiele za słodki, ale Jennifer skinęła głową i powiedziała:

- Jest... jest oryginalny.

Na stole pojawiło się kilka tac z dim sum. Niektóre potrawy miały dziwne kształty, jakich Jennifer nigdy do tej pory nie widziała, ale postanowiła nie pytać, co to jest. Jedzenie było wyśmienite.

Inspektor Touh wyjaśniał, przekrzykując gwar sali:

- Ta restauracja słynie z potraw w stylu Nonya. Są przygotowywane na bazie chińskich składników, ale przyprawiane po malajsku. Żadne przepisy nie zostały spisane.
- Chciałam porozmawiać z panem o Stefanie Bjorku - powiedziała Jennifer.
- Nie słyszę pani. - Hałas orkiestry był ogłuszający. Jennifer pochyliła się bliżej.

- Chcę wiedzieć, kiedy będę mogła zobaczyć się ze Stefanem Bjorkiem.

Inspektor Touh wzruszył ramionami i pokazał jej, że nic nie słyszy. Jennifer pomyślała w pewnej chwili, czy wybrał ten stolik, aby mogli swobodnie porozmawiać, czy też dlatego, żeby nie mogli w ogóle rozmawiać.

Po dim sum nastąpił nie kończący się szereg dań. Cały posiłek był wyśmienity. Jedyna rzecz, która niepokoiła Jennifer, to fakt, że ani razu nie zdołała poruszyć tematu Stefana Bjorka.

Kiedy skończyli jeść i wyszli na ulicę, inspektor Touh powiedział:

- Mam tu samochód.

Pstryknął palcami i po chwili podjechał czarny mercedes. Inspektor otworzył Jennifer tylne drzwi. Za kierownicą siedział olbrzymi, umundurowany policjant. Coś było nie tak. „Gdyby inspektor Touh chciał omówić ze mną poufne sprawy - pomyślała Jennifer - postarałby się, żebyśmy byli sami.

Usiadła na tylnym siedzeniu, a inspektor zajął miejsce obok niej.

- Jest pani pierwszy raz w Singapurze, prawda?

- Tak.

- O, w takim razie pokażę pani dużo ciekawych miejsc.

- Nie przyjechałam tu zwiedzać miasta, inspektorze. Muszę jak najszybciej wracać do domu.

- Och, wy biali zawsze się tak spieszycie - westchnął inspektor. - Czy słyszała pani o ulicy Bugis?

- Nie.

Jennifer obróciła się na siedzeniu, aby móc obserwować twarz inspektora Touha. Miał niezwykle wyraziste oblicze i ekspresyjne gesty. Wydawał się szczerzy i komunikatywny, ale przez cały wieczór nic właściwie nie powiedział.

Samochód zatrzymał się, by przepuścić trishaw, trzykołowy pojazd rowerowy, kierowany przez drobnego Chińczyka. Inspektor Touh obserwował z niechęcią trishaw wiozący dwóch turystów w dół ulicy.

- Pewnego dnia zabronimy używania takich pojazdów.

Jennifer i inspektor Touh wysiedli z samochodu jedną przecnicę przed Bugis Street.

- Nie wolno tam wjeżdżać samochodami - wyjaśnił jej inspektor.

Wziął Jennifer pod ramię i zaczęli iść zatłoczonym chodnikiem. Po paru minutach tłum tak zgęstniał, że nie można było prawie wcale się poruszać. Ulica Bugis była wąska, po obu jej stronach stały stragany - z owocami i warzywami oraz mięsem i rybami. Było też

dużo restauracji na świeżym powietrzu, z krzesłami rozstawionymi wokół małych stolików. Jennifer przystanąła, chłonąc widoki, dźwięki, zapachy i orgię kolorów. Inspektor Touh ujął ją pod ramię i torując sobie drogę, przepychał się przez tłum. Dotarli do restauracji z trzema stolikami. Wszystkie były zajęte. Inspektor chwycił za ramię kelnera i po chwili u jego boku zjawił się właściciel. Inspektor powiedział coś do niego po chińsku. Właściciel podszedł do jednego ze stołów, przemówił do gości, a ci spojrzeli na inspektora, po czym szybko wstali i wyszli. Inspektor i Jennifer zajęli miejsca przy stole.

- Czy zamówić coś dla pani?

- Nie, dziękuję. - Jennifer obserwowała rozlewające się ludzkie morze, ogarniające chodniki i jezdnię. W innych okolicznościach może by ją to zachwyciło. Singapur był fascynującym miastem, miastem, które należało dzielić z kimś bliskim.

- Proszę uważać - powiedział inspektor Touh. - Zbliża się północ.

Jennifer rozejrzała się. W pierwszej chwili nic nie zauważyła. Potem spostrzegła, że wszyscy sklepikarze zaczęli jednocześnie zwijać swoje stragany. W ciągu dziesięciu minut wszystkie stragany były uprzątnięte, a ich właściciele zniknęli.

- Co się dzieje? - zapytała Jennifer.

- Zobacz pani.

W drugim końcu ulicy rozległ się szmer tłumu i ludzie zaczęli schodzić na chodnik, zostawiając jezdnię pustą. Środkiem ulicy szła młoda Chinka w długiej, obcisłej sukni. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek w życiu widziała Jennifer. Kroczyła wolno i dumnie, zatrzymując się, by pozdrowić ludzi, siedzących przy różnych stolikach, po czym szła dalej.

Kiedy zbliżyła się do ich stolika, Jennifer mogła się jej lepiej przyjrzeć. Z bliska była jeszcze piękniejsza. Miała miękkie i delikatne rysy i oszałamiającą figurę. Jej suknia z białego jedwabiu miała po bokach rozcięcia, przez które można było ujrzeć delikatnie zaokrąglone biodro i małe, doskonale uformowane piersi.

Kiedy Jennifer odwróciła się do inspektora, chcąc mu coś powiedzieć, ukazała się druga dziewczyna. Była jeszcze piękniejsza od pierwszej, o ile to w ogóle było możliwe. Za nią kroczyły dwie następne i po chwili cała Bugis Street wypełniona była pięknymi, młodymi dziewczętami. W ich żyłach płynęła krew malajska, hinduska i chińska.

- To prostytutki - domyśliła się Jennifer.

- Tak. Transseksualiści.

Jennifer patrzyła na niego z niedowierzaniem. To było niemożliwe. Odwróciła się i ponownie przyjrzała się dziewczynom. Nie mogła u nich dostrzec absolutnie nic męskiego.

- Żartuje pan.
- Nazywają ich „Billy Boys”.
- Ależ to... - Jennifer była kompletnie zdezorientowana.

- Wszyscy mieli operacje. Uważają się za kobiety. - Wzruszył ramionami. - Czemu nie? Nikomu nie robią nic złego. Chyba wie pani - dodał - że prostytutka jest u nas zabroniona. Ale „Billy Boys” są atrakcją dla turystów i tak długo, póki nie napastują gości, policja przemyka na to oko.

Jennifer jeszcze raz spojrzała w stronę ślicznych, młodych osób, kroczących ulicą, zatrzymujących się przy stolikach, by zawrzeć umowę z potencjalnymi klientami.

- Są nieźli. Liczą sobie do dwustu dolarów. Kiedy są już za starzy, by pracować, zostają burdelmamami.

Większość dziewcząt siedziała teraz przy stolikach, targując się z mężczyznami o zapłatę za swoje usługi. Jedna po drugiej zaczęły wstawać i wychodzić ze swoimi klientami.

- W ciągu nocy zawierają dwie, trzy transakcje - wyjaśnił inspektor. - Przejmują Bugis Street po północy i muszą ją opuścić przed szóstą rano, tak żeby znów można było otworzyć stragany. Możemy iść stąd, kiedy tylko pani zechce.

- Chciałabym już iść.

Kiedy szli ulicą, Jennifer niespodziewanie stanęła przed oczami postać Kena Baileya i pomyślała sobie: „Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy”.

W czasie jazdy powrotnej do hotelu Jennifer postanowiła, że nie zważając na obecność kierowcy, wymieni nazwisko Bjorka.

Kiedy samochód skręcił w Orchard Road, Jennifer zaczęła stanowczym tonem:

- Jeśli chodzi o Stefana Bjorka...
- Ach, tak. Załatwiłem pani widzenie z nim jutro o dziesiątej rano.

Adama Warnera wywołano ze spotkania, odbywającego się w Waszyngtonie, by odebrał pilny telefon z Nowego Jorku.

Dzwonił prokurator okręgowy Robert Di Silva. Rozpierała go radość.

- Sąd właśnie sporządził akty oskarżenia, o które prosiliśmy. Na wszystkich! Zaczynamy akcję. Senatorze, słyszy mnie pan? - zapytał, nie słysząc żadnego odzewu po drugiej stronie.

- Słyszę. - Adam zmusił się do przybrania entuzjastycznego tonu. - To wspaniała wiadomość.

- Powinniśmy być gotowi do ostatecznej rozprawy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jeżeli może pan przylecieć do Nowego Jorku, uważam, że powinniśmy jutro rano odbyć ostateczne spotkanie ze wszystkimi agencjami, aby skoordynować nasze działania. Czy to możliwe, senatorze?

- Tak - powiedział Adam.

- A więc jutro o dziesiątej rano. Poinformuję wszystkich.

- Będę obecny - potwierdził Adam i odłożył słuchawkę. „Sąd właśnie sporządził akty oskarżenia, o które prosiliśmy.

Na wszystkich!”

Adam znowu podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer.

Pokój widzeń w więzieniu Changi był niewielkim, pustym pomieszczeniem o białych ścianach, ozdobionych sztukaterią, z długim stołem i twardymi drewnianymi krzesłami po obu jego stronach. Jennifer siedziała na jednym z krzesel i czekała. Kiedy drzwi się otworzyły, uniosła głowę i zobaczyła Stefana Bjorka wchodzącego w towarzystwie umundurowanego strażnika.

Bjork był wysokim mężczyzną po trzydziestce, o ponurej twarzy i wypukłych oczach. „Stan tarczycowy „ - pomyślała Jennifer. Na jego policzkach i czole widniały wyraźne siniaki. Usiadł naprzeciwko Jennifer.

- Jestem Jennifer Parker, pana adwokat. Spróbuję pana stąd wydostać.

Spojrzał na nią i odezwał się:

- Dobrze będzie, jeśli się pani z tym pospieszy.

Mogła to być zarówno groźba, jak i prośba. Jennifer przypomniała sobie słowa Michaela: „Chcę, żebyś wyciągnęła go za kaucją zanim zacnie sypać”.

- Czy odpowiednio pana traktują?

Rzucił ukradkowe spojrzenie na stojącego w pobliżu drzwi strażnika.

- Tak. W porządku.

- Wystąpiłam o zwolnienie pana za kaucją.

- Jakie są szanse? - Bjork nie był w stanie ukryć w głosie nadziei.

- Myślę, że niezłe. Potrwa to najwyżej dwa, trzy dni.

- Muszę się stąd wydostać. Jennifer wstała.

- Zobaczymy się niedługo.

- Dziękuję - powiedział Stefan i wyciągnął do niej rękę.

- Nie wolno! - krzyknął ostrym głosem strażnik. Obrócili się oboje.

- Nie wolno się dotykać.

Stefan Bjork rzucił Jennifer przelotne spojrzenie, a potem powiedział schrypniętym głosem:

- Niech się pani pospieszy!

Kiedy Jennifer wróciła do hotelu, zastała wiadomość, że dzwonił inspektor Touh. Jeszcze ją czytała, gdy rozległ się telefon. Dzwonił inspektor.

- Panno Parker, myślę, że czekając na decyzję sądu, może pani odbyć małą przejażdżkę po mieście.

W pierwszej chwili Jennifer chciała odmówić, ale zdała sobie sprawę z tego, że

właściwie nie ma nic do roboty do czasu, kiedy Bjork znajdzie się na pokładzie samolotu opuszczającego wyspę. Do tego czasu dobrze będzie zapewnić sobie życzliwość inspektora Touha.

- Dziękuję. Na pewno będzie wspinała - powiedziała Jennifer.

Zatrzymali się na lunch w Kampachi, a potem skierowali się za miasto, jadąc na północ drogą Bukit Timah, wiodącą do Malezji, mijając szereg kolorowych wiosek z licznymi barwnymi straganami i sklepikami spożywczymi. Ludzie byli dobrze ubrani i wyglądali na zamożnych. Jennifer i inspektor Touh zatrzymali się przy Cmentarzu i Pomniku Ofiar Wojny Kranji. Wspięli się po schodach, a następnie przeszli przez otwartą niebieską bramę. Przed nimi wznosił się olbrzymi marmurowy krzyż, a z tyłu ogromna kolumna. Cały cmentarz przypominał morze białych krzyży.

- Wojna dotknęła dotkliwie wielu z nas - powiedział inspektor Touh. - Wszyscy stracili jakichś przyjaciół i członków rodzin.

Jennifer nic nie odrzekła. Oczami duszy widziała grób w Sands Point. Ale nie dopuszczała do siebie myśli o tym, co krył mały kopczyk.

W siedzibie wydziału wywiadu policji na Manhattanie przy Hudson Street toczyło się spotkanie przedstawicieli agencji ds. przestrzegania prawa. W zatłoczonej sali panował nastrój euforii. Początkowo wiele osób podchodziło do śledztwa z cynizmem, bo już wielokrotnie brali udział w czymś takim. W ciągu minionych lat nieraz zdołali zgromadzić niezbite dowody przeciwko gangsterom, mordercom i szantażystom, ale w kolejnych rozprawach wysoko opłacany talent prawniczy uzyskiwał uniewinnienie dla przestępców, których reprezentował. Tym razem miało być inaczej. Dysponowali zeznaniami consigliere Thomasa Colfaxes, których nikt nie mógł podważyć. Przez przeszło dwadzieścia pięć lat był obrońcą tej bandy. Teraz wystąpi w sądzie i poda nazwiska, daty, fakty i liczby. Właśnie dostawali znak do rozpoczęcia akcji.

Adam bardziej niż ktokolwiek z obecnych na tej sali pracował, by nadeszła ta chwila. Miał to być wóz triumfalny, który zawiezie go do Białego Domu. Teraz, kiedy ten moment nadszedł, poczuł, że zwycięstwo ma gorzki smak. Przed nim leżała lista osób, które miały stawić się przed sądem. Na czwartym miejscu widniało nazwisko Jennifer Parker, a wśród stawianych jej zarzutów wymieniono morderstwo i przyczynienie się do kilku innych przestępstw.

Adam Warner rozejrzał się po sali i zmusił się do wypowiedzenia kilku słów.

- Wszystkim z was... wszystkim z was należą się gratulacje. Próbował jeszcze coś dodać, ale nie mógł wydusić z siebie ani jednego słowa. Był ogarnięty takim obrzydzeniem

do samego siebie, że aż odczuwał fizyczny ból.

„Hiszpanie mają rację - myślał Michael Moretti - zemsta najlepiej smakuje na zimno”. Jedynym powodem tego, że Jennifer Parker jeszcze żyła był fakt, że znajdowała się poza jego zasięgiem. Ale wkrótce wróci. A tymczasem Michael mógł delektować się tym, co ją będzie czekało. Zdradziła go, jak tylko kobieta może zdradzić mężczyznę. Dlatego przypilnuje, by otrzymała to, na co sobie zasłużyła.

W Singapurze Jennifer znów próbowała zamówić rozmowę z Michaeliem.

- Przykro mi - odpowiedziała telefonistka. - Wszystkie linie do Stanów Zjednoczonych są zajęte.

- Proszę próbować później.

- Oczywiście, panno Parker.

Telefonistka spojrzała na stojącego przy centralce mężczyznę, który uśmiechnął się do niej znacząco.

W swojej śródmiejskiej siedzibie Robert Di Silva oglądał dopiero co przyniesiony nakaz aresztowania. Było na nim nazwisko Jennifer Parker.

„Mam ją wreszcie” - pomyślał. I poczuł dziką satysfakcję.

- Inspektor Touh czeka na panią w holu - zawiadomiła telefonistka.

Jennifer zdziwiła się, bo nie spodziewała się jego wizyty. Widocznie ma jakieś informacje o Stefanie Bjorku.

Jennifer zjechała windą na dół.

- Proszę mi wybaczyć, że nie zadzwoniłem - tłumaczył się inspektor Touh. - Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy osobiście.

- Czy ma pan jakieś nowe informacje?

- Porozmawiamy w samochodzie. Chcę pani coś pokazać.

Jechali wzdłuż ulicy Yio Chu Kang.

- Czy są jakieś problemy? - spytała Jennifer.

- Nie. Kaucja zostanie wyznaczona pojutrze. „W takim razie dokąd mnie zabiera?”

Mijali kompleks budynków przy Jalan Goatpah, kiedy kierowca zatrzymał wóz.

- Jestem pewny, że to panią zainteresuje - zwrócił się inspektor Touh do Jennifer.

- Co to takiego?

- Proszę iść za mną. Zaraz sama pani zobaczy.

Wnętrze budynku było stare i zaniedbane, ale najbardziej charakterystyczny był zapach - dziki, prymitywny, przypominający piżmo. Jennifer nigdy jeszcze nie zetknęła się z takim zapachem.

Młoda dziewczyna pospieszyła w ich stronę i zapytała:

- Czy życzą sobie państwo przewodnika? Mogę... Inspektor Touh odsunął ją na bok.
- Nie będziesz nam potrzebna.

Ujął Jennifer pod ramię i wyszli na zewnątrz. Znajdowało się tu kilka olbrzymich, zagłębionych w ziemi basenów, z których dobiegały dziwne odgłosy. Jennifer i inspektor podeszli do pierwszego z brzegu zbiornika. Znajdujący się obok napis głosił: „Uwaga! Niebezpieczeństwo! Zachować ostrożność”. Jennifer spojrzała w dół. Cały zbiornik wypełniony był krokodylami i aligatorami, wprost dziesiątkami tych gadów. Były w ciągłym ruchu, prześlizgiwały się jedne nad drugimi.

Jennifer wzdrygnęła się.

- Co to takiego?
- To farma krokodyli - powiedział inspektor, spoglądając na gady. - Między trzecim a szóstym rokiem życia obdziera siebie ze skóry, z której wyrabia się następnie portfele, paski i buty.

Zauważyła pani, że większość z nich ma otwarte paszcze? W taki sposób odpoczywają. Ostrożnym należy być wtedy, gdy je zamykają.

Podeszli do kolejnego zbiornika, w którym pływały tylko dwa olbrzymie aligatory.

- Te mają po piętnaście lat. Trzymane są dla celów rozrodczych.
- Ależ są obrzydliwe - wzdrygnęła się Jennifer. - Nie wiem, jak mogą ze sobą wytrzymać.
- Chyba nie za bardzo - powiedział inspektor Touh. - Jeżeli chodzi o ścisłość, rzadko kopulują.
- To prawdziwe prehistoryczne stworzenia.
- Zgadza się. Żyją od milionów lat według tych samych prymitywnych mechanizmów, które wykształciły przed wiekami.

Jennifer zastanawiała się, dlaczego inspektor ją tu przyprowadził. Jeżeli uważał, że te okropnie wyglądające bestie zainteresują ją, to był w błędzie.

- Czy możemy już stąd iść? - zapytała.
- Za chwilę - odrzekł inspektor i spojrzął w stronę młodej dziewczyny, którą spotkali przy wejściu. Szła w kierunku pierwszego zbiornika, niosąc tacę.
- Akurat jest pora karmienia - powiedział inspektor. - Proszę popatrzeć.

Zbliżył się z Jennifer do pierwszego zbiornika.

- Są karmione co trzy dni rybami i podrobami. Dziewczyna zaczęła rzucać za barierkę mięso i natychmiast woda zaczęła kipieć od kłębiących się cielsk. Aligatory i krokodyle

rzucali się na surowe, krwawe ochłapy, rozdzierając je swoimi gadzimi kłami na strzępy. Akurat kiedy Jennifer patrzyła, dwa krokodyle chciały chwycić ten sam kawał mięsa. Natychmiast odwróciły się do siebie, zajadle atakując, gryząc i rzucając się na oślep, aż woda zaczęła zabarwiać się na czerwono. Jeden stracił w bójce oko, ale nie zwalniał uścisku szczęk na paszczy drugiego. Kiedy krew zaczęła obficie płynąć, do walki przyłączyły się pozostałe gady, rzucając się na swych poranionych towarzyszy, atakując ich zaciekle, aż ukazało się żywe mięso. Zaczęły żywcem odzierać je ze skóry i pożerać. Jennifer zrobiło się słabo.

- Proszę, chodźmy już stąd.

Inspektor Touh położył jej dłoń na ramieniu.

- Jeszcze chwileczkę.

Stał, obserwując, i dopiero po chwili wyprowadził Jennifer.

Tej nocy Jennifer śniły się krokodyle, rozszarpujące się nawzajem na kawałki. W pewnej chwili dwa z nich zamieniły się w Michaela i Adama i w środku nocy Jennifer obudziła się, dygocąc. Do samego rana nie mogła zasnąć.

Obława rozpoczęła się. Agenci lokalnych i federalnych sił porządkowych uderzyli we wszystkich stanach i w kilku państwach, a akcja została tak zaplanowana, by rozpoczęła się wszędzie jednocześnie.

W Ohio aresztowano senatora podczas wygłaszania w klubie dla pań przemówienia na temat uczciwości rządu.

W Nowym Orleanie została zdemaskowana nielegalna siatka bukmacherska o zasięgu ogólnokrajowym.

W Amsterdamie udaremniono przemyt diamentów.

Dyrektor banku w Gary w Indianie, został aresztowany pod zarzutem prania pieniędzy Organizacji.

W Kansas City przeprowadzono obławę w dużym domu towarowym, prowadzącym sprzedaż hurtową towarów pochodzących z kradzieży.

W Phoenix w Arizonie aresztowano kilku detektywów w wydziale do walki z nierzędem.

W Neapolu skonfiskowano fabrykę kokainy.

W Detroit przerwano ogólnokrajowy łańcuch złodziei samochodów.

Nie mogąc osiągnąć Jennifer przez telefon, Adam Warner udał się do jej biura.

Cynthia rozpoznała go natychmiast.

- Przykro mi, senatorze Warner, ale panny Parker nie ma w kraju.

- Gdzie jest?

- W hotelu „Shangri - La” w Singapurze.

W Adama wstąpiła nowa nadzieja. Mógł do niej zadzwonić i ostrzec ją, by nie wracała.

Kierownik hotelu wszedł akurat wtedy, kiedy Jennifer skończyła brać prysznic...

- Przepraszam, o której godzinie opuszcza pani pokój?

- Nie wyjeżdżam dzisiaj, tylko jutro. Kierownik hotelu wyglądał na zaskoczonego.

- Powiedziano mi, żebym przygotował ten apartament dla gości przybywających dziś wieczorem.

- Kto to panu powiedział?

- Dyrektor.

Na dole połączono rozmowę międzykontynentalną. Na służbie była inna telefonistka, a przy niej stał inny mężczyzna.

- Nowy Jork do panny Parker? - powiedziała dziewczyna do mikrofonu.

Spojrzała na mężczyznę stojącego obok niej. Pokręcił głową.

- Przykro mi. Panna Parker opuściła już nasz hotel.

Generalna obława trwała. Przeprowadzano aresztowania w Hong - kongu, Salwadorze, Turcji i Meksyku. Pośrednicy, zabójcy, rabusie bankowi i podpalacze wpadali w zastawione sieci. W Fort Lauderdale, Atlantic City i Palm Springs wymierzano surowe wyroki.

I ciągle nie było widać końca akcji.

Robert Di Silva pilnie śledził postępy akcji z Nowego Jorku. Serce biło mu mocniej, kiedy myślał o pętli zaciskającej się wokół Jennifer Parker i Michaela Morettiego.

Michael Moretti uniknął przez czysty przypadek pułapki zastawionej przez policję. Była właśnie rocznica śmierci jego teścia i Michael razem z żoną pojechał na cmentarz, by złożyć hołd jego pamięci.

Pięć minut po jego odjeździe przed domem Michaela Morettiego pojawił się samochód pełny agentów FBI, a drugi zajechał przed jego biuro. Kiedy okazało się, że Morettiego nie było ani tu, ani tu, agenci postanowili na niego zaczekać.

Jennifer zorientowała się, że nie zrobiła rezerwacji do Stanów dla Stefana Bjorka. Zadzwoniła do Singapurskich Linii Lotniczych.

- Mówi Jennifer Parker. Jestem zabukowana na jutrzejszy lot nr 112 do Londynu. Chciałabym zrobić dodatkową rezerwację.

- Proszę uprzejmie. Zechce pani chwilę poczekać? Jennifer poczekała i po paru minutach znowu usłyszała głos w słuchawce.

- Nazwisko Parker? P - A - R - K - E - R?

- Tak.
- Pani rezerwacja została anulowana, panno Parker. Jennifer poczuła lekki niepokój.
- Anulowana? Przez kogo?
- Nie wiem. Została pani skreślona z listy pasażerów.
- To jakieś nieporozumienie. Proszę mnie ponownie umieścić na tej liście.
- Przykro mi, panno Parker, ale na lot nr 112 nie ma już wolnych miejsc.

Jennifer pomyślała, że jedynie inspektor Touh będzie w stanie wszystko wyjaśnić.

Umówiła się z nim na obiad. Dowie się wtedy, co to wszystko ma znaczyć.

Przyjechał po nią wcześniej.

Jennifer opowiedziała mu o zamieszkaniu w hotelu i anulowanej rezerwacji na samolot.

- Mam wrażenie, że to przez nasze zwykłe bałaganiarstwo. - Wzruszył ramionami. -

Zainteresuję się tym.

- A co ze Stefanem Bjorkiem?

- Wszystko załatwione. Zostanie wypuszczony jutro rano. Inspektor Touh powiedział coś po chińsku do kierowcy i samochód zawrócił.

- Nie widziała pani jeszcze Kallang Road. Myślę, że to panią zainteresuje.

Samochód skręcił w lewo w Lavender Street, a następnie w prawo w Kallang Bahru.

Po obu stronach umieszczono wielkie tablice reklamujące firmy ogrodnicze i producentów urn. Minąwszy parę przecznic, samochód znów skręcił.

- Gdzie jesteśmy?

Inspektor Touh odwrócił się do Jennifer i powiedział spokojnym głosem:

- Jesteśmy na ulicy bez nazwy.

Samochód zaczął jechać bardzo wolno. Po obu stronach były jedynie zakłady pogrzebowe, jeden obok drugiego: Tan Kee Seng, Clin Noh, Ang Yung Long, Goh Soon. W jednym właśnie odbywał się pogrzeb. Wszyscy żałobnicy odziani byli na biało, przygrywał trzyosobowy zespół: tuba, saksofon i bębny. Ciało, otoczone wieńcami kwiatów, leżało na podwyższeniu, z przodu umieszczono duże zdjęcie zmarłego. Uczestnicy uroczystości siedzieli wokół nieboszczyka i jedli.

- Co to jest? - zwróciła się Jennifer do inspektora.

- To domy śmierci. Miejscowa ludność nazywa je domami umarłych. Trudno im wymówić słowo śmierć. - Spojrzał na Jennifer i dodał: - Ale śmierć to przecież też część naszego życia.

Jennifer spojrzała w jego zimne oczy i nagle ogarnął ją strach.

Poszli do „Złotego Feniksa” i dopiero gdy usiedli, Jennifer miała okazję zadać mu

pytanie:

- Inspektorze Touh, czy miał pan jakiś specjalny powód zabierając mnie na farmę krokodyli i do domów umarłych?

Spojrzał na nią i odpowiedział:

- Oczywiście. Uważałem, że to panią zainteresuje. Szczególnie, jeśli przyjechała pani, by uwolnić swojego klienta, pana Bjorka. Panno Parker, wielu naszych młodych ludzi umiera przez przemywane do naszego kraju narkotyki. Mógłbym zabrać panią do szpitala, gdzie próbujemy ich leczyć, ale pomyślałem, że bardziej pouczający będzie widok, jak kończą.

- Przecież to wszystko nie ma nic wspólnego ze mną.

- To kwestia punktu widzenia. - W jego głosie nie było cienia życzliwości.

- Inspektorze Touh, jestem pewna, że dobrze panu płacą za... - zaczęła Jennifer.

- Na całym świecie nie ma dosyć pieniędzy, by mi zapłacić. Wstał i skinął na kogoś.

Jennifer odwróciła się. Do stołu zbliżali się dwaj mężczyźni w szarych garniturach.

- Panna Jennifer Parker?

- Tak.

Nie musieli wyciągać swych legitymacji FBI. Wiedziała, kim są, zanim jeszcze zaczęli mówić.

- FBI. Mamy nakaz ekstradycji i aresztowania. Zabieramy panią nocnym samolotem do Nowego Jorku.

Kiedy Michael Moretti opuścił cmentarz, był już spóźniony na spotkanie. Postanowił zadzwonić do biura i przenieść je na inny termin. Zatrzymał się przy budce telefonicznej koło autostrady i wykręcił numer. Telefon zadzwonił raz, po czym odezwał się głos:

- „Acme Builders”.
- Tu Mikę. Proszę powiedzieć... - zaczął mówić Michael.
- Pana Morettiego nie ma. Proszę zadzwonić później.

Michael poczuł, że napinają mu się mięśnie. Powiedział jedynie: „U Tony'ego”, odłożył słuchawkę i pospieszył do samochodu. Rosa spojrzała na jego twarz i zapytała:

- Czy wszystko w porządku, Michael?
 - Nie wiem. Podrzucę cię do kuzynki. Zostań tam, póki nie skontaktuję się z tobą.
- Tony podązał za Michaelem, zmierzającym do biura na tyłach restauracji.

- Otrzymałem wiadomość, że zarówno w twoim domu, jak i w biurze w centrum miasta roi się od agentów FBI, Mikę.

- Dziękuję - powiedział Michael. - Nie chcę, by mi przeszkadzano.
- W porządku.

Michael poczekał, aż Tony opuści pokój i zamknie za sobą drzwi. Wtedy dopiero podniósł słuchawkę i zaczął gorączkowo wykręcać numer.

Michaelowi Morettiemu zajęło mniej niż dwadzieścia minut zorientowanie się, że doszło do wielkiej wpadki. Kiedy zaczęły napływać informacje o obławach i aresztowaniach, Michael przyjmował je ze wzrastającym niedowierzaniem. Wszyscy jego ludzie zostali zatrzymani. Toczyła się jakaś większa akcja, zastopowano działalność spekulacyjną, skonfiskowano tajne rejestry i zapisy. To, co się działo, przypominało jakiś koszmar. Policja musiała otrzymać informacje od kogoś z Organizacji.

Michael zadzwonił do innych Rodzin w kraju. Wszyscy żądali wyjaśnień, co się dzieje. Ponieśli dotkliwie straty i nikt nie wiedział, skąd pochodziły przecieki. Podejrzewali, że to ktoś z Rodziny Morettiego.

Jimmy Guardino z Las Vegas postawił ultimatum.

- Michael, dzwonię w imieniu komitetu. - Komitet krajowy był najwyższą władzą, która przejmowała kontrolę nad wszystkimi Rodzinami, kiedy były kłopoty. - Policja robi obławę na wszystkie Rodziny. Ktoś ważny zaczął śpiewać. Według naszych informacji to jeden z twoich ludzi. Dajemy ci dwadzieścia cztery godziny na odszukanie go i rozprawienie się z nim.

W przeszłości w policyjne sieci wpadały jedynie małe płotki lub ludzie podstawieni. Teraz, po raz pierwszy, zaczęto docierać do głównych osobistości. „Ktoś ważny zaczął śpiewać. Według naszych informacji to jeden z twoich ludzi”. Musieli mieć rację. Rodzina Michaela została zdziesiątkowana najdotkliwiej i policja szukała jeszcze jego. Ktoś dostarczył jej niezbitych dowodów, w przeciwnym razie kampania nie nabrałaby takich rozmiarów. Ale kto to mógł być? Michael siedział i myślał.

Ten, kto informował policję, posiadał wiadomości znane jedynie Michaelowi i jego najbliższemu współpracownikom, Salvatoreowi Fiore i Josephowi Colelli. Tylko oni trzej wiedzieli, gdzie ukrywano księgi, znalezione przez FBI. Poza nimi wie - dział o tym jedynie Thomas Colfax, ale Colfax leżał martwy na wysypisku śmieci w New Jersey.

Michael siedział i myślał o Salvatore Fiore i Josephie Colelli. Trudno mu było uwierzyć, by którykolwiek z nich złamał omerta i zaczął sypać. Pozwolił im nawet na własną działalność lichwiarską na boku i prowadzenie małego domu publicznego. Czemu mieliby go zdradzić? Odpowiedź była, oczywiście, prosta: stołek, na którym siedział. Chcieli zająć jego miejsce. Gdyby został wyeliminowany, mogliby przejąć jego władzę. Tworzyli zespół, musieli działać razem.

Michaela ogarnęła głucha złość. Głupie skurczysyny próbowały się go pozbyć, ale nie pożyją długo, by się nacieszyć swoim zwycięstwem. Pierwsza rzecz, którą musi załatwić, to kaucja za tych, którzy zostali aresztowani. Potrzebny mu był adwokat, któremu mógłby ufać - Colfax nie żył, a Jennifer... Jennifer! Michael poczuł, jak jego serce znowu przeszywa ból. Wciąż słyszał swoje słowa: „Wracaj jak najprędzej, Jennifer. Będzie mi ciebie brak. Kocham cię, Jennifer”. Powiedział jej to, a ona go zdradziła. Zapłaci mu za to.

Michael wykonał kolejny telefon i siedział, wyraźnie na coś czekając. Po piętnastu minutach do biura wszedł spiesznym krokiem Nick Vito.

- Co się dzieje? - zapytał Michael.

- Wszędzie pełno FBI, Mike. Objechałem dom kilka razy, ale zrobiłem, jak powiedziałeś: trzymałem się z daleka.

- Mam dla ciebie robotę, Nick.

- Nie ma sprawy, szefie. Co mam zrobić?

- Zajmij się Salvatore i Joe.

Nick Vito wybałuszył na niego oczy.

- Nie... nie rozumiem. Mówiąc „zajmij się nimi” nie masz namyśli...

- Mam na myśli. Chcę, żebyś rozwalili ich pieprzone łby! - krzyknął Michael. - Potrzebujesz to na piśmie?

- N... nie - zająknął się Nick Vito. - Tylko że... że... że... Sal i Joe to twoi najlepsi ludzie!

Michael Moretti podniósł się, jego oczy stały się groźne.

- Chcesz mnie uczyć, jak mam prowadzić interes, Nick?

- Nie, Mike, tylko... W porządku. Zajmę się nimi. Kiedy...?

- Teraz. Natychmiast. Nie chcę, żeby dożyli nocy. Rozumiesz?

- Jasne, rozumiem. Michael zacisnął ręce w pięści.

- Gdybym miał czas, sam bym się nimi zajął. Chcę, żeby cierpieli, Nick. Niech to będzie powolna śmierć, słyszysz? Sup - pilu - supilu.

- Jasne, w porządku.

Otworzyły się drzwi i wbiegł Tony, szary na twarzy.

- Przyszło dwóch agentów FBI. Mają nakaz aresztowania ciebie. Przysięgam na Boga, że nie wiem, skąd się dowiedzieli, że tu jesteś. Oni...

Michael Moretti odwrócił się do Nicka Vito i wysapał:

- Uciekaj tylnymi drzwiami! Szybko! - Po czym zwrócił się do Tony'ego: - Powiedz im, że jestem w sraczu. Zaraz do nich przyjdę.

Michael podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Minutę później rozmawiał z sędzią Sądu Najwyższego miasta Nowy Jork.

- Jest tutaj dwóch agentów FBI z nakazem mojego aresztowania.

- Jakie są zarzuty, Mike?

- Nie wiem i gówno mnie to obchodzi. Dzwonię, żebyś załatwił mi zwolnienie za kaucją. Nie mogę teraz siedzieć w pudle. Mam dużo roboty.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym sędzia powiedział ostrożnie:

- Obawiam się, że tym razem nie będę ci mógł pomóc, Michael. Jest bardzo gorąco i jeżeli spróbuję interweniować...

Kiedy Michael Moretti zaczął mówić, w jego głosie brzmiał złowieszczy ton.

- Słuchaj mnie, ty bubku, i słuchaj mnie dobrze. Jeżeli spędzę choć jedną godzinę w więzieniu, dopilnuję, żebyś ty siedział za kratkami do końca życia. Opiekowałem się tobą dobrze przez długi czas. Chcesz, żebym powiedział prokuratorowi, ile spraw dla mnie załatwiłeś? Chcesz, żeby urząd podatkowy dowiedział się o numerze twojego konta w banku szwajcarskim? Chcesz, żeby...?

- Na miłość boską, Michael!

- Więc ruszaj!

- Zobaczą, co będę mógł zrobić - powiedział sędzia Lawrence Waldman. - Spróbuję...

- Spróbujesz? Masz to zrobić, do cholery! Słyszysz mnie, Larry? Masz to zrobić! - I Michael trzasnął słuchawką.

Jego umysł pracował szybko i sprawnie. Nie martwił się, że wsadzą go do więzienia. Wiedział, że sędzia Waldman zrobi to, o co go prosił, i ufał Nickowi Vito, że załatwi Fiore i Colellę. Bez ich zeznań nie będą mogli mu niczego udowodnić.

Michael przejrzał się w małym ściennym lusterku, przyczesał włosy, poprawił krawat i wyszedł na spotkanie agentów FBI.

Sędzia Lawrence Waldman załatwił sprawę tak, jak Michael to przewidział. W czasie wstępnego przesłuchania adwokat, wybrany przez sędziego Waldmana, wystąpił o zwolnienie za kaucją, która została ustalona w wysokości pięciuset tysięcy dolarów. Kiedy Moretti opuszczał salę rozpraw, Di Silva stał wściekły i bezsilny.

Nick Vito był człowiekiem o ograniczonej inteligencji. Jego wartość dla Organizacji polegała na tym, że wykonywał rozkazy, nie zadając zbędnych pytań, i wykonywał je sprawnie. Nick Vito wiele razy miał do czynienia z rewolwerem i z nożem i nie wiedział, co to strach. Teraz poznał. Działo się coś, czego nie był w stanie pojąć i czuł, że w jakimś stopniu jest za to odpowiedzialny.

Cały dzień słyszał o obławach i licznych aresztowaniach. Plotka głosiła, że to za sprawą jakiegoś zdrajcy, kogoś wysoko postawionego w Organizacji. Nawet przy swej ograniczonej inteligencji Nick Vito potrafił połączyć fakt, że wypuścił wolno Thomasa Colfaxa i że wkrótce potem ktoś zaczął zdradzać Rodzinę wobec władz. Nick Vito wiedział, że nie mogli to być Salvatore Fiore i Joseph Colella. Obaj byli mu jak bracia i obaj byli fanatycznie oddani Michaelowi Morettiemu, tak zresztą, jak on sam. Ale w żaden sposób nie mógłby tego wyjaśnić Michaelowi, nie dając się przy tym posiekać na drobne kawałki. Ponieważ jedyną osobą, która mogła być, poza nimi, winna tego, co się działo, był Thomas Colfax, a Colfax uważany był za martwego.

Nick Vito miał dylemat. Kochał „Małego Kwiatuszka” i olbrzymia. Fiore i Colella uczynili mu w przeszłości przysługę, tak samo zresztą, jak Thomas Colfax. Ale pomógł Colfaxowi w kłopotach i oto, co z tego wynikło. Więc Nick Vito postanowił, że nie okaże więcej miękkiego serca. Musiał teraz chronić własne życie. Kiedy zabije Fiore i Colellę, będzie czysty. Ale ponieważ byli dla niego niczym bracia, postara się, by mieli szybką śmierć.

Nick z łatwością ustalił miejsce ich pobytu, bo obydwaj musieli zawsze być pod ręką na wypadek, gdyby Michael ich potrzebował. Mały Salvatore Fiore odwiedzał codziennie apartament swojej kochanki przy 83. Ulicy, niedaleko Muzeum Przyrody. Nick wiedział, że zawsze opuszcza jej mieszkanie o piątej, by wrócić do domu, do żony. Teraz była trzecia. Nick naradzał się sam ze sobą. Mógł albo pokręcić się przed wejściem do budynku, albo iść na górę i załatwić Salvatore w mieszkaniu. Zdecydował, że jest zbyt zdenerwowany, żeby czekać. Fakt, że był zdenerwowany, jeszcze bardziej pogłębiał niepokój Nicka Vito. Wszystko zaczęło teraz do niego jasno docierać. „Kiedy będzie po wszystkim - pomyślał - poproszę Michaela o urlop. Może wezmę parę młodych dziewczuszek i pojedę na Bahama?” Już samo myślenie o tym sprawiło, że poczuł się lepiej.

Nick Vito zaparkował samochód za rogiem i pieszo doszedł do budynku. Dostał się do środka, wykorzystując plastikowy kartonik, minął windy i schodami wszedł na trzecie piętro.

Podszedł do drzwi w końcu korytarza i kiedy dotarł do nich, zaczął w nie walić.

- Otwierać! Policja!

Usłyszał odgłos szybkich kroków za drzwiami, które po paru minutach uchylły się nieco i ujrzał w szparze twarz i kawałek nagiej piersi Mariny, kochanki Salvatore Fiore.

- Nick! - powiedziała. - Ty wariacie! Ale mnie przestraszyłeś!

Zwolniła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Sal, to Nick!

Mały Salvatore Fiore wyszedł z sypialni nagi.

- Cześć, Nicky! Co ty tu, u diabła, robisz?

- Sal, mam dla ciebie wiadomość od Mike'a.

Nick Vito uniósł automat z tłumikiem i nacisnął spust. Iglica uderzyła w nabój kalibru 22, wyrzucając go z lufy z prędkością tysiąca stóp na sekundę. Pierwsza kula roztrzaskała nasadę nosa Salvatore Fiore. Druga trafiła go w lewe oko. Gdy Marina otworzyła usta do krzyku, Nick Vito zrobił obrót i strzelił jej w głowę. Kiedy upadała na podłogę, umieścił jeszcze jedną kulę w piersi, dla pewności. „Szkoda takiej pięknej dziwki - pomyślał - ale Mike'owi nie podobałoby się, gdybym pozostawił świadka”.

Wielki Joseph Colella był właścicielem konia, który brał udział w ósmej gonitwie w Belmont Park na Long Island. Belmont miał tor długości półtorej mili, idealny dystans dla klaczy, którą wystawił olbrzym. Poradził Nickowi, żeby na nią postawił. W przeszłości Nick niemało wygrał na typy Colelli. Colella zawsze robił parę zakładów w imieniu Nicka, kiedy startował jego koń. Nick Vito, podchodząc do loży Colelli, z żalem pomyślał, że nie będzie już więcej podpowiedzi Colelli, na którego konia stawiać. Właśnie zaczęła się ósma gonitwa. Colella stał w swojej loży, kibicując swojemu koniowi. Gra szła o wysokie stawki i kiedy konie kończyły pierwsze okrążenie, tłum ryczał z emocji.

Nick Vito stanął w loży za Colella i zapytał:

- Jak leci, stary?

- Cześć, Nick! Przyszedłeś w samą porę. Królowa Piękności wygra ten bieg. Postawiłem trochę za ciebie.

- To świetnie, Joe.

Nick Vito przytknął pistolet kalibru 22 do pleców Josepha Colelli i wystrzelił trzy razy. Przytłumiony hałas przeszedł niezauważalnie wśród wiwatującego tłumu. Nick obserwował, jak Joseph Colella osunął się na ziemię. Zastanawiał się przez moment, czy wyciągnąć z kieszeni Colelli kupony totalizatora sportowego, ale rozmyślił się. Przecież koń mógł przegrać.

Nick Vito odwrócił się i wolno ruszył w stronę wyjścia - jedna anonimowa postać wśród tysiąca.

Zadzwoił prywatny numer Michaela Morettiiego.

- Pan Moretti?
- Kto chce z nim mówić?
- Kapitan Tanner.

Michaelowi zajęło sekundę skojarzenie sobie tego nazwiska. Kapitan policji. Komisariat w Queens. Opłacany.

- Tu Moretti.
- Właśnie otrzymałem informację, która - jak sądzę - może pana zainteresować.
- Skąd pan dzwoni?
- Z budki telefonicznej.
- Proszę mówić.
- Odkryłem, skąd się wzięła ta obława.
- Spóźnił się pan. Już się nimi zająłem.
- Nimi? Och, słyszałem tylko o Thomasie Colfaxie.
- Nie wie pan, co pan wygaduje. Colfax nie żyje. Teraz z kolei zmieszał się kapitan

Tanner.

- O czym pan mówi? Przecież właśnie teraz Thomas Colfax siedzi w Bazie Piechoty Morskiej w Quantico, mówiąc wszystko, co wie, każdemu, kto tylko chce słuchać.

- Oszalał pan - wysapał Michael. - Tak się składa, że wiem... - przerwał. Czy rzeczywiście wiedział? Powiedział Nickowi Vito, żeby zabił Thomasa Colfaxa, i Vito potwierdził, że to zrobił. Michael siedział i myślał. - Na ile jesteś tego pewny, Tanner?

- Panie Moretti, czy dzwoniłbym, gdybym nie był pewny?
- Sprawdzę to. Jeśli masz rację, jestem twoim dłużnikiem.
- Dziękuję, panie Moretti.

Kapitan Tanner, zadowolony z siebie, odłożył słuchawkę. W przeszłości przekonał się, że Michael Moretti potrafi się odwdzięczać. Tym razem może być to naprawdę coś wyjątkowego, co może mu nawet pozwolić przejść na emeryturę. Wyszedł z budki telefonicznej na zimne, październikowe powietrze.

Przed budką stali dwaj mężczyźni i kiedy kapitan zaczął ich wymijać, jeden z nich zastąpił mu drogę. Pokazał legitymację.

- Kapitan Tanner? Porucznik West z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego. Komisarz policji chciałby zamienić z panem słówko.

Michael Moretti wolno odłożył słuchawkę. Zwierzęcy instynkt mówił mu, że Nick Vito okłamał go. Thomas Colfax wciąż żył. To wyjaśniało wszystko, co się działo. To on był zdrajcą. A Michael wysłał Nicka Vito, by zabił Fiore i Colellę. Jezu, ale z niego dureń! Przechytrzył go taki ciemny rewolwerowiec i przez niego stracił swoich dwóch najlepszych ludzi! Ogarnęła go zimna furia.

Wykręcił numer i krótko z kimś rozmawiał. Potem zadzwonił jeszcze do kogoś, wreszcie usiadł i czekał.

Kiedy usłyszał w słuchawce głos Nicka Vito, Michael z trudem zmusił się, by ukryć wściekłość, która nim miotła.

- Jak poszło, Nick?

- W porządku, szefie. Tak jak powiedziałeś. Obaj długo cierpieli.

- Mogę zawsze na ciebie liczyć, Nick, prawda?

- Wiesz o tym, szefie.

- Nick, chcę, żebyś mi wyświadczył jeszcze jedną przysługę. Jeden z chłopców zostawił samochód na rogu York i 59. Ulicy. Brązowe camaro. Kluczyki są za osłoną przeciwsłoneczną. Potrzebny jest nam w akcji, którą przeprowadzimy dziś w nocy. Przyrowadź go tutaj, dobrze?

- Oczywiście, szefie. Jak szybko go potrzebujesz? Chciałem...

- Potrzebuję go teraz, zaraz, Nick.

- Już się robi.

- Do widzenia, Nick.

Michael odłożył słuchawkę. Chciałby być obecny przy tym, jak Nick Vito będzie wylatywał w powietrze, ale miał do załatwienia pilniejsze sprawy.

Wkrótce wróci Jennifer Parker i chciał, żeby na jej przyjazd wszystko było gotowe.

„To wygląda zupełnie tak, jakby kręcili jakiś zwariowany film z moim więźniem w roli głównej” myślał generał - major Roy Wallace.

Wielka sala konferencyjna w bazie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych była pełna techników z oddziału łączności, kręcących się w kółko, ustawiających kamery, urządzenia do nagrywania i oświetlenie, używając przy tym swojego tajemniczego żargonu.

- Wyłącz ciotę i walnij błękitem, a szczeniaka postaw tutaj. Przygotowywali się do uwiecznienia zeznań Thomasa Colfaxes na taśmie filmowej.

- To dodatkowe zabezpieczenie - przekonywał prokurator okręgowy Di Silva. - Wiemy, że nikt nie ma do niego dostępu, ale mimo wszystko dobrze będzie mieć to nagrane. - I pozostali go poparli.

Jedyną osobą, która była nieobecna, był Thomas Colfax. Zostanie przyprowadzony w ostatniej chwili, kiedy wszystko już będzie na niego czekało.

„Niczym jakaś kapryśna gwiazda filmowa”.

Thomas Colfax odbywał w swojej celi spotkanie z Davidem Terrym z Departamentu Sprawiedliwości, człowiekiem odpowiedzialnym za tworzenie nowej tożsamości świadkom, którzy chcieli zniknąć.

- Proszę mi pozwolić powiedzieć parę zdań o Federalnym Programie Bezpieczeństwa dla Świadków - powiedział Terry. - Po zakończeniu procesu wyślemy pana do tego kraju, który pan sobie sam wybierze. Pańskie meble i inny dobytek zostanie wysłany do magazynu w Waszyngtonie pod zakodowanym numerem. Przekażemy je panu później. Nikt nie będzie miał możliwości pana wysledzić. Dostarczymy panu nowe dokumenty i stworzymy nowy życiorys. Jeżeli pan sobie życzy - również nową twarz.

- Sam się tym zajmę - odrzekł Colfax. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, jak chce zmienić swój wygląd.

- Normalnie, gdy stwarzamy ludziom nową tożsamość, znajdujemy im zajęcie w zawodzie, do którego są najlepiej przygotowani i zabezpieczamy im nieco gotówki. W pańskim przypadku, panie Colfax, rozumiem, że kwestia pieniędzy nie istnieje.

Thomas Colfax pomyślał, co powiedziałby David Terry, gdyby wiedział, ile pieniędzy miał odłożonych na swoich kontach w bankach niemieckich, szwajcarskich i dalekowschodnich. Nawet on sam nie był w stanie śledzić tego wszystkiego, ale według skromnych szacunków sądził, że będzie tego dziewięć, dziesięć milionów dolarów.

- Nie - odparł Colfax - nie sądzę, żeby pieniądze były problemem.

- W porządku. W takim razie pierwszą rzeczą jest zdecydowanie, dokąd chciałby pan pojechać. Czy zastanawiał się pan nad tym?

Było to pozornie proste pytanie, ale ile za nim się kryło! W rzeczywistości pytano go: „Gdzie chce pan spędzić resztę swego życia?” Bo Colfax wiedział, że kiedy dotrze tam, nigdy już nie będzie mógł opuścić tego miejsca. Stanie się ono jego nową ojczyzną, jego kryjówką i nigdzie indziej na świecie nie będzie bezpieczny.

- Brazylia.

Był to zrozumiały wybór. Colfax posiadał tam już plantację o powierzchni dwustu tysięcy akrów, formalnie należącą do panamskiej korporacji, której związek z nim był nie do wyśledzenia. Sama posiadłość była niczym forteca. Stać go było na kupienie sobie takiej ochrony, że gdyby w końcu Michael Moretti dowiedział się, gdzie przebywa, nikt nie będzie go w stanie tknąć. Mógł sobie kupić wszystko, łącznie z kobietami. Thomas Colfax lubił Latynoski. Ludzie myślą, że kiedy mężczyzna osiągnie wiek sześćdziesięciu pięciu lat jest skończony pod względem seksualnym, że przestaje się interesować kobietami, ale Colfax odkrył, że wraz z wiekiem jego apetyty rosły. Jego ulubioną rozrywką stało się zabawianie w łóżku jednocześnie z dwiema, trzema pięknymi, młodymi dziewczętami. Im były młodsze, tym lepiej.

- Z Brazylią nie będzie kłopotu - mówił David Terry. - Nasz rząd zakupi tam panu mały domek i...

- To nie będzie potrzebne. - Colfax niemal roześmiał się w głos na myśl, że miałby zamieszkać w małym domku. - Jedyne, czego od was oczekuję, to zapewnienie mi nowych dokumentów i bezpiecznego transportu. Wszystkim pozostałym zajmę się sam.

- Jak pan sobie życzy, panie Colfax. - David Terry wstał. - Myślę, że omówiliśmy prawie wszystko. - Uśmiechnął się uspokajająco. - To będzie jedna z łatwiejszych akcji. Wprawię całą maszynę w ruch. Gdy tylko skończy pan swoje zeznania, znajdzie się pan w samolocie lecącym do Ameryki Południowej.

- Dziękuję. - Thomas Colfax obserwował, jak jego gość opuszcza celę i ogarnęło go uczucie dumy. Udało mu się! Michael Moretti popełnił błąd, nie doceniając go, i będzie to jego ostatni błąd. Colfax miał zamiar pogrzebać go całkowicie, tak by nigdy już nie był w stanie się z tego wykaraskać.

Na dodatek jego zeznania zostaną sfilmowane. To może być nawet ciekawe. Zastanawiał się, czy zrobią mu makijaż. Przyjrzał się sobie w małym ściennym lusterku. „Nieźle - pomyślał - jak na człowieka w moim wieku. Ciągle jeszcze dobrze się trzymam. Te młode siksy południowoamerykańskie przepadają za starszymi, siwymi panami”. Usłyszał,

jak otwierają się drzwi celi i odwrócił się. Sierżant piechoty morskiej przyniósł mu lunch. Miał dużo czasu, żeby zjeść, zanim zaczną kręcić film.

Pierwszego dnia Thomas Colfax poskarżył się na jedzenie, które mu serwowano, i od tej pory generał Wallace zarządził, aby wszystkie posiłki Colfaksa były przyrządzane zgodnie z jego życzeniami. W ciągu tych tygodni, które Colfax spędził w bazie, jego najmniejsze sugestie traktowano jak rozkazy. Robili wszystko, by go zadowolić i Colfax w pełni z tego korzystał. Przyniesiono mu wygodne meble, telewizor i codziennie otrzymywał bieżącą prasę.

Sierżant postawił tacę z jedzeniem na stoliku, zastawionym na dwie osoby, i zrobił tę samą uwagę co zawsze.

- Wygląda bardzo apetycznie, proszę pana.

Colfax uśmiechnął się uprzejmie i usiadł przy stole. Dziś był rostbef nie dosmażony, tak jak lubił, ziemniaki puree i mięso zapiekane w cieście. Czekał, aż żołnierz przysunie sobie krzesło i usiądzie naprzeciw niego. Sierżant wziął nóż i widelec, od - kroił kawałek mięsa i zaczął jeść. To był jeszcze jeden z pomysłów generała Wallace'a. Thomas Colfax miał swojego własnego kiperę. „Jak władcy w dawnych czasach” - pomyślał. Obserwował, jak żołnierz próbuje rostbef, ziemniaki i pieczeń.

- No i jak?

- Mówiąc szczerze, wolę rostbef dobrze wysmażony, proszę pana.

Colfax uniósł nóż i widelec i zaczął jeść. Sierżant się mylił. Mięso przyrządzone w sam raz, ziemniaki były gorące i rozplływały się w ustach, a pieczeń była wyjątkowo soczysta.

Colfax sięgnął po chrzan i rozsmarował go cienko na wołowinie. Przy drugim kęsie zorientował się, że coś było nie tak. Poczł nagłe pieczenie w ustach, które zaczęło przenikać całe ciało. Odnosił wrażenie, jakby płonął ogniem. Krtań zacisnęła mu się, niczym sparalizowana. Zaczł z trudem chwytać powietrze. Sierżant piechoty morskiej, siedzący naprzeciwko, patrzył się na niego bez ruchu. Thomas Colfax chwycił się za gardło i próbował powiedzieć sierżantowi, co się dzieje, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Ogień wewnątrz przesuwł się coraz szybciej, sprawiając nieznośny ból. Jego ciało zeszywniało w straszliwym skurczu i przewrócił się na podłogę.

Sierżant obserwował go przez chwilę, po czym pochylił się nad jego ciałem i uniósł powiekę Thomasa Colfaksa, by się upewnić, że nie żyje.

Dopiero wtedy zaczął wzywać pomocy.

Samolot Singapurskich Linii Lotniczych, lot numer 246, wylądował na lotnisku Heathrow w Londynie o siódmej trzydzieści rano. Wszyscy pasażerowie musieli pozostać na miejscach, póki Jennifer i dwaj agenci FBI nie opuścili samolotu, udając się do biura bezpieczeństwa lotniska.

Jennifer rozpaczliwie próbowała zdobyć jakąś gazetę, żeby dowiedzieć się, co się dzieje w kraju, ale jej milcząca eskorta odmówiła tej prośbie i nie dawała się wciągnąć w żadne rozmowy.

Dwie godziny później cała trójka wsiadła na pokład samolotu TWA, lecącego do Nowego Jorku.

W gmachu Sądu Stanów Zjednoczonych przy Foley Square toczyło się nadzwyczajne spotkanie. Obecni byli Adam Warner, Robert Di Silva, generał - major Roy Wallace i z pół tuzina przedstawiciele FBI, Departamentu Sprawiedliwości i Departamentu Skarbu.

- Jak to się mogło, do diabła, stać? - Głos Roberta Di Silvy trząsał się ze złości. Prokurator zwrócił się do generała: - Powiedziano panu, jakie znaczenie miał dla nas Thomas Colfax.

Generał bezradnie rozłożył ręce.

- Przedsięwzięliśmy wszelkie środki ostrożności. Sprawdzamy teraz, w jaki sposób kwas pruski dostał się do...

- Gównu mnie to obchodzi, jak to zrobili! Colfax nie żyje!

- Jak bardzo uderza w nas śmierć Colfaksa? - zapytał pracownik Departamentu Skarbu.

- Niezwykle mocno - odpowiedział Di Silva. - Postawienie żywego człowieka na miejscu dla świadków to jedno. Przedstawienie ksiąg i rachunków to zupełnie co innego. Można się założyć, że jakiś cwany adwokat zacznie dowodzić, jak łatwo te księgi mogły zostać sfalszowane.

- Co teraz zrobimy? - zapytał przedstawiciel Departamentu Skarbu.

- Będziemy kontynuować, naszą akcję - odpowiedział prokurator okręgowy. - Jennifer Parker jest w drodze powrotnej z Singapuru. Mamy dosyć dowodów, by wyeliminować ją na zawsze. Kiedy będzie szła na dno, postaramy się, by pociągnęła za sobą Michaela Morettiego. Zgadza się pan ze mną, senatorze? - zwrócił się do Adama.

Warner poczuł się słabo.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział i szybko opuścił salę.

Sygnalista w ogromnych nausznikach wymachiwał sygnalizatorami, naprowadzając Jumbo 747 w stronę wolnego pasa postojowego. Samolot zatrzymał się w wyznaczonym miejscu i na dany znak pilot wyłączył cztery potężne silniki Pratt and Whitney.

Wewnątrz olbrzymiego samolotu w głośnikach zabrzmiał głos stewarda.

- Proszę państwa, właśnie wylądowaliśmy na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku. Dziękujemy za wspólny lot. Prosimy wszystkich pasażerów o pozostanie na miejscach do chwili ogłoszenia następnego komunikatu. Dziękuję.

Rozległ się ogólny pomruk niezadowolenia. Po chwili obsługa otworzyła drzwi. Dwaj agenci FBI, zajmujący razem z Jennifer miejsca z przodu samolotu, podnieśli się.

Jeden z nich odwrócił się do Jennifer i powiedział:

- Idziemy.

Pasażerowie obserwowali z zaciekawieniem, jak trójka ludzi opuszcza samolot. Po paru minutach w głośnikach znowu dał się słyszeć głos stewarda.

- Proszę państwa, dziękuję za cierpliwość i informuję, że możecie państwo teraz opuścić swoje miejsca.

Samochód rządowy czekał przy bocznym wjeździe na lotnisko. Pierwszy przystanek zrobili w Miejskim Zakładzie Poprawczym przy Park Row 150, przylegającym do gmachu Sądu Stanów Zjednoczonych na Foley Square.

Kiedy Jennifer została już zarejestrowana, jeden z ludzi z FBI powiedział:

- Przykro mi, ale nie możemy pani tu zostawić. Mamy rozkaz odstawić panią na Riker's Island.

Jazda na Riker's Island upłynęła w milczeniu. Jennifer zajmowała miejsce na tylnym siedzeniu pomiędzy dwoma funkcjonariuszami FBI, nic nie mówiąc, ale umysł jej gorączkowo pracował. Obaj mężczyźni w czasie całej podróży przez ocean byli niezwykle małomówni, więc Jennifer nie miała możliwości, by zorientować się, w jak poważnych opałach się znalazła. Wiedziała, że musiało to być coś poważnego, bo niełatwo było uzyskać nakaz ekstradycji.

Tak długo, póki będzie w więzieniu, nie będzie mogła w żaden sposób sobie pomóc. A więc pierwszą sprawą było uzyskanie zwolnienia za kaucją.

Przejeżdżali właśnie most wiodący na Riker's Island i Jennifer obserwowała znajomy widok, widok, który widziała setki razy, jadąc na spotkania ze swoimi klientami. Teraz sama była więźniem.

„Ale nie na długo - pomyślała Jennifer - Michael wyciągnie mnie stąd”.

Dwaj ludzie z FBI odprowadzili Jennifer do budynku recepcyjnego; jeden z nich wręczył strażnikowi nakaz ekstradycji.

- Jennifer Parker. Strażnik spojrział na nakaz.

- Spodziewaliśmy się pani, panno Parker. Ma pani zarezerwowane miejsce w areszcie, w celi nr 3.

- Mam prawo do jednej rozmowy telefonicznej.

- Oczywiście. - Strażnik skinął głową w stronę telefonu, stojącego na biurku.

Jennifer podniosła słuchawkę, modląc się do ducha, żeby zastać Michaela Morettiego. Zaczęła wykręcać numer.

Michael Moretti czekał na telefon od Jennifer. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie był w stanie myśleć o niczym innym. Na bieżąco otrzymywał informacje, kiedy Jennifer wylądowała w Londynie, kiedy jej samolot opuścił Heathrow i kiedy przyleciała do Nowego Jorku. Siedział przy biurku, będąc cały czas myślami przy Jennifer podczas jej jazdy na Riker's Island. Wyobrażał sobie, jak będzie przekraczała bramę więzienia. Zanim zaprowadzają do celi, zażąda rozmowy telefonicznej. Zadzwoń do niego. Właśnie o to mu chodziło. W ciągu godziny ją stamtąd wydostanie i Jennifer przyjedzie prosto do niego. Michael Moretti czekał na moment, kiedy Jennifer Parker stanie w drzwiach.

Jennifer zrobiła rzecz niewybaczalną. Oddała się człowiekowi, który próbował go zniszczyć. Co jeszcze mu powierzyła? Jakie sekrety mu zdradziła?

Adam Warner był ojcem dziecka Jennifer. Michael był teraz tego pewny. Okłamywała go od samego początku, mówiąc mu, że ojciec Joshuy nie żyje. „No cóż, to było proroctwo, które wkrótce się spełni”, powiedział Michael do siebie. Znajdował się przedziwnej sytuacji. Z jednej strony miał silną broń, której mógł użyć, by zdyskredytować i zniszczyć Adama Warnera. Mógł szantażować senatora groźbą ujawnienia jego romansu z Jennifer; ale gdyby to zrobił, sam by się zdemaskował. Gdyby Rodziny dowiedziały się - a na pewno dowiedziałyby się - że przyjaciółka Michaela była kochanką przewodniczącego senackiej komisji dochodzeniowej, Michael stałby się pośmiewiskiem wszystkich. Nie mógłby dalej dowodzić swymi ludźmi ani komukolwiek spojrzeć prosto w oczy. Rogacz nie nadaje się na dona. A więc szantaż był bronią obosieczną i mimo że był niezwykle kuszący, Michael wiedział, że nie odważy się go użyć. Będzie musiał zniszczyć swych wrogów w inny sposób.

Michael spojrział na małą, z grubszą naszkicowaną mapkę, leżącą przed nim na biurku. Przedstawiała trasę, którą Adam Warner miał się dzisiaj udać na prywatne przyjęcie. Ta mapa kosztowała Michaela Morettiego pięć tysięcy dolarów. Adama Warnera będzie kosztowała

życie.

Telefon na biurku Morettiego zadzwonił i Michael mimo woli drgnął. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Jennifer. Ten sam głos, który szeptał mu na ucho czułe słówka, który prosił go, by ją kochał, który...

- Michael, to ty?

- Tak. Gdzie jesteś?

- Przywieźli mnie na Riker's Island. Oskarżają mnie o morderstwo. Nie ustalono jeszcze wysokości kaucji. Kiedy możesz...?

- Wydostanę cię stamtąd niezwłocznie. Trzymaj się, dobrze?

- Tak, Michael. - Odczuł ulgę w jej głosie.

- Wyślę po ciebie Giną.

W chwilę potem Michael sięgnął po telefon i wykręcił numer. Przez parę minut mówił coś do słuchawki.

- Nie obchodzi mnie, ile będzie wynosiła kaucja. Chcę, żeby ją natychmiast wypuścili.

Odłożył słuchawkę i przycisnął guzik na biurku. Wszedł Gino Galio.

- Jennifer Parker jest na Riker's Island. Powinni ją zwolnić za godzinę, dwie. Pojedź po nią i przywieź ją tutaj.

- W porządku, szefie. Michael odchylił głowę do tyłu.

- Powiedz jej, że od jutra nie będziemy się już musieli martwić Adamem Warnerem.

Twarz Gino rozjaśniła się.

- Nie?

- Nie. Jest w drodze na spotkanie, ale nigdy na nie nie dojedzie. Będzie miał wypadek na moście w New Canaan.

- To klawo, szefie - uśmiechnął się Gino Galio.

- No, ruszaj. - Michael zrobił gest w stronę drzwi.

Prokurator okręgowy Di Silva przy pomocy wszelkich środków, jakimi tylko rozporządzał, przeciwstawił się uwolnieniu Jennifer za kaucją. Rozmowa toczyła się przed sędzią Williamem Benettem, sędzią Sądu Najwyższego miasta Nowy Jork.

- Wysoki Sądzie - mówił Robert Di Silva - zatrzymana jest oskarżona o szereg przestępstw. Musieliśmy wystąpić o jej ekstradycję z Singapuru. Kiedy zostanie zwolniona za kaucją, ucieknie do takiego miejsca, gdzie nie będzie podlegać ekstradycji. Proszę Wysoki Sąd o niewyrażenie zgody na uwolnienie jej za kaucją.

John Lester, były sędzia, reprezentujący Jennifer, powiedział:

- Wysoki Sądzie, prokurator okręgowy zniekształca fakty. Moja klientka nigdzie nie uciekała. Była w Singapurze służbowo. Gdyby poproszono ją o powrót, zrobiłaby to dobrowolnie. Jest szanowanym adwokatem i posiada tu sporo klientów. Jest mało prawdopodobne, by miała powód uciekać.

Spór trwał przeszło pół godziny. W końcu sędzia Benett powiedział:

- Wyznaczam kaucję w wysokości pięciuset tysięcy dolarów.
- Dziękuję, Wysoki Sądzie - odparł adwokat Jennifer. - Zapłacimy kaucję.

Piętnaście minut później Gino Galio pomagał Jennifer zająć miejsce z tyłu mercedesa.

- Nie trwało to długo - powiedział.

Jennifer nic nie odpowiedziała. Myślała o tym, co zaszło. W Singapurze została całkowicie odizolowana od tego, co się toczyło w Ameryce. Nie miała pojęcia, co się działo w Stanach Zjednoczonych, ale była pewna, że jej aresztowanie było powiązane z innymi wypadkami. Na pewno nie chodziło im tylko o nią. Musiała pilnie porozmawiać z Michaeliem i dowiedzieć się, co się stało. Di Silva musiał być bardzo pewny siebie, jeżeli ją ściągnął do kraju pod zarzutem morderstwa. Musiał...

W pewnej chwili dobiegły ją dwa wypowiedziane przez Gino Galio słowa, które przykuły jej uwagę.

- ...Adam Warner...
- Co mówiłeś? - zapytała Jennifer.
- Powiedziałem, że nie będziemy się już więcej musieli martwić Adamem Warnerem.

Mikę się nim zajął.

Jennifer poczuła, że serce podeszło jej pod samo gardło.

- Tak? Kiedy?

Gino Galio zdjął rękę z kierownicy, by spojrzeć na zegarek.

- Za jakieś piętnaście minut. Będzie to wyglądało na wypadek. Jennifer nagle zaschło w gardle.

- Gdzie... - Nie mogła mówić. - Gdzie to się stanie?
- Na moście w New Canaan.

Właśnie jechali przez Queens. Przed nimi było centrum handlowe i apteka.

- Gino, czy mógłbyś się zatrzymać przed apteką? Muszę coś kupić.

- Nie ma sprawy. - Wprawdzie obrócił kierownicę i skręcił ku wejściu do centrum handlowego. - Czy mam iść z panią?

- Nie, nie. To... to potrwa tylko chwilkę.

Jennifer wysiadła z samochodu i pospieszyła do środka. Każdy nerw w niej grał. W

głębi sklepu była budka telefoniczna. Jennifer sięgnęła do portmonetki. Nie miała drobnych, poza paroma monetami singapurskimi. Podbiegła do kasy i wyciągnęła dolara.

- Czy może mi pan rozmienić?

Znudzony kasjer wziął pieniądze od Jennifer i dał jej garść drobnych. Jennifer z powrotem pognęła do budki. Jakaś tęga kobieta właśnie podnosiła słuchawkę i zaczynała wykręcać numer.

- Mam pilną sprawę - powiedziała Jennifer. - Czy mogłabym...

Kobieta popatrzyła na nią, nie przerywając kręcenia.

- Halo, Hazel? - wykrzyknęła do słuchawki. - Horoskop mówił prawdę. Miałam rzeczywiście straszny ogień! Pamiętasz te buty, które chciałam kupić u „Delmana”? Czy dasz wiarę, że sprzedali jedyną parę, jaką mieli w moim rozmiarze?

Jennifer dotknęła ramienia kobiety i powiedziała:

- Błagam panią!

- Niech sobie pani znajdzie inny automat - syknęła kobieta, po czym dalej mówiła do słuchawki: - Pamiętasz, te zamszowe, które razem oglądałyśmy? Sprzedane! I wiesz, co zrobiłam? Powiedziałam temu sprzedawcy...

Jennifer zamknęła oczy i stała, niepomna na nic prócz katuszy, które zносиła. Michael nie może zabić Adama. Ona musi zrobić wszystko, by go uratować.

Kobieta odwiesiła słuchawkę i zwróciła się do Jennifer:

- Powinnam jeszcze raz zadzwonić, żeby dać pani nauczkę - powiedziała.

Kiedy oddalała się, ciesząc się swoim małym zwycięstwem, Jennifer chwyciła za słuchawkę. Zadzwoniła do biura Adama.

- Przykro mi - powiedziała sekretarka - ale senatora Warnera nie ma. Czy chce pani zostawić wiadomość?

- To bardzo pilne - powiedziała Jennifer. - Czy wie pani, jak mogę się z nim skontaktować?

- Niestety, nie. Jeżeli chce pani...

Jennifer odwiesiła słuchawkę. Stała przez moment, zastanawiając się, a potem szybko wykręciła inny numer. Do Roberta Di Silvy.

Nastąpiła bardzo długa przerwa, zanim w słuchawce rozległ się głos sekretarki:

- Biuro prokuratora okręgowego.

- Muszę mówić z panem Di Silvą. Tu Jennifer Parker.

- Przykro mi, ale pan Di Silva jest na naradzie i nie wolno mu prze...

- Proszę mnie połączyć. To pilna sprawa. Proszę się pospieszyć! - Głos Jennifer drżał.

Sekretarka Di Silvy zawahała się.

- Chwileczkę.

Po minucie przy telefonie był Robert Di Silva.

- Słucham? - Jego głos był wyjątkowo niemiły.

- Proszę słuchać, i to uważnie - powiedziała Jennifer. - Chcą zamordować Adama Warnera. Ma to się stać za dziesięć, piętnaście minut. Planują to zrobić na moście w New Canaan.

Odwiesiła słuchawkę. Nic więcej nie mogła zrobić. Przed oczami ujrzała koszmarną wizję rozdartego ciała Adama i wzdrygnęła się. Spojrzała na zegarek i pomodliła się w duchu, by Di Silva zdołał przyjść na czas z pomocą.

Robert Di Silva odłożył słuchawkę i spojrzał na zebranych w biurze ludzi.

- Przedziwny telefon.

- Kto dzwonił?

- Jennifer Parker. Powiedziała, że planowany jest zamach na senatora Warnera.

- Dlaczego zadzwoniła akurat do pana?

- Nie wiem.

- Myśli pan, że to prawda?

- Do diabła, nie - powiedział prokurator okręgowy Di Silva.

Jennifer stanęła w drzwiach biura i Michael, wbrew samemu sobie, nie mógł opanować się na widok jej urody. Zawsze tak się czuł, gdy ją widział. Na zewnątrz była najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Ale w środku była perfidna, zdradziecka. Spojrzał na usta, które całował Adam Warner i na ciało, które leżało w ramionach Adama Warnera.

Wchodząc mówiła:

- Michael, tak się cieszę, że cię widzę. Dziękuję ci, że wszystko tak szybko załatwiłeś.

- Nie ma sprawy. Czekałem na ciebie, Jennifer. - „Nigdy się nie dowie, jak bardzo”.

Usiadła w fotelu.

- Michael, co tu się, na Boga, dzieje?

Przyglądał jej się, na poły ją podziwiając. Była odpowiedzialna za udzielenie pomocy w zniszczeniu jego królestwa, a tymczasem siedziała tu spokojnie, pytając niewinnie, co się dzieje!

- Wiesz, dlaczego mnie ściągnęli do kraju?

„Oczywiście - pomyślał - żebyś mogła im więcej wyśpiewać”. Przypomniał sobie małego żółtego kanarka z ukreconym łebkiem. To samo spotka wkrótce Jennifer.

Spojrzała w jego czarne oczy.

- Dobrze się czujesz?

- Nigdy się nie czułem lepiej. - Rozsiadł się wygodnie na krześle. - Za parę minut skończą się wszystkie nasze problemy.

- Co to znaczy?

- Senator Warner będzie miał wypadek. To bardzo ostudzi zapal komisji. - Spojrzał na zegar ścienny. - W każdej chwili powinienem mieć telefon.

W zachowaniu Michaela było coś dziwnego, coś groźnego. Jennifer ogarnęło nagłe przeczucie niebezpieczeństwa. Wiedziała, że musi się stąd jak najszybciej wydostać.

Wstała.

- Nie miałam okazji się jeszcze rozpakować. Pojadę...

- Siadaj! - Dźwięk jego głosu spowodował, że ciarki przeszły jej po grzbiecie.

- Michael...

- Siadaj!

Spojrzała w stronę wyjścia. Stał tam, oparty plecami o drzwi, Gino Galio, obserwując z obojętną miną Jennifer.

- Nigdzie nie pojedziesz - powiedział Michael.

- Nie rozu...

- Milcz. Ani jednego słowa więcej.

Siedzieli czekając, obserwując się nawzajem, a jedynym odgłosem w pokoju było głośnie tykanie ściennego zegara. Jennifer próbowała coś wyczytać z oczu Michaela, ale były puste, bez wyrazu, niczego nie zdradzały.

Ciszę panującą W pokoju przerwał nagły dzwonek telefonu. Michael podniósł słuchawkę.

- Halo?... Jesteś pewny?... W porządku. Zmywaj się stamtąd.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Jennifer.

- Most w New Canaan roi się od glin.

Jennifer poczuła, jak fala ulgi ogarnia jej ciało. Opanowała ją radość. Michael obserwował ją, więc zmusiła się do nieokazania swoich uczuć.

- Co to znaczy? - spytała Jennifer.

- Nic. Ponieważ to nie tam Adam Warner ma zginąć - powiedział wolno Michael.

Podwójny most na trasie Garden State Parkway nie był wymieniony na mapie z nazwy. Garden State Parkway przecinała rzekę Raritan w pobliżu Amboys, rozdzielając się na dwa mosty - jeden z ruchem na północ, drugi - z ruchem na południe.

Limuzyna była na zachód od Perth Amboy, kierując się w stronę mostu na południe. Adam Warner siedział z tyłu, jeden członek ochrony był koło niego, a dwaj pozostali z przodu.

Agent Clay Reddin został przydzielony do ochrony senatora dokładnie sześć miesięcy temu i przez ten czas dobrze poznał Adama Warnera. Zawsze uważał go za człowieka otwartego i przystępnego, ale dzisiaj senator był dziwnie milczący i zamknięty w sobie. Agent Reddin użyłby słów „głęboko zaniepokojony”. Nie miał wątpliwości, że senator Warner zostanie następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Reddin był odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo. Jeszcze raz sprawdził przedsięwzięte środki ostrożności i stwierdził z zadowoleniem, że nic nie mogło im się przytrafić.

Reddin ponownie spojrzał na prawdopodobnego zwycięzcę w wyborach prezydenckich i zastanowił się, o czym też teraz może myśleć przyszły prezydent.

Myśli Adama Warnera krążyły wokół ciężkiej próby, która go czekała. Di Silva poinformował go, że Jennifer Parker została aresztowana. Myśl, że siedziała zamknięta jak jakieś zwierzę, była dla niego nie do zniesienia. Wracił do cudownych chwil, które kiedyś razem spędzili. Kochał Jennifer, tak jak żadną inną kobietę na świecie.

Jeden z ludzi ochrony, siedzący z przodu, odezwał się:

- Powinniśmy przyjechać na czas do Atlantic City, panie prezydencie.

„Panie prezydencie”. Znowu ten zwrot. Według najświeższych sondaży znacznie wyprzedzał swoich konkurentów. Stał się nowym bohaterem narodowym i wiedział, że w znacznej mierze zawdzięcza to dochodzeniom przeciwko mafii, prowadzonym przez komisję, której przewodniczył, dochodzeniom, które zniszczą Jennifer Parker.

Adam uniósł wzrok i zauważył, że zbliżają się do podwójnego mostu. Tuż przed mostem do szosy dochodziła boczna droga. U jej wylotu stała olbrzymia ciężarówka. Kiedy limuzyna zbliżyła się do mostu, ciężarówka zaczęła wyjeżdżać, tak że oba pojazdy dotarły do mostu jednocześnie.

Kierowca ochrony nacisnął hamulec i zwolnił.

- • Spójrzcie na tego idiotę.

Rozległ się trzask krótkofalówki.

- „Beacon One”! „Beacon One”! Zgłoś się! Agent siedzący obok kierowcy podniósł mikrofon.

- Tu „Beacon One”.

Wielka ciężarówka, wjeżdżając na most, zrównała się z nimi. Był to olbrzym, całkowicie zasłaniający widok od strony kierowcy. Kierowca limuzyny zaczął przyspieszać, aby ją wyprzedzić, ale ciężarówka też jednocześnie zwiększyła prędkość.

- Co on, u diabła, robi? - zamruczał kierowca.

- Mamy pilną wiadomość z biura prokuratora okręgowego. „Lis Jeden” jest w niebezpieczeństwie! Zrozumieliście?

Ciężarówka bez ostrzeżenia skręciła w prawo, uderzając w bok limuzyny i spychając ją na barierkę mostu. W jednej chwili wszyscy trzej członkowie wyciągnęli broń.

- Padnij!

Ściągnęli Adama na podłogę, a Reddin zasłonił go własnym ciałem. Agenci ochrony opuścili szyby z lewej strony samochodu i wycelowali broń. Ale nie było do czego strzelać. Bok olbrzymiej ciężarówki zasłaniał wszystko. Kierowca był wysoko z przodu, poza zasięgiem wzroku. Nastąpiło kolejne szarpnięcie i rozdzierający trzask, kiedy limuzyna znowu walnęła o barierkę. Kierowca skręcił kierownicą w lewo, próbując utrzymać samochód na moście, ale ciężarówka wciąż napierała. Dwieście stóp poniżej kłębiła się lodowata rzeka Raritan.

Agent ochrony siedzący obok kierowcy chwycił mikrofon i zaczął jak oszalały wołać:

- Tu „Beacon One”! SOS! SOS! Wzywam wszystkie jednostki!

Ale pasażerowie limuzyny wiedzieli, że było za późno, by ktokolwiek mógł im przyjść z pomocą. Kierowca próbował zatrzymać samochód, ale olbrzymie zderzaki ciężarówki wczepiły się w limuzynę, ciągnąc ją za sobą. Była to teraz jedynie kwestia sekund, zanim olbrzymia ciężarówka zepchnie ich poza krawędź mostu. Agent prowadzący samochód próbował różnych sztuczek, na zmianę hamując i przyspieszając, ale ciężarówka przygwoździła ich samochód do bariery mostu, tak że nie było możliwości wykonania żadnego manewru. Ciężarówka zablokowała drogę ratunku po lewej stronie, spychając jednocześnie limuzynę na żelazną barierę mostu po prawej stronie. Agent rozpaczliwie zmagał się z kierownicą, kiedy ciężarówka jeszcze raz mocno przycisnęła limuzynę i wszyscy w samochodzie poczuli, jak bariera mostu zaczyna się poddawać.

Ciężarówka napierała teraz mocniej, spychając limuzynę przez krawędź. W pewnej chwili pasażerowie samochodu odczuli gwałtowny przechył. Przednie koła przebiły barierę i zawisły w próżni ponad krawędzią mostu. Samochód bujał się na krawędzi i każdy z

mężczyzn zaczął na swój sposób szykować się na śmierć.

Adam nie czuł strachu, jedynie niewypowiedziany żal straty i poczucia klęski. To z Jennifer powinien dzielić swoje życie, mieć z nią dzieci... i nagle Adam uświadomił sobie, gdzie w głębi duszy, że mieli z sobą dziecko.

Limuzyna przechyliła się mocniej i Adam wydał jeden głośny okrzyk bólu na niesprawiedliwość tego, co się stało i tego, co się działo obecnie.

W górze rozległ się warkot dwóch helikopterów policyjnych, zniżających lot, a po chwili zaterkotały karabiny maszynowe. Ciężarówka przechyliła się i nagle wszelki ruch ustał. Adam i pozostali mężczyźni słyszeli, jak helikoptery kołowały w górze. Siedzieli bez ruchu, wiedząc, że najmniejsze poruszenie może spowodować upadek samochodu z mostu do rzeki.

Rozległ się daleki ryk syren policyjnych, coraz wyraźniejszy, a po paru chwilach dźwięk głosów wykrzykujących rozkazy. Silnik ciężarówki znowu zawarczał. Powoli, ostrożnie, ciężarówka ruszyła, cofając się od przygwoźdzonego samochodu, zwalniając nacisk. Limuzyna przechyliła się mocniej, po czym znieruchomiała. Po chwili ciężarówka odjechała wystarczająco daleko, żeby Adam i pozostali pasażerowie auta mogli wyrzeć przez okna po lewej stronie.

Na moście stało kilka radiowozów i kilkunastu umundurowanych policjantów z bronią gotową do strzału.

Kapitan policji stał tuż obok roztrzaskanego samochodu.

- Nie uda nam się otworzyć drzwi - powiedział. - Wyciągniemy was przez okna - to dziecinnie proste.

W pierwszej kolejności, wolno i ostrożnie, żeby nie zakłócić chwiejnej równowagi pojazdu i nie strącić go w dół, wyciągnięto Adama. Po nim została wydobyta trójka agentów ochrony.

Kiedy wszyscy mężczyźni zostali wyciągnięci z samochodu, kapitan policji zwrócił się do Adama:

- Nic się panu nie stało?

Adam odwrócił się, żeby spojrzeć na samochód, wiszący na skraju mostu, a potem na ciemną wodę rzeki w dole.

- Nie - odpowiedział - nic mi nie jest.

Michael Moretti popatrzył na ścienny zegar.

- Już po wszystkim - powiedział do Jennifer. - Twój przyjaciel jest już w rzece.

Obserwowała go z pobladłą twarzą.

- Nie mogłeś...

- Nie martw się. Będziesz miała uczciwy proces. Powiedziałaś jej - zwrócił się do Gino Galio - że Adam Warner zostanie załatwiony w New Canaan?

- Tak, jak mi kazałeś, szefie.

- Koniec procesu. - Michael spojrzął na Jennifer, po czym wstał i podszedł do niej. Złapał ją za bluzkę i szarpnął do góry.

- Kochałem cię - wyszeptał. Uderzył ją mocno w twarz. Jennifer ani drgnęła. Uderzył ją znowu, mocniej, a potem trzeci raz, tak że upadła na podłogę.

- Wstawaj. Przejdziemy się.

Jennifer leżała, oszołomiona uderzeniami, próbując zebrać myśli. Michael szarpnął ją brutalnie.

- Chcesz, żebym się nią zajął? - zapytał Gino Galio.

- Nie. Podjedź samochodem od tyłu.

- W porządku, szefie - powiedział Galio i wyszedł spiesznie z pokoju.

Jennifer i Michael zostali sami.

- Dlaczego? - zapytał. - Mieliśmy cały świat, a ty to odrzuciłaś. Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

- Chcesz, żebym cię jeszcze raz przeleciał, przez wzgląd na dawne czasy? - Michael podszedł do niej i schwycił za ramię. - Chcesz tego? - Jennifer nie odpowiadała. - Już nigdy nie będziesz się z nikim kochała, słyszysz? Wrzucę cię do rzeki, tam gdzie leży twój kochanek. Będziecie sobie nawzajem dotrzymywali towarzystwa.

Gino Galio wrócił do pokoju, twarz miał białą jak ściana.

- Szefie! Tam jest...

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Michael rzucił się do szuflady i wyciągnął rewolwer. Trzymał go w dłoni, gdy drzwi się otworzyły. Weszli dwaj agenci federalni z bronią gotową do strzału.

- Stać!

W jednym ułamku sekundy Michael podjął decyzję. Podniósł rewolwer, odwrócił się i strzelił do Jennifer. Widział, jak dosięgły ją kule na chwilę przed tym, zanim agenci zaczęli strzelać do niego. Obserwował, jak krew trysnęła z jej piersi, zanim poczuł, jak ugodziła go jedna kula, a potem druga. Widział Jennifer leżącą na podłodze i nie wiedział, co sprawiało mu większy ból: jej śmierć czy też własna. Poczuł uderzenie kolejnej kuli, a potem przestał czuć cokolwiek.

Dwóch młodych lekarzy wywiozło Jennifer z sali operacyjnej na oddział intensywnej opieki. Obok wózka siedł umundurowany policjant. Szpitalny korytarz pełen był policjantów, detektywów i dziennikarzy.

Jakiś mężczyzna podszedł do biurka rejestratorki i powiedział:

- Chciałbym się widzieć z Jennifer Parker.
- Czy jest pan członkiem rodziny?
- Jestem przyjacielem.
- Przykro mi, nie ma żadnych wizyt. Chora leży na oddziale intensywnej terapii.
- Poczekam.
- To może długo potrwać.
- Nie szkodzi - odparł Ken Bailey.

Otworzyły się boczne drzwi i wszedł wymizerowany i wychudzony Adam Warner w otoczeniu kilkunastu agentów ochrony.

Lekarz czekał już, by go powitać.

- Proszę tędy, senatorze Warner. Zaprowadził Adama do małego gabinetu.
- Jak ona się czuje? - zapytał Adam.
- Nie jestem zbytnim optymistą. Wyjeliśmy z jej ciała trzy kule.

Drzwi otworzyły się ponownie i szybkim krokiem wszedł prokurator okręgowy Robert Di Silva. Spojrzał na Adama Warnera i powiedział:

- Cieszę się, że nic ci nie jest.
- Rozumiem, że to tobie jestem winien podziękowanie - odparł Adam. - Jak się o tym dowiedziałeś?

- Zadzwoiła do mnie Jennifer Parker. Powiedziała mi, że zaczęli się na ciebie w New Canaan. Pomyślałem sobie, że to najpewniej jakiś podstęp dla odwrócenia naszej uwagi, ale wolałem nie ryzykować, więc wysłałem tam ludzi. Jednocześnie obstawiłem trasę, którą jechałeś i wysłaliśmy za tobą parę helikopterów, aby cię chronić. Podejrzewam, że ta Parker próbowała cię załatwić.

- Nie - powiedział Adam. - Nie. Robert Di Silva wrzucił ramionami.
- Myśl, co chcesz, senatorze. Najważniejsze, że żyjesz. Po krótkim namyśle zwrócił się do lekarza:

- Czy ona będzie żyła?
- Nie dajemy jej zbyt dużych szans.

Prokurator okręgowy zauważył wyraz twarzy Adama Warnera i błędnie go interpretując, dodał:

- Nie martw się. Jeżeli się wylize, mocno ją przydusimy. Przyjrzał się bliżej Adamowi.

- Strasznie wyglądasz. Czemu nie pojedziesz do domu i nie odpoczniesz trochę?

- Chciałbym najpierw zobaczyć Jennifer Parker.

- Jest nieprzytomna - powiedział doktor. - Może nie odzyskać świadomości.

- Mimo to chciałbym ją zobaczyć.

- Oczywiście, panie senatorze. Proszę za mną.

Doktor wyszedł z pokoju pierwszy, a za nim pospieszyli Adam i Di Silva. Przeszli parę metrów korytarzem, aż doszli do tablicy z napisem „Oddział Intensywnej Opieki - wstęp wzbroniony”.

Lekarz otworzył drzwi i przepuścił obu mężczyzn.

- Leży w pierwszej sali.

Przed wejściem stał na straży policjant. Kiedy zobaczył prokuratora okręgowego wyprężył się na baczność.

- Nikomu nie wolno zbliżać się do tego pokoju bez mojego pisemnego zezwolenia. Jasne? - powiedział Di Silva.

- Tak jest!

Adam i Di Silva weszli do pokoju. Stały w nim trzy łóżka, dwa z nich były puste. Jennifer leżała na trzecim, liczne rurki biegły do jej nozdrzy i przegubów rąk. Adam podszedł bliżej i spojrzał na nią. Na tle białej poduszki odcinała się blada twarz Jennifer, oczy miała zamknięte. We śnie wyglądała młodziej i delikatniej. Adam patrzył na niewinną dziewczynę, którą spotkał przed laty, dziewczynę, która w złości powiedziała mu: „Gdyby ktokolwiek mi zapłacił, myśli pan, że mieszkałabym w takiej norze? Nie obchodzi mnie, co pan robi. Chcę jedynie, by zostawiono mnie w spokoju”. Pamiętał jej odwagę, idealizm i wrażliwość. Żyła w świecie aniołów, wierząc w sprawiedliwość i walcząc o nią. Co się stało potem? Kochał ją i wciąż ją kocha, ale zrobił jeden fałszywy krok, który zatrzał im obojgu życie i wiedział, że nigdy, póki będzie żył, nie pozbedzie się poczucia winy.

Zwrócił się do lekarza.

- Proszę mnie poinformować, kiedy... - Nie mógł wypowiedzieć tych słów - ... o stanie jej zdrowia.

- Naturalnie - odparł doktor.

Adam Warner rzucił ostatnie długie spojrzenie na Jennifer i powiedział jej w duchu

„do widzenia”. Potem odwrócił się i wyszedł, by stawić czoło czekającym na niego dziennikarzom.

Półprzytomna Jennifer niewyraźnie, jak przez mgłę, słyszała wychodzących mężczyzn. Nie rozumiała, co mówili, bo ich słowa przyćmiewał przeszywający ją ból. Wydawało jej się, że słyszy głos Adama, ale wiedziała, że to niemożliwe, Adam nie żył. Próbowwała otworzyć oczy, ale był to dla niej zbyt duży wysiłek.

Myśli Jennifer zaczęły powoli płynąć... Do pokoju wbiegł Abraham Wilson, niosąc jakieś pudło. Potknął się, pudło otworzyło się i wyfrunął z niego żółty kanarek... Robert Di Silva krzychał: „Łapać go! Nie pozwólcie mu wyfrunąć!”... a Michael Moretti trzymał go, śmiejąc się, a wtedy ojciec Ryan powiedział: „Patrzcie! To prawdziwy cud!” i Connie Garret tańczyła na sali, a wszyscy klaskali... Pani Cooper mówiła: „Podaruję ci coś specjalnego... specjalnego... specjalnego...” i przyszedł Adam z tuzinem czerwonych róż, a Michael powiedział: „To ode mnie”, a Jennifer odparła: „Wstawię je do wazonu z wodą”, lecz one zwiędły i oklapły, woda wylała się na podłogę i utworzyła jezioro, a ona i Adam pływali żaglówką, a Michael gonił ich na nartach wodnych, potem stał się Joshua, uśmiechał się do Jennifer, machał do niej, zaczął tracić równowagę, a ona krzychała: „Nie upadnij... Nie upadnij... Nie upadnij... ..” i olbrzymia fala porwała Joshuę w powietrze, a on rozłożył ręce jak Chrystus i zniknął.

Przez moment umysł Jennifer rozjaśnił się.

Joshua odszedł.

Adam odszedł.

Michael odszedł.

Została sama. W końcu każdy zostaje sam. Każdy musi umrzeć swoją śmiercią. Jej będzie teraz łatwiej umrzeć.

Zaczęło ją ogarniać uczucie błęgiego spokoju. Wkrótce skończą się jej cierpienia.

Był zimny styczniowy dzień, kiedy Adam Warner został zaprzysiężony na Kapitolu jako czterdziesty prezydent Stanów Zjednoczonych. Jego żona miała kapelusz z futra sobolowego i ciemne sobolowe futro, które cudownie podkreślało jej jasną karnację i niemal ukrywało jej ciążę. Stała razem z córką i obie dumnie obserwowały, jak Adam składa przysięgę, a cały kraj cieszy się razem z nimi. Byli dumą Ameryki: skromni, uczciwi i dobrzy, i ich miejsce było w Białym Domu.

W małej kancelarii adwokackiej w Kelso w stanie Waszyngton Jennifer Parker siedziała samotnie, oglądając w telewizji transmisję z ceremonii zaprzysiężenia. Oglądała do samego końca, do chwili, aż Adam, Mary Beth i Samantha opuścili podium, otoczeni przez ludzi z ochrony. Dopiero wtedy wyłączyła telewizor, patrząc, jak obraz stopniowo rozplywa się w nicość. Wyglądało to tak, jakby wyłączyła całą swoją przeszłość, zamknęła wszystko, co się jej zdarzyło, miłość i śmierć, radość i ból. Nic nie było w stanie jej zniszczyć. Przeżyła wszystko.

Włożyła kapelusz i płaszcz i wyszła, zatrzymując się na moment, żeby popatrzeć na tablicę, na której widniały słowa: „Jennifer Parker, adwokat”. Przez chwilę pomyślała o sędziach przysięgłych, którzy ją uniewinnili. Była ciągle prawnikiem, tak jak jej ojciec. I wytrwa, poszukując ulotnej rzeczy zwanej sprawiedliwością. Odwróciła się i skierowała kroki w stronę gmachu sądu.

Szła wolno pustymi, wietrznymi ulicami. Zaczął prószyć drobny śnieg, zarzucając na świat szyfonowy welon. Z pobliskiego budynku mieszkalnego dobiegł ją nagły wybuch wesołości i był to taki obcy dźwięk, że aż zatrzymała się na moment, by mu się przysłuchać. Szczelniej otuliła się płaszczem i ruszyła dalej, badawczo przyglądając się śnieżnej zasłonie przed sobą, jakby próbowała zajrzeć w przyszłość.

Ale w rzeczywistości spoglądała w przeszłość, próbując dociec, w którym momencie straciła całą radość życia.

SIDNEY SHELDON

„Najlepsza dotychczas powieść Sheldona... Niespodzianka goni niespodziankę, jedna niezapomniana strona następuje po drugiej.” - Boston Herald

Prezentujemy kolejny bestseller Sidneya Sheldona, pisarza, który jako pierwszy z powodzeniem połączył zapierającą dech sensację z gorącym romansem, autora powieści czytanych przez cały świat.

Piękna Jennifer Parker, wschodząca gwiazda nowojorskiej palestry, jest uosobieniem sukcesu - do chwili, gdy wchodzi w drogę wszechpotężnej mafii. Dziewczyna stanie się obiektem nienawiści nieobliczalnych w swym okrucieństwie wrogów, zazna też miłości... bardziej zabójczej niż nienawiść.

Sceną tego dramatu staną się mroczne podziemia zorganizowanej przestępczości i jasno oświetlone sale sądowe - areny krwawych i bezkrwawych zbrodni...